

W Kraju Mahdiego 1

Karol May



calibre 0.9.27

Karol May

W kraju Mahdiego

Część pierwsza

Łowca niewolników

Rozdział I

Chajal

Zwycięska „El Kahira” lub „Bauwaabe el bilad esz szark”, tj. Wrota Wschodu — tak brzmią określenia, którymi Egipcjanin nazywa stolicę swojego kraju. O ile pierwsza nazwa od dawna już nie odpowiada rzeczywistości, o tyle druga zupełnie jest słuszna, Kair bowiem istotnie „wrotami Wschodu” nazwać można. Najbardziej z miast wschodnich będąc wystawiona na wpływy Zachodu, zwycięska niegdyś „El Kahira” tak z wiekami osłabła, że dziś naporowi tych wpływów wcale nie może się oprzeć. Z roku na rok Kair staje się miastem coraz bardziej frankońskim i tam, gdzie dawniej na wysokim nawet stanowisku Europejczyk mógł doznać pchnięcia nożem za zwrócenie tylko uwagi, że sułtan wchodzi w butach do Aja Sofia, tam dziś każdy może zwiedzić pięćset dwadzieścia trzy meczety stolicy egipskiej, nie zdejmując obuwia.

Liczne hotele, jak np. Shepharda, „Hotel Nowy”, „Hotel d’ Orient”, „Hotel du Nil”, „Hotel des Ambassadeurs” jako też liczne pensjonaty, restauracje i kawiarnie dają obcemu przybyszowi zupełne zaspokojenie potrzeb, do których przyzwyczał się w ojczyźnie. Ale za to trzeba dobrze, bardzo dobrze zapłacić; zaś kto, jak ja, nie rozporządza dochodami lorda, niech się trzyma jak najdalej od owych zbiorowisk krezusów europejskich.

Oczywiście łatwiej jest dać taką radę, aniżeli zastosować się do niej, gdyż chcąc uniknąć tych domów, a jednak mieszkać w Kairze, trzeba się ulokować w domu prywatnym i być co dzień, ba, nawet co godzina ofiarą oszustwa i zdzierstwa ze strony krajowców, jeśli się nie zna dokładnie miejscowych stosunków i jako tako języka arabskiego. Na uczciwość tłumaczy i służących liczyć nie można. Nawet taki służący, któremu by się mogło powierzyć majątek i być pewnym, że z niego nic nie zginie, przy każdym zakupie oszuka swego pana na kilka par lub piastrów, co, rzecz prosta, z czasem tworzy wcale pokaźną sumę. Z tłumaczami jest jeszcze gorzej. Ilekroć obcy przybysz pójdzie z dragomanem na bazar, a sam nie zna języka, może być pewny, że dragoman jest w porozumieniu z każdym kupcem i, dopomógłszy mu obedrzeć swego klienta, odbierze potem swój udział w zysku. Toteż każdy obeznany z krajem ofiarowuje zazwyczaj trzecią część ceny, której od niego za towar żądają. Dla sprawdzenia zasady ogólnie przyjętego tu względem przybyszów zdzierstwa, pewien Francuz, władający językiem arabskim, udając jednak, że go nie rozumie, wziął ze sobą dragomana i udał się z nim po zakupy. Zaledwie weszli do jednego z kupców, już handlarz przed podaniem jeszcze klientowi zwyczajowej filiżanki kawy odezwał się do tłumacza: „No, bracie, trzeba tę świnię chrześcijańską oskrobać; dam mu towar sheffieldzki, a niech płaci za damasceński”. Usłyszawszy to Francuz oświadczył handlarzowi najpiękniejszą arabszczyzną, że ani świnią nie jest, ani też nic tu nie kupi, i ku wielkiemu zdziwieniu tak kupca, jak i dragomana, wyszedł wzburzony ze sklepu.

Pewien słynny podróżnik pisze: „Dawniej trzeba było samemu starać się tu o wszelkie potrzeby życia i, wszedłszy w rolę kucharki, kupować na rynku ryż, groch, mięso wędzone, drób i inne wiktuały, wyliczone zazwyczaj w podręcznikach podróżniczych. Od kilku lat ten kłopot bierze na siebie dragoman, jako też załatwia wiele innych rzeczy. Należy tylko zawrzeć z nim umowę, mocą której obowiązany jest podać to a to na śniadanie, tyle a tyle potraw na obiad i tyle a tyle na kolację;

oprócz tego zaś ma dostarczyć światła, bielizny, usługi i środków lokomocji. Umowę taką sporządza się w konsulacie tego kraju, którego się jest obywatelem. Sposób to doskonały, bo zabezpiecza obie strony od wzajemnej krzywdy, a co najważniejsze, chroni od wyzysku nieświadomego przybysza, choć chciwy przewodnik wie dobrze, że jeżeli swych zobowiązań nie spełni, może go zmusić konsul do zwrotu strat z nadwyżką, a nawet materialnie zrujnować, bo usług jego już nikomu nie zaleci. Otwartych oszustów nie ma tu prawie wcale, jednak przebiegli Arabowie starają się przy zawieraniu umów zdobyć sobie jak największe korzyści, a jednocześnie zrzucić ze swoich barków na podróżnego jak najwięcej kłopotliwych obowiązków, a czynią to z właściwą swej rasie zrećznością”.

Przyznając przebiegłość tym ludziom, stwierdzam to, com rzekł o nich wyżej. Moim zdaniem zresztą na jedno wychodzi, czy się jest okpionym przy zawieraniu umowy, czy też w następstwie. Każdy, mający możliwość zawrzeć tego rodzaju umowę, jest godzien zazdrości, gdyż możliwość ta dowodzi, że rozporządza on środkami, z jakich nie każdy podróżny korzystać może. Dobrze jest temu, kto może w podobnych warunkach podróżować.

Zajechałem do hotelu „d’Orient” i kazałem sobie dać pokój najtańszy, z zamiarem korzystania z niego tylko przez dzisiaj, a następnie wyszedłem na miasto, aby wyszukać sobie mieszkanie prywatne. Hotel leży przy Esbekieh, najpiękniejszym placu w całym mieście. Dawnymi czasy wezbrane wody Nilu zalewały ten plac, będący kotliną, na całej przestrzeni, aż do czasu, gdy Mohamed Ali kazał dla zabezpieczenia od wylewów nilowych otoczyć go kanałem, a brzegi obsadzić drzewami. Później Ismail–Basza przysypał całe to miejsce ziemią tak, iż plac został podniesiony do poziomu miasta. Pewną część tej przestrzeni zabudowano domami, a resztę zamieniono na piękny ogród z kawiarniami, teatrami i grotami. Po południu odbywają się tu często koncerty. Wschodnią część placu zdobią gmachy ministerstw spraw zewnętrznych, wewnętrznych i skarbu, a w południowej wznosi się teatr, poświęcony dramatom i operze. Ogród zajmuje 32 tysiące metrów kwadratowych obszaru. Patrząc na niezliczoną ilość znajdujących się przy tym placu restauracji, piwiarni, kiosków z likierami i lodami, sal koncertowych wśród mnóstwa zdobnych latarni gazowych, zapomnieć by można, że się człowiek znajduje u wrót Wschodu, gdyby nie zieleniejące i kwitnące rośliny strefy południowej. Zwróciłem się na południowy wschód, w stronę Muski. Jest to dawna frankońska dzielnica, w której za panowania Saladyna zamieszkali chrześcijanie, otrzymawszy po raz pierwszy pozwolenie owego władcy na pobyt w Kairze. Tu znajdują się największe sklepy, należące do Europejczyków; ruch niezwykły i tłok znamionują tę część miasta. Ulica wprawdzie jest dość ciasna i duszna, jednak zanim powstały wspaniałe dzielnice Esbekieh, Ismailia i południowy Addin, była ona jedyną szerszą ulicą w Kairze. Tu wszystko ma już polor europejski i zaledwie kilka starych arabskich płaskich dachów, prawdziwie egipski brud i panująca wszędzie woń ruin i spustoszenia przypominają podróżnemu, gdzie się znajduje.

Gdy się jednak zapragnie zobaczyć Wschód, nie zafałszowany polorem europejskim, trzeba się udać do jednej z dzielnic arabskich, niezbyt stąd odległych. Przypomniałem sobie dawniejsze wędrówki moje po Kairze i skręciłem w wąską boczną uliczkę. Łączyła się ona z inną, na którą wszedłszy, ujrzałem z daleka na glinianym murze niskiego domu czterowierszowy napis:

Beer–house.

Cabaret f bičre.

Bira, ingliziji ve nimsawiji.

Napis więc był w czterech językach: angielskim, francuskim, włoskim i arabskim; czwarty wiersz napisany też był literami arabskimi. Stałem w celu przyjrzenia się temu domowi. Powierzchność jego nie wyglądała wcale ponętnie, lecz pociągał mnie ku niemu wyraz „piwo”. W domu tym nie było drzwi, ani okien. Zamiast nich, frontowa strona budynku zaopatrzona była w dziesięć mocno popękanych słupów drewnianych, dźwigających górną część ściany. Słupy owe stanowiły więc jedyną przegrodę pomiędzy mieszkaniem a ulicą. W głębi widać było kilku gości, siedzących na rogożach z sitowia, lub na drewnianych sprzętach, raczej do tortur podobnych, aniżeli mających być zapewne stołkami. Jeden z siedzących, jakiś spotniały grubas, spostrzegłszy moje wahanie, skinął na mnie obydwoma rękami, a uśmiechnąwszy się nader uprzejmie, zawołał:

— Gel czelebi, gel czelebi, gel czelebi! Arpa suju pek eji, pek eji! Chodź pan! Piwo tu bardzo dobre, bardzo dobre!

Mówił to po turecku, a więc domyślałem się, że jest Osmanlim. Widząc, że nieźle skwapliwy na jego wezwania, wyciągnął ku mnie flaszkę, trzymaną w lewej ręce, a prawą jał na mnie kiwać zachęcająco i tak zawzięcie, że trójnog, służący mu za siedzenie, a podobny do stołka szewskiego, zachwiał się od ruchu tego, i ciężkie beczkowate ciało grubasa z wielkim łoskotem zważyło się na ziemię.

— O jarik! o gekim! o babalarim! o tenim! o azalarim! o bukalim! O biada! o nieba! o ojcowie moi! o moje kości! o flaszkę! — stękał, nie wypuszczając z ręki flaszki, lecz nie czyniąc też wysiłku w celu powstania.

Przyskoczyłem doń i na razie zdołałem tylko stwierdzić, że tylko rozpaczliwy zwrot do flaszki był uzasadniony; rozbiła się o jeden ze słupów i w ręku grubasa tkwiła zaledwie jej część górna — próżna szyjka, zawartość zaś cała wylała mu się na twarz i odzienie. Towarzysze grubasa patrzyli na ten wypadek z uśmiechem, ale żaden z nich nie próbował podejść ku nam, ażeby kompaniowi dopomóc w powstaniu.

— Zarar onlarinwar? Czyś pan się nie zranił? — zapytałem, biorąc mu z ręki szyjkę od flaszki i ocierając go chustką.

— Azalarim dżimle kyrnysz! Wszystkie kości mam połamane! — odpowiedział, leżąc wciąż na grzbiecie z podniesionymi w górę nogami i rękami.

— Nie przypuszczam jednak — pocieszałem go. — Gdybyś pan miał nawet co uszkodzonego, nie mógłbyś długo pozostawać w tak trudnej pozycji. Spróbuj pan powstać.

Ująłem go za ręce i usiłowałem podnieść, ciągnąłem z całych sił, ale na próżno. Wtem nadszedł czarny młodzieniec, zapewne zufraczi* z miską w ręku, napełnioną węglami, prawdopodobnie do zapalania fajek. Chłopiec miał minę gotowego na wszelkie figle urwisa. Uchwycił szczypcami

rozszarzony węgiel z miski i podsunął Turkowi pod nos tak blisko, że aż wąs mu zaskwierczał. W jednej chwili zerwał się grubas z ziemi i wymierzył czarnemu figlarzowi taki bakszysz poza uszy, że chłopiec upuścił miskę i z wrzaskiem wybiegł na ulicę.

— Sakalin, byjykim gizel! Mój wąs, mój piękny wąs! — krzyczał grubas gniewnie, głaszcząc się po uszkodzonej ozdobie twarzy. — Co za śmiałość takiego czarnego bydlaka porywać się na moje wąsy!... Niech go Allah na samym dnie piekła upraży!...

Teraz dopiero mogłem się przypatrzeć dokładnie rozszarzonemu Turkowi. Nie był wysoki, ale tuszę za to miał potężną. Twarz jego nazbyt czerwona nie dowodziła zdrowia, ale miała w sobie wyraz uczciwości i chociaż oczy iskrzyły się jeszcze gniewem, widać było, że w innych warunkach umiały patrzeć przychylniej. Był w wieku najwyżej lat trzydziestu pięciu. Ubraniem nie różnił się ode mnie: miał na sobie szerokie tureckie szalwar*, kamizelkę i krótki kuburan* ze stojącym kołnierzem, chustkę pod kołnierzem od koszuli, na głowie fez, szal na biodrach i był w lekkich trzewikach. Jednakowoż gdy moja odzież miała barwę przeważnie szarą, jego była ciemnoniebieska, ozdobna złotymi galonami i sznurami. W ogóle wyglądał na człowieka, który nie potrzebuje liczyć się zbytnio z zawartością swojej sakiewki.

Obmacawszy się z tyłu i z przodu, od góry i od dołu i przekonawszy się, że nic mu się w tym wypadku nie uszkodziło z wyjątkiem kilku osmalonych włosów w wąsie, wypogodził oblicze i wyciągając do mnie rękę do uścisku, rzekł serdecznie:

— Allah szike, szagh im! Bu wakyt n'asl idiniz. Dzięki Bogu, zdrow jestem! Co się z panem w ostatnich czasach działo?

— W ostatnich czasach? — zapytałem zdumiony. — Znacie mnie, jak widzę...

— A pan mnie nie?

— Rzeczywiście, nie mogę sobie przypomnieć.

— Wierzę, gdyż nie mówiłeś pan ze mną wówczas. Usiądźmy! Pewnie się pan piwa napijesz. Zapraszałem pana; musisz pan zrobić mi grzeczność i być moim gościem.

Usiadł na pewniejszym stołku, zaś ja naprzeciw niego. Co za przypadek! Zaledwie w Kairze pył strzepałem z obuwia z Dżebel Abu Tartur, gdy oto spotykam człeka, który mnie znał i widocznie niezłe miał o mnie wyobrażenie. Wysoce mnie zaciekawilo, kim był Turek i gdzie mnie widział.

— Ia walad, dżib sziszaten! Hej, chłopcze przynieś no dwa nargile! — zawołał poza siebie.

Wezwany Murzynek zbliżył się bojaźliwie i postawił nargile, trzymając głowę w takiej odległości, aby jej powtórnie ręka grubasa nie dosięgła. Ale spostrzegłszy, że Turek nie gniewa się na jego widok, nabrał odwagi i śmieiej już podał nam węgle. Fajki napełnione były tenibekiem, silnym perskim tytoniem, który możliwy był do palenia tylko z nargilów.

— A tina kizazaten bira! podaj nam dwie flaszki piwa austriackiego — zadysponował udobruchany Turek.

Była to względem mnie wielka uprzejmość: zamiast piwa angielskiego, częstował mnie austriackim. O ile jednak grzeczny był dla mnie, o tyle szorstkim okazał się wobec Murzyna — zaledwie bowiem chłopak postawił na stole butelki i szklanki, otrzymał tak silnie poprawione wydanie pierwszego kaffu*, że błyskawicznie wyleciał przez izbę za próg.

— Bu war parczazi, on dostał już swoją porcję! — rzekł Turek, odkorkowując sobie butelkę dla nalania sobie i mnie piwa.

Pił on widocznie nie po raz pierwszy z mieszkańcem Zachodu, gdyż trącił się ze mną całkiem prawidłowo. Było to Piwo pilzneńskie, prawdziwe piwo pilzneńskie z browaru mieszczkańskiego. Najmilszy Wschodzie! Zaczynam się obawiać o ciebie! Jednak pij dalej, zapijaj się piwem; lepsze ono, aniżeli mocny arak, który krew ci zatruwa i nerwy rujnuje, chociaż Mahomet nie zakazał go tak, jak wina.

Gdy po nasyceniu pragnienia poszły w ruch fajki, zmierzył mnie Turek wzrokiem przychylnego poważania, po czym rzekł:

— Pan mnie nie znasz, więc muszę mu powiedzieć moje nazwisko. Nazywam się Murad Nassyr, a mieszkam w Nif, koło Izmiru*. Jestem bazirgijam* i mam kilka okrętów. Mekten* swój mam w Izmirze, ale składy moje są w Nif. O effendi, mam ja tam piękne i cenne, bardzo cenne rzeczy, których posiadanie uradowałoby niejednego baszę.

Mówiąc to, przyłożył do ust końce wielkiego wskazującego palca, a cmoknąwszy w nie, zamknął oczy i jął mlaskać językiem z rozkoszą niewymowną, po czym prawił dalej:

— Ale ja jestem nie tylko kupcem, bo i wojownikiem. W podróżach moich muszę nieraz używać broni i nie ma człowieka, który mógłby pochwalić się tym, że mnie zwyciężył. Zresztą świadczy już o tym moje nazwisko.

Wygłosił to z wielką dumą i spojrzał na mnie w oczekiwaniu mojego w tej sprawie zdania.

— Pańskie nazwisko? — zapytałem. — Masz pan na myśli „Murad” czy „Nassyr”?

— Oczywiście, że Nassyr.

— No, to słowo nie ma nic wspólnego z walecznością, gdyż oznacza nagniotek na nodze, który bywa zwykle tak bolesny, że mając nagniotki chodzi się z miną wcale niebohaterską.

— Allah, Allah! — zawołał. — Jakże się pan mylisz okropnie! Ależ słowo to oznacza zwycięzcę!

— Tak, arabskie słowo „nassr” oznacza zwycięzcę, ale nie tureckie „nassyr”. Po turecku musiałbyś pan nazywać się Galib, Fatih albo Genidzi.

— Effendi, chyba chcesz mnie pan obrazić i purpurą okryć moje policzki. Czyż pan, człowiek u nas obcy, masz możliwość lepiej ode mnie zrozumieć imię moje, imię człowieka, którego przodkowie

walczyli z chwałą pod najślawniejszymi sultanami tego kraju?

— Dobrze, w takim razie myślę się — przyznałem uprzejmie — Wybacz mi pan mą nieświadomość.

— Wybaczam — rzekł z zadowoleniem. — A teraz powiem panu, gdzie pana widziałem. Było to w Dżezair*, gdzie okręt mój stał na kotwicy. Czy znasz pan tam kupca francuskiego Latreaumonta?

— Tak, istotnie znam — potwierdziłem.

— Siedziałeś pan w kawiarni przy ulicy Bab–Azoun. Ja również przyszedłem tam i spostrzegłem, że obecni spoglądali na pana z zaciekawieniem, mówiąc o panu cicho między sobą. Kiedyś pan odszedł, zapytałem o niego i dowiedziałem się, żeś jest owym obcym, który młodego Latreaumonta, porwanego i zawleczonego na Saharę, wyrwał spośród zgrai jego katów. Zapamiętałem sobie dobrze twarz pańską i teraz oto poznałem pana natychmiast.

— Tak, nie mogę wprawdzie zaprzeczyć, że jestem owym obcym, lecz na to, co uczyniłem, patrzono, zdaje się, przez churdebin*.

— O, nie, effendi; wiem ja dobrze, że zniszczyłeś całą liczną gum*. Nie uszedł panu ani jeden z Imoszarów, ani Tuaregów.

— Nie byłem tam sam jeden.

— Był z panem jakiś Anglik i dwaj służący, oto wszystko. Odwiedziłem potem Latreaumonta, do którego miałem interes, i on mi właśnie opowiedział obszernie całą tę historię. Effendi, skąd pan obecnie przybywasz?

— Z Bir Haldeh w kraju Uelad Ali.

— A dokąd pan dążysz?

— Do domu.

— Co? Do Europy? Czyżby tam czekano na pana, czy też masz pan tam jakie obowiązkowe zajęcia? Taki pan nie może przecie prowadzić żadnego interesu.

Czekał na moją odpowiedź z wielką, nie maskowaną niczym ciekawością.

— No, interesów nie mam żadnych i nie mogę powiedzieć, aby mnie tam oczekiwano niecierpliwie.

— A więc zostań pan tutaj i jedź pan ze mną.

— Dokąd?

— Do Sudanu, do Chartumu.

Co za propozycja! Podróż w tamte strony byłaby spełnieniem moich najgorętszych życzeń. Niestety, nie mogłem dać innej odpowiedzi, jak tylko odmowną.

— Nie mogę; niepodobna mi zostać; muszę wracać do domu.

— Ciekawym dlaczego, skoro nic pana tam nie wzywa?

— To mnie pędzi! — rzekłem, uderzając się po kieszeni, a wyciągnawszy z niej skórzaną sakiewkę, potrzasałem mu nią przed nosem. — Czy mam panu powiedzieć, na jaką chorobę cierpi ten woreczek? To Sili, cajiflanma*, czyli dolegliwość, którą tylko w kraju można wyleczyć. To znaczy, że pieniędzy starczy mi tylko na jazdę wielbłądem do Suez, a potem na szybki powrót do domu.

Spodziewałem się oczywiście, że teraz mój rozmówca da spokój całej sprawie, lecz zawiodłem się, Turek bowiem rzekł natychmiast:

— O, panu nie może braknąć pieniędzy. Pójdź pan tylko do banku egipskiego w Muski, do Oppenheima i Ski na ul. Esbekieh, albo do Toda, albo do Rathbone i Ski w ogrodzie Rozetty, a otrzymasz pan tyle, ile zażadasz. Ja znam tych ludzi.

— Ba! Ale oni mnie nie znają!

— Dam panu kiaghat*.

— Dziękuję, nie pożyczam. Nie jestem taki bogaty, jak pan i nie mogę jechać dalej, aniżeli mi na to osobista kasa moja pozwoli.

— Naprawdę pan nie chce?

— Nie.

— Szkoda, wielka szkoda! — rzekł poważnie, a twarz jego przybrała wyraz szczerego żalu. — Gdyby mi pan towarzyszył, wielką by mi pan oddał przysługę. Ucieszyłem się, spotkawszy pana i postanowiłem zaraz poprosić go o towarzyszenie mi w podróży, gdybyś pan nic innego nie miał do roboty.

— Jak to? Mógłbym się panu na coś przydać?

— Tak.

— A to na co?

— Allach! Pan jeszcze o to pytasz? Udaję się do Chartumu, aby zawieźć siostrę do jej nisanlyego*. Ona ma kilka służebnic, a i ja muszę sobie dobrać ludzi, którym mógłbym zaufać. Pomyśl pan: taka długa i niebezpieczna podróż... najpierw Nilem, a potem przez kraj dzikich Arabów... Człowiek taki, jak pan, który porwał się na liczną zgraję krwiożerczych Tuaregów, nie boi się nikogo... Czy masz pan ze sobą broń palną, którą rozporządzałeś wówczas?

— Mam.

— No, to niech się pan namyśli! Podróż nie będzie pana kosztowała ani pary; ja postaram się o wszystko. Zapłaty, jak służącemu, nie mogę panu zaofiarować; ale tam zrobimy dobry interes, który nam da pokaźne zyski i podzielimy się nimi stosownie do umowy.

To mnie ostatecznie przekonało. Przyznaję, że byłbym najchętniej wyraził natychmiast swoją zgodę, ale się jeszcze wstrzymałem, rzucając pytanie:

— Jakie pan ma tam interesy na myśli?

Mrugnął oczyma, a twarz jego przybrała wyraz tak chytry, jakiegom się u tak prostodusznego człowieka nie spodziewał.

— Nie domyślasz się pan?

— Nie.

— A może sekik?

Spojrzał mi w oczy pytająco a ciekawie. Wyraz sekik znaczy „niewolnicy”. Odpowiedziałem bez namysłu:

— Do tego nie przyłożyłbym nigdy swej ręki. Jestem chrześcijaninem! Zresztą łowy na niewolników zakazane zostały przez kedywa.

Twarz jego przybrała znowu pierwotny wyraz szczerości i rzekł mi otwarcie:

— Zawodowy łowca niewolników nie pyta o zakaz kedywa. Lecz ja nim nie jestem i nie zamierzam się tym zajmować. Inny towar zajął moją uwagę: strusie pióra, guma, kadzidło, liście senesu, rogi bawole i kość słoniowa... oto co mnie pociąga. W Chartumie znajdują się wielkie zapasy tego wszystkiego i zamierzam poczynić znaczne zakupy. Czyżbyś pan uważał handel takim towarem za grzech, za coś przeciwnego pańskim wierzeniom religijnym?

— Bynajmniej.

— Więc jedź pan ze mną! No, zgoda? — i wyciągnął do mnie rękę.

— Czasu niewiele, a my nie znamy się jeszcze — zauważyłem.

— Ja pana znam i powtarzam, że myślałem o takim właśnie człowieku. Daję panu słowo, że nie doznasz pan żadnej straty. Przeciwnie, przywieziesz pan stamtąd do domu sakiewkę pełną, zamiast pustej.

Ten argument był bardzo zachęcający, choć może nie rozstrzygający. Gdyby nie owo chytre spojrzenie, z którym przedtem czekał na moją odpowiedź! Wzbudziło ono we mnie podejrzenie, pomimo dobroduszości Turka. Wydało mi się, że byłby rad, gdybym nie był okazał się

przeciwnikiem handlu niewolnikami. Dlatego też odpowiedziałem:

— Sprawa nie taka pilna. Daj mi pan czas do namysłu.

— Bardzo chętnie, effendi. Ale zdaje mi się, że miałeś pan zamiar, w razie niedojścia umowy naszej do skutku, udać się do Suez. Kiedy mianowicie chciałeś pan tam odjechać?

— Pojutrze lub jeden dzień później.

— takim razie mamy dość czasu. Czy wolno zapytać, gdzie pan mieszkaś?

— Właściwie wcale jeszcze nie mieszkam. Trochę rzeczy w hotelu, a niedawno oto wyszedłem, by znaleźć sobie mieszkanie prywatne.

— I nie znalazłeś pan go jeszcze?

— Nie znalazłem, i w ogóle nie widziałem żadnego, gdyż zaraz na początku moich poszukiwań byłeś pan łaskaw zatrzymać mnie tutaj.

— To bardzo dobrze! To doskonale! Bo mam dla pana mieszkanie; nie wiem tylko, jakie są pańskie wymagania.

— Małe, albo żadne. Potrzeba mi zwykłego pokoju z dywanem, albo załanego zwykłymi kocami. Tylko musi być czysty. Jeśli zaś będzie przy tym jakiś mały dziedziniec, gdzie można by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, to byłbym więcej niż zadowolony.

— Tak, to istotnie bardzo małe wymagania!

— Kto przywykł w podróżach spać pod gołym niebem, ten łatwo może w mieście ograniczyć swoje potrzeby.

— Ba! Ograniczać się tu nie trzeba; możesz pan mieszkać, jak basza. Lokal, który chcę panu polecić, jest bardzo ładny; możesz pan mieć trzy pokoje, które by zadowolily ministra.

— Dziękuję bardzo! Nie jestem ministrem i nie żyję też na tak wysokiej stopie. Właśnie dlatego, że poleczone przez pana mieszkanie jest tak wspaniałe, nie nadaje się dla mnie i nie odpowiada zawartości mojej sakiewki.

— O, nadaje się bardzo, bo nie zapłacisz pan ani piasra.

— Ba! Któż to wynajmuje trzy pokoje, nie żądając zapłaty?

— Kto? Ja, effendi, ja!

— Pan? Posiadasz pan dom w Kairze?

— Nie, własnego domu tu nie mam, ale musiałem sobie wynająć, gdyż ze względu na interesy i przygotowania do podróży, wypadło mi przynajmniej trzy tygodnie zabawić w Kairze. Mam z sobą zresztą harem mojej siostry, nie mogłem przeto zajechać ani do hotelu, ani do prywatnego domu, zamieszkałego przez innych jeszcze ludzi. Ogromnie trudno znaleźć tutaj odosobnione a wygodne mieszkanie, udało mi się jednak wynająć o dwie ulice stąd odpowiedni budynek. Właściciel tego domu był bardzo bogatym człowiekiem i zostawił w nim całe swoje wspaniałe urządzenie.

— I masz pan trzy zbędne pokoje?

— I więcej nawet, jeśli pan zechcesz. Dom jest wielki i obszerny, a ja sam go zamieszkuję. Szczególne to uczucie; mieszkać samemu w takim obszernym gmachu. Dlatego sprawiłbyś mi pan wielką przyjemność, gdybyś się sprowadził j do mnie i brał udział w moich ucztach samotnych.

— Hm! Ta propozycja nie wydaje mi się nie do przyjęcia. Czy mogę oglądnąć te pokoje?

— Bardzo chętnie! Jeśli sobie pan życzy, pójdziemy zaraz. Chłopcze, płacić!

Słowa te zawołał poza siebie. Murzynek wetknął głowę przez drzwi i cofnął ją. Obawiał się ponownego obicia i posłał gospodarza. Grubas zapłacił za piwo siedem piastrów, bynajmniej jednak nie okazał niezadowolenia, owszem, jeszcze dla chłopca piastra jednego, jako bakszysz, zostawił. Był widocznie amatorem jęczmiennego nektaru, bo kiedyśmy lokal opuszczali, zastrzegł się, że po zwiedzeniu mieszkania powrócimy tu znowu.

Po drodze dowiedziałem się, że cały swój wolny czas spędza zwykle w tej piwiarni, ponieważ napój jest doskonały, a ruch przed domem bardzo zajmujący. Ulica mianowicie była w tym miejscu bardzo szeroka, a skutkiem tego mógł się na niej rozwinać iście wschodni, gwarem przepelniony handel. Z piwiarni przedstawiał się widok bardzo zajmujący i ten ruch pstrego tłumu musiał nęcić Murada Nassyra.

Weszliśmy w uliczkę, w której mieszkał. Była ślepa, jak wiele ulic w Kairze. Domy, stojące przy niej, nie wyglądały zbyt zapraszająco, co jednak nie pozwalało sądzić o ich wnętrzu. Na Wschodzie trafiają się budynki, wyglądające z zewnątrz jak ruiny, a będące wewnątrz pałacami. Mieszkaniec Wschodu ukrywa, w przeciwieństwie do mieszkańca Zachodu, wszystko, co odnosi się do jego domowego życia.

Może to mieć swoje dobre strony, ale tamuje obywatelską solidarność i społeczny postęp.

Wiele domów nie miało okien, w innych zaś były rozmieszczone bezmyślnie i nieregularnie, a wszystkie opatrzone kratami. Długich rzędów szyb, przepuszczających światło zewnątrz, nigdzie na Wschodzie nie znajdziesz. Tamtejsi ludzie nadmiaru światła nie lubią.

Budynek zamykający ulicę, a więc stojący w poprzek, był tym właśnie, który Turek wynajął. Brama była wprawdzie wysoka, lecz bardzo wąska. Jeździec mógł się przez nią przecisnąć, lecz musiał nogi szczerze do boków konia przyłożyć, nie chcąc otrzeć się z prawej lub z lewej strony. Wrota były zamknięte, a obok nich wisiał na sznurze drewniany młotek, którym Nassyr zapukał.

Otworzono dopiero po długiej chwili i w drzwiach zjawiał się człowiek, na którego widok przeraziłem się niemal. Przerastał mnie prawie o głowę i był niesłychanie szczupły. Pierś jego miała najwyżej półtorej piędzi szerokości, a z każdej jego ręki, licząc na długość, mógłbym zrobić dwie swoje. Takie proporcje miało całe jego ciało i wszystkie członki, długie, nieskończenie długie, lecz zastraszająco cienkie. Nos jego miał przynajmniej cztery cale długości i był tak ostry, że można by go użyć jako snycerskiego narzędzia. Twarz miał wygoloną zupełnie, a na głowie turban tak szeroki, jakiego nie widziałem nawet u Kurdów, znanych z tego, że noszą najszersze turbany. Od szyi aż do dołu zwisał mu żupan białej barwy, podobny do koszuli, ale co to była za białość!

— To Selim, zarządca mego domu — rzekł Turek, odsuwając długiego na bok, a mnie popychając przed siebie.

Weszliśmy, a podobny do cienia Selim zasunął drzwi za nami. Znaleźliśmy się w wąskim korytarzu, nie w środku, lecz po lewej stronie parteru, gdyż brama była umieszczona w tym miejscu. Wszystkie izby leżały więc na prawo od nas. Najpierw zaprowadził nas Nassyr na dziedziniec, którego urządzenie było rzeczywiście kosztowne, choć bardzo zniszczone. Szliśmy po marmurowej posadzce. Na środku dziedzińca znajdował się basen z tego samego materiału, ale bez wody. Kwadratowy dziedziniec zamykały wysokie ściany budynki, podparte długim szeregiem filarów. Poza kolumnadą czerniły się drzwi, wiodące do komnat. Turek wykonał ręką ruch kolisty i rzekł:

— Z dawnej wspaniałości tego budynku dzisiaj pan widzi już tylko resztki. Tu była przepyszna fontanna, użyczająca ochłody, ale już od dawna nieczynna. Pomyśl pan, ile tutaj pokoi na dole i na górze! Kto ich ma używać?

Mówił po turecku. Dozorca, stojący obok, skłonił się i rzekł po arabsku:

— Słusznie, bardzo słusznie!

Lecz jaki to był ukłon! Nie widziałem i nie zobaczę już nic podobnego, bo i takiego Selima drugiego z pewnością na świecie nie spotkam. Gdy pochylił górną część ciała, uczynił to tak nagle i z taką siłą, że zdawało się, iż musi spaść z podstawy długich nóg. Zdawało mi się, jakoby jakiś dreszcz gwałtowny, wstrząsnął wszystkimi jego członkami; wyglądał jak osika, w której gałęzie zadmie nagle silny wicher. W czasie tego ukłonu poruszył się kaftan Selima w osobliwy i nieopisany sposób, mniej więcej tak, jak materia, której ruchem naśladuje się na scenach fale morskie. Zdawało się, że każde żebro, każda kość wypadła ze związku z całością ciała i wyprawia na własny koszt wszelkiego rodzaju skoki i kozły, a kaftan musi iść śladem tych dziwnych ruchów.

— Teraz pokażę panu także ogród — rzekł Turek. — Chodź pan!

Przeszliśmy przez dziedziniec. Za sobą usłyszałem znowu „Słusznie, bardzo słusznie!”, a kiedy się oglądnałem, zobaczyłem Selima, wykonującego nowy ukłon, tak głęboki, że korpus jego utworzył z nogami kąt ostry o sześćdziesięciu; stopniach.

W murze, po drugiej stronie dziedzińca, umieszczone były maleńkie drzwi, wiodące do ogrodu bardzo nawet wielkiego, jeżeli się uwzględni to, że znajdował się w środku miasta. Trzy dalsze boki otoczone były murem wysokości człowieka, poszczerbionym gdzieś od starości. Trawników

jednak ani kwiatów nie było, tylko jedna dzicz wszelakich chwastów i roślin jadowitych; był to ogród wschodni w całym tego słowa znaczeniu.

— Pokazuję to panu, ażebyś się zorientował — rzekł Nassyr — Teraz zobaczysz pan pokoje.

Wróciliśmy na dziedziniec. Stał tam Selim i oczekiwał nas na tym samym miejscu, a kiedy przechodziliśmy, wykonał tak karkołomny ukłon, że się przestraszyłem, czy sobie przypadkiem z bioder zbyt wysmukłej kibici nie wykręcił. Potem ruszył za nami krokiem pełnym godności i otworzył nam pierwsze drzwi parteru, przy czym znowu tak się uklonił, że nosem dotknął prawie ziemi.

Weszliśmy do przedpokoju, wyłożonego rogoża z liści palmowych. Ściany i powała były bielone. Stąd weszliśmy do drugiej większej komnaty, używanej prawdopodobnie do przyjęć. Dookoła leżały czerwone aksamitne poduszki, a dywan smyrneński pokrywał całą podłogę. Na ścianach znajdowały się sentencje z Koranu, malowane złotem na tle niebieskim. Następny pokój przeznaczony był na sypialnię. Ze środka powały zwisała barwna szklana lampka. W jednym kącie leżał drogocenny dywan modlitewny, a w drugim stała umywalnia, składająca się, jak później zauważyłem, z prawdziwych chińskich naczyń porcelanowych. Naprzeciwko stało łóżko, wyłożone kilkoma wysokimi i miękkimi poduszkami, na których leżały kołdry, okryte jedwabiem.

Dostaliśmy się do małego pokoju, którego urządzenie zdradzało, że był kancelarią pana domu. Na jednej ścianie wisiał zbiór fajek, we wnęce stały nargile i miedziane naczynia na tytoń, a w niszy znajdowała się szafa z książkami. Tu i ówdzie leżały książki także na półkach. Zauważyłem dwa Pisane Korany i trochę innych książek nabożnych. Właściciel Musiał być bardzo uczonym i wierzącym muzułmaninem.

— Następne drzwi wiodły do dalszych komnat, nie otworzyliśmy ich jednak, a Murad Nassyr powiedział:

Teraz następne pokoje, zamieszkane przeze mnie. Te, które widziałeś pan dotychczas, przeznaczone są dla pana Czy chcesz pan tu zamieszkać?

— Jestem gotów, lecz pod jednym warunkiem.

— Jaki to warunek?

— Wprowadzenie się moje tutaj nie zobowiązuje mnie do niczego.

— Zgoda, effendi! Wprowadzi się pan tutaj i będzie moim gościem; zresztą możesz pan postępować wedle swego upodobania. Spodziewam się jednak, że sprawi mi pan tę radość i weźmie udział w mej podróży do Chartumu. Zanim jednak postanowienie pańskie, aby tu zamieszkać, nabierze znaczenia, oznajmię panu coś, co uważam za konieczne. Selimie, przynieś nam fajki!

Marszałek domu stał w ostatnich drzwiach, które otworzy. Skłonił się znowu w opisany poprzednio sposób, przy czym zatrzęsły się wszystkie jego członki, a ręce zwisły aż do ziemi, i odrzekł:

— Słusznie, bardzo słusznie, ale to nie moja rzecz, lecz Murzyna. Ja go tu przyślę.

Ten szczególny kościotrup uważał się za nazbyt wysoko postawioną osobę, ażeby się miał zniżyć do tej usługi. Zniknął, a wkrótce potem ukazał się stary Murzyn, który zdjął ze ściany dwie fajki, napełnił je tytoniem, zaczerpnąwszy go z naczyń miedzianych, zapalił i podał nam na klęczkach. Następnie oddalił się, by za drzwiami czekać na dalsze rozkazy. Tymczasem usiedliśmy obok siebie na poduszce, aby zacząć rozmowę. Obyczaj Wschodu nie pozwalał mi zapytać się Turka o siostrę, chociaż, jako wezwany przez niego do wspólnej podróży, musiałem się nią żywo zająć. Kobieta, jadąca ze Smyrny do Chartumu, by tam wyjść za mąż, to wypadek tak rzadki, że musi mieć swe odrębne powody. Dowiedziałem się tylko mimochodem, że ma cztery służące; dwie białe i dwie czarne.

Byłem bardzo ciekaw, co mi Nassyr zamierza powiedzieć. Wywnioskowałem z jego słów, że musiało się to odnosić do mieszkania i wyglądało na coś takiego, co chciał mi oznajmić w dobrej wierze. Czyżby chodziło o coś, co miało mnie skłonić do wyrzeczenia się tego mieszkania, pomimo że ani za nie, ani całe utrzymanie w ogóle nie miałem nic zapłacić? Niedługo miałem błąkać się w wątpliwościach, chociaż Turek wschodnim zwyczajem nie powiedział wprost, o co mu chodzi, lecz poprzedził to wstępem.

— Jesteś pan chrześcijaninem — zaczął — a ja znam za mało pańską religię, żebym mógł wiedzieć, czego ona uczy. Czy wierzysz pan w wieczną szczęśliwość, w potępienie i w to, że dusza żyje dalej po śmierci?

— Naturalnie.

— Czy wiesz pan, dokąd dusza odchodzi i jak wygląda to miejsce, do którego dostaje się zaraz po śmierci?

— Nie. Tylko Bóg może to wiedzieć.

— Czy dusza zmarłego może ukazywać się na ziemi jako widmo? Odpowiedz pan tak, jak panu każe sumienie!

— Jako duch tak, ale jako widzialne widmo nie, na pewno nie.

— W takim razie pan się myli. Widma mogą się ukazywać.

— Jeżeli pan w to wierzy, nie będę się z panem spierał, choć nie podzielam tego zdania.

— A jednak wcześniej czy później pan mi słuszość przyzna. Zaraz od jutra zaczniesz pan wierzyć w strachy, gdyż w tym domu mamy takiego chajala.

— Ponieważ w ogóle nie ma strachów ani upiorów, w które gmin wierzy, przeto i tutaj ich nie zobaczę.

— Zapewniam pana jednak, że mówię prawdę.

— W takim razie ulega pan widocznie złudzeniu. Wzięłeś Pan za widmo cień, lub coś innego

całkiem naturalnego.

— O nie. Cień jest ciemny, a widmo jasne.

— Jakie ma kształty?

— Przybiera najrozmaitsze, to człowieka, to psa, to wielbłąda, to osła...

— Wtedy — wtrąciłem — wybiera postać właściwą. Nie chciałbym uchodzić za osła.

— Nie żartuj, effendi! Mówię całkiem poważnie. Istotnie trudno mi z panem o tym mówić, bo obawiam się, abyś tego mieszkania nie opuścił.

— O to nie lękaj się pan bynajmniej. Przeciwnie, właśnie to zachęca mnie, ażebym się do pańskiego mieszkania sprowadził. Słyszałem tyle razy o strachach, a nie widziałem dotychczas ani jednego. Ponieważ teraz nadarza mi się sposobność, skorzystam z niej z radością. Zostaję zatem w tym domu.

— Effendi, bluźnisz przeciw duchom!

— Ani myślę! Jestem tylko żądny wiedzy i spodziewam się, że otrzymam od upiora wiadomości o świecie duchów, choć niestety nie wierzę, żeby on do nich należał.

— Należy do nich, gdyż ukazuje się i znika, kiedy mu się podoba.

— Czy wyprawia jakie psoty, czy też zachowuje się, jak osoba w wieku statecznym?

— Pan ciągle szydzisz, ale dowiesz się pan czegoś innego. Widmo to przechodzi przez wszystkie drzwi.

— Gdy są zamknięte?

— Nie.

— No, to i ja potrafię, nie będąc widmem.

— Dzwoni ono jakby łańcuchami, szumi i wyje jak wicher, szczeka jak pies, jak szakal i ryczy jak wielbłąd i osioł.

— Takie głosy i ja potrafię naśladować.

— A nagłe znikanie?

— Z pewnością i to potrafię, jeżeli wprzód zobaczę, jak to sam strach urządza. A zatem pan sam to wszystko widziałeś i słyszałeś?

— Tak.

— Kto jeszcze?

— Wszyscy, wszyscy! Moja siostra, jej służące, stróż i Murzyn. Wszedł do izby i stał nad ich łóżkiem i nad moim.

— I nad łóżkiem pańskiej siostry?

— Nie, bo ona kazała służebnicom zabarykadować drzwi do haremu.

A więc mamy do czynienia z duchem, który nie umie przejść przez drzwi zastawione, tylko przez otwarte. I ja to także potrafię.

— O proszę! Nasze drzwi nie są wprawdzie zamknięte, lecz zaryglowane. W tym domu nie ma zamków, tylko zasuw.

— Hm! Czy upiór ma stałą godzinę, o której się ukazuje?

— Zapewne! Wiesz pan może, iż godzina duchów zaczyna się o północy.

— Czy przychodzi codziennie?

— Tak i bawi tutaj przez całą godzinę.

— Nie mam mu tego za złe, gdyż jeśli ma do rozporządzenia tylko godzinę, to jako prawdziwy strach chce ją wyzyskać. Czy z nim kto mówił i czy widmo odpowiadało?

— Nie.

— A więc to upiór nie rozmowny, lecz istota cicha. Bardzo ją za to poważam, gdyż nie lubię gadatliwości. Czy dawno przywykł do tego domu?

— Już dawno. Ukazywał się także wszystkim poprzednim jego mieszkańcom.

— I właścicielowi?

— Nie, gdyż widmo jest właśnie duchem ostatniego właściciela.

— Aha! Czy udowodniło to jaką legitymacją, mającą znaczenie?

— Proszę cię, effendi, porzuć pan żarty! Jest tak, jak mówię. Od śmierci właściciela, który był majorem w armii wicekróla, nie było mieszkańca tego domu, który by tu zabawił dłużej nad tydzień. Upiór wszystkich wypędził.

— A jak długo pan tutaj mieszkasz?

— Tydzień, i przyznaję się panu otwarcie, że byłbym się za kilka dni wyprowadził, gdybym był pana nie znalazł, gdyż spodziewam się, że pan ducha wypędzi!

— To bardzo szczere wyznanie i jestem panu za nie Wdzięczny. Wdzięczność tę okażę w ten sposób, że odpowiem wszelkim pańskim oczekiwaniom. Mam nadzieję tak Przekonywająco z duchem porozmawiać, że już nigdy nie Wróci.

— Allach, wallah, Tallah! — zawołał przerażony. — Nie bierz się pan do tego. On wróci, choć nie będzie z panem rozmawiał.

— Tak pan sądzi?

— Tak. Sama obecność pana sprawi, że on już nie wróci.

— Sądzisz pan, że boi się mnie tak bardzo?

— To nie, ale... effendi, nie weź mi za złe tego, że powiem otwarcie!

— Nie. Mów pan śmiało.

— Z tamtych ksiązek poznałeś pan, że major był pod koniec życia bardzo pobożnym człowiekiem. Z tego można wnosić na pewno, że i duch jego pobożny. Upiór wierzący zaś i bojący się Allacha i proroka, z pewnością będzie unikał domu, w którym mieszka niewierny, chrześcijanin.

— Aha! — roześmiałem się. — To z pana chytry człowiek. Dlatego to dałeś mi pan bezpłatne mieszkanie?

— Nie tylko dlatego, raczej z tego powodu, że słyszałem wiele o panu i życzę sobie, żebyś mi pan towarzyszył. Zechciej pan wejść w moje położenie! Ten dom jest jedynym odpowiednim mieszkaniem dla mnie i mojej siostry i jeśli będę musiał opuścić go z powodu widma, to nie znajdę drugiego, odpowiadającego w tym stopniu naszym potrzebom. Dlatego jesteś mi pan gościem tak miłym, gdyż wiem, że zmarły major nie wejdzie do domu, dopóki się pan w nim znajduje. Siostra jest w śmiertelnym strachu i chce się wynosić, a służba powiedziała mi, że mnie opuści, jeśli tutaj zostanę. Oni wszyscy uspokoją się, kiedy się dowiedzą, że pan jest naszym domownikiem.

— Więc donieś im pan o tym czym prędzej! Cieszy mnie to serdecznie, że mahometańskie upiory tak się boją chrześcijan, a jeśli zmarły major jest mądrym strachem, to dziś zaraz zaniecha swoich odwiedzin. Ile płacisz pan za ten dom osławiony?

— Pięćdziesiąt piastrów tygodniowo. Pomyśl pan sobie, jak tanio!

— Czy z powodu widma?

— Tak. Cały Kair wie o tym, że tu straszy, i każdy dom omija. Tylko obcym można go jeszcze wynajmować, a ci mieszkają tylko przez kilka dni, co najwyżej przez miesiąc

— A kto jest właścicielem obecnie?

— Wdowa po zmarłym, lecz i ona nie mogła wytrzymać i sprowadziła się do swego brata, handlarza dywanami w Muski.

— Hm! Uważam to za bardzo niestosowne ze strony ducha, że obchodzi się tak z żoną. Skoro jej dom zostawił w spadku, to trudno mu wybaczyć obecne wypędzanie jej z dziedzictwa.

— On go jej nie zapisał, lecz Kadirinie, nabożnemu stowarzyszeniu Seyd Abd el Kader el Dielani. Wdowa ma prawo mieszkać tu aż do śmierci, po czym dom przechodzi na własność stowarzyszenia.

— Ach, tak! To nabożna Kadirina nie może używać domu aż do śmierci wdowy i zmarły major chodzi tu jako upiór? Idź pan do siostry i powiedz pan jej, że duch naprzykrzy się jej co najwyżej raz jeszcze.

— Nabrałeś pan więc mojego przekonania? Przyznajesz mi pan słuszość? Tak, ja zaraz pójdę do niej, aby jej zanieść tę wesołą nowinę. Nie tylko to ją jednak zachwyci. Opowiadałem jej raz o panu i gdy jej powiem, że spotkałem się z panem, że pan jest tutaj i może uda się z nami do Chartumu, znikną natychmiast jej obawy przed niebezpieczeństwami podróży. W każdym razie muszę jej donieść o pańskiej obecności, gdyż będziesz pan z nami jadał.

Powstał i odszedł. I tak w pierwszych zaraz godzinach Pobytu mego w Kairze trafiła mi się doskonała przygoda. Nadzieja bezpłatnej podróży do Chartumu i nadzieja pochwylenia za czuprynę ducha egipskiego majora! I czegoż mogę żądać więcej?

Co do upiora, to po zbadaniu bliższych okoliczności, Przypomniałem sobie podobny wypadek. Pewien bogaty chłop umarł i postanowił w testamencie, że stara krewna będzie mogła aż do śmierci mieszkać w oficynie. Wkrótce po pogrzebie zaczął nieboszczyk straszyć, a szczególnie w oficynie. Staruszka nie wierzyła jednak w strachy, była rozsądniejszą od wdowy po majorze w Kairze, sprowadziła potajemnie kilku silnych ludzi i kazała im czekać na ducha. Pochwycono go, a kiedy zdarto zeń prześcieradło, okazało się, że to spadkobierca, syn zmarłego, który nie był rad temu, że staruszka miesza w oficynie.

Czyżby podobny wypadek nie mógł się zdarzyć w Egipcie?! Byłem sam i przystąpiłem do drzwi, żeby wszystko zbadać. Wszystko można było sobie łatwo wytłumaczyć prócz tego, że duch mógł przechodzić przez drzwi zaryglowane. Moja izba miała troje drzwi; jednymi weszliśmy tutaj, drugie prowadziły do komnat Turka, a trzecie na krużganek, otaczający dziedziniec. Pierwszych nie chciałem otwierać, gdyż Murzyn czekał; za nimi; rygiel był po mojej stronie w pokoju. Przy drugich drzwiach nie zauważyłem rygla, widocznie musiał być przytwierdzony po drugiej stronie, zauważyłem natomiast w drzwiach trzy obok siebie wywiercone dziury. Trzecie drzwi, wiodące na krużganek, miały rygiel od strony izby. Kiedy je otworzyłem i zbadałem od zewnątrz, znalazłem znowu takie trzy dziury i to właśnie w tym miejscu, gdzie po drugiej stronie znajdował się rygiel. Zasuwy nie były z żelaza, lecz z drzewa. Należy jeszcze zauważyć, że wszystkie izby, położone dookoła dziedzińca, połączone były drzwiami, oprócz tego każda miała jedne drzwi, wiodące na krużganek. Prawdopodobnie strach cienkim, spiczastym gwoździem przy pomocy wspomnianych dziur, każde drzwi otwierał. Wystarczyło wsunąć gwóźdź w jeden z otworów, wbić w miękkie drzewo rygla i odsunąć na bok. Nie zwierzyłem się Nassyrowi z tego odkrycia, wolałem zachować je dla siebie.

W kilka chwil później powrócił on i oznajmił mi, że siostra wita mnie z radością, że bardzo mnie pragnie zobaczyć, ponieważ jednak nie wypada, aby mnie odwiedziła, a mężczyźni także nie wolno wejść do haremu, musi czekać cierpliwie, dopóki nie nadarzy się do tego sposobność w podróży. Zapewne muszę być głodny, mówiła, gdyż dopiero przybyłem i zabawiłem krótko w hotelu, więc ona temu zaradzi.

Grubasowi nie przyszło na myśl, że mogę być głodny. Pod tym względem kobiety na całym świecie są rozważniejsze od mężczyzn. Nassyr miał jeszcze coś na sercu, więc wezwałem go, żeby mi to powiedział.

— O, — rzekł — nie chciałbym się panu naprzykrzać; to dotyczy tylko Murzynki.

— Co to takiego?

— Ma ona wściekły ból zębów, a pan jesteś lekarzem, jak przypuszczam.

Niemców, podróżujących po Wschodzie, uważają tam powszechnie za lekarzy, albo za ogrodników.

— Czy mógłbym ją zobaczyć?

— Czarną służącą? Pewnie!

— No to poślij pan po nią!

Klasnął w ręce, po czym wszedł Murzyn i otrzymał rozkaz przyprowadzenia czarnej. Była jeszcze bardzo młoda i nie miała spłaszczonego nosa, ani obrzękłych warg, jak dorośli Murzyni. Prawy policzek był silnie spuchnięty. Otworzywszy usta, wskazała po kolei cztery zęby i każdy z nich uważała za bolący. Rozpoznałem natychmiast, że to ból neuralgiczny, bo zęby były zupełnie zdrowe. Obiecałem pomóc jej natychmiast, przybrałem tajemniczą minę, przesunąłem kilkakrotnie palcami po policzkach, ruszając przy tym wargami, jak gdybym coś wymawiał, i odesłałem ją z poleceniem niewychodzenia dziś z izby.

Nie była to szarlataneria. Ból zęba był tylko symptomatyczny i nie miał nic wspólnego z chorobą, a ja znałem wpływ prostej wiary i ufności. Dotknięcie białego lekarza było dla Murzynki skuteczniejsze niż wszelkie mikstury na ból zębów. Ufność Murzynki uwolniła ją od cierpień, a w konsekwencji ocaliła mi potem życie. Wkrótce potem wszedł stary Murzyn i przyniósł na tacy zimną kurę, obłożoną dookoła wielkimi plastrami pieczeni wołowej. Zamiast chleba podano cienkie kromki placka. Widelców nie było, więc wyjąłem nóż a Turek uczynił to samo. Zjadłem kawałek pieczeni, reszta zniknęła za błyszczącymi zębami Nassyra. Następnie wziąłem sobie nogę z kury, lecz usta moje zapomniały o pracy na widok wirtuozostwa, z jakim mój gospodarz ogołocił szkielet kury z mięsa i wsunął je sobie między szczęki. Zdawało mi się, że on wcale nie żuje. Połykał i połykał, dopóki nic nie zostało. W chwili, kiedy odsunął tacę od siebie, byłem gotów z nogą kurzą i złożyłem kość jej razem z resztą szkieletu.

— Tak, to byłoby skończone — rzekł z zadowoleniem i dodał pocieszająco: — Dziś będzie

jeszcze więcej, ale teraz chodźmy do piwiarni. Tam zabawimy się lepiej, aniżeli w tym samotnym domu.

Wolałbym być zostać, by rzucić okiem do książek zmarłego, kiedy jednak wziąłem jedną z nich do ręki, rzekł Nassyr:

— Zostaw że pan to! Na co mogą przydać się panu te książki, jako chrześcijaninowi? Nie pomogły nawet majorowi do przejścia przez most śmierci. Miał on podczas wyprawy do Sennar dopuścić się wielkich okrucieństw, które mu potem ciążyły na sumieniu. Dlatego stał się w ostatnich latach życia bardzo pobożny i zapisał majątek bractwu. Zostaw pan tu te niepotrzebne książki i chodź pan ze mną napić się piwa; to lepsze od wszelkiej mądrości uczonych.

Musiałem ukorzyć się przed tą filozofią i dzięki pilznerowi zrobiłem to bez niechęci. Na podwórzu stał Selim i pobiegł, ażeby drzwi nam otworzyć.

— Ten effendi jest moim gościem — oznajmił mu jego pan. — On zamieszka u nas i wypędzi ducha.

Selim otworzył usta, zesunął na kark olbrzymi turban, wpatrzył się we mnie bezmyślnie, po czym przypomniał sobie swoją powinność, otworzył drzwi, pochylił korpus ku ziemi i odrzekł:

— Słusznie, bardzo słusznie, ale jak on tego dokona? Zachował przybraną pozycję i czekał na odpowiedź.

— Mądrzej zabierze się do tego od ciebie — odpowiedział Nassyr.

Na te słowa wyprostował się chudeusz, jakby pchnięty sprężyną i rzekł tonem obrażonej godności:

— Czy nie nosiłem wieczorem i przez całą noc mojej broni przy sobie?

— To prawda.

— Czy nie odmawiałem ustawicznie świętej fathy i sury wojennej?

— Wierzę, że odmawiałeś.

— Więc uczyniłem wszystko, co tylko może uczynić wobec ducha wierny i pobożny muzułmanin, nic mi nie można zarzucić. Jestem mądry i waleczny. Zaliczają mnie do bohaterów mojego plemienia i przelałem już tyle krwi, ile wody jest w Nilu. Jestem gotów walczyć ze wszystkimi wrogami na całym świecie, ale czy mogę walczyć z duchem, przez którego kule przechodzą bez szkody dla niego, którego nie może dosięgnąć ani mój nóż, ani pałasz, gdy tymczasem on, jeśli tylko zechciał, może mi twarz na kark przekreślić.

— Prawdę mówisz. Widma nie można kłuć ani zastrzelić. Jestem z ciebie zupełnie zadowolony!

— Słusznie, bardzo słusznie! — zawołał bohater swego plemienia, zgiąwszy się w pół i zamknąwszy drzwi za nami.

— To szczególnie człowiek ten Selim — rzekłem po drodze. — Czy on już długo u pana?

— Wynająłem go dopiero tutaj.

— Czym był przedtem?

— Był przez dłuższy czas przewodnikiem do piramid, przy czym wdał się w spór z pewnym Anglikiem, co go tak rozzłościło, że postanowił w inny sposób zarabiać na życie. Spełnia on u mnie swój urząd z wielką gorliwością i nie mogę się skarżyć na niego.

— Czy ma towarzyszyć panu do Chartumu?

— Tak, wynająłem go na czas tej podróży, gdyż twierdzi, że zna drogę dokładnie.

— W takim razie gratuluję panu! Jeśli jest rzeczywiście takim bohaterem, jak mówi, to obroni pana przed wszelkimi atakami i niebezpieczeństwami, a mnie brać nie potrzeba.

— Tak — potwierdził Turek. — Męstwo i niezwyciężoność ma on zawsze na ustach. Poznasz go pan jeszcze bliżej. Język jego pełen jest uszanowania, a ukłonów, które przez dzień wykonuje, nie można zliczyć. Ostrzegam jednak, że w odwagę jego wątpić nie wolno, bo wobec wątpiących zachowuje się czasem ordynarnie i gotów nawet nie poprzestać na pogrózkach.

— Hm, hm, ludzie lubiący w ten sposób mówić o swoim męstwie są zazwyczaj tchórzami. Już nieraz przekonałem się o tym.

— Być może! Selim jednak na pewno tchórzem nie jest. Opowiedział mi o kilku swoich przygodach, z których wynika, że jest nie tylko nieustraszonym wojownikiem, lecz ma wprawę we władaniu bronią. Anglika, o którym właśnie wspomniałem, tak wypoliczkował, że leżał jak nieżywy.

— Czy pan był świadkiem tego zajścia?

— Nie! Wiem o tym tylko z jego opowiadania.

— Przypuszczam więc coś zupełnie przeciwnego. To Anglik musiał go tak wypoliczkować, że Selimowi zbrzydło zajęcie przewodnika. Gdyby tak było, jak on mówi, wystarczyłoby jedno słowo konsula, by ciężką karę otrzymał.

Doszliśmy do piwiarni i usiedliśmy znowu przy stole. Żeby znowu nie znaleźć się na ziemi, Murad Nassyr, nim usiadł, zbadał wytrzymałość stołka, po czym dopiero kazał sobie podać dwie szklanki piwa. Chłopak przyniósł je razem z dwiema fajkami. Mrugnął przy tym na grubasa bez obawy, a tak poufale, że mnie to ubawiło. Ten Murzynek był bardzo otwartą głową. Włosy miał gładko ostrzyżone i pomimo młodości był już tatuowany. Miał on między brwiami głębokie wcięcie, od którego jak od punktu środkowego rozchodziły się koliste linie kropek do szczytu głowy i na obie strony czoła. Ten rodzaj tatuowania jest w modzie u wszystkich plemion Murzynów Dinka i to zarówno u kobiet, jak u mężczyzn. Jak się wkrótce dowiedziałem, był ten Murzynek w ustawicznej wojnie z grubasem. Ostatni jego atak wymierzony na wasy nieprzyjaciela przysporzył mu dwa uderzenia w twarz i jednego piasra bakszyszu.

Przed domem rozwijał się osobliwy ruch na szerokiej ulicy. Z naszego miejsca mogliśmy przypatrywać mu się wygodnie, zwłaszcza że mieliśmy widok dość daleki na jedną i na drugą stronę gościńca.

Na rogu bocznej uliczki, którą przyszedłem, stało kilku hammarów, czyli chłopców, przewożących ludzi i towary na osłach, a którzy w Kairze pełnią zawód naszych uliczników. Osioł jest na południu całkiem innym zwierzęciem niż na północy, gdzie uważają go za smutny symbol głupoty. Osioł egipski to nie znużony, zawsze żwawy sługa swego pana, który wynagradza go za usługi odrobiną paszy i mnóstwem batów i kopnięć. Nawet z najcięższym jeźdźcem na grzbiecie kłusuje osioł godzinami nie nużąc się wcale, a często mimo tego ciężaru wyprawia najzabawniejsze podskoki. Za nim pędzi spotniały i sapiący hammar, który bije swe zwierzę, szturcha, kopie i obrzuca kamieniami, by jego bieg przyspieszyć. Ci hammarzy to prawdziwi znawcy ludzi. Poznają oni na pierwszy rzut oka, czy mają przed sobą Anglika, Francuza, Włocha czy też Niemca. Z języków tych narodowości rozumieją po kilka słów i frazesów i mają nawet pewne wiadomości z geografii i historii tych krajów, jak tego dowodzi sposób polecania kłapouchów. „Tu jest piękny Bismarck!” krzyczy jeden, widząc obcego, którego uważa za Niemca. Mówiąc Bismarck, ma oczywiście osła na myśli. „Here is a fine generał Grant!” woła drugi do Jankesa a Anglik słyszy okrzyk zwrócony do siebie: „Here is a good beefsteak, a celebrated Pahnerston!” Republikański Francuz musi znowu wysłuchać: „Monsieur, voila le plus grand Napoleon, j'ai l'animal, le plus préféable de la France!”

Właśnie usiedli przed nami na środku ulicy dwaj arabscy kuglarze, ażeby zaprodukować swoje sztuki. O kilka kroków od nich zgromadził muhaddit* dookoła siebie grono ciekawych, ażeby za dwie lub trzy najdrobniejsze monety opowiedzieć kilka bajek, tysiąc już razy słyszanych. W pobliżu tańczył młody Murzynek na szudłach i grał przy tym na instrumencie podobnym do fletu. Między tłumem przeciska się orszak głęboko osłoniętych kobiet, jadących na osłach. Potem przechodzą przez gościniec wysokie, ciężko objuczone wielbłądy, jeden przywiązany słomianym sznurem do ogona drugiego. Za tą karawaną idą sapiący hammarzy, tragarze z ciężkimi pakami i skrzyniami na głowach i, aby nie wypaść z taktu, śpiewają przytłumionym głosem kilka powtarzających się słów. Wtem nadchodzi czyściciel fajek z kilkoma owiniętymi przędzą drutami, które trzyma w żółtych, cuchnących tytoniem rękach. Potem zjawia się zakkah-hemali, który nosi ze sobą wielkie gliniane naczynie z jakimś napojem, którym za małe wynagrodzenie orzeźwia spragnionych. To, co się dzieje na drugiej stronie ulicy, może przekonać każdego, że nawet najbardziej poufne sprawy załatwiać można z wielkim hałasem. Fronty domów są otwarte tak, że można zaglądnąć do każdego sklepu i do każdego mieszkania. Tam siedzi czcigodny obywatel, trzymający między kolanami szarpiącego się chłopaka, i oczyszcza las na jego głowie z owej zwierzyny, od której sływał Egipt już za czasów faraonów. Jakiś tuż obok mieszkający starzec wyrzuca coś przez okno; to kot, który prawdopodobnie z głodu zamknął oczy na zawsze. Trup jego zgnije na ulicy, a nikt nawet uwagi nie zwróci na woń trującą, która ten zakątek ulicy będzie przez jakiś czas napełniała. Wszak sam basza przejeżdża w tej chwili na koniu, tuż obok leżących na bruku zwłok i nie znajduje w tym nic sprzeciwiającego się porządkowi publicznemu. Orszak jego nie zwraca na to najmniejszej uwagi a idący na przedzie piechur nie uważa za odpowiednie usunąć go na bok, choćby jednym ruchem nogi. W tym miejscu właśnie, gdzie wspomniany starzec „wyludnia” głowę wnuka, siedzi drugi białobrody starzec oparty plecami o kolumnę. Cicho, jakby w zachwycie, przepuszcza przez wychudłe i drżące palce perły swego różańca i rusza przy tym wargami, odmawiając modlitwy. Ani widzi, ani słyszy, co się dzieje dookoła niego; oderwał się od ziemi i błądzi duchem po dziedzinach raju, obiecanego wiernym przez Mahometa.

Wtem rozbrzmiewa głośny okrzyk: „Niech poranek nasz będzie biały!” To mleczarz zwraca uwagę na swój towar. Sokiem płynący pocieszyciel spragnionych!” woła drugi sprzedający melony. „Wyrosła z potu proroka, o woni nad woniami!” brzmi głos handlarza róż, a sprzedający sorbety i wino rodzynkowe ogłasza: „Długość życia, ucieczka śmierci; to czyści krew!”. Naprzeciwko piwiarni stoi mała ośmioletnia może Murzynka, ze zwisającym na szyi koszykiem i woła trwożliwym głosem: „Figi, figi, od moich oczu słodsze!”

Kto postawił tu to biedne dziecko i kto mu przypisał te słowa? W każdym razie jakiś wyrachowany handlarz, gdyż oczy małej z głęboko rozmarzonym spojrzeniem były istotnie słodkie. Było to piękne dziecko, choć czarnej barwy. Jej trwoźnie błagalny głos i wyciągnięte rączka powinny były właściwie każdego przechodnia skłonić do zamiany u niej kilku par na figi. Nie mogłem prawie oczu odwrócić od tej małej. Jej subtelny głos brzmiał lęklawie, a słowa „figi, figi” wydawały mi się wołaniem o pomoc. Postanowiłem dać jej na odchodnym dobry bakszysz. Zauważyłem, że nie tylko mnie pociągało to dziecko. Murzynek—kelner przeszedł w ciągu godziny trzy razy, ażeby sobie kupić figę. Czy to był tylko łakotniś, czy też czynił to z dziecięcej sympatii? Kiedy zbliżał się do niej, zaczynały jaśnieć jej oczy a twarz jej przybierała wyraz wybuchającej miłości. Działo się też to zawsze, ilekroć spojrzała na drugą stronę i oko jej spotkało się z jego okiem.

Teraz nie miał żadnego zajęcia, siedział na pół odwrócony od nas w kącie i... płakał, naprawdę płakał. Widziałem, jak osuszał sobie co chwila łzy grzbietem ręki. Czy ten swawolny chłopak umiał być smutny? Jeśli tak, to nie było to zwykłe dziecięce strapienie, które tu w tym otoczeniu wyciskało mu łzy z oczu.

Wzrok małej odnalazł go w kącie; ujrawszy go płaczącego, Przytknęła natychmiast obie ręce do oczu. Między obojgiem tych dzieci musiał zachodzić jakiś serdeczny stosunek. Nie umiem powiedzieć, jak się to stało i dlaczego tak uczyniłem, dość, że wstałem i podszedłem do chłopca. Widząc mnie przed sobą, wstał i chciał się oddalić, szlochając z cicha. Zatrzymałem go za rękę i zapytałem w tonie budzącym zaufanie.

— Dlaczego płaczesz? Czy możesz mi powiedzieć? Spojrzał na mnie, otarł sobie z łez oczy i odpowiedział:

— Płaczę, bo nikt nie kupuje u Diangeh.

— Czy masz na myśli tę małą dziewczynkę z figami po drugiej stronie ulicy?

— Tak.

— Przecież ty u niej kupujesz; widziałem to już kilka razy.

Sądził widocznie, że pomawiam go o łakomstwo, gdyż odrzekł żywo i jakby z oburzeniem:

— Ja fig nie zjadłem; oddam je Diangeh, gdy nasz pan odejdzie. Kupowałem tylko, żeby miała pieniądze, gdyż jeśli wieczór nie przyniesie pięciu piastrów, biją ją, nie dają nic jeść, a potem przywiązują zgiętą do słupa. Dzisiaj otrzymałem już cztery jako bakszysz, właściciel piwiarni daje mi dziennie trzy, więc potrzeba mi na dziś jeszcze tylko jednego. Ktoś mi go jeszcze daruje, więc

dałem Diangeh dwadzieścia par za figi.

— Komuż ty masz dać tych osiem piastrów?

— Naszemu panu.

— Czy on jest także panem Diangeh?

— Tak; przecież to moja siostra.

— A kto jest waszym panem?

— Bardzo zły człowiek a nazywa się Abd el Barak.

— Czy wynajął was od ojca?

— Nie. Nasz ojciec i matka mieszkają daleko. Kupił nas od człowieka, który napadł na wieś, spalił nasze chaty, a nas z wielu innymi zabrał do niewoli, żeby nas potem sprzedać.

— Więc jesteście niewolnikami, biedacy! Jak się nazywa kraj, w którym mieszkaliście?

— Nie wiem, bo on nie ma nazwy. Rzeka nazywa się Bahr el Abiad.

— Nie umiałbyś mi powiedzieć, jak nazywa się twój naród?

— Tak, nasi ludzie nazywają siebie Dongiol.

— Nie płacz już dzisiaj; nic wam się nie stanie. Masz tutaj dziesięć piastrów i podziel się nimi z Diangeh. Dostanie jedzenie i nie będzie przywiązana do słupa.

Kiedy włożyłem mu w rękę pieniądze, trysnęły mu z oczu łzy radości. Chciał mówić, podziękować, usta mu drgały, lecz nie wydobył ani słowa ze siebie. Zrobił krok ku drugiej stronie ulicy — widocznie chciał przejść do siostry, żeby dać jej pieniądze, lecz namyślił się i mruknął:

— Nie, teraz nie, dopiero kiedy przejdzie nasz pan.

— Czemu?

— Bo wiedziałby, że nie sprzedała tyle i dostała pieniądze, jako bakszysz. Dary musimy mu oddawać i on ich wcale nie liczy.

— Więc przychodzi tu często, by zobaczyć jakie interesy robi Diangeh?

— Tak, przychodzi raz przed południem, a raz po południu po pieniądze. Ja je przed nim ukrywam i daję mu tylko osiem piastrów, a czasem dam także coś i Diangeh, gdy ma za mało. Resztę zakopuję. Kiedy będę miał już dość, wykupię siebie i Diangeh z niewoli, a potem pójdę z nią nad Bahr el Abiad do Dongiolów.

Była to bardzo poufna wiadomość; uważał mnie za człowieka, któremu można powierzyć tajemnicę i nie obawiać się zdrady z jego strony.

— Ileż już zaoszczędziłeś? — spytałem.

— Już prawie czterdzieści piastrów.

— A jak długo jesteś już u Abd el Baraka?

— O! wiele, wiele tygodni, a dni jeszcze więcej.

— Czy jest już rok?

— Tego nie wiem.

Chłopak nie umiał oznaczyć czasu, dlatego zapytałem go znowu:

— Ile razy widziałeś już wyruszenie pielgrzymów do Mekki?

— Dwa razy.

— Więc już dwa lata jesteś u niego; zapamiętaj to sobie. Nie po raz ostatni mnie widzisz. Ja tu jeszcze często będę pił piwo a może dam ci dobrą radę, albo poproszę twego pana, ażeby was puścił na wolność.

Wróciłem na miejsce odprowadzony wzrokiem pełnym wdzięczności. Czy miałem mu powiedzieć prawdę, że właściwie jest już wolny, gdyż wicekról zniósł niewolnictwo? Nie, gdyż nie umiałby tego wyzyskać. A więc byli rodzeństwem! Wzruszyłem się. Co za miłość i przywiązanie! Wspierał ją, żeby nie musiał widzieć jej cierpień! Nie zapomniał o swoim kraju, narodzie i rodzicach; chciał do nich wrócić i oszczędzał pieniądze w tym celu. Dziwne, na jakim stopniu stawiają tych czarnych ci co o nich piszą! Czy biały chłopiec w wieku te Murzynka mógłby lepiej czuć, myśleć i postępować? Pewnie że nie! Kto uważa Murzyna za niezdolnego do rozwoju, kto mu odmawia lepszych odruchów serca, ten popełnia grzech wielki, nie tylko względem czarnej rasy, lecz względem całej ludzkości.

A ten Abd el Barak, czyli „sługa błogosławieństwa”! Jak ta nazwa nie harmonizowała z jego czynami! Chciałem właśnie zapytać się bliżej o niego, nie uszłooby to jednak ogólnej uwagi. Bądź co bądź postanowiłem silnie zająć się w jakikolwiek sposób tymi dziećmi. Ja, obcy, mający pieniądze wystarczające zaledwie na powrót do kraju? W jaki sposób? A jednak, zdaje mi się, że przecież zdołam dla nich coś zrobić. Abd el Barak nie miał prawa uważać tych dzieci za swoją własność i kazać im pracować na swoją korzyść. Musi je wydać, choćbym miał pójść do gubernatora!

Nie było żadnej wątpliwości co do tego, do jakiego plemienia dzieci należały. Byli to Dongiole, a szczerp ten należy Murzynów Dinka, nazywających się także Diangeh. Nazwa ta stała się w Kairze imieniem dziewczęcia. Dinkowie są najpiękniejszymi ludźmi nad górnym Nilem, są smukli i wysocy, a twarz ich okazuje więcej łagodności i inteligencji, aniżeli u innych Murzynów. Nic dziwnego, że chłopiec nie był tępym i nie brak mu było współczucia. Gdyby był mógł siedzieć w europejskiej szkole ludowej, nie pozostałby pewnie w tyle za innymi uczniami.

W takim cichym rozmyślaniu pogrążyłem się na jakiś czas, aż wreszcie Turkowi znudziło się moje milczenie. Zapytał się oowód zadumy, więc opowiedziałem mu, co słyszałem od małego wroga jego wąsów. Patrzył długo przed siebie, nie wypowiadając swojego zdania, aż go sam zapytałem:

— No i cóż pan na to?

— Nie radzę panu mieszać się w tę sprawę. Doznałbyś pan nie tylko wielu trudów i gniewu, ale może i czegoś gorszego.

— Ba! Niewolnictwo zniesione.

— Tak, w księgach i umowach, w rzeczywistości jednak istnieje jeszcze w Turcji i w Egipcie. Żadne władze nie pytają tu, czy mój Murzyn jest moim służącym, czy niewolnikiem.

— A jeśli doniosą o takim wypadku i dostarczą dowodów, władza przecież będzie musiała wkroczyć.

— Tak, ale jak ona wkroczy? Weźmy na przykład gospodarstwo domowe najwyższego człowieka w Egipcie. Czy kedyw ma tylko służących i służące a nie ma już niewolników? Nie odpowiadaj mi pan ogródkami, lecz po prostu tak albo nie.

Milczałem, bo słowa nie byłem w stanie wyrzec.

— Nie słyszę odpowiedzi, milczenie pańskie starczy mi jednak za odpowiedź. Czy pan sądzi, że od chwili wydania zakazu Sudan nie dostarcza niewolników? A może pan myśli, że władze nie wiedzą o tym, iż rokrocznie tysiące czarnych płynie Nilem do delty. Przymyka się na to oczy, gdyż potrzebuje się niewolników. Potrzeba sług, dozorców haremowych, służebnic dla kobiet, a ponieważ niepodobna ich dostać w inny sposób, kupuje się niewolników. Radzę panu nie mieszać się do tej sprawy.

Niestety, nie mogłem mu odmówić słuszności, źle mnie to jednak do niego usposobiło. Nie był on wprawdzie chrześcijaninem, lecz mahometaninem i jako taki pewnie nie wrogiem niewolnictwa. Znał on je od młodości jako prawnie istniejącą instytucję, można go więc było usprawiedliwić. Na nowo byłbym się w zadumie pogrążył, gdyby nowe zjawisko nie zwróciło mojej uwagi. Oto na wylocie ulicy ukazał się człowiek, którego niepodobna było nie zauważyć. Był w sile wieku, o wysokiej i szerokiej postaci. Na pierwszy oka widać było, że musi posiadać wielką siłę fizyczną. Świadczyły też o tym rysy twarzy, silnie rozwinięte szczęki, obrzękłe wargi, wystające kości policzkowe i szerokie kanciaste czoło. Twarz miała odcień ciemnobrązowy co było pewną oznaką, że w żyłach miał krew murzyńską. Miał jednak na nogach zielone pantofle a na głowie zielony turban. Miało to znaczyć, że był potomkiem proroka. Postać jego okrywał lśniąco biały kaftan, w obu rękach trzymał różańce a z szyi zwisał na złotym sznurze futerał z hamailem czyli Koranem pisanym w Mekce i kupionym podczas pielgrzymki. Wyprostowany wyszedł z bocznej ulicy i wszedł do piwiarni. Jego postawa, mina i zachowanie się mówiło najwyraźniej: Oto jestem, kto mi dorówna? Wy w proch przede mną!

Człowiek ten wydał mi się w tej chwili wysoce wstrętny. Miał on twarz, która, żeby się tak

wyrazić, prosi się o wypoliczkowanie, na której widok aż ręka świerzbi, choćby się tego człowieka po raz pierwszy widziało i tym samym nie doznało od niego żadnej przykrości. Nie domyślałem się nawet w chwili, jak usprawiedliwiona była moja instynktowna niechęć, a tym mniej mogłem przypuszczać, że kilkakrotnie zderzymy się i to nader poważnie.

Kiedy wszedł, podnieśli się z małymi wyjątkami wszyscy obecni i pochyliли się nisko, przykładając ręce do serca, ust i czoła. Odpowiedział tylko ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, przeszedł między nimi i zniknął za wspomnianymi już tylnymi drzwiami. Przedtem jednak skinął na małego kelnera. Zauważyłem, że twarz chłopca przybrała wyraz trwogi, kiedy spojrział na siostrę, stojącą po drugiej stronie; wezwana przyszła siostra do niego z pewnym wahaniem. Widziałem, jak drżała i miała łzy w oczach. Chłopak wziął ją za rękę i wyszedł tymi samymi drzwiami.

Byłbyż to Abd el Barak? Z pewnością! Przybył zbadać zarobki dzieci. Jąłem nadśłuchiwać uważnie i wydało mi się, że jestem tam potrzebny. Nie zadałem sobie pytania, czy mam prawo, lub po prostu obowiązek mieszać się do tego w tym przypadku; było to we mnie jakby prawem natury, któremu nie mogłem się oprzeć.

Wtem doleciał mych uszu jakiś trwożliwy jęk. Zerwałem się i w jednej chwili stanąłem w drzwiach. Za nimi znajdowało się małe podwórko, na którym stał ów człowiek i trzymał w górze Diangeh za włosy. Nie miała odwagi objawić inaczej swojego bólu, jak tylko cichym, tłumionym z trudnością jękiem. Przed nim klęczał chłopak i wołał błagalnie:

— Puść ją, puść ją! Ja za nią zapłacę!

Drab trzymał mimo to dziewczynę za włosy, przy czym pytał jej brata, wykrzywiając twarz w szyderym uśmiechu:

— A więc masz więcej pieniędzy, aniżeli mówiłeś? Domyślałem się tego! A jeżeli mi...

Zamilkł, gdyż zobaczył mnie szybko wchodzącego i nie puszczając z ręki biednego dziecka huknął na mnie:

— Kto jesteś? Czego chcesz tutaj?

— Puść dziecko i to w tej chwili! — odpowiedziałem. Wystawił zęby, jak zwierzę drapieżne, lecz nie zważałem na to, a kiedy nie usłuchał mego żądania, uderzyłem go pięścią w pierś tak, że palce mu się rozwarły i dziewczynka upadła na ziemię; nie śmiała powstać ze strachu. On cofnął się o dwa kroki, skurczył się, zacisnął pięści i chciał się rzucić na mnie.

— Stój! — zawołałem. — Czy wolno potomkowi proroka poważyc się na bijatykę?

To podziałało natychmiast. Wyprostował się nagle i zobaczyłem twarz, ale jaką! Urażała wszelkim opisom. Krew z niej ustąpiła, a pierwotna jej barwa zmieniła się w brudnoszarą. W otwartych ustach widać było dwa rzędy długich, żółtych zębów, oczy iskrzyły się, a oddech wydobywał się z gardła z głośnym charczeniem.

— Psie! — syknął na mnie. — Porwałś się na szeryfa.* Czy znasz mnie?

— Nie — odparłem spokojnie, lecz nie spuszczałem zeń oj dla ostrożności.

— Jestem szeryf hadzi Abd el Barak, mokka-dem świętej Kadiriny Seyida Abd el Kadera el Dželani!

Aha! Więc to on był głową tutejszych członków tego świątobliwego stowarzyszenia, które zostało spadkobiercą majora, wałęsającego się teraz nocami jako upiór. Jeśli taki naczelnik pochodzi od założyciela, nazywa się szejk albo szech, zwykle zaś mokka-dem (strażnik). Stojący przede mną mokka-dem przypuszczał, że mnie zdruzgoce, wymieniając swoje nazwisko, lecz się zupełnie zawiódł. Jako chrześcijanin niewiele sobie robiłem z mahometańskiej godności, a ponadto nie mógł mi ten człowiek zaimponować pod względem moralnym. Toteż odpowiedziałem mu spokojnie:

— Wierzę, ale czemu nie postępujesz jak syn proroka i godna głowa tak świątobliwego i słynnego stowarzyszenia?

— Co ty wiesz o moim życiu i uczynkach? Czy nie widziałeś tam, jak wszyscy pochyłili głowy przede mną? Padnij do mych nóg! Uderzyłeś mnie, otóż ja ci powiem, jaką pokutą możesz uzyskać moje przebaczenie!

— Ja nie klękam przed nikim; nie jestem muzułmaninem, lecz chrześcijaninem.

Po tych słowach zdawało się, że chce urosnąć w dwójnasób.

— Chrześcijanin, giaur, pies parszywy? — ryknął do mnie. — Mimo to poważyłeś się tknąć szeryfa Abd el Baraka. Lepiej by cię była matka udusiła przy porodzie, bo ja cię zakuję w łańcuchy i...

— Cicho! Nie chełp się! — przerwałem mu. — Wszelkie groźby z ust twoich budzą śmiech we mnie. Nie wmawiaj w siebie zbyt wiele! Nie jesteś niczym więcej ode mnie i nie masz żadnej władzy nade mną. Jeśli uczyniłem coś złego, to osądzi mnie mój konsul, ale tu nie zaszedł taki wypadek. Mój konsul nie pyta o to, czyś ty szeryf, hadzi i mokka-dem. W obliczu jego prawa nie stoisz wyżej niż pierwszy lepszy człowiek, co worki dźwiga lub czyści fajki.

— Psie! Psi synu i potomku psiego syna! Ty ośmielasz się mówić w ten sposób do mnie?

Na to przystąpiłem do niego na odległość kilku cali i upomniałem go:

— Porzuć obelgi! Jeśli jeszcze raz powtórzysz to słowo, to cię tu powalę, a do sądu doniosę, że kupujesz niewolników, których wypożyczasz jako kelnerów i stawiasz na rogach ulic jako przekupki. Wtedy dowiedzą się ludzie o życiu człowieka, co katuje biedne dzieci, głodzi i wiąże je w kabląk, jeśli przyniosą za mało pieniędzy.

Słowa te zatrwożyły go; cofnął się i rzekł:

— Kto ci to powiedział, kto to zdradził? To ten chłopak, ten szakał; nikt inny nie mógł tego uczynić. Biada mu, gdy wróci dziś wieczorem do domu!

— Nic mu nie zrobisz; o to ja się postaram!

— Ty postarasz się o to? Ty będziesz mi dyktował prawa, ty psie chrześcijański, którego oby Allah...

Nie dokończył. Ponieważ powtórzył obelżywe słowo, więc czułem święty obowiązek względem wszystkich chrześcijan, dać mu to, czym zagroziłem. Zamachnąłem się i uderzyłem go pięścią w głowę tak silnie, że runął na wznak bez ruchu. Gospodarz, który stał w drzwiach i zasłyszał ostatnią część naszej rozmowy, przybiegł wielce przerażony i załamując ręce zawołał:

— O Allah, Allah! Ty go zamordowałeś!

— Nie; on tylko ogłuszony i wkrótce przyjdzie do siebie. Zabierz go gdzieś, aby nie było świadków jego upokorzenia.

— Uczynię to, lecz ty, panie, uciekaj natychmiast, bo rozgniewani wierni zdeptają cię na śmierć.

— Nie obawiam się, ale gdy się wszyscy dowiedzą, co się stało, przepadnie sława tej gospody. Oddalę się zatem ze względu na ciebie.

— Uczyni to, uczyni, ale czym prędzej! Nie wracaj koło gości, lecz przez dziedziniec, a potem przez małą bramkę. Tam dostaniesz się do ogrodu zapadłego domu, a potem przez zwaliska na drugą ulicę. Tylko czym prędzej, czym prędzej.

Ujął nieprzytomnego pod ramię i powlókł go, nie zważając już na mnie. Ja natomiast wziąłem chłopca prawą, dziewczynkę lewą ręką i rzekłem:

— Chodźcie ze mną! Wasz pan nie będzie was już dręczył.

Na to wyrwał się chłopiec, pobiegł do kąta, w który wznosiła się kupka ziemi i skorup, rozkopał ją, wyjął ukryte tam pieniądze i był gotów, aby pójść ze mną. Poszedłem drogą wskazaną mi przez gospodarza. Byłbym wolał powrócić do mego tureckiego przyjaciela, lecz lepiej było tego nie czynić. Co byłoby się stało ze mną, gdyby się to wydarzyło przed dwudziestu a nawet dziesięciu laty? Gospodarz zawołałby wszystkich gości i zlinczowano by mnie na miejscu. Teraz rozumiał już, że w jego własnym interesie leży, aby takich scen unikać.

Nie dbałem o to, co potem będzie. Postąpiłem, jak chwila nakazywała i moje poczucie sprawiedliwości. Skutki musiałem oczywiście wziąć na siebie, lecz nie obawiałem się ich zbytnio.

Wszedłem do wskazanego ogrodu i ujrzałem przed sobą szczątki zwałonego domu. Przelazłszy przez nie, dostaliśmy się na wąską, mało ożywioną ulicę, równoległą do tej, przy której znajdowała się piwiarnia. Nietrudno mi więc było dostać się do domu Turka. Przeszedłszy do bramy, zapukałem.

Odźwierny otworzył mi. W twarzy jego dostrzegłem zdziwienie, że nie wróciłem z panem, lecz w towarzystwie Murzyniąt. Rychło jednak położyłem kres jego ciekawość pytając:

— Selimie, czy znasz piwiarnię, w której pija zwykle Murad Nassyr?

— Bardzo dobrze, effendi — odpowiedział.

— Prawdopodobnie siedzi tam jeszcze i nie wie, gdzie ja się znajduję. Idź czym prędzej do niego i powiedz mu, że jestem tutaj. Ale uczyn to tak, żeby nikt tego nie zauważył. Najlepiej będzie, gdy skiniesz na niego z daleka.

— Słusznie, bardzo słusznie! — rzekł, wykonując ukłon takim przeginaniem głowy, jakie można widzieć tylko u manekina. Następnie udałem się z Diangeh i jej bratem do przeznaczonych dla mnie pokoi.

Dzieci szły obok mnie w milczeniu i teraz dopiero rozgadały się, zarzucając mnie tysiãcem pytań. Nie mogłem im odpowiedzieć na wszystkie, lecz poznałem z pytań, jakie dobre serce i zdrowe pojęcia miały te dzieci. Nie upłynęło jeszcze pół godziny, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Murad Nassyr. Na widok niespodziewanych lokatorów spytał zdziwiony:

— Co to ma znaczyć? Te Murzynki tutaj? Przyszły tu z panem? Dlaczego poszedłeś pan do domu beze mnie? Wybiegłeś pan tak szybko przez te drzwi i nie wróciłeś. Dlaczego?

— A więc pan nie wie, co zaszło za tymi drzwiami?

— Nic nie wiem. Słysząc było tylko głosy nieco donioślejsze niż zwykle. Chciałem pobiec za panem, lecz widząc w drzwiach gospodarza, pomyślałem, że nie pozwoli panu uczynić nic złego. Czekałem więc dopóki Selim nie nadszedł i nie skinął na mnie. Ale teraz dowiem się chyba, co się stało?

— Usiądź pan przy mnie i słuchaj spokojnie! Opowiedziałem mu przebieg wypadku tak obszernie, jak uważałem za konieczne. Napełniło go to takim przerażeniem, że popadł w zupełne milczenie i wysłuchał mego opowiadania do końca, nie rzekłszy ani słowa. Za to kiedy skończyłem, wybuchnął tym obfitszymi w słowa skargami. Ponieważ posługiwał się przy tym językiem tureckim, nie rozumiały dzieci, co mówił. Przysłuchiwałem mu się spokojnie, zniósłem pełną trwogi nawałę słów i zapytałem końcu:

— Ależ, panie, czy pan boisz się tak bardzo tego Abd el Baraka? Moim zdaniem nie może on panu ani trochę zaszkodzić.

— Nie? — spytał zdumiony. — Przełożony takiego bractwa takiego potężnego związku?

— Co pana obchodzi ten związek. Czy jesteś pan jego członkiem?

— Nie, ale czy nie zauważyłeś pan, z jakim szacunkiem zachowywano się wobec niego? On ma wpływy, które mogą być dla nas bardzo niebezpieczne.

— Uniżoność okazywana mu przez drugich nic mnie nie obchodzi. Dla mnie najważniejszą rzeczą jest to, jak ja z nim postąpiłem, a nikt chyba nie powie, żeby w tym było wiele dla Abd el Baraka szacunku. Pan mu nic nie uczyniłeś, więc nie masz się czego obawiać. Mnie by to mogło trwożyć, ponieważ jednak nie niepokoję się tym ani trochę, więc pan tym bardziej nie masz powodu do obaw.

— Ależ pan jesteś moim gościem, mieszkasz u mnie i dlatego odpowiadam za wszystko, co pan uczynisz.

— Temu łatwo zapobiec; poszukam sobie innego mieszkania.

Powstałem i udałem, że chcę się oddalić. To sprzeciwiało się jego planom, więc zerwał się równie szybko, pochwycił mnie za rękę i zapytał:

— Pan chyba nie odchodzisz? Zostań pan, zostań!

— Nie mogę, ponieważ pan twierdzisz, że narobię panu nieprzyjemności.

— Ależ nie, przeciwnie! Może mi to przynieść wielki pożytek. Jeśli się nam uda co do Murzyniąt zawrzeć umowę, to nie poniosę żadnej szkody.

— Możemy to uczynić. Przyrzekam panu niniejszym wziąć wszystko na siebie. Oświadczam panu równocześnie, że mam nie tylko prawo, lecz obowiązek zająć się nimi. Wobec tego oświadczenia możesz je pan tutaj śmiało zatrzymać. Gdybyś pan z tego powodu miał jakie zatargi z władzą, to powołasz się pan na moje oświadczenie i zwalisz pan tym samym na mnie całą odpowiedzialność.

— Mimo to będę miał wiele kłopotów i nieprzyjemności. Gdy zobaczą, że zabrałeś pan dzieci, zwrócą się przede wszystkim do mnie, a nie do pana. Może to odwlec moją podróż i przynieść mi szkodę, gdyż mam być w Chartumie w pewien oznaczony dzień.

— Jestem gotów wynagrodzić to panu.

— W jaki sposób?

— Jeśli pan zatrzymasz tu dzieci, przyrzekam panu pojechać z nimi do Chartumu. Jedna przysługa warta drugiej.

Wtedy rozjaśniła mu się twarz i zapytał:

— Czy pan przyrzeka poważnie?

— Najzupełniej.

— W takim razie przystaję i oto moja ręka; przybij pan! Dzieci zostają tutaj, ale pan przyjmujesz odpowiedzialność za wszystko, co z tego może wyniknąć, a potem będzie mi pan towarzyszył do Chartumu.

— Dobrze, zgoda, oto moja ręka. A teraz niech pański Selim idzie do mego hotelu po rzeczy. Dla

legitymacji dam mu kartkę z paroma słowami.

— Wydam mu odpowiedni rozkaz i postaram się o wieczerzę, bo już czas na nią.

Krótki w Egipcie zmierzch zapadł tymczasem, a po odejściu Nassyra wszedł Selim z głębokim ukłonem i z prośbą o kartkę. Za nim ukazał się Murzyn, by zapalić lampę. Gdy się obaj oddalili, wrócił Nassyr. Był z powodu wieczerzy w haremie i otrzymał tam dla mnie następujące oświadczenie:

— Panie, jesteś wielkim lekarzem. Twój środek pomógł; ból zębów zniknął zupełnie i nie wrócił więcej. Czy umiesz leczyć i inne choroby?

— Umiem. Czy masz jeszcze jakiego pacjenta w domu?

— Niestety! To moja siostra.

— Na co cierpi?

— Na chorobę, o której kobieta ani dziewczyna mówić nie lubi, lecz ty zdobyłeś jej zaufanie i kazała mi powiedzieć ci wszystko otwarcie. Oto od pewnego czasu traci ozdobę głowy.

— Włosy? W takim razie musisz mi odpowiedzieć na kilka Pytań, których nie zadaje się zwykle, do których postawienia jednak jako lekarz jestem uprawniony. Pytaj śmiało! Ja cię objaśnię. Ile lat ma twoja siostra?

Zawahał się z odpowiedzią, ponieważ pytanie takie uchodzi a wschodzie za niedyskretne, i zapytał:

— Czy ta wiadomość potrzebna panu koniecznie?

— Koniecznie.

— W takim razie powiem ci, że Letafa ma dwudziesty rok.

Na Wschodzie dziewczyna, mająca lat dwadzieścia, uchodzi za starą, mimo to jak wskazuje imię, musiała posiadać pociągające zalety, gdyż letafa znaczy tyle, co godna miłości. Tym trzeźwiej musiało też brzmieć następne pytanie:

— Czy to rzeczywiście łysina?

Mówiąc otwarcie, wygłosiłem te słowa, ażeby zobaczyć, jakie też wrażenie uczynią na Turku. Załamał ręce, zrobił minę, jakby otrzymał policzek i zawołał:

— O Allah, Allah, co za pytanie! Jak nieszczęśliwe muszą się czuć kobiety Franków, skoro lekarze zmuszają je do takich wyjaśnień.

— Kto chce uzdrowienia, musi być otwarty.

— Więc nie możesz pomóc mojej siostrze, nie wiedząc, ile włosów utraciła?

— Pewnie, że nie.

— Więc muszę ci powiedzieć, że na samym środku głowy znajduje się okrągłe miejsce wielkości talara Marii Teresy, pozbawione włosów.

— A czy pacjentka przeszła kiedy jaką ciężką, długotrwałą chorobę?

— Nigdy.

— W takim razie zdołam może pomóc, lecz muszę widzieć to łyse miejsce.

— Czy oszalałeś? — zawołał. — Nikt z wyznawców proroka nie śmie widzieć dziewczyny, a ty jesteś do tego chrześcijaninem.

— Ja nie chcę widzieć dziewczyny, ani jej twarzy, lecz muszę widzieć łyse miejsce na głowie.

— To jeszcze gorsze. Kobieta woli pokazać mężczyźnie całą twarz, niżli łysinę na głowie.

— Nie jestem tutaj mężczyzną, lecz lekarzem. Kto chce pomocy, nie może bać się mych oczu.

— No, dobrze! Ręce wolno pokazać, więc ty możesz jej zobaczyć.

— To się na nic nie zda. Nie jej ręce są chore, lecz głowa i muszę bezwarunkowo zobaczyć to miejsce. Ponieważ to niemożliwe, przeto nie mogę pacjentce przywrócić ozdoby głowy.

— Panie, to okrucieństwo gwałci nasze obyczaje!

— Przyznaję, lecz muszę obstawać przy swym żądaniu. Albo siostra twoja zgodzi się na to, albo będzie miała nadal małą łysinę, która rozszerzy się na całą głowę.

— Co za nieszczęście, co za ból! Co tu robić? Gdy narzeczony zobaczy ten brak, odeśle mi siostrę. To być nie może i ona zgodzi się chyba. Pójdę do niej i zapytam.

Zwrócił się ku drzwiom i już je otworzył, gdy naraz odwrócił się i zapytał:

— Czy to się stać musi w każdym razie?

— Bezwarunkowo.

— W takim razie muszę to wziąć na siebie.

Wyszedł. Byłem pewien, że tu chodzi o tak zwaną kolistą łysinę, lecz chciałem rozmyślnie, żeby spełniono moje żądanie. Nassyr musiał się przekonać, że u mnie trudno coś wytargować. Po pewnym czasie powrócił i rzekł:

— Panie, udało mi się! Letafa przystaje na twoje życzenie. Nie mogę cię wprawdzie przyjąć u niej,

ani też nie wolno jej przestąpić izby, w której mieszka mężczyzna, lecz spotkacie się w pokoju neutralnym, to jest takim, w którym nikt nie mieszka. Gdy się przysposobi, da nam znać.

Teraz wrócił Selim z hotelu z moimi rzeczami. Wszedł z wielkim pośpiechem tak, że zapomniał o ukłonie, tylko mi powiedział:

— Panie, zbliża się wielkie nieszczęście. Szukają cię dwaj żołnierze policyjni.

— Mnie? Czy szukają mnie tutaj?

— Tak. Przybyli pod dom równocześnie ze mną.

— Skąd może mnie znać policja? Czy wymienili ci jakieś nazwisko?

— Nie, pytali o człowieka, który wszedł tu z dwójgiem czarnych dzieci.

— A zatem mnie mają na myśli. Czy powiedziałeś im, że tutaj jestem?

— Tak.

— Głupcze! — krzyknął nań pan. — Tego nie powinieneś być mówić. To było w najwyższym stopniu głupie z twojej strony.

Selim zgiął plecy tak, że utworzyły z nogami kąt prosty i rzekł głosem przygnębionym:

— Słusznie, całkiem słusznie!

— Nie karć go pan — mitygowałem Turka. — Widziano mnie w każdym razie i policjanci wiedzą, że się tutaj znajduję. Zaprzeczaniem pogorszyłby pan tylko mą sprawę. Ci dwaj panowie chcą pewnie ze mną mówić.

— Tak, natychmiast! — odrzekł stróż domu.

— To wprowadź ich.

Selim wyszedł, a Murad rzekł głosem wylękłym:

— Ja odchodzę! Muszą być przekonani, że ja o tej sprawie nic nie wiem, że nie mam z nią nic, zupełnie nic wspólnego.

— Nie, lepiej zostań pan tutaj.

— Dlaczego?

— Ażebyś pan usłyszał, jak ja siebie i pana wydobędę z matni. Ani o mnie, ani o panu nikt nie powie, że obawiamy się policji. Ja postąpiłem zupełnie zgodnie z prawem, a pan nie śmiesz mnie się zaprzecć, lecz obecnością swoją oświadczysz, że zgadzasz się ze mną.

— Tak pan sądzisz? No, dobrze; być może, że masz pan słusność, więc zostaną. Ale dzieci musimy ukryć.

— Po co? Przecież nie mam zamiaru zatajać tego, że znajdują się tutaj, więc mogę je pokazać. Usiądź pan spokojnie obok mnie. Ciekawy jestem, w jaki sposób ci policjanci przedstawią sprawę.

Podczas rozmowy wypaliły nam się fajki. Ponieważ Murzyna nie było pod ręką, nałożyliśmy je sobie sami i tak w postawie pełnej godności czekaliśmy na wejście urzędników. Byłem pewien, że nie będą budzili zbytnio zaufania i nie zawiodłem się. Byli to Arnauci, uzbrojeni od stóp do głowy. Nie przyszło im nawet na myśl powiedzieć jakieś słowo na powitanie, lub się uklonić. Przebiegli wzrokiem po izbie, po czym zapytał jeden z nich, podkreślając węża i przystępując do mnie na kilka kroków:

— To ci Murzyni?

Oczywiście, że nic nie odpowiedziałem, udałem nawet, że go nie widziałem, ani nie słyszałem wcale.

— Czy to ci Murzyni? — huknął już do mnie, wskazując na dzieci.

Milczałem w dalszym ciągu. Na to przystąpił bliżej, trącił mnie nogą i spytał gniewnie:

— Czy jesteś ślepy i głuchy, że ani widzisz, ani słyszysz, kto przy tobie stoi?

Na to zerwałem się i krzyknąłem:

— Precz, bezwstydniku! Jak śmiesz obcego effendiego dotykać swoją brudną nogą?

— Pilnuj języka! Nazwałeś mnie bezwstydnikiem! Czy wiesz, kim jestem?

— Sabtieh czyli niski urzędnik policyjny, z którym jako obcy nie mam nic do gadania. Jeśli sobie ktoś życzy czegoś ode mnie, niechaj zwróci się do mojego konsula, a on przyśle mi swojego kawasa.

— Tak uczynimy, lecz pierwszej musimy zbadać tę sprawę.

— Nie mam nic przeciw temu, jeśli się to stanie w sposób właściwy. Wy weszliście tu jak do stajni. Czy nie wiecie, co to jest pozdrowienie?

— Więc sądzisz, że musimy nawet zbrodniarza uprzejmie pozdrawiać? — spytał szyderczo.

— Zbrodniarza! Kogo masz na myśli? Czy może jednego z nas?

— Ciebie!

— Mnie? Czy dowiedziono mi jakiego występku lub zbrodni? Oskarżę was przez konsula przed waszym przełożonym, żaden kadi, żaden sędzia nie śmie nazwać człowieka zbrodniarzem przed zapadnięciem wyroku. Wy jesteście tylko niskimi policjantami, a ja wysoce cenionym effendim.

Odmówiliście nam nawet zwykłego pozdrowienia. Ja was nauczę uprzejmości, choćbym się miał zwrócić wprost do kedywa. Dopóki nie okażecie większego uszanowania, nie mamy z wami nic do czynienia. Opuśćcie zatem to mieszkanie i wróćcie dopiero wtedy, gdy pojmiecie, co to znaczy kopać Europejczyka.

Otworzyłem drzwi, a oni spojrzeli wzajem na siebie i nie usłuchali wezwania.

— Za drzwi!

Słowa te wypowiedziałem w taki sposób, że Murad Nassyr zerwał się przerażony z miejsca. Policjanci przerazili się również i wysunęli się za drzwi, które za nimi zamknąłem.

— Na miłość Allacha; co panu strzeliło do głowy? — Będzie źle z panem.

— Moje zachowanie się odniesie właśnie jak najlepszy skutek — odpowiedziałem.

— Nie łudź się pan. Na coś takiego nawet ja się nie odważę; ja, poddany padyszacha.

— Masz pan zupełną słuszność, ale na co nie odważy się poddany padyszacha, na to może pozwolić sobie Frank, do którego stosują się nie wasze prawa, lecz prawa jego kraju. Kto przychodzi do mnie, ten mnie musi pozdrowić, w przeciwnym razie przepędzę go, kto zaś dotknie mnie nogą, temu wymierzam policzek, czego tu zaniechałem ze względu na pana. Usiądźmy sobie spokojnie.

— Spokojnie! — lamentował. — Zdaje mi się, że wkrótce będzie u nas bardzo niespokojnie. Byłeś pan zbyt zuchwały i pożałujesz tego.

— Chyba nie! Nie pierwszy to raz uczę takich ludzi grzeczności. Ja ich znam. Im więcej im pozwalają, tym stają się zarozumialszy, a tracą odwagę, gdy natrafią na odważnego człowieka. Jestem pewien, że...

Wtem okazało się, że sabtiów dobrze osądziłem, gdyż sprawdziło się to właśnie, co zamierzałem powiedzieć. Drzwi otworzyły się powoli, a policjanci weszli, ukłonili się i pozdrowili nas słowem „sallam”. Groźba zwrócenia się w danym razie do kedywa poskutkowała. Zresztą zawdzięczam ten efekt raczej mojemu szczęściu, aniżeli bystrości, jak się to wkrótce miało okazać.

— Sallam! — odpowiedziałem, a Murad Nassyr oddał pozdrowienie tym samym słowem.

— Effendi — rzekł ten, który mówił przedtem — polecono nam dowiedzieć się, gdzie znajdują się Murzyni, których zabrałeś z sobą z piwiarni.

— Są, jak widzicie, tu ze mną.

— Więc to oni? — rzekł, wskazując na Diangeh i jej brata.

— Tak, to oni.

— A zatem zabierzemy ich do ich pana, Abd el Baraka, słynnego przełożonego bractwa świętej

Abd el Kader el Dželani.

— I on wam kazał, abyście mu ich przyprowadzili? Czy to wasz przełożony?

— Nie.

— Więc nie macie prawa przyjmować rozkazów od niego.

— Ostrzegamy cię, effendi! Jesteś obcy i nie znasz ustaw naszego kraju.

— Znam je widocznie lepiej od was.

— Ty porwałeś się na Abd el Baraka.

— Zupełnie tak, jak ty na mnie, tylko z tą różnicą, że trąciłeś mnie nogą, chociaż nic nie zrobiłem ci złego, a ja powaliłem Abd el Baraka, ponieważ obraził mnie mimo upomnienia.

— Ale jakie masz prawo do tych dwojga dzieci?

— Takie samo, jak Abd el Barak. Wynająłem je do służby u siebie.

— Ależ to jego służący!

— Już nie, skoro postanowiły zostać u mnie od tej chwili.

— To niemożliwe, gdyż on ich nie oddalił. Tu musi być zachowany termin wymowy.

— Aha! Zaczyna aż tak sprytnie! No, nic mu to nie pomoże, dzieci godziły się do niego na służbę? Tego nie wiemy.

— A czy może oddał mu je ich ojciec?

— I tego nie możemy powiedzieć.

— Więc niechaj udowodni, że ma prawo żądać ich ode mnie. Jako służbodawca musi mieć na to dowody. Może posiada pisemną umowę, albo świadków, którzy to wykażą?

— Tego nie potrzeba. Oni mieszkali i służyli u niego, więc należą do niego.

— A teraz służą i mieszkają u mnie, więc należą do mnie.

— My jednak mamy rozkaz zabrać je, w razie potrzeby nawet przemocą i odprowadzić do ich pana.

— Czy otrzymaliście ten rozkaz od przełożonego?

— Nie. Działamy z polecenia Abd el Baraka.

— Nie ma na mnie żadnego doniesienia?

— Jeszcze nie, lecz Abd el Barak poda je bezwarunkowo, jeśli nie wydasz mu dzieci.

— Ładnie! Zaczekajcie więc, dopóki tego nie uczyni. Potem niech sędzia wyda wyrok, do kogo dzieci należą. A skąd wiecie, że się tutaj znajduję?

— Widziałem cię wchodzącego z dziećmi w tę ulicę. Prowadziłeś je za ręce i to zwróciło moją uwagę. Potem, przechodziłem obok piwiarni, kiedy Abd el Barak z niej wychodził. Przywołał mnie do siebie, by mi dać polecenie, a ja dobrałem sobie do wykonania drugiego towarzysza.

— Teraz jest mi już wszystko całkiem jasne i przedłożę ci ważne pytanie. Czy znasz ustawy tego kraju?

— Oczywiście, że je znam.

— Czy niewolnictwo jest dozwolone?

— Nie.

— Czy wiesz, z jakich okolic pochodzą te dzieci?

— Abd el Barak powiedział mi, że pochodzą z Dongiolów.

— To prawda, lecz nie urodziły się tu w Egipcie, tylko w ojczyźnie tego szczepu. Porwano je mniej więcej przed dwu laty, kiedy niewolnictwo było już dawno zakazane, a Abd el Barak je kupił. Nie są to jego słudzy, lecz on zrobił z nich niewolników i wynajmował je drugim. Cały zarobek chował do kieszeni a dzieci dostawały kije zamiast jedzenia, ilekroć niosły mu mniej pieniędzy. Tak sprawa stoi. Jeśli Abd el Barak chce mieć dzieci, to niech rozpocznie ze mną proces i zwróci się do władzy. Nie będzie to zbyt chwalebne dla przełożonego takiego pobożnego bractwa, gdy mu się udowodni, że trzyma niewolników i że wiąże ich w kabłąk, jeśli mu przyniosą za mały zarobek. Wy natomiast jesteście stróżami prawa i nie powinniście walać sobie rąk tym, że się oddajecie na usługi handlarzowi niewolników. Ja zapomnę o waszym grubiaństwie wobec mnie i przypuszczam, że nadal nie zechcecie zniesławiać się tą sprawą. Dlatego porzucam mój pierwotny zamiar oskarżenia was i dam wam nawet bakszysz, ażeby trud wasz nie był bez nagrody.

Wyjąłem kilka srebrników, które w tej chwili zniknęły w ich kieszeni, przy czym jeden z nich odpowiedział:

— Panie, wypowiedziałeś słowa rozumu i mądrości, a ja doniosę Abd el Barakowi, że mądrze robi, jeśli zaniecha zamiaru odbierania ci dzieci. Niechaj Allah da ci wesołe dni i długie życie.

Skrzyżował ręce na piersiach i skłonił się uprzejmie; towarzysz poszedł za jego przykładem, po czym obaj zniknęli.

Turkowi aż fajka zgasała, tak się zdumiał tym obrotem sprawy. Popatrzył na mnie wielkimi oczyma, potrząsnął głową i rzekł:

— Czy to być może? Jak się zdaje, wygrałeś pan, pomimo swego grubiaństwa!

— Nie pomimo, lecz dlatego właśnie. Bakszysz ukoronował potem wszystko. Powiadam panu, że dla tutejszych urzędników ma daleko większe znaczenie europejski konsul, aniżeli sułtan. Nasi władcy umieją bronić swoich rodaków, a wola pady szacha nie ma tu prawie żadnego znaczenia.

— Ale czy sprawa już skończona, to jeszcze pytanie.

— Nie, jeszcze nie skończona. Abd el Barak nie odważy się zaskarżyć mnie do sądu, ale zechce zemścić się skrycie. Muszę się mieć bardzo na baczności.

— A więc nie wiem, czy panu mogę dać w tym mieszkaniu schronienie.

— Nie możesz pan. Muszę sobie wyszukać jakieś inne miejsce.

— Ale gdzie? W hotelu, czy u konsula?

— W hotelu nie byłbym pewny, a konsulowi nie chcę się naprzykrzać. Jutro miasto opuszczę.

— Miasto, a więc mnie także! Na to nie mogę się zgodzić. Nie spotkalibyśmy się.

— Owszem! Skorzystam z pierwszego statku nilowego albo wsiądę na łódź żaglową, ażeby z dziećmi pojechać w górę rzeki. Gdzieś tam zaczekam na pana a potem, gdy pan nadpłyniesz, wsiądę na pański statek.

— Czy mogę na to liczyć?

— Na pewno; dotrzymam słowa. Niech pański dłużni Selim pójdzie dziś jeszcze do portu i dowie się, kiedy jaki statek odchodzi. Ja sam nie chcę się dziś pokazywać.

— A dzieci chcesz pan zabrać z sobą?

— Tak, gdyż spodziewam się, że w Chartumie znajdę sposobność wysłania ich do Dongiolów. Skoro raz zająłem się nimi, nie chcę utknąć na samym początku. Szkody przez to nie poniesiemy; przeciwnie, jestem przekonany, że podczas drogi będziemy z nich mieli wierne i czujne sługi.

— Ja też tak sędzę i postaram się o to, żeby im w drodze nie zbywało na niczym. Właściwie jednak i teraz jeszcze jestem tego zdania, że może lepiej byłoby nie wdawać się w tę sprawę z nimi.

Powiedział to w taki sposób, że wyraźnie było widać, jak poważnie nad tym myślał. On po prostu nie był wrogiem niewolnictwa; i tego zmienić nie byłem w stanie.

Wkrótce potem wszedł Murzyn, żeby nam donieść, iż pani na nas czeka. Za drzwiami stała czarna służąca, którą uwolniłem od bólu zębów, poświeciła nam na wąskich schodach i wprowadziła do pokoju całkiem pustego i nieumeblowanego. Tylko na środku leżał mały dywan. Gdy służąca oddała Turkowi lampę i wyszła, ukazała się głęboko zasłonięta postać Letafy, siostry mego gospodarza. Powierzchność jej nie harmonizowała bynajmniej z miłym imieniem. Ujrzałem białe fałdy szat,

spod których wyglądały na dole dwa małe pantofle. Szła wolno ku środkowi pokoju i nie mówiąc ani słowa usiadła opodal na dywanie. Potem wysunęła z mnóstwa szat rękę, podniosła ją w górę, gdzie domyślałem się głowy i odchyliła rąbek zasłony.

— Teraz! — skinął na mnie Murad Nassyr. — Czy chcesz się pan temu przypatrzeć?

Zbliżył się do postaci, by mi poświecić, lecz odwrócił się, ażeby oko jego nie padło na plamę w ozdobie głowy siostry. Ja natomiast przypatrzyłem się jej dokładnie. Wśród grubych i gęstych włosów znajdowało się okrągłe całkiem wyłysiałe miejsce, powstałe przez mikroskopijne grzybki.

— Czy potrafisz pan to wyleczyć? — spytał Nassyr.

— Spodziewam się. Ozdoba tej głowy ukaże się prawdopodobnie już za kilka tygodni.

— Oby Allach to sprawił! A ja panu dziękuję. Jak się nazywa środek, którego należy użyć?

— Znajdziesz go pan tu w Kairze w każdej aptece. Nazywają go tutaj el milh el hamid, a za pół piastra wystarczy go na całe leczenie. Rozpuszcza się go we flaszcze wody, następnie zwilża się tym codziennie łyse miejsce. Środek ten pomógł już wielu ludziom, lecz nie działa u całkiem łysych.

Słowa te wywołały u kobiety taką radość, że się odezwała:

— Dziękuję panu!

Po tych słowach powstała i wyszła z pokoju w ruchach, których nie można nazwać eleganckimi.

Kiedyśmy zeszli na dół, otrzymał kłaniający się ciągle marszałek domu rozkaz udania się do portu i przyniesienia lekarstwa. Wkrótce potem podano wieczerzę. Składała się ona z ryżu, tworzącego górę wysoką prawie na łokieć i z tacy kebabów czyli kawałków mięsa pieczonych na patykach. Sądzę, że było tej pieczeni przynajmniej sześć funtów, ale Przypomniałem sobie, że wschodni obyczaj nakazuje sługom zjadać to, co zostawia panowie. Wszystko było bardzo smaczne, zapewne rączkami Letafy przyrządzone. To wzmogło mój głód, zwłaszcza że poprzednio przypadła mi w udziale tylko noga z kury. Łatwo więc sobie wyobrazić, że nie kazałem się zbytnio prosić i przynaglać. Widelców ani łyżek nie było, jedliśmy więc sposobem wschodnim tzn. sięgaliśmy rękami do góry ryżowej i ryżowe kule, w palcach utoczone, wkładaliśmy w usta. Słowo „wkładaliśmy” mogę co prawda odnieść tylko do siebie, gdyż grubas nie wkładał ich tam, lecz wrzucał i, prawie nie gryząc, połykał. Byłem ciekawy, czy kiedyś chybi celu, przekonałem się jednak, że był zbyt zręczny i trafiał zawsze do otworu. Do częstego obcierania rąk służyły zamiast serwet na pół pootwierane cytryny. Spieszyłem się jak mogłem, lecz nie zdołałem dorównać memu partnerowi. Kiedy ja zaledwie jedną kulę spożyć zdołałem, znikaly u niego w tym samym czasie trzy albo cztery. Szczęściem nie jadłem dużo, spodziewałem się więc wobec wielkości góry ryżowej, że się nasycę. Właśnie nabrałem znowu pół garści, kiedy poczułem opór. Ciągnę i wyciągam jeden, potem drugi, trzeci i czwarty ciemny włos kobiety. Musiała mi się twarz przy tym wydłużyć, gdyż Nassyr zwrócił na to uwagę i zapytał:

— Co się panu stało? Może sobie pan wargi poparzył?

— Nie. Uczyniłem ważne odkrycie.

Pokazałem mu włosy. Wziął mi je z ręki, przypatrzył się im z przychylnością i rzekł:

— No i cóż? Allah każe rosnąć ryżowi i włosom. Wszystko z jego ręki życie bierze.

— Tak! Ale ryżowi każe rosnąć na pokarm dla ludzi, a włosom dla ozdoby! Przypatrz się pan wielu łysinom. Czy to nie dziwne, gdy w ryżu znajduje się to, co ma być głowy ozdobą? Czyliż mam zjadać włosy, przeciw których znikaniu zapisałem el milh el hamid?

— Wallah, Tallah! Nie przypuszczam, żebyś pan zamierzał obrazić głowę mojej siostry. Te włosy nie pochodzą od niej, lecz od Fatmy, najdoskonalszej kucharki z całego sułtanatu.

— Któż to jest ta Fatma?

— Ulubiona sługa mojej siostry. Jest ona mistrzynią we wszelkich potrawach, a smak jej lemoniad równa się smakowi rajskiego źródła. W podróży będziesz pan codziennie jadał potrawy przez nią przyrządzone i będziesz miał często sposobność wychwalać jej sztukę.

Biada mi! Jeść codziennie z rąk tej Fatmy, której pierwsza ryżowa potrawa przyprawiła mnie od razu o utratę apetytu! Taka przyszłość nie bardzo mi się wydawała ponętna. Oczywiście, że nie tknąłem już tego ryżu i wziąłem się do kebabów, lecz znowu musiałem się spieszyć, gdyż grubas uważał za swoją powinność nie dopuścić do tego, bym sobie żołądek przeładował. Jeśli i pod innymi względami tak dbał o swoje wyłącznie korzyści, to mogłem później gorzko pożałować, że przyrzekłem mu towarzyszyć w podróży. Ażeby Murzynięta nie wyszły na tym tak źle, jak ja, rzuciłem im kilka kawałków mięsa i sporządzałem skwapliwie kule z ryżu, które oboje chwyтали z wielką zręcznością i równie zręcznie połykali. W końcu jednak opróżniły się tace. Czemu nie mógł dać rady grubas, to pokonały dzieci, które już dawno nie były tak syte jak dziś. Ich oczy zwracały się ku mnie z wdzięcznością i widziałem, że zdobyłem sobie ich miłość na zawsze. Nie umiały one wprawdzie dobrze po arabsku, lecz zrozumiały tyle z rozmowy mej z policjantem, że się wzbraniałem oddać ich oboje okrutnemu Abd el Barakowi.

Po jedzeniu podniósł Nassyr palec wskazujący, bardzo tajemniczy wyraz nadał swojej twarzy i powiedział:

— Teraz przychodzi najlepsze. Dopóki nie wyjedziemy z Kahiry, będę sobie używał na tym przysmaku, potem będę się go musiał wyrzec zupełnie.

Klasnął w ręce, a Murzyn przyniósł cztery flaszki piwa, które grubas kazał postawić bez mojej wiedzy. Tym razem nie dałem się Nassyrowi skrzywdzić, nalewałem sobie szybko filiżankę za filiżanką i byłem z dwiema flaszkami tak prędko gotów, jak Turek.

Zaczął on teraz myśleć nad dzisiejszym ukazaniem, albo raczej nieukazaniem się ducha, gdyż był pewien, że odstraszy go obecność niewiernego. Zapytany przezeń o zdanie, oświadczyłem:

— Ja także myślę, że duch nie przyjdzie, ponieważ się mnie obawia.

— Obawia? Nie! Duch nie doznaje trwogi. On nie przyjdzie, gdyż, jako chrześcijanin, uchodzisz

pan za nieczystego.

— W takim razie radzę mu zupełnie poważnie, aby się mną nie kalał, gdyż zanieczyściłbym tak jego pamięć, że imię jego stałoby się pośmiewiskiem wszystkich muzułmanów i odeszłaby go ochota do nocnych wędrówek.

— Pan, zdaje się, rzeczywiście się nie boi.

— Nie. Nie bałem się go już wtedy, kiedym go po raz pierwszy zobaczył.

— Jak to? Czyż go więc pan już widział?

— Tak mi się przynajmniej zdaje. Albo on albo jego starszy strach ukazał mi się już raz w Kairze.

— Allach! A kiedy?

— O tym potem. I tak by mi pan zresztą nie uwierzył.

— Natychmiast uwierzę. Mnie także się ukazywał, czemuż by inni nie mogli go także widzieć?

— Inni także, lecz nie ja, który jestem niewiernym. Pan przecież przypuszcza, że będzie się trzymał z dala ode mnie. Ja nie jestem niewiernym i żaden chrześcijanin nie jest giurem, gdyż nasz bóg jest tym samym bogiem, którego wy nazywacie Allachem. My nawet gorliwiej wierzymy niż wy, gdyż modlimy się do Iza ben Maryam*, którego wy czcicie tylko jako proroka, a my jako Syna Bożego. Jeżeli jednak mówimy o strachach, to pod tym względem jestem największym na świecie niedowiarkiem. Czy sypia pan w nocy po ciemku?

— Nie, właśnie z powodu stracha przez całą noc świece się u nas pałą.

— A on przychodzi mimo to?

— Przychodzi mimo to; przychodzi przez drzwi zaryglowane, błądzi po oświetlonych pokojach i przesuwa się obok nas. To przerażające. Że dotąd jeszcze nie umknąłem, to może być dla pana dowodem, że imię Nassyr noszę całkiem słusznie.

— Czy i brama jest zaryglowana?

— Oczywiście i to dwoma wielkimi i ciężkimi ryglami, które niełatwo ruszyć z miejsca.

— A gdzie śpi waleczny stróż Selim, który idzie w zawody z największymi bohaterami całego świata?

— Pod bramą, gdzie codziennie przygotowuje sobie łożo.

— A czy on także widział ducha?

— Widywał go każdego wieczora, a mimo to nie porzucił mojego domu. O, effendi, Selim istotnie

nie jest człowiekiem bojaźliwym. Dziś będziemy mogli spocząć po raz pierwszy, co dotychczas było dla nas niepodobieństwem. Jestem znużony i potrzebuję snu. Dobranoc!

Podał mi rękę i odszedł do swojego mieszkania. Słyszałem, jak drzwi zaryglował za sobą. Wierzyłem mu oczywiście, że potrzebuje spokoju. Żarłoki są zwykle zmęczone po jedzeniu. Byłem jednak pewny, że strach przyjdzie i dziś także i choć może nie z sympatii do mnie, to jednak właśnie przeze mnie.

Mogła być, według naszej rachuby, godzina jedenasta, postanowiłem więc poczynić przygotowania, zresztą bardzo proste. Najpierw musiałem uspić dzieci. Położyły się w kącie na poduszce, a ja nakryłem je swoim płaszczem, przyniesionym przez Selima z hotelu. Uczyniłem to w ten sposób, że twarze ich były pod płaszczem i że stracha widzieć nie mogły. Potem wyszedłem cicho na podwórze, ażeby nocne światło zobaczyć. Księżyc nie świecił, ale gwiazdy błyszczały tak jasno, że na dziesięć kroków widać było wcale dobrze.

Bramą nie wchodził strach do domu, bo zamknięta była ryglami i Selim tam spoczywał. Byłem pewien, że ten hultaj rozmyślnie wybrał sobie tam legowisko, gdzie się widmo nie pokazywało. Duch przechodził bezwarunkowo przez mur ogrodowy, w którym znajdowały się wspomniane wylomy. Tam należało czekać na jego przyjście. Mimo to wolałem nie zajmować stanowiska w ogrodzie, gdyż duch był już może za murem, mógł mnie zobaczyć i wyrzec się dzisiejszej wędrówki. Poszedłem więc do sieni, by zobaczyć Selima. Nie było go jeszcze na miejscu, lecz schodził właśnie ze schodów z małą lampką w ręce, która matowe blaski rzucała na otoczenie. Zdumiałem się, kiedym zobaczył, w jaki sposób ten bohater przed duchem się zabezpieczył. Z obu ramion zwisały mu strzelby, przy lewym boku włókł się potężny pałasz, a długa, biała jego szata przepasana była teraz chustą, zza której wyzierały głównie kilku pistoletów i noży. W lewej ręce niósł lampę, a w prawej potężny kawał drzewa, mającego zastąpić pałkę. Na mój widok drgnął ze strachu tak, że lampa byłaby mu upadła na ziemię, gdybym jej był nie pochwycił i nie przytrzymał.

— Daj mi spokój, daj mi spokój, zły duchu, szatanie! — zawołał, a maczuga wypadła mu z ręki.

— Nie krzycz tak, Selimie! — odpowiedziałem. — Zdaje mi się, że mnie za ducha bierzesz.

To mówiąc, podniosłem lampę ku swojej twarzy. Kiedy mnie poznał, całą pierśią odetchnął i rzekł z wielką ulgą:

— Chwała bogu, że to ty jesteś, effendi, bo gdyby to był duch, zabiłbym go na miejscu.

— Prawdopodobnie pałką, którą rzuciłeś.

— Tak. Wypadła mi przy zamachu. Czy mój pan poszedł już spać?

— Tak.

— Wszyscy inni także, a ja chciałem tu właśnie zrobić sobie łoże.

Wziął mi z rąk lampę i poświecił ku bramie. Rozłożył tam na ziemi starą, słomianą rogożę i nakrył ją kocem, w który mógł się tak zawinać, że pewnie ani duch jego, ani on ducha nie mógłby zobaczyć.

— A gdzie znajduje się Murzyn? — spytałem.

— Na górze w przedpokoju kobiet, gdzie zatarasował się razem z nimi. Pan tu ze mną rozmawia a tymczasem lada chwila duch może nadejść.

— Szukałem ciebie. Chciałem się spytać, czy nie masz silnych sznurów lub rzemieni.

— Mam i zaraz przyniosę.

Przyniósł, czego żądałem a potem poradził mi, żebym się położył. Powróciłem do mego mieszkania i udałem się najpierw do tylnego pokoju, by się przypatrzeć dzieciom. Zasnęły mocno. Następnie udałem się do przyległej ciemnej izby i otworzyłem drzwi, wiodące na krużganek w dziedzińcu. Tu usiadłem na ziemi i czekałem z wielką niecierpliwością na zjawienie się ducha.

Wyznaję szczerze, iż życzyłem sobie jego przybycia, gdyż chciałem wiedzieć, czy mam słusność, domyślając się, że to człowiek, a może nawet przełożony bractwa. Jeśli by to był Abd el Barak, którego uważałem za silnego człowieka, to należało być ostrożnym i bardzo zwinnym zarazem. Musiałem zaskoczyć go niespodziewanie. Chciałem czekać na niego w pokoju oświetlonym, by się dowiedzieć, co uczyni, jeśli mnie pozna. Siedziałem tak dość długo, a minuty dłużyły mi się w kwadransie. Zwróciłem oczy w kierunku przejścia przez ogród i nagle usłyszałem w tej stronie szmer, z zacienionego krużganku wynurzyło się coś wąskiego, jaśniejszego od otoczenia i zaczęło się poruszać. Była to szara teraz a więc prawdopodobnie biało ubrana postać. Wyszła z krużganku na otwarty dziedziniec. Nie była jednak sama, gdyż za nią szła druga a potem trzecia. Byłyby to aż trzy strachy? W takim razie położenie moje nie byłoby całkiem bezpieczne.

Pierwsza postać zwróciła się na lewo ode mnie, ku pokojom Turka. Zanim odeszła, podniosła w górę rękę na znak dla tamtych dwu, które natychmiast wszczęły hałas, podobny do wycia i świstu wichru. Usta nie mogły tego dokonać; zapewne duchy rozporządzały jakimiś nie znanymi mi instrumentami. To, co ci dwaj teraz robili, było dla mnie rzeczą uboczną; musiałem zwrócić uwagę na pierwszego, który znajdował się w tyle przy drzwiach ostatnich. Prawdopodobnie odsuwał teraz rygiel w sposób, którego się domyślałem, ażeby wejść do pokoju. Stamtąd chciał przejść przez dalsze pokoje Turka, a na koniec musiał się znaleźć w moim mieszkaniu. Powinien mnie tam znaleźć w łożu. Toteż wstałem i poszedłem szybko do oświetlonego pokoju, zaryglowując drzwi za sobą. Położyłem się na poduszkach i przykryłem się kocem tak, że twarz była wolna. Murzynięta spały jeszcze mocno. Sznury wzięłem pod kołdrę.

Niedługo już czekałem; nadeszła chwila decydująca. Usłyszałem szmer pod drzwiami, wiodącymi do Murada, otworzono je i duch wszedł do środka. Odwrócił się najpierw i przy jasnym świetle ujrzałem w jego ręku jakiś cienki spiczasty przedmiot, który wetknął we wspomniane dziurki, ażeby zasunąć rygiel z tamtej strony. Musiał być bardzo pewnym siebie, skoro nie uważał za odpowiednie rozejrzeć się najpierw po moim mieszkaniu. Przymknąłem powieki tak, żeby się wydawało, że śpię twardo, mimo to jednak wszystko dobrze widziałem. Oddychałem przy tym spokojnie, starając się, żeby pierś moja podnosiła się lekko, ale widocznie.

Do głębi duszy wstydzilem się za Murada i nawet gniewałem się na niego. Ten duch nie wyglądał

wcale jak zwykły upiór. Ubrany był w długi biały burnus z kapturem, nasuniętym na głowę, a twarz miał przysłoniętą jasną chustą z otworami na oczy. Toż to nie strach, lecz człowiek, z postaci bardzo podobny do Abd el Baraka.

Na dziedzińcu zmieniło się wycie wichru w naśladowanie wszelkiego rodzaju głosów zwierzęcych, co było zaiste dziecinny sposób wywoływania trwogi przed strachami. Nie bardzo teraz jednak na to zważałem, gdyż mój strach zwrócił się od drzwi do wnętrza pokoju, rozglądając się po nim, i zwrócił się z wolna ku mnie. Zatrzymał się przede mną na krótką chwilę, ażeby mi się przypatrzeć. Pragnąłem zobaczyć jego twarz, było to jednak niepodobieństwem, ponieważ była zasłonięta, a ja nie mogłem powiek zbyt widocznie podnosić. Przez zasłonę rzęs widziałem tylko jego ręce pod burnusem. Czy rzeczywiście uważał mnie za śpiącego? Nie świadczyłoby to bardzo pochlebnie o jego inteligencji, gdyż zgiełk, czyniony przez towarzyszy ducha, musiałby zbudzić każdego. Teraz porzucił mnie i podszedł cicho do dzieci. Pochylił się i podniósł róg mego haika. Zobaczył dwoje czarnych i spostrzegłem odruch zdziwienia, którego nie zdołał pohamować. To mnie upewniło, że mam przed sobą Abd el Baraka.

Upuścił róg płaszcz i wrócił do mnie bez szmeru. Pochylił się nade mną tak, że chusta, zwisając prostopadle, odsłoniła mi jego dolną szczękę i usta. Prawa ręka wysunęła się spod burnusa, a w niej błysnęło ostrze noża. Niebezpieczeństwo śmierci nade mną zawisło i nie mogłem się wahać już ani jednej chwili dłużej. Błędem byłoby, gdybym się podniósł, bo właśnie mógłbym się nadziać na nadstawiony nóż. Stoczyłem się zatem błyskawicznie z poduszki pod jego nogi i podniosłem je tak, że upadł na twarz. Nóż wypadł mu z ręki, a on sam legł głową i piersią w poprzek poduszek. W następnej chwili byłem już na nim, ścisnąłem go lewą ręką za gardło, a prawą zadałem mu kilka uderzeń w tył głowy. Wykonał słaby kurczowy ruch, którym się jednak nie mogłem wyswobodzić i leżał przez kilka sekund cicho, co pozwoliło mi owinać mu sznur dookoła korpusu i rąk. Zaczął wtedy wierzgać nogami, ale bezzwłocznie związałem mu je drugim powrozem, tak, że zupełnie skrępowany znajdował się w mojej mocy. Potem zdarłem chustę i, zgodnie ze swoim przewidywaniem, spojrzałem w twarz Abd el Baraka.

W oczach jego iskrzyła się wściekłość, lecz nie rzekł ani słowa. Było mi to bardzo na rękę, bo chciałem, ażeby dzieci spały. Musiałem wyjść, a bojąc się, żeby ich groźbami nie zmusił, by go uwolniły od sznurów, ścisnąłem go za gardło, a kiedy usta otworzył, aby tchu nabrać, wsunąłem mu w nie róg chusty.

Odciągnąwszy go jeszcze dalej od dzieci, ażeby nie mógł zatoczyć się do nich, wyszedłem na krużganek, nie wprost jednak, ale przez nie oświetlony pokój, aby mnie strachy nie dostrzegły. Wziąłem z sobą ciężką rusznicę, żebym w razie potrzeby miał się czym bronić.

Obydwaj hultaje hałasowali jak przedtem. Zobaczyłem, że, chcąc uchodzić za zwierzęta, zaczęli łaźić na rękach i nogach. Pochyliwszy się, jak mogłem najniżej, jąłem się ku nim skradać. Ubranie miałem dość ciemne, tak że od otoczenia odróżnić mnie nie mogli. Kiedy do jednego z nich zbliżyłem się na siedem do ośmiu kroków, podbiegłem ku niemu i powaliłem go jednym uderzeniem kolby. Zawył lecz nie podniósł się z ziemi. Drugi, ostrzeżony tym krzykiem, zerwał się na równe nogi. Ujrawszy mnie, zaczął uciekać. Pospieszyłem za nim wzdłuż pustego basenu, potknąłem się jednak o kamień, który wypadł z ocembrowania, przy czym strzelba dostała mi się między nogi i z rąk mi wypadła. Zostawiłem ją oczywiście i popędziłem za uciekającym chajalem. Był on, niestety, lepiej

obznajomiony z miejscowością niż ja i wyprzedził mnie znacznie, co zmusiło mnie do tym większego pośpiechu. Biegł na przełaj przez ogród, po kupach rumowiska i przez zarośla zielska ku murowi. Właśnie wdrapywał się na szczyt muru, chcąc się z ogrodu wydostać, kiedy ku niemu nadbiegłem i jeszcze na czas pochwyliłem go za nogę i ściągnąłem na ziemię. Stało się to tak gwałtownie, że straciłem równowagę i upadłem na ziemię pod niego. Dobył noża i zamierzył się do pchnięcia. Uderzyłem go jednak silnie w przedramię i w ten sposób odparowałem cios. Nóż przeszedł mi między korpusem a ręką, ja zaś, nie tracąc czasu, uderzyłem przeciwnika od dołu pięścią w nos, a drugą ręką usiłowałem przytrzymać jego uzbrojoną pięść. Ból, sprawiony szczutkiem w nos, podwoił jego siły i wyrwał się z rąk moich. Ażeby ująć ponownemu pchnięciu, rzuciłem się w bok, po czym zerwałem się z ziemi. On jednak wolał nie próbować dalszego szczęścia w walce, ucieczka wydała mu się korzystniejsza. Zanim zdołałem przebiec odległość jego od siebie, wydostał się na mur i skoczył na drugą stronę. Usłyszałem, że pobiegł cwałem. Niechaj sobie ucieka, pomyślałem zadowolony, że uniknąłem jego noża, i wróciłem na podwórze. Tam leżał strach drugi tak jak padł od uderzenia kolby. Zbadałem jego pas i znaleziony w nim nóż schowałem do kieszeni, po czym udałem się do sieni, gdzie leżał waleczny Selim. Usłyszawszy moje kroki, jął z przerażeniem odmawiać znaną modlitwę pielgrzymów do Mekki.

— O Allach, chroń mnie przed trzykroć ukamienowanym diabłem, broń mnie przed wszelkimi złymi duchami i zamknij otchłań piekieł przed moimi oczyma.

— Nie skomlij, ale wstawaj czym prędzej! — rozkazałem mu. — To ja jestem!

— Ty jesteś? A któż to taki? — zabrzmiało spod kołdry, którą się owinał. — Ja wiem, kto jesteś! Przejdź obok mnie, gdyż jestem ulubieńcem proroka i ty nie masz mocy nade mną.

— Głupiś! Czyż mnie po głosie nie poznajesz? Jestem obcym effendim, który mieszka u was w gościnie.

— Nie kłam, bo nim nie jesteś. Przybrałeś tylko głos jego, by mnie oszukać, ale ręce świętych kalifów wyciągnięte są dla mojej obrony, a w raju modlą się za mnie ust tysiące. O Allach, Allach, zmniejsz moje grzechy, żebyś ich nie mógł zobaczyć, i dopomóż mi do pokonania złego ducha, który zapuszcza już w kark mój pazury.

Ten człowiek, który ośmielał się iść w zawody z bohaterami wszechświata, był, jak się okazało, pierwszej próby mazgajem. Perswazje nic nie pomogły. Nie bojąc się tego, że skorzysta ze swego arsenału, odwinąłem go i jęczącego ze strachu wywlokłem na dziedziniec. Dopiero, kiedy mnie poznał przy świetle gwiazd, wyprostował się dumnie i powiedział:

— Effendi, na co się odważyłeś!

— Na nic!

— Na bardzo wiele! Dziękuj Allachowi, że jeszcze żyjesz! Poznałem cię natychmiast po głosie. Gdybym cię był uważał za ducha, dusza twoja, jako dym, opuściłaby ciało, gdyż jestem straszliwy w gniewie, a okropny w złości!

— Więc nie boisz się stracha?

— Ja i bać się! Jak możesz o to pytać. Poszedłbym w zawody ze wszystkimi duchami i smokami piekieł.

— Bardzo mi to na rękę, gdyż pomożesz mi zanieść ducha do mojej izby.

— Ducha? — zapytał, skurczywszy się we dwoje. — Żartujesz panie! Kto nosi ducha?

— Ja to potrafię, a i ty także. Tam leży, popatrz! Zaniesiemy go do pokoju.

Poszedł wzrokiem w kierunku mojej wyciągniętej ręki i zobaczył jasno odzianą postać, leżącą na ziemi.

— Pomóż nam, Panie! Daj nam swoje błogosławieństwo! — zawołał, wyciągając obie ręce. — Ani rozkaz padyszacha, ani przykazanie, ani ustawa nie zawiedzie mnie tam, gdzie leży ten najwyższy z diabłów!

— Toż to nie duch, lecz człowiek.

— Ale nazwałeś go strachem.

— Bo udawał widmo, by nam strachu napędzić.

— A więc powiedz mi pierwej, gdzie mieszka jego plemię, jak nazywa się ojciec jego i ojciec ojca jego. Inaczej nie mogę uznać go za człowieka.

— Głupstwa pleciesz, Selimie! On jest człowiekiem. Zwyciężyłem go i powaliłem kolbą na ziemię. A tam w mojej izbie leży drugi, którego podobny los spotkał.

— W takim razie jesteś zgubiony. Oni dali się pozornie zwyciężyć, aby tym łatwiej na ciebie wpaść, duszę twoją rozszarpać w kawałki i rozrzucić na cztery strony świata.

— Więc wracaj na swoje łóżce i wleż pod kołdrę, ale nie mów mi już nigdy, że jesteś największym bohaterem plemienia.

Zostawiłem Selima, a sam poszedłem do ducha i wzięwszy go na barki, zaniósłem do swego pokoju, gdzie go położyłem na ziemi. Za chwilę nadszedł tchórzliwy Selim i zaglądnął przez na pół przymknięte drzwi. W leżącej na ziemi postaci poznał Abd el Baraka i wsuwając ostrożnie jedną nogę do izby, spytał zdumiony:

— Czy to nie Abd el Barak, przełożony świętej Kadiriny? Jakże się on tu dostał i kto nałożył mu pęta?

— Ja, gdyż, jak widzisz, Abd el Barak jest duchem, który straszył w tym domu. Przyszedł do mnie i chciał mnie pchnąć nożem, musiałem go przeto uczynić nieszkodliwym. Były tu jeszcze dwa inne duchy; tego powaliłem, a drugi uciekł mi przez mur ogrodowy.

Teraz zaczęło się rozjaśniać w głowie największego bohatera szczepu. Wszedł już bez trwogi do mego mieszkania i stanąwszy przede mną, powiedział:

— Effendi, nie jesteś wprawdzie prawowiernym muzułmaninem, lecz Allach ma cię widocznie w szczególnej opiece. Inaczej byłbyś teraz trupem i leżałbyś na podwórzu sztywny jak drzewo, a powalony moją waleczną, niepokonaną ręką.

Wzruszyłem ramionami z uśmiechem, a on mówił dalej:

— Czy może wątpisz? Byłeś na dziedzińcu. Biada ci, gdybym cię był zobaczył i wziął za ducha. Moje ciosy zdruzgotałyby twoje kości, a zmiądzona dusza byłaby odeszła jak kawałek zmiętego papieru. Sam stwórca by cię nawet nie poznał i nie znalazłbyś dla siebie miejsca w krainach tamtego życia. Allach cię obronił i dlatego powinieneś porzucić chrześcijaństwo, a przyjmując wiarę prawdziwą, która czyni ze swych wyznawców bohaterów niepokonanych.

— Ażeby zostać takim jak ty bohaterem, nie potrzeba zmieniać wiary. Idź teraz po swego pana! Niechaj zobaczy, jakie to strachy chciały wypędzić go z tego domu.

— Zawołam go, lecz przedtem muszę sam pomówić z tym człowiekiem, który chciał w nas wmówić, że należy do państwa dusz zmarłych.

Zapomniał Selim na chwilę, że Abd el Barak, jako przełożony Kadiriny, posiadał wielką władzę. Samochwalstwo było drugą naturą chudeusza i chciał się nim teraz przy sposobności nasycić. Wyciągnął pięść do Abd el Baraka i zawołał:

— Byłeś już dawno oddany w te ręce. Przejrzałem cię i mogłem cię zdusić jak gąbkę, gdyby taka była moja wola. Zbyt dumny jednak jestem. Nie byłeś godny, aby cię moja ręka dotknęła i odstąpiłem cię temu oto effendiemu, który uporał się z tobą tak szybko, jak gdyby się moimi rękami posługiwał. Tyle jesteś dla mnie wart, co zdechła ropucha, albo ryba śmierdząca, której woni nie znoszę. Nigdy nie będziesz miał potomstwa, a i o twoich przodkach nikt nie będzie pamiętał. Kiedy umrzesz, dusza twoja będzie straszyla przez całą wieczność. Oto będzie nagroda za twoje czyny, podczas gdy moje wpisane zostaną do księgi bohaterów i żyć będą w pieśniach zwycięzców i zdobywców.

Po tych słowach wyszedł Selim z mego pokoju z taką wielką pompą, na jaką by się nie zdobył bohater teatralny, znikający za kulisami wśród frenetycznych oklasków publiczności. Abd el Barak odprowadził go wzrokiem, nie wróżącym niczego dobrego. Niewiele jednak na to zwracałem uwagi, gdyż trzeba się było zająć drugim strachem, który znaku życia nie dawał. Czyżbym go zabił? Zaniepokoiłem się trochę. Zbadałem jego czaszkę; była spuchnięta, ale nie rozbita, a serce biło wyraźnie i równo. Czyżby ten człowiek udawał, by przynajmniej na razie uniknąć upokorzenia? Ująłem go za gardło i ścisnąłem. W tej chwili otworzył szeroko oczy i w obawie, żebym go nie zadusił, zawołał chrapliwie:

— Na pomoc, na pomoc, o Boże, na pomoc! Duszę się, umieram.

Odjąłem rękę od jego szyi i zagroziłem:

— Kto udaje umarłego, niech umiera! Trzymaj oczy otwarte, jeśli nie chcesz, żebym ci je zamknął na zawsze! Upiory nie zasługują na miłosierdzie.

Czarne rodzeństwo obudziło się tymczasem. Siedziały dziecińy skurczone w kącie i patrzyły szeroko rozwartymi oczyma na zatrważającą je scenę. Kilka moich słów wystarczyło jednak, by je uspokoić zupełnie.

Teraz dopiero mogłem Abd el Barakowi wyjąć z ust knebel. O ile dotychczas obawiałem się, że może być dla mnie niebezpieczny z powodu sceny w piwiarni, to teraz zniknęły wszelkie powody do obaw. Miałem tego człowieka w rękę i byłem pewien, że nie będzie knuł przeciwko mnie niczego złego, przynajmniej otwarcie. O tym, że zyskałem w nim skrytego wroga, nie wątpiłem ani na chwilę. Selim, którego posłałem po Murada Nassyra, ukazał się teraz w drzwiach i oświadczył, że pan jego chce wpierv ze mną pomówić, zanim duchy zobaczy.

— Dobrze, pójdę pomówić z Muradem. Ty zaś, Selimie, zostaniesz tutaj przy więźniach.

— Słusznie, bardzo słusznie! — odpowiedział, kłaniając mi się po raz pierwszy od dnia poprzedniego, gdyż wśród wielkiego rozdrażnienia zapomniał zupełnie o zwykłej uniżoności.

— Spodziewam się, że mogę ci powierzyć tych jeńców? — rzekłem.

— Z całą pewnością, effendi! Zaduszę ich, jeśli choć jedno słowo powiedzą, albo ruch fałszywy uczynią. Możesz być pewny, że jestem stworzony na dozorcę takich złoczyńców. Jedno spojrzenie mego orlego oka wystarczy, by napęłnić ich największą trwogą i niepokojem. Pozwól mi jednak, bym się w broń zaopatrzył.

— Ależ to niepotrzebne, bo leżą skępowani.

Drugiego ducha związałem także.

— Wiem o tym dobrze, effendi, ale broń podwaja godność człowieka i dodaje powagi jego rozkazom.

Widać było, że się boi zostać sam na sam z tymi dwoma skępowanymi ludźmi. Zaczekałem chwilę, aż Selim sprowadził cały swój arsenał, po czym udałem się do mieszkania Murada Nassyra, do którego wszedłem po raz pierwszy. Urządzone było wykwintnie i wygodnie. Murad stał pełen oczekiwania i zaczął:

— Co się stało, effendi? Trudno mi uwierzyć w to, co słyszałem. Selim opowiedział mi o swoich bohaterstwach, ale w ten sposób, że większej części nie rozumiałem.

— Cóż ci on takiego opowiadał?

— Było osiem upiorów; dwa pan schwytał, a jeden panu umknął, on zaś walczył z pięcioma.

— I zwyciężył ich oczywiście!

— Nie. Z pańskiej winy musiał pozwolić im uciec.

— Z mojej? Dlaczego?

— Właśnie w chwili, kiedy był bliski zwycięstwa i kiedy strachy prosiły go o łaskę, odwołał go pan na dziedziniec, żądając pomocy.

To bujda, którą on wymyślił. Jego pięć strachów żyje tylko w jego wyobraźni, albo raczej kłamliwości; były tylko trzy, a z nimi miałem tylko ja sam jeden do czynienia.

— I Abd el Barak znajduje się rzeczywiście między nimi?

— Tak.

— To nie do uwierzenia. Kto by to pomyślał!

— Niech sobie pan przypomni, że zaraz w pierwszej chwili podejrzewałem Abd el Baraka o udział w tych nocnych wędrówkach.

— Nic sobie nie przypominam.

— Czyż nie powiedziałem panu, że duch będzie się mnie] obawiał i że go już widziałem? Miałem na myśli Abd el Baraka. Domyślałem się, że to on ten dom niepokoi, ażeby wypędzić gospodynię a potem i lokatorów i przyspieszyć w ten sposób przejście budynku na własność świętego bractwa.

— Więc pan się tego naprawdę domyślał? Mnie nie przyszłoby to nigdy na myśl. To straszne! Ale teraz opowiedz pan, jak się to wszystko odbyło, gdyż słowom Selima nie mogę wierzyć.

— Pewnie, bo jego wyobraźnia jest po prostu fenomenalna. Opowiedziałem mu, co się stało, jak mogłem najkrócej i najprościej, mimo to niełatwo mi uwierzył. W głowie mu się nie mogło pomieścić, że taki człowiek, jak Abd el Barak, przyjął na siebie tak nikczemną rolę. Wezwałem go, żeby przekonał się naocznie, a on odparł:

— Zanim udam się do tego człowieka, muszę wiedzieć, co uczynimy z nim i z jego pomocnikiem. Zamierzasz pan puścić ich wolno?

— Właściwie powinniśmy donieść o całej sprawie władzy.

— Niech nas Allah broni. Zawiadomienie władzy o tej igraszce strachów nie byłoby niczym innym, jak narażeniem się całej Kadirinie, a tego bądź co bądź muszę unikać, nie chcąc się narażić na ogromne straty. Moje stosunki handlowe z Egiptem byłyby wkrótce pewnie zerwane. I to nie tylko z Egiptem, bo Kadirina jest rozgałęziona po całej Afryce północnej i wpływy jej sięgają nawet w głąb Sudanu. I panu nie radzę narażać się tak potężnemu stowarzyszeniu. Jestem pewien, że nie zobaczyłbyś pan już swojego kraju.

— Muszę panu przyznać słuszość, niestety. Sądzę, że w ogóle nie należy podawać tej sprawy do wiadomości publicznej, w każdym razie jednak nie możemy puścić tych drabów wolno, gdyż usiłowałiby zemstę na nas wyrzucić. Musimy wprzód przed tą zemstą w jakiś sposób się zabezpieczyć.

— Moglibyśmy wymóc od nich formalne, pisemne oświadczenie.

— Zapewne, pisemne oświadczenie, podpisane przez Abd i Baraka, jakąś wartość mieć będzie. Zrobimy z niego użytek, jeśli bezpośrednio wrogo przeciwko nam wystąpi lub jeśli się dowiemy, że poszczuł przeciwko nam Kadirinę.

— A więc dobrze. Niechże pan tylko oświadczenie ułoży. Papier i wszystko inne jest w domu.

Zamieniwszy na ten temat kilka jeszcze uwag, udaliśmy się do mojej sypialni, gdzie przed pojmanymi stał Selim ze strzelbą na ramieniu i z groźną miną. Wchodząc, usłyszałem go mówiącego:

— A więc nie sądźcie, żebyście mogli zemstę na nim wyrzucić. Zbyt on rozsądny, aby nie poszedł za dobrą radą, którą mu dałem.

— O kim ty mówisz? — zapytałem, gdyż uderzyły mnie te przechwałki. Odnosiły się one pewnie do mnie, do jakiegoś mego postanowienia, które mi miał doradzić. Przybrał minę zakłopotania i zawahał się z odpowiedzią.

— No dalej! — rozkazałem mu. — Czy może mówiłeś o mnie?

Skłonił mnie do postawienia tego pytania zwrócony na mnie szyderczy wzrok Abd el Baraka.

— Nie, nie o tobie mówiłem — odpowiedział wreszcie. — o Muradzie Nassyrze. Udaje on się pod moją osłoną do Chartumu i nie ma powodu bać się tych ludzi.

Jesteś papla i powinieneś raczej ćwiczyć się w milczeniu, aniżeli każdemu opowiadać zmyślane historyjki. Idź do drzwi haremu i powiedz Murzynowi, co się stało, ażeby się nasze współlokatorki nie przestraszyły, widząc, że nie śpimy.

Odesłałem go, by nie był świadkiem naszych układów z Abd el Barakiem. Jeśli ten Selim posunął się tak daleko, że mu powiedział, iż jutro opuszczam Kair z Murzyniętami, musiałem się z góry przygotować na wszelkiego rodzaju przeszkody i niebezpieczeństwa. W ciągu ubiegłego dnia miał Selim być w porcie i wyszukać mi statek, dotąd jednak, myśląc ciągle o strachu, nie znalazłem sposobności, aby go zapytać o wynik poszukiwań. Gdy wyszedł, rozwiązałem Abd el Baraka tak, że mógł się ruszać i usiąść, wydobyłem rewolwer i zagroziłem:

— Na razie jesteś jeszcze upiorem, do którego strzełę, jeśli wykona jakikolwiek ruch niedozwolony przeze mnie. Spodziewam się zatem, że zostaniesz w tej samej pozycji.

Spojrzał na mnie wzrokiem, w którym nie było nic prócz zwierzęcej wściekłości. Potem drgnęły mu grube wargi uśmiechem wyższości i odpowiedział:

— Jeśli masz jakie rozkazy dla potężnego mokkadema świętej Kadiriny, to mów.

— Nie mam prawa rozkazywać ci tak, jak ty mnie, lecz mam zamiar przedłożyć ci kilka propozycji.

— Słucham!

Skrzyżował dumnie ręce na piersi i przybrał minę i postawę panującego, który nisko stojącemu poddanemu udziela łaskawie posłuchania. Miałem wielką ochotę dać mu pięścią w twarz, by mu przypomnieć, że nie on tu rozkazuje, lecz w danych okolicznościach musiałem zapanować nad oburzeniem. W ogóle dzień ten dał mi sposobność porównania wpływu islamu i chrześcijaństwa. Jaką miłością, łagodnością, pokorą i uprzejmością odznaczają się członkowie chrześcijańskich kongregacji, a jak pysznie, zajadle i zuchwale zachowywał się ten kierownik muzułmańskiego bractwa! I tacy oni wszyscy, ci nieświadomi muzułmani, których nabożność okazuje się w bezmyślnym odklepywaniu kilku pacierzy. To ludzie zawzięci, nie będący w stanie zrozumieć drugich i patrzący z góry nawet na swoich współwyznawców, jeżeli ci nie są członkami bractwa.

„Słucham”! Brzmiało to tak wyniośle, jak gdyby ten udawacz strachów był duchem samego proroka, który zstąpił na ziemię. Z trudem przezwyciężyłem się, by mu powiedzieć spokojnie:

— Czy ty znasz kutub* el Kadirinie, które w pisanych zeszytach rozchodzą się wszędzie, gdzie mieszkają członkowie naszego bractwa?

— Znam je — potwierdził.

— Kto je pisze?

— Każdy pisarz może ułożyć taki zeszyt.

— No dobrze. Jestem muallif i chciałbym napisać taki zeszyt.

— Ty? — roześmiał się. — Jesteś giaurem!

— Radzę ci, byś drugi raz tego przezwiska nie powtórzył. Poznałeś już, jaką karą odpowiadam na taką obelgę. Jeśli ja kutub napiszę, to go ludzie będą czytali; już ja się o to postaram! Tytuł będzie brzmiał: Abd el Barak, el džinni, Abd el Barak strachem, a wszyscy czytelnicy dowiedzą się, jaką nędzną rolę odegrał tu dziś słynny mokkadem pobożnej Kadiriny.

— Spróbuj! — zawołał gwałtownie.

Gniew jego przekonał mnie, że plan miałem dobry. Gdybym mu zagroził policją i sądem, zapewne mniej by sobie z tej pogroźki robił, aniżeli z takiego zawstydzenia wobec towarzyszy bractwa. Tylko w ten sposób można go było skłonić do ustępstw.

— Nie narażam się przy tym na nic — oświadczyłem z zimną krwią. — Zniszczę cię w oczach wszystkich towarzyszy i utracisz tym samym wszelką moc zemsty nade mną. Ze względu jednak na zacnych członków bractwa, chciałbym Kadirinie oszczędzić tej hańby, jaką ty na nią ściągnąłeś. Być

może, że odstąpię od mego zamiaru, jeśli mi udowodnisz, że żałujesz tego, co się stało i że wyrzekasz się wszelkiej zemsty na nas.

Na wspomnienie żalu drgnął ze złości, lecz zapanował nad gniewem i rzekł stosunkowo spokojnym tonem:

— Na czym ma polegać ten dowód?

— Po pierwsze, oświadczysz, że się wyrzekasz wszelkich praw do tych dzieci murzyńskich.

— Wyrzekam się — odparł natychmiast, machnąwszy wzgardliwie ręką. Groźba moja podziałała więc tak, że ten warunek wydał mu się czymś bardzo drobnym.

— Ażebym był całkiem pewny, dasz mi pisemne pokwitowanie, że kupiłem dzieci od ciebie.

— Otrzymasz je.

— Następnie dasz mi list polecający do wszystkich członków Kadiriny, żeby mi pomocy i obrony udzielili w podróży.

— Napiszę ci go.

Powiedział to tak samo szybko, jak odpowiedzi poprzednie. Zdawało mi się, że dosyć wiele od niego wymagam, trudno mi więc było uwierzyć, że się zupełnie szczerze na wszystko godzi. Patrzył na mnie z boku w sposób potęgujący moje wątpliwości. Wietrzyłem podstęp, nie miałem jednak czasu do namysłu, więc mówiłem dalej:

— A w końcu sporządzimy krótkie pismo, zawierające opowiadanie tego, co się tu dzisiaj stało. Pismo to musisz podpisać.

Na to wybuchnął ze złością:

— Na życie proroka; tego nie zrobię!

— Nie przysięgaj na Mahometa, gdyż nie dotrzymasz, nie będziesz mógł dotrzymać przysięgi.

— Dotrzymam jej! Na co ci potrzebny mój podpis? Co uczynisz z tym pismem?

— Jeśli nie wystąpisz wobec nas wrogo, nikt go nie zobaczy, lecz gdy zechcesz nam szkodzić, zrobimy z niego użytek. Tu w Kairze są jeszcze inne bractwa. Ich mokkademów zwołam tutaj natychmiast. Ci ludzie zobaczą ciebie i dowiedzą się, w jaki sposób do nas przyszedłeś. Potem dowiedzą się niebawem wszyscy, że twa pobożność polega na udawaniu upiorów.

To był ostatni i najwyższy atut, jakim rozporządzałem, nie chybił też zamierzonego celu. Abd el Barak patrzył chwilę tępo przed siebie, wreszcie zawołał:

— Muszę wstać; nie mogę teraz siedzieć!

Zerwał się i w wielkim wzburzeniu zaczął przechadzać się po pokoju. Potem stanął przede mną i zapytał:

— A jeśli uczynię wszystko, czego ode mnie żądacie, czy puścicie nas obu bez przeszkody?

— Tak.

— I to ostatnie pismo pokażecie dopiero wtedy, gdy zauważycie, że chcę wam szkodzić?

— Tak.

— Na moją duszę i na dusze moich przodków, jesteś człowiekiem, którego strzec się należy.

— Liczysz sobie przodków aż do proroka, bo zawsze nosisz turban zielony, o ile nie udajesz stracha. Gdybyś się wzbraniał przystać na moje żądania, naraziłbyś siebie i wszystkich swoich przodków na nieuchronną hańbę. Strzeż się!

— Dzień twego urodzenia był dla mnie dniem nieszczęścia. Przystanę i spełnię twoje życzenia. Pisz zatem, co masz pisać! Ja się pod tym podpiszę!

Abd el Barakowi jakby kamień spadł z serca, uspokoił się i usiadł. Ja uczyniłem to samo a Murad Nassyr przyniósł papier, atrament i pióro trzcিনowe. Upłynęło sporo czasu, zanim potomkowi proroka wszystkie pisma przedłożyłem. Podpisał je, nie czytając wcale, po czym wstając z krzesła rzekł wzdychając głęboko:

— A więc jesteśmy gotowi. Rozwiążcie teraz tego człowieka i puśćcie nas wolno!

Uwolniliśmy drugiego ducha z powrozów i odprowadziliśmy obydwu do bramy, którą Selim otworzył. Zaledwie jednak Abd el Barak znalazł się na ulicy, odwrócił się do nas, złożył mi ukłon i rzekł szydrczo:

— Niech cię Bóg strzeże, niech cię Bóg chroni! Prawdopodobnie zobaczymy się niebawem.

To powiedziawszy, odszedł spieszenie ze swym towarzyszem. Powróciłem do mego pokoju, a Nassyr udał się do siostry, która niewątpliwie z wielką ciekawością czekała na jego opowiadanie. Papiery schowałem sam, nie myśląc dawać ich do przechowania Turkowi. Nie ufałem jego rozwadze, a z zachowania się Abd el Baraka, zwłaszcza z ironicznego pożegnania, należało wnosić, że knuł jakieś podejrzanе zamiary, wobec których trzeba się było mieć na baczność. Rozmyślania moje przerwało nadejście Selima, który przyszedł, aby się dowiedzieć, czy jeszcze go potrzebuję i czy może się położyć.

— Odpowiedz mi na kilka pytań — rzekłem do niego. — Czy znalazłeś dla mnie okręt, odchodzący dzisiaj z Bulaku w górę Nilu?

— Tak, znalazłem najlepszy i najszybszy i zamówiłem miejsca dla ciebie i Murzynów.

— To nie było rozumne. Po co ma ktoś już teraz wiedzieć, czy przyjdę sam, czy nie. Czy

powiedziałeś, kto jestem?

— Musiałem powiedzieć, bo kapitan pytał mnie o to.

— Cóż to za statek?

— Dahabieh, bardzo szybko, jak się zdaje, płynąca, gdyż nazwano go „Semek”.

— A teraz jeszcze jedno; rzecz główna! Czuwając nad jeńcami, rozmawiałeś z Abd el” Barakiem. Czy powiedziałeś mu, że dziś opuścę miasto „Semekiem”.

— Nie, nie powiedziałem ani słowa.

— Mów prawdę, bo ta wiadomość jest dla mnie niezmiernie ważna. Nie rozgniewam się na ciebie, jeśli się przyznasz, żeś się niepotrzebnie wygadał.

Przyłożył obie ręce do serca i rzekł tonem największej szczerości.

— Effendi, nie obrażaj mej pobożnej duszy, sądząc, że cię okłamuję. Jesteś przyjacielem mego pana, więc służę ci tak wiernie, jak jemu. Urodziłem się jako syn milczenia, a z ust moich wychodzi tylko mowa miła Allahowi i świętym kalifom. Przysięgam ci, że nie powiedziałem ani słowa.

— Dobrze! — rzekłem, chociaż wątpiłem w jego prawdomówność. — Kiedy dahabieh opuści przystań?

— O godzinie trzeciej, to jest wtedy, kiedy wszyscy prawowierni muzułmani wyruszają w podróż.

— A gdzie ten okręt stoi na kotwicy? Czy jest w pobliżu kawiarnia, z której można by go widzieć?

— Niedaleko od portu znajduje się kawiarnia z obszerną werandą, z której widać między innymi okrętami także i ten, o którym mówimy. Jeżeli chcesz, zaprowadzę cię tam natychmiast.

— Dziękuję ci. Na razie nigdzie się nie wybieram. Sądzę, że powiedziałeś prawdę, w każdym razie jednak zastanów się nad tym, że człowiekowi, który raz skłamię, nigdy się na przyszłość nie ufa.

— Słusznie, bardzo słusznie! — przyznał mi, przy czym ukłonił się tak nisko, że brzegiem turbanu prawie ziemi dotknął, i wyszedł.

Po jakimś czasie przyszedł do mnie Nassyr. Czuł potrzebę pomówienia jeszcze raz o tym, co się stało, przy czym okazało się, że uważał teraz Abd el Baraka za nieszkodliwego.

— Przekonał się, że nie myślimy żartować — rzekł — podpisał się i z pewnością będzie się starał o to, abyśmy nie potrzebowali zrobić użytku z broni, którą przeciw niemu rozporządzamy.

— Jestem innego zdania. Przypuszczam, że Abd el Barak będzie się starał wydobyć od nas dokumenty przez siebie podpisane i w danym razie żadnym środkiem nie wzgardzi, przy pomocy którego mógłby swego dopiąć. Czy pana nie uderzył ton, jakim pożegnał się z nami?

— Tak, zauważyłem, że słowa jego były przepelnione złością.

— Raczej szyderstwem. Dziwna mi się wydaje także ta łatwość i szybkość, z jaką się zgodził na podpisanie listu polecającego. Domyślam się w tym wszystkim zasadzki, którą poznamy może nawet dziś jeszcze, bo Abd el Barak prawdopodobnie wie, że ja dzisiaj odjeżdżam. Jestem pewny, że mu to Selim powiedział. Musimy się przekonać, czy na nasz statek nie wsiądzie także mokka.

— Kto ma to zbadać?

— Ja nie, gdyż o mnie chodzi, Selim nie zasługuje na zaufanie, a także i pańskiemu Murzynowi nie można tego wywiadu powierzyć.

— Pójdę więc sam i to będzie najlepsze.

— Zapewne. Statek zowie się „Semek” i widać go, jak zapewniał Selim, z pobliskiej kawiarni. Zadanie pańskie wymaga czujności i dlatego radziłbym panu wypocząć i udać się teraz na spoczynek. Strachów już nie ma i snu chyba nikt nam nie przerwie.

Pożegnałem Nassyra i sam także udałem się na spoczynek, uspiwszy wprzód moich pupilów. Tym razem zgasilem światło. Gdy się zbudziłem, było już prawie południe. Selim przyniósł nam śniadanie i oznajmił, że pan jego wyszedł wcześniej i że przysłał do domu dla mnie rozmaite przedmioty. Kiedy je zobaczyłem, nabrałem przekonania, że jednak Turek nie był takim samolubem, jak mi się przedtem zdawało. Zakupił nie tylko żywność, lecz inne rzeczy, mające mi ułatwić nilową podróż. Chodziło jeszcze przede wszystkim o koszty podróży. Jeśli bym je sam miał pokryć, kasa moja opróżniłaby się do dna, co w przyszłości mogłoby się dla mnie okazać groźne. Nassyr nie wrócił w południe do domu i, jak mógł, wytrwał sumiennie na stanowisku. Pokazał się dopiero o drugiej, kiedy już byłem gotów do drogi. Zakupy Turka tak powiększyły moje pakunki, że musiałem posłać po posługacza. Między podarunkami znalazł się nawet ładny cybuch i haftowany kapciuch z tytoniem. Już na wychodnym oznaczyliśmy Sijut, jako miejsce spotkania, w którym się miałem zatrzymać. Obserwując statek, Nassyr nic podejrzanego nie zauważył. Sam nawet był na pokładzie, aby podróż za mnie zapłacić, ale i tam nic osobliwego nie wpadło mu w oko. Obstawał więc przy swoim zdaniu, że moja ostrożność i obawa są zbyteczne. Doświadczyłem jednak już nieraz, że południowiec niełatwo przebacza urazę. Abd el Barak zaś doznał czegoś więcej aniżeli zwyczajnej przykrości.

Obyczaj wschodni nie pozwalał mi powiedzieć Letafie: „bądź zdrowa” a włosodajną Fatmę opuszczałem nawet z ochotą. W bramie pożegnałem Selima, dając mu dobrą radę:

— Gdyby w mej nieobecności duch znowu przyszedł, to nie jęcz, tylko bij tęgo! A nie bierz znowu trzech upiorów za ośmiu. „Największy bohater szczepu” nie powinien bezwarunkowo widzieć więcej nieprzyjaciół przed sobą aniżeli ich jest w istocie.

— Słusznie, bardzo słusznie — odpowiedział, kłaniając się karkołomnie i przytykając do ust moją rękę. Arabski muzułmanin całujący rękę niewiernego to nieczęsty wypadek. Mimo krótkiego czasu polubił mnie widocznie, a ja postanowiłem na przyszłość patrzeć przez palce na jego przywary.

Rozdział II

Reis effendina

Murad Nassyr odprowadził mnie i dzieci. Posługacz szedł przed nami. Kiedyśmy się dostali na statek, skończyła załoga właśnie modlitwę południową i zabierała się do rozwinięcia wielkiego żagla. Uścisnąłem Nassyrowi rękę, podziękowałem mu za towarzystwo i wskoczyłem razem z czarnymi na pokład. Wkrótce wiatr wydał żagle i dahabieh zwróciła dziób ku środkowi rzeki. Po kilku pożegnalnych skinieniach odwróciłem się od brzegu, by się przywitać z resem*. Zbliżywszy się do mnie, uklonił się bardzo grzecznie i nawet podał mi rękę, po czym zaprowadził mnie do mojej kajuty. Kajuta znajdowała się w tylnej części okrętu, a od pokładu dzieliła ją wisząca rogoża słomiana, zastępująca drzwi. Zauważyłem tam coś w rodzaju materaców, a ponieważ w koce zaopatrzył mnie Nassyr, mogłem urządzić się wygodnie z moimi małymi, czarnymi towarzyszami podróży. Miejsca było tu dość, choć nie za wiele. Ku mojemu zdziwieniu, zastałem tuzin flaszek, ustawionych wzdłuż ściany. Reis powiedział, że to Turek je przysłał. Było to piwo pilzneńskie. Sympatia moja dla grubasa wzmagala się z każdą chwilą.

Właśnie odszedł był reis ode mnie a ja przystąpiłem do małej luki w kajucie, by rzucić okiem na ożywioną żaglami rzekę, kiedy usłyszałem za sobą głos:

— Effendi, czy pozwolisz mi przynieść tu swoje rzeczy, które hammal złożył tam na przedzie okrętu?

Odwróciłem się do mówiącego. Stał u wejścia do kajuty w tak uprzejmej, pokornej nawet postawie, że można było odpowiedzieć mu przyjaźnie, a jednak nie zdołałem tego uczynić. Oko jego patrzyło ostro spod brwi krzaczastych, a kąty wąskich warg opadały ku dołowi, jakby za chwilę miał wybuchnąć śmiechem szyderym, a nos...! Był on mocno spuchnięty i zabarwiony na żółto, czerwono, zielono i niebiesko. Jakim sposobem ten człowiek tak sobie twarz oszpecił? Mimo woli przyszedł mi na myśl duch trzeci, którego nos zetknął się tak silnie z moją pięścią. W duszy mej, skłonnej teraz do nieufności, zbudziło się podejrzenie. Kiedy rozwijano żagle, zanim okręt ruszył, śpiewali majtkowie: „Ah ia sidi Abd el Kader”. Jest to zwyczajny okrzyk muzułmanów, należących do Kadiriny. Czyżby reis tego statku, a z nim cała załoga, byli członkami bractwa? Czyżby Abd el Barak, który od Selima mógł się dowiedzieć, że popłynę na dahabieh, kazał reisowi wziąć na statek mego trzeciego stracha? Były to dla mnie pytania pierwszorzędne znaczenia. Nie zdradziwszy myśli moich wyrazem twarzy, zaskoczyłem tego człowieka nagłym pytaniem:

— Jak się nazywasz?

Zapewne spodziewał się, że na swoje zapytanie otrzyma w odpowiedzi słowo zgody: „tak”, usłyszawszy jednak coś innego, zawahał się na chwilę. Dlaczego? Czy miał powód do zatajania swego imienia?

— No, odpowiadaj! — przynagliłem surowo.

— Nazywam się Ben Szorak — odrzekł.

Powiedział to tak, jak gdyby wypuszczał przez usta pierwsze lepsze imię, które przyszło mu na myśl. Nazwisko takie jednak, jak Ben Szorak czyli syn Szoraka, bynajmniej mi nie wystarczało. Ten człowiek miał około pięćdziesiąt lat, więc musiał mieć własne imię, za którym pewnie następowało Ben Szorak. Nie zastanawiałem się jednak nad tym zbyt długo i pytałem dalej:

— Dlaczego się zgłaszasz do tej roboty?

— Ponieważ obsługuję podróżnych.

— Aha! Czy jesteś Arabem?

— Tak, z plemienia Maazeh.

— Jak długo służysz na tym statku?

— Od roku przeszło.

— Dobrze! Przynies mi rzeczy! Jeśli będę z ciebie zadowolony, otrzymasz obfity bakszysz.

Zależało mi teraz na tym, aby ten człowiek nie miał czasu zawiadomić drugich o danych mi odpowiedziach. Wszedłem więc na pokład. Reis stał w tyle obok sternika; przystąpiłem do niego i zadałem mu kilka pytań, odnoszących się do moich praw i obowiązków jako podróżnego. Potem spytałem, czy by nie zechciał przeznaczyć mi kogoś do małych posług. Reis odpowiedział nie przeczuwając niczego:

— Ten człowiek już przeznaczony. On zaniósł już do kajuty twoje rzeczy i znajduje się w niej jeszcze.

— Jak się nazywa?

— Barik.

— Czy to Beduin?

— Nie. Pochodzi z Minieh.

— Czy wierny i godzien zaufania? Jak długo jest na tym statku?

— Już od czterech miesięcy.

Wiedziałem dość. Ten upiór numer trzeci okłamał mnie i nie był nawet na tyle ostrożny, żeby omówić z załogą personalia. Nie ulegało wątpliwości, że przybył na statek jedynie w tym celu, aby mi w drodze towarzyszyć. Uderzyło mnie to, że bawił jeszcze w kajucie; czego tam szukał? Zbliżyłem się ostrożnie, nie chcąc go spłoszyć przedwcześnie, a potem wszedłem szybko do środka. Dzieci siedziały i obgryzały kilka daktyli, które im dał, by ich uwagę zaprzątnąć, a sam trzymał rękę w

wewnętrznej kieszeni mego haika, chcąc widocznie zbadać jej zawartość. Udałem, że tego nie zauważyłem i dałem mu jakieś drobne polecenie, z którym się musiał oddalić.

Jakże uzasadnione były moje obawy! Teraz zachodziło pytanie, jakie polecenie otrzymał od Abd el Baraka. Może otrzymał rozkaz, aby mnie w drodze zamordować? Tej ostateczności nie chciałem jeszcze przypuszczać. Prawdopodobniejsze było to, że miał mi wykraść dokumenty i może teraz właśnie szukał ich w kieszeni haika. Bądź co bądź nie znajdowałem się w położeniu godnym zazdrości i byłoby mi najprzyjemniej, gdybym mógł dahabieh bezzwłocznie opuścić. Postanowiłem zmienić okręt przy najbliższej sposobności, co zresztą wielkich trudności nie przedstawiało, statki te bowiem przybijają prawie regularnie co wieczora do jakiejś przystani i zawsze znajdzie się ich tam kilka. Nie sądziłem przy tym, żeby niebezpieczeństwo dziś już miało mi zagrażać. Zaniechałem na razie rozmyślań i zabrałem się do urządzenia mego małego pływającego gospodarstwa domowego. Należało przede wszystkim zabezpieczyć żywność przed szczurami, będącymi prawdziwą plagą tych statków. W czasie tego zajęcia wpadła mi w rękę paczka tytoniu. Otworzyłem ją i znalazłem na wierzchu papier złożony, a na nim napis: „pańskie koszta podróży do Sijut”. Pakiet był dosyć ciężki; kiedy go rozwinałem, zamigotało przede mną dwadzieścia suverenów, czyli przeszło pięćset koron. Mój gruby Murad Nassyr był sobie wcale niezłym Turkiem. Mieliśmy wprawdzie bardzo odmienne przekonania religijne, natomiast w kwestiach pieniężnych panowała widocznie między nami wzruszająca harmonia. Zachodziło tylko pytanie, do jakich usług chciał mnie tym zobowiązać. Wciąż jeszcze Nassyra podejrzewałem, że prowadzi takie interesy, na jakie zgodzić będzie mi się trudno. Jego twarz przybierała czasem wyraz taki, jaki można zauważyć tylko u ludzi, dla których każda droga dobra, jeśli prowadzi do celu. Jego zachowanie się wobec mnie było niewątpliwie skutkiem pewnej sympatii, to przyznać musiałem, równocześnie jednak przypuszczałem, że wiele także dałoby się wyjaśnić jego egoistyczną rachubą. Tego egoizmu jednak nie mogłem mu brać za złe, bo każdy człowiek na świecie jest w mniejszym lub większym stopniu egoistą. Ażeby żywność przed szczurami zabezpieczyć, zbudowałem z flaszek podstawę, na której położyłem wszystkie zapasy i wartościowe przedmioty. Pomagały mi w tym moje Murzynięta i okazało się przy tej sposobności, że były to dzieci zręczne i pojętne. Byłbym sobie oszczędził tej pracy, gdybym był przeczuwał, że pobyt mój na dahabieh nie przetrwa dnia jednego.

Wiał wiatr północny, jak zwykle o tej porze roku, i statek płynął dość szybko, dopóki słońce nie zniknęło na zachodzie i nie odmówiono mogrebu*. Potem jednak kazał reis płynąć tylko połową żagli, dahabieh posuwała się powolniej i zauważyłem, że ster skierowano ku lewemu brzegowi rzeki. Zwróciłem się do reisa i spytałem go o przyczynę tego manewru.

— Zatrzymujemy się w Gizeh — odpowiedział.

— Ale dlaczego? Dopiero rozpoczęliśmy drogę! Z jakiego powodu mamy ją już przerywać? Jeszcze nie ciemno i wkrótce ukażą się gwiazdy, a przy ich świetle moglibyśmy wcale dobrze płynąć do Atar en Nebi, Der el Tin, a nawet do Menil Sziba i do Der Ibn Sufgan.

— Skąd znasz te miejscowości? — spytał zdziwiony. — Kto ci o nich opowiadał?

Było to w moim interesie, żeby wiedział, iż nie jestem tak niedoświadczony, jak może sądził, więc odpowiedziałem:

— Uważasz mnie zapewne za nowicjusza? Nie po raz pierwszy tu jestem i przejeżdżałem już przez katarakty.

— W takim razie musisz wiedzieć, że każdy statek przybija do brzegu z nastaniem zmroku.

— Tak, ale dopiero wtedy, kiedy dalej z powodu ciemności płynąć już nie można. Teraz przecież nie noc i dziś w ogóle ciemno nie będzie, bo należy się spodziewać pięknego światła gwiazd, a także woda świeci. Moglibyśmy płynąć przez całą noc.

— Tego żaden ostrożny i doświadczony reis nie uczyni.

— I owszem. Ja sam to już przeżyłem. Żeglowaliśmy często przy blasku księżyca, albo przy świetle gwiazd przez całe noce.

Jeśli chciałeś zatrzymać się w Gizeh, to nie trzeba było w ogóle zaczynać dzisiaj podróży, zresztą wiesz chyba o tym, że każdy rozumny reis kieruje się życzeniami podróżnych.

— Pod tym względem nie ma żadnego przepisu. Jestem panem tej dahabieh i postępuję wyłącznie wedle własnego upodobania.

— W takim razie przygotuj się na to, że twoją niegrzeczność podam do publicznej wiadomości, a potem nie pojedzie z tobą nikt z Franków, którzy są najlepszymi podróżnymi i najlepiej płacą za wszystko!

— Niech nie jeżdżą! Na nic ich nie potrzebuję. Odwrócił się i odszedł i na tym skończyła się cała sprawa. To wczesne przybycie do lądu w Gizeh musiało mieć swój specjalny powód i było może w związku z planami Abd el Baraka, a zatem i z obecnością trzeciego ducha na statku. Miało stać się coś, czego nie chciano odwlekać i czego miano dokonać w pobliżu Kairu. Ale co to być mogło? Czy zemsta? Czy chcieli uprowadzić Murzynów? A może tylko zamierzali wydrzeć mi podpisy Abd el Baraka? Prawdopodobnie słuszne były wszystkie domysły razem, gdyż wszystkie te sprawy były ze sobą w ścisłym związku.

Co się tyczy Gizeh, jest to miejscowość, w której wysiadają ze statków podróżni, chcący oglądać piramidy, leżące w odległości ośmiu kilometrów od Kairu. Podczas wylewu wynosi ta odległość dwa razy tyle, gdyż trzeba wtedy ogromne obszary wodne wałami ziemnymi obchodzić. Miejscowość ta posiada żelazny obrotowy most przez Nil. Naprzeciwko wyspy Koda leży ogród haremowy i park selamliku. Oprócz tego znajdują się tu liczne w gruzy zapadłe bazary i ruiny dawnych willi mameluckich, wreszcie kilka kawiarni, których próg jednak niechętnie przestępuje noga Europejczyka. W Gizeh postanowiłem nocować nie na lądzie, lecz na statku, musiałem się jednak maskować i udawać, że chcę opuścić żaglowiec. Toteż, gdy dahabieh przybiła do brzegu, zarzuciłem na siebie haik, wziąłem dzieci za ręce i udawałem, jakbym miał zamiar wyruszyć. W tej chwili zbliżył się szybko reis i zapytał:

— Z jakimi się pan nosi zamiarami? Czy chcesz wsiąść, effendi, ażeby przespać się w Gizeh?

— Tak.

— Nie znajdziesz tam noclegu.

— Czemu nie? Płacę dobrze, więc przyjmą mnie w każdym domu.

— Ale my odpłyniemy bardzo wcześnie i jeśli zaśpisz, zostaniesz tutaj!

— Tego się nie obawiam, gdyż zawiadomię cię, gdzie będę i będziesz mógł po mnie posłać.

— Posyłać po ciebie nie mogę. Muszę uważać na wiatr poranny i odpłynąć natychmiast, skoro tylko wiać zacznie.

— Wszak przysłanie kogoś do mnie byłoby zwłoką zaledwie kilku minut.

— Nawet tak krótkiego czasu nie mogę marnować.

— Cóż cię teraz tak nagli, skoro przybiłeś tu do brzegu, chociaż mogłeś jechać dalej?

— Jestem resem i nie mam obowiązku wyłuszczać ci moich powodów. Chcesz iść, to idź, lecz nie każę cię wołać. Jeśli zobaczę, że gwiazdy świecą dość jasno, odpłynę nawet przed północą i trudno ci będzie nas dogonić.

— W takim razie muszę poddać się twojej woli i zostać tutaj. Niech ci Allah wynagrodzi uprzejmość, z jaką obchodzisz się z podróżnymi!

Powiedziałem to tonem niechęci i pokazałem mu umyślnie wyraz niezadowolenia. Na jego twarzy zaznaczył się przelotnie wyraz radości, udałem jednak, że tego nie dostrzegłem. Osiągnąłem cel, wiedziałem mianowicie, czego się mam spodziewać. Zależało mu na tym, abym nie opuszczał statku; zamierzono więc plan, przeciwko mnie zwrócony, wykonać jeszcze dziś w nocy. Było mi to na rękę. Wolałem, żeby się sprawa tu zakończyła, niż żebym miał trwać dłużej w niepewności.

Majtkom pozwolono na to, czego mnie zabroniono; mogli wysiąść na ląd. Przypatrywałem się, jak opuszczali okręt; poszli wszyscy i zostały tylko trzy osoby z załogi: reis, mój służący, z nosem jak karbunkuł, i sternik. Łatwo się domyślić, dlaczego pozwolono tym ludziom opuścić statek. Chciano się pozbyć wszystkich niepotrzebnych świadków.

Wkrótce wrócił służący do mnie do kajuty, by zapytać, czy sobie czegoś nie życzę. Zażądałem wody i lampy, by mieć ciągle ogień do fajki. Przyniósł jedno i drugie i wtedy mimochodem zauważyłem, że czuję się niedobrze i że z tego powodu nie opuszczę kajuty. Wyjąłem przy tym z kieszeni portfel i pokazałem mu, niby nieumyślnie, że znajdują się w nim papiery. Postąpiłem tak, aby całą sprawę przyspieszyć i wziąć na lep tych ludzi. Że miałem słuszość i że w sedno trafiłem, przekonałem się natychmiast, gdyż człowiek ten odpowiedział:

— Dobrze czynisz, effendi. Zostań w kajucie. Powietrze nocne szkodzi tu wielce obcym i niejedni już dostali nieuleczalnego zapalenia oczu, spędziwszy wieczór na dworze. Chroń więc światła oczu twoich! Czy będziesz mnie potrzebował dziś jeszcze?

— Nie. Zjem jeszcze kilka daktyli, wypalę dwie fajki i pójdę na spoczynek.

— W takim razie idę i nie przeszkadzam. Miej noc szczęśliwą.

Złożył mi ukłon głęboki, choć nie tak karkołomny, jaki składał Selim, i oddalił się, zapuściwszy rogożę, ażeby kajutę zamknąć od pokładu. Zaledwie to uczynił, zgasiłem glinianą lampkę, ażeby nie widziano mnie w ciemności, podniosłem rogożę i wyrząłem za nim. Wprawne oczy moje patrzyły bystrzej aniżeli oczy Arabów. Domyślałem się, że służący zawiadomi zaraz tamtych poczciwców o tym, co powiedziałem.

Na całym pokładzie nie było ani jednego światła. Zastępy gwiazd nie ukazały się jeszcze i tylko kilka ich zwiastunów migotało na niebie, nie mogąc rozjaśnić panujących ciemności. Nie objąłem wzrokiem całego pokładu, wiedziałem jednak, że w pobliżu mojej kajuty leżało kilka obszytych łykowymi rogożami tobołów z tytoniem, przeznaczonych na południe. Przypełznąłem więc tam na rękach i kolanach, jak mogłem najszybciej. Przypuszczenie moje sprawdziło się, kiedy się bowiem zbliżyłem usłyszałem rozmowę. Na prawo stał oparty o toboł jeden człowiek, a drugi stał obok niego. Posunąłem się nieco na lewo i położyłem się po drugiej stronie tobołów. Usłyszałem przy tym, jak jeden mówił do drugiego:

— Zaczekaj jeszcze! Nie należy dwa razy mówić o jednej rzeczy, skoro można powiedzieć raz tylko. Reis wkrótce nadejdzie.

— Gdzie on jest?

— Na brzegu. Udał się tam, chcąc przytwierdzić latarnię, aby muzabir*, który ma przyjść, nie potrzebował się błąkać.

Był to sternik i mój służący kajutowy. A zatem na ładzie wywieszono latarnię na znak dla kuglarza. Na co im ten człowiek potrzebny? Czy on tutejszy, czy też przybył z Kairu? Ciekawym wreszcie, czy sprowadzają go ze względu na mnie, czy też po to, aby zabawiał załogę? Takim ludziom darowują zazwyczaj koszty podróży, jako zapłatę za sztuczki.

Ponieważ leżałem na podłodze, a obramowanie pokładu sięgało prawie do wysokości moich piersi, nie mogłem widzieć brzegu, ani latarni. Natomiast rzekł służący, który stał prosto:

— Teraz się świeci. Wetknął żerdź w ziemię i przymocował do niej latarnię. Zaraz powróci.

Leżałem od strony rzeki, a reis musiał nadejść od strony lądu, więc spodziewałem się, że mnie nie zobaczy. Znajdowałem się w położeniu preriowego myśliwego, podchodzącego Indian. Pod tym względem miałem dość wprawy i byłem pewien, że dowiem się czegoś ważnego.

Reis wszedł na pokład i przeszedł go w poprzek. Zawołano go cichym „pst!”, a on, widząc ich obu, zapytał:

— No i co robi ten giaur, którego niechaj Allach w wiecznym pograży ogniu?

Brzmiało to cokolwiek inaczej, aniżeli uprzejme przywitanie, z jakim przyjął mnie na wstępie.

— Siedzi w swojej kajucie i pali fajkę — odpowiedział duch trzeci.

— Nie ma zamiaru wyjść?

— Nie. Czuje się niezdrów, chce wypalić dwie fajki, a potem zasnąć. Zresztą powiedziałem mu, że dostanie zapalenia oczu, jeżeli wyjdzie.

— To bardzo sprytnie z twojej strony. Bodaj by ten pies udusił się swoim tytoniem! Jak śmie taki trup śmierdzący porywać się na naszego mokkadema i kraść mu niewolników. Oby uschła ręka, która to uczyniła i oby nigdy nie wyzdrowiała. Czemu mokkadem, którego oby Allah otaczał swoją opieką, nie kazał ci zabić tego niewiernego?

— Tylko dlatego, żeby ciebie nie narażać na niebezpieczeństwo. W Kairze bowiem wiadomo wszystkim, że wsiadł na twoją dahabieh i gdyby zniknął, pociągnięto by ciebie do odpowiedzialności.

— To prawda, ale mógłbym powiedzieć, że wysiadł po drodze, a przypuszczam, że wszyscy ludzie moi potwierdziliby to zgodnie.

— Masz wśród nich kilku, którym ufać nie można, bo niedługo są jeszcze u ciebie. Dlatego radziłem ci oddalić ich teraz ze statku. Po co mają wiedzieć, że muzabir przyjdzie na okręt.

— Niepotrzebnie go przysyłali. Musiałem przez niego przybijać tu do brzegu i to wpadło w oko chrześcijaninowi. Szczęściem nie domyśla się niczego. Wierny sługa proroka zauważyłby zaraz, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Gdybyśmy nie musieli czekać na muzabira, mógłbyś być zamiast niego ukraść papiery i zanieść je mokkademowi.

— Allah Wallah, czego ty ode mnie wygasz! Ten giaur silny jak lew; sam to na sobie poczułem. Pokonał mokkadema, który przecież posiada siłę olbrzyma, potem obalił jego sługę i omal mnie nie pochwycił. Ślad jego pięści ponoszę z miesiąc na twarzy. Za to, że mi w ten sposób zszpecił ozdobę mojego życia, niech go diabeł na sto kawałków rozszarpie, a duszę jego spali w najsilniejszym ogniu. Nie znam ja trwogi, a serce moje pełne męstwa, jak serce pantery, ale wyciągać nocą papiery z kieszeni takiego zabójcy, tego dokonać nie potrafię, bo nie mam w tym wprawy. To potrafi muzabir, który umie tysiąc sztuk, a przy tym jest najślynniejszym kieszonkowym złodziejem. On przyjdzie, weźmie papiery i zniknie. Gdy giaur brak ich spostrzeże, niech wtedy robi, co mu się podoba; na dahabieh już ich nie znajdzie.

— A czy wiesz, że ma je przy sobie?

— Nie ulega to najmniejszej wątpliwości.

— Możesz się mylić. Równie dobrze mógł je wziąć na przechowanie Turek Murad Nassyr.

— Nie, jestem tego samego zdania, co nasz pobożny mokkadem. Giaur jest sprytniejszy, ostrożniejszy i silniejszy od Turka i nie powierzyłby mu takich ważnych rzeczy. Zachował je przy sobie na pewno. Zresztą widziałem teraz, kiedy byłem u niego, torbę z listami i innymi papierami. Te trzy dokumenty muszą się tam na pewno znajdować.

— Spodziewam się, ale niełatwo mu je będzie zabrać. Jeśli się przy tym zbudzi, zupełnie nam się

sprawa nie uda.

— Muzabir ma lekką rękę i dokonywał już rzeczy o wiele trudniejszych. Wiesz chyba dobrze, że mokkaladem nie pośle człowieka niezręcznego, lecz takiego, któremu sztuka uda się z pewnością.

— Być może, ale zawsze byłoby lepiej zabić niewiernego! W ten sposób nie byłoby najmniejszej wątpliwości, że się sprawa powiedzie.

— Teraz także nie ma wątpliwości. Mokkaladem musi bezwarunkowo mieć jego papiery i musiał dać muzabirowi najdokładniejsze wskazówki. Będzie on miał oczywiście nóż przy sobie; otóż jeśli się chrześcijanin nie zbudzi, zostanie na razie przy życiu, jeśli się jednak zbudzi, wbije mu muzabir nóż w serce.

— Na razie? A więc później przecież zginie.

— Będzie to kara za grzechy, popełnione względem mokkaladema.

— Ale kiedy i gdzie?

— To jeszcze nie ustalone. Jak powiedziałem, oszczędzi się go teraz tylko ze względu na ciebie, gdyż jesteś wiernym członkiem Kadiriny i ulubieńcem Abd el Baraka; ale po takich jego czynach musi nastąpić śmierć. Na dzisiaj daruje mu się życie, lecz zawisnie ono na cienkim włosku, który się przerwie przy najbliższej sposobności.

— Chyba w Sijut, gdzie wysiądzie i czekać będzie na Turka.

— Tego nie mogę powiedzieć, gdyż należy się kierować okolicznościami, a nie wiemy, czy te będą tam dla nas pomyslnie.

— Gdy wam tam zniknie z oczu, umknie niezawodnie.

— O nie. Wiesz przecież, że jeszcze nie jest pewne, dokąd masz mnie z sobą zabrać. Będę otwarty i powiem ci, że mam rozkaz zostać przy giaur ze.

— Masz go śledzić?

— Tak. Nie wolno mi oka zeń spuścić. Muszę być względem niego uniżony i czujny, żeby nabrał do mnie zaufania. Potem łatwo mi będzie doprowadzić do tego, że mnie zatrzyma przy sobie jako sługę.

— Plan ten jest dobry, a ja mu cię polecę gorąco. A więc to ty masz go potem zabić?

— Nie. Mokkaladem życzy sobie widzieć śmierć jego, ażeby w ostatniej chwili rzucić nań klątwę wiernego muzułmanina.

— Ależ mokkaladem znajduje się w Kahirze!

— Dzisiaj tak, ale wyruszy na południe do Chartumu i dalej.

— W sprawach świętej Kadiriny?

— Tak. Otrzymał on list, aby koniecznie tam jechał. Znajduje się tam nadzwyczaj pobożny i uczony fakih*, który wstąpił do Kadiriny i wymyślił wielki plan rozszerzenia islamu na całym świecie. Nazywa się on Szech Mohamed Achmed, czy Achmed Sulejman*, dobrze już nie pamiętam, plan jego ma mieć tak wielką wagę, że gdy przyjdzie do jego wykonania, wtedy nasza Kadirina zajaśnieje niezmiernym blaskiem. Wobec tego postanowił mokkaladem posłuchać wezwania tego człowieka, odwiedzić go i wszystko z nim omówić. Widzisz więc, że Abd el Barak nie zostanie w Kahirze, lecz uda się do Chartumu i tam spotka się z tym psem chrześcijańskim. Może natknie się na niego już wcześniej. Będę się o to starał, gdyż wiem, którym statkiem mokkaladem przyplynie.

— To, co słyszę, ma wielkie znaczenie. Teraz już pojmuję, dlaczego nie należy tego giaura zabić na mojej dahabieh. Tam na południu nie mają obcy konsulowie tej władzy, co tutaj i nikt tam nie zwraca uwagi na zniknięcie psa niewiernego. Mokkaladem przybije pewnie w Sijut do brzegu i wysiądzie. Jeśli potrafisz tak długo trzymać się giaura, to nietrudno ci będzie wydać go w ręce Abd el Baraka. Mam nadzieję, że nie uda mu się ujść zasłużonej zemsty. Ale powiedz, czy wolno ci o tym mówić? Te trzy pisma, które mu mamy zabrać, muszą mieć wielkie znaczenie. Znasz ich treść?

— Nie. Muzabir będzie je znał, gdyż musi przeczytać i zbadać te papiery, czy są prawdziwe. Ich tajemnicy mokkaladem mi nie powierzył, ponieważ...

Przerwano mu. Na statek wszedł człowiek, trzymający latarnię, prawdopodobnie muzabir, czyli oczekiwany kuglarz i złodziej kieszonkowy. Zabrał z dołu latarnię na statek. Świecąc nią dookoła, zobaczył trzech ludzi, zbliżył się do nich i pozdrowił ich słowami:

— Massik bilchair*!

— Ahla wa zahla wa marhaba!* — odpowiedział reis.

— Marhaba! — powtórzyli obaj pozostali.

Zwykle mówi się tylko samo słowo: marhaba, co oznacza „witaj”. To, że kapitan użył całej rozwlekłej formuły, było dowodem wielkiego szacunku, jakim otaczał tego największego złodzieja kieszonkowego w Egipcie. Musiałem się przypatrzeć temu kuglarzowi i opryszkowi. Postawił on latarnię na najbliższym tobole tytoniu i światło jej padło jasno na jego twarz i całą postać. Był on w wieku mokkaladema, miał tę samą cerę i rysy murzyńskie. Był jednak niższego wzrostu niż Abd el Barak, ale za to daleko szerszy w plecach. Człowiek ten był co najmniej tak silny, jak jego czcigodny mokkaladem, który się nim posługiwał, tylko o wiele zręczniejszy od niego. Miał na sobie długą ciemną koszulę przewiązaną sznurkiem, za którym tkwił nóż. Na nogach miał słomiane sandały. Było to ubranie człowieka ubogiego, ubóstwu jego jednak przeczyły ciężkie złote kolczyki, zwisające z uszu i drogocenne pierścienie z iskrzącymi się kamieniami, które na ciemnych palcach połyskiwały, a których było przynajmniej dziesięć. W głosie jego brzmiała duma i pewność siebie, zwłaszcza kiedy zapytał:

— Czy doniesiono wam o moim przybyciu?

— Tak, panie, czekaliśmy na ciebie — odrzekł reis.

— Czy ten pies znajduje się tutaj, czy może wysiadł z okrętu?

— Leży w kajucie.

— Ze światłem?

— Tak, lecz może zgasi je przed zaśnięciem. Murzynięta są przy nim.

— Niech sobie gasi lub świeci, wszystko mi jedno. Dzieło moje wykonam, choćby osłonił się ciemnością grobu lub zapalił tysiąc płomieni. Nie mam ochoty długo czekać i zacznę wkrótce. Ponieważ jednak nie znam jego kajuty, będziecie musieli mi ją opisać, oraz każdy przedmiot, który się w niej znajduje.

Ponieważ mój duch, numer trzeci, był poprzednio u mnie, podjął się więc opisu. Postanowiłem nie słuchać tego, ale oddalić się czym prędzej. Złodziej kieszonkowy spieszył się, a mnie zależało także na tym, ażeby skrócić podniecenie, w jakim się znajdowałem. Dlatego poczołgałem się natychmiast ku kajucie.

Pierwsza część tej, choć krótkiej drogi, nie była łatwa, gdyż paliła się lampa. Szczęściem reis i muzabir stali tak blisko siebie, że cienie ich zlewały się i tworzyły długi ciemny pas na pokładzie. Tym pasem posuwałem się ku kajucie, tyłem do niej zwrócony, ażeby wszystkich czterech drabów mieć ciągle na oku. W ten sposób dostałem się szczęśliwie do rogoży, a parę sekund później znalazłem się w kajucie.

Spojrząwszy po raz ostatni, dostrzegłem jeszcze, że kuglarz zgasił latarnię. Gdyby był na tyle ostrożny, żeby uczynił to prędzej, nie byłbym sobie mógł wryć w pamięć jego powierzchowności, co miałoby dla mnie, jak się później okazało, jak najgorsze skutki. Widać, że i najlepszy złodziej kieszonkowy popełnia błędy.

Najpierw zapaliłem lampę na nowo, co mi przyszło z łatwością, gdyż zaopatrzyłem się obficie w zapalki, które na południu są drogie i nie wszędzie można je dostać. Chciałem, żeby mnie okradziono przy świetle, a nie w ciemności, co byłoby dla mnie niebezpieczniejsze. Następnie wyjąłem z portfela trzy dokumenty z podpisami oraz kilka innych ważnych dla mnie papierów, które starannie ukryłem, portfel zaś wsunąłem na powrót do kieszeni, umieszczonej na piersiach pod kamizelką. Służący widział przedtem, że je tam schowałem i można było przypuszczać na pewno, że o tym złodzieja powiadomi. Zapytacie może, dlaczego chciałem dopuścić do tego łotrostwa? Czy tylko dlatego, żeby zdobyć przeciwko nim dowody? Jeśli mam być szczery, przyznam, że trochę i dlatego, żeby dowieść tym ludziom, że w głowie „psa chrześcijańskiego” także mózg się znajduje i że nie byłem ani głuchy, ani ślepy. Zamiar mój nie był dla mnie bezpieczny. Muzabir mógł z jakiegokolwiek powodu pchnąć mnie nożem, ale zdawało mi się, że mogę swojemu oku i zręczności zaufać. Dzieci

dostały jeść już przedtem, ale nie spały jeszcze. Zapowiedziałem im, że przyjdzie tu pewien człowiek i że sięgnie mi do kieszeni. Z góry je jednak uprzedziłem, że nie mają się czego obawiać, oraz poleciłem im, żeby udawały, że śpią. Przyrzekły mi to, i byłem pewien, że dotrzymają przyrzeczenia. Potem położyłem oboje plecami do wejścia.

Ja sam położyłem się na prawym boku tak, że lampa oświetlała twarz moją. Właściwie powinienem był położyć się tak, aby twarz była w cieniu, chciałem jednak, aby łotr zaraz na wstępie nabrał przekonania, że śpię. Odpiąłem guziki bluzy, by mógł z łatwością wsunąć rękę do kieszeni na piersiach. Ułatwiając mu zadanie, zmniejszałem tym samym niebezpieczeństwo, w którym się znajdowałem. Aby jednak być przygotowanym na wszystko, wsunąłem sobie rewolwer pod kark w ten sposób, że prawą ręką, którą miałem pod głową, mogłem go szybko wyjąć i odwieść kurek. W ten sposób byłem już przygotowany i na razie tylko tego pragnąłem, bym zbyt długo na muzabira czekać nie musiał.

Życzeniu mojemu stało się zadość. Oczy miałem przymknięte w ten sposób, że przez rzęsy widziałem rogożę. Poruszyła się całkiem lekko w jednym rogu na dole, po czym cicho podniosła się z wolna do wysokości około sześciu cali. Drab zaglądnął do środka a po chwili chrząknął. Oddychałem spokojnie, jak człowiek śpiący głęboko. Potem zakaszłał niegłośnie wprawdzie, w każdym razie tak, że musiałbym się zbudzić, gdybym spał lekko. Nie poruszyłem się i na to. Zdjął mnie strach nie o siebie, lecz o dzieci; jeśli by bowiem które z nich zapomniało w krytycznej chwili o przestrodze, mogłoby być po mnie i po nich, a przynajmniej po ich wolności. Zacząłem przychodzić do przekonania, że brałem sprawę zbyt lekko.

Dzieci, jak się później dowiedziałem, słyszały kaszel, lecz sądziły, że to ja kaszlę. Nie mogły widzieć muzabira, a to, co czynił, działało się zupełnie bez szmeru do tego stopnia, że nic nie słyszały, a kiedy się oddalił, nie wiedziały wcale, że był w kajucie.

Kiedy nabrał przekonania, że śpię mocno, wszedł, wsunawszy pod rogożę najpierw głowę, potem ramiona i korpus. W prawej ręce trzymał nóż. Oczu nie spuszczał z mojej twarzy, a oczy te wyglądały jak u dzikiego zwierza przed śmiertelnym skokiem. Kiedy już całe jego ciało było po tej stronie rogoży, chrząknął raz jeszcze. Nie poruszyłem się, więc szedł całkiem pewnie. Jak dalece był przezorny, świadczy o tym to, że zrzucił z siebie odzież zupełnie i ciemne ciało wysmarował olejem. Ręce najsilniejszego i najzręczniejszego przeciwnika nie zdołałyby go uchwycić, bo musiałyby się z jego członków ześliznąć!

Teraz przysunął się do mnie, przyłożył mi ostrze noża do piersi a równocześnie położył palce lewej ręki na miejscu, w którym domyślał się portfela. Poczul go, podniósł bluzę i wyciągał pożądany przedmiot z kieszeni mojej tak powoli, że zdawało mi się, iż będzie do tego potrzebował całych kwadransów. W końcu znalazł się w posiadaniu portfela. Odjął mi nóż od piersi i obmacał obydwoma rękami swoją zdobycz. Było tam jeszcze dość papieru, więc jakby zadowolone przemknęło mu po twarzy.

Następnie rozejrzał się po kajucie, ażeby może jeszcze co zabrać. Ponieważ jednak nie obesłoby się przy tym prawdopodobnie bez szelestu, zadowolili się dotychczasową zdobyczą. Odwrót odbył się tak samo powoli i ostrożnie, jak przyjście. Nawet kiedy się znajdował już za rogożę, podniósł ją raz jeszcze, ażeby się upewnić, że spałem rzeczywiście.

Czekałem co najwyżej minutę, po czym zdmuchnąłem lampę, wziąłem rewolwer w rękę i zerwałem się z łóżka. Odchyliwszy nieco rogożę, zobaczyłem trzech łotrów, stojących obok tobołów z tytoniem, a mianowicie reisa, mego kochanego stracha numer trzy i muzabira. Ten ostatni wdział już długą koszulę i obrócił się do mnie plecami tak, że twarzy jego widzieć nie mogłem. Musiał właśnie skończyć przeszukiwanie mego portfela, gdyż machał nim przed twarzami towarzyszy i powiedział im, jak się domyśliłem z jego gniewnych ruchów, że w nim poszukiwanych papierów nie znalazł.

Czwartego z ich grona, mianowicie sternika, nie było między nimi, zdawało mi się jednak, że wiadomość o obecnym miejscu jego pobytu na nic mi nie jest potrzebna, gdyż na razie miałem do czynienia tylko z muzabirem. Tak jednak nie było, jak się zaraz przekonałem. Odsunąwszy całkiem rogożę, wyszedłem na pokład. Wtem zabrzmiał tuż obok mnie okrzyk ostrzegawczy:

— Effendi, effendi!

To sternik wołał. Był on przy sterze nie wiadomo dlaczego; schodził właśnie wąskimi schodami, wiodącymi obok mojej kajuty i zobaczył mnie. Teraz miałem sposobność przypatrzeć się godnej podziwu przytomności umysłu u złodzieja kieszonkowego. Z okrzyku sternika musiał wywnioskować, że jestem na pokładzie. Musiałem więc zbudzić się a może nawet zauważyć brak portfela. Miał teraz przed sobą alternatywę: albo zamordować mnie i potem zabrać papiery, albo uciekać. Wołał widocznie zaniechać pierwszej. Prawdopodobnie słyszał od mokedema, że atak na mnie nie jest bezpieczny. Pozostało więc tylko drugie tj. ucieczka; z powodu jednak ewentualnych wypadków późniejszych musiał unikać pokazania mi swojej twarzy, ażebym go potem nie poznał. Takie musiały być myśli, które w jednej chwili przebiegły mu przez głowę. Każdy inny oglądąłby się z powodu ostrzegawczego okrzyku, nawet reis i służący spojrzeli wstecz z przestachem, kuglarz jednak nie odwrócił się wcale. Usłyszałem tylko szybkie, przytłumione, dosłyszalne jednak pytanie:

— Czy to rzeczywiście ten pies?

— Na pewno — odpowiedział reis.

— A więc tym razem sprawa się nie powiodła.

Odrzucił portfel tak, że papiery się rozleciały, pomknął jak wąż na pomost i zniknął w mrokach wieczoru; gwiazdy zaczęły się wprawdzie rozżarzać i rozpędzać ciemności, lecz nie w tym stopniu, żebym mógł okiem zbiega doścignąć.

Ponieważ się pozbył mego portfela, który mógł znowu do mnie wrócić, ucieczka jego nie sprawiła mi przykrości. Nie wiem, co bym był zrobił z muzabirem, gdybym go pochwycił tak, jak zamierzałem. Oddać go mudirowi w Gizeh, policji? Jakie kłopoty ściągnąłbym wtedy na siebie! A może puścić go wolno, powiedziawszy mu, co myślę? Poszedł sam i w ten sposób uwolnił mnie od obowiązku wyrażenia mu mego zdania. Zapytałem więc sternika spokojnie, bez cienia gniewu:

— Czemu tak krzyczysz? Czy aż w Kahirze mają słyszeć, że jestem tutaj?

— Przebacz, effendi! — odpowiedział. — Tak się zląkłem ciebie.

— Czyż tak okropnie wyglądam?

— Nie, nie — wyjąkał — ale... ale... sądziłem... myślałem...

— Co myślałeś?

— Myślałem, że śpisz i dlatego się przestraszyłem.

— Zupełnie, jakbym był widmem, które się zjawia niespodzianie.

— Tak, zupełnie tak! — rzekł uradowany, że podpowiedziałem mu jakąś choćby najlichszą odpowiedź.

— Żałuję bardzo — pocieszałem go. — Spodziewam się jednak, że strach, jakiego ci napędziłem, nie zaszkodzi ci zbytnio. Chodźmy do reisa.

Poszedł ze mną. Podczas tej krótkiej rozmowy nie spuściłem tamtych dwóch z oka. Schylili się czym prędzej, by pozbiierać moje papiery, włożyli je do portfela, który potem zniknął pod opończę reisa. Ja także coś schowałem, a mianowicie rewolwer, który wydał mi się teraz niepotrzebny, przynajmniej na pierwsze chwile. Złodziej kieszonkowy mógł wrócić w ciemności i rzucić się na mnie. Może tylko w pierwszej chwili dał dziś za wygraną. Polecono mi, aby mi zabrał papiery i muzabir mógł przypuszczać, że jeżeli ich nie miałem w portfelu, to prawdopodobnie schowałem je do którejś kieszeni. Skoro chciał mnie pchnąć nożem, gdybym się poruszył podczas kradzieży, nie cofnąłby się był pewnie przed zamordowaniem mnie później, byle tylko dopiąć swego celu. Należało więc uważać, czy przypadkiem nie wróci, a to było możliwe przy dobrym oświetleniu. Musiałem je mieć natychmiast bez długiego gadania. Toteż zapytałem reisa całkiem uprzejmie:

— Czy masz pochodnie na statku?

— Nie. Po co to pytanie? — odpowiedział tonem zdumienia.

— Ponieważ sądzę, że musisz mieć coś takiego na wypadek, gdyby kiedyś wypadło oświetlić jasno statek i wodę.

— W takim wypadku stawiamy miskę ze smołą na przodzie i na tyle okrętu.

— Gdzie są te miski?

— Tam na przodzie w komórce.

Wskazał na dziób okrętu, gdzie znajdowała się skrzynia desek, podobna do szafy. Wziąłem bez ceremonii latarnię, doszedłem tam, otworzyłem szafę i zobaczyłem dwa żelazne naczynia oraz zapas smoły. Napełniłem jedno z nich, zapaliłem od latarni kawałek smoły, którego płomień ogarnął wkrótce inne.

— A to co? Co ci wpadło do głowy? — zapytał reis, który poszedł za mną z obu towarzyszami.

— Zapytaj lepiej, co tamtemu wpadło do głowy — odparłem, wskazując na pomost, po którym właśnie przebiegała postać ludzka ku brzegowi. Kuglarz zamierzał widocznie powrócić. Stał już na desce, łączącej pokład z brzegiem, ale uciekł przed jasnością, którą rozlewał płomień smolny.

— Kto to jest? Kogo masz na myśli? Ja nic nie widzę! — rzekł reis, pomimo że musiał widzieć tę postać tak samo dobrze jak ja.

— Jeśli nie wiesz istotnie, to ci powiem — zawołałem, zapalając drugą miskę smoły i niosąc ją ku sterowi. W ten sposób oświetliłem pokład w ciągu dwu minut, czego nie wytargowałbym od reisa nawet w ciągu godziny. Zszedłem następnie po wąskich schodach na dół i wciągnąłem na pokład pomost, do której to czynności zazwyczaj dwóch ludzi używano.

— Ależ, effendi, jaki duch w ciebie wstąpił! — zawołał reis. — Na Allacha, nie wiemy co z tobą począć i co myśleć o tobie!

Stał z obydwoma innymi pod masztem. Poszedłem do niego i odparłem:

— Jaki duch wstąpił we mnie? To tu widocznie są duchy. Właśnie chciał jeden z nich wrócić na statek, ale go ogień smolny przepłoszył. Przecież ten pocziwy sługa kajutowy myślał przedtem, że ja sam jestem widmem. A tymczasem on się teraz w widmo zamienił. A ty — spodziewam się, — że temu nie zaprzeczysz.

— O, Allach! Ja mam być widmem! Effendi, dusza opuściła. Przyjdź do siebie!

Oparłem się o maszt. Oba płomienie oświetlały brzeg i całe otoczenie statku, a zarazem twarze obu pocziwców, nie wiedzących, czy mają postąpić ze mną grzecznie, czy po grubiansku. Najmilsze byłoby im to drugie, lecz niespokojnej sumienie skłoniło ich do tego, że jeszcze czekali.

— Tak, tak, jesteś widmem! — potwierdziłem poufale, kiwając głową. — Ja do siebie przychodzić nie potrzebuję, ty natomiast musiałeś zapomnieć o sobie samym; wszak jesteś widmem numer trzy.

Rozkoszny był widok miny, którą przybrał, kiedy cofnąwszy się o dwa kroki, zapytał mnie, jękając się co chwilę.

— Strachem trzecim...? Nie rozumiem.

— Więc zrobię ci tę przyjemność i przyjdę z pomocą twojej pamięci. Pierwszego ducha związałem w moim pokoju, drugiego powaliłem kolbą na dziedzińcu, a trzeciego ścigałem do ogrodu, ale mi uciekł. Czy pojmujesz mnie teraz?

— Jeszcze wciąż... nie pojmuję — wyjąkał.

— Nie? A przecież powiedziałaś przed chwilą tym dwu ludziom, którzy stoją przed tobą, że zhańbiłem blask twego istnienia i że jeszcze z miesiąc ponosisz na twarzy ślady mojej pięści.

Nie odpowiedział, lecz spojrział na tamtych dwóch, którzy spojierali to na niego, to na mnie, to

znów na niego i milczeli.

— Za to — mówiłem dalej — życzyłeś mi, żeby szatan rozszarpał moje ciało na tysiąc kawałków, a duszę moją dał na pożarcie najsilniejszym płomieniom piekła.

Zaskoczony patrzył na mnie jak nieprzytomny i ani słowa z siebie nie wydobył, ale stary reis był zatwardziałym grzesznikiem i był na tyle zuchwały, że mi powiedział:

— Effendi, nie wiem, co cię skłania do mówienia takich srogich słów temu pobożnemu i prawowiernemu człowiekowi. Chcę...

— Polecić mi go, nieprawdaż? — wpadłem mu w słowo. — Przecież mu to nawet przyrzekłeś. Ma on zostać moim służącym i oddać mnie w ręce mokkadema.

Sternik, który, jak się okazało, był tchórzem pierwszej wody, przeraził się okropnie, usłyszawszy słowa, które z ich ust poprzednio wyszły, w końcu nie mógł dłużej wytrzymać i zawołał, podniósłszy obie ręce do góry i złożony je nad głową. — Ia Allah, ia faza, ia hiaran — o Boże, co za strach i przerażenie! To człowiek wszechwiedzący! Idę, biegnę, znikam.

Chciał odejść, przytrzymałem go jednak za ramię i zawołałem tonem rozkazującym:

— Zostań! Jeśli słyszałeś, o czym ci dwaj przedtem z sobą mówili, to możesz także usłyszeć, co ja im powiem.

Poddał się swemu losowi i został. Reis uważał za stosowne nie wiedzieć o niczym, gdyż ofuknął mnie gniewnie:

— Effendi, ja zwykłem być uprzejmy dla moich podróżnych, jeśli jednak ty...

— Uprzejmy? — przerwałem mu. — Czy to uprzejmie nazywać mnie psem chrześcijańskim, mówić, że mam wprawdzie głowę, ale brak mi rozumu, że mara oczy i uszy, a mimo to jestem ślepy i głuchy? Czy o uprzejmości świadczy to, że uważałeś za wskazane, aby mnie ten drab zamordował?

— Zamordował? — przerwał mi tonem dotkniętej niewinności.

— Nie wystarczyło ci, żeby mi tylko portfel zabrać? — mówiłem dalej.

— Portfel? — powtórzył. — Co mnie obchodzi twój portfel?

— Nic, całkiem nic; to czysta prawda, jednak masz go przy sobie! Oddaj go!

Na te słowa wyprostował się, jak tylko mógł najbardziej, i fuknął na mnie:

— Effendi, jestem muzułmaninem, a ty chrześcijaninem. Czy ty wiesz, co to znaczy w tym kraju? Zresztą ja jestem resem, a ty moim podróżnym. Czy wiesz, co to znaczy tu na pokładzie?

— W końcu — uzupełniłem jego przemowę — jestem człowiekiem uczciwym, a ty jesteś łotrem.

Czy wiesz, co z tego wynika? Nie jesteśmy jeszcze w Sudanie, lecz tutaj w Gizeh, gdzie wedle własnych słów twoich konsulowie nasi mają władzę, której się boisz. Muzabir uszedł i...

— Muzabir? — krzyknął sternik. — On wie o wszystkim, o wszystkim, nawet o tym.

— Tak, tak, istotnie wiem o wszystkim. Reis żartował sobie ze mnie, sądząc, że jestem za głupi, by zauważyć cokolwiek. Powiedział, że prawdziwy wierny zauważyłby natychmiast, że się zbliża niebezpieczeństwo. No i cóż, wy prawdziwi muzułmanie? Kto był mądrzejszy, wy czy ja? Stuk drabów w waszym gatunku nagromadzi wprawdzie dość przewrotności i złości, ale nie tyle mądrości i prawdziwego sprytu, co jeden dobry chrześcijanin. Wy pobożni stronnicy świętej Kadiriny, chcecie mnie okraść, zniszczyć i zabić! Ale ja się z was śmieję. Ja wiedziałem, że muzabir tu przyjdzie; pozwoliłem zabrać sobie pugilares, ale przedtem schowałem gdzie indziej dokumenty, podpisami zaopatrzone. Oto są!

Wydobyłem papiery, pokazałem im, a potem schowałem i mówiłem dalej:

— Tam obok tobołów z tytoniem stał złodziej. Nie znalazłszy papierów, rzucił portfel i umknął, kiedy się zbliżyłem. Ty go schowałeś, reisie; ja to widziałem. Oddaj go!

— Ja go nie mam! — zgrzytnął.

— Nie? Przypatrz się nosowi tego stracha! Czy chcesz także mieć taki? Chcesz poznać moją rękę? Dawaj, albo ci go odbiorę!

Przystąpiłem groźnie do niego a on się cofnął, sięgnął pod suknię i zawołał szyderczo:

— Mam pugilares, ale on nie twój, lecz Nilu. O, patrz! Wyjął portfel i chciał go wrzucić do wody. Byłem na to przygotowany. Jeden szybki skok, jeden chwyt i miałem go w rękę. Stał przez chwilę jak skamieniały, potem zacisnął pięści i rzucił się na mnie. Podniosłem nogę i kopnąłem go brzuch tak silnie, że zatoczył się w bok, zachwiał i runął na ziemię.

— Na Allacha, reisie, gwałtu, co za nieszczęście i klęska! — biadał sternik, spiesząc do swego przełożonego, ażeby mu dopomóc przy wstawaniu. Tymczasem miły służący stał, jak żak, i nie mógł się ruszyć.

— Jak ośmieliłeś się podnieść na mnie rękę? — huknąłem gniewnie na kapitana. — Zachciało ci się, postarzały, nędzny żeglarzu, walki z młodym Frankiem. Tylko swemu wiekowi zawdzięczasz to, że nie ukarałem cię inaczej, a złości twej, że nie tknąłem cię ręką, ale nogą kopnąłem. Zaprowadźcie go do tobołów z tytoniem, niech sobie tam usiądzie i dowie się, czego żądam od niego.

Rozkaz ten odnosił się do dwóch pozostałych i usłuchali go zaraz. Reis źle się wybrał a kopnięcie przywiodło go do poznania własnej słabości. Prowadzony z prawej i z lewej strony, trzymał obie ręce na brzuchu i włókł się, kulejąc, stękając i chwytając powietrze. Usiadł ciężko na najbliższym tobole, jakby na pół żywy. Poszedłem za nim. Tego starca było mi jednak żal. Nie należy człowieka sądzić wedle tego, czym jest, lecz jak do tego doszedł. Reis był całkiem złamany. Czego nie dokazało żadne słowo moje, żaden z przytoczonych dowodów, to udało się mojemu butowi. Ten starzec

siedział teraz skurczony i nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy. Dlatego miałem dla niego nawet nieco współczucia, kiedy się po chwili odezwałem:

— Pojmiesz chyba, że teraz nie mogę mieć z tobą już nic wspólnego. Nie jadę z tobą dalej.

— Jedź z diabłem i do piekła! — fuknął na mnie jak kot.

— Ile zapłacił Murad Nassyr za moją podróż?

— Tylko sto piastrów — odrzekł, domyślając się dalszego ciągu.

— Nie kłam, bo dwieście za mnie, a sto za Murzynięta. Powiedział mi to, zanim wszedłem na pokład, a jemu więcej wierzę niż tobie.

— Sto! — twierdził uparcie.

— Trzysta! Oddasz mi je, gdyż opuszczam twoją dahabieh.

— Dał tylko sto. Rozkosz mi sprawisz, kiedy mi się z oczu usuniesz. Zabieraj się czym prędzej! Jechałeś jednak ze mi z Bulaku do Gizeh, a to kosztuje pięćdziesiąt piastrów, odda ci zatem tylko resztę, to jest pięćdziesiąt.

— Za tę krótką przestrzeń pięćdziesiąt piastrów? Dobrze, dobrze; licz sobie, jak chcesz, nie mam nic przeciwko temu. Nie odejdę jednak stąd, dopóki policja tutejsza nie rozstrzygnie tej sprawy.

— To może trwać kilka tygodni.

— Ja wiem, ale mam czas.

— Ja także!

— A przy tym wyjdzie może na jaw, dlaczego nie jadę dalej. Ja będę czekał na wyrok na wolnej stopie, a wy będziecie w więzieniu rozmyślali nad tym, czy należy chrześcijanina uważać za giaura i głupca.

Odszedłem od tej nieszczęsnej grupy i chodziłem po pokładzie od strony Gizeh. Rzuciwszy okiem na brzeg, zauważyłem trzy postacie męskie, oświetlone płomieniami smolnymi. Muzabira przy nich nie było. Otaczała nas cisza wieczorna; ponieważ mówiliśmy głośno, krzykliwie nawet, można nas było z brzegu dosłyszeć. Miejsce, w którym staliśmy na kotwicy, wyglądało dość pusto.

Kiedy stanąłem, by się przypatrzeć tym trzem osobom, przystąpiła jedna z nich bliżej i zapytała:

— Czy to dahabieh „Es Semek”?

— Tak — odpowiedziałem.

— A ty jesteś podróżnym?

— Tak jest.

— Skąd?

— Jestem Frankiem z Almanii*.

— Frankiem? — zawołał z widoczną radością, iż ma przed sobą Europejczyka. — Nie bierz mi tego za złe, że cię zapytam, dokąd zmierzasz!

— Do Sijut.

— Tym statkiem? Miej się na baczności!

— Przed kim?

— Przed wszystkimi, w których towarzystwie podróżujesz.

Przechodząc tędy, widziałem myszkującego tu człowieka, którego znam bardzo dobrze. Chciał widocznie słyszeć, o czym u was mówiono. Był to muzabir.

— Był tu na statku, żeby mnie okraść, ale mu się to nie udało.

— Dziękuj Allachowi, że tak się stało! Bardzo łatwo mogło być gorzej, znacznie gorzej.

— Czy macie czas?

— Mamy.

— Proszę was na chwilę na statek.

Trąciłem pomost tak, że się zaczepił o brzeg; równocześnie poczułem, że mnie ktoś pochwycił z tyłu i pociągnął. Był to reis. Szepnął mi, jakby nie chciał, żeby go dosłyszano z brzegu, głosem stłumionym:

— A tobie co przychodzi do głowy? Kto tu ma prawo ludzi zapraszać, ja czy ty?

— My obaj.

— Nie, tylko ja. A właśnie tego człowieka, którego poznaję po głosie...

Utknął i nie miał odwagi mówić dalej, gdyż owi trzej ludzie wchodzili właśnie na pokład. Na ich widok zniknął sternik czym prędzej w jednym z otworów pokładu, a mój służący podążył za nim równie szybko. Reisowi byłoby może także przyjemniej znaleźć się gdzieś w większym oddaleniu, gdyż ludzie ci byli mu bardzo nie na rękę, lecz nie mógł ani zniknąć, ani ich odprawić. Został więc, skrzyżował ręce na piersiach, dotknął prawicą czoła, ust i serca i skłonił się prawie tak nisko, jak marszałek domu mojego Turka. Z tego pozdrowienia można było wnosić na pewno, że przybysze, a przynajmniej Pierwszy z nich, nie byli ludźmi zwykłymi.

Pierwszy był to mężczyzna w sile wieku, dobrze zbudowany i, jak spostrzegłem, elegancko ubrany. Miał on na sobie szerokie białe spodnie, ciemne meszty, złotem wyszywaną bluzę, a na biodrach czerwony jedwabny pas, u którego wisiała krzywa szabla; zza pasa wyzierały złotem i kością słoniową wykładane głównie pistoletów. Z ramion zwisał mu biały jedwabny płaszcz. Turban był z tej samej materii i tego samego koloru. Twarz jego, której ciemne oczy przyglądały mi się z badawczą życzliwością, okolona była pełną, czarną brodą, tak piękną, jaką rzadko kiedy widywałem. Nie spojrzawszy na reisa, pozdrowił mnie:

— Niech Allah obdarzy cię dobrym wieczorem!

— Bądź szczęśliwy! — odrzekłem równie krótko, jak uprzejmie.

Towarzysze jego skłonili mi się w milczeniu, na co odpowiedziałem takim samym ukłonem. Następnie zwrócił się przybysz do reisa i zapytał surowo:

— Czy znasz mnie?

— Miałem już kilkakroć szczęście oglądać twoje oblicze — odpowiedział zapytany utartą formułą wschodnią.

— Nie wiem, czy wielkie to było dla ciebie szczęście. Czy nie ma tutaj jeszcze dwóch ludzi?

— Jest sternik i służący dla obcych.

— Nikogo więcej?

— Nie, sijadetak; moi majtkowie poszli do kawiarni.

— No, a czemuż ci dwaj zniknęli? Gdzie się udali? Czy może na dół do szcurów?

Reis nie miał odwagi odpowiedzieć i spuścił głowę.

— A więc tak, tak! Wiem dobrze, czego tam chcą. Zawołaj ich natychmiast, jeśli nie chcesz dostać harapem!

Mówiąc to, wskazał na swego towarzysza, któremu zwisał od pasa wielce obiecujący harap. Ten człowiek umiał rozkazywać. Reis nazwał go „sijadetak”, co znaczy „twoja wspaniałość”, a tego wyrażenia używa się tylko względem osób, którym należy okazać uszanowanie. Stary pospieszył do otworu, ażeby drabów przywołać. Wkrótce ukazali się obaj zbiegowie i usiedli w przygnębieniu. Tymczasem obcy skinął na mnie, żebym szedł za nim. Poszedł ku sterowi, gdzie leżał dywan, wskazał nań i powiedział:

— Usiądź obok mnie, gdyż zdaje mi się, że będziemy musieli odbyć naradę i przyjmij ode mnie europejskie cygaro.

Usiadłem po jego prawym boku, a trzeci nasz towarzysz po lewym. Był on podobnie ubrany, tylko skromniej i także miał szablę przy boku. Posiadacz harapa stanął kilka kroków za nami. Na skinienie

pana wydobył z pasa etui z cygarami, otworzył je i podał. Władca wyjął dwa cygara i jedno z nich mnie podał, a drugie sam zapalił. Pierwszy towarzysz nie otrzymał żadnego, a drugi musiał nam usłużyć ogniem. Mogło to być cygaro wartości dziesięciu centów, trudno się jednak domyślić, ile ten Egipcjanin istotnie za nie zapłacił. Ponieważ przypatrywał mi się badawczo, nadałem twarzy wyraz zadowolenia i puszczałem dym z najrozkoszniejszą miną w ten sposób, że mieszał się z dymem stojącej obok nas miski ze smołą. Cieszyło go to widocznie, że palę z zadowoleniem, gdyż zapytał mnie tonem chłopca, który darował drugiemu kawałek migdała w cukrze:

— Nieprawdaż, smakuje?

— Znakomite! — oświadczyłem.

— Powiadają, że Koran zabrania cygar. I cóż ty na to?

— Nie mógł ich zabronić, gdyż w czasach, w których powstał, cygar jeszcze nie znano.

Egipcjanin spojrzał na mnie zdziwiony, a potem rzekł:

— Allach! To całkiem słuszne! Niech no mi z tym teraz kto przyjdzie! Mówią jednak niektórzy tłumacze Koranu, że i tytoń zakazany.

Zachowanie się jego uprawniało mnie do pewnej swobody, odpowiedziałem mu przeto odpowiednim tonem:

— Nie pozwalaj w siebie wmawiać byle czego! Kiedy w Ameryce ujrzano po raz pierwszy ludzi palących, upłynęło ośmset siedemdziesiąt lat od Hedżiry.

— Co ty mówisz? Skąd takie wiadomości, i to nawet z datami i znasz nawet Hedżirę? Wy Frankowie wiecie wszystko; widziałem takich, którzy znali Koran i wszystkie objaśnienia znacznie lepiej ode mnie. Allach jest wielki a wy mądrzy. Czy widywałeś kiedy cesarzy?

— Często.

— Allach! Jakżeś szczęśliwy. Więc jesteś pewnie oficerem?

— Nie. Nie biorę udziału w bitwach, ale za to zużywam jak najwięcej atramentu i psuję po kilkaset stalówek rocznie.

— A zatem domyślałam się! Jesteś uczonym a może nawet muzannifem*, i przybyłeś tu, aby o nas książkę napisać?

— Zgadłeś! — potwierdziłem.

— To pięknie, to dobrze, to mnie cieszy niezmiernie. Ja także chciałem napisać książkę.

— O czym?

— O niewolnictwie.

— To temat wielce zajmujący. Mam nadzieję, że wykonasz ten dobry zamiar.

— Na pewno! Brak mi tylko jednej rzeczy, tylko jednej: tytułu. Bo słuchaj! Tytuł to głowa książki, a jeśli głowa do niczego, to głupie i całe ciało. Ale skąd mam wziąć mądry tytuł? Ty jesteś zawodowcem i może mi dasz jaką radę.

— Są pisarze, piszący bardzo dobre książki, a nie znajdują dla nich dobrych tytułów; inni znowu mają głowy pełne doskonałych tytułów, a nie sklecają ani jednej rozumnej stronicy.

— Być może. No, a co myślisz o mnie?

— Mamy u nas przysłowie: „Mów, jak cię matka nauczyła”! Czy to rozumiesz?

— Tak; należy mówić szczerze i po prostu.

— Otóż ja tak myślę i piszę.

— Jaki poradziłbyś mi tytuł?

— Na przykład: „Zaraza niewolnictwa w Sudanie”, albo „Targ niewolników a ludzkość”.

Kogoś innego stropiłaby może moja odpowiedź, on jednak uderzył się rękami po kolanach i zawołał uradowany:

— Mam, mam! Aż dwa tytuły naraz i to te same, które i ja także uważałem za najlepsze a tylko formy odpowiedniej dla nich znaleźć nie mogłem. Teraz brakuje tylko przedmowy.

— A czy nie brak ci także wstępu?

— Zapewne, gdyż nie można zaczynać zaraz po przedmowie. A potem samo niewolnictwo. Poradź mi, co mam o nim napisać i jak?

— A wreszcie zakończenie! — zauważyłem z wielką powagą.

— Oczywiście. Zakończenie to główna rzecz; jeśli ono niedobre, to książka wygląda tak, jak koń bez ogona. A w końcu kiedy będę już gotów, kto ją wydrukuje? Nie mógłbyś mi wskazać wydawcy?

— Teraz nie jeszcze, gdybyśmy o tym obszerniej pomówili, to może wpadłoby mi coś właściwego do głowy.

Szczególna rzecz! Niedawno temu byłem w niebezpieczeństwie śmierci, a teraz siedziałem na tym samym miejscu i bawiłem się arcykomiczną rozmową. Kiedy ten człowiek wszedł na statek i zdruzgotał formalnie reisa, wydał mi się baszą o największej liczbie buńczuków, a teraz dowiedziałem się, że chce pisać książkę, do której brak mu ni mniej ni więcej tylko wszystkiego. Jego zachowanie się wobec reisa kazało mi oczekiwać katastrofy, a teraz gawędził ze mną, jak gdyby

na statku wcale reisa nie było. I skąd temu muzułmaninowi przyszło do głowy zajmować się kwestią niewolnictwa? Powiedziałem ostatnie słowa dla żartu tylko, lecz podchwycił je natychmiast i zawołał:

— Któż ci powiedział, że nie będziemy o tym mówili? Ty dążysz do Sijut i ja także.

— A to co innego! — odrzekłem.

— Pojedziemy razem; nie zostaniesz przecież na tej dahabieh.

— Istotnie, nie mam zamiaru tu zostać, lecz reis nie chce mi zwrócić pieniędzy. Zapłaciłem mu już drogę aż do Sijut.

— Żądałeś zwrotu pieniędzy? Dlaczego? Z jakiego powodu chciałeś ten statek opuścić?

— Hm! Wzgląd na siebie samego nie pozwala mi o tym mówić.

— Czemu?

— Bo byłbym zmuszony zabawić dłużej tutaj w Gizeh, a nie mam czasu.

— Ale względ na mnie nakazuje ci to powiedzieć. Ostrzegałem cię przed tą dahabieh, nie wiedząc jeszcze, że zamierzasz statek opuścić. Byłem tak niegrzeczny, że ci pytania zadawałem, nie powiedziawszy wprzód, kim jestem. Muszę to naprawić i uzupełnić. A może już sam odgadłeś?

Spojrzał na mnie bokiem z tak dobrotliwym szelmostwem, iż przeczułem, że go rychło polubię. Nie był to zagorzały muzułmanin; posiadał żywe usposobienie, energię i dużo poczciwości. Nie był to leniwy, tępy mieszkaniec Wschodu, który nicość swoją uważa za wszystko i zgoła nic o świecie wiedzieć nie pragnie. Ogarnęło mnie teraz żywe pragnienie odbyć podróż z nim razem.

— Jesteś oficerem — odpowiedziałem.

— Hm! — mruknął z uśmiechem. — Właściwie nie, a jednak nieźle odgadłeś. Nazywam się Achmed Abd el Inzaf.

To znaczy: Achmed, sługa sprawiedliwości. Czy on zawsze nosił to miano, czy też otrzymał je dzięki obecnemu zawodowi? Powiedziałem mu swoje nazwisko, a on mi oświadczył:

— Jestem także reiselem i ty powinieneś przesiąść się na mój statek.

Nie mogłem nie spojrzeć nań z niedowierzaniem. Ten człowiek miałby być kapitanem jakiejś tam dahabieh, przewożącej z górnego Nilu kauczuk i liście senesu? Chyba nie.

— Nie wierzysz? — zapytał. — W takim razie powiem ci, że noszę tytuł reis effendina*, który tylko mnie jednemu przysługuje.

— Kapitan wicekróla? W tym jest coś szczególnego!

— Zapewne. To coś związane jest bardzo ściśle z książką, którą mam zamiar napisać. Ja ci to wytłumaczę. Handel niewolnikami jest zabroniony, a mimo to uprawia się go wciąż jeszcze. Nie domyślił się, ile ludzi ginie rocznie z tego powodu.

— Czy ja to wiem, zaraz ci wyjaśnię. Mówmy tylko Eeipcie, gdzie handel niewolnikami zniesiono. Znad górnego Nilu przewozi się 40 000 niewolników przez Morze Czerwone. Z tego idzie 16 000 do innych okolic, a 24 000 do Egiptu. Do tego należy dodać 46 000 ludzi, których się przewozi Nilem i drogami lądowymi do Nubii i do Egiptu. Kraj ten otrzymuje zatem przez cztery porty i czternastoma drogami lądowymi rocznie 70 000 niewolników. Do tego należy dodać, że na jednego niewolnika przypada przynajmniej czterech zabitych podczas obławy, lub ginących podczas transportu. Z tego rachunku wynika, że krainy Sudanu tracą dla samego Egiptu rokrocznie po 350 000 ludzi. Czy mam ci mówić także o niewolnictwie w innych krajach?

Spojrzał na mnie szeroko rozwartymi oczami i nic nie odpowiedział.

— Czy mam ci powiedzieć, że haremy w Konstantynopolu roją się od dziesięcio– do czternastoletnich Czerkiesek, za które dziś płaci się po dwadzieścia talarów, a przedtem były osiem razy droższe? Ile tam musi być Murzynów, i Murzynek? A jednak ambasady wysokiej Porty zapewniają nas, że handel niewolnikami już nie istnieje.

— A zatem ty, effendi, wiesz o tym wszystkim, wiesz nawet znacznie lepiej i dokładniej ode mnie! — przyznał. — Wy, Europejczycy, wiecie rzeczywiście wszystko, wszystko.

— No, wiemy przynajmniej, że się policzy za mało, jeśli się przyjmie, że kraje sudańskie tracą rokrocznie przeszło milion ludzi w obławach na niewolników. Takie liczby musisz w swojej książce uwzględnić.

— Podam je; na Allacha, podam! Nie zapomnij tych liczb, gdyż podyktujesz mi je przy sposobności. Ale sam przerwałem sobie przedtem, mówiąc, że handel niewolnikami trwa w dalszym ciągu. Mnóstwo okrętów płynie z niewolnikami w dół Nilu. Posiadamy policyjne okręty, mające śledzić ten handel, lecz kapitanowie są nieuczciwi. Te psy łączą się z łowcami niewolników. Potrzeba więc sprawiedliwego i uczciwego człowieka, który by gorliwie nad tą sprawą czuwał i ja nim jestem. Nazywam się Abd el Inzaf, sługa sprawiedliwości, zrozumiałeś? Jestem zaś reisem effendina czyli kapitanem naszego pana. Od niedawna nim jestem, mimo to jednak już wszystkie łotry mnie znają, gdyż nie przepuszczę żadnemu, choćby mi ofiarował nie wiem ile pieniędzy. Okręt mój nazywa się „Es Szahin”. Pędzi szybko jak sokół i napada jak sokół. Żadna dahabieh, żaden sandał, żaden noker nie zdołają przed nim umknąć. Czy chcesz go widzieć?

— Jestem nawet bardzo ciekawy.

— Stoi niedaleko stąd, przy brzegu. Musiałem dziś wylądować w Gizeh, gdyż pragnąłem pomówić z mudirem. Gdy nadszedł wieczór, poszedłem brzegiem, bo takie przechadzki często dobry połów mi dają. I dziś także gruba ryba wpadnie mi w ręce.

— Któż taki?

— Ta właśnie dahabieh.

— Czyż być może? Ależ ona dopiero dzisiaj wypłynęła z Bulaku.

— Tak, niewolników nie wiezie, ale ja już od dawna śledzę ją i jej reisa. Wnętrze tego okrętu urządzone tak, jak tego potrzeby handlu niewolnikami wymagają. Już ja ten statek znam.

— Przecież nie byłeś jeszcze pod pokładem!

— Pod pokładem nie byłem, ale dlaczego reis tak się przeraził moim przybyciem? Dlaczego sternik zniknął natychmiast w otworze? Chyba tylko dlatego, żeby tam na dole coś zmienić, albo ukryć. Zobaczysz wkrótce, że się nie mylę. Ale smoła się kończy. Niech reis znowu miski napełni; jeśli się nie pośpieszy, dostanie harapem.

Rozkaz ten zwrócony był do drugiego towarzysza; odszedł on zaraz, by go wykonać.

Co za spotkanie! Mój nowy znajomy był więc, żeby się tak wyrazić, oficerem marynarki i polował na handlarzy niewolników. Ogromnie rad byłem z tej znajomości, obiecywała mi ona wiele, a nawet bardzo wiele.

Stary reis przywłókł smołę, nie śmiejąc podnieść wzroku. Gdy odszedł, nawiązał reis effendina przerwana rozmowę:

— No, teraz wiesz już, kim jestem i jaki mój zawód. Czy sądzisz jeszcze ciągle, że należy przede mną zatajać, dlaczego chciałeś opuścić tę dahabieh?

— Może właśnie dopiero teraz. Zatrzymano by mnie tutaj, a ja muszę jechać do Sijut, by tam czekać na przyjaciela.

— W takim razie przyrzekam ci, że podróż twoja nie dozna zwłoki. Udaję się nad górny Nil do Chartumu i jeszcze dalej, więc przybiję w Sijut do brzegu. Odpływam stąd pojutrze; otóż pójdziesz do mnie na statek, oczywiście jako mój gość, gdyż dla zarobku podróżnych nie przewożę. Dobrze?

Kiedym się jakiś czas wahał, podał mi rękę i zawołał:

— Zgódź się, bardzo cię o to proszę! Nie ja tobie, lecz ty mnie wyrządzisz przysługę.

— A zatem dobrze i oto moja ręka! Jadę z tobą do Sijut.

— Bardzo chętnie zabrałbym cię dalej z sobą, ale skoro masz czekać na przyjaciela, to musisz oczywiście danego mu przyrzeczenia dotrzymać. A teraz opowiadaj, co się tu stało!

— To nie wystarczy; muszę opowiedzieć więcej, opowiedzieć i to, co przedtem zaszło, ty jednak nie będziesz miał czasu wysłuchać mnie do końca.

— Ja mam dziś dość czasu, gdyż muszę czekać, dopóki nie nadejdą majtkowie. Ciekawym, dlaczego ten drab wysłał wszystkich swoich ludzi ze statku!

— Tylko z mego powodu.

— Tak? Rzeczywiście? To podwaja moją ciekawość. A zatem od początku! Nie krępuj się! Mój sąsiad to sternik z „Sokoła”, a tamten z harapem to mój ulubieniec, prawa ręka; zrobią wszystko, co każe. Już niejeden handlarz i właściciel niewolników poczuł na swoim grzbiecie tę moją szybką, chętną i dość silną rękę i w ten sposób poznał moje hasło: „Biada temu, kto krzywdę wyrządza”.

Nie opierałem się dłużej i zacząłem opowiadanie od chwili, kiedy mnie Turek zawołał do kawiarni. Zajmujący był wyraz twarzy reisa effendiny, zdradzający, że z każdą chwilą rosła jego uwaga i coraz większe było jego zaciekawienie. Nie przerwał mi ani słowem, ani jednym okrzykiem; kiedy jednak doszedłem w opowiadaniu do chwili, w której podsłuchiłem reisa i kiedy powiedziałem mu, co mówili i postanowili, położył mi rękę na ramieniu i przeprosił:

— Wybacz na chwilę! — a zwróciwszy się do „prawej ręki” dodał: Spiesz na naszego „Sokoła” i sprowadź dziesięciu ludzi, by obsadzić dahabieh! Ja zmuszę tę zgraję, by pamiętała o dziewięćdziesięciu dziewięciu wzniosłych własnościach Allacha. A teraz, proszę dalej, effendi!

— To ty nie jesteś członkiem świętej Kadiriny? — spytałem.

— Nie, w ogóle nie jestem członkiem żadnego bractwa. Mahomet był prorokiem i Jan był prorokiem. Allah jest miłością i sprawiedliwością, Allah jest i twoim Bogiem. My ludzie jesteśmy wszyscy dziećmi Boga, mamy się nawzajem miłować i być wobec siebie sprawiedliwi. Cenię wiarę, w której na świat przyszedłem, ale nie poniżam drugiego; nie chcę nawracać i nie pozwolę sobie nawracać. Oczy moje mogą widzieć tylko rzeczy ziemskie, a dopiero po śmierci ujrzą rzeczy niebieskie. Dlaczego miałbym spierać się o to, kto Boga wielbi prawdziwie? Jesteśmy jedną wielką rodziną i mamy jednego ojca. Każde dziecko ma swoje odrębne dary i właściwości, więc na swój sposób rozmawia z ojcem. Podaj mi rękę, effendi! Ty jesteś chrześcijaninem a ja muzułmaninem, ale jesteśmy braćmi i jesteśmy posłuszni ojcu, ponieważ go kochamy!

Wyciągnął do mnie rękę, którą serdecznie uściśnałem. Czyż miałem mu powiedzieć, że jako chrześcijanin nie mogę się z nim zgodzić? Milcząc, nie zmieniałem się w muzułmanina, a pozwalając mu mówić, dałem mu sposobność mówienia tak, jak mówi prawdziwy chrześcijanin. Wyrzekając się zachłanności islamu, przestawał być mahometaninem. Uczynił przez to wielki krok ku chrześcijaństwu, a niewczesną repliką mogłem go tylko skłonić do cofnięcia tego niezwykłego kroku. Wiedziałem zresztą, że misjonarzem jest nie tylko ten, co naucza słowami, ale i ten, co czynami drugim przykład daje. Czyn działa często potężniej aniżeli słowo; czasem i milczenie jest czynem, choćby tylko takim, który zapobiega zgorszeniu.

Opowiadałem dalej; kiedy dobiegłem do końca, wrócił ulubieniec” i „prawa ręka”. Poustawiał on dziesięciu uzbrojonych ludzi w rozmaitych miejscach pokładu, gdzie posiadali; ukryli się za wyższym pokładem, ażeby ich z brzegu nie można było zobaczyć. Następnie zbliżył się do nas i oznajmił:

— Emirze, statek obsadzony, ale kiedyśmy nadchodzili, stał tam pod drzewem człowiek, który się ostro wpatrywał w dahabieh. Wydało mi się to podejrzane i kazałem go pochwycić, zdołał jednak dość wcześnie umknąć. Jeśli Allah obdarzył mnie dobrymi oczyma, to mógłbym przysiąc, że to ten sam człowiek, którego widzieliśmy przedtem, zanim weszliśmy na okręt.

— A więc złodziej kieszonkowy? Jaka szkoda, że nam umknął! Teraz wie, w którym ręku znajduje się dahabieh i już tu chyba nie przyjdzie. Jutro jednak będę w Kahirze i każę go pochwycić.

— Jeśli go znajdziesz! — wtrąciłem.

— O, ja go znajdę. Zaalarmuję całą policję, a gdzie się ten łotrzyk włóczy, o tym tam wiedzą dokładnie. A więc, effendi, już skończyłeś. Wiem, co się stało, lecz wiem jeszcze coś innego, a mianowicie, że jesteś człowiekiem, którego bym pragnął mieć na „Sokole”. Czy chcesz być moim porucznikiem?

— Niestety, to nie jest możliwe.

— Ja wiem, dlaczego. Porucznik to nic, ale przecież nie mogę ci wprost zaproponować, żebyś dowodził moim „Sokołem”, ani też tego nie wypada mi mówić, że chciałbym być twoim podwładnym!

— Jedno i drugie chyba niepotrzebne; przypuszczam bowiem, że musisz już mieć porucznika.

— Oczywiście, że mam, ale zapytam cię przynajmniej, czy nie miałbyś ochoty towarzyszyć mi w drodze na górny Nil.

— Ochotę miałbym, lecz mi nie wolno.

— Z powodu tego Turka? Dałeś mu słowo? Musisz mu go dotrzymać, bo Murzynów przyjął u siebie. Jak on się: nazywa?

— Murad Nassyr.

— A skąd pochodzi?

— Z Nifu obok Izmiru.

Popatrzył w milczeniu na dół; ponieważ mina jego nie bardzo mi się podobała, więc zapytałem:

— Czy go może znasz?

— Zdaje mi się, że słyszałem już kiedyś to nazwisko.

— Wymawiano je pochlebnie czy nie?

— Nie! Nie mogę sobie przypomnieć dokładnie, ale zdaje mi się, że nie bardzo dodatni sąd o nim słyszałem. Może sobie o nim zresztą cośkolwiek wyraźniejszego przypomnę. Mamy czas, bo razem pojedziemy. Dajmy więc temu spokój, a zajmijmy się teraźniejszością. Gdyby sprawa twoja poszła zgodnie z przepisami, musiałbyś mimo pomocy konsula spędzić tutaj kilka tygodni. Ponieważ jednak przyrzekłem ci, że tego unikniesz, nadam sprawie taki obrót, jaki uważam za najlepszy. Ciebie nie potrzeba nam wcale; wystarczy przyznanie się tych łotrów i kilku świadków, którzy to usłyszą i potem w sądzie powtórzą. Świadków mam, to moi ludzie:

— A więc sprawcy zostaną ukarani?

— Oczywiście! „Biada temu, kto krzywdzi innych!”

— I Barakowi, mokka demowi?

— Hm! Właśnie dlatego, że ten Abd el Barak jest mokka demem Kadiriny, trudno będzie dobrać się do niego, gdyż nikt, nawet najpotężniejszy, nie zechce poważyć się z tak potężnym bractwem. Znajdę jednak środki i drogi, by się do niego dostać z moją „prawą ręką”. Teraz zejdzmy na pokład, przesłucham tych trzech drabów.

Zeszliśmy po wspomnianych schodach, przy czym „prawa ręka” i „ulubieniec” wyjął korbacz z za pasa. Ten zacy sługa znał widocznie mocne i słabe strony swego energicznego pana, jako inkwizytora. Kiedyśmy się zbliżyli do masztu, pod którym siedzieli delikwenci, powstali wszyscy trzej ze swych miejsc. Postawa ich bynajmniej nie zdradzała pewności siebie a twarze ich wyglądały nędznie już teraz. Emir, którego tak odtąd będę nazywał, ponieważ jego „ulubieniec” dał mu przedtem ten tytuł, podniósł rękę, a na ten znak natychmiast przyszło owych dziesięciu ludzi i otoczyło nas dokoła. Sędzia śledczy zwrócił się natychmiast do służącego:

— Jak się nazywasz?

— Barik — odrzekł zapytany.

— A zatem prawie tak jak twój miły mokka dem! Skąd pochodzisz?

— Z Minieh.

— A przecież powiedziałeś temu effendiemu, że jesteś Beni Maazeh imieniem Ben Szorak! Jak śmiałeś okłamywać człowieka, który w każdym końcu włosa ma więcej rozsądku, aniżeli ty miałeś i mieć będziesz razem z twoimi przodkami i potomkami. Radzę ci mówić prawdę, gdyż nie jestem taki cierpliwy, jak ten effendi. Czy udawałeś wczoraj ducha?

— Nie.

— Dobrze! Przypomnij sobie! My ci w tym pomożemy. Na jedno jego skinienie położyli czterej ludzie kłamcę na ziemi i przytrzymali go a „ulubieniec” zaczął wybijać takt w taki sposób, że ten wrażliwy człowiek krzyknął za piątym uderzeniem:

— Dość, już się przyznam!

— Tak przypuszczałem! A więc byłeś jednym ze strachów?

— Byłem — odrzekł zapytany, leżąc jeszcze na ziemi.

— Kto to byli tamci dwaj?

— Mokka dem i jego sługa, będący zarazem jego pisarzem.

— Jak często udawaliście strachy?

— Ciągłe od śmierci właściciela domu.

— Z tobą jesteśmy już gotowi. Podnieś się i stań pod masztem.

Czterej ludzie puścili go a „ulubieniec” przeciągnął go jeszcze raz po plecach tak, że delikwent zerwał się z podłogi jak tylko mógł najszybciej. Emir spojrział na reisa i rzekł:

— Znasz mnie i wiesz dobrze, jak ciebie lubię i jaką mam władzę nad tobą. Odpowiadaj dokładnie i rzetelnie, bo jak nie, to dostaniesz baty.

Tego chyba nigdy nie obiecywano starcowi, więc wybuchnął z gniewem:

— Emirze, ja jestem wiernym muzułmaninem, a nie niewolnikiem lub sługą, lecz dowódcą na tej dahabieh.

„Ulubieniec” wiedział już, co czynić w takich wypadkach; nie zapytawszy nawet wzrokiem, przeciągnął starca w poczuciu swego majestatu tak silnie dwa razy po grzbiecie, że go już cała ochota do oporu odeszła.

— Tak! — zaaprobował emir, zadowolony z urzędowej gorliwości podwładnego. — Czy ktoś niewolnikiem, sługą, dowódcą, muzułmaninem, czy poganinem, to wszystko jedno wobec Allacha, mnie i mego bata. Kto się sprzeciwia lub kłamie, musi nim dostać po grzbiecie. Od kiedy ten Barik z Minieh służy na twoim statku?

— Od dziś — odpowiedział z tłumioną złością.

— Kto go sprowadził?

— MokkaDEM.

— Jakie obowiązki miał pełnić ten pacholek?

— Miał służyć temu obcemu effendiemu.

— Miał temu panu podchlebiać, aby go przyjął na służbę, a potem miał go wydać mokkaDEMowi czyli śmierci?

— O tym nic nie wiem.

— Więc zapomniałeś, otóż wyrządźmy ci przysługę i dopomożemy pamięci.

Powalono reisa na ziemię, dostał on znowu batem ale tylko trzy razy, po czym przyznał się do tego, o co go pytano.

— Widzisz, jak szybko bat brak pamięci usuwa — rzekł emir. — Skóra hipopotama otwiera za

pierwszym uderzeniem mięso cielesne i zatwardziałość serca. Masz leżeć tak dalej i odpowiadać. Czy wiedziałeś, że portfel ma być skradziony?

— No tak... wiedziałem — przyznał się z wahaniem.

— I przyłożyłeś rękę do tego?

— Nie... tak, oj tak! — krzyknął przeraźliwie, poczuwszy harap.

— Czy wiedziałeś, że effendi miał być zamordowany?

Przyznanie się nastąpiło dopiero po drugim uderzeniu.

— Czy radziłeś tamtemu drabowi, aby go zabił dziś zaraz?

Reis milczał. Nie chciał powiedzieć tak, a bał się środka przymusowego, zwanego przez Turków „kыз” a przez Arabów „korbacz”. Ale działalność „ulubieńca” doprowadziła go rychło do tego, że się przyznał.

— Mógłbym pytać dalej, — rzekł emir — ale budzisz wstręt we mnie. Jesteś tchórzliwym psem, który ma odwagę popełnić grzech, a nie ma odwagi do niego się przyznać. Dusisz się w swoim własnym błocie. Oprzyjcie go o maszt! A teraz do sternika!

Człowiek ten drżał na sam widok tego, co się działo. Gdy usłyszał, że do niego mają się teraz zwrócić z okropnym pytaniem, padł na kolana i zaczął wrzeszczeć:

— O Allah, o nieba! Tylko nie bić! Ja zeznam wszystko, wszystko.

— Emirze! — poprosiłem reisa effendinę — miejcie litość dla niego. On nie jest taki zły i musiał słuchać reisa. Podczas mego podsłuchiwania nie powiedział ani słowa, gdy potem zarzucałem im przewrotność, przyznał prawdę moim słowom. Dostał się w złe towarzystwo i to jest cała jego wina.

— Ten pan ma słuszość, effendi; on ma słuszość. Allah będzie mu błogosławił za te słowa! — lamentował tchórzliwie.

— Dobrze, chcę wierzyć — rzekł emir — i postawię ci tylko jedno pytanie. Czy przyznajesz, że to wszystko prawda, co wam opowiedział effendi?

— Tak jest, to wszystko prawda!

— Więc powstań! Będziemy mieli litość nad tobą. Ale spodziewam się, że potem na inne pytanie odpowiesz równie otwarcie.

— Jakie pytanie? Powiem wszystko.

— Dowiesz się o tym. Nie powinieneś dłużej przestawać z tymi zatwardziałymi grzesznikami. Usiądź obok kajuty, ale nie ruszaj się z miejsca.

Zrozumiałem zamiar emira. Chciał on sternika trzymać z dala od reisa, aby go namowami lub groźbami nie skłonił do odmówienia spodziewanego jeszcze zeznania. Teraz kazał reis effendina wyszukać trzy lampy i zszedł z muhamelem* i „ulubieńcem” do wspomnianego już otworu.

Widziałem, że reis zacisnął wargi, ale nie tyle z bólu, jaki mu sprawiły baty, ile raczej z obawy przed odkryciem, którego należało się spodziewać. Nie mogłem wprost już patrzeć na tego człowieka. Zbrodniarz młodociany z pewnością wzbudzi w nas litość, lecz jeśli człowiek stary, jedną nogą już w grobie stojący, grzeszy z samego upodobania w złym, nie zasługuje na nasze współczucie. Chrześcijanin osądzi go może łagodniej, obywatel jednak i psycholog musi o nim wypowiedzieć sąd ostry. Poszedłem na tył okrętu do sternika. Wyciągnął on do mnie rękę i powiedział:

— Effendi, dziękuję ci, że przemawiałeś za mną. Jestem krewnym reisa i nie mogłem odejść od niego. Nie chciałem ci wyrządzić niczego złego i dlatego milczałem na wszystko.

— Lecz musisz uznać, że milczenie twoje było grzechem a nawet zbrodnią.

— Effendi, moje słowo żadnego skutku by nie odniosło. Czyż miałem reisa zdradzić dla ciebie?

— Oczywiście, a wtedy nie byłoby tak źle z wami, bo emir nie byłby wszedł na dahabieh; zwabiliśmy go dopiero naszą głośną rozmową. Gdyby nie to, nie byłby odkrył, że ten żaglowiec służy do przewozu niewolników.

— Prze... wo... zu... niewolników! — wyjąknął z przerażeniem. — Kto... kto... tak twierdzi?

— Emir, a on jest znawcą.

— O nieszczęście, o zamęcie w mej głowie! Allach, Allach, Allach! Ciało moje chwieje się, kości dygocą, a dusza drży. Pochłania mnie morze strapienia, a wiry strachu pchają mnie w otchłań rozpaczy. Jakaż dusza ulituje się nade mną, jaka ręka wyciągnie się, by mnie ocalić?

— Milcz i nie krzycz tak, bo na nas zwrócą uwagę. Czy przyznajesz, że ta dahabieh pośredniczy w handlu niewolnikami?

— Effendi, ona ich tylko przewozi.

— Masz już prawie sześćdziesiąt lat. Czy masz rodzinę?

— Mam w Gubatar syna oraz kilku wnuków i wnuczek, u których znajduje się moja żona.

— To w pobliżu wolnych Beduinów w Uelad–Ali, których znam dobrze. Uciekaj do nich i siedź tam, dopóki ta sprawa nie pójdzie w zapomnienie. Czy masz pieniądze?

— Mam tylko kilka piastrów, a i te są w przechowaniu u reisa.

Dałem mu trochę pieniędzy, jakie miałem przy sobie i powiedziałem:

— Zauważyłem, że małe czółno przymocowane jest z tyłu do steru. Spuść się po linie, na której wisi i uciekaj!

— Chętnie, o jak chętnie! Za rok pójdzie wszystko w zapomnienie, a potem będę mógł pokazać się znowu. Ale jak się tam dostanę do steru? Zobaczą mnie!

— Nie, bo idę tam teraz i tak zajmę tych ludzi, że zwrócą na mnie całą uwagę. Uważaj zatem. Skoro tylko zobaczysz, że nikt nie patrzy w tę stronę, wbiegniesz na schody.

— Tak, tak, effendi! Jakie dzięki...

— Nie gadaj nic, raczej działaj. Niechaj Allah osłania twą ucieczkę i nie pozwoli ci zejść znów na bezdroża.

— Nigdy już nie popełnię niczego złego, effendi. Nikt z muzułmanów nie byłby się ulitował nade mną, a ty, który jesteś chrześcijaninem...

Nie słyszałem nic więcej, gdyż odszedłem od niego ku maszтови i tam zacząłem wypytywać hadzi emira o „Sokoła”. Byli tak zachwyceni zaletami tego statku, że zaczęli mówić do mnie wszyscy naraz. Kiedy zaś oznajmiłem im, że pojedę z nimi, stłoczyli się dokoła mnie tak, że sternik miał sposobność do ucieczki. Widziałem go śpieszącego po schodach i znikającego poza dymem, wychodzącym z miski smolnej. Gdyby mi był kto w owej chwili powiedział, że wkrótce sternika spotkam i to nie u Beduinów w Uelad–Ali, lecz w Sudanie, nie byłbym chyba uwierzył.

Teraz powrócił emir z obydwoma towarzyszami. Obawiałem się już, że najpierw będzie szukał sternika i przedwcześnie odkryje jego ucieczkę, ale na szczęście przyszedł prosto do nas i zwrócił się do reisa:

— Najpierw załatwię jeszcze jedną sprawę uboczną. Ile ten emir zapłacił za przewóz?

— Sto piastrów — stwierdził stary, zuchwały grzesznik jeszcze teraz.

— A jednak effendi mówi o trzystu, z czego wynika, że ty podajesz o dwieście mniej. Jeden z was chce mnie oszukać, ale w tym wypadku ja jemu wierzę, nie tobie. Wolę przypuścić, że effendi omylił się o dwieście. To wynosiłoby pięćset, które mu wypłacisz natychmiast.

— To oszustwo, najoczywistsze oszustwo! — krzyknął starzec, lecz poczuł natychmiast bicz „ulubieńca” na grzbiecie, co skłoniło go do oświadczenia, że zgadza się na wypłatę.

— Dobrze! Gdzie masz pieniądze? — zapytał emir. Reis zawahał się z odpowiedzią, lecz podniesiony harap zmusił go do wyznania, że kasę ukrył w dolnej części okrętu.

— A zatem sprowadzisz nas na dół — rzekł nieubłagany inkwizytor. — Dokąd zmierza twoja dahabieh?

— Tylko do Chartumu.

— Nie dalej? To kłamstwo. Dajesz mi tę odpowiedź, ażeby nie zgadł, jakiego to rodzaju handel chcesz tam uprawiać. Jakie zabrałeś towary?

— Takie, jakich tam poszukują, mianowicie materiały na ubrania, narzędzia, tanie ozdoby dla Murzynów i tym podobne rzeczy; chcę to zamienić na produkty krajowe.

— To brzmi wcale niewinnie, ale ja ci nie wierzę. Skrzynie i toboły, które widziałem na dole, wyglądają tak, że należy się w nich domyślać całkiem innych rzeczy. Każę je zatem otworzyć i biada ci, jeśli cię złapię na oszustwie.

— Emirze, ja chodzę drogami prawa — zapewnił starzec — a więc możesz sobie śmiało oszczędzić trudu otwierania.

— Rzeczywiście? Przypuszczam jednak, że handlujesz deskami, słupami i innym drzewem, gdyż widziałem na dole mnóstwo tego materiału. Powiedz mi, jakie jest jego przeznaczenie?

— Wszystko przeznaczone na sprzedaż. Na południu nie ma drzewa ciętego i dlatego ludzie zamożni, którzy go potrzebują do budowy, płacą za nie bardzo dobrze.

— Komu innemu mógłbyś to mówić, ale nie mnie. Dlaczego w takim razie te podpory, słupy i deski tak są obrobione, że można z nich zbudować jeszcze dwa niższe pokłady?

— To przypadek, emirze!

— Gdybyś był wiernym synem proroka, wiedziałbyś, że przypadek nie istnieje. Czy handlujesz może także żelaznymi łańcuchami? Widziałem ich całe stosy na dole. Te deski i łańcuchy zdradzają twoje właściwe zatrudnienie; twoje kręactwa nie przydadzą się na nic. Że handlujesz niewolnikami, udowodni ci to twój własny sternik swymi zeznaniami. Sprowadź mi go tutaj! On się tak boi harapa, że zaraz powie prawdę.

Na te słowa zwróciły się oczy wszystkich ku miejscu, gdzie się znajdował sternik, ale go tam już nie było. Zaczęto go szukać i szukano oczywiście na próżno. Reis effendina wziął całą sprawę o wiele lżej aniżeli przypuszczałem. Już po krótkim czasie rozkazał jednemu ze swoich ludzi:

— Nie trudźcie się! Widzę, że uciekł. Nie uważaliście i udało mu się niepostrzeżenie przekraść na brzeg po pomoście. Powinienem was właściwie za to ukarać, ponieważ jednak nie był to taki zatwardziały łotr, jak ten reis, więc niech ucieka a wam przebaczam. Teraz zejźmy znów na dół, aby odebrać pieniądze za podróż.

Poprosił mnie, żebym szedł za nim. Dwóch jego ludzi pochwyciło reisa, aby go zaprowadzić do otworu, reszta została na górze. Przybywszy na dół, zorientowaliśmy się łatwo przy pomocy światła. Wnętrze dahabieh tworzyło wielką przestrzeń, od której odcięta była z przodu i z tyłu mała komórka. Tu zobaczyłem zaledwie dwadzieścia skrzyń i tobołów. Było to uderzające, ponieważ te okręty nie opuszczają Kairu, zanim nie nabiorą pełnego ładunku. W tylnej nie zamkniętej komórcie stała skrzynia z narzędziami. Leżały tam łańcuchy rozmaitej długości, grubości i konstrukcji, wszystkie bez wyjątku przeznaczone na niewolników. W wielkim przedziale piętrzyły się wysokie składy desek i belek.

Oprócz tego spostrzegłem trzy poziome, leżące jeden nad drugim, szeregi podpór, przyśrubowanych mocno do żebier statku. Były to widocznie podpory niższych pokładów, które w razie potrzeby budowano ze znajdujących się tu desek i belek. Te dolne pokłady przeznaczone były oczywiście dla Murzynów. Oddalenie bocznych podpór od siebie wskazywało na to, że te pokłady nie były wyższe nad cztery stopy, że więc biedni czarni nie mogli podczas transportu stać, a nawet siedzieć z biedą tylko mogli. Zresztą reis przyznał później, że tylko wyjątkowo wolno im było siadać, przeważnie zaś przykuwano ich w pozycji leżącej. Ponieważ mnie to żywo zajęło, wybadałem go później i dowiedziałem się bliższych szczegółów o podziale tych dolnych pokładów i sposobie umieszczania tam czarnych. Ściany z desek na przedzie i tyle okrętu odcinały zaokrąglenia statku tak, że każdy taki pokład, przeznaczony dla niewolników, miał kształt regularnego prostokąta, w którym umieszczano czarnych.

Każdy dolny pokład dzielił się na części, w których, mieściło się po pięćdziesięciu czarnych, którzy leżąc zwróceni byli do siebie nogami. W środku tych przedziałów znajdował się otwór, przez który łączyły się schodami dolne pokłady z górnymi. Jeśli się weźmie pod uwagę bardzo małą wysokość tych przedziałów, brak wszelkiej wentylacji, skwar egipski, nędzne pożywienie i złe, a nawet okrutne obchodzenie się reisów z niewolnikami, to nietrudno sobie wyobrazić, jak straszne było położenie tych czterystu pięćdziesięciu czarnych, pomieszczonych na dahabieh.

Reisa zaprowadzono do przedniej komórki, która była zamknięta. Kiedy ją otworzono, ujrzeliśmy znaczną liczbę harapów, zawieszonych na ścianie, mnóstwo flaszek „raki”, przeznaczonych oczywiście dla reisa, oraz skrzynię blaszaną, u której wisiały dwie kłódki. Reis miał klucze do niej przy sobie. Gdy ją otworzył, okazało się, że zawierała kilka tysięcy talarów Marii Teresy. Emir sięgnął ręką bez ceremonii i odliczył pewną sumę, którą mi potem podał, mówiąc:

— Oto masz, effendi, twoich pięćset piastrów.

— Ależ to o wiele więcej, aniżelim zapłacił! — odrzekłem, i bynajmniej nie miałem zamiaru tej kwoty sobie przywłaszczyć. — Talar znaczy tu...

— Milcz! — przerwał mi. — Ja to lepiej rozumiem od ciebie. Ten reis, handlujący niewolnikami, ma pieniądze przeznaczone na zakup w Sudanie, gdzie talar ma wartość dziesięciu piastrów. Dlatego właśnie liczę wedle tamtego kursu i daję ci pięćdziesiąt talarów, czyli pięćset piastrów.

— Ależ moja opłata nie wynosiła pięciuset piastrów, lecz...

— Cicho! — przerwał mi znowu. — Wiem bardzo dobrze, co czynię. Biada temu, kto krzywdzi innych! Oto zasada, w myśl której zawsze postępuję.

Musiałem milczeć i przystać na jego sposób liczenia. Twierdzenie jego co do wartości talarów Marii Teresy było całkiem fałszywe, gdyż przeciwnie, pieniądź ten ma w Sudanie wyższą wartość aniżeli w Kairze. Powinienem był dostać właściwie znacznie mniej nawet w tym wypadku, gdyby Murad Nassyr zapłacił za mnie pięćset piastrów. Kiedy pieniądze wsunąłem do kieszeni, stary reis złożył ręce jak do modlitwy, podniósł oczy w górę i westchnął:

— O Allah! Losy, które zsyłasz na swoich wiernych, są czasem ciężkie, bardzo ciężkie, ale ty im

je wynagrodzisz kiedyś wiecznymi rozkoszami raj.

— Harapami będą cię tam ćwiczyli, tylko że plagi będą nieco silniejsze niż te, któreś dziś otrzymał — huknął emir na niego. — Będziesz cierpiał jak jeź przeniecony, któremu kolce wbijają się we własne ciało. Kto porywa ludzi i handluje niewolnikami, tego po śmierci czeka tylko piekło.

— Nie pojmuję, co ty mówisz, emirze! Ani przez myśl mi nie przeszło, aby się tym zakazanym handlem zajmować.

Kroczę drogą sprawiedliwych, a ścieżki moje są ścieżka cnotliwych.

— Milcz psie! — zgromił go reis effendina. — Jeśli nic pojąć nie jesteś w stanie, to się postaram, żebyś przynajmniej coś odczuł, a mianowicie mój bat. Wielka zaiste jest przewrotność twoja, ale jeszcze większa bezczelność. Czy sądzisz, że jestem ślepy? Ja, reis effendina, widząc urządzenie okręt poznam chyba, do jakiego użytku jest przeznaczony! Chodź, udowodnię ci, że wszystko odgaduję i rozumiem.

Powlókł go do głównego przedziału i dał takie dokładne wytłumaczenie konstrukcji urządzenia i jego celu, jak gdyby okręt według jego własnego planu zbudowano. Reszty dokonała ponowna groźba, że dostanie harapem. Reis musiał złożyć wyczerpujące zeznania, po czym Abd el Inzaf zarządził konfiskatę statku i całej jego zawartości a tym samym i kasy starego reisa, którego następnie zamknięto w opróżnionej komórce. Strata pięknych talarów Marii Teresy dotknęła go niezawodnie bardziej aniżeli los, który go czekał.

Wyszliśmy na pokład, a za nami przyniesiono skrzynię. Przybywszy na górę, rozkazał emir zamknąć także trzeciego ducha. Chwilę później przybyli majtkowie na statek. Nie domyślając się, co tutaj zaszło, zdumieli się niemało widząc, że dahabieh przeszła w obce i to tak groźne ręce. Emir przesłuchiwał każdego z osobna, przy czym okazało się, że wszyscy wiedzieli, a w każdym razie domyślali się, jakie jest przeznaczenie okrętu. W ciągu śledztwa reis effendina groził im kilkakrotnie bastonadą; wreszcie, kiedy wszystkie potrzebne zeznania z nich wydobyto, kazał ich sprowadzić do wnętrza statku i zamknąć. Przy wszystkich wejściach postawiono straż.

Teraz wezwał mnie, bym się udał razem z moimi pupilami i z nim na „Sokoła”. Rzeczy moje miano później stąd zabrać. Sokół, „Es Szahin”, stał na kotwicy nieco wyżej. Ponieważ było dość ciemno, nie mogłem widzieć dokładnie jego kształtu, zauważyłem tylko przy świetle latarni, stojącej na pokładzie, że był bardzo długi i wąski, oraz, że miał dwa maszty z całkiem odrębnym urządzeniem lin i żagli. W tyle znajdowały się dwie kajuty: jedna na pokładzie, druga o kilka schodów niżej. Tę niższą przeznaczono dla mnie i dla dzieci. Zaopatrzona była w okna i jak na trzy osoby wcale obszerna. Urządzenie jej było wprawdzie wschodnie, lecz znajdowały się tam także takie przedmioty, które pozwalały i mieszkańcowi Zachodu mieszkać w niej dość wygodnie.

Emir wysłał jeszcze czterech ludzi do pilnowania dahabieh, dwóch innych zaś poszło po moje rzeczy. Kiedy go zapytałem, ilu ludzi wynosi załoga „Sokoła”, odpowiedział, że składa się z czterdziestu zdolnych do boju mężczyzn. Wszyscy z nich znali doskonale Sudan i mieli, jak mnie zapewniał emir, ogromną wprawę w wyławianiu handlarzy niewolników.

Ponieważ nie miałem już nic do roboty, położyłem się spać. Poduszki były godne baszy, toteż spałem aż do białego dnia, nie zbudziwszy się ani razu. Kiedy rano wyszedłem na pokład, powitał mnie porucznik bardzo uprzejmie i zapytał o rozkazy. Zawiadomił mnie, że ma rozkaz spełniać moje życzenia tak samo, jak gdyby pochodziły od kapitana. Zamówiłem kawę dla siebie i dla dzieci i zapytałem o emira. Nie było go, gdyż znajdował się w drodze do Kairu, by tam wydać w ręce władzy reisa i całą załogę. Zamierzał równocześnie wysledzić kuglarza. Z uprzejmości tylko nie zbudził mnie przed odjazdem.

Następnie wyniesiono dla mnie i dla dzieci poduszki na tylny pokład, skąd mogliśmy objąć okiem całą szerokość rzeki. Przede wszystkim zajął moją uwagę statek, na którym się znajdowałem. Linie jego były ostre, lecz zgrabne a jedno spojrzenie na maszty, liny i zwinięte teraz żagle dowodziło, że to statek doskonały.

Siedzieliśmy jeszcze przy kawie i przy ciepłym pieczywie, które przyrządził dla nas okrętowy kucharz, gdy naraz dostrześliśmy sandał, przesuający się z wolna środkiem rzeki. Chciał nas minąć. Na dziobie przeczytałem nazwę „Abu'l adżał”. Posłałem mego czarnego chłopca do kajuty po lunetę.

Uczyniłem to nie przeczuwając niczego, zaraz się jednak przekonałem, że był to krok bardzo dobry. Kiedy bowiem spojrzałem na sandał, znajdujący się na tej samej wysokości, zauważyłem wśród innych ludzi człowieka, który z natężeniem wpatrywał się w naszą stronę. Poznałem natychmiast muzabira, którego emir chciał schwytać. Łotr umknął oczywiście pierwszym statkiem, płynącym w górę rzeki.

Zawiadomiłem natychmiast juzbaszę* o mym odkryciu i zapytałem go, czy nie może zabrać tego człowieka z sandała, lecz odpowiedział mi, niestety, że bez osobnego rozkazu emira, ani sam nie może opuścić „Sokoła”, ani też ludzi nie może wysłać. Musieliśmy więc na razie puścić kuglarza wolno.

Rozdział III

W Sijut

Żegluga na Nilu! Ileż treści w tych słowach! Kahira, „Wrota Wschodu” już za plecami, dąży się na południe. Na południe! Niech ci się nie zdaje, czytelniku, że wyraz Sudan pochodzi od pierwiastka sud, znajdującego się w wielu europejskich językach na oznaczenie południa. Sudan to spaczona liczba mnoga od przymiotnika „aswad”, czarny. Beled es Sudan znaczy dosłownie kraj czarnych. Południe nazywa się po turecku i po arabsku kyble albo dzenub.

Na południe! To tyle co podróż w krainy nieznane, tajemnicze. Nawet dla człowieka, który kilkakrotnie całą kulę ziemską objechał, południe będzie zawsze krainą mroków, w której każdego dnia można odkryć coś nowego.

Z Kairu do Sijut dziś można się dostać koleją, ale taka podróż nie jest bardzo pojętna. Lokomotywa świszcząca nad Nilem, ciemna i brzydka chmura dymu, wlokąca się za pociągiem, znieważają przepyszną atmosferę świętej rzeki. A jak się jeździ koleją egipską? W swoim czasie zdarzyło się na europejskiej kolei, że chociaż pociąg miał stać na stacji tylko dwie minuty, urzędnicy wysiedli, aby się napić wina; maszynista uczynił oczywiście to samo. Wtem przyszła podróżnym ochota zagrać sobie partyjkę w pobliskiej kręgielni. Gdy ją skończono, zagrano drugą, po czym wszyscy powiadali powoli do przedziałów i pociąg potoczył się dalej. Jeśli to mogło się stać w Europie, czegóż się można spodziewać nad Nilem?

Wolę pokład okrętowy aniżeli ciasny przedział wagonu. Tu siedzi się na rogoży albo na poduszce z fajką w ręku, mając wonną kawę przed sobą. Rzeka, szeroka przeszło dwa tysiące stóp, rozlewa się przed oczyma jak jezioro prawie bezbrzeżne. Widok taki podnieca wyobraźnię, która się przenosi na południe, aby je sobie zaludnić olbrzymimi obrazami ze świata roślinnego i zwierzęcego. Wiatr północny wydyma żagle, majtkowie siedzą tu i ówdzie i śpią lub patrzą bezmyślnie przed siebie albo wreszcie zabijają czas dziecinną zabawą. Oczy podróżnego zaczynają się nużyć; nie śpi jednak, tylko zaczyna marzyć i marzy, dopóki nie zabrzmi okrzyk: „Do modlitwy wierni!” Na to hasło klękają wszyscy, pochylają się wedle Kiblah i wołają: „Świadczę, że nie ma żadnego Boga, prócz Boga; świadczę, że Mahomet jest wysłańcem Boga!” Następnie znowu śpią, dopóki reis nie wyda komendy, albo spotkany statek lub tratwa nie zwróci ich uwagi na siebie.

Tratwy te o tyle są interesujące dla obcych, że nie składają się z pni, belek itp., lecz z dzbanów na wodę. Egipcjanin nie pije innej wody jak tylko z Nilu i czerpie ją porowatymi dzbanami. Nieczystość osadza się na ich dnie, a przez pory wydobywa się wilgoć, która parując ochładza wodę znajdującą się wewnątrz do temperatury niższej niż rzeczna. Woda ta ma smak bardzo przyjemny i kto raz się do niej przyzwyczai, woli ją aniżeli źródlaną z oaz. Dzbany wspomniane wyrabiają w Ballas na lewym brzegu Nilu i dlatego nazwano je ballasi. Ze sznurów plecie się długie prostokątne sieci, w których oka wstawia się dzbany. Ponieważ naczynia te są próżne, unoszą się razem z siecią na wodzie. Na taki pokład kładą drugą podobną warstwę i tratwa jest już gotowa.

Urodzajność Egiptu zależy od wylewów Nilu, który wzbiera w pewnych porach roku i równie regularnie opada. Im większy wylew, tym lepsze zbiory. Ażeby wodę doprowadzić jak najdalej, pokopano kanały. Na ich nasypach, jak też na wysokich brzegach rzeki, umieszczone są sakkiasy, czyli przyrządy do czerpania wody, przy pomocy których właściciele parceli nawadniają swoje pola. Są to ogromne koła, zaopatrzone na obwodzie w naczynia, które podczas obrotu chwytają na dole wodę, a górą wylewają ją do rowów. Tymi rowami następnie rozprowadzają wodę w najdalsze nawet okolice. Sakkiasy swoje wprowadza Egipcjanin w ruch przy pomocy wielbłądów, osłów, wołów, a nawet ludzi, a monotonne skrzypienie tych kół słychać daleko. Często można także zobaczyć nad kanałem biedaka, który za małe wynagrodzenie czerpie wodę rękami. Nie stać go na to, żeby sobie kupić sakkias i zapłacić od niej podatek. Trzeba bowiem wiedzieć, że w Egipcie wszystko jest opodatkowane, nawet drzewo, jeśli może urodzić choćby kilka owoców. Zdarzało się, że mieszkańcy całych osad wytrzebiali swoje lasy palmowe, byle tylko uniknąć podatków. Zamożny ukrywa swoje bogactwa i nawet ubraniem nie zdradza swoich dostatków, biedak nie ma z czego żyć wystawnie), dlatego to ludzka dekoracja krain nadnilowych przedstawia się ubogo, co pozostaje w jaskrawej sprzeczności z nadzwyczajną urodzajnością tej ziemi.

Zbliżaliśmy się do Sijut, czyli do mojego tymczasowego celu podróży. Jeszcze całe dwa dni stał „Esz Szahin” na kotwicy w Gizeh, zanim ruszyliśmy z miejsca. Tak długo zatrzymały tam emira obowiązki. Śledztwo jego w sprawach muzabira było oczywiście daremne a kiedy po powrocie dowiedział się, że kuglarz pojechał na „Abu’l adżalu” w górę rzeki, udobruchała go jedynie nadzieja, że szybki „Sokół” wkrótce dopędzi ów statek.

Przybijaliśmy do wszystkich portów, ażeby się dowiedzieć o sandale, lecz na próżno, bo omijał brzegi. Spodziewaliśmy się zobaczyć go w Sijut i dowiedzieć się czegoś bliższego o muzabirze. Jeszcze daleką drogę mieliśmy przed sobą a mimo to Sijut widzieliśmy jak na dłoni. Miejscowość ta nazywa się po koptyjsku Saud i jest starożytną Lykonpolis (Wilcze miasto). Leży w pewnym oddaleniu od brzegu, w okolicy bardzo urodzajnej i uroczej. Licząc przeszło trzydzieści tysięcy mieszkańców jest Sijut siedzibą baszy i koptyjskiego biskupa. Handel tego miasta sięga aż do wnętrza Afryki, jest to bowiem główna stacja nubijskich i wschodnio-sudańskich karawan. Mimo swej starożytności miasto to nie posiada żadnych monumentów, jeśli się odliczy dawną nekropolię i położone w zachodnich górach libijskich groby z mumiami wilka, którego tu dawniej czczono. W pobliżu niedalekiej wsi Moabdah znajduje się rzadko zwiedzana grota z mumiami krokodyli.

Zapuściliśmy kotwicę pod wsią El Hamra, która jest portem Sijutu. Emir, jako reis effendina, nie miał do załatwienia w porcie żadnych policyjnych formalności i mógł zaraz wysiąść ze mną na ląd. Szukaliśmy sandału, lecz go tutaj nie było. Od kapitana portowego dowiedzieliśmy się, że widziano ten statek, jak płynął koło portu, nie zatrzymując się wcale. Musieliśmy więc przypuścić, że i muzabira w Sijut nie ma. Achmed Abd el Inzaf, który pałał żądzą dostania w ręce tego człowieka, postanowił odpłynąć natychmiast, ażeby sandał doścignąć. Zresztą i tak nie moglibyśmy się tutaj długo zatrzymywać, gdyż reisa wzywały obowiązki do Chartumu. Jeszcze w ostatnim dniu swego pobytu w Kairze dowiedział się przez swego agenta, że w górze rzeki przygotowuje się coś takiego, co mu może dostarczyć niezwykłego połowu. Co to było, tego nie mogłem się dowiedzieć pomimo zwykłej jego otwartości i zaufania, którym mnie darzył. Zauważyłem, że studiował moje właściwości i cieszyłem się ogromnie jego żądzą wiedzy. Musiałem mu odpowiadać na tysiące pytań. Był to zarówno fizycznie, jak i duchowo, bogato wyposażony człowiek i pojmował wszystko bardzo łatwo.

Najłatwiej jednak zrozumiał, że jego wiadomości są bardzo skąpe, oczywiście w stosunku do wiedzy Europejczyka. Chcąc więc jego wiedzę choć w części wzbogacić, odpowiadałem na każde jego pytanie szczegółowo i stąd poszło, że mnie zaczął uważać za chodzącą mądrość i za wszechwiedzę, czym, niestety, nie jestem. Pomimo całego tego poważania i uczuć przyjaznych, jakie żywił dla mnie, zachowywał się jednak wobec mnie z rezerwą, właściwą mieszkańcom Wschodu, a odpowiadającą, jak sądził, jego wysokiej randze. Jako reis effendina uważał siebie za wyższego ode mnie dlatego, że nie posiadałem rangi wojskowej, ani jakiegokolwiek innej. Nic też dziwnego, że mu wielką przyjemność sprawiała moja skromność w obcowaniu. Odplącał mi to przychylnością i zaufaniem, które tylko wtedy zmieniał się w coś przeciwnego, kiedy zacząłem go wypytywać o Chartum i o prawdziwy cel jego podróży. Nie mogłem jednak brać mu tego za złe, gdyż wchodziły tu może w grę tajemnice urzędowe. Mimo to zdawało mi się, że milczenie zachowywał nie tyle z obowiązku, ile z pobudek osobistych. Nie bardzo mi to było przyjemne, chociaż nie dawałem tego po sobie poznać.

Ponieważ chciałem dotrzymać słowa swemu grubemu przyjacielowi Muradowi Nassyrowi i czekać na niego w Sijut, musiałem rozstać się z emirem. Murzynięta zostały pod jego opieką na statku, ponieważ jemu łatwiej było zawieźć je z powrotem do ojczyzny. Dla mnie byłoby to może, a nawet prawdopodobnie wcale niemożliwe. Kiedy się z nimi żegnałem, przyczepiły się do mnie i nie chciały zostać na statku. Łzy ich osuszyłem jedynie przyrzeczeniem, że wkrótce podążę za nimi. Dwaj majtkowie wzięli moje rzeczy, a emir odprowadził mnie do miasta. Kiedy go zapytałem, gdzie by się najlepiej było umieścić, odpowiedział mi:

— Gdzież by, jeśli nie u baszy? Taki człowiek, jak ty, może mieszkać tylko u najwyższego dostojnika.

— A czy sądzisz, że przyjmie mnie chętnie?

— Oczywiście, zwłaszcza kiedy cię sam do niego przyprowadzę i jemu polecę. Przyjmie cię jak dobrego znajomego i przyjaciela.

Wyjaśnienie emira uspokoiło mnie nieco, mimo to jednak wolałbym być zamieszkać w domu prywatnym, gdzie za utrzymanie mogłem zapłacić.

Droga z portu do miasta prowadzi po wysokiej grobli. Po obu jej stronach roztaczała się bujna zieloność. Grobla ożywiona była ludźmi, idącymi z portu lub ku portowi. Przez bramę saraceńską, tworzącą zarazem główne wejście do miasta, dostaliśmy się na dziedziniec pałacu baszy. Ściany były wszędzie bielone, a okna pozasłaniane. Wzdłuż murów ciągnęły się długie ławy, na których paląc fajki i pijąc kawę siedziały długobrode postacie. Można je było uważać za członków straży. Nikt z nich nie zwrócił na nas uwagi.

Widać było, że emir znajdował się tu nie po raz pierwszy. Przystąpił do drzwi, kazał majtkom zaczekać i wszedł ze mną. Wewnątrz stał na straży żołnierz, którego zapytał o marszałka domu. Oparł on karabin o ścianę i odszedł. Po pewnym czasie powrócił, wyciągnął dłoń do emira i rzekł:

— Mogę was zaprowadzić, jeśli mi dasz dobry bakszysz.

Reis effendina wymierzył mu tęgi policzek i odpowiedział:

— Masz twój bakszysz, a teraz spiesz się, jeśli nie chcesz otrzymać bastonady!

Skarcony przypatrzył się lepiej emirowi i zrozumiał, że nie ma do czynienia ze zwyczajnym człowiekiem; policzek był najlepszym tego dowodem. Toteż pocierając sobie twarz, poszedł skwapliwie naprzód.

Dostaliśmy się na dziedziniec wewnętrzny, z którego liczne wejścia prowadziły do środka pałacu. W jednym z nich stał gruby, niezgrabny Murzyn, odziany w jedwabne szaty i patrzący na nas posepnym wzrokiem. Skoro jednak spojrzenie jego padło na emira, zmienił się wyraz jego twarzy, Murzyn ugiął szerokie plecy, skrzyżował ręce na piersiach i zawołał:

— Gdybym się był spodziewał Waszej Wysokości, byłbym wyszedł naprzeciw.

Gburowatość wzbudza uszanowanie. Reis effendina wiedział o tym widocznie, więc odpowiedział mu szorstko:

— Tego nie potrzeba. Ale jak możesz polecać strażnikowi, żeby ode mnie żądał bakszyszu?

— Czyżby on się na coś podobnego odważył? — zapytał czarny z przestraczem. — Panie, ja nie nakazałem mu tego. Allah mi świadkiem!

— Milcz! Ja wiem, że rozkazujesz tym ludziom żądać napiwków, a potem dzielisz się z nimi.

— Powiadomiono cię fałszywie. Na dowód, że mówię prawdę, każę dać bastonadę temu zbrodniarzowi.

— Obejdzie się, gdyż sam go już ukarałem, a jeśli chcesz się z nim podzielić, to każ mu, ażeby ci oddał to, co otrzymał ode mnie. Oznajmij mnie baszy, panu swojemu.

— Wybacz, że nie mogę tego uczynić, gdyż wysoki władca pojechał z wielkim orszakiem do oazy Dachel.

— Kiedy powraca?

— Może upłynąć tydzień, zanim oczy służby doznają szczęścia oglądania jego oblicza.

Uważałem tego czarnego za jakiegoś uprzywilejowanego sługę z powodu jedwabnego ubrania, jakie na sobie nosił, lecz poznałem omyłkę, słysząc słowa, które emir do niego wyrzekł:

— Więc wydam ci rozkazy, które dałby ci on, jako swemu dozorczy domu. Ten pan jest bardzo uczonym i dostojnym effendim z Frankistanu i chce przez kilka dni zabawić w Sijut. Miałem zamiar polecić go baszy jako gościa; ponieważ jednak baszy nie ma w domu, polecam ci starać się o niego tak jak gdyby był krewnym twego pana.

Ten Murzyn piastował więc niemały urząd marszałka domu. Zmierzył mnie niezbyt przychylnym

spojrzeniem i odrzekł emirowi:

— Stanie się wedle twojej woli, o panie! Wyznaczę temu cudzoziemcowi pokój odpowiedni dla jego rangi. Wejdźcie bliżej i pozwólcie się uraczyć kawą i fajką.

— Nie mam czasu zasiadać, gdyż muszę czym prędzej ruszać w dalszą drogę; zostanę tylko tak długo, dopóki się nie przekonam, że effendi otrzymał godne siebie mieszkanie. Zaprowadź nas więc do mieszkania, które dla niego przeznaczasz, ale się spiesz.

Nie bardzo mi się to podobało, że emir w taki sposób postępował ze sługą baszy, gdyż należało się spodziewać, że ja potem poniosę skutki tego postępowania. Czarny zmarszczył brwi, lecz skłonił się uprzejmie i zawezwał nas, ażebyśmy za nim poszli.

Zaprowadził nas do wielkiej komnaty o niebieskich ścianach, ozdobionych złotymi napisami z Koranu i oznajmił nam, że to będzie moje mieszkanie. Emir okazał zadowolenie; zapowiedział jednak, że przy sposobności dowie się dokładnie, czy i ja również byłem zadowolony. Na razie kazał mu postarać się o przyniesienie moich rzeczy. Marszałek oddalił się a wkrótce ukazał się inny czarny, który odebrał moje rzeczy od majtków. Za nim ukazał się trzeci z kawą i fajką i usiadł przede mną, ażeby być na moje usługi. W każdym lepszym domu na Wschodzie znajduje się o każdym czasie gorąca woda do kawy. Ta szybka usługa wydała się emirowi dostateczną gwarancją, że będą całkiem posłuszni jego poleceniom. Dał mi adres, przy pomocy którego mogłem się w Chartumie dowiedzieć o jego mieszkaniu, podał mi rękę i powiedział:

— A teraz niech cię Allah ma w swojej opiece. Jesteś tu w dobrym miejscu i możesz wchodzić lub wychodzić, kiedy ci się spodoba. Gdyby kiedy nie chiano spełnić twoich życzeń, powołaj się na mnie i bądź szorstki. Niech cię Allah błogosławi i sprowadzi do mnie szczęśliwie.

Wyznam, że kiedy odszedł, nie czułem się tu zbyt swojsko. Przeczuwałem, że wkrótce będę musiał zastosować środki podane przez niego, chociaż bynajmniej mnie nie nęciły. Musiałem uważać siebie za nieproszonego gościa, sposób bowiem, w jaki wprowadził mnie tu emir, nie mógł chyba wzbudzić dla mnie przychylności! Postanowiłem więc na wypadek, gdyby się zachowywano względem mnie niegrzecznie, opuścić pałac natychmiast i poszukać sobie innego mieszkania.

Siedziałem z godzinę na poduszce, paląc fajkę; sądziłem, że ktoś przyjdzie zapytać się, czy sobie czego nie życzę, nikt się jednak nie zjawiał. Dopiero po długim czasie wszedł marszałek domu a służący, który tak długo siedział przede mną, nie rzekłszy ani słowa, oddalił się z pełną uszanowaniem szybkością. Czarny nie usiadł, jak tego wymagały przepisy grzeczności, lecz stanął, powlókł po mnie nienawistnym okiem i powiedział:

— A więc reis effendina jest twoim przyjacielem? Kto go słyszy, myślałby, że to sam kedyw. Jak dawno go znasz?

— Od niedawna — odrzekłem z gotowością i zgodnie z prawdą.

— I sprowadza cię tutaj do pałacu baszy? Pochodzisz z Frankistanu. Czy jesteś muzułmaninem?

— Nie, jestem chrześcijaninem.

— Allah, Allah! Jesteś chrześcijaninem a ja dałem ci ten pokój, na którego ścianach błyszczą złote napisy z Koranu! Jakież grzech popełniłem! Będziesz musiał natychmiast opuścić to miejsce i pójść ze mną do innego pokoju, gdzie obecność twoja nie będzie obrażała świętości naszej wiary.

— Tak, ja opuszczę ten pokój, lecz nie po to, by przejść do innego. Ty sam hańbisz islam, gdyż wiara twoja nakazuje czcić gościa, tymczasem postępujesz wbrew temu nakazowi. Przyślę służącego po swoje rzeczy, a za kawę i tytoń weź sobie ten bakszysz!

Odłożyłem fajkę i powstałem, dałem mu, jak na tamtejsze stosunki, obfity napiwek i wyszedłem z izby bez żadnej z jego strony przeszkody. Kiedy się znalazłem na dziedzińcu, usłyszałem lamenty. Z lewej strony otworzono drzwi i dwaj służący wynieśli młodzieńca, któremu krew płynęła z rany na czole. Za nimi szło jeszcze kilka osób, a wśród nich zasłonięta kobieta, która krzyczała na cały głos, żeby zawołano lekarza. Kiedy ta grupa przechodziła obok mnie, zapytałem, co się stało. Sześćdziesięcioletni może, dobrze ubrany człowiek odpowiedział:

— Koń go rzucił na mur, skutkiem czego ucieka mu teraz życie. Prędzej, prędzej, biegnijcie po haggama!* Może jest jeszcze jakiś ratunek.

W ogólnym zamieszaniu nikt jednak nie pomyślał o wykonaniu tego rozkazu. Starzec chciał biec za tymi, co nieśli rannego, ale ująłem go za rękę i rzekłem:

— Może nie potrzeba posyłać po haggama. Ja sam zbadam rannego.

Na to pochwycił mnie starzec za obie ręce i spytał prędko:

— Więc ty jesteś chirurgiem? Chodź, chodź prędzej! Jeśli mi ocalisz syna, to ci zapłacę dziesięć razy tyle, ile zażadasz.

Pociągnął mnie za sobą na prawo ku drzwiom, za którymi już zniknęli ci, co nieśli rannego. Był to jego ojciec. Drzwi prowadziły do komnaty, przeznaczonej na przyjęcia. Stąd zaprowadził mnie starzec do bocznej izby, gdzie rannego złożono na tapczanie. Kobieta uklękła z płaczem obok niego, lecz ojciec podniósł ją oznajmiając:

— Tu jest chirurg. Uspokój się żono; puść go do syna. Może Allah będzie nam miłosiwny i umykające życie przywróci uciesze i podporze naszej starości.

Płacząca kobieta była matką rannego.

— Może Allah je wróci — powtórzyli służący, składając ręce. Ukląknąłem obok rannego i zbadałem jego ranę. Nie była niebezpieczna i jeśli innych uszkodzeń nie było, to cała historia nie była warta takiego lamentu. Stracił przytomność. Miałem przy sobie flaszeczkę amoniaku, jako jedyne go środka przeciw ukąszeniom owadów na południu, otworzyłem ją i przysunąłem mu do nosa. Chłopak poruszył się, kichnął i otworzył oczy. W tej chwili objęła go matka za głowę i zapłakała głośno z radości, ojciec zaś złożył ręce i zawołał:

— Dzięki Allachowi! Śmierć umknęła a życie powraca.

— Wraca, wraca. Allach, Allach! — wołali słudzy.

Wezwałem starca, ażeby zabrał żonę, ponieważ mi przeszkadzała i wtedy zbadałem dokładnie ranę. Czaszka była nie naruszona, tylko w głowie huczało mu potężnie. Zażądałem materii do obwiązania rany; przyniesiono mi ją natychmiast Wymywszy niewielką ranę, obwiązałem czoło chustą i oświadczyłem, że choremu nie trzeba nic prócz spoczynku i że jutro będzie z nim zupełnie dobrze. Radość rodziców była ogromna, gdyż ranę uważali za niebezpieczną, a omdlenie nawet za śmierć.

— Jak mam ci to wynagrodzić, effendi? — zawołał starzec. — Gdyby nie ty, dusza mojego dziecka nie powróciłaby do ciała.

— Mylisz się. Syn twój byłby się zbudził o pięć minut później i to wszystko.

— Nie, nie! Ja ciebie nie znam, gdyż nigdy cię nie widziałem. Musisz tu mieszkać niedługo. Powiedz mi, w którym domu mamy cię szukać, gdyby się stan syna pogorszył?

— Dopiero dziś tu przybyłem i nie wiem, gdzie będę mieszkał. Zresztą mam zamiar tylko kilka dni tu zabawić.

— Więc zostań u nas, effendi! Bądź naszym gościem; mamy dla ciebie dość miejsca.

— Nie mogę przyjąć tego zaproszenia, bo nie wiecie kim i czym jestem. Jestem mianowicie chrześcijaninem.

— Chrześcijaninem, chrześcijaninem! — rzekł starzec, przypatrując mi się z pełną szacunku ciekawością.

— Chrześcijaninem! — powtórzyli drudzy.

— Tak, chrześcijaninem — potwierdziłem. — Teraz chyba nie powtórzysz zaproszenia.

— Czemu nie? Czy nie jesteś zbawcą mego syna?

— Nie, ja nim nie jestem. Syn twój byłby pewnie i beze mnie przyszedł do siebie.

— Na pewno nie! Słyszałem, że lekarze chrześcijan są wielkimi czarownikami, przed którymi śmierć musi często uciekać.

— Nie są oni wcale czarownikami, tylko ludźmi bardzo uczonymi i rozumniejszymi niż wasi lekarze.

— Mówisz w ten sposób po to tylko, ażeby prawdy nie powiedzieć. Flaszeczka z życiem, którą miałeś w ręku, ocaliła mego syna. Umiesz życie zakląć w szklanym naczyniu, a potem dawać je umarłym. Nie! Nie! Nie sprzeciwiaj się temu. Wiem ja już dobrze, co o tym wszystkim myśleć, lecz

nie ponawiam mego zaproszenia.

— Oczywiście. Chrześcijanin nie może być gościem dla was miłym.

— Nie mów tak, panie! Ja nie pogardzam chrześcijaninem, ponieważ wierzy w Boga, a więc nie jest poganinem. Przyjąłbym go w każdej chwili, a ty jesteś zbawcą mego syna. Ale my jesteśmy zanadto niczemni, ażebym miał powtórzyć mą prośbę. Jeśli nie masz jeszcze mieszkania, pozwól a pomówię z marszałkiem dworu, który ci pod nieobecność baszy najpiękniejszy pokój w pałacu wyznaczy. On także chory, a jeśli go wyleczysz, będzie ci nieskończenie wdzięczny.

— Co mu brakuje?

— Ma popsuty żołądek. Zjada tyle, co pięciu ...sze'iu l'zi i d'te'ierpi bez przerwy.

...sh W ta'...zie nie potrzebu'...ej rady ani mojej pomocy. Do wyzdrowienia wystarczy mu ograniczyć się nieco w jedzeniu. Zresztą nie zależy mu wcale na tym, abym go badał i leczył. Właśnie wyrzucił mnie z tego domu.

— Ciebie? To niemożliwe!

— To nie tylko możliwe, lecz prawdziwe. Nie użyczył mi należnej gościny, chociaż przyprowadził mnie tutaj reis effendina, Achmed Abd el Inzaf.

— Ach, on! Marszałek go nienawidzi, bo reis effendina obchodzi się z nim zawsze po grubiańsku. Gdyby polecenie pochodziło od kogoś innego, nie byłby tak źle z tobą postąpił. Skoro jednak obraził cię tak ciężko, nie mogę iść do niego. Jestem ci winien wielką wdzięczność i nie chciałbym cię puścić. Wybacz mi moją śmiałość, lecz proszę cię, oglądnij moje mieszkanie, a jeśli ci się spodoba, to sprawisz mi największą radość i zaszczyt, gdy w nim, jako gość mój, zostaniesz.

Powiedział to takim tonem, że odczułem, iż odmówienie jego prośbie byłoby dlań największą obelgą. Żona jego podniosła ku mnie złożone ręce, a syn powiedział:

— Zostań tu, panie! Głowa boli mnie bardzo, a ty pomożesz mi, gdyby się pogorszyło.

— No to dobrze, zostanę — odrzekłem. — Ten marszałek wyda wam rzeczy moje, które leżą jeszcze u niego. Spodziewam się jednak, że wam gość nie sprawi kłopotu.

— Kłopotu? O nie! — uspokoił mnie. — Ja nie jestem ubogi; jestem emir achor* baszy i mogę ci dać to samo, co otrzymałbyś był od marszałka. Pozwól, a pokażę ci teraz mieszkanie, wy zaś spieszcie do marszałka i przynieście rzeczy effendiego!

Rozkaz ten odnosił się do służących, którzy też oddalili się, by go wykonać. Koniuszy zaprowadził mnie przez kilka pokoi do pięknej narożnej komnaty, skąd jedne drzwi wiodły na dziedziniec, przez który wszedłem. Stary ucieszył się bardzo tym, że pokój mi się podobał, po czym przeprosił i oddalił się na kilka chwil, ażeby zająć się synem.

I tak znalazłem przecież mieszkanie w pałacu i to u człowieka stokroć sympatyczniejszego od

bezkształtnego marszałka. Gdybym był poprzednie mieszkanie trochę wcześniej lub później opuścił, nie byłbym spotkał rannego i byłbym musiał wyszukać sobie mieszkanie w mieście.

Gospodarz wrócił niebawem. Przyniósł mi fajkę i chcąc mnie uczcić sam ją zapalił. Potem przyszli służący i przynieśli obie strzelby oraz resztę mojej własności. Jeden z nich oznajmił mi:

— Effendi, musieliśmy marszałkowi powiedzieć, gdzie się znajdujesz. Skoro usłyszał, że jesteś słynnym lekarzem, posiadającym flaszeczkę życia, żal mu się zrobiło, że był wobec ciebie niegrzeczny i prosi cię, żebyś go przyjął u siebie. Jest on bardzo chory a lekarze nasi przepowiedzieli mu, że pięknie, więc marszałek uznaje, że Allah zesłał cię jako jedyne, który mu może pomóc.

— Dobrze, powiedzcie mu, że może przyjść.

Nie myślałem pamiętać o niegrzeczności czarnego grubasa i nie odmówiłem mu teraz przyjęcia. Co więcej, wyobraziłem sobie, że okropna jego choroba dostarczy nam materiału do bynajmniej nie tragicznej rozmowy. Nie kazał też czekać długo na siebie. Poczulem prawie litość na widok miny przygnębienia, z którą się zbliżył.

— Effendi, przebacz! — błagał. — Gdybym był przeczuł, że jesteś takim...

— Nie mów dalej! — przerwałem mu. — Nie mam ci nic do przebaczenia. Reis effendina nie był odpowiednio uprzejmy i on to błąd popełnił.

— Jesteś bardzo łaskawy! Czy mogę usiąść obok ciebie?

— Proszę cię nawet.

Usiadł naprzeciwko mnie i koniuszego i w tej pozycji olbrzymie rozmiary jego ciała uwydatniły się jeszcze lepiej. Był on o wiele grubszy od mego tureckiego przyjaciela, Murada Nassyra. Oddychał charcząc niemal, policzki wyglądały jak napełnione torby, a cała twarz była tak obficie ukrwiona — widać to było pomimo czarnej barwy skóry — że należało spodziewać się, iż apopleksja położy kres jego życiu, jeśli przedtem jeszcze nie umrze na zaburzenia w trawieniu. Kiedy spostrzegł, że mu się przypatruję uważnie, rzekł z westchnieniem:

— Mylisz się, effendi. Nie jestem tak zdrow, jak sądzisz. Tłustych uważają zwykle za zdrowych.

— Ja nie. Lekarze Frankistanu wiedzą, niestety, dobrze, że ludzie otyli są bliżsi grobu niż chudzi.

— Niech mnie Allah ochroni! Powiedz mi prędzej, jak długo mam jeszcze żyć?

— Kiedy jadłeś dziś po raz ostatni?

— Dzisiaj rano.

— A kiedy znowu jeść będziesz?

— W południe za pół godziny.

— A co jadłeś dziś rano?

— Bardzo mało; tylko kurę i połowę combra baraniego.

— A co masz jeść na obiad?

— Także bardzo mało; drugą połowę combra i pieczoną kurę z kupką prażonego ryżu, nie większą od turbana. Do tego potem jeszcze tylko rybę na cztery dłonie długą i gotowane mleko.

— W takim razie obawiam się, że nie doczekasz dzisiejszego wieczoru.

— O nieba! Czy ty mówisz prawdę, effendi?

— Tak, mówię zupełnie poważnie. Gdybym ja zjadł tylko czwartą część tego, co wymieniłeś, obawiałbym się, że pęknę.

— Tak, ty! Ale jest różnica między twoim brzuchem a moim. Do mego wejdzie sześć razy więcej aniżeli do twego.

— O nie! Sądzisz może, iż brzuchy to puste beczki? Sprowadziłeś jedzeniem nie tylko grubość, lecz i chorobę. Słyszę, że cierpisz na żołądek.

— Dobrze ci powiedziano. Boleści tych znieść niepodobna.

— Czy możesz mi je opisać? Gdzie boli?

— Tu — odpowiedział, przykładając rękę do brzucha w okolicy żołądka.

— Jaki to ból? Zapewne cię kłuje?

— Nie. Ból polega właśnie na tym, że nic nie czuję, jak gdybym nie miał nic w brzuchu.

— Ach, tak, rozumiem! Kiedy cię te boleści nachodzą? Regularnie czy nie?

— Bardzo regularnie, zawsze na krótko przed obiadem tak, że muszę jeść natychmiast.

Z trudem tylko zdołałem śmiech stłumić i rzekłem z miną bardzo poważną:

— To rzeczywiście bardzo, bardzo niedobra choroba!

— Czy śmiertelna? — zapytał z trwogą.

— Bezwarunkowo, jeśli się nie zaradzi.

— Powiedz mi prędko, czy zdołasz mi pomóc? Wynagrodzę cię złotem.

— Wyleczę cię za darmo. Kiedy się zna nazwę choroby i odpowiedni środek, bardzo łatwo zaradzić.

— Jak się nazywa moja choroba?

— Francuzi nazywają ją *faim*, Anglicy zaś *hunger* lub *appetite*, a tutejsza nazwa niepotrzebna ci wcale.

— Nie chcę jej znać, jeśli tylko zdołasz mi wymienić odpowiedni środek.

— Znam go.

— To powiedz, ale prędeż. Jestem marszałkiem dworu baszy i mam pod dostatkiem pieniędzy.

— A ja ci powtarzam, że nie przyjmę zapłaty. Mimo to chcąc wyzdrowieć musisz sięgnąć do kiesy. Co radzili ci tutejsi lekarze.

— Nakazali mi post. Powiadają, że mam słaby żołądek.

— Głupcy! Właśnie przeciwnie, bo masz żołądek silny. My lekarze nazywamy tę słabość żołądkiem nosorożczym lub hipopotamim i dlatego nie wolno ci cierpieć głodu, owszem musisz jeść i to dużo.

Na twarzy jego odbił się zachwyty, klasnął tłustymi rękoma w szerokie kolana i zawołał:

— Mam jeść, wolno mi jeść, nawet każą mi jeść! O Mahomecie, o wy wszyscy kalifowie. To mi to lekarstwo, przeciw któremu nie może mieć nic ani serce, ani też rozum.

— To dla ciebie jedyne lekarstwo, należy go tylko używać w sposób właściwy.

— W jaki sposób?

— Skoro uczujesz wielką próżnię w żołądku skłonisz się siedem razy w kierunku Mekki, a potem będziesz jadł tyle i dopóty, dopóki nie zniknie uczucie próżni.

— A co? Co mam jeść?

— Wszystko, co ci smakuje. Gdy uczujesz polepszenie, powstaniesz i skłonisz się dziewięć razy w stronę Mekki i to tak nisko, żebyś głową dotknął ziemi.

— A czy zdołam tego dokonać?

— Musisz!

— A jeśli nie potrafię?

— Musisz potrafić, bo inaczej nic nie pomoże ten środek, jaki zalecam. Weź ręce do pomocy, a gdy się zeprzesz na ziemi, to i głowę dociągniesz. Spróbuj to teraz!

Podniósł się posłusznie i spróbował. Był to widok cudowny, kiedy stał na rękach i na nogach i

starał się głową dotknąć dywanu. Jeszcze dziwniejsze było to, że w czasie tej gimnastyki zachował najzupełniejszą powagę. Było to zadanie niezmiernie dla niego trudne i nie od razu mu podołał. Próbował jednak wytrwale, chociaż zaraz z początku stracił równowagę i wywrócił kozła. Poderwał się jednak szybko i spróbował ponownie, co mu się już tym razem udało.

— Pójdzie, pójdzie! — zawołał z radością. — Ale będę to musiał robić skrycie, bo, gdyby mnie ktoś podpatrzył, straciłbym sławę mojej godności. Cóż więcej czynić mi zalecasz?

— Być dobrym z wdzięczności.

— Wobec kogo?

— Po drodze tutaj widziałem tylu chorych na oczy; były to dzieci przeważnie. Oślepy z zapalenia, oczy im opuchły i w dodatku spokoju im nie dają muchy, których setki cisną się do ropą przepełnionych oczodołów.

— Tak — potwierdził. — Są setki takich dzieci. Siedzą one przy drogach, by przechodniów prosić o wsparcie.

— Jesteś bogaty, a prorok nakazuje dawać jałmużnę. Jeśli chcesz przy pomocy mojej recepty wyzdrowieć, każ przyjść pięćdziesięciu takim biednym dzieciom do siebie i daruj każdemu z nich po piastrze. Co trzy miesiące powtórzysz to samo.

— Effendi, uczynię to, gdyż jestem pewien, że twój środek jest doskonały. Jesteś wielkim lekarzem a sława twoja zabrzmi we wszystkich krajach nad Nilem i daleko w głąb sąsiednich obszarów. Właśnie odczuwam pustkę w żołądku. Czy mogę pójść jeść?

— Tak, spiesz się, lecz nie zapomnij o pokłonach a potem o ślepych dzieciach.

— Zaraz po jedzeniu rozdzielę sam” pomiędzy nie pieniądze. Mam nadzieję, że mnie zaszczyisz swoimi odwiedzinami i przekonasz się osobiście, jak mi twoje rady pomogły. Jesteś chrześcijaninem a mimo to życzę ci, żeby rajskie wrota stały dla ciebie otworem za to, że nie jesteś okrutny i nie chcesz leczyć głodem chorego żołądka.

Podał mi rękę i odszedł. Koniuszy przez cały czas przysłuchiwał się naszej rozmowie poważnie i milcząco. Teraz dopiero zadrgał mu lekki uśmiech na ustach, po czym starzec powiedział:

— Effendi, ty jesteś nie tylko mądrym lekarzem, lecz także wesołym i bardzo dobrym człowiekiem.

— Jak to dobrym?

— Bo zajmujesz się ślepychmi.

— A dlaczego wesołym?

— Czyż mówiłeś naprawdę poważnie?

— Co?

— Że mu... hm! Wybacz! Czyż jestem w stanie wzrokiem moim przeniknąć twe wiadomości i środki? Mekka jest miastem świętym, więc potrzeba pewnie tych siedmiu i dziewięciu pokłonów. Ja wiem, że lekarz, darzący życiem z flaszeczki, zna skutek pokłonu w stronę Mekki. Inny nie byłby ocalił mi syna. O gdybyś mógł uwolnić mnie od jednej jeszcze troski, jaka mi ciąży na duszy!

— Masz jeszcze jakąś troskę? Czy wolno mi wiedzieć jaką? My Frankowie umiemy w bardzo wielu wypadkach poradzić zupełnie skutecznie.

— Tak, ale nie w tym wypadku. Tu poradziłby tylko Beduin, i to taki, który ma odwagę narazić życie. Wprawdzie i Frankowie posiadają konie, ale nie są jeźdźcami.

— Idzie zatem o jazdę konną, o konia?

— Tak, o konia gorszego od szatana. Muszę ci mianowicie powiedzieć, że nasz basza ma z tamtej strony Mekki brata, który darował mu prawdziwego ogiera z Bakarry, szpaka. Czy słyszałeś już kiedy o koniach Bakarrów?

— Tak, mają mieć najwięcej ognia spomiędzy wszystkich koni arabskich.

— A czy wiesz o tym, że nie ma złośliwszego konia nad szpaka?

— Wiem, że koniarze tak mówią, mimo to jednak jestem zdania, że dobremu jeźdźcowi musi każdy koń być posłuszny, czy on takiej barwy, czy owakiej.

— Nie mów tego effendi! Jesteś znakomitym lekarzem, ale nie możesz być jeźdźcem, po pierwsze jako uczony, a po drugie jako Europejczyk. Jestem koniuszym i pokonałem dotąd każdego konia. Byłem u wszystkich plemion nadnilowych, ażeby jeździć konno w zawody i nikt mnie nie zwyciężył. Ale ten szpak zrzucił mnie, zaledwie z narażeniem życia własnego zdołałem go dosiąść. Do chwili powrotu mojego pana musi być zwierzę przynajmniej na tyle oswojone, ażeby je basza mógł dosiąść. Tak nam nakazał. Tymczasem, chcąc tego konia osiodłać, trzeba go wprzód związać, a kiedy się go potem dosiądzie, bije nogami i kęsa tak wściekle, że niepodobna się zbliżyć. Potłukł mi już haniebnie kilku parobków, a przed chwilą widziałeś, jak dogodził memu synowi.

— Koń go zrzucił, więc syn twój siedział na siodle. Jak się wy dostał, skoro mówisz, że tego szpaka niepodobna dosiąść?

— Związano go sznurami tak, że leżał na ziemi, potem włożono siodło, a kiedy mój syn na nie wsiadł, czym prędzej usunięto sznury. Parobcy, którzy przy tym byli zajęci, musieli uciec w tej chwili, a równie szybko wyleciał syn mój z siodła i uderzył sobą o ścianę.

— Gdzie się ten koń znajduje?

— Tam na dziedzińcu stajennym. Nikt nie ma odwagi dotknąć go teraz. Czekamy, dopóki sam nie powróci do stajni.

— Czy wolno mu się przypatrzeć?

— Tak, lecz musisz mi przyrzec, że będziesz trzymał się zydła.

— Przyrzekam.

— To chodź! Zobaczysz konia, jakiego nie było w twojej ojczyźnie i nigdy nie będzie.

Zaciekawiał mnie bardzo. Prawdziwy ogier z Bakarry! Mój Rih, który tak daleko mnie nosił, był tej samej szlachetnej krwi. Poczciwy koniuszy nie domyślał się, że miałem pod sobą całkiem inne konie aniżeli on. Już teraz, zanim zobaczyłem tego szpaka, byłem pewien, że źle się z nim obchodzono. Nawet najbardziej ognisty ogier arabski będzie łagodny jak dziecko, jeśli jeździec odpowiednimi środkami zdoła go do siebie przywiązać. Dlaczegoż ten koń miałby być właśnie wyjątkiem?

Koniuszy zaprowadził mnie przez boczną izbę na zamknięty korytarz, drzwiami połączony z obszernym dziedzińcem. Kiedy odsunął rygiel i odchylił lekko i ostrożnie drzwi, mogłem objąć okiem podwórze. Posypane było piaskiem a liczne ślady kopyt świadczyły, że tu ujeżdżano konie lub pozwalano im swobodnie uganiać. Teraz był tylko jeden, mianowicie wspomniany szpak. Stał w cieniu muru, o który ocierał się z rozkoszą. Serce zabiło mi żywiej na ten widok; był to prawdziwej i pełnej krwi arab. Krótka, zgrabna ale silna, żylasta i elastyczna budowa ciała, mała głowa z dużymi, ognistymi oczyma, cienkie a mocne nogi, smukła idąca w górę szyja, wysoko osadzony i przepysznie trzymany ogon, szerokie czerwone nozdrza i lekka grzywa z owymi dwoma splotami, które Arabowie uważają za cechę najlepszych tylko koni, wszystko to przedstawiało dla znawcy widok rozkoszny i budziło ochotę wskoczenia na siodło i popędzenia na niezmierną pustynię.

Ogier miał na sobie siodło, nie ocierał się jednak w ten sposób, jakby chciał z siebie je zrzucić, był więc przyzwyczajony do chodzenia pod siodłem. Postawa jego była taka spokojna i łagodna, że trudno było wierzyć słowom koniuszego.

— No? — zapytał gospodarz. — Jakże ci się podoba? Nie jesteś wprawdzie znawcą, ale przynasz że nie widziałeś jeszcze takiego zwierzęcia.

— To radzi pak*. — odrzekłem krótko.

Nie spodziewał się tego wyrażenia, gdyż spojrzał na mnie zdziwiony i powiedział:

— Co ty możesz wiedzieć o pochodzeniu ras końskich! Słyszałeś pewnie to słowo i zapamiętałeś je sobie. Powiadam ci, że oczy moje jeszcze takiego konia nie oglądały.

— Widziałem już nawet piękniejsze. Zresztą jestem zdania, że ten koń to zwierzę bardzo ładne.

— Mylisz się najzupełniej. Przypatrz się tylko, jaki ogień ma w oczach! Jest teraz wprawdzie spokojny, gdyż mu się zdaje, że jest sam i że nikt na niego nie zważa, kiedy jednak wyjdę na dziedziniec, zobaczysz, jak się mylisz.

Otworzył drzwi zupełnie i wyszedł. Ogier dostrzegł go natychmiast, stanął dęba, przygalopował i odwrócił się tyłem, by kopnąć koniuszego. I byłby go niezawodnie uderzył, gdyby starzec nie cofnął

się szybko w głąb korytarza i drzwi za sobą nie zamknął.

— Widzisz tego szatana? — rzekł. — Każdy inny koń biegałby płochliwie po dziedzińcu a ten syn piekiel leci wprost na mnie, żeby mnie kopnąć.

— To dowód krwi prawdziwej. Taki koń ma rozum i pamięć. Widocznie dokuczyciście mu kilka razy i dlatego zrobił się uparty i złośliwy. Zdarza się przecież, że prosta szkapą pociągowa zabije zębami i kopytami pana, który się z nią źle obchodzi. Takiemu szlachetnemu rumakowi, jak ten szpak, wystarczy drobnostka, a żeby go nieubłaganie rozgniewać. Obchodziliście się z nim fałszywie, z gruntu fałszywie.

Spojrzenie, rzucone teraz na mnie przez koniuszego, było naprawdę nieocenione. Tak patrzy zapewne profesor na czwartoklasistę, który jego wywodom spróbuje przeciwstawić swoje poglądy na prawa obiegu komet. Po chwili wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

— Obchodziliśmy się fałszywie? A jak twoim zdaniem należy obchodzić się z końmi?

— Jak z przyjaciółmi a nie jak z niewolnikami jeźdźców. Koń to zwierzę najszlachetniejsze, ma więcej charakteru niż pies lub słoń. Rumak, który pozwala, aby nim poniewierano, nic nie wart w moich oczach, bo wyrzekł się swego szlachectwa i stał się pospolitą, bez czci kreaturą. Szlachetny koń poświęca się, by ocalić jeźdźcę, choćby widział, że idzie na śmierć nieuchronną. Znosi głód i pragnienie razem z panem, cieszy się z nim razem i martwi i można by niemal wierzyć, że do ludzkich uczuć jest zdolny. Koń czuwa nad człowiekiem, a kiedy zwietrzy niebezpieczeństwo, zawiadamia go o nim. Odmawiaj szlachetnemu koniowi surę do ucha, zachęcaj go słowem jego „znaku” a popędzi z tobą jak wichur i nie zatrzyma się, dopóki trupem nie padnie.

— Effendi, skąd ty wiesz coś o „znaku” i o wieczornym odmawianiu sury do ucha końskiego? To są tajemnice, których właściciel nie zdradzi nawet pierworodnemu synowi.

— Wiem o tym. Posiadałem prawdziwego ogiera Szammarów, mającego swoją „tajemnicę” i swoją surę, którą odmawiałem mu codziennie przed udaniem się na spoczynek. Było to zwierzę tak cenne, że nie oddałbym go za trzy takie szpaki.

— Jak? Ty miałbyś posiadać ogiera Szammarów?

— Tak. Byłem wówczas u Haddedińców. Zakończmy krótko! Obawiasz się ściągnąć na siebie gniew baszy i sądziłeś, że nie zdołam uwolnić cię od tej troski. Jesteś zdania, że Frank nie może jeździć konno ani znać się na koniach. Dowiodę ci, że jest przeciwnie. Dosiądę tego konia i na nim pojedę. Chcesz się założyć?

— Na Allacha, co ci strzeliło do głowy? Skręciłbyś kark na pewno.

— Już ty się o to nie bój! Z przyjemnością dowiodę, że postępowaliście źle z tym szlachetnym zwierzęciem. Zawołaj syna i parobków, żeby się nauczyli, jak się z koniem należy obchodzić.

Uważał mnie za laika, narażającego się lekkomyślnie na niebezpieczeństwo, którego rozmiarów nie umie wcale ocenić. Starał się więc wszelkimi siłami odwieść mnie od mego zamiaru. Nareszcie

przystał. Chciałem mu dowiedzieć, że Beduin nie przewyższa w niczym Europejczyka. Udałem się do mego pokoju, ażeby się zaopatrzyć w biały haik, który mi był potrzebny, a on zgromadził tymczasem ludzi. Zebrali się w izbie, przylegającej do niskiego stajennego budynku, skąd łatwo można się było dostać na płaski dach domostwa. Zeszło się wielu ciekawych, a na końcu przytoczył się z trudem także gruby marszałek i zawołał bez tchu:

— Effendi, do czego się ty bierzesz? Słyszę, że chcesz wsiąść na grzbiet tego diabła wcielonego. Gdybym ja z niego spadł, możebym uszedł z życiem, bo kości moje obłożone miękkimi poduszkami ciała. Jeśli jednak ciebie zrzuci na ziemię, rozlecą się twoje kości, jak gromada szczurów, pomiędzy które kot wskoczy.

— Nie troszcz się o mnie! Czy już jadłeś?

— Tak.

— A czujesz jeszcze bóleści?

— Nie.

— Więc wylaż na dach i popatrz się, jak szybko zmieni się złość diabelska w przychylność! Ten koń nigdy nie siedział w stajni i to, że go tutaj zamknięto, pobudziło go do wściekłości. Dziwi go także odzież tych ludzi, gdyż w ojczyźnie nosił na sobie tylko jeźdźców, owiniętych haikiem. To także należało wziąć pod uwagę. Zamiast te błędy naprawić miłością, obchodźcie się z nim surowo. Powiedzcie, jak się ten szpak nazywa?

— On nie ma jeszcze „tajemnicy” ani nazwy, gdyż miał być darowany. Jedno i drugie ma mu dopiero dać basza.

— Szkoda, bardzo by mi się przydało znać jego nazwę teraz. Beduin nazywa zwykle konia wedle maści i woła na niego głosem bardzo przeraźliwym. Jestem pewien, że ten siwek posłucha mnie, jeśli w ten sposób zawołam na niego. Wejdźcie więc na dach, abyście byli bezpieczni. Pójdę na dziedziniec najpierw tak, jak stoję, a potem w haiku i zobaczycie różnicę.

Wszyscy poszli za moim wezwaniem. Kiedy usiedli obok siebie z podwiniętymi nogami, otworzyłem drzwi i stanąłem na dziedzińcu. Zaledwie mnie ogier dostrzegł, przybiegł z parskaniem, a ja musiałem rejterować do wnętrza przed jego kopytami. Zatrzymał się przed drzwiami i dopiero po długim czasie oddalił się uspokojony. Teraz wdziałem na siebie haik i wciągnąłem na głowę kapuzę. Miejsce, w którym się znajdowałem, było komórką wiodącą do stajni i zawierało różne stajenne przybory. W kącie zobaczyłem naczynie z owym najlichszym gatunkiem daktyli, zwanych bla halef, a służących do karmienia koni. Kilka ich garści włożyłem do kieszeni.

Ogier stał teraz w najodleglejszym punkcie dziedzińca z głową odwróconą ode mnie. Otworzyłem drzwi tak cicho, że tego nie słyszał, a oczy wszystkich siedzących zwróciły się z oczekiwaniem na mnie i na konia.

— Ia zan azrak!* — krzyknąłem tak przeraźliwie, jak tylko mogłem.

Zwierzę odwróciło głowę i teraz musiało się okazać, czy moje przypuszczenia były słuszne czy nie. Jeślibym się przeliczył, znalazłbym się w niemałym niebezpieczeństwie. Koń stropił się, stanął z podniesioną głową i patrzył ku mnie. Rozwarł nozdrza, zaczął kręcić małymi uszami i powiewał ogonem. Była to pierwsza niespodzianka. Teraz jednak trzeba było większej odwagi. Oddaliłem się od drzwi, wziąłem w rękę kilka daktyli, wyciągnąłem ją przed siebie i podszedłem ku koniowi. Z dachu zabrzmiały głosy przestrogi i strachu.

— Ia zan azrak! — zawołałem ponownie, idąc powoli dalej, z oczyma zwróconymi silnie lecz przyjaźnie na ogiera.

Zarżał z cicha, odwrócił się całkiem i przybiegł do mnie, tańcząc pięknym łukiem. Tuż przede mną zatrzymał się, wrywszy przednie kopyta w ziemię i jął mnie badać szeroko rozwartymi oczyma i nozdrzami.

— Szpaku, mój kochany, mój dobry, masz i jedz! — wezwałem go łagodnym, pieszczotliwym głosem i zbliżyłem się do niego zupełnie. Posługiwałem się oczywiście językiem arabskim, ponieważ znał te dźwięki. Koń obwąchał dłoń, a potem rękę aż do ramienia, po czym wziął jeden daktyl, drugi, trzeci i tak dalej aż do końca. A zatem zwyciężyłem.

Wyjąłem z kieszeni garść drugą, podałem mu daktyle lewą ręką a prawą zacząłem głaskać rumaka po pięknej szyi. Potem nachyliłem mu głowę i zacząłem mu szeptać w ucho tę surę, która właśnie przysłała mi na myśl. Arab, czyniąc to co wieczora ze swym ulubionym koniem, powtarza mu zawsze tę samą surę. Gdy ją odmówi, zasypiają obydwaj, i koń, i jeździec. Zwierzę tak się do tego szeptania przyzwyczajają, że później nabywcy lub w ogóle właściciela, który chciałby tego zaniechać, nie uznają za swego pana i tylko z niechęcią będzie mu posłuszne.

Koń stropił się znowu. Czy trafiłem na jego zwykłą surę, nie wiem; zapewne nie, było to zresztą dość obojętne. Zasadniczy punkt tkwił w samej czynności i w szepcie. Zwierzę odezwało się cichym głosem, jakby rzeniem zwróconym do swego wnętrza, po czym podniosło głowę i zarżało tak donośnie, że omal nie skoczyłem w bok z nagłego przestrawienia. Tymczasem koń zaczął pocierać głowę o moje plecy i wargami dotykał mej twarzy, jak gdyby mnie całował. Położyłem mu obie ręce na szyję, przycisnąłem głowę jego do siebie i przyłożyłem usta do ucha, by szeptać dalej. Był to znak wzywający konia na spoczynek, a poskutkowało tak wspaniale, że już po kilku wierszach położył się siwek na ziemi, a ja rozciągnąłem mu się między nogami i głowę na jego brzuchu, jak na poduszce, położyłem. Z dachu odezwały się głośnie okrzyki podziwu.

Leżeliśmy tak przez pewien czas, po czym zerwałem się nagle i zawołałem:

— Dir balak ‘1 a’ adi, uważaj, nieprzyjaciele!

W jednej chwili stanął koń przy mnie, a ja wsiadłem na siodło bez najmniejszego oporu z jego strony. Z pół godziny jeździłem szkołą arabską i znalazłem u zwierzęcia tyle zrozumienia i wrażliwości na najłżejszy nacisk, że mogłem sądzić, że rozumie mnie zupełnie i że wola nas obu jest jedną wolą. Zsiadłszy z niego nagrodziłem go głaskaniem i resztą daktyli. Potem zaprowadziłem go do przeznaczonego mu miejsca w stajni i skłoniłem go łagodnymi słowami do tego, że położył się tam dobrowolnie. Gdy odchodziłem, powiódł za mną oczyma i zarżał z cicha.

Kiedy powróciłem na dziedziniec, spytali mnie widzowie, czy mogliby bezpiecznie zejść do mnie. Odpowiedziałem, że mogą to uczynić bez obawy. Mimo to szli ze strachu przed koniem bardzo niepewnie, a kiedy poprosiłem ich, ażeby poszli ze mną do stajni, towarzyszyli mi, kryjąc się za moimi plecami. Ogier, zobaczywszy ich, zerwał się i zaczął wszystkimi czterema nogami uderzać dokoła siebie. Przystąpiłem do niego i doprowadziłem go głaskaniem i namową do tego, że uspokoił się, a nawet pozwolił im się dotykać. Uważał mnie za swego pana i znosił, choć niechętnie, ich obecność.

Radziłem wypuścić ogiera znów na dziedziniec. Gdy go przyprowadzono, objechałem na nim kilka razy dokoła, po czym zsiadłem i wezwałem koniuszego, by zajął moje miejsce na siodle. Zawahał się, gdyż wydało mu się to niebezpieczne, po dłuższej jednak namowie zgodził się wreszcie na moją propozycję. Koń opierał się trochę, stanął kilka razy dęba, lecz pieszczotliwą namową dał się skłonić do posłuszeństwa tak, że jeździec kilka razy przecwałował dokoła dziedzińca. Kiedy zsiadł z konia, zostawiono szpaka na wolnym powietrzu, a my, to znaczy koniuszy, marszałek i ja, udaliśmy się do jadalni, ażeby spożyć już zastawiony obiad.

Ponieważ żonom i córkom nie wolno jeść razem z mężczyznami, a jedyny syn gospodarza oddalił się, narzekając na ból głowy, więc właściwie podano jedzenie tylko dla mnie i dla koniuszego. Marszałek zjadł obiad już przedtem i usiadł na boku w pewnym od nas oddaleniu. Wtem wniesiono istną górę tłustego pilawu z rodzynkami, a nadto wielką tacę, na której leżało całe pieczone jagnię. Zapach pieczenia był tak miły i zapraszający, że marszałek chrząknął z cicha. Gdy to nie odniosło pożądanego skutku, zaczął kaszleć i to tak znacząco, że koniuszy okazałby się chyba zupełnym barbarzyńcą, gdyby był tego nie rozumiał. Zapytał go więc, czy chce jeść także.

— Nie — odrzekł grubas, ocierając sobie ręką usta. — Ja już jadłem.

Na tym byłoby się może skończyło. Bawił mnie jednak widok tego łakomstwa, odkroiłem przeto kawał nogi pieczonego jagnięcia i włożywszy w usta pierwszy kęs, przybrałem minę tak rozanieloną, że grubas nie mógł już dłużej wytrzymać. Odmówił wprawdzie, kiedy go koniuszy poprzednio do stołu zapraszał, znalazł jednak sposób naprawienia poprzedniego błędu. Zwrócił się mianowicie do mnie, mówiąc:

— Effendi, żołądek znów zaczyna mnie boleć. Znowu ta straszna próżnia.

— Więc musisz jeść.

— A zatem daruj, że się oddalę!

— Nie, na to on nie pozwoli — wtrącił koniuszy. — Za to pozwoli ci jeść z nami.

— Jeśli tak, to przy was usiądę. Jadłem już w domu, więc teraz tylko trochę skosztuję.

Użył słowa arabskiego „dahk”, znaczącego tyle, co „kosztować, próbować”, przyznam jednak, że byłem ciekawy tego kosztowania. Przeniósłszy swoją poduszkę i usiadłszy przy nas, oderwał, nie używając noża, drugą nogę jagnięcia i chciał ją już włożyć do ust, kiedy naraz zatrzymałem jego rękę i rzekłem:

— Wstrzymaj się! Czy chcesz umrzeć?

— Umrzeć? Nie, tego Allah nie dopuści! Dlaczego mnie o to pytasz?

— Przed jedzeniem masz siedem razy skłonić się w stronę Mekki. Rozumiesz?

— Ależ ja nie chcę jeść, tylko trochę skosztować!

— To wszystko jedno, czy jesz dużo, czy mało. Co lekarz przepisał, to należy ściśle wykonywać.

— Masz słuszość, effendi. Idzie tu o moje życie, więc będę i muszę być posłuszny.

Powstał, zwrócił się w stronę Mekki i, trzymając w ręku kapiącą od tłuszczu nogę jagnięcia, wykonał siedem głębokich pokłonów. Potem usiadł i zaczął kosztować, jeśli to jednak miało być kosztowaniem, chciałbym widzieć, jak wygląda w takim razie jedzenie. Poszło mi tu tak samo, jak z moim grubym przyjacielem Muradem Nassyrem w Kairze. Zanim spożyłem połowę jednej nogi, druga już znikła. Jedliśmy dalej olbrzymie kawały pieczeni, które kucharka po mistrzowsku oddzieliła od kości. Ale podczas kiedy ja zostawiałem w pilawie tylko małe wgłębienia, marszałek wyrywał z niego całe złomy górskie. Białe, lśniące kawały ryżu i olbrzymie zręby mięsa znikły w jego potężnych szczękach. Nie mogłem jeść dalej, gdyż przypatrywanie się i podziwianie zajęło mnie zupełnie. Koniuszy znał swoich ludzi, więc nie zważał na marszałka, starając się tylko iść za jego przykładem. Toteż czimborasso ryżowy był coraz niższy, a jagnię chudło coraz bardziej aż w końcu zostały tylko kości. Ostatecznie wytarł sobie wielki żarłok ręce o spodnie i rzekł, odetchnąwszy głęboko:

— Moje boleści znikły. Chwała i dzięki prorokowi!

— Więc nie odczuwasz już próżni w żołądku?

— Nie, wszak jadłem w domu.

— W takim razie nasz koniuszy będzie ci bardzo wdzięczny, jeśli będziesz w domu kosztował, a jadł tutaj. Czy jednak rzeczywiście jesteś już gotów?

— Tak. A może jest coś jeszcze?

— Do jedzenia nic, gdyż nasyciliśmy się zupełnie, ale gdzie twoich dziewięć pokłonów?

— Ratunku, kalifowie! Byłbym prawie zapomniał. Czemu jednak, effendi, kazałeś mi przed jedzeniem wykonywać siedem zwykłych pokłonów, po jedzeniu zaś aż dziewięć i to takich głębokich?

— Ponieważ jest to przepis kalifa Hiszama i w jego pałacu wykonywano te pokłony przed i po jedzeniu.

— W takim razie niechaj mi ten święty Hiszam dopomaga, ażebym nie stracił równowagi i nie padł na nos!

Wstał ciężko z ziemi, stanął twarzą ku wschodowi, gdzie leży Mekka i starał się wszelkimi siłami wykonać okrutny przepis. Dokonał tego, sapiąc i stękając głośno, tylko dzięki temu, że ściągany w dół ciężarem ciała klękał za każdym razem na oba kolana. Były to wysiłki i ruchy nie dające się opisać i chociaż wstrzymywałem się od głośnego śmiechu, łzy spływały mi po twarzy, naturalnie nie łzy bóleści i smutku. Było to dla niego karą za to, że powiedział mi w oczy, iż jako chrześcijanin zanieczyszczam mu pokój pełen napisów z Koranu. Prawdę jednak mówiąc, więcej grała tu rolę wrodzona mi skłonność do żartów aniżeli mściwość.

Grubas poczuł z powodu wysiłku ogromne znużenie i oświadczył, że musi iść spać do domu. Można się było jednak spodziewać, że sen wprawi jego chory żołądek ponownie w stan bolesnej próżni, po czym musi nastąpić obfita wieczerza. Może po jakimś czasie wyczytamy w „Wad el Nil” (gazecie arabskiej), że doprowadził baszę do ubóstwa swoim obżarstwem, a do bankructwa spaniem. My dwaj siedzieliśmy jeszcze przez chwilę, ażeby porozmawiać trochę o wspaniałym szpaku. Koniuszy był uszczęśliwiony, że udało mi się doprowadzić go do posłuszeństwa. Teraz miałem już nadzieję, że koń zniesie i innych prócz mnie na siodle. Koniuszy przyznał mi także, że chrześcijanin i Europejczyk może być lepszym znawcą koni niż Egipcjanin i z uwagą przyjmował moje wskazówki co do obchodzenia się z ogierem. Ponieważ widział mnie w strzemionach tylko na ciasnym dziedzińcu, a ja dałem mu poznać, że przewyższam go nie tylko umiejętnością obchodzenia się z koniem, ale także szybkością jazdy, o czym jednak powątpiewał, zaproponował mi, ażebyśmy nazajutrz przed południem wyjechali na pustynię. Zgodziłem się na to chętnie. Przecież to musiała być prawdziwa przyjemność pędzić na takim koniu nie przez piasek, lecz raczej ponad piaskiem, dorównując szybkością pospiesznemu pociągowi.

Pierwsza połowa popołudnia minęła, a drugą zamierzałem spędzić samotnie na przechadzce po mieście. Toteż nie zaprosiłem koniuszego, który byłby mi pewnie chętnie towarzyszył. Przeznaczone mi jednak było pewne spotkanie, o którym nawet nie śniłem.

Wyszędłszy z dziedzińca, zwróciłem się nie ku portowi, lecz ku miastu i doszedłem do bielonego grobowca jakiegoś szejka. Obok grobowca był most, wiodący przez kanał. Właśnie miałem nań wstąpić, kiedy stanąłem zaskoczony niespodziewanym widokiem. Oto ujrzałem bardzo długą i bardzo cienką, białą odzianą postać, z olbrzymim turbanem na głowie, o bardzo charakterystycznym, kręcącym się i chwiejnym chodzie. Czy dobrze widziałem, czy też uległem złudzeniu? Był to także marszałek, ale nie ten nieforemny marszałek baszy, lecz chudy i cienki jak tyka dozorca domu mego tureckiego przyjaciela z Kairu. I on spostrzegł mnie także i stanął.

— Selimie, czy to ty rzeczywiście? — zawołałem.

— Słusznie, bardzo słusznie! — odpowiedział swoim chrapliwym głosem, oddając mi z daleka jeden ze swych karkołomnych pokłonów. — A czy to prawda, effendi, że to ty jesteś? W takim razie dzięki Allahowi, gdyż właśnie szukam ciebie.

— Ty mnie szukasz? Sądziłem, że jesteś u Murada Nassyra w Kairze. Jakieś ważne powody musiały was skłonić do opuszczenia miasta wcześniej aniżeli było ułożone.

— Więc sądzisz, że Murad Nassyr znajduje się tu ze mną w Sijut.

— Oczywiście!

— Mylisz się. Ja sam przybyłem, ażeby ciebie odszukać.

— Po co? Ale zaczekaj! Tu na moście nie możemy rozmawiać o tych sprawach. Chodźmy do jakiejś kawiarni, to będzie najlepsze.

— Tak, to najlepsze — potwierdził kłaniając mi się, po czym obrócił się, by mi towarzyszyć do miasta. Weszliśmy do pierwszej napotkanej kawiarni i, znalazłszy jakiś cichy kącik, kazaliśmy sobie podać lemoniadę. Następnie zapytałem:

— A więc, dlaczego przybyłeś sam, ażeby mnie tu odszukać?

— Bo mój pan mi tak kazał — brzmiała niezbyt inteligentna odpowiedź.

— Cóż go do tego skłoniło?

— Nie chce, żebyś tu był sam.

— Aha! Czy Murad Nassyr sądzi, że potrzebuję obrońcy?

— Nie, ale w każdym razie będzie lepiej, jeśli będę przy tobie. Byłem najślynniejszym wojownikiem mojego szczepu i, jak wiesz, idę o lepsze z bohaterami całego świata...

— Tylko nie z upiorami — przerwałem.

— Nie żartuj, effendi! Przeciw duchom nie można walczyć strzelbą ani nożem, tam pomagają tylko modlitwy.

— Ależ to nie były duchy.

— Czysty przypadek! Przecież mogły to być rzeczywiście dusze zmarłych, których nie można zastrzelić, bo już nie żyją. Spełniłem mój obowiązek, leżąc pod bramą na czatach. Przyślij mi żywych nieprzyjaciół, choćby pięćdziesięciu, stu, nawet tysiąc! Zobaczysz, jak po bohatersku z nimi postąpię! Moja odwaga podobna jest do wichru pustynnego, który wszystko obala, a przed męstwem moim drżą nawet skały. Kiedy w walce podniosę głos mój i rękę, uciekają nawet najdzielniejsi, a moim dzielnym strzałom nie oprze się największy śmiałek. Dlatego to przysłała mnie Murad Nassyr do ciebie, ażebyś żył bezpiecznie pod tarczą mojej opieki.

— Sądzę jednak, że musi być jeszcze inny powód.

— W takim razie mylisz się. Wiem tylko, że mam cię bronić, więcej nie wiem o niczym.

Widziałem, że ten stary, tchórzliwy, lecz mimo to dobroduszny zabijaka mówił prawdę. Równocześnie jednak byłem pewien, że nie tylko ten jeden powód skłonił Murada Nassyra do tego, że mi tu swego „słusznie, bardzo słusznie” przysłał! Co to być mogło? Rozmyślałem nad tym długo i szeroko i znalazłem tylko jedną odpowiedź, która mogła być trafna: Turek mi nie dowierzał. Czy

sądził może, że ucieknę, gdy zapłacił za mnie koszty podróży i dał mi nadto niewielką kwotę pieniędzy? Byłoby to nieufnością, do której nie dałem najmniejszego powodu. A może obawiał się, ażebym bawiąc w Sijut sam, nie popsuł mu czegoś w jego handlowych zamiarach? W takim razie powinien był tylko szczerze wobec mnie postąpić i powiedzieć mi o jakich planach myślał. Jeśli jedno z dwojga, albo i jedno i drugie było prawdą, to Selim nie był chyba człowiekiem zdolnym do powstrzymania mnie od wykonania jakiegokolwiek zamiaru lub czynu, który uważałbym za dobry, słuszny i wskazany. Słowem, nie widziałem już szczerości na twarzy mego grubego Turka i, kiedy patrzyłem na niego z oddalenia, zaczynała się chwiać moja ufność. Wydał mi się bardziej wyrachowany i samolubny, aniżeli przedtem i zbudziło się we mnie przekonanie, że wobec niego powinienem być ostrożniejszy. Przypomniałem sobie przy tym reisa effendinę, który pod każdym względem wydawał mi się najzupełniej otwarty. Dlaczego on tak zamknął się w sobie i zamilkł, kiedym mu wspomniał imię Murada Nassyra? Musiało to mieć jakąś przyczynę, jakiś powód, nie tylko na tej okoliczności polegający, że emirowi wydało się, iż już raz słyszał imię tego Turka. Za kilka dni należało spodziewać się jego przybycia, miałem więc nadzieję, że wyjaśni mi się jego stosunki handlowe i plany. Do tego czasu musiałem się jednak pogodzić z opieką „bohatera” Selima. Zapewne nudził się podczas moich rozmyślań, gdyż przerwał milczenie pytaniem:

— Czemu tak nagle zamilkłeś? Czyś niezadowolony, że przyjechałem?

— Wszystko mi jedno, czy jesteś tu, czy w Kahirze — odrzekłem. — Obawiam się tylko, że będziesz nudził się w Sijut, gdzie nie masz żadnego zajęcia.

— Żadnego zajęcia? Nudzić się? Nie sądź tak! Wszak mam być twym obrońcą, a to da mi dość zajęcia. Ani na krok nie wolno mi ciebie odstąpić, tak kazał mi mój pan Murad Nassyr.

— Ach! Więc i mieszkać chcesz ze mną?

— Naturalnie! Gdzie zamieszkałeś?

— W pałacu baszy. Nie wiem tylko, czy cię tam zechcą dość chętnie przyjąć.

— Czy wątpisz o tym? Prawda, ty jesteś, niestety, niewierny i nie wiesz, że islam nakazuje swoim wyznawcom jak największą gościnność. Oprócz tego jestem największym bohaterem mojego szczepu, słynnym człowiekiem, którego nawet sam wicekról przyjąłby chętnie w swym domu. Powiem memu gospodarzowi i przyjacielowi, że muszę ich opuścić i sprowadzić się do pałacu.

— Ach! Masz przyjaciela ze sobą?

— Tak, poznałem go na okręcie, a on wysiadł tu, ażeby razem ze mną zamieszkać.

— Kim on jest?

— Handlarzem mającym poczynić tu zakupy. Zostań tu chwilę! Pójdę zaraz do niego, by go o tym zawiadomić.

— Zaczekaj z tym jeszcze, dopóki nie dowiemy się w pałacu, czy cię tam przyjmą.

— O to nie trzeba się dowiadywać, gdyż nie ma żadnej wątpliwości, że mnie przyjmą z otwartymi rękami.

— Być może, ale mimo to chcę się upewnić. Sądzę, że nic nie będziesz miał przeciw temu, że udamy się najpierw do pałacu.

— Słusznie, bardzo słusznie! Idę za tobą. Ruszajmy. Nie było mi to wcale przyjemne prosić, ażeby go w domu baszy przyjęto, lecz musiałem pogodzić się z tą myślą, wiedząc iż ten „największy bohater swojego szczepu” nie odstąpi mnie ani na chwilę. Zapłaciłem więc należną kwotę i ruszyliśmy ku pałacowi. Przybywszy tam, zobaczyłem grubego marszałka w tych drzwiach, w których przyjął mnie i reisa effendinę. Skłonił mi się bardzo nisko i rzucił pytające spojrzenie na mego towarzysza. Gdy wymieniłem jego imię i powiedziałem, że życzy sobie zamieszkać przy mnie, odrzekł szybko i bardzo uprzejmie:

— Effendi, zostaw go u mnie. Nie poznałem się na tobie i dlatego poszedłeś do koniuszego. Poznając teraz, że obecność twoja jest zaszczytem dla naszego domu, więc proszę cię, pozwól mi błęd mój naprawić.

Propozycja ta była mi bardzo na rękę i dlatego chętnie z niej skorzystałem. Mieszkając u czarnego grubasa nie mógł Selim naprzykrzać mi się tak bardzo. On także zgodził się na to i rzekł:

— Widzisz, że miałem słuszność, effendi! Moje zalety podziwiają wszędzie i gdzie się zjawię zastaję otwarte drzwi domów i namiotów. Zanim jednak wejdę do tego błogosławionego domu, muszę się na krótki czas oddalić, ażeby się pożegnać z gospodarzem i towarzyszem. Niebawem ujrzycie znowu moje oblicze. Niechaj Allah przedłuży dni wasze i pozwoli wam cieszyć się jeszcze długo moją obecnością.

Poszedł. Co miałem czynić? Zostać w domu i czekać na niego? Chciałem przejść się po mieście i postanowiłem pójść zaraz. Właśnie wychodziłem z dziedzińca, kiedy zjawił się koniuszy i zapytał mnie, czy może mi towarzyszyć. Zgodziłem się chętnie, a czarny grubas, usłyszawszy to, oświadczył, że gdyby się do nas nie przyłączył, ściągnąłby na siebie gniew Allacha i wszystkich kalifów. Poprosił mnie więc o kilka chwil zwłoki, dopóki nie postara się o to, żeby Selima dobrze w naszej nieobecności przyjęto. Koniuszy oddalił się także na kilka minut, by przygotować się do drogi. Po chwili ukazali się obydwaj, odświeżeni ubraniu. Marszałek przyprowadził dwóch biegaczy i dwu Murzynów. Pierwsi mieli iść przodem z białymi laskami i torować nam drogę w razie potrzeby, a czarni mieli zamykać orszak i nieść na pokaz drogocenne fajki i kapciuchy. Dowiedziałem się później, że marszałek chciał wydać rozkaz, ażeby z tyłu za nami służba prowadziła trzy konie, co miało być dla tłumu dowodem, że idziemy piechotą nie z ubóstwa lub braku koni, względnie na mnie, nie posiadającego konia, odwiódł go od tego zamiaru.

Tak przechodziliśmy powoli i majestatycznie ulicami miasta, zbudowanego z ciemnego iłowego kamienia. Co mam o nim powiedzieć? Sijut to mała Kahira. Wszystko tu takie, jak tam, tylko w mniejszych rozmiarach i z pewnymi zmianami terenu. I życie na ulicy podobne. Spotkaliśmy handlarzy wody, owoców, chleba, chłopców z osłami, posługaczy, Turków, Koptów i Fellahów, zupełnie tak, jak tam. Miasta wschodnie są do siebie nadzwyczaj podobne. W bazarach był ścisk wielki, ale nasi biegacze trącali i bili laskami tak silnie dokoła siebie, że mieliśmy zawsze wolną

drogę. Uszanowanie, z jakim witano wszędzie czarnego marszałka, było dowodem, że piastował ważne i wpływowe stanowisko. Krótka i powolna przechadzka tak go znużyła, że stękał za każdym krokiem. W końcu oświadczył, że z głodu i znużenia nie może iść dalej i musi bezwarunkowo wstąpić do sufry.

Sufra jest to właściwie stół do uczt, a grubas użył tego wyrazu na oznaczenie restauracji. Nie słyszałem jeszcze o takiej restauracji, więc byłem ciekaw, do jakiego zaprowadzi nas lokalu. Dał służącym, idącym na przódzie, rozkaz, a oni skręcili w boczną uliczkę i stanęli jak sztyldwachy po obu stronach bramy jednego z domów. Weszliśmy najpierw na mały, otwarty dziedziniec, na którym leżało kilka szeregów poduszek. Tam siedzieli już goście. Każdy z nich miał przed sobą glinianą miskę, do której sięgał obiema rękami. Czystości nie wymagano tu widocznie, bo brud uderzał na pierwszy rzut oka. Oprócz tego panował tu taki odór starej oliwy, że gdybym nawet był głodny, straciłbym od razu apetyt.

Marszałek potoczył się w próżny kąt i usiadł tam na poduszce. Ponieważ koniuszy poszedł za jego przykładem, uczyniłem to samo. Jeden z brudnych dozorców przyszedł nas zapytać o rozkazy, a czarny grubas odpowiedział milcząc w ten sposób, że podniósł w górę trzy palce.

— Dla mnie nie trzeba! — rzekł koniuszy. — Ja nie jem.

Teraz wiedziałem już, co mają znaczyć trzy palce, oznaczały mianowicie trzy porcje. Oświadczyłem więc czym prędzej, że ja także nic jeść nie będę.

— Mimo to trzy! — rozkazał grubas, podnosząc trzy palce. Niebawem przyniesiono to, czego żądał; miało to zielonawobrunatną barwę i wyglądało jak namuł. Przypatrzyłem się tej potrawie z uwagą, wciągnąłem w nozdrza przejmujący zapach, ale na próżno; nie mogłem zgadnąć, co to było.

— Zrób mi tę przyjemność i spróbuj! — wezwał mnie marszałek, przysuwając mi jedną z trzech misek.

— Dziękuję ci! Ciało moje nie potrzebuje teraz pokarmu. Niech tobie służy!

— Zapewniam cię, że wszyscy chętnie tę potrawę spożywają, bo jest ona źródłem rozkoszy. Mąka soczewiczna gotowana w oliwie. To czyni duszę zdolną do najczystszych uczuć i wzmacnia serce na wszelkie cierpienia świata.

Wymawiając te słowa, sięgnął tłustą, czarną ręką do miski, utoczył kulę i przysunął mi ją do ust z zachętą.

— Masz, spróbuj!

— Zatrzymaj ją sobie! — odrzekłem, usuwając jego rękę. — Niech się oczyszczają twoje uczucia i wzmacnia serce!

Wsunął kulę do ust i rzeki nadąsany:

— Wy chrześcijanie nie wiecie jednak nigdy, co czynicie. Przecież Ezaw sprzedał swoje

pierworództwo za misę soczewicy na oliwie. Ale ty o tym nic nie wiesz.

— Oho! Tę historię z soczewicą opowiada nasza Biblia. Mahomet odpisał ją tylko stamtąd, ale w naszym Piśmie Świętym nie ma nic o tym, żeby soczewica była gotowana na oliwie.

— Nie ma tego rzeczywiście? W takim razie prorok był bardzo rozumny, że napisał to dla nas. Więc ty znasz także Koran? Tak, ty jesteś człowiekiem uczonym. Ty znasz wszelakie sposoby leczenia żołądka, ale nie wiesz, co dobre.

Wsuwał w usta jedną garść tego przysmaku po drugiej i opróżnił w ten sposób pierwszy, potem drugi, a w końcu trzeci talerz. Wyczyścił je następnie, jak źle wychowane dziecko, palcem wskazującym, który oblizał. Podczas tego zajęcia brał także żywy udział w rozmowie mojej z koniuszym, który, jak się okazało, był żądnym wiedzy człowiekiem. Ponieważ udało mi się poskromić konia, przypisywał mi wszystkie inne zdolności i zadawał mi jedno pytanie po drugim, a ja musiałem mu na nie odpowiadać.

Powracając do domu, ujrzeliśmy sprowadzone umyślnie ślepe dzieci, siedzące pod bramą. Widok ich był zarówno wzruszający, jak wstrętny. Ośleple oczy puchną, tworząc jątrzące się półkule, na których wiodą swój żywot muchy i inne owady. Choroba to zaraźliwa i przechodząca z oka na oko, z osobnika na osobnika. Dzieci otrzymały pieniądze, po czym je wyprowadzono. Mały żart, na który pozwoliłem sobie względem grubasa, nie obciążał mi bynajmniej sumienia. Miał on takie dochody, że mógł śmiało wydać tę małą kwotę na pożałowania godnych ślepców.

Wkrótce potem zmierzch zapadł i zaczęło się szybko ściemniać. Zaproszono mnie na wieczerzę, którą koniuszy ze mną spożył. Spytał mnie wprawdzie, czy ma wezwać także mego towarzysza, oświadczyłem mu jednak, że Selima nie można właściwie nazywać w ten sposób, gdyż jest on tylko sługą mego przyjaciela. Nie zależało mi na tym, żeby tego długiego człowieka mieć nieustannie przy sobie, a koniuszy nie miał także ochoty widzieć u siebie tak podrzędnej osoby.

Po wieczerzy zaprosił mnie mój gospodarz na partię szachów. Poustawialiśmy właśnie figury, kiedy na dworze powstał niezwykły hałas. Kilka głosów krzychało równocześnie, lecz słów nie można było zrozumieć. Sądząc, że zaszedł jakiś nieszczęśliwy wypadek, wybiegliśmy na dziedziniec przed stajnię. Stało tu kilku parobków oraz innych ludzi, którzy patrzyli w niebo i wołali:

— Zaćmienie księżyca, zaćmienie księżyca!

Tak było rzeczywiście, księżyc zaciemniał się. Nie wiedziałem o tym, że należy spodziewać się zaćmienia. Była pełnia, a szary cień Ziemi zakrywał powoli tarczę naszego trabanta. Należało wnosić, że zaćmienie nie będzie zupełne. Mimo to zaszedł cień tak daleko, że tylko wąski sierp księżyca pozostał odsłonięty. Zjawisko to przejęło wszystkich mieszkańców pałacu nieopisanym strachem. Najpierw wypadł, sapiąc, gruby marszałek, a za nim Selim.

— Effendi, — zawołał pierwszy, zobaczywszy mnie — czy widzisz, że księżyc znika? Powiedz mi, co to oznacza?

— To oznacza, że Ziemia stoi między Słońcem a Księżycem i rzuca cień swój na niego. To jest

powodem zaćmienia.

— Między Słońcem a Księżycem? Rzuca cię swój? Czy widziałeś go już kiedy?

— Widziałem go już nieraz, a w tej chwili widzę go znowu.

— Effendi, jesteś źródłem mądrości i studnią wiedzy, lecz o słońcu, księżycu i gwiazdach nie wolno ci mówić. O nich nic nie wiesz. Czyż nie słyszałeś, że to szatan osłania księżyc?

— Tak sądzisz? A na cóż by on to czynił?

— Ażeby nam zapowiedzieć nieszczęście. To wróżba nieszczęścia dla całego świata, a szczególnie dla mnie.

— Dla ciebie? A cóż ty masz wspólnego z tym zaćmieniem?

— Wiele, bardzo wiele! Czy widzisz ten amulet u mnie na szyi? Noszę go dla ochrony przed zaćmieniem księżyca.

— Zaćmienie księżyca to całkiem naturalne zjawisko. A gdyby nawet groziło jakimś niebezpieczeństwem, to amulet zapewnię nie ochroniłby cię przed nim.

— Mówisz tak, bo jesteś chrześcijaninem a nie muzułmaninem. Co chrześcijanin może wiedzieć o księżycu? Jaki jest znak chrześcijaństwa? Czyż nie krzyż?

— Rzeczywiście.

— A znakiem islamu jest półksiężyc. Musimy więc o księżycu więcej wiedzieć niż wy, to jasne. A może mi tego nie przyznajesz?

Ten argument był z jego stanowiska słuszny, musiałem go więc pobić tą samą bronią i dlatego odpowiedziałem:

— Nie, nie przyznaję ci tego wcale. Czy waszym znakiem jest nów czy pełnia księżyca?

— Tylko półksiężyc.

— Więc mów, jeśli chcesz, o pierwszej i ostatniej kwadrze, ale nie o nowiu i pełni, a dziś jest pełnia. No, cóż ty na to?

Stropił się, spojrział na mnie z otwartymi ustami, a potem odrzekł:

— Effendi, w tym nie mogę ci się oczywiście sprzeciwić. Nowiu nie widziałem w ogóle.

— Więc nie twierdź, że rozumiesz się na księżycu. Kto nawet jeszcze nowiu nie widział, ten nie może sądu wydawać o zaćmieniu księżyca. Zresztą nawet półksiężyc nie jest prawdziwym pierwotnym znakiem islamu.

— A cóż?

— Szabla, krzywa szabla Mahometa. Kiedy wasz prorok w miesiącu ramadhan, drugiego roku Hedzry, wydał Mekkańczykom pierwszą wielką bitwę, nasadził swoją szablę na żerdź i kazał ją nieść na czele, jako sztandar. Poprowadziła ich ona do zwycięstwa i odtąd uważano ją za sztandar wojenny. W późniejszej walce odbito rękojeść szabli i zostało tylko krzywe żelazo, przedstawiające kształt księżyca. To skłoniło kalifa Osmana do przyjęcia półksiężyca za symbol całego państwa islamu.

— Allach, Allach! Effendi, ty znasz wszystkie głębie historii i wszystkie tajniki religii! — zawołał.

— Oraz wszystkie szerokości, wysokości i głębokości księżyca — dodałem. — Jest on 380 000 kilometrów oddalony od Ziemi, jego średnica wynosi 3480 kilometrów, jest więc pięćdziesiąt razy mniejszy od Ziemi a najwyższa góra na nim ma 7200 m.

Na to zamilkli wszyscy stojący dokoła. Ponieważ w Egipcie, jak w ogóle w całej Turcji, liczy się na metry, więc ludzie ci zrozumieli wymiary, lecz nie wierzyli, żeby je w ogóle można było podać. Spojrzenia ich zwróciły się z księżyca na mnie, dał się słyszeć pomruk ogólny, po czym grubas zawołał:

— Niech Allach pozwoli ci długo żyć i oświeci twój rozum.

Powiedz mi, zaklinam cię na życie, na ojca twego i na brody wszystkich przodków twoich, czyli mówisz poważnie?

— Wcale nie żartuję.

Potrząsnął głową i spojrzał na mnie z powątpiewaniem. Co miałem uczynić? Do zrozumienia moich wywodów brak im było najpotrzebniejszych wiadomości, więc zarówno czarnego jak i drugich nie byłem w stanie przekonać. Zaczęli więc odmawiać dla usunięcia złych skutków zaćmienia mnóstwo zdań z Koranu i lamentowali przy tym tak długo, dopóki ono nie przeszło. Nawet i potem nie okazywali wesołości, sądzili bowiem, że skutki zaćmienia okażą się dopiero teraz. Długi Selim zwrócił się do mnie, sądząc, że zawezwę go, aby mnie do domu odprowadził, powiedziałem mu jednak, że pójdę teraz spać, więc udał się z grubasem do jego mieszkania.

Nazajutrz, po śniadaniu przyprowadzono konie. Umówiona przejażdżka odbyła się w większym towarzystwie aniżeli się spodziewałem. Marszałek nie omieszkał przyłączyć się do nas, a Selim twierdził, że musi także jechać z nami, gdyż jest moim obrońcą i musi mnie chronić przed upadkiem z konia. Zapewniałem go wprawdzie, że obawy jego są zbyteczne, lecz odpowiedział:

— Effendi, jestem największym bohaterem i jeźdźcem mojego szczepu, ty zaś jesteś Frankiem i nie widziałem cię jeszcze nigdy na koniu. Jeśli kark skręcisz, ja będę za to odpowiadał, dlatego nie odstąpię cię i nie spuszcze z oka.

— Czy jesteś rzeczywiście tak doskonałym jeźdźcem?

— Nikt mi jeszcze w jeździe konnej nie dorównał — odpowiedział z głębokim ukłonem.

— Więc spodziewam się, że słowa dotrzymasz. Gdybyś opuścił mnie choćby na chwilę, poskarżę twojemu panu, że jesteś lichym obrońcą, na którego liczyć nie można.

— Uczyń to, uczyń! Moja moc i troskliwość unosić się będą nad tobą nawet wtedy, gdyby cię porwał razem z koniem wicher pustyni. Jechałbym na wyścigi ze złymi duchami chamsinu.

Powiedział to z taką pewnością siebie, jak gdyby już kiedyś ścigał się ze wszystkimi wichrami pustyni, a ja cieszyłem się z góry na zawstydzenie, które go czekało.

Było nas zatem sześciu: marszałek, koniuszy, Selim, ja i dwaj parobcy, którzy nam towarzyszyli. Jechaliśmy powoli przez miasto na wzgórza ku grobom skalnym. Przybywszy na te wzgórza, odgraniczające dolinę Nilu od pustyni libijskiej, ujrzeliśmy rozległą, piaszczystą równinę, różowiącą się przed nami w promieniach słońca. Zjeżdżaliśmy z góry powoli i dopiero kiedy znaleźliśmy się już na dole, rzekł koniuszy:

— Teraz cwałem, effendi! Mamy dość miejsca na pustyni.

Ścisnął konia ostrogami i popędził. Muszę Selimowi wystawić świadectwo, że dotychczas dotrzymał słowa i nie odstąpił od mego boku. W jego wzroku i twarzy malował się wyraz dumnego zadowolenia; zdawało mu się, że jeździ o wiele lepiej ode mnie. Miało to swoją przyczynę. Oto koń mój, wydostawszy się na gościniec, chciał zaraz ze mną pędzić, ściągnąłem mu jednak cugle tak ostro i tak silnie ścisnąłem go kolanami, że musiał poskromić swoją niecierpliwość. Usiłowania tego nikt nie zauważył, a ponadto siedziałem na siodle za przykładem myśliwych periwowych, w ten sposób, że nogi miałem podane w tył, a korpus cały pochylony do przodu. Nie przedstawia ta pozycja zbyt pięknego widoku, ale jest wygodna dla jeźdźcy, a przenosząc ciężar ku przodowi ciała końskiego, zapewnia koniowi znacznie większą swobodę ruchów. Reszta towarzyszy siedziała po arabsku dumnie i prosto z wyjątkiem marszałka. Zdawało się więc wszystkim, że są lepszymi jeźdźcami ode mnie. Selim jeździł niezłe i miał niezłego konia, więc nic dziwnego, że na mnie trochę z góry spoglądał. Kiedy zaczęliśmy cwałować, chciał mój ogier rozwinąć całą swą rączność, powstrzymałem go jednak i z tego powodu zostałem z Selimem w tyle. Obydwaj parobcy mieli jechać wprawdzie za nami, zniecierpliwili się jednak dość prędko, minęli nas i popędzili naprzód.

— Prędeż, prędeż, effendi! — zawołał Selim do mnie. — Musimy ich doścignąć, bo nas wyśmieją. — To niemożliwe, bo spadnę — odpowiedziałem.

— Allach, Allach! Jak możesz mówić coś podobnego? Zawstydzasz mnie najokropniej. Ci ludzie mogą pomyśleć, że nie umiem jeździć konno, a przecież jestem najśmielszym jeźdźcą ze wszystkich plemion pustyni. Niestety, muszę zostać przy tobie, lecz za to przynajmniej widzisz, że bez mojej opieki zszedłbyś tutaj na marne.

— Tak. Muszę to przyznać, Niestety.

— Słusznie, bardzo słusznie! Powiedz to memu panu, kiedy tutaj przybędzie! To świadectwo dowiedzie mu ponownie, że jestem człowiekiem, którego niepodobna zastąpić. Ale jedź prędeż,

prędzej. Nie bój się, nie pozwolę ci upaść i pochwycę cię, gdy tylko stracisz równowagę.

By go jeszcze bardziej utwierdzić w mniemaniu, że jestem zupełnie lichym jeźdźcem, przybrałem najgłupszą pozycję, zsuwałem się to na jedną, to na drugą stronę i udawałem w ogóle, że tylko z największym wysiłkiem utrzymuję się na siodle. Selim wydawał rozmaite okrzyki, które skrycie sprawiały mi przyjemność, i wyrzekał ustawicznie na to, że zostawaliśmy coraz bardziej w tyle. Tamci wyprzedzili nas istotnie, a odległość zwiększała się z każdą sekundą. Tylko gruby marszałek nie mógł nadążyć i znajdował się między nimi a nami. Widziałem już niejednego niezręcznego jeźdźca, lecz takiej figury na koniu dotąd jeszcze oczy moje nie oglądały. Po pierwsze jeździł źle, a po wtóre cała jego bezkształtna postać nie była stworzona do siodła. Odpowiednio do swego ciężaru wyszukał sobie również bardzo ciężkiego konia, którego wysiłki, aby reszcie koni dotrzymać kroku, pobudzały mnie do śmiechu. Na grzbiecie tego zwierzęcia siedziało czarne monstrum z odstającymi nogami i skurczonym korpusem. Koń podrzucał potężnie, wprawiając jeźdźca w ruch, zwany przez dobrze jeżdżących gauchów południowoamerykańskich „el mollini llarse a la silla” tzn. wiercić się na siodle. Murzyn starał się siedzieć w siodle jak najmocniej i zmusić konia do szybkiego biegu, ale na próżno. Był to widok istotnie śmieszny.

Koniuszy i parobcy wyprzedzili nas tak bardzo, że wreszcie postanowili się zatrzymać i na nas zaczekać. Grubas dojechał do nich nieco wcześniej niż my. On sam stękał i koń jego sapał, jakby już całe godziny gnali przez pustynię.

— Cóż to, effendi? — spytał koniuszy. — Zostałeś w tyle?

— Nie umie jeździć konno — odpowiedział Selim za mnie.

— Ależ umie dobrze. Widzieliśmy wczoraj, że poskromił naszego szpaka.

— Udało mu się to dzięki daktyłom, którymi konia nakarmił. Przynęcić konia do siebie umie, to prawda, ale jeździć nie. Gdybym się nim nie był zaopiekował, byłby z dziesięć razy kark skręcił i nogi połamał. To okropne, jeśli się musi takiemu jeźdźcowi towarzyszyć.

— Bardzo słusznie — wtrąciłem. — Ale dlatego, że to takie okropne, nie zdołasz już dłużej prawdopodobnie w moim towarzystwie wytrzymać.

— Co ty mówisz! — zawołał. — Czyż nie wytrzymałem przy tobie? A może to ty dla mnie zostałeś w tyle? Jeśli tak, to zrób mi tę łaskę i jedź trochę prędzej!

— O nie doścignąłbyś mnie.

— O Allach! Nie było dotychczas jeźdźca, którego bym nie doścignął. Założymy się?

— Dobrze, a o co?

— Ty masz pieniądze z Anglii, widziałem je u ciebie. Nazywają się funtami a mają wartość przeszło stu piastrów. Czy postawisz przeciwko mnie takiego funta?

— A czy ty masz je także? — spytałem.

— Nie, ale mam dość piastrów, by postawić to samo. No zgoda?

— Tak. Wyjmuj pieniądze! Sto piastrów i funt angielski. Oddamy to koniuszemu, a kto zwycięży, ten dostanie od niego wszystko. Czy zgadzasz się na to?

— Zgadzam się, zupełnie się zgadzam! — rzekł, chrząkając z zadowoleniem. — Za kilka chwil będzie blask twych pieniędzy w mojej kieszeni. Jestem szybki, nie pokonany i nikt mnie nie doścignie, a ty już najmniej.

Koniuszy dostał pieniądze i zaczęliśmy jazdę. Z początku wstrzymywałem mego szpaka, ażeby Selim przez pewien czas mógł trzymać się mego boku.

— Widzisz, że wygram? — spytał z tryumfem.

— Zaraz zobaczysz coś przeciwnego. Bądź zdrow Selimie, za dwie minuty stracisz mnie z oczu zupełnie.

Teraz puściłem ogierowi cugle, czego on z upragnieniem oczekiwał. Zarżał głośno, zerwał się w górę wszystkimi czterema nogami i popędził tak, że niezbyt dobry jeździec dostałby pewnie zawrotu głowy. Nie chciałem użyć ostróg, bo dla tego szlachetnego zwierzęcia byłaby to zbyt szorstka podnieta. Szepnąłem mu tylko do ucha kilka słów zachęcających i koń zrozumiał mnie znakomicie. Towarzysze ruszyli za mną z krzykiem, lecz głosy ich słabły szybko, gdyż pustynia zniknęła formalnie pod kopytami mego szpaka. Kiedy w minutę potem popatrzyłem za siebie, ujrzałem jeźdźców wielkości dzieci, kołyszających się na koniach z biegunami. Po upływie drugiej minuty wyglądali już tylko jak małe kropki a następnie zniknęli całkiem. Teraz mogłem się już zatrzymać, wołałem jednak w pełni użyć rozkoszy jechania na takim koniu i pędziłem dalej. Zwierzę cieszyło się tak samo jak ja. Rżało głośno od czasu do czasu z radości, a kiedy głaskałem je po szyi, wydawało głęboki głos piersiowy, którego nie jestem w stanie opisać, chociaż go znam tak dobrze. Jest to głos zachwytu. Tak jechałem ze trzy kwadranse w głąb pustyni, która wynurzała się przede mną ustawicznie na nowo, a za mną znowu niknęła i zatoczyłem na prawo wielki łuk. Należało się spodziewać, że wszyscy podążą za moim śladem i chciałem ich wystrychnąć na dudków. W pół godziny potem zrobiło się z łuku koło i wpadłem na własny trop. Poznałem po śladach kopyt, że moi towarzysze już tędy przejechali i podążyłem za nimi. Wkrótce też dostrzegłem ich przed sobą, a oni sądzili niewątpliwie, że znajdują się daleko za mną. Im bardziej się do nich zbliżałem, tym dokładniej widziałem, że starali się rozwinąć szybkość jak największą. Mimo to trzymali się razem, gdyż lepsi jeźdźcy wstrzymywali konie, by nie wyprzedzić drugich. Ponieważ całą swoją uwagę zwrócili przed siebie, nie spostrzegli mnie, dopóki nie zbliżyłem się do nich na odległość dwudziestu długości konia i nie zawołałem:

— A wy dokąd?

Usłyszawszy mój głos, spojrzeli poza siebie i zdumieli się niemało, widząc mnie za sobą. Zanim zdolali osadzić konie na miejscu, byłem pomiędzy nimi. Gruby marszałek pocił się jak szyba w zimie i sapał jak maszyna parowa.

— Skąd przybywasz, effendi? — spytał z miną tak głupią, że musiałem się roześmiać.

— Stąd — odrzekłem wskazując za siebie. — Czynię tak samo jak słońce; zapadam na zachodzie a wynurzam się na wschodzie.

— Jak to zrozumieć? Jechalibyśmy tak twoim śladem, aż na koniec świata.

— Tak daleko chyba nie, bo mój ślad byłby was odprowadził z powrotem. Ale teraz widzisz co to za biegun z tego ogiera Bakarrów. Dziwię się, że koniuszy był na tyle nieostrożny, że mi na nim jeździć pozwolił.

— To ma być nieostrożność? Przeciwnie! Przez to, że go ujeździsz, uczynisz go chętnym także do noszenia mnie i baszy.

— Całkiem słusznie, ale gdybym go tak był ukradł?

— Ukradł! — zawołał blednąc ze strachu.

— Tak, ukradł. Przypuśćmy tylko, żebym nie wrócił, cóż byś był uczynił? Zdołałbyś mnie doścignąć?

— Nie, nie! Allach, Allach! W jakim znajdowałem się niebezpieczeństwie!

— Nie byłeś wcale w niebezpieczeństwie, bo ja nie jestem złodziejem. Wiedz jednak, że ten ogier wart jest sto tysięcy piastrów a to mogłoby w pewnych okolicznościach skusić do popełnienia kradzieży nawet rzetelnego człowieka.

— Masz słusność, tak, masz słusność, effendi! O Allach, o święci kalifowie, cóż by się ze mną stało, gdybyś był ukradł konia. Nie zdołałbym za niego zapłacić, a basza, którego życie niech wiecznie jaśnieje, kazałby mnie na śmierć zaćwiczyć. Już ostanę przy tobie.

— Nie dokazałbyś tego, gdybym chciał zemścić się za twoją nieufność. Ale jakże tam z naszym zakładem? Któż wygrał?

— Oczywiście ty.

— No to daj mi wygrane pieniądze. Niechaj ten Selim, który nazwał siebie najśmielszym jeźdźcem pustyni, powie teraz jeszcze raz, że nie umiem jeździć konno i że bez jego opieki musiałbym kark skręcić.

Kiedy schowałem do kieszeni pieniądze, które mi koniuszy wręczył, długi Selim przybrał minę, jak gdyby spotkało go największe w świecie nieszczęście i powiedział:

— Effendi, jesteś rzeką dobroci i źródłem miłosierdzia. Ty zaświadczysz o mnie, że nie mogę opiekować się tobą, jeśli nie ma cię przy mnie i że jestem biednym sługą oraz pożałowania godnym niewolnikiem pana mojego Murada Nassyra.

— Sądzę, że jesteś jego i moim opiekunem.

— O nie! — zaprzeczył czym prędzej. — Jestem najuboższym człowiekiem spomiędzy synów wszystkich szczepów i osad. Jestem jako powietrze, którego nikt nie widzi i jako zeschnięte ziarno ryżu w pustyni. Jestem najczystsze nic a jeśliby Allah zaświecił w mojej kieszeni, nie znaleziono by tam nic prócz pojęcia ubóstwa. Jeden piastr to dla mnie majątek, a jego utrata skraca mi życie i osłania duszę grozą beznadziejności.

Wiedziałem zaraz po pierwszych jego słowach do czego to zmierzało, lecz udałem, że go nie rozumiem i odrzekłem:

— W takim razie dam ci dobrą radę, dzięki której zbierzesz sobie wielkie bogactwa. Zakładaj się tak często, jak tylko możesz a szczególnie z jeźdźcami. Ponieważ jesteś najśmielszym jeźdźcą swojego szczepu i nawet z chamsinem idziesz w zawody, z łatwością wygrasz każdy zakład i w krótkim czasie zostaniesz bardzo bogatym człowiekiem.

— Effendi, nie żartuj! — prosił płacząco. — Nie przypuszczałem, żeby dusza twoja mogła nasiąknąć taką złościwością. Jestem najlepszym jeźdźcą pustyni, to prawda, ale właśnie nie mam szczęścia w zakładach. Moim przeznaczeniem, moim kismet jest to, że zawsze przegrywam.

— W takim razie nie zakładaj się nigdy!

— Ja też nigdy nie zakładałem się chętnie, ale czasem trudno mi się wymówić. Podobnie było także tym razem. Tylko uprzejmość, poważanie i miłość, jakie dla ciebie żywię, skłoniły mnie do postawienia stu piasstrów przeciwko twojemu funtowi. Nie chciałem cię obrazić, i owszem, chciałem ci okazać moje poświęcenie. Czyż będziesz teraz mniej wielkoduszny ode mnie? Czy chcesz żyć krwią ubóstwa i spożywać nędzę ubogiego? Kto pochłonie piastra żebraka, tego w piekle palą dwa razy mocniej niż innych winowajców. Pamiętaj o tym!

— No, możesz łatwo odzyskać swoje pieniądze, jeśli się przyznasz zgodnie z prawdą, że nie jesteś stworzony na mojego obrońcę.

Był to warunek ciężki; nie chciał się ośmieszyć, a nie miał też ochoty wyrzec się pieniędzy, których zresztą nie miałem zamiaru przy sobie zatrzymać. Dlatego najpierw zapytał:

— Jeśli nie możesz mi postawić innego warunku, to przyznaję, że nie potrzebujesz mojej opieki.

— To wykręt! Musisz się przyznać, że nie jesteś człowiekiem, który mógłby się mną opiekować.

— Effendi, jesteś srogi, ale ja będę uprzejmy i spełnię twoje życzenie. Nie mogę opiekować się tobą. Czy jesteś zadowolony?

— Tak. Masz tu swoich sto piasstrów i przypuszczam, że nie przyjdzie ci już nigdy ochota zakładać się ze mną.

Schował szybko pieniądze i w tej chwili przybrał inną minę, mianowicie jedną ze swoich min protekcyjnych i odpowiedział:

— O jazdę konną może już nie, zwłaszcza w tych okolicznościach, jeżeli jednak jesteś sprawiedliwy, musisz przyznać, że właściwości mojej osoby posiadają władzę nad sercami wiernych i niewiernych.

Był niepoprawny, gniewać się na niego było jednak trudno. Błaga tego człowieka nikomu nie przynosiła szkody, a była z całą jego istotą w tak ścisłym związku, że bez niej byłby może nieznośny.

Powróciliśmy do miasta, lecz nie tą samą drogą, którą wyjechaliśmy z domu, gdyż koniuszy chciał mi pokazać Tell es sirr*, o którym twierdził, że tam znajduje się wejście do piekła.

Góry libijskie ciągnęły się długim, ale niskim pasmem w poprzek linii naszego wzroku. W pewnym oddaleniu od tego łańcucha stało na równinie okrągłe wzgórze, podobne do kupy piasku. To był „Wzgórek tajemnicy”.

— Jakżeż zbadano tajemnicę, że tu znajdują się wrota piekieł? — zapytałem koniuszego.

— Nie wiem. Dowiedziałem się o tym od drugich, którzy znowu słyszeli od innych.

— Czy znana jest nazwa Tell es sirr?

— Nie wszystkim, gdyż nikt nie lubi mówić o tym miejscu. Kto o nim cośkolwiek zasłyszał, mija je z daleka. Ale ty jesteś synem wiedzy, ocaliłeś mego syna przy pomocy życiodajnego płynu i chętnie patrzysz na wszystko godne widzenia, więc zwróciłem twoją uwagę na to miejsce pustyni.

— Dziękuję ci i bezzwłocznie pojedę na szczyt tego wzgórką.

— Nie czyn tego, effendi! Jeśli szejtan* znajduje się właśnie w pobliżu, wysunie z ziemi pazur i wciągnie cię do piekła. Już niejeden śmiałek tam zniknął i ludzkie oko nie widziało go potem.

— Być może, ale w takim razie nie uczynił tego szatan; widocznie są tam jaskinie, do których ci ludzie powpadali.

— Nigdy tam żadnej jaskini nie widziano.

— Naturalnie, bo przysypuje je piasek pustynny. Wiatr wieje z zachodu na wschód i pędzi nieustannie piasek w tym kierunku. W ten sposób wypełniają się szybko zagłębienia w ziemi.

— Wyjaśniasz mi to wedle twojej wiary, my jednak jesteśmy wyznawcami proroka i unikamy paszczy piekielnej. Jeśli chcesz rzeczywiście wydostać się na wzgórek, to musisz wyrzec się naszego towarzystwa. Zostaniemy na dole i zaczekamy na ciebie.

Przed nami wznosił się Tell es sirr, mały stożek piaskowy o wysokości najwyżej pięćdziesięciu łokci. Zsiedliśmy z koni i zabrałem się do wchodzenia na górę. Nie sprawiało mi to wielkiej trudności, gdyż nie był stromy, tylko piasek był taki miękki i sypki, że wchodzenie sprawiało wrażenie brodzenia w mące. By poznać to wzgórze ze wszystkich stron, nie wchodziłem po linii prostej, lecz ślimaczną; nie odkryłem jednak nic godnego uwagi. Przybywszy na szczyt stałem w czystym piasku dokoła mnie nie było w ogóle nic, jak tylko piasek. Któż odgadnie, w jaki sposób

powstała głupia wieść, jakoby tu znajdowało się wejście do piekieł. W okolicy Sijut znajdowały się grobowce, więc może i w pobliżu tego wzgórka były jakieś doły grobowe. Ktoś załamał się, wpadł do wnętrza i w tej chwili wiadomość o wypadku połączono z tajemnym działaniem piekieł. Pod sobą widziałem towarzyszy, stojących nie opodal stóp wzgórka. Mój długi Selim zapomniał już widocznie o porażce doznanej z mego powodu, gdyż dosiadł konia i jął wykonywać rozmaite skoki i zwroty. Za jego przykładem poszedł także gruby marszałek, który wdrapał się na swego ciężkiego człapaka, chcąc te same sztuki pokazać. Jak się dowiedziałem później, powstał między nimi spór, który z nich jest lepszym jeźdźcem. Domyśliłem się tego zaraz i stanąłem, by się przypatrzeć, jak tego grubas dokona.

Puścił konia stępa kilka kroków, po czym chciał go zmusić, żeby przednie nogi podniósł w górę, a na zadnich obrócił się wkoło. Koń był jednak na to za ciężki i nie miał ochoty do tak zbytecznego wysiłku. Jął się więc bronić, wyrzucać kopytami, bić nimi o ziemię i... zapadł się nagle tylnymi nogami. Rzucił się jeszcze raz, wykonał potężny skok i stanął dęba, a wtedy grubas stracił równowagę, spadł w tył i zniknął mi z oczu, zapadłszy się w ziemię bez śladu.

Tyle zdołałem zobaczyć z mego odległego stanowiska. Pozostali ryknęli ze strachu jak lwy i czym prędzej oddalili się z niebezpiecznego miejsca. Zbiegłem ze wzgórka już nie ślimacznicą, lecz w prostej linii, a kiedy dostałem się na dół, zawołał do mnie koniuszy:

— Widzisz, że miałem słusność, effendi! Tu jest wejście do piekła i ono to pochłonęło marszałka. Wczorajsze zaćmienie było groźbą tego nieszczęścia.

— Słusznie, bardzo słusznie! — potwierdził Selim. — Marszałek runął do piekła i będzie się tam piekł po wszystkie wieki.

— Nie mów głupstw — zawołałem. — Nie ulega wątpliwości, że w tym miejscu znajduje się pod ziemią wydrążenie, którego powała zapadła się teraz pod ciężarem skaczącego konia. Najważniejsze teraz dla nas pytanie, czy to wydrążenie jest głębokie, czy płytkie. Jeśli to szyb, wiodący w dół pionowo, w takim razie nie ma dla marszałka ratunku, jeżeli jednak sztolnia pozioma, to wydobędziemy go z pewnością.

— To nie sztolnia, lecz szyb, dziura, wiodąca wprost do ognia piekielnego — twierdził koniuszy. — Marszałek przepadł. Nie ujrzymy już ani jego ciała, ani ducha.

— Duch jego nie ukazał ci się chyba nigdy. Chodźcie do otworu! Musimy go zbadać.

— Niech mnie Allah broni! Jestem wierzącym synem proroka i za żadne skarby świata nie zbliżę się do wejścia do piekieł!

— Słusznie, bardzo słusznie! — potwierdził Selim chrapliwym głosem. — Niech mnie Allah broni przed diabłem o dziewięćdziesięciu ogonach i przed piekłem, którego płomieniom nie oprze się skóra nawet pobożnego człowieka!

— Milcz! — rzekłem gniewnie. — Mówicie o wejściu do piekieł i o ogniu piekielnym. Czy widzieliście kiedy ogień bez dymu? Gdyby tu było piekło musiałoby się dymić z otworu. Czyż tego

nie pojmujesz Selimie?

Na ten argument nie znalazł odpowiedzi, a jeszcze bardziej się zakłopotał, kiedy dodałem:

— Udajesz największego bohatera pustyni, a boisz się małego otworu w ziemi. Wstydź się. Gdyby się tu piekło rzeczywiście otwarło, widzielibyśmy nie tylko dym, ale nadto czulibyśmy straszliwe gorąco. Ponieważ zaś nie można zauważyć ani jednego, ani drugiego, przeto nie tylko ośmieszacie się swym niepotrzebnym strachem, ale co więcej, narażacie marszałka na śmierć. Prawdopodobnie będziemy go mogli wydobyć, jeżeli się rażno do roboty weźmiemy, jeżeli jednak będziemy zwlekali, spadnie wina jego śmierci na nasze sumienie. Nie bądźcie więc tchórzami i chodźcie za mną!

Mówiąc to, zbliżyłem się do miejsca wypadku, a także oni, zawstyżeni, nabrali nieco odwagi i szli za mną. Zatrzymałem się w dwułokciowej odległości od brzegu otworu i pochyliłem się naprzód, by spojrzeć w głąb piaszczystego lejka. Chcąc go zbadać dokładniej, postąpiłem naprzód jeszcze o jeden krok, kiedy nagle grunt mi się pod nogami obsunął tak, że zaledwie miałem czas odskoczyć. Piasek, na którym stałem, wpadł w głąb otworu.

Towarzysze moi zrejterowali czym prędzej, a Selim zawołał do mnie:

— Wracaj, wracaj, effendi! Niewiele brakowało, a i ciebie byłoby piekło porwało. To naprawdę piekło a może ten jego oddział, w którym dusze niewiernych drzeć muszą na wiecznym mrozie. Tam nie ma dymu. Odmówmy świętą fathę, a potem wracajmy do domu, aby wielbić Allacha za to, że i my nie zapadliśmy się pod ziemię.

Poszli do koni, wyprzedziłem ich jednak, wydobyłem rewolwer i zagroziłem:

— Na waszego proroka i na wszystkich kalifów przysięgam, że zastrzele tego, który wsiądzie na konia. Nie żartujcie i posłuchajcie mnie chwilę!

Groźba moja przestraszyła ich tak samo, jak myśl o piekle; cofnęli się, a koniuszy odrzekł:

— Effendi, czy chcesz zostać mordercą tego, który cię gości u siebie? Dziwi mnie to bardzo, zresztą posłucham, co powiesz.

Te długie rokowania i wahania mogły się fatalnie odbić na nieszczęśliwym Murzynie, sam jeden jednak nie mogłem się wziąć do akcji ratunkowej. Potrzebowałem ich do pomocy i musiałem ich za wszelką cenę do współdziałania nakłonić.

— Zdejmijcie z koni cugle i wszystkie rzemienie — zawołałem. — Gdy je razem pospinamy i powiążemy, będziemy mieli to, czego mi potrzeba.

Zabrali się natychmiast do pracy, nie przedstawiającej żadnego niebezpieczeństwa i niebawem powstał z rzemieni dostatecznie długi pas, którego jednym końcem przewiązałem siebie, a drugi mieli oni trzymać, asekurując mnie na wypadek, gdyby się ziemia pode mną zapadła. Zbliżyliśmy się znowu do otworu. Pomocnicy moi stanęli we wskazanym oddaleniu, ja zaś położyłem się na ziemi i poczołgałem się w podobny sposób, jak się to czyni przy ratowaniu kogoś, kto wpadł do przerębli. Im bardziej zbliżałem się do otworu, tym ostrożniej posuwałem się naprzód, a towarzysze puszczali

rzemień przez ręce w ten sposób, że był wciąż naprężony. Głowa moja była jeszcze na stopę oddalona od brzegu, kiedy przeciwległa krawędź obsunęła się i wpadła w głąb otworu. Wydawało mi się, że słyszę dochodzące z głębi charczenie, czy też chrząkanie. Posunąłem się więc jeszcze trochę naprzód i spojrzałem na dół. To, co ujrzałem, zaskoczyło mnie niespodzianie.

Jama miała mniej więcej cztery łokcie głębokości. Dolne jej ściany były zbudowane z czarnych cegieł nilowych, górne zaś z piasku. Zauważyłem też, że jama ku dołowi znacznie się rozszerzała. Ciemne dolne ściany podobne były do wnętrza wielkiego czworobocznego komina, zamkniętego od góry sklepieniem, nad którym z biegiem czasu osiadła gruba warstwa piasku. Zwietrzałe ceglane sklepienie rozluźniło się teraz pod jego naciskiem i poddało się uderzeniom kopyt ciężkiego konia i zapadło się do środka. Na dnie jamy zobaczyłem korpus grubasa, zasypanego piaskiem aż po pas; ręce miał złożone, a oczy zamknięte. Nie zabił się, gdyż z grubych ust jego wydobywały się owe stękające westchnienia. Teraz chodziło przede wszystkim o to, jak daleko w głąb prowadził szyb z czarnych cegieł. Leżałem w każdym razie nad budowlą staroegipską, nad którą z biegiem stuleci nagromadziło się tyle piasku, że zniknęła pod nim zupełnie. Pagórek, na którym byłem poprzednio, musiał być także częścią, i to może istotną, tej budowli. Trudno mi było odgadnąć, jaka była prawdziwa głębokość szybu. Mogła być przecież nawet bardzo wielka, a jeżeliby tak było istotnie, to piasek, w którym grubas utkwiał, widocznie wstrzymał się na jakiejś zaporze; gdyby ta opadła, musiałby marszałek runąć w otchłań. W każdym razie ratunek jego nie był rzeczą bezpieczną. Ponieważ stękał, a jednak się nie poruszał, przypuszczałem, że jest ranny i nieprzytomny. Głośno na niego zawołałem i usłyszałem w odpowiedzi tylko głuche stęknięcie. Powtórzyłem wołanie i wtedy odpowiedział mi cichym złamanym głosem:

— Tu jestem, Asraelu!

Uważał mnie zatem za anioła śmierci.

— Kapu kiahaja! — ryknąłem na dół. — Otwórz oczy i rozejrzyj się dokoła.

— Nie mogę — odpowiedział teraz wyraźniej — bo jestem umarły.

— I umarli otworzą oczy po zmartwychwstaniu. Spróbuj tylko!

Otworzył oczy, spojrzał przed siebie i zobaczył czarną ścianę muru.

— Popatrz w górę! — rozkazałem mu.

Usłuchał, podniósł głowę i mnie w górze zobaczył.

— To ty, effendi? — zapytał głosem osłabłym. — A zatem jestem w piekle! O Allach, Allach, Allach!

— Dlaczego w piekle?

— Bo chrześcijanin nie może wejść do nieba, tylko do piekła. Ponieważ ty jesteś przy mnie, więc jesteśmy w piekle.

Trudno było walczyć z urojeniami marszałka, które tak utrudniały i opóźniały jego ratunek. Na szczęście przyszło mi na myśl, że jeżeli o głodzie mu wspomnę, zdołam go może do zupełnej przytomności przywrócić. Rzekłem więc bez namysłu:

— Tak, jesteśmy w piekle, lecz wpadłeś tylko w małą piekielną jamę. Gdy cię wydobędziemy, pojedziemy do Sijut i spożyjemy obiad, bo jestem bardzo głodny.

— ja także — odrzekł zelektryzowany. Twarz jego przybrała całkiem inny wyraz, oczy rozwarły mu się szerzej niż przedtem, a spojrzenie, które teraz rzucił w moją stronę, było badawcze i jasne.

— A więc się spieszymy! — mówiłem dalej. — Nie jesteś ranny?

— Nie, skoro nie umarłem.

— Nie ośmieszaj się! Żyjesz. Gdzie masz nogi? Stoisz w piasku, czy siedzisz?

Od położenia nóg zależało bardzo wiele. Jeśli siedział, to szyb był płytki, jeśli zaś stał pionowo, to tkwił w piasku ponad otłchanią.

— Siedzę na podłodze ceglanej — odpowiedział ku mojej radości.

Wiadomość ta dodała mi otuchy. Grubas siedział na poziomym korytarzu podziemnym, a prostopadła i czworokątna dziura, którą wpadł do środka, służyła prawdopodobnie do wentylacji.

— Wstawaj! — rozkazałem mu. — Przyjdzie ci to z łatwością, gdyż piasek nie przysypał cię głęboko.

Był posłuszny, nie poszło mu to jednak tak łatwo, jak się spodziewałem. Przeszkadzała mu ciasnota i ciężar ciała. Po kilku wysiłkach zdołał w końcu powstać i wtedy mogłem spuszczoną na dół ręką dotknąć jego głowy. Zauważyłem przy tym, że moja piaskowa podstawa jest dość silna, a zsunęła się tylko jej część rozluźniona. Grubas westchnął głęboko i zawołał:

— O Allah, o nieba, o Mahomecie, więc nie umarłem naprawdę? Żyję, pojedę do domu i zjem jagnię! Effendi! Widzę tylko ciebie, gdzie tamci?

— Stoją za mną i zobaczysz ich wkrótce. Czy umiesz piąć się po sznurze?

— Nie. Czy masz mnie za kota?

— Więc zejdem na dół, żeby cię podnieść.

— Ale jakże ciebie potem wydobędziemy?

— Wyspinam się po rzemieniu. Zaczekaj tylko chwilę. Wstałem i poszedłem do tamtych. Kiedy opowiedziałem im wszystko, wzrosła ich odwaga i poszli za mną nad dziurę. Złożyłem pas rzemienny we dwoje, kazałem trzymać mocno jeden koniec, a drugi spuściłem do jamy i sam się po nim zsunąłem. Kiedy stanąłem obok grubasa, wypełniliśmy całe miejsce tak szczelnie, że zaledwie

mogliśmy się poruszać. Niemało też miałem trudu z upięciem rzemieni dokoła jego piersi.

Weszliśmy teraz w najtrudniejsze stadium przedsięwzięcia. Trzeba było wydobyć na górę tego ciężkiego człowieka, a nie wystarczało ciągnąć, bo piasek mógł się poddać i zasypać nas potem. Musiałem go podnieść, ale jak tu tego dokonać, skoro zaledwie mogłem się poruszać? Jeden tylko znalazłem sposób wykonania tego zamiaru. Kazałem grubasowi, za którym stałem, rozstawić nogi tak szeroko, jak tylko mógł, a kiedy to polecenie wykonał, osunąłem się z wolna, by między nimi na piasku usiąść. Podłożyłem moje barki pod niego i podczas kiedy tamci ciągnęli, podnosiłem się w tym samym tempie, opierając się rękami i łokciami o ścianę. Była to ciężka i niezbyt przyjemna część pracy. Stojący na górze ludzie byli w ustawicznej trwodze, aby się ziemia pod nimi nie zapadła. Trwoga ta paraliżowała ich wysiłki i z tego powodu miałem do pokonania największą część ciężaru tego olbrzymiego cielska. Kiedy się w końcu wyprostowałem zupełnie, wynurzył się z otworu korpus jego o tyle, że wystarczyło już tylko jedno silne szarpnięcie, aby Murzyn znalazł się między nimi. Szarpnęli też tak silnie, że wykonał kilka kozłów, aż legł spokojnie i zaczął stękać. Stało się to na moje polecenie, gdyż przy powolnym przeciąganiu tego bezkształtnego kolosa przez otwór lochu, byłbym narażony na zasypanie. Po kilku chwilach spuszczone mi rzemienie, po których wywindowałem się na górę, nie troszcząc się o to, czy ściany i krawędzie jamy załamają się pod moim ciężarem, czy nie. Wydostałem się na świat w chwili, kiedy właśnie przyszedł grubas do siebie po gwałtownym szarpnięciu. Usiadł na piasku, obmacał brzuch i nogi, by się przekonać, czy jakichś uszkodzeń nie doznał, a kiedy upewnił się o całości swego korpusu, ukląkł, zwrócił się twarzą do Mekki i odmówił świętą fatę, pierwszą surę Koranu. Potem dopiero podniósł się całkiem, przystąpił do mnie, ujął mnie za rękę i powiedział:

— Effendi, byłem już w piekle i znów widzę niebo; nie żyłem już i znowu ożyłem. Tobie mam to do zawdzięczenia.

— Effendi, czy zauważyłeś, jak silnie trzymałem rzemienie, kiedy na nich wisiałeś? — wtrącił nagle Selim. — Tamci chcieli już puścić i byłbyś runął w głąb, aby już nigdy stamtąd nie wrócić, gdyby nie moje poświęcenie. Mnie to zawdzięczasz, że światło dzienne oglądasz. Jesteś więc chyba przekonany, że jestem silnym opiekunem i potężnym obrońcą!

— Jestem przekonany! — odrzekłem i odwróciłem się od niego z uśmiechem.

Dosiedliśmy koni i pojechaliśmy do miasta. Marszałek prosił nas, żebyśmy milczeli o tym, co się stało. Obawiał się, że cześć jego ucierpiałyby na tym, gdyby szczegóły o przygodzie dostały się do wiadomości publicznej. Z obiadu byliśmy zadowoleni. Koniuszy i ja musieliśmy go spożyć u marszałka i muszę przyznać, że podano nam tyle, że trzydzieści osób mogło się najeść do syta. Szczerokość jednak każe mi wyznać, że wszystkie zalety owej uczy ograniczały się wyłącznie do obfitości potraw.

Bawił mnie przy tym widok Selima. U Murada Nassyra nie było mu wolno siadać przy stole, a tutaj był gościem, któremu usługiwano. Oblicze jego błyszczało rozkoszą i tłuszczeniem baranim, a on sam rozpływał się w grzecznościach. Opowiadał swoje przygody i wyliczał nam na palcach swoje zalety. Słowem, znajdował się w swoim żywiole i bawił nas dzięki temu tak wspaniale, że zasiedzieliśmy się aż do wieczora. Grubas zjadł przez ten czas tyle, że tylko z trudem mógł wykonać przepisane przeze mnie pokłony.

Zamiar mój, ażeby po południu zwiedzić jaskinię krokodylą w Moabdah, spełznął na niczym, musiałem go z konieczności odłożyć do jutra. Marszałek przyrzekł mi, że zarządzi odpowiednie do tej wycieczki przygotowania, usnąłem więc w błogiej nadziei, że nazajutrz zobaczę cmentarz krokodyli, zabalsamowanych przed dwoma lub trzema tysiącami lat.

Rozdział IV

Pod ziemią

Zabalsamowane krokodyle? Tak jest! Dawni Egipcjanie balsamowali nie tylko zwłoki ludzi, ale także krokodyli, byków, wilków, ibisów, sokołów, nietoperzy i niektórych ryb. Wierzyli oni w pośmiertny ich żywot i starali się zachować ciała, aby dusze, które z nich wyszły, znalazły je po swoim na ziemię powrocie. Ażeby trupy zakonserwować, napełniano jamę brzuszną, piersiową i mózgową masą złożoną przeważnie z pewnego gatunku asfaltu, zwanego „mumiya”. Stąd to pochodzi, że te niezniszczalne zwłoki nazywają się mumiami.

Każdą poszczególną część ciała owijano z osobna płótnem, a potem całe ciało krępowano mnóstwem lnianych bandaży. Zależnie od tego, do jakiej kasty nieboszczyk należał, umieszczano jego ciało w drewnianej, niekiedy nawet w podwójnej trumnie albo też układano w kamiennym sarkofagu. Biednych nie chowano w trumnach tylko zakopywano ich w piasku.

Jest kilka rodzajów mumii. Najstarsze znaleziono w Memfis; są one czarne i tak zeschnięte, że rozpadają się łatwo. Mumie tebańskie mają żółtą, matowo połyskującą barwę, a paznokcie ich zabarwione są za pomocą hennahu, który jest do dnia dzisiejszego ulubionym kosmetykiem kobiet wschodnich. Mumia króla Merenre, który panował przed przeszło czterema tysiącami lat, jest najstarszą ze wszystkich znanych. Wiele mumii ma na sobie pierścienie i inne ozdoby, a niekiedy można przy nich znaleźć próbki owoców i zboża.

Cmentarzyska staroegipskie uległy, niestety, w ciągu ostatnich kilkuset lat w znacznej części zniszczeniu, dzięki pożarom godnej gospodarce, jaką na nich rozwinęli Arabowie, a także przeróżni powołani i nie powołani badacze europejscy. Już w nowszych czasach sprawili Arabowie wielkie zamieszanie w stosunkach rodzinnych dawnych zabalsamowanych królów i książąt egipskich, wydobywając mumie z trumien i układając je stosami. Już w wiekach średnich handlowano mumiami i kto chciał mógł otwierać groby i zabierać nieboszczyków na swoją własność. Dopiero Mehmed Ali położył kres tej gospodarce, wydając rozporządzenie, że dawne cmentarze są własnością rządu i tylko rząd może mumie spieniężać. Szacherki mimo to nie ustały zupełnie i do dnia dzisiejszego wielu Arabów ciągnie zyski z tego zakazanego handlu. Beduini i fellahowie włamują się do mauzoleów i rozbijają mumiom czaszki, aby z nich wydobyć kawałek złotej blachy, w które nieboszczyków zaopatrywano, aby mieli czym zapłacić za przewóz przez rzekę umarłych.

W naszych czasach nawet medycyna znalazła pretekst, aby się dostać do mumii. Dawni alchemicy szukali w nich kamienia mądrości i setki mumii w tym celu zniszczyli. Po nich przyszli fabrykanci eliksirów, zajmujący się przyrządzaniem soków życiowych. Przypisywali oni mianowicie mumiom i pociętym na kawałki resztkom trupów tajemnicze siły lecznicze i głosili, że za pomocą krwi byczej, popiołu ze spalonego trupa, soku euforbii i pyłu z mumii można człowiekowi w sztuczny sposób przywrócić zdrowie i młodość.

Niemieckie i austriackie drogerie sprowadzały mumie przez Livorno i Triest. Około roku siedemdziesiątego kosztował wiedeński cetnar mumii pięćdziesiąt guldenów. Ponieważ przemycanie

tego towaru połączone jest teraz nawet z niebezpieczeństwem życia, podniosła się cena mumii do czterystu, a nawet pięciuset guldenów. Trwały popyt na mumie sprawił, że dziś istnieją już fabryki fałszywych staroegipskich nieboszczyków. Na szczęście poznano się już na wartości leczniczej mumii i zapotrzebowanie ich ograniczyło się w naszych czasach do kilku okolic alpejskich, gdzie „mum” służy jako lekarstwo przeciw niektórym chorobom zwierzęcym.

Nazajutrz już o wschodzie słońca byłem do wycieczki gotów. Koniuszy i Selim postanowili mi towarzyszyć, a także i gruby marszałek byłby się chętnie do nas przyłączył, gdyby złowrózbe zaćmienie, którego skutków wczoraj doświadczył, nie odwiodło go od tego zamiaru. Tym razem pozostał w domu, gdzie pod osłoną amuletu czuł się dość pewnie.

Dwaj służący zaprowadzili nas nad rzekę, gdzie niewielka łódź stała na kotwicy. Znajdowało się w niej kilka poduszek oraz dostateczna ilość woskowych pochodni. W zapalki zaopatrzyliśmy się obficie. Zabraliśmy na wszelki wypadek powrozy i sznury.

Poranek był cudownie piękny. Wonna nilowa mgła rozchodziła się z wolna, zanim jednak zrzędła zupełnie, zmieniły ją słoneczne promienie w przezroczystą, złotem tkaną zasłonę. Błękitna rusałka nilowa owija nią swoje gibkie ciało.

Odbiliśmy od brzegu i wypłynęliśmy na środek rzeki. Fala niosła nas w dół, minęliśmy Mankabat, potem leżący na lewym brzegu Monzalud, w końcu przybyliśmy do brzegu w Moabdah. Po ostatnim wylewie stała woda dość jeszcze wysoko, po wystającym z niej jednak wale dostaliśmy się suchą nogą do wsi. Leży ona w odległości około pół godziny drogi od Dżebel Abu Fedah, czyli łańcucha gór, obfitujących w jaskinie, służące niegdyś Egipcjanom za cmentarzyska dla świętych krokodyli.

We wsi zapytaliśmy o przewodnika, gdyż bez niego nie można było się zorientować w plątaninie jaskiniowych kruzganków. Podróżny, który by tutaj zaufał własnej zdolności orientacyjnej naraziłby się na zabłądzenie i nędzną śmierć z uduszenia lub głodu. Sprowadzono nam bardzo rychło człowieka, który oświadczył, że oprowadzi nas po jaskini i że zwiedzenie jej zabierze nam co najwyżej dwie godziny. Kiedy zapytałem go, ile za to żąda, odpowiedział:

— Jest was pięciu, a od osoby należy mi się czterdzieści piastrów, dostanę więc razem piastrów dwieście.

Za dwie godziny? Z takim wygórowanym żądaniem nie spotkałem się jeszcze nigdy, chociaż wiem z doświadczenia, że w Egipcie trzeba zawsze przynajmniej do połowy zredukować to, czego żądają.

— Pięknie! — odrzekłem. — Słyszałem już, ile żądasz, a teraz dowiesz się, ile ci dam. Do jaskini idzie nas tylko trzech, a ponieważ płacę po dziesięć piastrów od osoby, dam ci przeto razem trzydzieści piastrów. Jeśli będę z ciebie zadowolony, otrzymasz na końcu dziesięć piastrów bakszyszu.

Kwota ta równała się mniej więcej ośmiu markom, a była dla egipskiego nicponia za dwie godziny bynajmniej nietrudnego zajęcia chyba dostateczną zapłatą. On jednak udał obrażonego i zawołał:

— Panie, jak możesz proponować mi coś takiego? Ta grotta jest niezdrowa i ja poświęcam życie,

oprowadzając obcych. Jeśli zaś pójdziecie sami, na pewno nie będziecie już oglądali światła dziennego.

— Zobaczymy je, chociaż się wyrzekniemy twego towarzystwa, bo znajdziemy sobie innego przewodnika.

— Nie znajdziecie, bo ja jestem tutaj jedynym przewodnikiem.

— Nie kłam! Każdy mieszkaniec Moabdah był w tej grocie i może nas poprowadzić. Zaraz ci to udowodnię.

Kazałem parobkom sprowadzić innych ludzi, których żądania nie byłyby tak wygórowane. Kiedy jednak zaledwie kilka kroków odeszli, zawołał na nich, żeby się wrócili i zaczął się ze mną targować, żądając stu pięćdziesięciu piastrów, potem stu, potem osiemdziesięciu itd. aż mu wreszcie powtórzyłem to, co mówiłem przedtem.

— Dam ci trzydzieści piastrów, a potem jeszcze dziesięć, jako bakszysz, lecz i to tylko wtedy, jeśli będziemy z ciebie zadowoleni.

— A więc muszę się zgodzić, niech ci jednak Allach za to zapłaci, że mnożysz troski biedaka. Gdybym był takim panem, jak ty, dałbym przewodnikowi nie trzydzieści piastrów, ale dziesięć razy tyle.

— Ponieważ nim jednak nie jesteś, więc pozwolisz, abym sam pomyślał o zapłacie i jej wysokości.

— Panie, masz twarde serce, a mowa twoja brzmi tak, jakby kto dwa kamienie tłukł o siebie. Chodźcie, poprowadzę was.

Poszedł przodem a my za nim. Szliśmy przez niewielką wieś i dostaliśmy się wkrótce do stóp stromego wzgórza, za którym ciągnie się pustynia aż do Morza Czerwonego. Tam leżało cmentarzysko z kopulastym grobowcem fakira. Przy jego stopniach klęczał jakiś człowiek na modlitewnym dywanie. Rysy jego twarzy były dziwnie szlachetne, a śnieżysta broda, sięgająca mu aż do pasa, budziła uczucie uszanowania.

Przewodnik stanął, by się pokłonić głęboko temu patriarsze i skrzyżowawszy ręce na piersiach, powiedział:

— Niech cię Allach błogosławi i zsyła ci łaskę i życie, o Mukkadasi*. Niech droga twoja prowadzi do raju!

Starzec podniósł się, przystąpił do nas powoli, rzucił na nas badawcze spojrzenie i odrzekł witającemu:

— Dziękuję ci, mój synu. Niech i twoja droga prowadzi do wieczystego mieszkania proroka! Idziesz do jaskini?

— Tak. Mam ją pokazać tym cudzoziemcom.

— Pokaż im, niech poznają, jak znikome wszystko to, co ziemskie. Można wprowadzić ciało utrwalić na lat tysiące, wcześniej jednak czy później musi się ono rozpaść, ażeby ziemia stała się ziemią, a proch prochem. Tylko sam Allah jest wieczny, a duchowi ludzkiemu pozwolił jedynie brać udział w swej nieskończoności.

Odwrócił się, lecz jakby tknięty jakąś nagłą myślą, powtórnie utkwiał we mnie swoje bystre oczy, przystąpił bliżej i rzekł:

— Cóż to za twarz! Co to za rysy i oczy! Jakie myśli mieszkają pod tym czołem! Chciałbym je zgłębić, a potem spojrzeć w twoją przyszłość. A może ty nie wierzysz, że Allah pozwala niekiedy śmiertelnikowi widzieć jasno przyszłość?

Na pytanie to, do mnie zwrócone, odrzekłem:

— Bóg jeden wie, co się w przyszłości stanie.

— Tak, ale może on także wypadki przyszłe odsłonić przed oczyma któregoś ze swoich wiernych. Nie mogę się oprzeć pociągającemu wyrazowi twej twarzy; wpływa na mnie w podobny sposób, jak słońce na słonecznik. Podaj mi rękę! Zobaczymy, czy w liniach jej odnajdę potwierdzenie tego, co czytam w twarzy.

A zatem miałem przed sobą chiromantę. Trudno uwierzyć w taki humbug, jak chiromancja, a jednak ten czcigodny patriarcha nie wyglądał bynajmniej na oszusta i szarlatana. Co miałem czynić? Czy zmartwić go albo nawet obrazić odmową? Uprzedził moje postanowienie i chwyciwszy mnie za rękę, zbliżył mą dłoń do oczu. Rzucił okiem na linie i po chwili powiedział:

— Ta ręka potwierdza wszystko, co twarz powiedziała. Przyszłość twoja leży przede mną otworem jako dom, do którego wchodzę, by się przypatrzeć komnatom. Czy wątpisz jeszcze?

— Tak.

— W takim razie opowiem ci kilka wypadków z przeszłości i nieco z teraźniejszości, ażebyś potem nie wątpił w to, co ci odkryję z przyszłości. Nosisz szaty wiernego i mówisz językiem mużulmanów, nie jesteś jednak wyznawcą proroka, lecz chrześcijaninem.

Skinąłem twierdząco głową a on mówił dalej:

— Widzę statek z wielu żaglami. Reis jego jest mieczem sprawiedliwości, a ty jesteś jego przyjacielem. Wy uszczęśliwicie wielu ludzi i zyskacie sławę na ziemi. Czy znasz takiego reisa?

— Tak — odrzekłem, mając na myśli reisa effendinę.

— Powiedziałem ci prawdę i mógłbym teraz pokazać ci przyszłość, ponieważ jednak wątpieś, będę milczał i powiem tylko niektóre rzeczy, bo to uchroni cię od wielkiego nieszczęścia a może nawet od śmierci. Oko mej duszy dostrzega syna zemsty, który godzi na twoje życie. Był on już kilka

razy blisko ciebie, lecz Allah cię obronił. Jeśli ci miłe życie, radzę ci, abyś dalej nie jechał. Teraz pełnia; zostań do najbliższej zmiany księżycy tutaj, gdzie jesteś! Oto, co ci chciałem powiedzieć. Wierz mi lub nie; mnie to ani zasmuci ani ucieszy, ale tobie przyniesie błogosławieństwo albo nieszczęście, zależnie od tego, jak postąpisz. Niech cię Allah prowadzi!

Odwrócił się, poszedł za swój dywan i ukląkł na nim, by znów pograżyć się w modlitwie. Nie żądał wynagrodzenia a jego zachowanie się wskazywało, że nic by ode mnie nie przyjął. Toteż nie przeszkadzałem mu w modlitwie i poszedłem z towarzyszami za przewodnikiem, który prowadził nas dalej.

Osobliwe spotkanie. Wiedział, że jestem chrześcijaninem, a jego wzmianka o emirze była również prawdziwa. Ostrzegł mnie wreszcie przed „synem zemsty”, co mogło się odnosić do muzabira. Słowem, wszystko co mówił, zgadzało się z prawdą i muszę przyznać, że chociaż nie jestem skłonny do wiary w rzetelność podobnych jasnowidzeń, starzec ten sprawił na mnie niezwykle wrażenie. Podczas dalszej drogi wypytywałem się przewodnika o bliższe szczegóły, odnoszące się do fakira, a on mi odpowiedział:

— To święty, który rzeczywiście umie patrzeć w przyszłość. Wędruje on z miejsca na miejsce i kaznodziejstwo jest jego pracą, a modlitwa pożywieniem. Ciało jego mieszka na ziemi, lecz duch należy już do tamtego świata.

Słowa przewodnika miały akcent szczerości a także starzec nie wydawał mi się oszustem. Cóż miałem myśleć o całej tej sprawie? Postanowiłem odłożyć ją na razie *ad acta* i zabrać się do niej przy najbliższej sposobności. Teraz musiałem całą uwagę poświęcić jaskini krokodylej i drodze wiodącej do niej.

Droga ta nie była wcale wygodna. Pięła się ona na płaskowzgórzu pokryte, połyskującymi z daleka, przezroczytymi romboidami, załamującymi kilkakrotnie promienie słoneczne. Tu i ówdzie zasłany był teren olbrzymimi kulami kamiennymi, leżącymi obok siebie i na sobie. Cała okolica wyglądała dzięki temu jak pobojuwisko, na którym starły się z sobą siły gigantów uzbrojonych w olbrzymie armaty.

Na tym płaskowzgórzu wznosił się pagórek, w którym zauważyłem wielki, z dala widoczny otwór. Wyschłe resztki mumii, armaty i kości leżały dokoła i to mnie naprowadziło na myśl, że się znajdujemy u wejścia do słynnej jaskini. Przewodnik potwierdził to moje przypuszczenie, byliśmy zatem na miejscu. Koniuszy postarał się o trzy ubrania, złożone z płóciennej bluzy i spodni. Szat, które mieliśmy teraz na sobie, nie mogliśmy zatrzymać, gdyż w grocie musiałyby ulec zupełnemu zniszczeniu.

Przewodnik wszedł do pionowego lochu, głębokiego około na dwa metry, a następnie pomógł zejść mnie, koniuszemu i Selimowi. Parobcy, którzy pozostali przed wejściem, spuścili nam na sznurze płócienne ubranie i resztę potrzebnych rzeczy. Gęsty mrok nas otoczył.

Selim, „największy bohater wszystkich plemion”, zamilkł nagle na widok ciasnego otworu. Po drodze rozmawiał głośno z parobkami i opowiadał im, że zwiedził przeszło sto jaskiń, w których leżeli umarli. Kiedy ten gadatliwy człowiek przestał opowiadać i stał przy mnie spokojnie, zdawało

mi się, że słyszę jego westchnienia.

Zapaliliśmy pochodnie, w które nas zaopatrzone u wejścia do jaskini. W ich świetle zauważyliśmy, że wydrążenie było na dole większe niż na górze, a w stronie północnej kończyło się długim, ciasnym otworem, stanowiącym przejście w głąb podziemia. Przewodnik poszedł pierwszy. Selim radził mi iść za przewodnikiem, sam zaś chciał zamykać ten pochód. Nie dowierzałem jednak długiemu Urianowi. Bardzo łatwo mógł ze strachu zostać daleko w tyle za nami, a gdyby potem nie znalazł drogi z powrotem, naraziłby się na niebezpieczeństwo. Musiał więc wleźć do dziury przede mną, ja zaś szedłem za nim.

Czołgaliśmy się na rękach i nogach przez wąski korytarz. Powietrze, które nas otoczyło, było duszne i tak cuchnące, że nos i płuca wciągały je z odrazą. Doznałem trwogi i przygnębienia, nad którym tylko z trudem zapanowałem. Im dalej posuwaliśmy się, tym powietrze było bardziej gęste i nie do zniesienia.

— Allach ii Allach! — doleciało mnie z tyłu westchnienie koniuszego. — Wczoraj uważaliśmy Tell es sirr za wejście do piekła; jakżeż ono było przyjemne wobec dzisiejszego! Jest to chyba wejście do najgłębszego piekła piekieł. Po co tutaj leżać, skoro na dworze mamy jasny dzień i orzeźwiający powietrze?

Po kilkudziesięciu krokach weszliśmy w sztolnię jeszcze niższą. Nie mogliśmy się już posuwać naprzód na rękach i nogach, ale musieliśmy się czołgać na brzuchu. W czasie tej przeprawy dał się słyszeć jęczący głos Selima:

— To okropne, od tego włosy powstają mi na głowie, już nie wytrzymam dłużej!

Coś mu na to przewodnik odpowiedział, słów jego jednak nie rozumiałem, gdyż zamiast nich tylko dudnienie głucho do uszu moich doszło. Dosłyszałem natomiast gniewną replikę Selima:

— Ty mi nie rozkazuj! Płacą ci, więc masz milczeć i słuchać. Ja się nie boję, pójdę nawet z diabłem w zawody, ale ten zaduch działa na mój nos zabójczo; gdyby się zaś te czarne ściany zapadły, zmiażdżyłyby mnie jak miażdży rybę paszcza krokodyla. Ja już dalej nie idę i wracam. Życie miłsze mi jest od śmierci, a zapach cybucha więcej cenię aniżeli tę woń piekielną. Wracam, puszczajcie mnie!

Zawołał to takim głosem, jak gdyby się już na dobre dusił. Próbowałem go uspokoić, lecz daremnie, ryczał formalnie z wściekłości i trwogi. Nie pozostało nam nic innego, jak spełnić jego wolę. Ponieważ jednak przejście było ciasne i obok nas prześliznąć się nie mógł, musieliśmy się z koniuszym cofnąć do groty na początku korytarza. Przewodnikowi poleciliśmy, żeby się z miejsca nie ruszał i na nas czekał. Ponieważ musieliśmy się czołgać do tyłu, utrudniało nam to drogę w dwójnasób. Kiedyśmy wreszcie wydostali się na wolniejsze miejsce, gdzie Selim mógł zaczerpnąć lepszego, choć nie całkiem czystego powietrza, zawołał z głębokim westchnieniem:

— Dzięki Allachowi! Jeszcze kilka minut, a byłbym się udusił i stałbym się podobnym do mumii krokodyla. Nie, nie, żadna siła nie byłaby mnie w stanie zmusić, abym poszedł dalej, choćby krok jeden.

— Czy to jest odwaga, o której tak wiele przedtem mówiłeś? — zapytałem.

— Nie mów o odwadze, effendi! — fuknął na mnie. Postaw mnie przed prawdziwym nieprzyjacielem a dokonam cudów waleczności, lecz nie żądaj jednak ode mnie, abym bez koniecznej przyczyny napawał smrodem swoje powonienie, które tak bardzo zapach umiłowało. Czyż człowiek na to otrzymał czułość nosa, ażeby ją przy pierwszej lepszej sposobności na szwank narażał? Mów, co chcesz, ja tu zostanę!

— Selim ma słuszość — potwierdził koniuszy. — Głowa mnie boli, przy tym doznaję uczucia, jak gdybym miał pięć albo sześć głów, oczy mnie bołą od dymu pochodni a płuca mam już skrzepowane. Co mnie obchodzą umarłe krokodyle? Jeśli pozwolisz, zaczekam tutaj z Selimem, dopóki nie wrócisz.

— Więc i ty chcesz mnie opuścić?

— Opuścić? Nie! Wszak zostaniemy w jaskini. Uszedłszy taki kawałek drogi, zaspokoilem swoją ciekawość i nie mam ochoty wnikać w dalsze jej tajemnice.

— A więc zostańcie tutaj, pójdę sam.

Zastałem przewodnika na tym samym miejscu, gdzieśmy go zostawili. Gdy się dowiedział, że już tylko ze mną pójdzie dalej, ucieszył się bardzo, gdyż jeden podróżnik sprawiał mu mniej trudu i zachodów aniżeli trzech. Z umówionej kwoty nic oczywiście przez to nie tracił.

Czołgaliśmy się dalej. Chodnik zwężał się coraz to bardziej a podłoga jego pokryta była kryształkami krzemienia, które przecinały ubranie i kaleczyły ręce. Po jakimś czasie natrafiliśmy na szczelinę tak wąską, że zdołaliśmy się z trudnością tylko przez nią precisnąć, aby się dostać do szerokiej i wysoko sklepionej komnaty. Była ona pełna gładów, między którymi znajdowały się szczeliny i rozpadliny, opadające pionowo w głąb. Jeden krok fałszywy, a można by tutaj przepaść bez ratunku. Na powale i ścianach wisiały nietoperze, jeden tuż obok drugiego. Przestraszone światłem pochodni, zaczęły latać po całej grocie i koło naszych głów, nie dotykając nas jednak wcale. Było ich takie mnóstwo, że lot ich ogłuszał nas formalnie jak szum wezbranej rzeki.

Przeszedłszy ponad niebezpiecznymi szczelinami, dostaliśmy się znowu w wąski korytarz, obwieszony również nietoperzami. Wydzieliny ich pokrywały obficie podłogę, po której szliśmy raczkując, a cuchnący zaduch był tutaj tak przenikliwy, że już niewiele brakowało, bym przewodnika wezwał do powrotu. Ilość nietoperzy zwiększała się coraz bardziej, a korytarz stale się zwężał. Nie mogąc nas ominąć, uderzały o nasze głowy i twarze i wpadały w płomienie pochodni, gasząc je co chwilę. Trzeba więc było zapalać je na nowo; zaledwie jednak błysnął płomień zapalki, gasił go przelatujący nietoperz. Mimo to dążyliśmy coraz dalej i dalej, aż znowu dostaliśmy się do groty na tyle wysokiej, żeśmy się mogli wyprostować. Były i tu głębokie w ziemi szczeliny, rozgałęziające się w rozmaitych kierunkach. Dotychczas widziałem tylko pył i odłamki mumii, tu zaś zobaczyłem po raz pierwszy zupełnie cało zachowane zwłoki. Był to trup krokodyla długości około ośmiu łokci.

Przeszliśmy przez niego i weszliśmy znowu w otwór, który był wylotem chodnika, wiodącego do obszernej sali. Tu znalazłem to, czego szukałem. Mumie nie były w całości zachowane, były to

przeważnie same ułamki, którymi można by zapełnić kilka wagonów kolejowych. Widziałem i całe ciała, ale bez rąk i nóg, połowy korpusów, całe i porozbijane członki nie tylko krokodyli, lecz także i innych zwierząt a nawet ludzi. Nie ulega wątpliwości, że tutaj właśnie odbywano formalne targi na ten towar.

Przeszukałem te szczątki, lecz nie znalazłem nic wartościowego; nie robiłem też żadnych zakupów, bo taka mumia byłaby mi w podróży prawdziwą zawadą. Zresztą grzebanie w tych resztkach nie było rzeczą przyjemną z powodu całych chmur pyłu mumiowego, które się tutaj unosiły, okropnego gorąca i nieznośnego zaduchu.

Ściany tej sali, podobnie jak wszystkich innych, były pokryte jakąś czarną lepką powłoką, spod której przeświała tu i ówdzie połyskliwa skała krzemienia. Powłoka ta powstaje ze smoły mumiowej, nie tężejącej nigdy z powodu gorąca i ona to rozsiewa ową woń przejmującą.

Kiedym grzebał w gruzach, przypatrywał mi się z boku przewodnik. Zapytałem go, czy to już wszystko, co można w grocie zobaczyć. Odpowiedział twierdząco.

— To być nie może — odrzekłem. — W komorach i grotach, których mi nie pokazałeś, jest mumii daleko więcej niż tutaj. Chociaż jaskini tej nie zbadano jeszcze dokładnie, obliczono, że znajduje się tutaj kilkaset tysięcy mumii.

— Powiadomiono cię fałszywie.

— O nie! Byli to ludzie, których sprawozdaniom można zaufać. Mumie ludzkie były uporządkowane wedle trumien, które leżały w krzyż jedna na drugiej. O mumiach krokodyli wiem zaś, że były między nimi nawet dziesięciometrowe. Mniejsze, wynoszące po pół metra i mniej, leżały w tobołkach, liczących po dwadzieścia lub piętnaście sztuk; powiązane były gałęziami lub liśćmi palmowymi. W podobne toboły składano także jaja krokodyle, węże najrozmaitszej wielkości, żaby, jaszczurki, jaskółki i różne inne ptaki. Muszą tu być wielkie sale, od góry aż do dołu zapchane mumiami tak, że ledwie można znaleźć przejście między nimi. Gdzież są te sale i gdzie to ogromne mnóstwo trupów?

Na to przystąpił do mnie, położył mi rękę na ramieniu i zapytał:

— Chcesz kupić mumię?

— Nie.

— Po cóż więc wchodzisz do tej jaskini?

— Z czysto ludzkiej ciekawości.

— Pytasz więc o wszystko, chociaż ofiarowałeś mi tylko trzydzieści piastrów i żądasz za to odsłonięcia wszystkich tajemnic. Co cię obchodzi ta jaskinia i mumie, mające się tu jeszcze, twoim zdaniem, znajdować? Jesteś Frankiem i nie masz powodu mnie zdradzić, więc nie gniewam się za twoją oszczędność, a nawet coś ci powiem. Mnie nie potrzeba twoich trzydziestu piastrów, gdyż jestem bogatszy niż sądzisz. Święty fakir rozmawiał z tobą przyjaźnie i pozwolił ci spojrzeć w

przyszłość, czego dla nikogo nigdy nie czynił. Musisz więc być człowiekiem, którego Allah miłuje i dlatego będziesz miał pamiątkę z jaskini. Zaczekaj tu małą chwilę, wrócę niebawem.

Zniknął z pochodnią w jakimś otworze, a mnie zostawił samego. Pochodnia wypaliła mi się do końca, więc zapaliłem nową. Usiadłem na jakiejś mumii, pozbawionej głowy i nóg i rozmaite myśli zajęły mnie w tej chwili samotności. Sam jeden żyjący wśród tylu odłamów trupów, głęboko we wnętrzu ziemi! Kim był ten człowiek, na którego ciele teraz siedziałem? On żył kiedyś, kochał, miał nadzieje i cierpiał. Może stał kiedyś przy boku faraona..., teraz po czterech tysiącach lat służył Europejczykowi za stołek.

Czas płynął wolno, minuta po minucie, a przewodnik nie wracał. Czyżby mnie oszukał, udając przychylnego? Czy chciał się może w ten sposób zemścić na mnie za moją oszczędność i zostawił mnie tutaj, ażebym, nie znając drogi, nędznie zginął? Ktoś inny byłby w tym wypadku może zwątpił, ja jednak miałem jeszcze całą pochodnię i spodziewałem się, że w wydzielinach nietoperzy odnajdę ślad moich nóg i przy ich pomocy zdołam się wydostać na wolne powietrze. Ta myśl mnie uspokoiła. Nieufność moja nie była uzasadniona, gdyż wkrótce dziura, w której przewodnik zniknął, zajaśniała światłem i ukazał się przewodnik, trzymając w jednej ręce pochodnię, a w drugiej małą paczkę, owiniętą w najdelikatniejszą tkaninę mumiową. Wsunął mi ją w rękę i rzekł:

— Oto pamiątka, którą ci przyniosłem. To tylko mała część mumii, lecz przypomni ci mnie tak samo, jak gdybym cię całym trupem obdarzył.

— A więc ty mi tego nie sprzedajesz, tylko dajesz bezpłatnie? — spytałem.

— Tak, robię ci z tego podarunek.

— Czy wolno mi wiedzieć, dlaczego? Bo chyba nie tylko dlatego, że święty fakir rozmawiał ze mną uprzejmie.

— Nie. Powód leży w tym, żeś mi się spodobał. Słyszałem po drodze, co mówili o tobie dwaj parobcy, idący za mną. To, co usłyszałem, przekonało mnie, że świadomie nie dałeś mi tyle, ile żądałem, bo się znasz na tych sprawach. Weź sobie śmiało tę pamiątkę do domu; ja nie wyrządzam sobie tym żadnej szkody. Ażebyś wiedział, co to jest, dodałem do tego zawiniątka kartkę z wyjaśnieniami, gdyż hieroglify, odnoszące się do tej mumii, zostały już odczytane.

— Przyjmuję, nie patrząc, co ta paczka zawiera i dziękuję ci szczerze. Udaję się do Chartumu i spodziewam się, że cię odwiedzę, jadąc z powrotem. Może wówczas łatwiej mi będzie dać ci jakiś dowód wdzięczności.

— Wdzięczność twoja na nic mi niepotrzebna, w każdym razie jednak powitam cię mile. Ale teraz wracajmy! Grotę już mniej więcej poznałeś, więcej ci nie potrzeba. Powiem ci tylko tyle, że w tej okolicy znajdują się skarby w mumiach takie, o których rząd, zabraniający kopać, nie ma pojęcia. Chodź za mną. Droga z powrotem będzie krótsza niż była w tym kierunku.

Teraz przekonałem się dopiero naprawdę, jak powikłane były korytarze w jaskini; dostaliśmy się bowiem do wyjścia w czasie trzy razy krótszym niż ten, który zużyliśmy, aby przez szeregi ciasnych

sztolni dostać się do sali ostatniej. Do wnętrza prowadził nas przewodnik w ten sposób, że omijaliśmy komory, których nie może zobaczyć człowiek niewtajemniczony. Koniuszy siedział z Selimem w jamie wchodowej. Nie wyszli na powietrze dlatego, żeby się parobcy nie dowiedzieli, że stchórzyli i jaskini nie widzieli. Prosił mnie bowiem, abym milczał i nic nikomu o tym nie mówił, zwłaszcza parobkom.

Wydostaliśmy się na górę i mogę rzec, że nigdy jeszcze nie wydało mi się światło dzienne tak jasne i zachwycające, ani powietrze tak czyste i orzeźwiające, jak teraz, kiedy wyszedłem z ciemnych i ciasnych korytarzy, cuchnących smołą mumiową. Poszliśmy do wsi. Świętego fakira nie było już w tym miejscu, w którym ze mną rozmawiał. Spotkaliśmy go nad rzeką, jak siedział pogrążony w rozmyślaniach w pobliżu naszej łodzi. Zdawało się, że nie zauważył nas wcale. Przewodnik odprowadził nas aż tutaj, a kiedy chciałem mu zapłacić umówioną kwotę, wyciągnął przed siebie obie ręce i powiedział:

— Czy chcesz obrazić moją duszę i serce zasmucić? Każdy piast, otrzymany od ciebie, musiałby zmniejszyć moją dla ciebie przyjaźń. Zatrzymaj sobie pieniądze i wspominaj o mnie tak chętnie, jak ja będę o tobie wspominał, a kiedy wrócisz z południa, nie zapomnij mnie odwiedzić. Widok twego oblicza będzie dla mnie wielką radością.

Podał mi rękę i odszedł. To nieprzyjęcie zapłaty wydało się moim towarzyszom czymś tak nadzwyczajnym, że koniuszy nie mógł się wstrzymać i zauważył:

— Allah czyni cuda! Ten człowiek żądał najpierw dziesięć razy więcej niż mu się należało, a teraz nie chce nic przyjąć. Co za powód może mieć do takiej czci względem nas, że nie śmie zmniejszyć zawartości naszych kiesek?

— Jaki ma powód do tej czci? — zapytał Selim. — Nie wiesz tego?

— Nie wiem i nawet wydaje mi się to dziwne.

— Powiem ci zatem. Wtargnęliśmy do wnętrza ziemi z taką odwagą, jak nikt przed nami. Zbadaliśmy cuchnące wnętrze groty, nie ulękliśmy się ogromnych trudów tej przeprawy i wróciliśmy, zyskawszy w jego oczach sławę niezwyklej odwagi. Oto, czemu zdobyliśmy podziw przewodnika; przekonał się, jak dzielnymi i odważnymi synami proroka jesteśmy i nie śmie żądać od nas zapłaty, gdyż byłoby to z jego strony grzechem nie do darowania.

Z tą przemową zwrócił się do parobków, którzy mieli sławę jego roznieść w Sijut. Był to istotnie nieoceniony blagier. Koniuszy nie wiedział, jak ma postąpić wobec tej bezczelności i milczał, ja zaś nie uważałem za stosowne wrywać się z jakąkolwiek uwagą.

Kiedyśmy siedli do łodzi i chcieli odbić od brzegu, podniósł się fakir z ziemi, zbliżył się do nas i zwrócił się do mnie z pytaniem:

— Effendi, zdaje mi się, że zamierzacie płynąć w górę rzeki.

— Tak, płyniemy w górę do Sijut.

— To pozwólcie, że wsiądę także i popłynę z wami.

Wszedł i usiadł naprzeciw mnie, nie czekając na zaproszenie. Nie bardzo mnie to zdziwiło, gdyż fakir jest człowiekiem, który wyrzeka się wszelkiej światowej tandety, by żyć tylko dla Boga. Toteż uważają go za ubogiego i w dodatku za świętego, i żaden dobry mahometanin niczego mu nie odmówi. Było więc rzeczą jasną, dlaczego nie czekał odpowiedzi na swoją prośbę. Przyjąłem go zresztą na łódź chętnie, gdyż wrażenie, jakie na mnie wywarł, było korzystne. Obecność jego nie przeszkadzała mi też wcale. Usiadł, pochylił korpus naprzód, patrzył nieustannie w ziemię i przepuszczał kulki różańca przez palce, ruszając przy tym wargami. Zatopił się znów cały w Allachu.

Rozmowy nie wszczynałem. Czuję jeszcze w piersiach powietrze jaskini, a posępne obrazy, które widziałem, tkwiły w moim mózgu i nastrojały mnie do milczenia. Wydobyłem z kieszeni dar przewodnika i odwinąłem osłonę. Cóż się pokazało? Ręka, prawa ręka kobieca, odcięta jak nożem tuż za przegubem. Była mała i delikatnej budowy, jak ręka dwunastoletniej dziewczynki, ale uwzględniając tutejsze stosunki, doszedłem do przekonania, że właścicielka jej musiała mieć lat przynajmniej siedemnaście. Barwę miała ciemnocytrynową z lekkim połyskiem brązu. Palce były lekko pozginane, jak u ręki, która podaje coś albo odbiera. Dłoń i grzbiet ręki miały dobrze zachowane złocenia. Pierwsze przedstawiało skarabeusza, świętego chrząszcza Egipcjan, symbol słońca i stworzenia świata. Na drugim wyobrażony był święty wąż, Uraus. Ponieważ tylko królowie i członkowie rodzin królewskich mogli się tym znakiem posługiwać, przypuszczałem, że to ręka księżniczki, a może nawet córki faraona.

Opakowanie zawierało małą kartkę, napisaną w arabskim języku: „To jest prawa ręka Buat Nefret, córki Amenemheta III”. Jeśli te słowa zawierały prawdę, otrzymałem cenny upominek, gdyż ten Amenemhet III był najświetniejszym władcą z dwunastej dynastii faraonów.

A więc ręka, którą teraz posiadałem, miała być ręką córki słynnego władcy! Żył on mniej więcej dwa tysiące lat przed przyjściem Chrystusa na świat, a zatem ta ręka dziewczęca zastygła około czterech tysięcy lat temu. A jednak jak cudownie się zachowała! Miała ona całą pełnię form młodocianych, a zabarwienie paznokci henną było jak gdyby świeże zupełnie. Gdyby nie miała twardości mumii, można by pomyśleć, że odjęto ją dopiero przed chwilą młodej dziewczynie z plemienia Fellah.

Chciałem rękę zawinąć na powrót, kiedy stary fakir sięgnął po nią, by się jej z bliska przypatrzeć. Podczas kiedy oko jego na niej spoczywało, kiwał nieustannie głową, a potem oddał mi ją i rzekł:

— To ręka z haremu jakiegoś dostojnego pana. Czym ona mogła darzyć: miłością, czy nienawiścią? A co mogła otrzymywać: szczęście, czy nieszczęście? Teraz już nic nie daje i niczego nie bierze. Zabierzesz ją do siebie, by ją przechować, lecz ona przecież w proch się rozleci, bo wszystko, wszystko musi przeminąć i tylko Allach zostanie taki, jaki jest. Czy poszukujesz tu takich szczątków?

— Nie. Ale ich widok wielce mnie zajmuje.

— Cóż widziałeś w jaskini? Trupy krokodyli i węzów oraz kilka szczątków ciał ludzkich. To nic. Ja znam grobowce, w których leżą zwłoki królów i królowych obok siebie, a nikt z Europejczyków

ich nie znajdzie.

— Czy prócz ciebie nikt ich już nie zna?

— Nie. Odkrył je przodek moich przodków, a wiadomość o tym przechodziła z pokolenia w pokolenie. Jam jest ostatni z mojego rodu i kiedy odejdę do Allacha, nie będzie już nikogo, znającego tajemnicę.

— Nikomu jej nie wyjawisz?

— Nie. Gdyby się ktoś o tym dowiedział, przyszliby Europejczycy i ograbiliby trumny z ich cennej zawartości, gdyż oprócz zwłok znajdują się w nich rozmaite złote przedmioty, których pożądamy Frankowie. Jest tam wiele, bardzo wiele trumien, znacznie więcej niż dwieście, a na każdej z nich wymalowana figura z chustą na głowie i z sierpem lub krzywym nożem w ręku.

Były to szczegóły niezmiernie interesujące. Do insygniów królów staroegipskich należał chopesz, to jest miecz w kształcie sierpa, który zarówno, jak pastorał i harap, był szczególnym atrybutem władcy. Czyżby trumny, o których mówił starzec, zawierały zwłoki królewskie? Faraonowie, o ile mi wiadomo, przystrajali swe głowy chustkami, wiązanymi w charakterystyczny, ściśle określony sposób.

— To królowie i królowe, księżęta i księżniczki leżą tam pochowani — rzekł. — A na ścianach są figury i znaki, które Frankowie nazywają hieroglifami. Można tam całymi dniami wysiadywać, patrzeć i czytać, a mimo to wszystkiego się nie zbada.

Ten człowiek powiedział to tak obojętnie! A jednak chodziło tu o grobowce królewskie, pomniki i hieroglify pierwszorzędnej wartości. On jednak znał tajemnicę i nie chciał jej zdradzić, a jednak jaką korzyść przyniosłoby nauce takie odkrycie. Staralem się wszelkimi siłami prowadzić dalej rozmowę na ten sam temat, w nadziei, że może mi się uda skłonić go do jakichś bliższych wyjaśnień. Wywijał mi się, lecz chwytalem go na nowo i tak się ta rozmowa ciągnęła jakiś czas. Musiał zauważyć, jak żywo zająłem się tą sprawą; przerwał rozmowę, zadumał się, przypatrywał mi się przez chwilę, jakby chciał zbadać moje wnętrze, po czym zbliżył swoją głowę do mojej i zapytał po cichu:

— Czy mówisz prawdę, twierdząc, że nie szukasz starożytności?

— Tak.

— A jednak wypytyujesz się tak pilnie o wszystko.

— To tylko z żądzy wiedzy. Dałbym za to wiele, bardzo wiele, gdybym mógł raz zobaczyć te trumny.

— I jakież miałbyś z tego pożytek?

— Zaraz ci to wyjaśnię. Lubiłem zwiedzać obce kraje, aby się uczyć języków ludów, które w nich mieszkają. Mówię także językami narodów już nie istniejących. Mam nawet w domu kilka dzieł o mowie i piśmie tych, którzy leżą w grobowcach, jako mumie. Zadałem sobie wiele trudu, by

zrozumieć treść tych ksiąg i nie wiem, czy mi się to udało. Gdybym mógł zobaczyć twoje trumny z mumiami, przekonałbym się naocznie, czy nauczyłem się czegoś, czy nie. W pierwszym wypadku uradowałbym się bardzo.

Musiałem się wyrażać w ten sposób, gdyż inaczej nie byłby mnie zrozumiał. Pokiwał swą starczą głową w jedną i w drugą stronę, zdawało się przez chwilę, że walczy z sobą, w końcu szepnął znowu tak cicho, że tylko ja mogłem go zrozumieć:

— Effendi, patrzyłem w twoją przeszłość i przyszłość, znam cię i wiem, że można ci zaufać, i dlatego ułatwię ci tę radość, do której tak bardzo tęsknisz, pod warunkiem, że aż do mojej śmierci nie powierysz nikomu tajemnicy.

— A potem będę mógł to uczynić?

— Potem — tak, ale nie rychlej. Jesteś chrześcijaninem, lecz wiem, że Allach ciebie miłuje. Dlatego bądź dziedzicem tego, co ja tałem i nosiłem w sobie, a po mojej śmierci możesz zrobić z tą tajemnicą, co ci się podoba. Pozostawiam ci pod tym względem najzupełniejszą swobodę.

— A kiedy spełnisz moje życzenie?

— Jutro, gdyż dziś nie mam czasu. Mam odmówić modły ofiarne. Na kilka minut przyjdę jednak do ciebie, by ci potrzebnych wiadomości udzielić. Gdzie cię mam szukać?

— W pałacu baszy. Jestem gościem koniuszego, który w tej chwili siedzi obok ciebie na ławce. Mogę liczyć na pewno, że przyjdiesz?

— Przyjdę. Nie mówmy już teraz o tym!

Zapadł znowu w poprzednie zamyślenie, a ja poszedłem za jego przykładem. Myślałem nad przyczyną okazanego mi zaufania. Nie miałem w sobie nic takiego, co by go mogło skłonić do wyjawienia mi tajemnicy, żadnej też nie mogło mu to przynieść korzyści. Długo mozoliłem się nad rozwiązaniem zagadki, aż w końcu zrodziło się w mojej duszy podejrzenie, że ten starzec żywi jakieś niedobre dla mnie zamiary. Ale dlaczego? Wszakże mu nic złego nie wyrządziłem. Odrzuciłem te myśli czym prędzej; zachowywał się przecież względem mnie tak przychylnie, a czcigodne jego oblicze nie miało ani jednego rysu, pozwalającego domyślać się podstępów i chytrych.

Kiedyśmy wylądowali na przedmieściu w Sijut, rzucił na pożegnanie słów kilka i zaraz zniknął między ogrodami. Podążyliśmy ku pałacowi, gdzie na nas czekano z obiadem. Byłbym chętnie przeszedł się jeszcze po mieście, musiałem jednak zostać w domu i czekać na fakira. Przeszedł wkrótce po modlitwie popołudniowej, która według naszego sposobu liczenia przypada na godzinę trzecią. Przyjąłem go w moim pokoju, gdzie stosunkowo największą mogliśmy mieć swobodę. Wstrzymał mnie, kiedym chciał zawołać na służącego, aby mu podał fajkę i kawę i zaraz mi powód swej wstrzeźliwości wyjaśnił:

— Każdemu wiernemu wolno palić, gdyż Allach jest wyrozumiały na ludzkie słabości, ale człowiek głęboko wierzący wstrzymuje się od tytoniu. Woda nilowa najzupełniej zaspokaja moje

pragnienie, nie rozumiem więc, dlaczego miałbym pić kawę. Odżywiam się postem i modlitwą. Czy są i pośród chrześcijan tacy ludzie?

— Tak, mieliśmy i mamy wielu pobożnych mężów, którzy się wyrzekli uciech i rozkoszy świata, aby Bogu wyłącznie się oddać.

— Chwała im, gdyż im bardziej oddala się dusza od ziemi, tym bardziej zbliża się do nieba. Ale nie przyszedłem tu, aby rozważać razem z tobą rzeczy niebieskie, ale żeby pomówić o grobach królewskich. Czy cię jeszcze nie odeszła ochota, aby te groby zobaczyć?

— Zupełnie nie. Nie mam powodu wyrzekać się tego pragnienia.

— Więc przygotuj się jutro na godzinę jedenastą przed południem. Czekam na ciebie przed bramą.

— Dokąd pojedziemy?

— Mamy tylko godzinę drogi pieszo.

— To tak blisko, a mimo to jesteś jedynym, który zna te grobowce?

— Tak, jedynym, a właściwości tego miejsca są takie, iż nikomu nie przyjdzie nawet na myśl, żeby się tam mogły dawne grobowce znajdować.

— Powiedz mi jeszcze, jak się mam do tej drogi przygotować.

— Weź z sobą tylko sznur i pochodnię, jakich używałeś dziś w grocie Moabdah.

— Tylko jedną?

— Tak, jedna wystarczy, nie mam jednak nic przeciw temu, abyś wziął ich więcej.

— Jaki długi ma być ten sznur?

— Taki, żeby trzech mężczyzn, wchodzący po kolei do głębi, mogli się do niego przywiązać. To zabezpieczenie jest konieczne, ażeby jeden w razie upadku mógł być zatrzymany przez drugich.

— Trzej? Więc bierzesz jeszcze kogoś z sobą?

— Nie. Nie ja, lecz ty to uczynisz. Przyda ci się służący.

— Sądziłem, że tylko mnie jednemu powierzysz tę tajemnicę.

— Potrzeba nam pomocy osoby trzeciej i dlatego, chcąc ci dotrzymać przyrzeczenia, wyjawię ją jeszcze jednemu człowiekowi prócz ciebie. Każę mu przysiąc, że słowa jednego nikomu o tym nie powie. Ty przecież masz służącego?

— Nie mam.

— Uważałem tego człowieka, który był z tobą w Moabdah, za twego służącego.

— To służący mojego przyjaciela, nie mój.

— To tak samo, jakby był twoim. Nie mógłbyś go teraz zawołać? Chcę z nim pomówić.

Posłałem po Selima, który też wkrótce przyszedł. Fakir zmierzył go badawczym wzrokiem i zapytał:

— Jakie twoje imię?

— Co? Nie znasz mnie jeszcze? — brzmiała dumna odpowiedź. — Nazwisko moje znają we wszystkich wsiach i namiotach, a długość jego równa się całemu Nilowi. Kto całego mojego imienia nie chce wymawiać, bo by mu dużo czasu zabrało, ten nazywa mnie krótko Selimem.

— Dobrze! A zatem powiedzże mi Selimie, czy jesteś odważny?

— Odważny? Jak lew albo raczej jak dziesięć lwów, jak sto, jak tysiąc lwów. Jestem najmężniejszym wojownikiem mojego szczepu i pójdę w zawody z bohaterami całego świata.

— Mimo to jednak wystawię cię na próbę.

— Uczyń to. Jeszcze nie urodził się człowiek, którego męstwo można z moim porównać.

— Byłeś w jaskini Moabdah, więc się podobnych podziemi nie obawiasz.

— Wcale nie. Nie bałbym się nawet piekła razem ze wszystkimi diabłami.

— Bardzo mi to na rękę, bo zwiedzisz z nami drugą taką jaskinię.

— Więc chodź prędzej i pokaż mi ją! Jestem gotów dotrzeć aż do jej krańców.

— Cierpliwości! Pójdziemy tam dopiero jutro, nikomu jednak słowa nie wolno ci o tym powiedzieć. Czy możesz mi przysiąc, że będziesz milczał?

— Oczywiście!

— W takim razie ten effendi powie ci resztę. Jestem już gotów i muszę odejść. Jutro o czasie oznaczonym będę stał przed bramą. Tymczasem milczenie! Jeśli was zapytają, dokąd iść chcecie, powiedzcie, że chcecie miasto oglądać. .

— Ja nic nie powiem — rzekł Selim. — Jestem najdostojniejszym mężem mojego szczepu i nikomu nie pozwalam się nagabywać. Idę, by chronić mego effendiego. Nigdzie on się beze mnie obejść nie może, pójdę z nim zatem i do tej drugiej jaskini. Idź więc i bądź dobrej myśli. Na mnie możesz liczyć zupełnie.

Przy tych słowach wykonał taki majestatyczny ruch ręką, jak król, żegnający biednego, nisko

postawionego poddanego. Gdy fakir odszedł, zwrócił się Selim do mnie:

— Posiadanie przyjaciela, godnego zaufania, jest największą pociechą w biedzie i najśłodszym ukojeniem dla słabego. Jestem twoim przyjacielem i poświęcę się za ciebie, ażeby cię uchronić od niebezpieczeństw, których źródło w przeszłości, i od nieprzyjemności dni przyszłych. Pod moją opieką żyć możesz spokojnie, pod moją osłoną znajdziesz spokój ze strony wszystkich nieprzyjaciół ciała i duszy. Gdy wyciągnę rękę nad tobą, nic ci nie zrobią ludy całego świata, a dopóki spoczywa na tobie oko mojej miłości, świecić ci będzie tysiąc słońc i milion gwiazd dobrobytu. Jestem obrońcą wszystkich obrońców i bronionych. Władza moja jest jako...

— Jako nic, zupełnie nic — przerwałem mu. — Milcz już raz i daj pokój tym kłamstwom! Czyż nie czujesz, że się ośmieszasz?

— Ośmieszam? — rzekł z oburzeniem. — Effendi, tego nie spodziewałem się po tobie. Lekceważysz moją życzliwość i rozbijasz zgodność serc naszych. Przywiązałem się do ciebie wszystkimi czynnościami mego ziemskiego bytu i poję cię zaletami wielkości, użyczonymi mi przez Allacha. Ty, zamiast mi być wdzięcznym, mówisz o kłamstwach i o śmieszności! To mnie zasmuca aż do kości i burzy równowagę całej mojej oplakanej i biednej istoty.

Kiedy to mówił, łzy stanęły mu w oczach. Czyżby ten szczególny człowiek kochał mnie rzeczywiście tak silnie? Czy samochwalstwo stało się tak dalece jego drugą naturą, że się go już nie mógł pozbyć, ani pojąć, że prawi głupstwa? Przypomniałem mu więc po przyjacielsku dzień wczorajszy:

— Czyż nie pamiętasz, co było wczoraj? Przypomnij sobie, co mi wyznałeś, kiedy ci oddawałem twoich sto piastrow?

— No i cóż ci wyznałem? Nie wiem o niczym — odrzekł tonem prawdy i najgłębszego przekonania.

— Wyznałeś mi, że nie potrafisz być moim obrońcą.

— Panie, nie martw mnie znowu! Powiedziałem to, bo chciałem ci być posłusznym i jestem ubogim człowiekiem, którego kieska ginie z wycieńczenia, jak jaskółka, kiedy much w powietrzu znaleźć nie może. Tylko dlatego przeszły takie słowa przez otwór ust moich. W duszy jednak musiałeś przyznać, że tylko z największym trudem zdołałem powtórzyć twoje własne słowa, jestem bowiem rzeczywiście człowiekiem, który postanowił sobie bronić cię wiernie od wszelkich niebezpieczeństw. Zapytaj mego przyjaciela! On ci poświadczy, że otaczam cię miłością ojcowską i ciągle myślę o tobie.

— Jakiego przyjaciela?

— Tego, z którym tutaj przybyłem i z którym mieszkałem u ogrodnika, zanim ciebie spotkałem. Wyrzuciłem mu wielką przykrość tym, że go opuściłem, by przenieść się do ciebie, gdyż wysiadł w Sijut jedynie z miłości ku mnie. Musieliśmy czółnem dostać się na brzeg, gdyż statek nie zatrzymuje się tutaj. I on także pragnął ciebie zobaczyć, gdyż opowiedziałem mu o tobie wiele pochlebnych

rzeczy.

— A dlaczegóż dotąd u mnie się nie pokazał?

— Bo nie śmiał ci się naprzykrzać. Ty jesteś dostojnym i uczonym panem, a on tylko biednym handlarzem. Ale mimo to ucieszyłaby cię i zabawiła jego obecność, gdyż ma tak zręczną rękę i umie tak mnóstwo sztuczek, że mógłby na pewno pójść w zawody z najlepszym muzabirem.

Te słowa mnie uderzyły. Zapytałem o statek, którym przyjechali obydwaj i dowiedziałem się ku memu zdziwieniu, że to ten sam, na którego pokładzie widziałem kuglarza. Kazałem sobie tę osobę dokładnie opisać i otrzymałem odpowiedzi, które mnie najzupełniej przekonały, że kuglarz, mój niedoszły zabójca, i przyjaciel Selima to jedna i ta sama osoba.

A więc ten człowiek znajdował się tu, w Sijut. Wobec tego należało mi się mieć na baczności, gdyż byłem przekonany, że nie spuści mnie z oczu i wszystkiego spróbuje, by przecież w końcu wykonać udany zamach.

— A więc ty rozmawiałeś o mnie z tym handlarzem? — spytałem. — Czy dowiadywał się o moich stosunkach i o celu podróży?

— Tak i to bardzo dokładnie.

— I powiedziałeś mu, że w Sijut czekam na Murada Nassyra?

— Oczywiście! Czemu nie miałbym powiedzieć?

— Powinieneś być milczeć, gdyż on wiedział o tym już przedtem.

— Nie, effendi. On w ogóle nic o tobie nie wiedział.

— Na pokładzie tej dahabieh, którą płynąłem, słyszał, że mam zamiar wylądować w Sijut. Tylko dlatego ci nie powiedział, że mnie zna, gdyż miałeś być tym okiem, przy pomocy którego chciał mnie obserwować.

— Mylisz się. Gdyby tak było, niewątpliwie powiadomiłby mnie o tym, bo to człowiek bardzo szczery i miły. Jestem największym znawcą ludzi, jakiego szczep mój wydał, i w sądzie o ludziach nigdy się nie mylę.

— W tym jednak wypadku nie tylko się zawiodłeś, ale po prostu sromotnie cię oszukano. Opowiedziałem ci, w jaki sposób na dahabieh godzono na moje życie; otóż ten szczery i miły przyjaciel jest właśnie owym kuglarzem, który zabrał mi portfel.

— Allah'! Allah! — zawołał przerażony. — To nie może być!

— A jednak jest to szczerą prawdą. On przyjechał do Sijut, by czekać tutaj na mnie. Przypadek sprowadził was razem, on zaś wyzyskał tę okoliczność, ażeby przy twojej pomocy z oczu mnie nie stracić, podczas gdy on sam był dla mnie niewidzialny. Powiedziałeś mu oczywiście, że spotkałeś się

ze mną i że mieszkam tu u koniuszego.

— Tak, lecz on prosił mnie, żebym tobie nic o tym nie mówił.

— O, bardzo wierzę! Czy później, mianowicie od chwili, kiedy zamieszkałeś u marszałka, spotykałeś się z tym miłym przyjacielem?

— Spotkałem się z nim wczoraj na godzinę przed nocną modlitwą. Powiedział mi, że będzie stał na moście, na którym cię tutaj pierwszy raz zobaczyłem, więc poszedłem do niego.

— Co on chciał wiedzieć?

— Pytał, co ty dziś robisz, a ja powiedziałem mu o zamiarze zwiedzenia grobów w Moabdah.

— Hm! A co jeszcze?

— Nic więcej. Przechodziło tamtędy wielu ludzi, wśród których mogłeś się przypadkiem znajdować; dlatego rozmawiał ze mną tylko krótką chwilę.

— Widzisz zatem, że mnie unika i boi mnie się widocznie. Jaki ty byłeś nierozważny. Gdyby to był człowiek uczciwy, z pewnością nie uciekałby przede mną. Dziwię się, że to w tobie żadnego podejrzenia nie wzbudziło. Kiedy się z nim znowu spotkasz?

— Mam do niego przyjść do domu ogrodnika dopiero wtedy, kiedy usłyszę, że chcesz stąd odjechać. To mam mu donieść.

— Niemądrze postąpiłeś, wcale niemądrze, ale błąd da się może naprawić.

— Effendi, nie łaj mnie! Cały świat wie, że jestem najmądrszym synem mojego szczepu, wszechwiedzy jednak nie możesz ode mnie wymagać. Jakżeż mogłem przypuszczać, że to ten kuglarz. Zresztą nie widziałeś go jeszcze, znasz go tylko z mojego opisu i kto wie, czy się nie mylisz. Nakreśliłem ci wprawdzie mistrzowski obraz jego osoby, być może jednak, że ty fałszywie wyobraziłeś sobie różne jego szczegóły i dlatego obstaję przy swoim zdaniu, że przyjaciel mój jest naprawdę przyjacielem, a nie wymienionym przez ciebie muzabirem.

— Wkrótce się o prawdzie przekonasz. Ten człowiek będzie szukał sposobności, aby się skrycie do mnie dostać, jeśli zaś jej nie znajdzie, to podąży za mną i właśnie dlatego musisz go natychmiast zawiadomić o terminie mego odjazdu. On prędzej czy później zamach na mnie powtórzy, a rozsądek mi nakazuje, aby mu w tym przeszkodzić. Pójdziemy do niego bezzwłocznie.

— To nie może być, effendi, bo zgniewałby się na mnie na pewno.

— A cóż ciebie gniew jego obchodzi?

— O, bardzo wiele. W gniewie jest on podobny do lwa. Przekonałem się o tym, kiedy mu opowiedziałem, że pomogłeś mi schwytać trzy strachy.

— Ja tobie?

— Zapewne.

— Przypomnij sobie lepiej. Kiedy pochwyciłem oba widma, a trzecie umknęło, leżałeś jeszcze pod grubym kocem w sieni.

— Effendi, nie przekreślaj wypadków. Mam pamięć niezwykle bystrą, nikt z mojego szczepu takiej nie posiada, więc wiem bardzo dobrze, co się stało. Opowiedziałem memu przyjacielowi, że kiedy pokonałem i skrępowałem najstarszego stracha w twojej sypialni, poznałem w nim mokedemę świętej Kadiriny. Na to wpadł mój przyjaciel w taką złość, że pochwycił pistolet i chciał mnie zastrzelić. Musiałem mu przyrzec, że nigdy nie będę opowiadał o tym bohaterstwie. Taki on w gniewie straszny. Jeśli przyjdę z tobą do niego, domyśli się, że mówiłem ci o nim, a ponieważ zakazał mi tego surowo, obawiam się, że mnie na miejscu zastrzeli.

— Nie lękaj się o to, gdyż nie pozwolę zastrzelić mego obrońcy.

— To ładnie z twojej strony, bo dowodzi, że jesteś człowiekiem wdzięcznym. Mimo to, nie mogę dopuścić, abyś poległ od kuli dla mnie przeznaczonej.

— Ja się nie boję, ale zdaje mi się, że ciebie strach ogarnia.

— Mnie, effendi? Dusza twoja pogrążona w błędzie po uszy. Więc sądzisz, że ja, największy z bohaterów świata, mógłbym się czegoś lękać?

— No dobrze, więc nie traćmy słów dalej! Kto się boi, zostanie, kto ma odwagę, pójdzie. Ja się nie boję, więc idę. A ty...

Na to wyprostował się jeszcze bardziej, uderzył się pięścią w pierś i zawołał:

— A ja? Oczywiście, że idę. Stanę przed tobą, by cię moim ciałem zasłonić i nie ustąpię choćby mój przyjaciel tysiącami kul ciało moje przestrzelił i na sito zamienił!

A zatem mi się powiodło. Poszliśmy. On kroczył na swoich długich nogach tak szybko, że musiałem hamować jego skwapliwość. Im bliżej jednak byliśmy celu, tym bardziej zwalniał kroku, a kiedy weszliśmy w uliczkę, przy której mieszkał ogrodnik, tak bardzo zmalowały kroki Selima, że dziecko mogłoby go z łatwością wyprzedzić.

— Effendi — rzekł chytrze — teraz dzień jeszcze. Czy nie lepiej zaczekać, dopóki się nie ściemni? W ciemności, przyjaciel mój nie będzie tak celnie mierzył.

— Wcale nie będzie mierzył. Nie jesteśmy na pustyni lecz w mieście, w stolicy górnego Egiptu. Nikt tu tak łatwo nie odważy się strzelić do drugiego. Zresztą wszystko mi jedno, co on uczyni, bo ty przecież dasz się za mnie podziurawić.

Zatrzymał się i odrzekł prędko:

— Tak, uczynię to z całego serca, ale jeszcze nie dzisiaj, jeszcze nie dzisiaj. Jeżeli ktoś idzie na śmierć, powinien iść z rozwagą i z namysłem.

— To znaczy, że należy dać się podziurawić z rozkoszą i przyjemnością. O Selimie, Selimie, jakżeż się zawiodłem na tobie! Nazywasz siebie bohaterem a nie chcesz zginąć od szybkiej kuli i wolisz z wolna więdnąć i zamierać jak chore ziele, które potem zgnije. Czy to bohaterstwo?

— Nie żartuj! Ja biorę tę sprawę bardzo poważnie. Nie boję się kuli, chcę być zastrzelony bezwarunkowo, lecz nie wtedy, kiedy to nieprzyjacielowi na rękę. Czyż nie byłaby szkoda, gdyby memu bohaterstwu tak przedwcześnie i bez potrzeby kres położono? Idź, a ja pójdę za tobą i z szaloną odwagą będę wstępował w ślady stóp twoich; nie pokażę ci pleców. Zbierz wszystkie zmysły i myśli, bo w najbliższym domu mieszka ogrodnik i mój przyjaciel!

Ten „dom” był to raczej niski, wąski, zbudowany z namułu nilowego barak bez okien. Ściany jego były popękane, a drzwi wisiały krzywo na skórzanych zawiasach. Nie były zaryglowane, więc odepchnąłem je i wszedłem w ciasny, ciemny korytarz, gdzie otoczyły mnie najróżnorodniejsze, nie bardzo przyjemne wonie. Z tego korytarza wychodziło się na małe podwórko otoczone ze wszystkich stron kupami namułu: były to ludzkie mieszkania, choć zasługiwały za ledwie na nazwę chlewów.

W samym środku ogródka siedzieli na kupie gruzów czterej mężczyźni, trzech starsi, i jeden młodszy, w którym poznałem kuglarza. Na mój widok zerwał się i zniknął w przeciwnym otworze mającym przedstawiać drzwi. Chciałem pobiec za nim w tej chwili, lecz trzech starsi powstali i zastąpili mi drogę.

— Kto jesteś i czego chcesz tutaj? — spytał mnie jeden z nich, prawdopodobnie pan domu.

— Kto jestem, to powie ci mój towarzysz, którego znasz, bo mieszkał u ciebie — odrzekłem i odwróciłem się, by wskazać na Selima. „Największego bohatera świata” nie było jednak przy mnie; wolał nie wchodzić za mną, czego w mrokach korytarza nie zauważyłem. Rzekłem więc w dalszym ciągu: — Jestem znajomym Selima, który aż do onegdaj był twoim gościem. On tam stoi przed drzwiami; zawołaj go do wnętrza, a ja tymczasem pomówię z kuglarzem.

— Tutaj nie ma kuglarza!

— I owszem! Siedział właśnie z wami — oddalił się szybko na mój widok, ażeby mnie jako swemu najlepszemu przyjacielowi przygotować uroczyste przyjęcie. Puść mnie do niego, ażebym się nasycił widokiem jego oblicza.

Odsunąłem starca i wszedłem szybko do otworu. Nie uważałem tego za niebezpieczne, a wynik potwierdził moje zdanie, gdyż kiedy się tam wsunąłem, kuglarza już nie było. Znajdowałem się w izbie tak wielkiej, że głową dotykałem niemal powały. Miała ona długość i szerokość podwórka. Naprzeciwko otworu, którym wszedłem, znajdował się drugi, przez który łotr się oddalił. Wyszedłem tamtędy i stanąłem w ogrodzie ogrodnika. Nie było w nim ani drzewa, ani krzaka. Osiem małych grządek zasadzonych wyłącznie cebulą i czosnkiem zajmowało całą długość i szerokość ogrodu. Dochód z niego mógł właścicielowi chyba bardzo opłakany byt zapewnić. Nie było tu ani jednego kącika, w którym kuglarz mógłby się ukryć. Kiedy zbadałem ziemię, zobaczyłem ślady stóp jej na

rozpulchnionym gruncie ogródka. Widocznie przebiegł tamtędy, ażeby przez niski mur dostać się do sąsiedniego ogrodu. Nie myślałem ścigać go dalej. Nie miałem zamiaru go schwytać, chciałem go tylko przekonać, że wiem o jego obecności i udowodnić mu, że się go nie boję. Chciałem mu wreszcie napędzić strachu i zmusić go w ten sposób do opuszczenia Sijut.

Wróciłem na podwórze i zastałem tam Selima i gospodarza. Starzec mówił coś z gniewem do mojego „obrońcy”, on zaś stał w ciemnej sieni, nie miał odwagi wejść na podwórze i rzucał trwożne spojrzenia w stronę, w której zniknąłem w pościgu za kuglarzem. Widząc mnie wracającego cało nabrał z miejsca odwagi. Opuścił swoje osłonięte stanowisko, wyszedł na podwórze i zawołał z tryumfem:

— Oto jest mój effendi! Wiedziałem, że posłucha moich wskazówek. Prawda, effendi, że widziałeś kuglarza.

— Tak — odrzekłem. — Teraz wierzysz, że to on?

— Oczywiście! Właśnie powiedział mi mój gospodarz, że gość jego jest kuglarzem a nie handlarzem. Czynił mi wyrzuty, że go przed tobą zdradziłem, sam jednak jesteś świadkiem, że od początku twierdziłem, że to jest muzabir. Jestem najchytrzejszym człowiekiem mojego szczepu i mam oczy, przenikające skały i góry. Nikt mnie oszukać nie zdoła i umiem ludzi rozróżniać. Gdzie ten złoczyńca, który cię chce zamordować?

— Zniknął.

— A zatem uciekł! Ujrawszy ciebie przeczuł zaraz, że ja także nadejdę i popędził z rozpaczą. Dlaczego pozwoliłeś mu umknąć? Gdybym mógł być przypuszczać, że się tak źle spiszesz, sam byłbym za nim pognał, a ciebie byłbym zostawił na dworze. Mnie by się on z pewnością nie wysliznął, bo sam mój widok powaliłby go na ziemię.

Drugi i trzeci starzec cofnęli się w kąt, nie chcąc się mieszać do tej całej sprawy. Tylko gospodarz stał obok nas, słuchał z zuchwałą miną wywodów pyszałka i rzekł:

— Co ty tu gadasz? Czy mam pytać się ciebie, kogo mi wolno w domu przyjmować?

— To nie — odpowiedziałem za Selima — lecz to wielka różnica, czy przyjmujesz pod swój dach uczciwego człowieka, czy też mordercę. W tym drugim wypadku grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

— Zachowaj te uwagi dla siebie, ja ich nie potrzebuję. Wtargnąłeś bez pozwolenia na mój dziedziniec i jeśli się w tej chwili nie oddalisz, wyrzucę cię za drzwi. Psów chrześcijańskich nie znoszę w swoim domu!

Ze względu na jego wiek byłbym to może przyjął spokojnie, lecz ton, którym mówił, był tak bezczelny, że postanowiłem nie oszczędzić mu nauczki, choćby dlatego, aby kuglarz nie sądził, że się jego towarzyszy przestraszyłem. Toteż odpowiedziałem:

— Z tobą nie mam nic do czynienia. Powinieneś jednak wiedzieć, że kto przyjmuje u siebie lokatora, musi się także pogodzić z tym, że do niego goście będą przychodzili. Pomyliłeś się zaś

grubo sądząc, że wolno ci miotać mi w twarz obelgi. Ponieważ szukam u ciebie kuglarza, a on uciekł, więc ty mi za niego odpowiesz. Przede wszystkim chcę wiedzieć, jak długo jeszcze będzie u ciebie mieszkał?

— To cię nic nie obchodzi. Jeśli nie pójdziesz natychmiast, to cię wyrzucę. Nie znoszę u siebie brudu i nieczystości chrześcijanina. Należę do świętej Kadiriny a widok twój równa się u mnie widokowi gnijącego trupa, którego się z daleka obchodzi. Zabieraj się natychmiast, precz mi z oczu.

Chwycił mnie oburącz za piersi, chcąc mnie z podwórza wyrzucić!

— Puść! — zawołałem. — Jeśli chrześcijanin napełnia cię taką odrazą, dlaczego mnie dotykasz? Precz z rękami, bo pokażę ci zaraz, jak mało obawiam się twej świętej Kadiriny!

Już na początku całego zajścia cofnął się Selim w tył i myśl o ucieczce zapomniał całkiem, że miał być moim obrońcą. Gospodarz nie zważał na moją groźbę, popychał mnie i szarpał, nie mógł jednak ani na cal ruszyć mnie z miejsca. Wreszcie zawołał:

— Za drzwi! Zmiażdżę cię, jeśli się natychmiast nie wyniesiesz.

Groźbę swą przyozdobił całym szeregiem obelżywych przezwisk, w które tak bardzo język arabski obfituje. Tego płazem puścić nie mogłem i w interesie wszystkich chrześcijan i cudzoziemców musiałem mu dać nauczkę. Pochwyciłem go więc z prawej i lewej strony za biodra i szarpnąłem tak silnie, że musiał mnie puścić, potem podniosłem go w górę i rzuciłem na ową kupę rumowiska, na której siedział w chwili, kiedy tu wszedłem. Teraz leżał tam bez ruchu, jak nieżywy. Na ten widok wszedł Selim szybko i zawołał głosem tryumfującym:

— Brawo, effendi! Pokazałeś, że jesteś silny i udowodniłeś temu zuchwalcowi, że mu szpiku w kościach brak. Niech się ośmieli jeszcze raz powstać przeciwko tobie, to wtedy ze mną będzie miał do czynienia!

Nie zważałem na krzykacza i przystąpiłem do starca, by zobaczyć, czy przypadkiem nie potłukł się niebezpiecznie. Kiedy potrafiłem go nogą, otworzył oczy, usiadł powoli i zaczął jęczeć:

— O Allah, Allah! Czemu nie każesz zapaść się niebiosom, skoro chrześcijanin porywa się na najlepszego z twych wiernych. Dusza moja rozluźniona, a ciało trzęsie się ze złości wobec gwałtu, który mnie spotkał.

— Twoja dusza rozluźni się jeszcze bardziej, tak bardzo, że wyjdzie z ciała, jeśli poważysz się choćby jedno jeszcze słowo wymówić, które by mnie dotykało — odpowiedziałem. — Pytam ci się po raz ostatni, jak długo jeszcze ten kuglarz ma pozostać u ciebie. Dawaj odpowiedź, bo gwałtem ją sobie wezmę.

Odwaga opuściła go całkiem i stęknął:

— Idź, idź, proszę cię o to bardzo. Członki mam połamane a krew zatrzymała się w żyłach. Nie chcę o tobie nic wiedzieć.

— Pójdę, ale dopiero wtedy, gdy mi dasz żadaną odpowiedź. Dałeś u siebie przytułek mordercy, człowiekowi godzącemu na moje życie. Kiedy przybyłem, by zwrócić ci na uwagę, chcesz mnie wyrzucić, zamiast mi podziękować za to, że cię po przyjacielsku ostrzegam. Zelżyłeś mnie i rękę na mnie podniosłeś, czym dałeś dowód, że jesteś jego współnikiem. Jeśli to doniosę do władzy, zamkną cię i skosztujesz bastonady. Okażę się jednak łaskawy i oszczędzę cię, jeśli mi dasz odpowiedź, której żądam.

— Panie — odrzekł — jeśli wszyscy chrześcijanie są tacy skorzy do gwałtu, jak ty, to państwo islamu musi upaść. Kuglarz chciał zabawić u mnie aż do twego odjazdu.

— Ty wiesz, że on godzi na moje życie?

Nie odpowiedział nic, milczenie jego więc musiałem uważać za odpowiedź potwierdzającą.

— Czy muzabir ma zamiar mnie ścigać, skoro stąd odjadę?

— Tak.

— Na którym statku?

— To jeszcze niewiadome. Jest on wybitnym członkiem Kadiriny i każdy reis będzie na jego usługi.

— To mi wystarcza. Gdy wróci, powiedz mu, że jeśli natychmiast nie opuści Sijut, zawiadomię władze i każę go zaaresztować! Jeśli nie usłucha tego wezwania, przyniesie to szkodę i tobie, bo będziesz wplątany w śledztwo. Powiadam ci otwarcie, że każę pilnować twego domu i ciebie. Pamiętaj o tym, że nasi konsulowie lepiej umieją nas obronić, aniżeli was wasze władze! Niech Allah wzmocni twój słaby rozum i pozwoli ci pojąć, od czego twoje osobiste dobro zależy.

Odwróciłem się i wyszedłem z Selimem z lepianki ogrodnika. Kiedyśmy wyszli na ulicę, rzekł:

— Effendi, muszę ci wystawić dwa świadectwa, jedno złe, a drugie dobre. Złe za to, że pozwoliłeś ujść kuglarzowi, a dobre za to, że dość dzielnie postąpiłeś sobie z gospodarzem. Moja obecność dodała ci odwagi i dzięki temu rzuciłeś go w proch a druzgocące spojrzenie oka mego powstrzymywało go od oporu. Nie pozwól upaść swemu męstwu a wtedy zdobędziesz sobie moje uznanie, a może nawet pochwałę!

— Dobrze, lecz najśmielszy z bohaterów nie odważył się wejść do domu, a gdy posłałem po niego, został w drzwiach, ażeby w razie niebezpieczeństwa uciec czym prędzej.

— Uciec? Cofnij natychmiast to słowo! Nie uciekałem nigdy jeszcze i nie uczynię tego i słowo „ucieczka” jest zupełnie obce. Allah dał mi zaraz przy urodzeniu taką zajadłość, że muszę z całych sił powstrzymywać się od zabiciem pięciu lub dziesięciu ludzi na dzień.

— Czemuż jednak tak niepotrzebnie panujesz nad sobą wtedy, kiedy należałoby być odważnym? Selimie! Zaiste jesteś odważny tylko wtedy, kiedy ci żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

— Nie mów w ten sposób, effendi! Jesteś jeszcze za młody, by ocenić trafnie każde położenie życiowe i warunki chwili. Ja natomiast zawsze szybko orientuję się w terażniejszości i patrzę w przyszłość i ilekroć powściągam swoją waleczność, zapewne nie czynię tego bez koniecznej przyczyny. Szkoda, wielka szkoda, że słabość twoja pozwoliła ujść kuglarzowi.

Ponieważ szliśmy szybko, sprzeczka nasza trwała przez całą drogę. Rozstaliśmy się dopiero na dziedzińcu pałacu; on udał się do marszałka, ja zaś do mego mieszkania, skąd wkrótce wywołano mnie do wieczerzy, w której wziął udział także syn koniuszego. Zdjął już chustkę z głowy, gdyż niewielka szrama zaczynała się goić, ku ogromnej radości całej rodziny.

Po wieczerzy przyszedł marszałek z Selimem, prócz tego zaproszono także kilku znajomych, chcących poznać obcego effendiego. Musiałem im odpowiadać na setki i tysiące pytań, a ponieważ odpowiedzi moje zyskały mi najzupełniejsze ich uznanie, ogłoszono mnie w końcu, pomimo mego oporu, najmędrszym i najuczeńszym człowiekiem na świecie. Na większość ich pytań odpowiadałby każdy zdolniejszy uczeń z łatwością, nie zasłużyłem więc bynajmniej na te zaszczyty. Kiedyśmy się pożegnali, podał mi Selim rękę widocznie zazdroszcząc mi powodzenia, rzekł tak, aby go wszyscy słyszeli.

— Effendi, byłeś w dość wielu krajach i nazbierałeś sporo pięknych doświadczeń i wiadomości. Jeśli kiedyś będę miał czas, to powiem ci, które kraje i ludy korzystały z blasku mej obecności. Znam wszystkie wsie i miasta na ziemi i chętnie uzupełnię twoje wiadomości moimi, ażebyś kiedyś, wróciwszy do swego domu, wywarł na swoich wrażenie człowieka, którego wiadomości nie mają braków zbyt wielkich. Niechaj Allah użyty ci dobrej nocy!

Rzekłszy te słowa, odszedł z miną człowieka, który drugiemu wyświadczył nadzwyczajną a niezasłużoną łaskę. Wszyscy wyszli za nim, uśmiechając się pobłażliwie; wiedzieli bowiem na równi ze mną, co o tym wszystkim sądzić.

Po wysiłkach dnia tego spałem tak dobrze, że zbudziłem się późno. Byłbym może spał jeszcze dłużej, gdyby mnie nie zbudziła głośna rozmowa ludzi, stojących na dziedzińcu tuż pod zakratowanym oknem mojego pokoju. Byli mocno podnieceni przedmiotem rozmowy i wskutek tego nie dość ostrożni: mówili mianowicie o mnie. W gwarze tym dosłyszałem głos koniuszego:

— Powiadam ci, że nie ma pytania, na które nie potrafiłby odpowiedzieć. W głowie jego łączy się ogół wszystkich gałęzi wiedzy. Ale to jeszcze nie wszystko; on jest, jak się zdaje, wielkim wojownikiem.

— Rzeczywiście? — spytał inny głos także mi znany, choć na razie nie umiałbym powiedzieć, kim był mówiący.

— Tak, rzeczywiście. On sam wprawdzie bynajmniej tego o sobie nie mówi, wiele jednak wskazówek zdaje się moje przypuszczenie potwierdzać.

Z kolei nastąpiło opowiadanie o wczorajszej przygodzie, którą koniuszy chciał dowieść, że jestem człowiekiem nieustraszoną i nie tracę przytomności umysłu i zimnej krwi. Opowiadał wreszcie o tym, co w ostatnich czasach przeżyłem w Kairze i w Gizeh, a na koniec zauważył:

— Nie dowiedziałem się o tym od niego samego; opowiadał to długi Selim. Udawał on wprawdzie, że to on był bohaterem tych wypadków, lecz wszyscy wiemy, że on lubi się chełpić, a jest właściwie tchórzem. Nie Selimowi, tylko effendiemu należy się w tym wypadku chwała, a teraz przyznasz chyba, że to człowiek, który nie boi się nikogo.

— Wierzę. Wszak zwiedził ze mną jaskinię, podczas kiedy tamci zostali w tyle.

Teraz wyjaśniło mi się oczywiście, kim był mówiący; był to nasz przewodnik w Moabdah, ten sam, który mnie obdarzył ręką mumii. Czego on chciał tu w Sijut? Czyżby mnie szukał? Odpowiedź na to pytanie miałem otrzymać zaraz, gdyż koniuszy powiedział:

— Teraz śpi jeszcze. Czy mam go zbudzić?

— Nie. Nie przystoi przerywać spoczynku takiego męża. Zaczekam więc, dopóki nie wstanie i potem przedłożę mu moją prośbę. Mój brat przepadł gdzieś w Chartumie i jestem przekonany, że tylko on jeden zdoła mi go odszukać.

— Zasięgałeś już jakich wiadomości o swoim bracie?

— Tak. Wysłałem tam bardzo doświadczonego człowieka, ale na próżno.

— Czy ten człowiek znał tamtejsze stosunki?

— Bardzo dokładnie.

— A mimo to nic nie osiągnął? Jakżeż może się to udać temu obcemu człowiekowi?

— Czy wątpisz? Przed chwilą dopiero przedstawiałeś mi go jako człowieka, który więcej potrafi aniżeli stu innych.

— Tak powiedziałem i jestem głęboko przekonany, że się nie mylę, ale on tu przecież obcy.

— Sam powiedziałeś, że był już kilka razy w Egipcie.

— Tak, ale mimo to jest tutaj obcy. Czy ci się zdaje, że, jeśli Frank był tutaj trzy lub cztery razy, może stosunki znać tak dokładnie, jak ktoś urodzony w Egipcie?

— Jestem zdania, że może je znać dokładnie. Każdy z tych uczonych chrześcijan ma mnóstwo książek o obcych krajach, narodach, oprócz tego mają oni wielkie księgozbiory, należące wprawdzie do państwa, z których jednak każdy może korzystać. Zanim taki obcy wyruszy w daleki kraj, czyta o nim wszystkie książki i przez to poznaje go lepiej aniżeli krajowiec.

— Skąd ty wiesz o tym?

— Spotykałem się z wielu takimi Frankami w Kahirze, a potem jako przewodnik w Moabdah i od nich samych to słyszałem. Oni mówią językiem naszego kraju i mają mapy tak dokładne, że często lepiej znają drogi niż my. Do tego należy dodać, że uczą się znacznie więcej i od nas są mądrzejsi.

Nic dziwnego zatem, że dają sobie radę w każdym położeniu i nie zdają się tak, jak my, na Allacha. Jeśli zaś zważysz, że ten effendi jest jednym z najuczeńszych i najznakomitszych, to przyznasz słusność memu twierdzeniu, że mogę się od niego spodziewać skutecznej pomocy.

— Hm! Mówisz przekonywająco i dowodom twoim nie mogę się oprzeć. Pomów z nim! Pójdę zobaczyć czy już wstał.

Zajął mnie to, co słyszałem, a sąd ich, tak bardzo dla mnie pochlebny, mógłby mnie nawet wbić w dumę. Uważano mnie za najznakomitszego i najuczeńszego Franka i miałem odszukać zaginionego, którego znawcy kraju szukali daremnie. Niestety, ogromnie przeceniali moje zdolności, w każdym razie jednak zaciekało mnie to, co mi miał powiedzieć przewodnik. Za przychylność, jaką mi okazał, chętnie bym się mu przysłużył, byle tylko w tym wypadku głowa moja i ręce zadaniu podołały.

Wkrótce otworzyły się cicho drzwi do mego pokoju i do środka zajrzał koniuszy. Spostrzegłszy, że już nie śpię, pozdrowił mnie uprzejmie:

— Niech Allach da ci dobry dzień, effendi! Jaki był twój spoczynek?

— Wypocząłem znakomicie, a mam nadzieję, że i ty również.

— Przyślę ci dwie kawy i dwie fajki.

— Dlaczego dwie?

— Bo masz gościa. Na dworze stoi Ben Wazak z Moabdah, ten sam, z którym zwiedzałeś jaskinię, i pragnie z tobą pomówić.

— Wprowadź go tutaj!

Cofnął głowę, lecz wetknął ją znowu i rzekł z wielką wagą:

— Niemało zdziwi cię powód, który go do ciebie sprowadza.

— A może nie bardzo zdziwi.

— A i owszem. To sprawa, w której masz mu dopomóc.

— Nie będzie mnie prosił na próżno.

— Gdybyś wiedział, czego od ciebie zażąda, może byś go wcale nie przyjął, bo to sprawa trudna.

— Nie bój się o to. Człowiek jest wprawdzie bardzo słabym stworzeniem, ale z pomocą bożą udają mu się rzeczy najtrudniejsze. Jeśli Allach zechce, odnajdę przewodnikowi brata.

— Allach ‘1 Allach! A więc ty już wiesz o tym?

— Brat przewodnika zniknął w Chartumie i pomimo gorliwych poszukiwań nie znaleziono go dotąd. Teraz przyjdzie Ben Wazak do mnie i poprosi, żebym mu w tej sprawie dopomógł.

Koniuszy nie mógł opanować swego zdziwienia i wszedłszy do środka, by mnie lepiej zobaczyć, zawołał, załamując ręce:

— Ty już wiesz o tym? Effendi, jesteś rzeczywiście najmędrszym z mędrców. Przed twoim okiem nic się nie ukryje. Schylam się w pokorze przed twoim duchem i jeżeli mi każesz, natychmiast przywołam przewodnika.

Skłonił mi się tak nisko, jak to Selim zwykł czynić, i wyszedł. Nie pomyślał nad tym, że rozmawiał z Ben Wazakiem tuż pod moim oknem i to tak głośno, że rozmowę musiałem słyszeć, a teraz nie dał mi czasu, żebym mu istotę mego jasnowidzenia mógł wyjaśnić. Wkrótce usłyszałem przez otwarte okno głos jego:

— O Ben Wazaku! Widocznie Allach cię miłuje, kiedy kroki twoje skierował w miejsce właściwe. Dobrze osądziłeś tego effendiego, on nie tylko mądry, lecz oczy jego spostrzegają to, co dla drugich ciemne i niezgłębione.

— Bo jego rozum bystrzejszy niż nasz.

— O nie, nie to. On wie nawet takie rzeczy, do których zwykłym rozumem dojść niepodobna. On wie, że przychodzisz prosić go o to, żeby ci brata w Chartumie odszukał.

— W takim razie musiałby być wszechwiedzącym, a takim nie jest nikt, prócz Allacha.

— O tym jednak człowieku można by myśleć, że istotnie jest wszechwiedzący. Wie wszystko, wszystko. Ma on nawet zamkniętego we flaszcze ducha, który życie daje i może martwych ożywić. Chodź, zaprowadzę cię do drzwi jego mieszkania, spodziewam się jednak, że zdobędziesz się wobec niego na cześć, jaka mu się należy i jakiej żądać może!

Usłyszałem odgłos oddalających się kroków, po czym gospodarz oznajmił mi przybysza i cofnął się zaraz po jego wejściu. Ben Wazak skrzyżował ręce na piersiach, skłonił się nisko, zostawił pantofle przy drzwiach, a potem zbliżył się i wyrzekł powitalne słowa:

— Niech będzie błogosławiony twój ranek jako wschód słońca, effendi!

— A twój jako trawa, gdy w nocy rosą się nakarmi — odpowiedziałem. — Usiądź po prawej stronie, gdyż jesteś mi gościem bardzo mile widzianym.

— O pozwól mi raczej usiąść naprzeciw siebie! Jestem człowiekiem zbyt nikczemnym, ażebym mógł siedzieć po twojej prawej stronie, a przy tym chciałbym mieć całe twe oblicze przed sobą.

— Jak chcesz. Możesz tak się zachować, jak gdyby pokój ten był twoim własnym mieszkaniem.

Usiadł więc naprzeciwko mnie i nastąpiła chwila milczenia. Zwyczaj bowiem nakazuje, aby ten, kto przychodzi z prośbą, milczał przez jakiś czas, zanim swą prośbę przedłoży. Służący przyniósł

kawę i fajki. Pokrzepiliśmy się, nie mówiąc nic do siebie, i wypaliliśmy fajki, a kiedy je napełniono i zapalono ponownie, Ben Wazak tak się odezwał:

— Effendi, ramię twoje silne, a wzrok twój przenika to, co ukryte. Więcej zdołasz dokonać niż inni ludzie i dlatego przychodzę do ciebie, by ulżyć sercu memu i przedłożyć ci największe życzenie duszy mojej.

— Jeśli tylko zdołam ci się przysłużyć, uczynię to bardzo chętnie, gdyż przychylność twoja rozświeciła mi dzień wczorajszy.

— Możesz, jeśli tylko zechcesz, a przysługę wynagrodzę ci wedle sił moich.

— Nie mów o wynagrodzeniu! Przyjaciele muszą sobie pomagać, nie pytając o piastry. Czemu wczoraj jeszcze nie przedłożyłeś mi swego życzenia?

— Zdawało mi się, że nie przystoi, abym ci się naprzykrzał. Kiedy jednak odszedłeś, przyszło mi na myśl, że może wolno mi będzie pomówić z tobą o moim utraeniu.

— Dusza moja stoi dla ciebie otworem. Mów tak, jak gdybyś był u brata albo u najwierniejszego i najlepszego przyjaciela.

— Wiesz już, co mam ci powiedzieć.

— Wiem. Zdradziło mi twą tajemnicę tamto zakratowane okno. Jestem człowiekiem, jak każdy inny, i tylko Bóg jest wszechwiedzący, jak to sam zupełnie słusznie zauważyłeś. Kiedy się zbudziłem, usłyszałem twoją rozmowę z koniuszym. Widzisz, że nie mam tych zalet, które on mi przypisał.

— Ty posiadasz przede wszystkim rzadką zaletę skromności. Istotnie, nikt nie może tego wiedzieć co Allah, ale są ludzie święci i czarodzieje, którym Allah wiele takich rzeczy odsłania, jakie dla innych na zawsze pozostaną zakryte. Gdybyś nie był otwarcie powiedział mi o tym oknie, byłbym uważał cię za takiego świętego. Mogłeś z tego skorzystać. Wyrzekając się jednak nimbu świętości, dajesz mi dowód, że jesteś człowiekiem uczciwym, którego mogę obdarzyć zaufaniem. Wierz mi, że to znaczy więcej niż gdybym cię uznał za czarodzieja. Czy posłuchasz teraz mej prośby?

— Z przyjemnością.

— Wiesz już zatem, że chodzi tu o mojego brata. Wysłałem go do Chartumu, a on nie wrócił w oznaczonym czasie. Dopytywałem się o niego pilnie, ale wszelki ślad po nim zaginął. Użyłem nawet pomocy pewnego bardzo doświadczonego i pobożnego człowieka, ale upłynęło kilka miesięcy na tym szukaniu i rezultatu nie było żadnego. Pozostaje tylko przypuszczenie, że poszukiwany umarł w drodze, lub uległ jakiemuś nieszczęśliwemu przypadkowi.

— A teraz sądzisz, że powinienem w dalszym ciągu prowadzić te poszukiwania?

— Pytaniem tym uprzedzasz prośbę moją, effendi. Dowiedziałem się od parobków, którzy byli przy grocie, a potem od ciebie samego, że chcesz się udać do Chartumu. Ja wiem, że wy, Europejczycy, jesteście o wiele rozumniejsi, sprytniejsi i bystrzejsi od nas, a ponieważ ty jesteś

najmądrzejszym i najmężniejszym z Franków, których widziałem, więc przyszło mi na myśl udać się do ciebie z tą prośbą. Ja wiem, że to śmiałość i natręctwo z mej strony, ale wiem, że masz serce dobre i sądziłem, że mi to natręctwo moje wybaczysz. Może znajdziesz w Chartumie czas, by się nieco utrudzić i uwolnić mnie od zmartwienia. Jeśli się tego zadania nie podejmiesz, nie będę miał żalu do ciebie, jeśli jednak zlitujesz się nade mną, będę ci wdzięczny do końca życia i zaopatrzę cię we wszystko, czego ci tylko potrzeba.

— Powiem ci krótko, że jestem gotów spełnić twoje życzenie, oczywiście o tyle, o ile mi na to okoliczności pozwolą.

— Effendi, dziękuję ci — zawołał, chwytając mnie za obie ręce. — Pragnąłem twojej pomocy, ale nie miałem nadziei, że mi tę łaskę wyświadczysz. Zdejmujesz mi z duszy wielki, bardzo wielki ciężar.

— Tylko się nie oddaj, proszę cię, zbyt daleko idącym nadziejom, bo za skutek mych usiłowań ręczyć ci nie mogę. Zawód byłby potem przykrzejszy. Czy znasz drogę, którą brat obrał, wracając z Chartumu do domu?

— Nie.

— A zatem nie wiesz, czy pojechał w dół Nilem, czy też drogą karawanową.

— Nie wiem; nie mogliśmy tego z góry umówić, gdyż Postanowienie podobne zależało od wielu okoliczności, nie dających się z góry przewidzieć.

— Droga Nilem jest stosunkowo pewna, zaś droga karawanowa przez pustynię Korosko i Bajuda naraża na wiele niebezpieczeństw. Czym był twój brat?

— Przewodnikiem, jak ja.

— Niczym więcej?

Wstrzymał się na chwilę z odpowiedzią, wreszcie rzekł:

— Czy mogę ci zaufać nawet wtedy, kiedy chodzi o zakazanego?

— Hm! Trudno mi z góry dać ci na to odpowiedź.

— Mam na myśli przemykanie mumii.

— Zapewniam cię, że ta sprawa nic mnie nie obchodzi, gdyż nie jestem urzędnikiem policyjnym kedywa.

— Otóż powiem ci, że brat był przemytnikiem mumii.

— A więc tym samym, czym ty teraz jesteś.

— Effendi — uśmiechnął się — nie pytaj. Jestem człowiekiem uczciwym i nie oszukałem jeszcze nikogo. Jeśli mam jak wielki błąd na sumieniu, to chyba ten, że co do mumii nie zgadzam się z kedywem.

— Czy kontrabanda taka połączona jest z niebezpieczeństwami?

— Z niemałymi, gdyż źle z człowiekiem, którego na przemycaniu mumii pochwycą.

— A zatem ludzie, którzy się tym zajmują, muszą być i bardzo odważni i ostrożni.

— Pewnie. Tchórzem i nierozważnym przemytnik być nie j może.

— A twój brat posiadał te właściwości?

— W wysokim stopniu. ;

— W takim razie sędzę, że się nimi w swojej podróży j posługiwał. Musiał obrać tę drogę, którą uważał za najbezpieczniejszą, jeśli go już przedtem w Chartumie nie spotkało nieszczęście.

— W Chartumie? Effendi, skąd ci to na myśl przyszło?

— Jest to zupełnie naturalne, gdyż w takich razach należy uwzględnić wszelkie możliwości. Dopiero, gdy zdam sobie sprawę ze wszystkich możliwych okoliczności, będę mógł uważać jeden lub drugi wypadek za bardziej prawdopodobny.

— Powiedz mi zatem, jakie wiadomości są ci potrzebne.

— Powiem ci wszystko bardzo chętnie.

— Jak się twój brat nazywa?

— Hafid Sichar.

— W jakim celu posłałeś go do Chartumu?

— Po pieniądze, które mam u mojego współnika kupca Barjada el Amin.

— Jakie to były pieniądze? Czy może udział w zyskach?

— Nie. Ja mu je pożyczyłem.

— Czy to człowiek uczciwy? Sądząc z imienia, nie należałoby o tym wątpić; Barjad znaczy po arabsku uczciwy.

— Istotnie, jest on bardzo uczciwy.

— Jak wielką sumę mu pożyczyłeś?

Zawahał się znów z odpowiedzią i zapytał:

— Czy ty musisz to wiedzieć?

— Tak.

— Dlaczego?

— Ażeby sobie wyrobić jasny obraz wchodzących tu w grę stosunków. Zresztą przyrzekłeś opowiedzieć mi wszystko. Jeśli spodziewasz się jakiegoś skutku moich wysiłków, to musisz być otwarty. Czy suma była wysoka?

— Tak. Powiedziałem ci już wczoraj, że nie jestem taki ubogi, na jakiego wyglądam. Tutejsze stosunki zmuszają właściciela do ukrywania swojego mienia. Pożyczyłem Barjadowi el Amin sto pięćdziesiąt tysięcy piastrów.

Suma ta równała się czterdziestu tysiącom franków, a więc była jak na egipskie stosunki bardzo wysoka. Zapytałem więc nieco zdziwiony:

— Tyle pieniędzy pożyczyłeś tak daleko, aż do Chartumu? Widocznie bardzo ufasz owemu kupcowi. Odkąd datuje się wasza znajomość?

— Od sześciu lat.

— A kiedy mu dałeś pieniądze?

— Przed pięciu laty.

— A zatem w chwili, kiedy mu pieniądze powierzałeś, znałeś go dopiero od roku. Czy to nie było nierozwagą z twojej strony?

— Nie, gdyż polecił mi go człowiek, którego każde słowo jest tak święte, jak święte są zdania Koranu.

— Kto to był?

— Święty fakir, który wczoraj pojechał z wami do Sijut.

— Hm! Nie jestem muzułmaninem i nie wiem, czy wasi fakirzy zasługują na takie zaufanie. Poznałem ich kilku i ci wydali mi się wielkimi hultajami.

— Są tacy, masz słuszość, lecz uczciwość i pobożność czynią niewątpliwie tego jednego godnym zaufania.

— A więc ten człowiek radził ci pożyczyć kupcowi tę wysoką sumę. Była ona przez pięć lat w

jego interesie, dlaczego zażądałeś jej zwrotu? Czy przestałeś mu ufać?

— Nie. Ja nie zażądałem zwrotu pieniędzy, tylko on doniósł mi przez posłańca, że ich już nie potrzebuje. Dlatego wysłałem po nie brata.

— A on nie wrócił! Czy masz pewność, że brat twój w ogóle dotarł do Chartumu?

— Tak. Barjad el Amin wypłacił mu pieniądze i on zniknął potem.

— Hm! Otrzymał pieniądze, a potem zniknął! No, no! Spojrzałem w zamyśleniu przed siebie. Przewodnik czekał chwilę, a potem spytał:

— Dlaczego milczysz? Spoważniałeś bardzo. Nad czym rozmyślasz?

— Nad obowiązkami gościnności.

— Czy to ma jakiś związek ze zniknięciem mego brata?

— Bardzo ścisły. Pożyczyłeś kupcowi taką wysoką sumę, więc musiał ci być za to bardzo wdzięczny i zapewne jesteście bardzo serdecznymi przyjaciółmi.

— Oczywiście.

— A zatem Barjad el Amin przyjął brata gościnnie i dał mu u siebie mieszkanie.

— Tak jest.

— Czy zniknął nagle, czy odjechał?

— Odjechał, by do domu nie wrócić.

— Którym statkiem?

— Tego nie wiem.

— A może obrał drogę karawanową przez pustynię?

— I tego nie wiem.

— Ta okoliczność wydaje mi się podejrzana, wielce podejrzana. W miastach zachodnich nie liczy człowiek nigdy na gościnność drugich; idzie się do gospody i płaci za wszystko, co się otrzymuje. U was jest inaczej, a im dalej w głąb kraju, tym większe znaczenie ma prawo gościnności. Wiem, że w Chartumie jest zwyczaj, że gospodarz zawsze odjeżdżającego gościa odprowadza przez jakąś część drogi i to tym dalej, im bliższa łączyła ich obu znajomość. Ten kupiec Barjad el Amin zawdzięczał ci bardzo wiele, pożyczyłeś mu mianowicie tyle pieniędzy, że w ciągu pięciu lat z pewnością się wzbogacił i mógł wreszcie o spłacie długu pomyśleć. Twój brat przybywa do niego, je, pije, mieszka u niego i miałby odjechać tak nagle, że Barjad el Amin nie wie, kiedy nastąpił odjazd? Cóż ty na to,

kochany Ben Wazaku?

Stropił się, spojrzął mi w twarz szeroko otwartymi oczami i dopiero po chwili powiedział:

— Effendi, miałem słuszną, twierdząc, że wy Frankowie jesteście od nas znacznie rozumniejsi.

— Nie myślę temu przeczyć.

— Kupiec przyjął brata bardzo uroczyście, a gościnność nakazywała mu pożegnać go równie uroczyście i odprowadzić część drogi. Nie pomyślałem o tym.

— Ponieważ Barjad nie umie nic powiedzieć o takim pożegnaniu gościa, więc nie może mieć za złe, jeżeli go podejrzewam. Albo to łotr i wie jaki los spotkał twojego brata, albo zlekceważył sobie obowiązki gościnności i ponosi przez to pośrednio winę za nieszczęście, które w każdym razie stać się musiało.

— Allach, Allach! Kto by to myślał? Effendi, twoje słowa łamią mi serce. Więc mam nie dowierzać, gdy zaufanie moje było tak wielkie i bezwarunkowe?

— Zbrodnia, czy zaniedbanie obowiązku, to wszystko jedno; kupiec ponosi winę. Czy człowiek, którego potem posłałeś do Chartumu, jest taki godny zaufania, jakby w tym wypadku należało sobie życzyć?

— Tak, to człowiek najgodniejszy zaufania ze wszystkich, to święty fakir.

— Aha! A więc ten sam, który skłonił cię do pożyczenia kupcowi pieniędzy?

— Ten sam!

— Hm! Hm!

— Mruczysz znowu. To mi nic dobrego nie wróży. Czy może mu nie dowierzasz?

— Przedstawiłeś mi go tak pochlebnie, że doprawdy nie mam odwagi rzucić na niego jakiegokolwiek podejrzenia. Ale komuś, kto żyje zatopiony bez przerwy w Allachu, nie powierzyłbym tak ważnej sprawy ziemskiej. Kto tak, jak on, spędza większą część życia na modlitwie, ten pewnie nie posiada zmysłu niezbędnego do tropienia i ścigania zbrodni po jej splątanych i ukrytych drożynach.

— Nie miałem kogo posłać — rzekł pokornie.

— A czy sam pójść nie mogłeś?

— Ze względu na dzieci musiałem tej podróży zaniechać.

— Uważasz ją zatem za niebezpieczną?

— Nie mogę tego powiedzieć, wstrzymały mnie moje zawodowe obowiązki. Straciłem sto pięćdziesiąt tysięcy piastków i muszę teraz odrobić tę stratę, muszę pracować i zbierać, przy tym troszczyć się nie tylko o moje dzieci, ale i o brata. Boję cię, że gdybym poszedł, zginąłbym tak samo, jak on.

Powiedział to takim tonem, jak gdyby wątpił w moją bystrość, więc odrzekłem:

— Masz zupełną słuszność. Jeśli w tym wypadku popełniono zbrodnię, to i ciebie niezawodnie sprzątnięto by ze świata, gdybyś przybył do Chartumu, ażeby szukać winowajcy. W ten sposób osierociliby złoczyńcy dwie rodziny zamiast żadnej.

— To prawda, effendi, ja tak samo myślałem.

— Czy nie pomyślałeś przy tym jeszcze o czym innym?

— Na przykład o czym?

— O tym, że jeżeli ty przyjdiesz, to ciebie sprzątną, a jeśli ja, to mnie ten los spotka, a to przecież znacznie korzystniejsze dla ciebie.

— Effendi, Allah świadkiem, że mi to na myśl nie przyszło.

— Wierzę ci. Bądź co bądź jednak zaprzeczyć się nie da, że jeśli popełniono zbrodnię, to sprawcy będą się starali śledztwo wszystkimi sposobami utrudnić i z pewnością nie będą się wahali popełnić nawet morderstwa.

— Muszę ci przyznać słuszność, ale z drugiej strony nie wątpię, że poszukiwania tobie się łatwiej mogą udać niż mnie. Przede wszystkim mnie tam znają dobrze i złoczyńcy będą wiedzieli o każdym moim kroku. Ty natomiast jesteś obcy i nikt nie przypuści, że mnie znasz. Możesz więc robić poszukiwania potajemnie i osiągnąć rezultaty o wiele wcześniej aniżeli ja.

— Masz zupełną słuszność. Oświadczam ci raz jeszcze, że zajmę się tą sprawą. Oczywiście trzeba nad tym wszystkim zastanowić się dokładniej. Jakże kupiec przyjął świętego fakira?

— Tak, jak musiał go przyjąć ze względu na jego świętość; obchodzono się z nim, jak z jakim słynnym szejkiem lub emirem.

— Czy fakir zapytał się o twojego brata wprost czy potajemnie.

— Całkiem otwarcie.

— Źle zrobił, bo powinien był udawać, że nic nie wie o pobycie twego brata w Chartumie.

— Ten święty człowiek nie umie udawać i raczej dałby się zabić niżby miał kłamstwem splamić swoje usta.

— W takim razie nie nadawał się do takiej misji. Twierdzono, o ile mi się zdaje, że twój brat

pieniądze odebrał!

— Tak jest, Barjad el Amin pokazał kwit fakirowi, przeze mnie podpisany i moją pieczęcią opatrzony, a wręczony mu przez brata natychmiast po otrzymaniu pieniędzy.

— A nie czy przypuszczasz, że to pokwitowanie przemocą bratu wydarto? Dlaczego ci Barjad wprost tych pieniędzy nie przysłał, ale żądał, abyś po nie osobiście przyjechał?

— To zupełnie zrozumiałe. Kto wie, czy taka przesył doszłaby w całości na miejsce przeznaczenia i na takie ryzyk Barjad el Amin narażać się nie mógł.

— Mimo to, cała ta sprawa wydaje mi się niejasna. Powiedziałeś, że otwarte poszukiwania są niebezpieczne, a przecież ten fakir poszukiwał, a żadnej szkody mu to nie przyniosło.

— Uniknął niebezpieczeństwa, bo wszyscy wiedzą, że to człowiek święty.

— Zapominasz o tym, że zbrodniarz nie pyta się o świętość i pobożność człowieka, który mu stoi na drodze. Nie chcę podejrzewać fakira, a jednak zdaje mi się, że on tu nie jest bez winy. Jeżeli zaś przypuścimy, że on rzeczywiście nie winien, to wyszedł cało nie dzięki swojej świętości, ale dlatego, że się go ci ludzie nie bali. Zapewne nie posiada rozsądku wystarczającego do odkrycia tej zbrodni.

— Więc sądzisz, że tu istotnie zbrodni dokonano?

— Jestem tego pewny.

— Kogóż więc uważasz za sprawcę? Czy może Barjad Amina?

— Tak jest. Czy fakir wie, że się zajmujesz sprzedażą i przemycaaniem mumii?

— Tak.

— Czy on wie o tym, że ten handel wzbroniony?

— Nie umiem ci na to pytanie odpowiedzieć. Ile razy z fakirem o tym mówiłem, twierdził zawsze, że w Koranie takiego zakazu nie ma.

— A on się tym handlem zajmuje?

— Nie wiem.

— A może ten pobożny człowiek zna grobowce z mumiami i tylko nie mówi o tym nikomu?

— Być może. On wędruje po całej dolinie Nilu, a tam są jeszcze sklepienia i jaskinie grobowe, których ludzkie oko nie widziało.

— Słyszałem raz, że w pobliżu Sijut znajdują się bogate groby królewskie.

— W takim razie ten, kto je odkrył, musiał zachować tajemnicę dla siebie, bo chyba mnie pierwszemu powiedziano by o tym. Czy sądzisz, że fakir zna taką tajemnicę?

— Domyślam się tego.

— Być może! Pomówię z nim o tym przy pierwszej sposobności.

— Dobrze! Nie zdradź się jednak, że ze mną o tym mówiłeś, a także i to zachowaj w tajemnicy, że twego brata będę poszukiwał.

— Dziwi mnie to, że tak fakirowi nie dowierzasz.

Miał słuszość, jakkolwiek nie było to określone podejrzenie, lecz jakieś nieokreślone przeczucie. Mimo to oświadczyłem przewodnikowi, że uważam fakira za człowieka, który się może stać dla mnie niebezpieczny.

— Niebezpieczny? Taki święty człowiek, któremu kiedyś postawią marabut*?

— Tak. Sam powiadasz, że chodzi ciągle, z miejsca na miejsce, a więc może przede mną przybyć do Chartumu, gdyż ja muszę jeszcze poczekać tu na mego towarzysza. Co by było, gdyby tak przyszedł do kupca i powiedział mu, że przybędzie do niego pewien Frank, żeby odszukać miejsce pobytu twojego brata. Teraz chyba rozumiesz, że najlepiej by było, gdyby fakir o niczym nie wiedział i dlatego żądam od ciebie, ażebyś wobec niego zupełnie zachował milczenie. Jeśli mi tego nie przyrzekniesz, nie chcę mieć z tą sprawą nic więcej do czynienia.

— Effendi, co tobie wpadło do głowy? — zawołał przerażony. — Uczynię wszystko, co mi każesz, i zaniecham wszystkiego, czego zakażesz. Poza tym zgodnie z przyrzeczeniem zaopatrzę cię we wszystko, co w drodze może ci być potrzebne.

— Niewiele od ciebie potrzebuję. W każdym razie jednak musisz mi dać list do brata, który mu oddam, gdy go odnajdę. W liście zamieścisz koniecznie tę wiadomość, że na twoje polecenie robiłem za nim poszukiwania. Podpis i pieczęć oczywiście potrzebne.

— Jeśli pozwolisz napiszę list zaraz. Sygnet mam przy sobie, resztę dostanę tutaj z łatwością.

Klasnąłem w dłonie i przyszedł służący, który postarał się o papier, pióro, atrament i lak. Za kwadrans list był napisany i Ben Wazak podał mi go, mówiąc:

— Oto masz, czego żądałeś, effendi! Muszę jednak wyjść na chwilę, aby ci przynieść jeszcze coś, co ci się przydać może. Czy spotkam cię tu za godzinę?

— Tak, do tego czasu nie wyjdę z domu.

Pożegnał mnie, a kiedy wrócił po upływie umówionego czasu, przyniósł mi drugi list z adresem do Chartumu.

— Oddaj go, skoro tylko na miejsce przybędziesz! — rzekł. — A nie zapomnij! Człowiek, do

którego ten list napisany, wiele ci może pomóc.

— Kimże on jest? Bo na adresie widzę tylko jego nazwisko.

— To wystarczy. Adresata każde dziecko ci wskaże. Kiedy masz zamiar odjechać?

— Skoro tylko przybędzie mój towarzysz.

— W takim razie może zobaczymy się jeszcze. Jeśli ty będziesz chciał jakichś wiadomości, znajdziesz mnie w Moabdah, a jeśli zaś ja będę chciał rozmówić się z tobą, przyjdę do ciebie. W każdym razie spodziewam się, że cię później u siebie zobaczę, a będziesz zawsze mile w moim domu widziany, bez względu na to, czy mi brata odszukasz, czy nie. Niech cię Allah błogosławi i prowadzi ścieżkami szczęścia. Pomyśl czasem o mnie i bądź pewny, że ja nieustannie myśleć będę o tobie, nawet w modlitwie, choć jestem innej wiary niż ty.

Pozegnałem go i na tym się nasza rozmowa skończyła. A więc znowu coś nowego i awanturniczego. Poszukiwać zaginionego, którego święty fakir nie mógł odnaleźć. O tym ostatnim myślałem wiele. Wprawdzie nie przypisywałem mu stanowczo łotrostwa, nie mogłem się jednak oprzeć nieokreślonemu przeczuciu, że fakir w całej tej sprawie inną zupełnie grał rolę aniżeli ta, jaką mu chciał przyznać przewodnik.

Szczęściem, umówiłem się ze starcem, że pójdę do grobów królewskich. Przy tej sposobności mogłem go wybadać. Nie mógł wiedzieć, że Ben Wazak był u mnie i że mówił ze mną o swoim bracie, toteż było rzeczą prawdopodobną, że wpadnie w zastawioną na siebie pułapkę, jeśli moje przeczucia nie były fałszywe. Przerwałem te rozmyślenia, kiedy mnie zawołano do śniadania. Zaspokoilem głód dostatecznie i oświadczyłem gospodarzowi, że na obiad do domu nie przyjdę.

— Dlaczego? — spytał. — Gdzie idziesz?

— Zwiedzać grobowce.

— O Allah! Czy to możliwe? Nie dość ci wczorajszego smrodu w jaskini?

— Tym razem nie chodzi o mumie krokodyli.

— A o jakież? Czy chcesz widzieć zabalsamowane ciała wilków, leżące tam w górach?

— Może — odpowiedziałem, gdyż przyrzekłszy milczenie, nie mogłem mówić prawdy. — Tylko Selima z sobą zabieram.

— Niechaj Allah będzie pochwalony! Więc Selim pójdzie z tobą? To pewny znak, że sprawa nie jest ani niebezpieczna, ani groźna. Czy ci potrzeba pochodni? Mam kilka w domu.

— Potrzeba mi pochodni, zapalek i długiego mocnego powroza.

Kiedy przyniesiono żądane przedmioty, wybrałem sześć pochodni woskowych, które postanowiłem z sobą zabrać, chociaż fakir powiedział, że i jedna wystarczy. Miał on na godzinę

przed południem przyjść przed bramę pałacu, ale już o pół godziny wcześniej przyprowadzono do mnie wyrostka, który mi powiedział, że święty człowiek czeka na nas za miastem.

— Czemu sam po nas nie przyszedł? — zapytałem.

— O tej porze rozmawia on z Allachem i nie wolno mu opuścić miejsca modlitwy — brzmiała odpowiedź.

Poszedłem po Selima. Pałac i gawędząc, siedzieli obaj z marszałkiem na dywanie. Wchodząc już, usłyszałem Selima mówiącego:

— Nie wolno mi go opuścić, powierzono mi go, więc jestem jego obrońcą.

Ten hultaj musiał znowu o mnie opowiadać! To przypuszczenie potwierdził natychmiast czarny grubas, który przyjął mnie słowami:

— Co ja słyszę, effendi! Ty znowu szukasz przygód? Zostań lepiej w domu. Wiem całkiem pewnie, że stanie się nieszczęście.

— Czy Selim powiedział ci, dokąd idziemy? — spytałem, chcąc się przekonać, czy nie wypaplał tajemnicy.

— Nie. Powiedział mi tylko, że musiał złożyć wielką przysięgę milczenia i to właśnie napędza mnie o was obawą.

— Nie bój się, nic nam się nie stanie.

— Tak mówisz, bo nie wierzysz przepowiedniom księżycy. Zostań z nami, proszę cię bardzo!

— A ja cię także bardzo proszę, żebyś na mnie nie nalegał. Dałem słowo, że przyjdę i muszę go dotrzymać.

— Więc zostaw tu przynajmniej Selima.

— Co, ja mam zostać? — zawołał blagier, zrywając się z miejsca. — Ja, obrońca i opiekun tego effendiego, miałbym go puścić samego? Nie mogę nie spełnić mego obowiązku i pójdę z nim wszędzie przez wszystkie niebezpieczeństwa nieba i ziemi. Będę za niego walczył ze wszystkimi smokami, wężami i niedźwiadkami, jestem gotów rozdzierać lwy i pantery, byle tylko...

— Na razie masz zamknąć usta — przerwałem mu. — O smokach, lwach i panterach nie ma mowy i dlatego zostawisz strzelbę tutaj, a tylko nóż z sobą zabierzesz.

— Ależ my nie wiemy, dokąd pójdziemy, effendi! Kto wie, czy nie znajdziemy się na pustyni, a tam lwy i...

— Głupstwo! Tobie lew nic nie robi, bo masz oczy dobre i ledwie go dostrzeżesz, zaczniesz zmykać tak szybko, że cię nie zdoła doścignąć.

— Panie, jakież złe mniemanie masz o najwierniejszym ze swoich przyjaciół. Jam jest Selim, twój opiekun; stanąłbym do walki za ciebie nawet wtedy, gdyby ludzie i dzikie zwierzęta z całej ziemi rzuciły się na nas. Nauczasz mnie i dlatego proszę Allacha, żeby naprawdę zesłał na nas wielkie niebezpieczeństwo. Dowiodłbym ci wtedy, że w twojej obronie gotów jestem pójść nawet na śmierć.

Zabrał nóż, trzy pochodnie i powróż i ruszyliśmy w drogę. Chłopak czekał na dworze i poprowadził nas tą samą drogą, którą jechaliśmy konno onegdaj. Kiedy minęliśmy ożywione ulice i zaczęliśmy się piąć w górę, zauważyłem ubogo odzianego człowieka, siedzącego w piasku i ścinającego sierpem skąpe źdźbła trawy. Kiedyśmy się zbliżyli, powstał i wtedy poznałem w nim ogrodnika, u którego szukaliśmy kuglarza. Wcale go to spotkanie nie zdziwiło, owszem miałem wrażenie, że właśnie na nas czeka. Kiedyśmy obok niego przechodzili, zawołał, uśmiechając się do mnie szydersko:

— Dalej, idź drogą niewiernych i zdechnij na ścieżce przeklętych. Niech cię Allah potępi, psie jeden!

Potem odwrócił się i popędził cwałem, oglądając się kilkakrotnie, czy go nie ścigam. Jego obelgi były zuchwałą, bezwstydną zemstą za wczoraj; tak przynajmniej teraz myślałem, choć później zrozumiałem, że w jego słowach kryło się jeszcze coś więcej.

Kiedyśmy się na szczyt wzgórza wdrapali, wskazał chłopak na odległy otwór w skale i rzekł:

— Tam, przy tym dawnym grobowcu stoi święty i czeka na was pogrążony w modlitwie.

To powiedziawszy chciał się oddalić. Miałem zamiar dać mu mały bakszysz, lecz on splunął przede mną i rzekł z gestem odrazy:

— Nie chcę twojego piastra. Nie będę się plamił pieniędzmi niewiernego. Idź do piekła!

Uciekł pędem. Coś takiego nie przytrafiło mi się jeszcze.

Na Wschodzie starzy i młodzi polują formalnie na bakszysz, a chłopcy biją się o niego do krwi, tymczasem ten chłopak odtrącił dar i odważył się zarzucić mnie nawet obelgami. Puściłem go oczywiście wolno i poszedłem z Selimem otworu, gdzie stał fakir z twarzą, zwróconą ku Mekce i gestykulując rękoma w modlitwie.

Kiedy zbliżyliśmy się do niego, zobaczyłem, że porusza wargami jak człowiek odmawiający pacierze, a na twarzy jego malował się wyraz najczystszej religijnej zachwycenia. Nie, ta twarz kłamać nie mogła. Człowiek, stojący tak blisko grobu, żadną miarą nie mógł być przyjacielem zbrodniarzy.

Usłyszał, że nadchodzimy i zwrócił się do nas. Twarz jego przybrała wyraz łagodnej powagi; skłonił się, podał mi rękę i rzekł:

— Witam cię, effendi! Niechaj Allah prowadzi kroki twoje i do radości i szczęścia! Dotrzymałeś

słowa, więc i ja także, dotrzymam przyrzeczenia. Zobaczysz królów dawnych Egipcjan, ich synów, żony, córki i innych krewnych.

— Dlaczego sam po nas nie przyszedłeś, chociaż mi to przyrzekłeś? — spytałem.

— Allah mnie wezwał, a ja musiałem się stawić. Stałem na ziemi, a patrzyłem w niebo i widziałem promieniejące oczy zbawionych i skrzydła hufców anielskich. Nie mogłem odejść, musiałem zostać i wysłuchać głosu proroka, ażeby go rozszerzyć wśród narodów wiernych i niewiernych.

— Niewiernych? Więc jesteś kaznodzieją, który szerzy islam wśród pogan?

— Tak, ja zwracam stopy wszystkich ludzi ku świętemu miastu Mekce, a oczy ich na Koran, księgę życia, a dusze ich zwracam ku drodze, wiodącej do wieczności. I teraz musiałem być posłusznym wezwaniu proroka i nie wolno mi było odejść. Dlatego posłałem wam chłopaka, który miał was do mnie sprowadzić.

— Złego pomocnika sobie wybrałeś. Zelżył mnie, ponieważ jestem innej wiary niż on.

— Przebacz mu, bo to mały chłopak, który jeszcze nie mnie nad swoim gniewem panować. Jestem gotów, chodźmy!

Chciał iść przodem, może dlatego, by uniknąć rozmowy, ponieważ jednak koniecznie chciałem się z nim rozmówić, trzymałem się jego boku. Selim szedł za nami. Uderzyło mnie to że szedł tą samą drogą, którą jechaliśmy onegdaj. Szliśmy tak obok siebie już dobrą chwilę. Ponieważ nie przestawał milczeć, zacząłem:

— Cieszę się, że jesteś kaznodzieją...

Chciałem mówić dalej, lecz wtrącił:

— W takim razie jesteś niedobrym chrześcijaninem.

— Dlaczego?

— Przecież i wy macie także kaznodziei, których zadaniem jest nawracanie pogan.

— I owszem.

— Jak ich nazywacie?

— Misjonarzami.

— Tak, znana mi już ta nazwa. Misjonarze to nasi najgorsi wrogowie i dlatego dobry chrześcijanin nie powinien się cieszyć, jeśli na swej drodze spotka kaznodzieję islamu. Czy znasz także Koran, oprócz waszej świętej księgi?

— Tak.

— Która ma słuszość, nasza czy wasza księga?

— Biblia.

— W takim razie widok waica* musi cię przepelniać odrazą.

— Jeśli powiedziałem, że się cieszę, widząc w tobie kaznodzieję, to radość ta pochodziła stąd, że spodziewałem się usłyszeć od ciebie coś o owych krajach pogańskich, w których prawileś kazania.

— Co by ci z tego przyszło?

— Dowiedziałbym się, czy zapatrywania moje na te kraje i narody są fałszywe, czy słuszne. Czy wolno spytać, w których krajach już byłeś?

— Byłem we wszystkich osadach nad białym i niebieskim Nilem, byłem także w Kordofanie i dalej aż poza Dar-fur.

— Zazdroszczę ci tego, co widziałeś. Prawda, że osada nad Nilem nazywa się seriba?

Pytałem jak uczeń, ale plan miałem zupełnie wyraźny. Chciałem, ażeby mnie uważał za mniej doświadczonego i wiedzącego niż było w istocie i żeby się przez to tym łatwiej dał wciągnąć w rozmowę o przedmiocie leżącym mi na sercu.

— Nie — odpowiedział na moje ostatnie pytanie. — Kto tak cię pouczył, widocznie sam niewiele umiał. Chrześcijanie nie wszyscy są tacy mądrzy, za jakich ich się powszechnie uważa.

— Ale słowo seriba istnieje?

— Tak. Ale seriba nie jest ani miasto, ani wieś, lecz obronne miejsce, w którym mieszkają ludzie, polujący na niewolników.

— Jak to? Więc są jeszcze tacy, którzy zajmują się podobnymi łowami?

— Muzułmanin inaczej na te rzeczy patrzy niż wy, chrześcijanie. Czy znasz arabski wyraz na oznaczenie niewolnika?

— Tak jest. Naszemu wyrazowi „niewolnik” odpowiada arabskie słowo „abd”.

— Bardzo dobrze! Pamiętaj jednak, że abd znaczy także sługa, poseł, uczeń, a te znaczenia dowodzą, że niewolnicy nasi są sługami i uczniami, a nie męczennikami.

— Rozumiem, mimo to jednak uważam za okrucieństwo wydzieranie ich ojczyźnie i rodzinom.

— Mylisz się, bo niewolnikom lepiej u nas aniżeli u siebie, we własnej ojczyźnie.

— Aby jednak schwytąć jednego niewolnika, trzeba zabić przeciętnie trzech innych ludzi.

— Czy to taka wielka szkoda, że umiera poganin? Jeśli spodoba się Allachowi, urodzi on się po raz wtóry jako syn muzułmanina, a potem, jeśli będzie żył wedle przykazań Koranu, może nawet wejść do raju Mahometa. Musisz sobie obławy na niewolników i niewolnictwo wyobrazić inaczej aniżeli je wam przedstawiono. Byłem kapłanem kilku serib, znam więc całą tę sprawę lepiej niż wy. Byłem nawet w seribie Abu el Mota* i tam nabrałem przekonania, że czarni nie są ludźmi, lecz dwunożnymi zwierzętami.

— Byłeś u Abu el Mota? Znam to nazwisko dobrze i słyszałem o nim wiele, bardzo wiele. Zamieszkiwał on seribę el timsah*, jeśli się nie mylę.

— Tak jest. Byłem u niego w tej seribie. Był on najśłynniejszym łowcą niewolników, ale żyje jeszcze słynniejszy.

Starzec wyglądał teraz całkiem inaczej. Łagodna powaga zniknęła z jego twarzy, a miejsce jej zajął ziemski, bardzo ziemski zapach. Dostrzegłem to, rzuciwszy na niego krótkie ukośne spojrzenie.

— Jak się nazywa? — spytałem.

— Ibn Asl*.

— To bardzo pobożne imię.

— Nie.

— W takim razie muszę chyba bardzo źle znać język tego kraju. Asl, odwieczny początek jest określeniem Boga, Ibn Asl znaczy zatem mniej więcej tyle, co syn początku, syn Boga.

— W tym razie nie. Ten człowiek nazywa się Ibn Asl, jako syn ojca, który nazywa się Abd Asl*.

Powiedział to z dumą, która na razie była dla mnie niezrozumiała. Odpowiedziałem mu tak obojętnie, jak tylko mogłem:

— A więc ojciec jego nazywa się Abd Asl. Czy znasz tego człowieka?

— Znam go, a nawet bardzo dobrze! — potwierdził szczególnie znaczącym tonem.

— Czy znasz może i syna, samego łowcę niewolników?

— I jego znam!

— A jednak jestem zdania, że imię jego nie nadaje się dla łowcy niewolników. Abu el Mot, ojciec śmierci, to brzmi już całkiem inaczej.

— Powiem ci, że ten Ibn Asl nosi jeszcze inne miano, zdobyte czynami. Nazywają go także el Dżazur*. A to imię i nadaje się dla łowcy niewolników?

— O tak! To imię brzmi lepiej aniżeli właściwe. Skąd pochodzi?

— Tego ci już nie powiem.

— Nie mógł przecież od razu być łowcą niewolników. Czym był przedtem?

— Kupcem w Chartumie.

— Aha, w Chartumie.

— Tak. Był on pomocnikiem handlarza nazwiskiem Barjad el A...

Wstrzymał się nagle dzięki mojej nieostrożności. Chciał powiedzieć Barjad el Amin, a właśnie u tego kupca zniknął brat mego przewodnika w Moabdah. Usłyszawszy to imię podniosłem mimo woli schyloną dotychczas głowę i spojrzałem na mówiącego z takim zdziwieniem, że musiało go to uderzyć. Toteż zapytał:

— Znasz może tego człowieka?

Zaprzeczyłem, on jednak spojrzał mi bystro w twarz i powiedział:

— Czy mówisz prawdę?

— Nie byłem jeszcze nigdy w Chartumie.

— Ale się tam wybierasz.

— Tak.

— Do Barjada el Amin?

— Jakże mogę wybierać się do człowieka, którego nie znam?

— Kiedy wymówiłem jego imię, zauważyłem na twojej twarzy prawie przestach. Jest mi to bardzo podejrzan. Ty nie jesteś względem mnie tak szczery, jak ja względem ciebie.

— Nie rozumiem cię wcale. Jestem tu zupełnie obcy, a ty twierdzisz, że znam imiona, których nawet krajowiec nie słyszał.

— To być może. Czy wiesz, kto jest Ben Wazak?

— Przewodnik w Moabdah, w którego towarzystwie zwiedzałem jaskinię krokodyli.

— Czy rozmawialiście z sobą?

— Naturalnie! Rozmawialiśmy o jaskini i mumiach, które się w niej znajdują.

— Czy mówiliście także o Chartumie?

— Nie.

— A o bracie, którego tam wysłał?

— Czy Ben Wazak ma brata? Gdzie on się teraz znajduje?

— Więc rzeczywiście nic nie wiesz? No to ci powiem, że ten Ibn Asl el Dżazur spłatał najlepszemu figla bratu Ben Wazaka.

— Zaciekawiasz mnie bardzo. Jaki to mógł być figiel? — spytałem, starając się ze wszystkich sił o zachowanie spokoju, gdyż spodziewałem się, że za chwilę spadnie zasłona tajemnicy. Oczekiwania moje jednak doznały zawodu, fakir bowiem odpowiedział po krótkim namyśle:

— To ciebie nic nie obchodzi, zresztą wam, Frankom, takich rzeczy nie należy mówić.

— Co do mnie, chętnie słucham opowiadań o takich figlach!

— Wierzę, kto nie słuchał chętnie czegoś podobnego? Mimo to nie powiem ci nic.

— Dlaczego? Czy sądzisz może, że puszczę opowieść dalej? Zatrzymał się, wybuchnął szczególnym śmiechem, położył mi rękę na ramieniu i rzekł:

— Zdradzisz? Ty? Nie, tego się nie obawiam. Wiem na pewno, całkiem na pewno, że ty byś tego nie zdradził.

Fakir przedstawił mi się w tej chwili jako całkiem inny człowiek, ale jaki? Był on dla mnie teraz zagadką. Czy jego śmiech był przepojony szyderstwem, czy pychą? Była to pogarda, czy groźba? Wydał mi się teraz drapieżnikiem, który igra ze swoim łupem. W jednej chwili zmienił wyraz swojej twarzy; spojrzał mi przychylnie w oczy i mówił dalej:

— Jako chrześcijanin potępiasz handel niewolnikami i uważasz tych, którzy go prowadzą, za ludzi złych, dlatego przerwijmy lepiej tę rozmowę. Właśnie zbaczamy z dotychczasowego kierunku. Chodź na lewo.

Dotychczas szliśmy prosto w pustynię, a teraz skręciliśmy ku południowi. Po kwadransie drogi zobaczyłem wzgórek, gdzie wczoraj wpadł marszałek. Szliśmy prosto ku niemu. Próbowałem zacząć na nowo rozmowę, lecz otrzymywałem odpowiedzi krótkie, albo nie otrzymywałem żadnych. Fakir szedł teraz tak szybko, że musiałem stawiać duże kroki, ażeby nadążyć. Było mi to na rękę, gdyż dzięki jego pośpiechowi, zostałem nieco w tyle i miałem sposobność szepnąć Selimowi:

— Nie mów nic, że byliśmy już tutaj!

— Czemu, effendi?

— O tym potem. Teraz milcz.

Dlaczego dałem służącemu ten rozkaz? Oto dlatego, że ostatnie słowa fakira zbudziły we mnie

podejrzanie, że jego nabożna twarz to kłamstwo. Niewiele mnie to wprawdzie obchodziło, że i ten fakir jest obłudnikiem, jak wszyscy ci, których dotąd poznałem, wnioskowałem jednak, że właśnie dlatego może on być także niebezpiecznym człowiekiem. Trudno mi było przypuścić, żeby właśnie względem mnie knuł jakieś złe zamiary. Za co? Zresztą, gdyby nawet tak było, to przy zachowaniu pewnej ostrożności stać mnie było na zwycięskie z tym człowiekiem zapasy. Oprócz nas nie było w pobliżu nikogo, a miałem za pasem nóż i rewolwery.

Zbliżyliśmy się do wzgóрка z tej strony, którą się ja na szczyt wdrapywałem, po przeciwnej zaś stronie była dziura, z której musieliśmy wyciągać grubasa. Gdyśmy stanęli u stóp pagórka, zatrzymał się fakir i powiedział:

— Jesteśmy na miejscu. Właśnie tu pod naszymi stopami znajdują się korytarze, przepelnione zwłokami królewskimi.

— Tu? — zapytałem. — Tu przecież nie ma skał, skąd by się więc wzięły grobowce?

— Któż ci mówił o skalnych grobowcach? Te, o których mówię, są to wysokie, szerokie murowane korytarze podziemne i do nich teraz zejdziemy.

Wchodziłem na wzgórek ślimacznicą, widziałem go więc ze wszystkich stron, nie zauważyłem jednak nic, co wskazywałoby, że tu jest jakieś wejście do wnętrza. Dlatego też zapytałem:

— A gdzie jest wejście?

— Na górze w pobliżu szczytu.

— Czy je widać?

— Nie. Sądzisz, że tak źle umiem ukrywać moją tajemnicę, że nie zasłoniłbym otworu? Chodźcie ze mną prosto w górę.

Chciał już wchodzić na wzgórek, ale go zatrzymałem. Od pewnego już czasu zauważyłem, że na naszej drodze ciągnął się pas na trzy stopy szeroki, jakby ktoś płaszcz lub haik ciągnął po piasku, ażeby zatrzeć ślady. Pas ten prowadził aż na szczyt pagórka.

— Czy nie widzisz, że ktoś musiał tu być przed nami? — spytałem.

— Z czego to wnosisz?

— Ktoś włókł szatę za sobą, ażeby zatrzeć ślady swoich stóp. Bardzo mnie to zastanawia.

— Mnie nie — uśmiechnął się. — Więc nie domyślasz się kto to mógł być?

— Może ty?

— Tak, to ja byłem, a przyszedłem tu, ażeby się przekonać, czy wszystko jest w porządku. Nie było mnie tu parę miesięcy, więc mógł ktoś podczas mojej nieobecności odkryć tajemnicę.

— No dobrze — ale zdaje mi się, że tędy nie jeden człowiek przechodził, ale kilku.

— Allah! Czyjeż oko zdoła to stwierdzić dowodnie?

— Moje. Przebywałem dość długo w krajach zamieszkałych przez dzikich i wiem z doświadczenia, że nieraz życie zawisło od tego, czy się umiało wywnioskować z takich śladów zatartych, jak te, ilu nieprzyjaciół ma się przed sobą.

— O nieprzyjaciółach nie ma tu mowy. Przeszedłem tu i odszedłem, dlatego są ślady podwójne i dlatego wydaje się jakby tu więcej ludzi było. Czy sądzisz, że mam ochotę wtajemniczać jeszcze kogoś w tę sprawę?

To wyjaśnienie uspokoiłoby w pewnych warunkach najostrożniejszego i najpodejrzliwszego człowieka, więc i ja uspokoiłem się nieco i ruszyliśmy dalej. Kiedy byliśmy już prawie na szczycie, zatrzymał się stary, rozglądając się dokoła i rzekł:

— Jak daleko okiem sięgnąć, nie widać nikogo. Nikt na nas nie patrzy, możemy więc śmiało wejść do podziemia.

Tak, nie było widać nikogo; byliśmy zupełnie sami i dzięki temu zniknęły resztki mojej nieufności. Zresztą cóż by mi ten człowiek mógł zrobić, nawet gdyby myślał o jakimś podstępie. Co najwyżej mógł nas gdzieś zamknąć, a i temu łatwo było zapobiec. Należało go tylko przy wchodzeniu puszczać zawsze przodem, a przy wychodzeniu trzymać w tyle. Selim był widocznie także dobrej myśli, gdyż nie powiedział, ani nie uczynił niczego takiego, co by świadczyło o braku odwagi. Starzec usiadł na piasku i zaczął grzebać rękoma, odrzucając go na prawo i na lewo. Niewiele trudu kosztowała go ta praca, ponieważ piasek był czysty i lekki. Odrzuciwszy w ten sposób warstwę piasku, grubą na trzy stopy, odsłonił kamienną płytę, którą też wkrótce odgrzebaliśmy, z pomocą Selima, zupełnie. Była na cztery stopy wysoka, a na trzy szeroka. Odjęliśmy ją i zobaczyliśmy przed sobą korytarz, murowany z czarnych nilowych cegieł, a taki wysoki i szeroki, że nawet otyły człowiek mógł się w nim swobodnie poruszać. Fakir zbadał jeszcze raz widnokraj, a nie znalazłszy nigdzie żadnej żywej istoty, rzekł:

— Rzeczywiście jesteśmy zupełnie sami, nikt na nas nie zważa, więc możemy wchodzić. Kto wejdzie pierwszy?

— Oczywiście ty, bo jesteś przewodnikiem — odpowiedziałem.

Był posłuszny mojemu żądaniu, poszedł naprzód, ja ruszyłem za nim, a Selim powoli za mną. Kiedyśmy się znaleźli na głębokości jakichś czterech łokci, poczułem, że się korytarz rozszerza. Fakir kazał zapalić pochodnię. Uczyniłem to i przy jej świetle zobaczyłem, że znajdujemy się w małej komnacie, mogącej pomieścić do siedmiu osób. Była tak wysoka, że mogliśmy stać prosto. Ściany zbudowane były z takich samych nilowych cegieł, jak sztolnia wchodowa. Powietrze było dobre, a zapachu mumii ani śladu. Musiało to ucieszyć Selima, bo rzekł z humorem:

— Tutaj można by mieszkać, effendi. Tu powietrze całkiem inne niż w tej przykłej jaskini w Moabdah. Tam był zaduch tak wielki, że potrzeba było całej siły charakteru, ażeby zbadać wszystkie korytarze i wytrzymać do ostatniej chwili.

— Więc podoba ci się tutaj!

— Nadzwyczajnie! Nie każdy wprawdzie ma na tyle odwagi, aby się wciskać w ciemną otchłań ziemi, ale czego nikt nie potrafi, tego ja dokażę. Gdyby zażądano ode mnie, wszedłbym nawet w otchłań piekielną.

— Nie bój się. Takiego żądania nikt ci nie postawi i tylko tej drobnostki od ciebie wymagam, ażebyś nie stracił odwagi, którą teraz posiadasz.

— Stracić odwagę? Effendi, czy pragniesz ciągle i ciągle przyćmiewać blask mojej chwały? Co to za dziura tu w podłodze?

Rzeczywiście, w kącie komnaty znajdował się otwór prowadzący, jak się zdawało, prostopadle w głąb ziemi, a był tak szeroki, że dorosły człowiek mógł tam wejść wygodnie.

— To szyb, którym musimy schodzić — oświadczył fakir.

— Szyb! — mruknął Selim już o wiele skromniej. — Czy są tam schody?

— Nie.

— Gdzież te mumie miały za życia rozum? Jakież by dobrodziejstwo nam wyświadczyły, gdyby tu kazały wygodne schody wymurować. Ale drabina będzie?

— Także nie.

— Więc mam zaryzykować moje członki i powykręcać albo nawet połamać sobie ręce i nogi?

— To na pewno nie — odrzekłem. — Musi tam być przecież jakie urządzenie, za pomocą którego będzie można zleźć na dół.

— Jest — oświadczył fakir. — Po obu stronach szybu znajdują się dziury, w które wstawia się nogi. To daje także silne oparcie dla rąk. W ten sposób można się dostać na dół, jak po zwykłych schodach albo drabinie.

— Jaki ten szyb głęboki?

— W głębokości dwudziestu stóp natrafimy na dwie sztolnie boczne, ale próżne i bardzo małe, a znowu trzydzieści stóp niżej znajdziemy się już w głównym korytarzu. Nie bójcie się, schodzenie i wychodzenie przy pomocy tych dziur jest zupełnie wygodne.

— A jakie tam powietrze?

— Prawie takie dobre, jak tu na górze. Muszą tam być otwory powietrzne, których jednak dotychczas nie odszukałem. Może twoje bystre oczy zdołają je odkryć.

Powiedział to głosem zwyczajnym, ale później zrozumiałem, że była w jego słowach ironia.

— Czy otworom do schodzenia można zaufać? — pytałem dalej. — Szyb jest zbudowany z cegieł nilowych, które kruszą się łatwo, można by więc stracić oparcie i spaść w głąb.

— To niemożliwe. Cegły są mocne, a zresztą mamy linę z sobą, którą się razem zwiążemy. Kto idzie naprzód?

— Ja nie — odrzekł Selim czym prędzej.

Jeżeli, na wypadek zamierzonej zdrady, nie miałem się dać wywieść fakirowi w pole, to musiał on iść przodem. Powiedziałem mu zatem, że musi nam przewodniczyć, a on zgodził się na to bardzo chętnie. To także uspokoiło moją nieufność względem niego. Fakir poszedł więc przodem, potem szedł Selim, a ja jako najsilniejszy na końcu. Gdyby się który z nich zesunął, miałem go zatrzymać na linie. Jeden jej koniec przewiązał sobie fakir pod ramionami, w środku umocowałem Selima, a drugi koniec owinałem sobie dokoła bioder i zawiązałem na węzeł.

Trudno było używać rąk i nóg przy schodzeniu i trzymać równocześnie płonąca pochodnię. Fakir znał szyb, więc światła nie potrzebował, Selimowi nie można go było powierzyć, a przy tym ręce miał zajęte, wspierając się nimi z całej siły o murowany zrąb ściany. Pochodnię więc musiałem nieść ja sam.

Ukląknęłam nad otworem i sięgnąłem ręką, by zbadać otwory w ścianach. Były dość wielkie i takie twarde, że nie było obawy, aby się pod naszym naciskiem kruszyły. Fakir zniknął wkrótce w otworze, a za nim ruszył Selim, odmawiając szeptem modlitwy.

— Świadczę, że nie ma Boga oprócz Boga, świadczę, że Mahomet jest wysłannikiem Boga!

W końcu wszedłem i ja, pomagając sobie nogami i prawą ręką, bo w lewej trzymałem pochodnię. Pierwsze kroki w dół były bardzo powolne, wkrótce jednak przyzwyczailiśmy się do położenia i odległości otworów i dalej szliśmy już prędzej. Nie mówiliśmy nic.

Liczyłem kroki. Rzeczywiście po dwudziestu otworach spostrzegłem przed sobą i za sobą poziomą sztolnię, którą wkrótce minąłem. Przechodząc, poświeciłem do jednej z nich, lecz światło było zbyt słabe, ażeby przeniknąć ciemności. Mieliśmy przed sobą jeszcze trzydzieści stopni, które miały nas doprowadzić do głównego korytarza. Kiedyśmy sztolnię minęli, zabrzmiał z góry śmiech, który się w wąskim chodniku okropnym echem odbił. Zdawało mi się, że to śmiech całej zgrai szatanów. Potem usłyszałem słowa:

— Tak sprowadza się psa chrześcijańskiego do wiecznego milczenia. Zgiń tam z głodu i z pragnienia, a potem obudź się w piekle!

Spojrzałem w górę i zobaczyłem dwie twarze, oświetlone blaskiem lampki tak jasno, że mogłem je poznać. Był to stary fakir i muzabir. Nie tracąc przytomności umysłu ani na chwilę, zrozumiałem od

razu, o co chodzi. Mieliśmy tu zostać zamknięci i zginąć nędznie. Należało działać szybko; musieliśmy czym prędzej wydostać się z powrotem w górę.

— Selimie, prędzej w górę — zawołałem — prędzej! Prędzej!

Oczywiście i sam zacząłem piąć się w górę, ale byłem związany z Selimem, a on mojego wołania nie usłuchał.

— Znasz mnie? — zawołał kuglarz z góry. — Chciałeś mnie, schwytać, a teraz sam wpadłeś w moje ręce i nikt nie wybawi ciebie, ani Selima.

— Nikt — dodał czcigodny starzec. — Zacząłeś mi już nic dowierzać, widziałem to, lecz byłeś na tyle głupi, iż poszedłeś za mną. Należę do świętej Kadiryny i ażeby się pomścić, czekałem na ciebie w Moabdah. Teraz giń, jak pies, gjaurze! Niech dusza twoja będzie potępiona na wieki wieków.

Nie odpowiedziałem im na to nic, gdyż każde słowo byłoby daremne. Ocalenie leżało w czynach, nie w słowach. Stojąc nogami w otworach i trzymając pochodnię w lewej ręce, i dobyłem noża i przeciąłem sznur, aby się w ten sposób od i Selima uwolnić. Widziałem dobrze, gdzie znajdowali się obaj nieprzyjaciele. Leżeli w owych sztolniach poprzecznych jeden; z jednej, drugi z drugiej strony i trzymali głowy nad otworem, w którym się znajdowałem. Trzeba ich było odpędzić, ale cała trudność przeprawy jasno mi się w oczach zarysowała. Wystarczyłoby tylko, żeby mnie uderzyli w głowę, gdy się wynurzę, a już byłoby po mnie. Ażeby temu zapobiec, musiałem ich pospędzać. Włożyłem więc nóż za pas, a wyjąłem rewolwer.

Niestety, miałem pochodnię, więc mogli dokładnie widzieć co robię. Zobaczyli u mnie broń i gdy zwróciłem ją w górę, zniknęły obie twarze i usłyszałem tylko głos muzabira:

— Strzelaj psie! Zobaczymy, czy trafisz.

Nade mną zrobiło się zupełnie ciemno i usłyszałem łoskot, jak gdyby ciężkie kamienie uderzały o siebie. Wziąwszy w zęby głównię rewolweru, tak że prawą rękę miałem znów wolną, wydostałem się jednym ruchem na miejsce, na którym obydwaj poprzednio leżeli, musiałem się jednak zatrzymać, nie mogąc iść dalej, bo płytą kamienną zamknęli zupełnie otwór. Byliśmy schwytani.

Wsparłem się głową o płytę, ażeby zbadać jej ciężar i nie mogłem jej podnieść. Strzeliłem do niej dwa razy, ale na próżno!

Ponieważ postać moja wypełniała całą szerokość szybu, nie mógł Selim widzieć, co się stało. Słyszał wprawdzie głosy, ale słów nie rozumiał. Teraz zapytał:

— Effendi, z kim ty tam w górze rozmawiasz? Dlaczego strzelasz? Czy się co stało?

— Tak, stało się, niestety. Jesteśmy zamknięci.

— Przez kogo?

— Przez tego starego świętego fakira.

— Jakżeż on mógł nas zamknąć? Przecież znajduje się pode mną!

— Mylisz się. Teraz jest on już nad nami.

— To niemożliwe. Byłbym go przecież chyba zauważył, gdyby się koło mnie usiłował przecisnąć, aby w tyle zostać.

— A jednak widocznie nie zauważyłeś tego. Odczepił się od powroza i wśliznął się skrycie w boczną sztolnię, by nas obok siebie przepuścić. Teraz zamknął szyb kamieniami i nie możemy się wydostać.

— Allach, l'Allach! A więc to prawda? — spytał głosem pełnym przerażenia.

— Tak, smutna prawda. Spróbowałem właśnie podnieść te kamienie, ale za ciężkie.

— Ja ci pomogę; idę!

— Zostań tam. Na nic mi się tu twoja pomoc nie przyda, bo na dwie osoby tutaj za ciasno.

— To spróbuj jeszcze raz, effendi! Jesteś silny, o wiele silniejszy ode mnie. Może uda ci się podnieść kamienie i usunąć przeszkodę.

— Dobrze, spróbuję jeszcze raz, ale jeśli się uda, to kamienie wpadną do szybu i głowy nam rozbiją. W każdym razie przysuń się bliżej, stój mocno i trzymaj się dobrze, ażeby cię na dół ze sobą nie porwały.

Podniosłem się jeszcze wyżej, ażeby zamiast głową podnieść Płytę plecami. Usłyszałem nad sobą głuchoe odgłosy i łoskot, z którego wywnioskowałem, że zbrodniarze wciąż jeszcze obciążają płytę kamieniami. Musieli w tym celu sprowadzić do bocznych sztolni znaczny zapas tego materiału.

Przyłożyłem zgięte plecy do płyty i spróbowałem ją podnieść, ale na próżno. Kiedy w końcu zebrałem wszystkie siły, poczułem, że cegły iłowe, na których stałem, zaczęły się poddawać się silniejszemu naciskowi i kruszyć. Tej drogi ocalenia trzeba się było wyrzec.

— No i jak? — spytał Selim trwożliwie.

— Cegły się kruszą i grozi nam niebezpieczeństwo, że runiemy w głąb szybu.

— O Allach, o łaskawy, o miłosierny! Jesteśmy zgubieni. Zginiemy w tej jaskini, a nikt nie będzie wiedział, gdzie zgniją ciała nasze i gdzie nasze kości zwietrzeją. O ja nieszczęśliwy, czemuż nie zostałem w domu marszałka!

— Nie lamentuj! Nie mamy jeszcze powodu do rozpacz.

— Tak sądzisz? — spytał pospiesznie. — Czy jest wyjście z tej biedy?

— Spodziewam się, że jest.

— Gdzie?

— Na dole. Tutaj górą nie przejdziemy. Musimy zejść na samo dno szybu.

— W takim razie zabrnijemy jeszcze głębiej w nieszczęście! Za wszelką cenę musimy tędy drogi szukać!

— To na nic. Przeszkody nie jestem w stanie usunąć, a gdyby mi się to nawet udało, to łotry zabiją nas, skoro tylko głowy z otworu wychylimy.

— Co za niebezpieczeństwo, co za położenie okropne! Członki mi się trzęsą, a dusza drży ze strachu!

— Nie wyj i zapanuj nad sobą, bo trzeba nam skupić wszystkie siły ciała i ducha, jeżeli chcemy ocaleć. Podaj mi przecięty powróż, bym cię mógł znowu do siebie przywiązać.

Znalazł koniec i podał mi go bezzwłocznie. Kiedy wiązałem węzeł, rzekł:

— Nie mogę pojąć, jak mógł ten stary tak szybko znaleźć się nad nami? Był przecież do mnie przywiązany.

— Widocznie odwiązał się po drodze i wśliznął się niepostrzeżenie do bocznej sztolni, gdzie muzabir na niego już czekał. Nie traćmy jednak czasu i schodźmy ostrożnie w dół.

— Ciekawym, jak daleko w głąb iść musimy?

— Fakir mówił o trzydziestu stopniach; nie wiem oczywiście, czy to prawda. W każdym razie kiedyś musi się ten szyb skończyć.

Zaczął się schodzenie. Selim liczył głośno otwory, a kiedy doszliśmy do trzydziestu, zawołał:

— Effendi, czuję pod sobą stały grunt.

— A więc zbadaj ostrożnie, czy cię uniesie.

— Trzyma, nie poddaje się, jest silny.

— To zaczekaj, zaraz idę.

Miał słuszość. Kiedy stanąłem obok niego, poświeciłem pochodnią dokoła. Znajdowaliśmy się w małej komnacie, podobnej do tej, do której szyb w górze uchodził. Grunt był z cegieł iłowych lecz pod nogami zauważyłem gładką płytę kamienną. Zeszliśmy nieco na bok, aby ją podnieść, a kiedyśmy ją dźwignęli, ukazał się otwór szybu wiodącego dalej w głąb.

— Popatrz — rzekłem — taka sama płyta była tam w górze w bocznych sztolniach. Ukryto ją, a potem, kiedy przeszliśmy, położono ją nad szybem i obciążono kamieniami.

— Niestety, pojmuję to teraz dokładnie — skarżył się długi. — Teraz nam już nic nie pomoże. Jesteśmy zgubieni i światła dziennego nie będziemy już oglądali. A życie takie piękne. Kto by przypuścił, że skończy się tak rychło i w taki sposób haniebnym!

Usiadł i zaczął płakać głośno i gorzko, ja tymczasem zabrałem się do przeszukania komnaty. Przede wszystkim zauważyłem z zadowoleniem, że powietrze jest dość znośne. Pochodnia nie paliła się wprawdzie całkiem jasno, ale zawsze tak, że wszystko wyraźnie widziałem. O gazach duszących nie było mowy, rozlegała się tylko woń wilgoci. Ściany, z czarnych cegieł nilowych zbudowane, trzymały się jeszcze mocno, tylko w jednym miejscu usunęły się nieco. Ukląkłem i jąłem badać otoczenie, aby się przekonać, czy w tym staroegipskim lochu możemy się poruszać bezpiecznie. Rezultaty badań uspokoiły mnie na jakiś czas. Selim płakał wciąż jeszcze, lecz już nie tak głośno jak przedtem. Nagle zdało mi się, że coś do mnie powiedział, ale jakoś dziwnie głucho i głosem nie swoim. Co mu się stało? Odwróciłem się do niego i widziałem, że siedział z korpusem pochylonym naprzód, z twarzą ukrytą w dłoniach, ale milczał.

— Czy to ty teraz westchnąłeś, Selimie? — zapytałem.

— Ja? Westchnąłem? Kiedy?

— Właśnie w tej chwili.

— To ci się zdawało.

— Nie, słyszałem twój głos całkiem wyraźnie.

Umilkłem, gdyż głuchy dźwięk zabrzmiał ponownie.

— Słyszysz? — zapytałem zdziwiony.

— Tak, effendi, teraz także słyszałem, całkiem wyraźnie słyszałem.

— Może to głos sypiącego się piasku? A jednak nie, dźwięk piasku brzmi trochę inaczej. Słyszałem go na pustyni wśród cichych nocy, kiedy śpiewał i jęczał podnoszony wiatrem. Jest to dźwięk metaliczny, jak gdyby krasnoludki trącały się małutkimi pucharkami. Ten głos był całkiem inny.

Kiedy przestałem mówić, dał się znów słyszeć i teraz wiedziałem już, skąd pochodził.

— Selimie! Ten głos pochodzi z głębi szybu! — zawołałem.

— Słusznie, bardzo słusznie! — przyznał, zrywając z przerażeniem i uciekając do kąta.

— Czego się lękasz? — zapytałem. — W pobliżu są ludzie.

— Ludzie? Tu nie ma ludzi! To duchy piekielne, łaknące dusz naszych.

— Milcz, tchórze!

— Ja tchórz? Effendi, jestem najsilniejszym z silnych i największym bohaterem mojego szczepu, ale na walkę z piekłem nie odważy się nawet najśmielszy ze śmiałych. Sprowadziłeś mnie na brzeg potępienia, a jeśli on się zapadnie, runiemy w otchłań, z której nie ma wyjścia na wieki. O Allach! Allach!

— A więc zostań tu i lamentuj, ja ginąć z tobą nie myślę.

— Sądysz, że jest jakiś środek ratunku? — spytał nagle. — Jeżeli tak, ja ci pomoc ofiaruję, effendi.

— Przede wszystkim porzuć skargi i zejdz ze mną dalej na dół, bo tam jest jakiś człowiek, któremu musimy pospieszyć z pomocą.

— Głosy, które słyszeliśmy przed chwilą, to były jęki potępieńców piekielnych.

— Głupcze! Ten człowiek może już bliski śmierci i zginie, jeśli będziemy zwlekali. Ja schodzę na dół, a ty rób, co ci się podoba.

Odwiązałem się od niego, owinałem powróż dokoła bioder i wsunąłem się w otwór.

— Effendi, ty naprawdę dalej iść zamierzasz? — zawołał. — A co będzie ze mną?

— Zostań sobie na górze!

— Sam? W takim okropnym miejscu? Nie, ja tutaj zostać nie mogę. Idę za tobą.

Rzeczywiście pospieszył za mną. Zeszliśmy ze czterdzieści stóp niżej, po czym zatrzymałem się, nadsłuchując. Niedaleko pod sobą usłyszałem wyraźnie głos ludzki:

— Ratunku! Ratunku! Zejdźcie tu do mnie!

— Idę — odpowiedziałem. — Zaraz będę przy tobie! Zsunąłem się jeszcze niżej i wkrótce stanąłem znowu na pewnym gruncie. Poświeciłem dokoła i znalazłem się w murowanej komnacie, w której niegdyś była woda. Prawdopodobnie była to odwieczna studnia. Pod ścianą siedziała postać, która teraz podniosła ręce i zawołała:

— Miejcie litość! Puśćcie mnie znów na górę! Ja was nie zdradzę. Wszak wam to już przyrzekłem.

— Nie bój się — odrzekłem. — Nie przyszliśmy po to, aby cię dręczyć. — Nie? Więc nie jesteście ludźmi Abd el Baraka, który mnie kazał zabić?

— Nie. Abd el Barak jest raczej moim najzawziętym wrogiem, którego sprzymierzeńcy zamknęli nas w tej studni.

— Allach! Więc wy także skazani jesteście na śmierć i nie możecie mi przynieść ocalenia?

— Nie trać ufności! Chcą nas tu wprawdzie zabić głodem i pragnieniem, spodziewam się jednak,

że unicestwię zamiar i że razem z nami zobaczysz światło dzienne. Jak długo znajdujesz się już w tym miejscu?

— Cztery dni.

— Zapewne giniesz z pragnienia.

— Nie, panie. Pragnienia nie odczuwam, bo tu wilgotno, a mur ocieka wodą, ale głodny jestem. Już cztery dni nic w ustach nie miałem, a teraz jestem tak osłabiony, że się już podnieść nie mogę.

Muszę wspomnieć, że w wolnych godzinach wychodziłem na dziedziniec, by ogiera całkiem oswoić. Za każdym razem niosłem mu pełną kieszęń daktyli. Dziś także napełniłem kieszeń, ale nie miałem sposobności wyjść na dziedziniec. Te właśnie daktyle teraz się przydały. Wyjąłem je z kieszeni i dałem biedakowi. Na ten widok powiedział Selim:

— I ja mam także zapasy. Marszałek dał mi kebab*, bo sądził, że będę głodny. Masz i jedz!

Daktyle i mięso wystarczyły do nasycenia głodnego. Był młodzieniec zaledwie w wieku dwudziestu lat, nie arabskich rysów twarzy, a wywarł na mnie niezwykle dodatnie wrażenie. Ubrany był w niebieskie płócienne spodnie i bluzę ściągniętą pasem skórzanym, a na głowie miał nieunikniony fez. Jadł, nic nie mówiąc, a kiedy skończył, powstał i rzekł:

— Dzięki Allahowi! Jadło mnie posiliło, choć mi w krew jeszcze nie przeszło. Kto wy jesteście? Powiedzcie mi was imiona, ażebym wam mógł podziękować.

Na to odpowiedział Selim czym prędzej:

— Imię moje takie słynne i długie, że nie zdołałbyś go wymówić, gdybym ci całe powiedział. Zapamiętaj sobie więc tylko tyle, że nazywam się Selim i jestem największym bohaterem swojego szczepu, a zarazem obrońcą tego effendiego.

— Te wyjaśnienia zbyt wiele — przerwałem mu. — Kto my jesteśmy, o tym dowie się jeszcze ten młodzieniec. Potrzebniejsze to, żebyśmy wiedzieli, kim on jest i jak się tu dostał.

— Nazywam się Ben Nil — odpowiedział.

Słowa te znaczą tyle, co syn Nilu, więc zapytałem:

— Urodziłeś się zatem na brzegu rzeki?

— Nie na brzegu, lecz na samym Nilu. Matka moja znajdowała się na statku w chwili, kiedy światło dzienne ujrzałem.

— Ojciec Nilu to pewnie dziad twój. Musi więc być żeglarzem.

— To najlepszy sternik nilowy.

— Jak dostałeś się tutaj?

— Kazano mi zabić pewnego człowieka i nie chciałem tego uczynić. Za karę sprowadzono mnie tu, gdzie mam zginąć marnie.

— To bardzo pięknie z twojej strony, że nie chciałeś brać udziału w zbrodni. Kto tego od ciebie żądał?

— Było ich trzech, ale boję się zdradzić, bo dwaj z nich są potężnymi ludźmi.

— Domyślam się, że między nimi jest Abd el Barak.

— Masz uczciwe oblicze, więc ci zaufam. Istotnie jednym z nich był Abd el Barak, drugim słynny fakir a trzecim kuglarz.

— Ci dwaj ostatni właśnie zwabili nas tutaj.

— Więc jesteśmy towarzyszami niedoli. Powiem wam wszystko, choć wam zapewne obojętne, kogo miałem zabić.

— Owszem, będzie mi to bardzo na rękę, gdy dowiem się czegoś bliższego o zamiarach moich wrogów. Kogóż to miałeś zabić?

— Cudzoziemca i chrześcijanina, uczonego effendiego, który wykroczył przeciwko świętej Kadirinie.

— Czy należysz do Kadiriny?

— Jestem z jej sług najniższym.

— A mimo to nie posłuchałeś!

Jestem człowiekiem uczciwym i wiem, że bliźnich zabijać nie wolno. Tylko na wypadek wojny, krwawej zemsty albo ciężkiej obelgi zabiłbym przeciwnika. Poza tym wyświaczył ten cudzoziemiec wielką przysługę mojemu dziadkowi.

— Czy wolno wiedzieć, jaka to przysługa?

— Tak. Dziadek był sternikiem okrętu handlarza niewolników i miał być za to ukarany, a ten chrześcijanin pozwolił mu umknąć potajemnie. Żadną miarą nie mogłem się zdobyć na to, aby zgładzić ze świata dobroczyńcę mojego dziadka.

— Postąpiłeś słusznie i spodziewam się, że ci się za odwdzięczę.

— Ty, panie?

— Tak, ja, gdyż właśnie jestem owym cudzoziemcem, którego miałeś zamordować.

— Czy mówisz prawdę, effendi?

— Najzupełniejszą prawdę. Zapytaj mego towarzysza, zresztą mogę ci to udowodnić także w inny sposób.

— To byłby kismet, którym cieszyłbym się, jak jeszcze nigdy w życiu.

— Imienia twego dziadka nie słyszałem i dowiedziałem się o nim dopiero od ciebie. Był on sternikiem okrętu, dążącego do Sijut. Zaledwie jednak opuściliśmy port w Bulak, przybił w Gizeh do brzegu.

— Tak, to prawda.

— Miałem jechać tym statkiem. Wieczorem przyszedł na pokład kuglarz, żeby mnie okraść, a potem miałem być zamordowany.

— I to prawda. Słyszałem to od mego dziadka. Czy wiesz, jak nazywał się statek?

— Oczywiście. Była to dahabieh „eh Semek”, ryba.

— Mówisz prawdę, effendi. A więc to ty tak dobrotliwie postąpiłeś z moim dziadkiem. Panie, dziękuję ci, dziękuję ci!

Ujął mnie za rękę i przycisnął ją do piersi.

— Skądże ty jednak masz o mnie wiadomości? — pytałem. — Mógł ci to wszystko opowiedzieć jedynie dziadek a on przecież miał się udać do Gubator do syna, a ty jesteś tu w Sijut.

— Dziadek mój nie mówił ci prawdy; on się do Gubator bynajmniej nie wybierał. Postąpiłeś z nim wprawdzie dobrotliwie, lecz jesteś chrześcijaninem. Wiedz, że i ja należałem także do załogi dahabieh, ale podczas poprzedniej jazdy w dół zachorowałem i zatrzymałem się w drodze. Dziadek powiedział ci wprawdzie, że zmierza do Gubator, ale władze mogły się łatwo dowiedzieć, że ma tam rodzinę i byłyby go odszukały bez trudu. Wolał więc wyruszyć w górę rzeki, gdzie ja na niego czekałem. Spotkał się ze mną i opowiedział, co się stało. Szczęściem znalazł natychmiast miejsce na statku płynącym do Chartumu. Zatrzymał się więc przy mnie dzień jeden, polecił mi udać się do Gubator i oznajmić tam, jakie go spotkało nieszczęście.

— Czemu z nim nie pojechałeś, tylko zostałeś tutaj?

— Chciałem tak zrobić, lecz spotkałem Abd el Baraka, mokedema świętej Kadiriny...

— Gdzie się z nim spotkałeś? — zapytałem.

— Tu na ulicy.

— Czy wiesz, gdzie on mieszka?

— Nie. Kazał mi przyjść za miasto. Kiedy się tam zjawiłem, zastałem razem z nim fakira i kuglarza i wszyscy trzej żądali ode mnie, bym ciebie zabił.

— Przecież ty mnie nie znałeś!

— O, wiadano bardzo dobrze, że przybędziesz statkiem reisa effendiny i miano mi cię pokazać.

— Nie zgodziłeś się więc na morderstwo. Jak to przyjęto?

— Zwiedli mnie; udali, że mój opór przyjmują obojętnie, a potem wezwali mnie, abym z fakirem i kuglarzem poszedł do grobu-marabuta.

— Abd el Barak z wami nie poszedł?

— Nie. Musiał odjechać.

— Dokąd?

— Tego nie mogłem się dowiedzieć. Słyszałem tylko kilka tajemnych słów, z których wnoszę, że zamierza któregoś z handlarzy niewolnikami ostrzec przed resem effendiną.

— Więc sądzisz, że go już nie ma w Sijut?

— Nie zdaje mi się, aby to było prawdopodobne.

— Hm! Wmówiono więc w ciebie, że tu jest grobowiec-marabut?

— Tak. Dlaczegoż miałbym nie wierzyć? Fakir, który mi powiedział, jest przecież człowiekiem świętym.

— Tak, tak, świętym, który kłamie i morduje. Zbyt jesteś łatwowierny.

— Nie dziw się, effendi! Przecież i ciebie zdołał on tu zwabić.

— Masz słuszość! Nie byłem ostrożniejszy od ciebie i zasłużyłem na te same zarzuty. Czy w tym miejscu nigdy przedtem nie byłeś?

— Nigdy.

— A więc żadnych wyjaśnień nie możesz mi udzielić?

— Najmniejszych, effendi.

— To źle. Nie wiesz przypadkiem, czy jest stąd jakie wyjście?

— Nie ma żadnego. Szukałem i nie znalazłem go nigdzie.

— Po ciemku oczywiście trudno było chyba jakieś wyjście odszukać!

— Tak, widziałem jednak przy świetle, zaraz kiedy mnie tu wprowadzono, dwa boczne korytarze...

— Znam te sztolnie — wtrąciłem — lecz prowadzą niedaleko.

— Może prowadzą na zewnątrz i przysypane są piaskiem, ja nie wiem. Bądź co bądź w jednej z nich byłem. Leżała tam gruba płyta kamienna, wiele luźnych kamieni i kilka glinianych kaganków, napełnionych oliwą. Kilka z nich zapalonych, a ja wziąłem z sobą jeden i poszedłem przodem. Zaledwie zszedłem kilka stopni w dół, oświadczono mi, że muszę umrzeć, bo mógłbym zdradzić tajemnicę, że obcy effendi ma być zabity.

— Biedaku! A więc cierpiałeś za mnie?

— To prawda, że cierpiałem, effendi. Sądziłem początkowo, że ze mnie żartują, kiedy jednak studnię zamknięto płytą i pokryto kamieniami, poznałem, że to nie żarty. Wołałem, prosiłem, błagałem, ale na próżno. Przekonałem się że górnym wyjściem nie zdołam się na świat boży wydostać i zszedłem niżej. Zbadałem cały szyb i tę komórkę studzienną i nigdzie nie znalazłem wyjścia. Potem zgasła mi lampa a skorupy leżą tam w kącie. Wreszcie i ja zacząłem gasnąć. W tych kilku dniach wspiałem się w ciemności ze sto razy w górę i zszedłem na dół. Zdaje mi się, że byłem bliski obłądu. Ryczałem, szalałem jak furiat, aż mi sił brakło i położyłem się tutaj.

— Skąd wiesz, że jesteś tu już cztery dni?

— Mam zegarek; o ten! Stary majtek darował mi go w Aleksandrii. Wydobył z kieszeni w spodniach stary, wielki jak słońceznik zegarek, pokazał mi go i powiedział:

— Z tysiąc razy dotykałem wskazówek i już śmierć szumiała mi w uszach, kiedy was usłyszałem nad sobą. Chciałem się wdrapać na górę, aby się do was zbliżyć, ale już byłem za słaby. Czy może słyszeliście moje wołanie?

— Tak, słyszeliśmy. Nie mów już więcej, bo jesteś zbyt osłabiony. Usiądź i spocznij, ja tymczasem rozpocznę poszukiwania.

— Nic nie znajdziesz — oświadczył i usiadł.

— I ja jestem pewien, że na tym poziomie poszukiwania są daremne. Znajdujemy się daleko poniżej podstawy wzgórka, więc stąd chyba nie ma korytarza na zewnątrz. Wyjście jednak musimy znaleźć, choćbyśmy je mieli własnymi rękoma wykopać.

— Żeby czegoś podobnego dokonać, trzeba by pracować całe tygodnie a tymczasem z głodu pomrzemy.

— Co do mnie, wcale się jeszcze na drugi świat nie wybieram, przeciwnie, mam przekonanie, że wkrótce zobaczymy światło dzienne.

— O, effendi, żeby to była prawda! — lamentował Selim. — Nerwy moje stargane, nadzieja już

umarła. Musimy tu zginąć. Czemu Allah właśnie mnie taki kismet przepisał?

— Dlaczego jęczysz? — spytał Ben Nil. — Nazwałeś się przedtem największym bohaterem swojego szczepu. Jeśli nim jesteś istotnie, to szczep ten składa się chyba z samych kobiet.

— Nie obrażaj mnie! Przyznałeś się sam przecież, że jak wół ryczałeś ze strachu.

— Tak, ale wtedy byłem sam, a teraz jest nas trzech.

Selim zawrzał gniewem i chciał mu coś odpowiedzieć, kazałem mu jednak milczeć, gdyż zacząłem badać mury, pukając po ścianach, ażeby odkryć poza nimi jakieś puste miejsce. Poszukiwania te nie dały zadowalającego rezultatu. Powietrze psuło się z każdą chwilą i już chociażby z tego powodu należało wydrapać się wyżej. Miałem nadzieję zresztą, że na górnych poziomach łatwiej zdołam znaleźć ukrytą drogę.

— Ale jak ja się stąd wydostanę? — spytał Ben Nil. — Jestem taki słaby, że nie zdołam wydostać się na górę.

Obwiązałem go powrozem, którego drugi koniec przewiązałem sobie Selim przez pierś. „Obrońca” mój musiał iść pierwszy, ja zaś wziąłem Ben Nila na barki i powoli podnosiłem go w górę. Przy pomocy Selima zdołałem go bez wielkiego wysiłku wynieść do poprzedniej komnaty. Jakie szczęście, że byliśmy zaopatrzeni w pochodnie. Druga wypaliła się wprawdzie niemal do końca, lecz mieliśmy jeszcze cztery. Przybywszy do wspomnianej komnaty, upatrzyłem odpowiednie miejsce i zacząłem natychmiast wybierać ziemię rękami, w której to robocie także Selim gorliwy wziął udział. Ben Nil trzymał pochodnię. Dziwnym trafem dobre miejsce wybrałem, bo już po kilkunastu minutach pracy dogrzebaliśmy się do jakiegoś nowego korytarza. Selim nie posiadał się z radości i pełen zdumienia pytał:

— Effendi, skąd ty wiedziałeś, że w tym miejscu kopać należy?

— Nie wiedziałem, ale odgadłem. Powietrze tu takie znośne, że od razu przyszło mi na myśl, że ta komora musi być dołączona ze światem zewnętrznym. Ponieważ zaś w tym miejscu nie było muru, tylko ściana piaskowa, nietrudno było chyba rozstrzygnąć, gdzie nam robotę rozpocząć należy.

Kopaliśmy dalej wytrwale, zresztą Selima już do gorliwości zachęcać nie potrzebowałem, bo z każdą chwilą rosły jego siły i bohaterski animusz. Ben Nil przyświecał nam pochodnią, modląc się do Allacha i od czasu do czasu odgrażał się złoczyńcom.

— A więc sądzisz, że się ocalimy?

— Jeszcze ani chwili o tym nie wątpiłem. Na zewnątrz musimy się wydostać w każdym razie, jeśli nie tu, to gdzie indziej. Ten fakir nie jest człowiekiem zdolnym do zatrzymania nas tutaj. On nie ma pojęcia, jakimi środkami rozporządza człowiek myślący i energiczny. Kop dalej!

— Jeśli się stąd wydostaniemy — mówił — biada tym, którzy nas tu zamknęli podstępem.

— Zmiażdżę tego fakira! — zgrzytnął Selim, rzucając poza siebie garść piasku. — Żebyśmy tylko stąd wyszli!

— Wyjdziemy — odrzekłem. — Zdaje mi się nawet, że wiem, w którym miejscu wydostaniemy się na wolne powietrze. Posuwamy się mianowicie ku południowi, a więc w tę stronę, w której się marszałek do lochu zapadł. Nie wątpię, że na tę właśnie dziurę natrafimy, jeśli tylko korytarz nie zboczy z prostej linii.

W ciągu godziny przedostaliśmy się przez część przewodu podziemnego, na wpół piaskiem zasypanego, dalej mieliśmy drogę otwartą, w której już swobodniej mogliśmy się poruszać. Kazałem Selimowi zostać przy Ben Nilu, a sam poszedłem naprzód, aby drogę zbadać w całości. Korytarz ten był długi na jakie pięćdziesiąt kroków. Wreszcie skończył się, a raczej był zasypany tym samym miążkim piaskiem, jaki nam z początku przejście tamował. Namyslałem się właśnie, czy mam się zabrać do roboty i tę przeszkodę usunąć, czy też zawiadomić najpierw Selima i Ben Nila, kiedy usłyszałem za sobą głos pierwszego:

— Dzięki Allachowi, że mam cię znowu!

— Po coś tu przyszedł?

— Bo nie mogłem już dłużej wytrzymać w ciemności.

— Boisz się?

— Wiesz dobrze, effendi, że się niczego nie lękam, ale ten mały Sen Nil bał się bardzo.

— I dlatego, że się bał, zostawiłeś go samego. Masz szczególny sposób okazywania odwagi. Trzymaj pochodnię, ja będę kopał.

Piasek ustępował bardzo łatwo, zresztą nie było go wiele, bo już po upływie kilku minut poczułem płynące ku mnie świeże powietrze, a chwilę później oblało mnie światło dzienne. Znalazłem się w piaskowej jamie, w tej samej, z której wyciągaliśmy grubasa. Moje obliczenie a raczej domysł nie był fałszywy.

Zacząłem pełnymi piersiami wciągać w siebie powietrze, kiedy precisnął się do mnie Selim i zawołał z tryumfem:

— Allach ‘1 Allach! Chwała niebu i wszystkim świętym kalifom...

— Milcz już i daj spokój kalifom, ośle! — huknąłem nań stłumionym głosem. — Czy chcesz nas zdradzić?

— Zdradzić? — spytał z tak głupią miną, jakiej dotychczas, nie widziałem.

— Pewnie, że zdradzić!

— Przed kim?

— Przed tymi, którzy nas tu zamknęli?

— Ależ oni właśnie powinni się dowiedzieć, że jesteśmy wolni.

— Byle tylko nie dowiedzieli się przedwcześnie. Jeśli jeszcze są tutaj, może się nam uda ich schwytać, jeśli jednak usłyszą twoje głupie wołanie, uciekną, i potem będziemy ich szukali, jak wiatru na pustyni.

— Masz słuszość, effendi. Schwytajmy ich, ja to uczynię i już się więcej z moich rąk nie wymkną. Ukarzę ich i zmiążdżę.

— Milcz! Ja wyjdę na zwiady, ty tymczasem wróć do korytarza i przyprowadź Ben Nila.

— Ja? — spytał przerażony. — To nie może być.

— Jesteś tchórzem, jakich mało na świecie. Jeśli cię tutaj zostawię, kto wie, czy nie popsujesz wszystkiego, a do korytarza wrócić nie chcesz. Czego się boisz?

— Wcale się nie boję!

— No to idź.

— Wolę jednak zostać tutaj.

Tego głupca niepodobna było istotnie zawrócić do korytarza, musiałem więc pójść sam, ale odchodząc, nakazałem mu ostro, aby się zachowywał spokojnie i bezzwłocznie cofnął do korytarza, gdyby przypadkiem ludzkie kroki posłyszał. Ben Nila zastałem siedzącego w tym samym miejscu, w którym go zostawiłem.

— Jaką wieść przynosisz, effendi? — spytał.

— Najlepszą. Jesteśmy wolni. Za chwilę wydostaniemy się na powierzchnię ziemi.

Młodzieniec, słysząc te słowa, padł na kolana i odmówił głośno modlitwę dziękczynną. Potem wyciągnął do mnie obie dłonie i powiedział:

— Panie, tej chwili nie zapomnę ci nigdy. Jeśli znajdę sposobność, aby ci się wywdziękzyć, a nie uczynię tego, niech mnie się Allah wyprze i niech mnie do niebios nie wpuści. Gdzie twój towarzysz Selim?

— Stoi już w świetle dziennym.

— Wiesz, effendi! Selim się bał jak stara baba i nie mógł tu dłużej wytrzymać. Czy mam iść z tobą?

— Oczywiście! Przyszedłem po ciebie. Pytanie tylko, czy ci sił starczy. Korytarz dosyć długi a taki wąski i niski, że nie będę ci mógł pomagać.

— Mnie już nie potrzeba pomocy. Daktyle i kebab posiliły mnie a pewność ocalenia podwoi moje siły. Idź naprzód, ja za tobą!

Pokazało się, że dobra wieść rzeczywiście przywróciła siły Ben Nilowi. Wkrótce zobaczyliśmy światło dzienne, Selima Jednak w jamie nie było. Stał już gdzieś ponad otworem i wołał głośno:

— O psy, psie syny i psie wnuki. Uciekajcie, tchórze, uciekajcie, bo rozgnieciemy was pomiędzy palcami. Jam jest Pierwszy wojownik i największy bohater świata. Uciekajcie, bo będziecie zgubieni.

Przywołałem go nad brzeg jamy.

— Miałeś przecież być cicho i nie wychylać się z ukrycia! — huknąłem na niego gniewnie. — Czego wrzeszczysz?

— Muszę przecież tym psim synom powiedzieć, co o nich myślę — odrzekł

— Jakim psim synom?

— Fakirowi i kuglarzowi. O, tam biegną do domu co sił i starczy.

— W jaki sposób wydostałeś się z jamy?

— Przy pomocy rąk i nóg. Czy nie dosyć długie?

— Nawet zanadto, ale wolałbym, żebyś był został na dole.

— Nie wytrzymałem, effendi! Przypomniałem sobie tych łotrów i opanowała mnie taka wściekłość, że nie mogłem się opanować. Duch męstwa mną zawładnął i chciałem czym prędzej spotkać się z łotrami. Właśnie stanąłem na górze, kiedy obu ujrzałem.

— Skąd nadchodzili?

— Z góry. Ryknąłem na nich wściekle, oni tak się przełękli, że nogi ich nabrały szybkości nóg gazelich. Jeszcze teraz widać ich biegnących.

— Przytrzymaj powróż. Muszę ich w każdym razie zobaczyć.

Rzuciłem mu koniec powroza i wywindowałem się na brzeg jamy. Istotnie biegli tak szybko i byli już tak daleko, że nie można by ich było doścignąć. Ten Selim znów wszystko popsuł. Toteż huknąłem na niego z gniewem:

— Tyś temu winien, ty stary, niepoprawny gaduło! Gdybyś był ust nie otwierał, byliby wpadli w nasze ręce, a tak, dzięki tobie, uszli.

— Nie bój się. Schwytny ich, skoro tylko przybędziemy do Sijut. Nikt mi się jeszcze nie wymknął, kogo schwytać chciałem.

— A czemu tych nie schwytaleś?

— Bo... bo... nie chciałem — wyjąkał.

— Aha! Nie chciałeś?

— Tak. Przecież nie mogłem was tu samych zostawić, a te draby pędziły tak szybko, że chcąc ich schwycić, musiałbym się od was na dłuższy czas oddalić.

— Gdzież byli, kiedy ich spostrzegłeś?

— Schodzili z pagórka. Na mój widok stanęli zdumieni; ja ryknąłem na nich z gniewem, a oni uciekli pełni trwogi.

— Jeden zając złąkł się drugiego.

— Drugiego? Czy wątpisz w moją odwagę?

— Zaiste. Bałeś się dziury i dlatego z niej wylazłeś, a potem na ich widok ryknąłeś ze strachu. Że uciekli, to najcenniejsze w tym wszystkim. Gdyby mieli więcej odwagi, źle byłoby z tobą i z nami. Z tobą uporali się rychło, a potem, gdybym ja przyszedł, to stojąc w jamie, nie wskórałbym nic przeciwko nim stojącym na górze.

— Zobaczylbyś, czy by ze mną poszło im tak łatwo. Bardzo żałuję, że walczyć ze mną nie chcieli. Zmełłbym ich w rękach na mąkę. Zresztą jestem pewny, że nam i tak nie ujdą. Doniesiemy o nich policji...

— A policja wysłucha nas i założy ręce.

— To przedłóż sprawę swojemu konsulowi. Przecież tu jest.

— Ani mi się śni. Sprawą, którą sam mogę załatwić, nie będę trapił drugich. Podaj mi sznur; wyciągniemy Ben Nila.

Chłopak owinał sobie sznur pod pachami i niebawem znalazł się przy nas. Teraz już nie wątpił o swoim ocaleniu, padł więc znowu na kolana, by dzięki Allachowi złożyć. Słońce paliło silnie a mimo to wydawało nam się powietrze balsamicznie ożywcze. Zostawiłem Ben Nila na dole, a sam poszedłem z Selimem. Wejście było otwarte, a ślady nie pozacierane.

— Widzisz, Selimie! Te ślady dowodzą, że ich spłoszyłeś. Stali tutaj na straży i bylibyśmy ich pochwycili na pewno, gdybyś tak głośno nie krzyczał i swoich kalifów pozostawił w spokoju!

— Effendi, jestem wiernym muzułmaninem i mam obowiązek dziękować Allachowi za wszystko dobre.

— Tak, ale dziękować po cichu, a nie ryczeć jak bawół. Allach widzi i słyszy nawet myśli, Mahometa możesz sobie darować, a kalifom będzie także lepiej, jeśli ich zostawia w spokoju.

Zejdźmy do szybu!

— Effendi, nie igraj z piekłem! Raz uszedłeś, ale drugim razem nie wypuściłoby cię ze swoich objęć.

— Nie bądź głupcem! Czy tam w studni widziałeś choć jednego diabła?

— Więcej niż jednego. Widziałem wszystkich diabłów i płomienie piekielne.

— Więc zostań tutaj, ty i tak przeszkadzasz mi więcej aniżeli pomagasz.

Chciał mnie zatrzymać, nie zwracałem już jednak na niego uwagi, zapaliłem pochodnię i zszedłem do szybu. Bez trudu dostałem się do bocznych sztolni. Były otwarte, lecz szyb był zamknięty kamienną płytą, obciążoną teraz ogromną masą czarnych cegieł mułowych. Nie dziwiło mnie wcale, że tego ciężaru nie zdołałem podźwignąć. Zbadałem boczne sztolnie; nie były długie i widocznie miały za zadanie doprowadzać powietrze do szybu. W jednej z nich stały lampki, o których Ben Nil wspominał. Rozdeptałem je i wróciłem na świat.

Kiedy zesliśmy na dół do Ben Nila, wstał z ziemi i powiedział:

— Effendi, ślubowałem właśnie Allachowi nie spocząć, dopóki nie zemszczę się na Abd el Baraku, kuglarzu i fakirze. Czy tobie religia mścić się pozwala?

— Nie. Zemsta należy do Boga, ale każdy czyn zły powinien być ukarany i dlatego każdy człowiek ma obowiązek: dołożyć starań, aby zbrodniarza uczynić nieszkodliwym.

— Więc chcesz, ażeby ci trzech należyłą karę otrzymali?

— W każdym razie nie ja będę ich sędzią. Nie wniosę też do sądu skargi przeciw nim, wiem bowiem, że zaszkodziłoby to raczej sprawie aniżeli pomogło. Nie wątpię zresztą, że sami funkcjonariusze sądowi ostrzeżliby tych drabów.

— A zatem cóż chcesz uczynić?

— Będę ich śledził, a jeśli który z nich dostanie się w moje ręce, zaskarżę go i nie spocznę, dopóki nie zostanie ukarany.

— Zanim go ty zaskarżysz, zginie od noża mojego. Najgorszy z nich wszystkich to ten obłudnik Abd Asl, gdyż wszyscy uważają go za najpobożniejszego człowieka, a to tymczasem diabeł w ludzkiej postaci.

— Abd Asl? — zapytałem zdumiony. — Czy to może nazwisko świętego fakira?

— Oczywiście.

— A czy znasz imię Ibn Asl?

Zapytany spojrział na mnie badawczo, a potem spytał:

— Pytasz mnie, bo przypominasz sobie dahabieh, na której jako majtek służyłem.

— Mylisz się. Najzupełniej mi obojętne, czy na tym, czy na innym statku służyłeś.

— Więc powiem ci, że bardzo dobrze znam imię Ibn Asl.

— Czy ten człowiek spokrewniony z Abd Aslem?

— Ibn Asl to jego syn, którego nazywają zwykle el Dżazur, śmiały.

— Dziękuję ci, bo ta wiadomość otwarła mi ostatecznie wrota tajemnicy, której rozwiązanie było bardzo trudne. Czy byłeś kiedy w Chartumie?

— Już nieraz.

— Znasz tam kupca nazwiskiem Barjad el Amin?

— Nawet bardzo dobrze.

— Co to za człowiek?

— Uważają go powszechnie za uczciwego i zdaje mi się, że on na to zupełnie zasługuje.

— Bardzo się z tego cieszę.

— Czy może wybierasz się do Chartumu?

— Tak

— Effendi! Jeśli ci potrzeba służącego, weź mnie z sobą! Jestem ubogi, ale nic nie będziesz mi płacił. Dasz mi jeść tylko.

— Dobrze, podobasz mi się i biorę cię z sobą. Ponieważ jesteś żeglarzem, uda mi się może dobrą zapewnić ci służbę.

— Serdecznie ci dziękuję, effendi. Kiedy odjeżdżasz? Nie wiem jeszcze, bo czekam w Sijut na towarzysza.

— A co będzie, jeśli on już dzisiaj nadjedzie? Dziś jeszcze nie mógłbym z tobą jechać, gdyż przedtem muszę jedną ważną sprawę załatwić.

— Masz czas, bo i ja muszę przed wyjazdem do Chartumu udać się do Moabdah, gdzie mam nadzieję spotkać fakira Abd Asla.

— I ja dlatego zostaję, aby się z nim rozprawić. Muszę się na nim zemścić.

— Zostaw to mnie!

— Nie, effendi! Mamy równe prawa, a kto z nas dwu przyjdzie pierwszy, temu drugi ustąpi.

— Jakże się zemścisz, kiedy nawet noża przy sobie nie masz.

— Fakir mi go odebrał pod pozorem, że do grobowców nie wolno wnosić broni. Spodziewam się jednak, że gdy zostanę twoim służącym, pożyczysz mi noża.

Młodzieniec ten wywarł na mnie nadzwyczaj korzystne wrażenie. Mówił skromnie ale stanowczo a wyraz jego twarzy zdradzał niezwykle wysoki stopień rzetelności. Znał zresztą dokładnie całą okolicę Nilu i mógł mi w czasie podróży oddać nieocenione przysługi.

Wyjaśniło mi się teraz wiele rzeczy, poprzednio dla mnie niezupełnie zrozumiałych. Chłopak, który przyszedł był po mnie i stary ogrodnik, którego spotkałem za miastem, musieli wiedzieć, co się ze mną stać miało. Nie ulega wątpliwości, że obaj byli członkami świętej Kadiriny. Fakir powiedział mi imię swoje i syna. Powiedział mi, iż Ibn Asl jest najsłynniejszym łowcą niewolników i że on Ben Wazakowi z Moabdah urządził złośliwego figla. Tych wiadomości mógł mi udzielić tylko w napadzie pychy, pewnym będąc, że się już z rąk jego nie wywinę i słowa jednego z jego opowiadania nie będę mógł nikomu powtórzyć.

Ruszyliśmy ku miastu. Ze względu na Ben Nila szliśmy powoli i dopiero po upływie godziny dotarliśmy do pierwszych domów miasta. Tam zapytałem Ben Nila, czy umie obchodzić się z bronią.

— Tak — odpowiedział.

— A jak tam z twoją odwagą?

— Wystaw mnie na próbę, effendi!

— Zobaczymy, jak się popiszesz! — rzekł Selim. — Niejeden sądzi, że ma odwagę a to nieprawda. Patrz natomiast na mnie. Jestem bohaterem bohaterów i najśmielszym ze śmiałych.

— Twoje bohaterstwo poznałem dzisiaj dokładnie — odpowiedział Ben Nil ironicznie.

— Nieprawda? Zszedłem w otchłanie piekieł, ażeby ciebie wybawić, a kto wie, czy bez mojej pomocy effendi zdołałby wyjście odszukać; wszak pamiętasz, jak umiejętnie przyświecałem mu przy robocie.

— Czy do tej czynności potrzeba tak wielkiej odwagi?

— No nie. Wspominam o tym tylko dlatego, ażeby dowieść, że obok śmiałości i męstwa mam także inne zalety niezbędnie potrzebne temu, kto chce jeńca z więzów wyzwolić. Zostałeś sługą effendiego, a ponieważ jestem jego obrońcą, będę więc także i twoim i spodziewam się, że będziesz mi tak samo posłuszny, jak jemu.

Słyszałem całą rozmowę i uważałem za stosowne sprostować nieco wywody długonogiego

tchórza.

— Selim nie jest wcale moim obrońcą. To służący towarzysza, na którego czekam. Otóż i wszystko.

— Panie! Znowu chcesz poniżyć mą godność! — zawołał Selim. — Nazywasz mnie sługą! Jestem marszałkiem domu, przyjacielem i powiernikiem Murada Nassyra.

— W takim razie Ben Nil jest w tym samym stopniu moim przyjacielem i powiernikiem. Jest ci więc zupełnie równy i nie ma wcale obowiązku wypełniać twoich rozkazów.

— Ale on nie jest najślynniejszym bohaterem swojego szczepu.

— Tego twierdzić nie możesz, ponieważ go nie znasz. Łatwo być może, że jego sława jest większa i bardziej uzasadniona aniżeli twoja. Mówisz tyle o swoim szczepie a nie powiedziałeś mi dotąd, skąd naprawdę pochodzisz.

— Jeszcze nie? A więc słuchaj i zdumiewaj się! Jestem synem szczepu najdostojniejszego ze wszystkich, jakie na ziemi żyją. Mam na myśli szczep Beni Fessara.

— Tam w górze w Kordofanie?

— Tak jest, stamtąd pochodzę.

— Dlaczegoż szczep swój opuściłeś?

— Bo nie prowadził już wojen. Taki bohater jak ja chce walczyć i na krew patrzeć, a ponieważ w ojczyźnie mojej nastał już pokój trwały, odszedłem.

— A gdzie walczyłeś?

— Wszędzie. Przeszedłem wszystkie kraje kuli ziemskiej i walczyłem ze wszystkimi dzikimi zwierzętami i ludźmi. A teraz niech ten Ben Nil powie, do którego szczepu należy!

— Jestem Beduinem Uelad—Ali — odrzekł zapytany.

— A z kim walczyłeś?

— Jeszcze z nikim.

— W takim razie jesteś wobec mnie, jak tchnienie wiatru wobec potężnej skały na pustyni i możesz bez wstydu w pyle przede mną uklęknąć. Jeżeli jednak okażesz się godny mojej łaski, będę wspaniałomyślny i na bohatera cię wyprowadzę.

— A ja — wtrąciłem śmiejąc się — dostarczę mu broni.

Przechodziliśmy właśnie przez bazar rusznikarski. Wstąpiłem z nimi do sklepu i kupiłem Ben

Nilowi nóż, dwa pistolety i strzelbę. Rozpływał się z wdzięczności, przewiesił flintę przez ramię, wsunął za pas nóż i pistolety i szedł obok Selima dumny jak król. Chciałem mu jeszcze kupić ubranie, oczywiście tanie, ale na to był czas do jutra. I moje także było zniszczone bardzo, gdyż wiele ucierpiało podczas przeprawy w podziemiu. Oba te zakupy odłożyłem na dzień następny.

Kiedyśmy do pałacu wrócili, zaprowadziłem Ben Nila do koniuszego i poprosiłem, aby go przyjął w gościnę. Gdy w krótkich słowach opowiedziałem, co się stało, przyniesiono czym prędzej taką masę potraw, że więcej niż dwadzieścia osób mogłoby się tym posilić. Zwłaszcza Ben Nil okazywał po pięciodniowym przymusowym głodzie niezwykłą sprawność swych szczęk ale i ja także na brak apetytu nie potrzebowałem się skarżyć. W czasie tej uczyty przybył marszałek i już wchodząc zawołał:

— Effendi, czy pojmujesz nareszcie, co znaczy zaćmienie księżyca? Nazajutrz po nim ja znalazłem się w niebezpieczeństwie a dzisiaj wasze życie na cienkim włosku wisiało.

— Zapominasz, że twoje niebezpieczeństwo wielką nam korzyść przyniosło — odparłem. — Gdyby nie ono, kto wie, czy dotąd nie siedzielibyśmy jeszcze w studni.

— To być może. W każdym razie jednak jestem zdania, że złoczyńcy muszą być ukarani.

— Ja także.

— Słyszałem, że zamierzasz udać się do Moabdah, by pochwycić fakira i dlatego wydałem rozkaz, aby żołnierze przygotowali i obsadzili łódź. Ja sam pojedę chwycić tego mordercę.

Zaprotestowałem przeciwko temu całkiem stanowczo.

— Dlaczego nie chcesz, abym ja sam tą sprawą się zajął? Przecież jesteś naszym gościem, wszyscy ciebie lubimy i mamy obowiązek dbać o twoje bezpieczeństwo. Poza tym cała ta sprawa obchodzi baszę, ponieważ go nie ma, więc ja jako jego marszałek chcę go zastąpić.

— Radzę ci, abyś się na ten trud nie narażał.

— To nie trud, lecz przyjemność. Kiedy zwiedzałeś jaskinię, nie chciałem ci towarzyszyć, teraz jednak, kiedy idzie o schwytanie zbrodniarza, nie mogę was puścić samych.

— Bardzo ci za tę przychylność dziękuję, zostań jednak w domu, bo wolę jechać sam.

Na nic się moje tłumaczenia zdały. Marszałek uroił sobie, że towarzyszyć mi musi, gdyż w przeciwnym razie gniew Allacha na siebie by ściągnął. Cóż miałem robić? Wybraliśmy się razem.

Przy brzegu rzeki na kotwicy stały dwa czółna, jedno przygotowane przez koniuszego, a drugie przez marszałka. Do Pierwszego wsiadł mój gospodarz, ja i Ben Nil oraz parobcy jako wiosłarze, do drugiego wsiadł marszałek z Selimem.

Wiosłować mieli żołnierze, ale jacy to byli żołnierze! Kiedy po przybyciu do Sijut reis effendina zaprowadził mnie do pałacu, zobaczyłem na pierwszym dziedzińcu siedzących wielu starych ludzi. Byli skapo odziani, zajmowali się wyplataniem koszów, szyciem i innymi wcale nie żołnierskimi

pracami. Teraz jednak przekonałem się naocznie, że byli to żołnierze baszy. Wsiadło ich dwunastu. Byli teraz w pełnym uzbrojeniu, lecz broń ich była stara i prawie nie do użycia a ludzie sami wyglądali raczej na podupadłych mieszkańców domu ubogich niż na walecznych synów Marsa, którzy czuwać mieli nad swego pana bezpieczeństwem. Niebawem jednak przekonałem się, że byli to ludzie ogromnie silni fizycznie. Kiedy łódzie wypłynęły na środek rzeki i podniesiono żagle, zabrali się ci staruszkowie tak dzielnie do wiosł, że łódź ich mknęła jak ryba, podczas gdy nasza daleko pozostawała w tyle.

— Czekajcie! — zawołałem. — Musimy trzymać się razem.

— Przecież zjedziemy się w Moabdah — odrzekł grubas i swoim ludziom dał znak, ażeby, jeśli można, jeszcze bardziej wytężyli swe siły.

Zbudziło się we mnie podejrzenie, że Murzyn czynił to w wyraźnie określonym celu. Ja, chrześcijanin, chciałem schwytać fakira, którego powszechnie uważano za człowieka świętego. Kto wie, czy marszałkowi nie zdawało się, że jako muzułmanin żadną miarą nie powinien do tego dopuścić i czy nie dlatego właśnie się wybrał do Moabdah, aby fakira przede mną ostrzec. Kazałem parobkom wytężyć siły, abyśmy zanadto w tyle nie zostali; ja sam wziąłem wiosło do ręki, ale na próżno. Odłożyłem je więc i kiedy minęliśmy Mankabat, wziąłem do rąk lunetę, ażeby przypatrzeć się wzgórzom, położonym po prawej stronie Nilu. Nie spuszczałem też z oka łodzi marszałka.

Kiedy zobaczyłem skały Moabdah, zobaczyłem na wysoku ponad wsią człowieka, siedzącego i przypatrującego się Nilowi oraz naszym dwu łodziom. Mógłbym przysiąc, że to był kuglarz. Właśnie zwróciło się pierwsze czółno do brzegu, kiedy człowiek ów powstał i pędem pobiegł do wsi, gdzie zniknął między domami.

Żołnierze wysiedli i pomaszerowali w stronę osady. Zanim jeszcze do niej dojść zdołali, zobaczyłem owego człowieka z drugim jeszcze po drugiej stronie wsi. Zmierzali w górę i zniknęli w parowie. W trzy minuty później i my przybiliśmy także do brzegu. Zdawało mi się, że ten drugi człowiek był na pewno fakirem. Toteż, kiedy wyskoczyłem na brzeg, zwróciłem się wprost w kierunku parowu. Ben Nil poszedł za mną z własnej ochoty. Koniuszy usiłował mnie wstrzymać, ostrzegając, ażebym nie szedł fałszywą drogą, nie otrzymawszy jednak ode mnie żadnej odpowiedzi, zwrócił się z parobkami ku wsi.

— Effendi, droga twoja jest dobra — rzekł Ben Nil. — Może dopędzimy fakira i muzabira.

— Czy ich poznałeś?

— Tak. Oczy moje są prawie tak bystre, jak twoje szkła.

— Czy znasz tę okolicę?

— Nie tak dobrze, jakbym sobie życzył. Staliśmy tu kilkakrotnie na kotwicy, ale tam na góry nie wychodziłem, niestety.

Po upływie kwadransa weszliśmy do parowu. Drogi nigdzie nie było, a teren był uciążliwy. Parów

był bardzo wąski i wił się w krótkich zakrętach pomiędzy stromymi ścianami wzgórza. Po pewnym czasie rozdziwił się i wtedy wypadało już z dalszego pościgu zrezygnować, tym bardziej, że wszelkie ślady stóp znikły mi z oczu. Ben Nil jednak nalegał, byśmy szli dalej. Ustąpiłem i na los szczęścia skręciliśmy w prawo. Po pięciu minutach parów się skończył. Zawróciliśmy więc i poszliśmy w lewo, ale ta droga tworzyła łuk i dzieliła się także. Poszliśmy znowu w lewo i stanęliśmy przed skalną ścianą, na którą nie było wejścia. Poszliśmy więc na prawo; droga wznosiła się stromo i zaprowadziła nas w końcu na płaszczyznę skalną, opadającą z trzech stron prawie prostopadle i wtedy przekonaliśmy się ostatecznie, że nas wystrychnięto na dudków i radzi nie radzi musieliśmy wracać.

— Tylko Allah jest wszechwiedzący! — gniewał się Ben Nil. — Nie mogę pojąć, gdzie te łotry umknęły. Jakby się w ziemię zapadli.

— Dla mnie zniknięcie ich bynajmniej nie jest zagadką. Musieli się ukryć w jednej z jaskiń, których tutaj jest pełno. Trudno, trzeba nam wracać. Któż wie zresztą, czyśmy się nie pomylili. Może to był kto inny, nie fakir z muzabirem.

— To oni byli, effendi. Oko moje nie zawodzi mnie nigdy, ale teraz przyznaję, że szukanie byłoby daremne, zwłaszcza że wkrótce zapadnie mrok.

Miał słuszość. Słońce zachodziło już za libijskimi wzgórzami i wkrótce musiała noc zapaść. Trzeba było dać spokój poszukiwaniu i wracać do wsi.

Towarzyszy naszych zastaliśmy siedzących na ziemi i palących fajki. Opodal stali mieszkańcy osady i gawędzili przyjaźnie z żołnierzami.

— Czy szukaliście we wsi fakira? — spytałem marszałka.

— Nie — odpowiedział.

— Czemu nie?

— Czekaliśmy twego przybycia. Czemu nie poszedłeś z nami?

— Czy ci ludzie z Moabdah, którzy tu stoją, wiedzą, w jakim celu przybyliśmy tutaj? — spytałem, nie odpowiadając na jego pytanie.

— Wcale z tego tajemnicy nie myślałem robić.

— Jeżeli tak, to płynmy śmiało z powrotem do Sijut, gdyż szukanie nasze, dzięki twej gadatliwości, żadnego skutku przynieść by już nie mogło.

— Inszallah, stanie się jak Allah zechce! Jesteś naszym gościem i jeżeli sobie życzysz, możemy wracać.

Pytałem o przewodnika Ben Wazaka i dowiedziałem się, że poszedł do El Arisz. Jemu jednemu mogłem zaufać, on byłby pewnie dopomógł mi schwytać zbiegów. Pytałem ludzi, czy widziano gdzieś

fakira lub kuglarza, lecz otrzymałem odpowiedź przeczącą. Pozwoliłem sobie nawet na rewizję chat, ale i ta oczywiście żadnego rezultatu nie dała. Czy w parowie naprawdę są jaskinie, o to wolałem nie pytać, bo z góry wiedziałem, że odpowiedzi nie będą zadowalające. Mnie, chrześcijaninowi, nie pomogliby z pewnością do schwytania „prawdziwego wierneho”, a w dodatku świętego fakira. Musiałem zdać się na szczęście i nie wątpiłem ani na chwilę, że w przyszłości jeszcze gdzieś łotrów tych spotkam.

Rozdział V

W pustyni

Korosko! Miejscowość słynna, znana daleko i szeroko, a jednak jakaż nędzna! Tę wieś nubijską otaczają góry skaliste, których nagie zbocza, niby reflektory blaszane, wchłaniają w siebie gorące promienie słońca i odrzucają je w dolinę. Europejczycy w tym skwarze wytrzymać. Nil porzuca tu, licząc w górę rzeki, swój pierwotny kierunek i przewija się potężnym łukiem przez skalistą okolicę, zwaną Batu el Adżar, Brzuch Kamieni. W tym łuku znajduje się kilka szypotów i katarakt, które żeglugę niezmiernie utrudniają. Statki trzeba wyładowywać i ciągnąć na linach przez bezpieczniejsze nieco cieśniny, potem znowu obładowywać, co wymaga wiele trudu i czasu. Podróżni też skracają sobie zazwyczaj drogę, przecinając ten wielki łuk szlakiem pustynnym, mniej więcej 400 kilometrów długim, a prowadzącym przez Atmur. Tak nazywają nubijską pustynię, położoną między Korosko a Berberem. Korosko jest początkową stacją pustynnego szlaku. Tam porządkują podróżni swoje pakunki i przeładowują je na wielbłądy. Tam odpoczywają i załatwiają ostatnie swoje zakupy. Tym się tłumaczy, że choć to osada nędzna, z piętnastu najwyżej chat złożona, ma jednak znaczenie duże. Jest tu jeden kan, w którym od biedy prznocować można. Jest meczet z minaretem, jak gołębnik, jest nawet poczta, jedyny budynek, zaopatrzone w drzwi do zamykania. Na samym brzegu Nilu stoi kilka bud, pokrytych rogożami i starym konopnym płótnem; to kantory i sklepy arabskich handlarzy, którzy produkty Sudanu wymieniają tu na europejskie towary.

Wspomniana droga pustynna kończy się pod Abu Hammed nad Nilem. Niegdyś zapomniano o niej zupełnie i dopiero Mehmed Ali polecił małemu wodzowi Ababdejów odnaleźć ją znowu, a wódz rozwiązał to trudne zadanie bez kompasu i innych instrumentów. W nagrodę za to mianowany został on i jego potomkowie szechami tego pustynnego pasa. Syn jego, Hammed Kalifa, bawił się już w absolutnego władcę pustyni i karawan. Od każdego wielbłąda pobierał niewielkie cło, a za to ręczył za bezpieczeństwo życia i mienia podróżnych. Wskutek tej gwarancji jeżdżono przez Atmur śmielej aniżeli przez inne pustynne szlaki, chociaż i tu zdarzały się rozboje. Mój gruby Turek, Murad Nassyr, przybył wreszcie do Sijut i zabrał mnie, Ben Nila i Selima na statek. Kiedy mu opowiedziałem o wszystkim, co nam się w ostatnich dniach zdarzyło, nie chciał zrazu wierzyć, żeby nienawiść Abd el Baraka doszła do takich granic. Nie ukrywał jednak radości, że wyszedłem cało ze wszystkich tych niebezpieczeństw. Mniej był zadowolony ze znajomości mojej z resem effendiną i odnośną wiadomość przyjął z widoczną niechęcią.

Droga z Sijut do Korosko nie była nudna, owszem, przyniosła mi dosyć dużo spostrzeżeń i wiadomości. Całymi godzinami wysiadywałem z Muradem Nassyrem pod dachem namiotu, a kiedy był w dobrym humorze, musiałem mu opowiadać o tym, co przeżyłem. Z ogromnym zainteresowaniem słuchał wszystkich szczegółów i w ogóle zauważyłem, że chciał moją przeszłość poznać jak najdokładniej. Nieraz widziałem, że z uwagą wodził za mną wzrokiem, jak gdyby mi chciał jakichś ważnych wiadomości udzielić, milczał jednak i nie byłem w stanie odgadnąć, jakie zamiary względem mnie żywi.

Jego siostrę widywałem codziennie, oczywiście głęboko zawoalowaną. Czarne niewolnice nie zasłaniały twarzy, białe jednak przestrzegały tego przepisu etykiety dosyć starannie, choć nie tak

ściśle, jak ich pani. Pewnego razu wiatr podwiał zasłonę Fatmy, kucharki i ulubionej służebnicy Nassyra i wtedy zobaczyłem po raz pierwszy twarz tej, której włosy znalazłem jednego razu w pilawie. Było to oblicze o rysach zupełnie pospolitych. Tym chętniej przeto byłbym zobaczył twarz samej pani, o której z góry przypuszczałem, że musi być piękna.

Nieraz spotykaliśmy się na pokładzie statku, pozdrawiałem ją grzecznie i otrzymywałem od niej kilka słów odpowiedzi. Pozwalała sobie na taką względem mnie swobodę, chcąc mi okazać swą wdzięczność za to, że dzięki lekom, J jakich jej dostarczyłem, ozdoba głowy zaczęła jej już odrastać. Głos jej był to łagodny, czysty i głęboki alt, bardzo pięknie brzmiący.

O interesach swoich Murad Nassyr nic ze mną mówić nie chciał. Zachowywał pod tym względem najzupełniejszą rezerwę i chciał widocznie mnie wprawdzie poznać dokładniej.

Przybywszy do Korosko, opuściliśmy statek. Reis miał go przeprowadzić przez katarakty, a my mieliśmy odbyć szybszą podróż lądową. Było nas razem dziewięć osób, mianowicie Murad Nassyr, jego siostra, ja, cztery służące, Ben Nil i Selim. Ponieważ sandał płynął natychmiast dalej, sprowadziliśmy się na kilka dni do tamtejszego kanu, gdzie kobiety zamieszkały oczywiście zupełnie osobno.

Czas płynął nam powoli i nudno, radzi nie radzi musieliśmy jednak siedzieć na miejscu, czekając na przybycie wielbłądów. Dla zabicia czasu polowałem na dzikie gołębie, których tutaj, w palmowych ogrodach, żyły całe stada, albo siadałem w mule nilowym i łowiłem ryby. Wieczorami siadywaliśmy razem, paląc fajki i zażywając chłodu.

Trzeciego dnia podczas takiej wieczornej sjesty opowiedziałem Muradowi kilka ustępów z historii biblijnej, które go żywo zajęły. W końcu jednak przerwał moje opowiadanie i zapytał:

— Czemu nie wolno wam mieć kilku żon?

— To bardzo proste. Ponieważ Bóg dał Adamowi tylko jedną.

— Czy wolno wam żenić się z pogankami lub mahometankami?

— Nie.

— O Allach! Wam wszystko zakazane! My nie pytamy naszych kobiet w co wierzą, bo kobieta nie ma duszy. Gdybyś jednak pokochał mahometankę, pojąłbyś ją za żonę?

— Być może, w każdym razie musiałyby zostać chrześcijanką.

— Bądź pewny, że żadna mahometanka nie zgodziłaby się na taki warunek, owszem, zażądałaby, żebyś ty sam został muzułmaninem.

— Na to bym się znowu ja nie zgodził.

— A gdyby była bardzo piękna?

— I wówczas nie.

— A gdyby prócz piękności miała duży posag?

— I to by nic nie pomogło.

— Ależ ty jesteś ubogi.

— Mylisz się. Od nikogo nic nie potrzebuję i dlatego czuję się bardzo bogaty.

Patrzył jakiś czas przed siebie, potem przypatrzył mi się uważnie i mówił dalej:

— Powiedziałem ci już przedtem, że cię raz dawniej widziałem i wiele o tobie słyszałem. Uważam cię za człowieka niezwykłego i bardzo bym cię chciał do siebie przywiązać. Pozwól, że ci coś pokażę.

Wyjął z kieszeni portfel, otworzył go i pokazał mi jego zawartość. Była tam cała paczka wysokich angielskich banknotów.

— Czy wiesz, jaką wartość przedstawiają te papiery?

— To majątek.

— A mimo to jest to tylko mała część tego, co posiadam. I jeszcze coś ci pokażę, ale o tym, co teraz zobaczysz, nikomu słowa jednego nie powiedz. Chodź!

Czułem, że nadeszła chwila decydująca. Było widoczne, że mnie chciał pozyskać, ale w jakim celu, tego na razie odgadnąć nie mogłem. Udaliśmy się przez dziedziniec do pokojów zamieszkałych przez siostrę Murada i jej służebnice. Zapukał, a kiedy mu służąca otworzyła, powiedział kilka słów cichych i wpuszczono nas do środka. Tam wskazał mi na jedne drzwi i rzekł:

— Wejdziesz, a ja tutaj na ciebie zaczekam.

Odsunąłem rogożową zasłonę i wszedłem. To, co ujrzałem, wprawiło mnie w niemałe zdumienie. Na kilku ułożonych na sobie dywanach leżała młoda dziewczyna, lat może siedemnastu. Na poduszce ozdobnej oparła rękę, a na niej złożyła głowę. Miała na sobie szerokie, sięgające aż do kostek, spodnie kobiece, nagie stopy tkwiły w aksamitnych pantofelkach. Górną część ciała okrywał rodzaj bluzki z czerwonej i bogato złotem haftowanej materii. Prócz tego spływało z jej ramion wierzchnie okrycie, uszyte z lekkiej, przezroczystej tkaniny. Włosy, w których iskrzyły się perły i złote monety, splecione były w długie warkocze. Brwi i rzęsy miała poczernione, a paznokcie zaróżowione henną.

Ale twarz... ta twarz! Ilekroć mówi się o wschodniej piękności, wyobrażamy sobie zawsze istotę wspaniałą swoim posepnym wyrazem twarzy, o rysach Kleopatry, Judyty, Szefaki, a tu...? Twarzyczka mała i jakby zgnieciona, czoło wąskie na dwa palce, nos jak suszona śliwka, z tą tylko różnicą, że nie czarny, małe, wąskie usta, uszka jak u myszki, a oczka takie małe, takie wesołe i takie chytre jak u wiewiórki. I to wszystko we wschodnim stroju. Patrzyła na mnie z nie zasłoniętą twarzą, na poły zawstydzona, a na poły wyczekująca i nie rzekła ani słowa.

Mówiąc otwarcie, osłupiałem prawie. Takiej niespodzianki nie mogłem oczekiwać i dlatego zapytałem niezbyt mądrze:

— Kto ty jesteś?

— Letafa — odpowiedziała.

Ta nazwa znaczy tyle, co godna miłości. Wypowiedziała to imię głębokim altem.

— Siostra Murada Nassyra?

— Tak, effendi.

— Czy wiedziałaś, że przyjdę?

— Brat mi powiedział.

— Czy może jesteś chora? Trzeba ci może jakiegoś lekarstwa?

— Nie. Przywróciłeś blask mojej głowie i już żadnych nie odczuwam braków.

— Więc powiedz mi, dlaczego chciałaś mnie widzieć?

— Chciałam? To brat sobie życzył, ażebym cię u siebie przyjęła.

— No więc przypatrz mi się dokładnie jak tylko możesz. Stałem blisko niej i okręciłem się szybko trzy razy dokoła.

Po jej twarzyczce przemknął wesoły uśmiech i powiedziała:

— O, effendi, przecież ja cię już tyle razy widziałam! Właściwie ty miałeś mnie zobaczyć, nie ja ciebie.

— Tak? A w jakim celu?

— Mój brat ci powie.

— Więc mogę spytać, czy obecna audyencja skończona?

— Tak, już skończona. Murad czeka na ciebie.

Ukloniłem się na sposób wschodni i wyszedłem. Przed drzwiami stał Turek, wziął mnie za rękę i zaprowadził mnie znowu do swojej izby. Usiedliśmy jak przedtem obok siebie, zapaliliśmy fajki, po czym zapytał:

— No?

— Cóż takiego? — zapytałem, gdyż nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

— Czy widziałeś ją w całej piękności i wdzięku? Przyszła mi na myśl myszka i odpowiedziałem, niestety, wbrew przekonaniu:

— Cudowna!

— Nieprawdaż, że wspaniała?

— Jak jutrzienka.

— Prawdziwy promień słońca. Jeszcze żadne nie powołane oko nie widziało jej twarzy. Oprócz narzeczonego, któremu ją wiozę, jesteś jedynym człowiekiem, który takiej łaski dostąpił.

— Dlaczegoż to ja właśnie?

— Ponieważ Letafa ma siostrę młodszą o rok, ale posiadającą te same rysy, taki sam piękny nos, iskrzące oczy, wszystko zupełnie takie same. Czy ty słyszysz, co mówię?

Musiał zauważyć, że wpadłem w zadumę, albo że mi się twarz wydłużyła.

— Słyszałem — odrzekłem.

— I rozumiesz?

— Dobroć twoja jest dziś tak nieskończenie wielka, że niej mogę jej pojąć ani zrozumieć.

— To mi się nie podoba, bo mi się jeszcze nigdy nic, zdarzyło powiedzieć coś takiego, czego byś nie mógł zrozumieć.

— To nie mów nic. Nie sprawiaj sobie przykrości!

— Sam się powinienes domyślić, co ci chcę powiedzieć, jeśli jednak nie potrafisz, słuchaj. Zamierzam przywiązać cię do siebie. Czy wiesz, że siostry moje są bogate?

— Wiem, że Allah był przychylniejszy dla ciebie aniżeli dla mnie. Ja nie mam sióstr bogatych.

— Nie potrzebujesz, bo będziesz miał bardzo bogatą żonę.

— Nie wiem, czy niebo będzie dla mnie tak szczodre. Nie myślałem zresztą jeszcze nigdy o tym, żeby się żenić. .

— Nie potrzebujesz szukać żony, bo ją ode mnie dostaniesz.

— Zatrzymaj ją, zatrzymaj ją. Moja szcera przyjaźń dla ciebie nie pozwala na to, abym cię obdzierał.

— Nie obdzierasz mnie, gdyż nie chcę ci odstąpić żadne z moich żon, ale daję ci młodszą siostrę.

Biada mi! A to dostałem się w kleszcze! Czułem niemal, jak zaciskał je coraz silniej. Jak się

uwolnić? Postępował wbrew wszelkim wschodnim zwyczajom i tradycjom. Wszystko jedno, czy to było z przyjaźni, czy z egoizmu. Odmowa z mojej strony była ogromną obelgą i zyskałaby mi w Muradzie śmiertelnego wroga. Skąd on wpadł na ten pomysł nieszczęsny. Czemuż swych sióstr razem ze wszystkimi służebnicami sułtanowi na urodziny nie podarował? Teraz nie spuszczał mnie z oka, lecz patrzył mi w twarz nieustannie, by odgadnąć me myśli, wreszcie zapytał:

— Cóż ty o tym myślisz?

— Moim zdaniem nie należy żartować z tak poważnych rzeczy.

— Z czegoż wnosisz, że ja żartuję? Mówię z tobą zupełnie poważnie.

— Muradzie! Zapominasz, że jestem chrześcijaninem.

— Owszem, wiem o tym dobrze; a pomimo to z taką propozycją występuję, to tym większym powinno być dla ciebie dowodem, że cię bardzo wysoko cenię. Ożenisz się z moją siostrą i nawet zmiany wiary od ciebie nie żądam.

— Ale ona musiałaby chrzest przyjąć.

— I to niepotrzebne. Przywołam kadiego, ty powiesz do niej w jego obecności „bu benum”, on podpisze i będzie już po ślubie.

— Jako chrześcijanin nie mogę się na taki ślub zgodzić. Tylko ta może uchodzić za moją żonę, z którą kapłan ślubem mnie połączy.

Już sądziłem, że mu się wymknąłem, kiedy powiedział:

— Więc niech ci z nią ślub dadzą.

— To niemożliwe, gdyż twoja siostra nie jest chrześcijanką.

Pochylił głowę, podumał posępnie i potrząsnął głową z niechęcią. Byłem pewien, że cofnie teraz swoją propozycję, ale przeliczyłem się najzupełniej. Turek podniósł nagle głowę, klasnął w ręce, jak gdyby pod wpływem nagłego postanowienia i zawołał:

— No to dobrze, niech zostanie chrześcijanką! Kobiety nie mają duszy, nie wejdą ani do nieba, ani do piekła, więc obojętne, czy wierzą w waszego Boga, czy Allacha, Chrystusa, czy Mahometa.

Ten pocziwiec czynił wszystko nie tylko nad swoje, lecz nad moje siły. Nie żądałem niczego, a on skłaniał się do najcięższych ustępstw. Cóż miałem robić? Chętnie bym był stąd uciekł, ale ponieważ to było niemożliwe, trzeba było szukać innych środków ratunku. Już otworzyłem usta do wymówki, kiedy Murad zawołał:

— A więc powiedz szczerze, czy ci się Letafa podobała?

— Czy sądzisz, że mógłby ktoś twierdzić przeciwnie?

— Nie, bo ona jest koroną uroku i wzorem ziemskiej piękności. Pokazałem ci ją, by dać pojęcie o młodszej siostrze. Tamta spodoba ci przynajmniej w tym stopniu, a ponieważ widzisz, że pod każdym względem robię ci ustępstwa, teraz pewnie z radością swoje przyzwolenie. Oto moja ręka!

Wyciągnął do mnie rękę, ja jednak ociągałem się i odrzekłem:

— Nie tak nagle. Nad wieloma rzeczami trzeba się jeszcze namyślić.

— Nad czym jeszcze? Zgodziłem się przecież na wszystkie twoje warunki.

— To prawda, ale nie pomówiliśmy jeszcze o wszystkim. Czy twoje siostry mają ojca i matkę?

— Nie. Jestem jedynym ich panem i władcą i moim rozkazom muszą być posłuszne.

— W takim razie każ, aby tej, o której mówisz, udzielono nauki religii chrześcijańskiej. Po ukończonej nauce musi złożyć egzamin. Jeśli go nie zda, nie może być moją żoną. Z ostateczną decyzją musimy więc zatrzymać aż do wyniku egzaminu.

Na to zerwał się z gniewem, zaczął wymachiwać cybuchem i zawołał:

— W takim razie niechaj diabeł będzie chrześcijaninem; ja nim nigdy nie będę. Jeśli wam tak trudno wejść w związki małżeńskie, o ile trudniej do nieba waszego się dostać. Ja jednak mój plan i tak przeprowadzę. Moja siostra to rozumna dziewczyna, rozumniejsza niemal ode mnie. Szybko nauczy się waszej wiary i jestem pewny, że egzamin zda bardzo dobrze. Nie wątpię o tym ani na chwilę i dlatego będę cię odtąd uważał za szwagra i wtajemniczę cię we wszystkie moje interesy.

Miały się zatem rozpocząć zwierzenia, których się naprawdę bałem. Minęły dalekie grzmoty, za to miał teraz spaść piorun. Przeczuwałem, co mi proponuje, wiedziałem z góry, co ja mu na to odpowiem i nie wątpiłem, że ta moja odpowiedź stanowczo mnie z nim poróżni. Nie mogłem płynąć dalej pod fałszywą flagą. Musiałem się przyznać do barwy, niewiele sobie jednak z tego robiłem, gdyż zerwanie Muradem Nassyrem musiało i tak nastąpić prędzej czy później. Usiadł znowu, szukał widocznie odpowiedniego wstępu, wreszcie zapytał: — Czy wiesz, jakie zajęcie przynosi największe zyski?

— Tak. Zajęcie attara*.

— O, ja znam inne, które opłaca się o wiele bardziej. Aptekarz musi swoje towary kupować i płacić za nie dość znaczne sumy, w tym zaś zawodzie, który ja mam na myśli, ma się towar za darmo.

— Czy masz na myśli kradzież albo rabunek?

— Używasz słów zbyt nieogłędnych.

— Nie zdaje mi się. Zresztą przyznaję, że wymieniłem najgorsze zajęcie, jakie sobie tylko mogę wyobrazić, gdyż nawet złodziej nie zdobywa swego towaru za darmo, przeciwnie, płaci za niego drożej, aniżeli on wart.

— Czymże?

— Spokojem sumienia i utratą wiecznej szczęśliwości, a to cenniejsze, niż tysiąc worów złota.

— Mówisz jak chrześcijanin, ja zaś myślę i czuję jak muzułmanin. Nie mówię też o prostym rabunku i kradzieży.

— Ja wiem. Masz na myśli handel niewolnikami.

— Tak jest.

— Czy pamiętasz, coś mi o tym handlu powiedział jeszcze w Kahirze?

— Pamiętam.

— Powiedziałeś, że Murzynów łowić nie masz zamiaru. Teraz jednak widocznie zamiary swoje zmieniłeś?

— Myślę teraz zupełnie tak samo jak wówczas, pozwól jednak, że do tego, co powiedziałem, kilka słów dodam. Nie mam wcale zamiaru polować na Murzynów, ale chcę ich kupować.

— To jeszcze gorsze. Czy wiesz, dlaczego ten, co rzecz skradzioną u siebie przechowuje, otrzymuje większą karę aniżeli złodziej? Oto dlatego, że on złodzieja do kradzieży kusi. Tak samo i w tym wypadku. Gdyby nie było handlarze niewolników, nie byłoby łowców.

— Zapominasz zupełnie, że niewolnictwo jest instytucją uświęconą odwiecznym zwyczajem. Już nasi praojcowie mieli niewolników, a my, muzułmanie, zachowujący wiarę i zwyczaje przodków, także bez nich obejść się nie możemy.

— Można by się o to sprzeczać, ja jednak w spory o to z tobą wchodzić nie będę. Potępiam łowy niewolników i oto wszystko.

— Potępiaj! Nie mam nic przeciwko temu i od ciebie też nie żądam, ażebyś na nich polował. Jeśli ci moją propozycję przedłożę, innym okiem będziesz patrzył na całą sprawę.

— Na pewno nie.

— Więc posłuchaj tylko. Znam cię z czasów dawniejszych jako śmiałego i przedsiębiorczego człowieka. To, co przeżyłeś i zdołałeś w ostatnich tygodniach, jest dla mnie dowodem, że panujesz nad każdym niebezpieczeństwem i znajdujesz wyjście nawet z najgorszego położenia. Dlatego już teraz; zwierzę ci się z tego, co ci z czasem miałem powiedzieć. Powiem krótko. Znam słynnego łowcę niewolników, który...

— Czy masz może na myśli Ibn Asla el Dżazura? — przerwałem mu.

— Kogo mam na myśli, powiem co dopiero wtedy, kiedy się zgodzisz na moją propozycję. Otóż temu człowiekowi daję za żonę moją starszą siostrę i to będzie dla mnie najlepszą rękojmą jego

uczciwości.

— Czy on się o nią starał?

— Tak. Odnośną ugodę już z nim zawarłem. Ja założę kilka stacji w pobliżu Chartumu, oczywiście potajemnie, gdyż niewolnictwo teraz zakazane. Tymczasem mąż mojej siostry zajmie się łowami i zdobycz swą będzie przechowywał w niedostępnych zatokach i na wyspach Nilu. Ty zaś będziesz stamtąd niewolników sprowadzał, a otrzymasz za to moją młodszą siostrę za żonę i trzecią część ogólnego zysku. Prócz tego oczywiście siostry moje duży posag dostaną.

Spodziewałem się podobnej propozycji, nie myślałem jednak, że mi ją Murad tak bez żadnych osłonek przedłoży. Zdrętwiałem i patrzyłem na Turka, słowa nie mogąc wymówić.

— Prawda, żeś się nie spodziewał takiej korzystnej propozycji — uśmiechnął się. — Nie wątpię, że ją przyjmiesz, chyba że ci Allah rozum odebrał. W każdym razie jednak dam ci czas do namysłu do jutra, gdyż...

— Nie potrzebuję czasu do namysłu — przerwałem. — Mogę ci dać odpowiedź zaraz w tej chwili.

— Więc mów!

— Zaczekaj jeszcze! Więc trzech nas ma przystąpić do spółki, łowca niewolników, ty i ja?

— Tak jest.

— Ty urządzisz ukryte składy, w których będzie się przechowywało towar do sprzedaży okolicznościowej i do dalszego transportu. Bardzo to sprytnie pomyślałeś, bo w razie jakiegoś śledztwa łatwo ci będzie zwalić winę na kogoś drugiego. Łowca także nic nie ryzykuje, gdyż podczas napadu na wsie murzyńskie trzyma się zawsze z dala tak, że zraniony ani zabity być nie może. Między was dwóch mam wejść ja. Mam niewolników zabierać z serib i przywozić do ciebie. W ciągu takiej przeprawy mam się mieć na baczności, nie tylko przed krajowcami, którzy są wrogo usposobieni dla handlarzy niewolników, a przede wszystkim będę się musiał strzec żołnierzy rządowych, którzy formalne obławy będą na mnie urządzali.

— To wszystko prawda, lecz dlatego właśnie wybór mój padł na ciebie. Ty jesteś stworzony na to, abyś wszystkim niebezpieczeństwom w oczy zaglądał.

— Bardzo mi to pochlebia, że moją odwagę tak wysoko cenisz, szkoda tylko, że na takim właśnie polu chcesz ją wypróbować. Niewolnictwo jest hańbą współczesnej ludzkości, a łowy na niewolników zbrodnią wołającą o pomstę do nieba. Nawet małego grzechu nie popełniłbym świadomie za wielkie pieniądze, a już w żadnym razie nie obciążylbym sumienia taką hańbą i takimi morderstwami. Niezmiernie dziwię, że miałeś odwagę z taką propozycją wystąpić wobec mnie, chrześcijanina.

Na twarzy Murada odmalowało się zdumienie i niesmak.

— Czy to jest odpowiedź, którą mi dać chciałeś?

— Tak jest.

— Zważ na zyski!

— Wolę spokojne sumienie niż największe skarby.

— A moja siostra?

— Daj ją, komu chcesz.

— Czy nią może pogardzasz?

— Nie. Ofiarowałeś mi jej rękę, przy czym zachowałeś się wbrew naszym przykazaniom i najświętszym, zwyczajom. Bardzo mi to pochlebia, niestety, nie zasłużyłem na to, aby ten wzór piękności i obraz wdzięku posiadać. Bynajmniej nie chcę ciebie obrazić, ale pojmij, że muszę postępować wedle przykazań mojej religii. Rozejdźmy się w pokoju.

Powiedziawszy te słowa, wstałem z miejsca, a Murad Nassyr podniósł się także, odrzucił cybuch z gniewem i zawołał:

— W pokoju? Jak to być może? Jeśli teraz się rozstaniemy, będziemy wrogami, zajadłymi wrogami na całe życie.

— Wcale tej konieczności nie widzę.

— Ależ to jasne jak dzień! Opowiadałeś mi, co się stało w ostatnich dniach. Jesteś przyjacielem reisa effendiny i masz do niego jechać do Chartumu. Potem znajdziesz łowcę niewolników Ibn Asla i...

— Aha, więc przyznajesz, że to z nim wszedłeś w kontakt.

— Nie przyznaję niczego i niczego nie dowiesz się ode mnie. Chciałem ci tylko dowieść, że nie możesz być przyjacielem moich wrogów, nie będąc równocześnie moim wrogiem. I tak już dowiedziałeś się ode mnie za wiele i jeśli się rozstaniemy, możesz być dla mnie bardziej niebezpieczny niż rozstaniem niż ktokolwiek inny. Namyśl się jeszcze raz, czy trwasz przy swoim postanowieniu.

— Nie potrzebuję namysłu.

— Więc postanowienia nie zmienisz?

— Nie.

— Dobrze, rozstańmy się zatem. Bardzo żałuję, żem cię tylu dobrodziejstwami obsypał.

Z twarzy Nassyra zniknęła teraz dobroduszna, uczciwa otwartość, a na jej miejscu pojawiła się groźna nienawiść. Nie ulegało wątpliwości, że odtąd będzie moim nieubłaganym wrogiem.

— Obsypałeś mnie dobrodziejstwami? — zapytałem spokojnie. — Jadłem i spałem u ciebie, bo prosiłeś mnie o to tak natarczywie, że odmowa byłaby niegrzecznością.

— Zapłaciłem ci drogę i dałem ci nadto pieniądze na wszystkie inne potrzeby.

Jego niska natura handlarza niewolników okazała się teraz w pełni. Ktoś inny powiedziałby mu zapewne bez ogródek, co o nim myśli, ale ja tego nie uczyniłem. Wyjąłem sakiewkę, odliczyłem pieniądze otrzymane od niego i odszedłem. Kiedy już byłem we drzwiach, zawołał:

— Zatrzymaj się jeszcze! Więc rzeczywiście nie chcesz do... Poszedłem dalej nie zważając na jego słowa. Na to ryknął za mną:

— A zatem zabieraj się stąd, psie, i miej się przede mną na baczności!

Było już dosyć późno, o śnie jednak mowy być teraz nie mogło. Byłem wzburzony bardzo, więc wyszedłem z kanu i zwróciłem się w stronę pustyni, aby się nieco przejść i odetchnąć. Położenie moje było fatalne. Znalazłem się w dalekiej Nubii bez środków do powrotu do domu, gdyż po zwróceniu Muradowi pieniędzy prawie już grosza w kieszeni nie miałem. Przede wszystkim jednak drażnił mnie zawód, którego doznałem. Turkowi zaufałem zupełnie, teraz zaś przekonałem się, że to moje zaufanie miało bardzo wątpliwe podstawy.

Chodziłem już z godzinę, kiedy doleciały mnie z , osobliwe dźwięki, jakby wiatr pustynny grał na harfie eolskiej. Dźwięki zbliżały się i stawały się coraz wyraźniejsze. Rozróżniłem kobiece głosy i dźwięk strun. Ukazał się jeździec na wielbłądzie, którego włócznia migotała w świetle księżycowym. Ujrzawszy mnie, zboczył daleko. Za nim dążyło dwanaście wielbłądów z tachtirwanami*, z których wydobywały się głosy śpiewających, rozmawiających i śmiejących się kobiet. Konwój zamykało kilku uzbrojonych mężczyzn. Jak cienie przemknęły obok mnie wysokonogie wielbłądy.

Był to transport młodych niewolnic, które potajemnie sprowadzono do Egiptu. Po drodze zmusza się biedaczki do śmiechu, śpiewu i żartów, ażeby przypadkiem upadek ducha nie odbił się ujemnie na ich zewnętrznym wyglądzie i aby przez to nie straciły na wartości. Orszak ten przybywał pewnie z Abu Hammed, nie zatrzymał się jednak w Korosko, aby uwagi na siebie nie ściągnąć.

Wróciłem do kanu i udałem się na spoczynek, o śnie jednak mowy być nie mogło. Wprawiała mnie w niepokój nie utrata przyjaźni Nassyra, ani też obawa przed jego zemstą; inne były: tego przyczyny.

Przede wszystkim zajmował mnie jego prawdopodobny stosunek do łowcy niewolników Ibn Asla. Chciałem się dowiedzieć o miejscu pobytu tego łotra, a w tym celu wystarczało nie spuszczać z oka Murada Nassyra. Poróżniwszy się z Turkiem, chciałem tym gorliwiej działać na rzecz przewodnika w Moabdah, ażeby, jeśli się tylko da, odnaleźć jego zaginionego brata.

Wstałem wcześniej, usiadłem przed drzwiami kanu i kazałem handziemu przynieść sobie kawę.

Przypatrując się zbudzonemu światu zwierzęcemu, zobaczyłem jeźdźca. Był jeszcze tak daleko, że zaledwie można go było rozpoznać, lecz musiał jechać na doskonałym zwierzęciu, gdyż zbliżał się nadzwyczajną szybkością i rósł mi w oczach. Poznałem go, kiedy był jeszcze daleko. Był to porucznik okrętowy reisa effendiny. Powstałem oczywiście, by go przywitać. Zobaczył mnie, zwrócił ku mnie wielbłąda, kazał mu uklęknąć i zeskoczył z siodła. — Co tu robisz w Korosko? — zapytałem. — Sądziłem, że emir w Chartumie.

— Był tam istotnie. Gdzie się teraz znajduje, powiem ci, ale muszę się wprzód rozmówić z szechem el beled*.

— Możesz to uczynić choćby i zaraz. Już wstał; widziałem go przed chwilą klęczącego przed chatą i odmawiającego modlitwę poranną.

Pokazałem mu chatę, a porucznik bezzwłocznie poszedł we wskazanym kierunku. Wielbłąd jego klęczał w pobliżu. Było to wspaniałe, bardzo drogie zwierzę, koloru mysiego, a posiadało wszystkie cechy doskonałego wierzchowca. Skąd on ma takiego wielbłąda? Osobniki tej rasy przebywają w jednym dniu bez zatrzymania się nawet sto kilometrów. W dodatku było to zwierzę znakomicie wytresowane, gdyż kiedy je pogłaskałem, spojrzało na mnie przychylnie swymi wielkimi oczyma, a nie uniosło się zwykłą złościwością wielbłądów, które obcych kęsają, kopią, a nawet opluwają. Byłem jeszcze zajęty zwierzęciem, kiedy Selim ukazał się we wrotach, a ujrzawszy mnie, przystąpił zaraz i powiedział:

— Effendi, słyszałem bardzo, bardzo złe rzeczy i dlatego miałbym wielką prośbę do ciebie. Czy ją spełnisz?

— Cóż takiego?

— Czy prawda, że poróżniłeś się z Muradem Nassyrem?

— Kto ci to powiedział?

— On sam dał mi to do poznania, gdyż mi surowo mówić z tobą zabronił.

— I dlatego przychodzisz zaraz jako jego wierny marszałek do mnie i przekraczasz dany ci zakaz.

— Tak, czynię to, gdyż wiesz, że ciebie więcej miłuję niż jego.

— Jakąż masz do mnie prośbę?

— Nie chcę być już dłużej u Murada Nassyry.

— Dlaczego? Czy ci u niego niedobrze? Czy jesteś z niego niezadowolony?

— Dobrze mi jest i jestem zadowolony, ale od wyjazdu z Sijut mówi bez przerwy o rzeczach, które mi się nie podobają.

— O jakich rzeczach?

— Jestem jeszcze w jego służbie, więc nie wiem, czy mogę zdradzić.

— Czy masz może na myśli handel niewolnikami?

— Słusznie, bardzo słusznie! A więc i ty już wiesz, że Murad jest handlarzem niewolników?

— Pewnie, że wiem.

— Więc nie jestem zdrajcą, kiedy o tym z tobą rozmawiam. Murad żąda ode mnie, żebym pozostał w jego służbie. Jeśli to uczynię a pochwyca nas może być ze mną źle.

— A zatem znowu się boisz?

— Bać się? Nie. Wiesz, że jestem największym bohaterem pustyni i pragnę przy odpowiedniej sposobności zginąć śmiercią bohaterską, nie chciałbym jednak, aby mnie powieszono jako handlarza niewolników.

— Masz zupełną słuszość.

— Jeżeli i ty jesteś tego zdania, opuszczam natychmiast służbę; cóż jednak pocznę z sobą? Gdybym cię tak nie miłował, decyzja byłaby łatwa, ale ja, effendi, nie chciałbym się z tobą rozstać. Jeżeli pozwolisz, to pewną kwestię przedłożę twojej rozwadze.

— Mów dalej!

— Wszyscy wiedzą, że jesteś rozumnym człowiekiem; znasz wszystkie gałęzie wiedzy i przenikasz głębie wszystkich tajemnic, ale masz przecież błąd jeden.

— Jaki?

— Brak ci służącego, jakim ja jestem. Darzono by cię szacunkiem dziesięć razy większym niż dotychczas, gdyby wiadano, że stoję u twego boku.

— Chciałbyś więc zostać u mnie?

— Tak, effendi.

— To niemożliwe, gdyż nie podoba mi się twoja nieustanna waleczność. Może mnie ona łatwo uwikłać w jaką krwawą sprawę.

— Już ty się o to nie bój, effendi! Jeśli w mojej niezwyklej odwadze rozpoczynam z kim walkę, to sam ją kończę; pod tym względem znasz mnie dostatecznie. Ciebie na żadne niebezpieczeństwo z pewnością nie narażę, natomiast gdybyś wbrew moim najgłębszym pragnieniom znalazł się w jakimś kłopotcie, możesz być pewny, że całej mej bohaterskiej energii użyję, aby ciebie ocalić. Poza tym będę ci zawsze we wszystkim posłuszny. No i cóż powiesz na moją propozycję?

— Namyślę się jeszcze.

— Effendi, to sprawa zupełnie jasna i nie ma się nad czym namyślać. Cenniejszego sługi nade mnie z pewnością nigdy nie znajdziesz.

— Być może, ale już mam służącego.

— Ben Nila? Jakież usługi może ci oddać ten młodzieniec? Jakież on bitwy wygrał, jakie odniósł zwycięstwa?

— On jeszcze młody i łatwo może stać się większym bohaterem od ciebie.

— Daruj, effendi, ale ja w to nie wierzę. Żeby się czegoś nauczyć, przede wszystkim trzeba umieć słuchać, on tymczasem żadnej nauki ode mnie przyjąć nie chciał i sprzeciwiał mi się we wszystkim.

— Jako człowiek doświadczony i rozsądny powinieneś być wyrozumiały. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś się nim szczerze i po ojcowsku zajął.

— Twoje życzenie z największą przyjemnością gotów jestem spełnić. Będę znosił cierpliwie jego słabości a głupstwa przebaczę ze spokojem i wyrozumiałością.

— Idź więc do niego i powiedz mu, że chcesz u mnie zostać. Zrobię tak, jak mi Ben Nil poradzi.

— Jak to? Taki słynny effendi chce się kierować wolą służącego?

— Kierować nie, ale chcę w tym wypadku jego życzenie uwzględnić, bo gdybym cię przyjął do służby, wy dwaj przede wszystkim musielibyście z sobą obcować.

— Zdaje mi się, że moje towarzystwo Ben Nil powinien uważać za zaszczyt. Jeżeli sobie jednak życzysz, abym z nim na ten temat pomówił, pójdę do niego, a potem doniosę ci, że jest uszczęśliwiony moją propozycją.

Poszedł, a ja chętnie byłbym podsłuchał tę rozmowę. Między nimi obydwoma rozwinął się oryginalny stosunek. Polubili się wzajem, a mimo to awanturowali się od rana do nocy. Poza swymi błędami miał Selim wcale dużo zalet i we wszystkich zleceniach, gdzie nie potrzeba było odwagi, okazywał się sługą godnym zaufania. Chorobliwą manię uchodzenia za bohatera można mu było wybaczyć. Ben Nil ujął mnie bardzo. Był to młodzieniec poważny i cichy, a pomimo młodych lat miał takie zapatrywania, jakich by się nie powstydzil niejeden stary. Bystrość jego zasługiwała na podziw, a energia, którą dotychczas mógł co prawda tylko w zwykłych sprawach okazać, pozwalała spodziewać się, że w razie potrzeby stać go będzie na bardzo wiele odwagi.

Ilekróć ci dwaj ludzie zderzyli się z sobą, patrzyliśmy jak na jakieś wesołe widowisko, a sceny podobne wprowadzały pożądaną odmianę w niemiłą często monotonię podróży. Z tego właśnie powodu byłem gotów zatrzymać Selima przy sobie. Wiedziałem, że będzie to dość kosztowna przyjemność, ale ostatecznie środki pieniężne, potrzebne na jej pokrycie, jakoś może zdobyć potrafię.

Przerwałem rozmyślenia, gdyż zobaczyłem porucznika, wychodzącego z chaty. Szech wyszedł także i popędził ku rzece. Porucznik zbliżył się do mnie, wyjął cybuch z torby przytroczonej do siodła na wielbłądzie, nałożył fajkę i usiadł przy mnie, a ja podałem mu ogień.

— Masz doskonałego wielbłąda — zacząłem. — Zapewne to rozkosz nie lada przelatywać pustynię na grzbiecie takiego zwierzęcia.

— Poznasz tę rozkosz — odrzekł — gdyż ten wielbłąd właśnie dla ciebie przeznaczony.

— Rzeczywiście? Skąd przyszło emirowi na myśl, aby mi wielbłąda posyłać?

— Przysłała ci nie tylko wielbłąda, ale zarazem i prośbę, którą mam ci przedłożyć. Czy gotów jesteś jej wysłuchać?

— I owszem.

— Byłeś już nieraz w pustyni i umiesz odczytywać tropy ludzi i zwierząt. Poleciał mi więc, abym ciebie zapytał, czy...

Utknął w środku zdania, bo oto w pobliżu bud składowych ukazało się kilku Beduinów z wielbłądami. Pochodzili zapewne z niedalekiej okolicy i chcieli może siebie i zwierzęta wynająć. Murad Nassyr zobaczył ich z podwórza i wyszedł, ażeby z nimi pomówić. Ponieważ siedzieliśmy właśnie w bramie tuż pod murem, nie zauważył nas, więc minął i skinął na swoich ludzi, żeby szli za nim. Zaledwie porucznik rzucił nań okiem, zamilkł i jął mu się przypatrywać posępnie badawczym wzrokiem.

W tej chwili odwrócił się gruby Turek i nas zobaczył. Porucznik podniósł się, stanął w samym środku wejścia, aby Nassyrowi zastąpić drogę i rzekł:

— Zdaje mi się, żeśmy się już kiedyś widzieli.

— Ja ciebie? Nigdy! — odrzekł Turek dumnie, rzucając na porucznika wzgardliwe spojrzenie, przy czym widać było, że mówił prawdę.

— Być może, że ty mnie nie zauważyłeś, ale ja ciebie widziałem.

— To mi obojętne. Mnie wielu ludzi widziało. Zresztą nie miałem i nie mam z tobą nic do czynienia. Puszczaj mnie!

— Zaczekaj jeszcze chwileczkę. Chciałbym z tobą pomówić. Jak się nazywasz?

— Zapytaj się o to, kogo chcesz, ja nie mam obowiązku ani ochoty odpowiadać na twoje pytania.

— Mylisz się! Czy wiesz, kto to jest reis effendina?

Twarz Turka drgnęła, a spojrzenie na mówiącego, który miał na sobie zwykły strój Nubijczyka, było teraz całkiem inne niż przedtem.

— Wiem bardzo dobrze, kim on jest, bo to wie każdy — odpowiedział znacznie uprzejmiej.

— W takim razie wiesz zapewne i to, że reis effendina wyposażony jest wielu pełnomocnictwami,

które mu nadają niekiedy większą władzę aniżeli ma mudir.

— I to wiem także.

— Jestem porucznikiem emira i powiem ci, że twarz twoja zajmuje mnie bardzo. Teraz mi już chyba odpowiesz?

— Udowodnij mi wpierw, że jesteś rzeczywiście tym, za kogo się podajesz.

— Jeżeli koniecznie chcesz, zastosuję się do twojego życzenia i pójdziemy razem do szecha el beled, ale tam rozmówimy się urzędowo, gdy tymczasem tu rozmawiałbym z tobą uprzejmie.

— Jestem tak samo jak ty przyjacielem uprzejmości, możesz mi więc stawiać pytania, jakie chcesz.

Turek miał widocznie powód do obawy przed urzędowym przesłuchaniem. Porucznik rzekł z uśmiechem:

— Ponawiam pytanie, jak się nazywasz?

— Nazywam się Murad Nassyr.

— Skąd jesteś?

— Z Nifu koło Izmiru.

— Kto jesteś?

— Bazirgijan.

— Kupiec i handlarz. Czym handlujesz?

— Czym się tylko da. Teraz udaję się do Chartumu po sennę, gumę i kość słoniową.

— Czy nie kupowałeś i nie sprzedawałeś jakiegoś innego towaru?

— Owszem.

— Tak, ale ja mam na myśli towar żywy, niewolników.

— Taki handel przez myśl mi nigdy nie przeszedł. Jestem posłusznym poddanym sułtana i nie czynię niczego przeciwko jego prawom i rozkazom kedywa.

— Jeśli tak, to dobrze. Czy znasz może miejscowość Kauleh, leżącą nad Bahr el Abiad?

— Nie.

— To szczególne. Taki handlarz jak ty miałby nie znać tej miejscowości? To wydaje mi się podejrzane. Nie dawniej jak przed rokiem wieziono Nilem niewolników z Karanak do Kauleh; miano

ich sprowadzić do Messalamie. Statek wpadł jednak w nasze ręce i handlarzom odebraliśmy nieszczęsnych niewolników. Przywódca, który nam umknął, był tak podobny do ciebie, jak jedna kropla wody do drugiej. Pytałem jednego z pojmanych o twoje imię, a on podał je, lecz brzmiało całkiem inaczej niż obecne.

— To dowodzi przecież, że nie jestem tym, za kogo mnie uważasz.

— To może także dowodzić, że nosisz rozmaite nazwiska. Widziałem wówczas twarz twoją i dotąd nie zapomniałem jak wygląda.

— Panie, ja jestem uczciwym handlarzem! Może to poświadczyć także effendi, obok którego siedzisz. Zapytaj go, on zna mnie dobrze i nawet ze mną chce jechać do Chartumu.

Ze strony Murada było to zuchwalstwo.

— Czy to prawda? Znasz go? — zapytał mnie porucznik.

— Znam go pod tym nazwiskiem, jakie ci podał.

— Czy mówił z tobą o łowach na niewolników?

— Tak jest, wczoraj wieczorem.

— Co powiedział?

— Chciał mi dać siostrę za żonę, jeśli bym zechciał dopomóc mu w handlu niewolnikami.

— Opowiedz to obszernie, effendi!

Usłuchałem wezwania, gdyż nie widziałem powodu, dla którego miałbym milczeć na korzyść Turka, lub nawet kłamać. Murad zacisnął zęby i patrzył na mnie wzrokiem, mówiącym wyraźnie, że przy sposobności zemści się na mnie krwawo.

— No i cóż ty na to? — zapytał go porucznik, kiedy skończyłem.

— Miałem bardzo słuszny powód, aby mu to powiedzieć. Ten effendi, który nic nie umie i grosza w kieszeni nie ma, chciał mnie zmusić, żebym go z sobą zabrał jako towarzysza podróży. Z Sijut aż tu kosztował mnie mnóstwo pieniędzy i żeby się go pozbyć udałem przed nim, że jestem handlarzem niewolników. I ten środek istotnie pomógł, bo zląkł się i rozstał się ze mną.

— Przedtem twierdziłeś, że on chce z tobą jechać do Chartumu.

— Powiedziałem to chyba przez nieuwagę. Widocznie o czym innym wtedy myślałem.

— Jesteś mi bardzo podejrzany. Czy możesz udowodnić mi, że jesteś rzeczywiście Muradem Nassyrem z Nifu?

— Tak, mam przy sobie dwa paszporty, jeden sułtana, a drugi kedywa.

— Pokaż mi je.

— W takim razie bądź łaskaw pofatygować się do moich komnat.

Porucznik wszedł z nim do kanu, a kiedy po jakimś czasie powrócił, oznajmił mi z niechęcią:

— Oba paszporty w najlepszym porządku; jedzie z siostrą do Chartumu. Zbadałem jego rzeczy i nic mu nie mogę zarzucić, choć pewien jestem, że to ten sam handlarz niewolników, którego przed rokiem widziałem.

— A ja mógłbym przysiąc, że współudział w handlu proponował mi zupełnie poważnie.

— I ja jestem tego samego zdania, mimo to jednak muszę go puścić wolno, co prawda tylko na dzisiaj. Będziemy już nad nim czuwali. A teraz mówmy dalej o tym, o czym rozmawialiśmy przedtem.

— Nie tutaj, przeszkadzają nam zanadto. Każ swego hedżina wprowadzić do kanu, a my chodźmy nad rzekę, gdzie będziemy sami i nikt nas nie podsłucha.

Zgodził się na moją propozycję, oddał wielbłąda chandżemu a my ruszyliśmy nad wodę. Ujrzałem łódź z jednym wioślarem, płynącą szybko w górę rzeki.

— To mój człowiek, wysłany przez szecha el beled na mój rozkaz do Derr — rzekł porucznik.

— Czy mogę zapytać, po co go wysyłacie?

— Owszem — a nawet musisz to wiedzieć koniecznie. Z Derr pójdzie drugi posłaniec do Abu Simbel, stamtąd trzeci do Wadi Halfa, potem czwarty do Semmeh i tak dalej, aż zaalarmuje się całą dolinę Nilu.

— W takim razie musiało się stać coś nadzwyczajnego.

— Coś okropnego. Kiedy rabusie napadają na czarnych, aby ich na niewolników zamienić, od biedy można tego jeszcze nie widzieć, bo to rzecz zwyczajna, kiedy jednak wloką do niewoli Arabów i prawowiernych muzułmanów, to jest to grzechem przeciw Koranowi, wołającym o pomstę do nieba.

— Gdzie się na coś takiego odważono?

— Czy słyszałeś o studni Bir es Serir, położonej na zachód od Es Safih?

— Słyszałem. Znajduje się na południowy wschód od Dżebel Modjaf, a należy, o ile się nie mylę, do szczepu z plemienia Fessara.

— Widzę, że znasz tutejsze stosunki wybornie. Otóż oddział Fessarów, pojących swoje trzody w tej studni, obchodził jakąś uroczystość. Wszyscy mężczyźni udali się do Dżebel Modjaf, by tam

urządzić wspaniałą „fantazję”, kobiety zaś zostały w domu. Kiedy mężczyźni nazajutrz powrócili, zastali w swych namiotach trupy dzieci i kilka starych kobiet, zaś młode niewiasty uprowadzono a trzody rabusie rozproszyli.

— To straszne! Dziewczęta i kobiety Fessarów słyną z piękności. Czy żadnych śladów nie znaleziono?

— Nie. Nad ranem zerwała się burza i wszelkie tropy na pustyni zawiąła.

— Kiedy tę zbrodnię spełniono?

— Przed dwudziestu dniami. Wiesz, jaka to wielka odległość i nie zdziwisz się, że otrzymaliśmy wiadomość dopiero przed trzema dniami. Jak sądzisz, dokąd się sprawcy zwrócili?

— Ani na zachód, ani na południe, bo tam nie mogliby sprzedać porwanych. Sądzę, że mogli się zwrócić jedynie ku Morzu Czerwonemu, bo stamtąd najłatwiej wysłać niewolników do Egiptu albo do Turcji.

— Tego samego zdania jest także reis effendina. Handlarze mogli jednak wiele dróg obrać!

— Tylko dwie.

— Które?

— W pobliżu Wadi Melk przez pustynię Bajuda i okolicę Berberu a stamtąd jak najkrótszą drogą do Suakin. Druga droga prowadziłaby przez Wadi Melk i Wadi el Gab do Dongoli i w poprzek pustyni nubijskiej do Kas Kauaj nad Morzem Czerwonym.

Porucznik rzucił na mnie spojrzenie pełne zdumienia i powiedział:

— Effendi, reis effendina widocznie zna ciebie dobrze, on także podobnie myślał i powiedział, że będziesz tego samego zdania co on.

— Bardzo mnie to cieszy, co jednak wspólnego może mieć moje zdanie z tą sprawą?

— Obie te drogi należy zagrodzić, ale w zupełnej tajemnicy, aby czujności rabusiów nie zbudzić. Reis effendina popłynie więc z Chartumu w okolicę Berberu, ażeby im zagrodzić drogę do Suakin, mnie natomiast wysłał z drugą częścią załogi tutaj, bym tej drogi pilnował.

— A gdzie są twoi ludzie?

— Zostawiłem ich na pustyni, żeby ich nikt nie widział. Dla nas dwóch zarekwirował reis prawdziwe hedżiny, abyśmy mogli przejeżdżać wielkie przestrzenie. Załoga nasza zaopatrzona jest w zwyczajne ale wcale dobre wielbłądy.

— A cóż mi po tym hedżinie?

— Nie odgadujesz? Reis effendina sądzi, że twoja rada mogłaby mi się przydać, a ponieważ z niejaką pewnością przypuszczał, że będziesz teraz w Korosko, kazał mi tu przyjechać i prosić cię o przyłączenie się do nas. Czy spełnisz tę prośbę?

Byłem w szczególnym położeniu. Miałem kłopoty z powodu kosztów podróży i nie mogłem wracać do Kairu. Od emira mogłem spodziewać się pomocy i przyrzekłem w ogóle odwiedzić go w Chartumie. Nie mogłem też odmówić prośbie, którą przysłał mi przez porucznika. Zresztą musiałem także z powodu obietnicy, danej przewodnikowi z Moabdah, udać się do Chartumu. W końcu pomyślałem, że zaufanie, okazane mi przez reisa effendinę, jest dla mnie wielkim zaszczytem. Toteż odrzekłem:

— Jakże mógłbym tej prośbie odmówić? Twój pan wyświadczył mi tyle grzeczności, że z przyjemnością skorzystam ze sposobności, aby mu się przysłużyć.

— Effendi, dziękuję ci bardzo. Muszę ci powiedzieć, iż reis effendina spodziewał się na pewno twojej zgody, ponieważ jednak zadanie, które mamy rozwiązać, jest bardzo niebezpieczne, sądziłem, że mu odmówisz. Raduję się jednak z całej duszy, że jego nadziei nie zawiodłem. To, co mamy wykonać, połączone jest z wielkimi trudnościami, skoro jednak wiem, że wesprze mnie twoja rada, jestem pewien, że przynajmniej większych błędów uniknę.

— Możesz liczyć nie tylko na moje rady, ale i czynny współudział. Czy masz osobne instrukcje, o których nie mówiłeś jeszcze dotychczas?

— Nie. Nakazano mi zabierać każdego spotkanego po drodze łowcę lub handlarza niewolników i prowadzić go razem z łupem do emira. Oczywiście w pierwszej linii mam zwrócić uwagę na uprowadzone żony i córki Beni Fessarów i mam, jak ci to oznajmiam otwarcie, we wszystkim polegać na twojej radzie.

— To ostatnie bynajmniej pożądane nie jest, bo bądź co bądź mogą zajść łatwo różnice zapatrywań, które sprawę utrudnią.

— Możesz śmiało liczyć na to, że zgodnie z rozkazem reisa effendiny poddam się twojej woli. Emir polecił mi zaraz po wyjaśnieniu sytuacji oddać ci tę oto kartkę.

Wyjął mały złożony kawałek papieru, rozwinął go i podał. Przeczytałem te pełne treści wyrazy:

— Ty jesteś pierwszy, on drugi.

Był to niezwykle dowód zaufania, tym większy, że reis powyższym mandatem znaczną część swojej władzy w moje ręce złożył.

— Czy jesteś teraz spokojny? — spytał porucznik.

— Tak — odrzekłem. — Jestem nie tylko spokojny, lecz mam przekonanie, że spotkamy rabusiów, jeżeli tylko obrali jedną z obu wspomnianych dróg.

— Czy to nie jest zbyt śmiałe twierdzenie, effendi?

— Nie, gdyż wiem bardzo dobrze, co mówię.

— Ależ rozważ, jaka pustynia jest wielka! Stąd do Bir Murat mamy cztery dni drogi, a studnia ta nie leży w samym środku. Gdybyśmy mogli nawet obsadzić tę ogromną przestrzeń, mieliby rozbójnicy wiele luk, którymi mogliby się przemknąć; zwłaszcza nocą.

— Tak, ale trzeba się liczyć z właściwościami pustyni, którą mają przebyć. Od Nilu aż do Morza Czerwonego, jako celu, dzieli ich dwadzieścia dni drogi wielbłędami. Na taką długą drogę nie mogą być zaopatrzeni w wodę i muszą wyszukiwać studnie, przy których się z nimi spotkamy.

— Nie licz na to tak bardzo! Czy o tym nie wiesz, że są studnie tajemne?

— Tak. Na Saharze niejedyn raz piłem z nich wodę. Spojrzał na mnie, potrząsnął głową i rzekł:

— Słyszałem wprawdzie, że Frankowie są w wielu rzeczach o wiele rozumniejsi od nas, lecz mieszkańcy pustyni niewątpliwie lepiej znają swój kraj niż mieszkaniec Zachodu, który się tam znajdzie po raz pierwszy w życiu.

— Zaczekaj! Nie dam ci teraz żadnych wyjaśnień; wypadki ci udowodnią, że mam istotnie słuszość.

— Zaciekawiasz mnie bardzo, ale zobaczymy. Na razie pozostaje mi jeszcze zapytać się ciebie, czy ze mną na pewno pojedziesz?

— Z całą pewnością.

— W takim razie mam ci jeszcze coś dać od emira. Allach tak zrządził, że człowiek nie może żyć bez pieniędzy. Nawet w pustyni mogą się przydać. Emir polecił mi więc oddać ci tę kasę, którą możesz rozporządzać wedle swojego uznania. Przede wszystkim masz sobie tutaj kupić, czego ci tylko potrzeba. Podał mi skórzaną sakiewkę, napełnioną egipskimi talarami (sijał mosri) i egipskimi półfuntowymi złotówkami. Suma wynosiła około tysiąca franków. To mogło wystarczyć aż nadto na kilka tygodni, zwłaszcza że dowiedziałem się, iż żołnierze zaopatrzeni są we wszystko, czego mogą potrzebować. Bez wahania pieniądze przyjąłem, przy czym jednak zauważyłem:

— Na razie nie mam żadnych potrzeb i zużyję pieniądze dla was w razie potrzeby a potem przedłożę emirowi rachunek. Kiedy wyruszamy?

— Kiedy ci się podoba. Chciałbym tylko przedtem napić wielbłąda. Od dwu dni nie dostał wody.

— Nie dostanie jeszcze przez dwa dni a kto wie, czy nawet nie dłużej.

— Czemu, effendi?

— Bo chcę odkryć tajemne studnie na pustyni.

Rzucił na mnie spojrzenie, po którym poznałem, że mojej odpowiedzi nie pojął i rzekł, potrząsając znów głową:

— Nie rozumiem cię, effendi! By się ukrywać, musimy unikać studni, więc nasze wielbłądy muszą znosić pragnienie. Tu znajdujemy się nad brzegiem Nilu, więc powinien być skorzystać ze sposobności i obficie swoje zwierzę napoić.

— A ja tymczasem ani kropli dać mu nie myślę.

— Czy to nie okrucieństwo? Czy religia chrześcijańska nie nakazuje wam dbać o zwierzęta?

— Nasza religia jest o wiele przychylniejsza dla zwierząt niż wasza, ale lepiej, żeby jeden wielbłąd znosił pragnienie, jeżeli przez to wielu ludzi można od cierpień uchronić. Skoro tylko się dowiem, jakie plany ma Murad Nassyr, wyruszymy w drogę. Jakże jednak dostaniemy się do twoich ludzi we dwójkę, kiedy mamy tylko jednego wielbłąda?

— Owszem są dwa, ale tego drugiego zostawiłem poza osadą ze spętanymi nogami. Nie chciałem, aby poznano, że przybyłem po ciebie.

— Postąpiłeś bardzo rozsądnie. Gdzieżeś go zostawił?

— Niedaleko stąd nad brzegiem Nilu. Za pół godziny zaszedłbyś tam piechotą.

— To wsiadaj i jedź, napój swego wielbłąda, ale mojemu pić nie pozwól. Ja tam nadejdę.

— Nie znajdziesz mnie!

— Nie obawiaj się, znajdę.

— Ależ ty nie znasz okolicy!

— Nie potrzeba mi tego, bo mam przewodnika, który mnie do ciebie zaprowadzi.

— Któż to być może?

— Twój trop.

— Czy rzeczywiście umiesz tak dobrze odczytywać ślady?

— One dla mnie takie wyraźne jak dla ciebie pismo Koranu.

— W takim razie jadę, boję się jednak, czy sobie zbytnio nie ufasz.

Wrócił na miejsce, na którym leżał przeznaczony dla mnie hedżin, dosiadł go i odjechał. Czekałem jeszcze przez chwilę. Wtem nadeszli Arabowie, poprzednio już przez Murada przyzwani i poszli do rzeki, by napoić zwierzęta. Widocznie ich Turek wynajął, aby natychmiast wyruszyć, co im miłe oczywiście być nie mogło, gdyż Beduini zwykle każdą podróż zaczynają dopiero po południu. Poszedłem z wolna do kanu. W bramie stał Turek, musiałem więc przejść tuż obok niego. Zaczął mnie lżyć:

— Ty psie, ty zdrajco! Teraz zostaniesz tutaj a szatan głodu pożre cię kawałkami. Jeżeli zaś śmierci głodowej unikniesz, bądź pewny, że ci przy pierwszym spotkaniu głowę roztrzaskam.

Nie zważając na te słowa, poszedłem na dziedziniec. Przechodząc koło drzwi, które prowadziły do komnat Letafy, usłyszałem jej głęboki głos stłumiony aż do szeptu.

— Effendi, zatrzymaj się na chwilę, lecz nie oglądaj się na mnie!

— Czego sobie życzysz? — zapytałem, odwróciwszy się do niej plecami i udając, że jestem pogrążony w obserwacji kanu.

— Zatrzymałam cię, aby z tobą raz jeszcze jeden pomówić. Brat opowiedział mi, że gardzisz moją siostrą.

— Nie gardzę nią, lecz jako chrześcijanin jestem wrogiem wszystkich handlarzy niewolnikami i właśnie z tego powodu muszę się rozstać z Muradem.

— Bardzo mnie to smuci! Przywróciłeś mi ozdobę głowy a chciałabym ci się za to odwdziżyć, tymczasem nie wiem, czy będzie to teraz możliwe. Ale w każdym razie bądź pewny, że nigdy o tobie nie zapomnę.

— Ja także z rozkoszą będę ciebie wspominał, ty kwiecie szczęścia i wzorze ziemskiej piękności.

— Bądź zdrow, effendi, nie gniewam się na ciebie. Poszedłem do mego pokoju, gdzie siedział Selim z Ben Nilem i sprzeczali się jak zwykle na temat bohaterstwa. Przyszło mi na myśl, że zapomniałem zwrócić na nich uwagę porucznika i nie wiedziałem teraz, co z nimi zrobić. Mimo to jednak oświadczyłem Selimowi ku jego ogromnej uciechy, że go do służby przyjmuję i zacząłem się zastanawiać, jak ja się z nimi w dalszą podróż zabiorę.

Na szczęście przypomniałem sobie szecha el beled. Porucznik był u niego i z tego wywnioskowałem, że zna jego i reisa effendinę. Poszedłem bezzwłocznie do niego i po wstępnych pozdrowieniach przedłożyłem mu moją prośbę.

— Panie, jesteś przyjacielem emira i jestem na twoje usługi — odrzekł szech. — Czy chcesz wielbłądów wierzchowych, czy jucznych?

— Wierzchowych, ale muszą być dobre i szybkoconogie.

— Czy możesz za nie zapłacić?

— Pieniądzy za dwa wierzchowe wielbłądy nie mam oczywiście przy sobie.

— Więc chcesz je tylko pożyczyć?

— I to trudno, musiałbym zabrać z sobą właściciela, a ten byłby mi w drodze tylko przeszkodą.

— Nie bój się, effendi! Tak źle nie będzie! Ceny wynajmu teraz płacić nie potrzebujesz. Oddacie

wielbłądy szechowi Ababdeh w Abu Hammed, on mi je odeśle, a jeśli kiedy później emir będzie w Korosko, z nim samym rachunek załatwię.

— A zatem zgoda, postaraj mi się tylko jak najrychlej o dobre wielbłądy wierzchowe, bo te, które tu widzę, zbyt ciężkie i powolne, zresztą i tak wynajął je pewnie Turek, który tu ze mną przybył.

Szech zrobił chytrą minę i odrzekł:

— Jesteś wprawdzie Frankiem, lecz wiesz może, kto potężniejszy od najpotężniejszego księcia?

— Myślisz prawdopodobnie o otwartej ręce?

— Tak, ręka otwarta wszystko może.

Wydobyłem kilka egipskich talarów, a kiedy mu je podałem, pochwycił szybko, schował je i powiedział:

— Effendi, jesteś najmądrszym z mędrców, a dobroć twoja równa się miłosierdziu. Bądź pewny, że cię obsłużę, tak jak samego reisa effendinę, szybko i dobrze. Niech ci się nie zdaje, że przewoźnicy tutejsi posiadają te tylko wielbłądy, które przed sobą widzimy; mają i lepsze ale tych nie pokazują od razu, aby od podróżnych jak najwyższe ceny wyludzić. Jeżeli jednak każdemu z właścicieli dasz po talarze bakszyszu, dostaniesz wkrótce dwa wielbłądy takie szybkie jak ten, na którym przyjechał porucznik.

— Chętnie ten bakszysz zapłacę.

— A więc zatrzymaj się chwilkę, a ja tymczasem z tymi ludźmi pomówię.

Powróciłem do kanu, gdzie Turek zajmował się załadunkiem wielbłądów. Na jednym z nich umieszczono tachtirwan, przeznaczony dla siostry Murada, dwa inne niosły żywność i wory napełnione wodą, na dwóch dalszych przywiązano po dwa kosze, do których weszły służące, szóstego dosiadł Turek, a siódmego przewodnik, do którego należały wielbłądy. Chwilę później dał się słyszeć okrzyk: „la szech Abd-el-kaader”, hasło wyruszenia. Mały orszak począł ruszać powoli, a Turek, zanim przejechał przez bramę, odwrócił się do mnie i zawołał:

— Zabrałeś mi Selima, ty najbrudniejszy z nieczystych. Zapamiętaj sobie, co ci już powiedziałem, że przy najbliższym spotkaniu śmierć cię z mojej ręki nie minie.

I tym razem nic mu jeszcze nie odpowiedziałem, gdyż nie wątpiłem, że wkrótce lepszą znajdę do tego sposobność. Po upływie kwadransa przyszedł szech el beled z dwoma ludźmi, a każdy z nich prowadził za uzdę wierzchowego wielbłąda. Nie były to wierzchowce zwyczajne, więc zafrasowała mnie myśl, że emir będzie musiał za nie zapłacić bardzo wysoką cenę. Powiedziałem szechowi, co myślę, odpowiedź jego jednak zupełnie mnie uspokoiła.

— Nie martw się, effendi! Nie my oznaczamy wysokość ceny najmu, lecz reis effendina. Jest on wysłannikiem wicekróla i mógłby właściwie nawet nic nie zapłacić. Ty mi tylko poświadczysz, że otrzymałeś od nas wielbłądy.

Dałem pisemne poświadczenie i dwa talary napiwku. Potem pożegnałem się z szechem i z owymi ludźmi. Selim i Ben Nil wsiedli, ja podałem im moje rzeczy, po czym zapłaciwszy chandżemu należność za mieszkanie, której Turek uiścić nie myślał, opuściłem z dumą pieszo Korosko. Czy w Europie pożyczylby kto obcemu takie wielbłądy?

Ponieważ wiedziałem, w jakim kierunku odjechał porucznik, łatwo mi było odnaleźć ślady jego wielbłąda. Podążyliśmy za tymi śladami. Z początku oddaliliśmy się nieco od Nilu, wnet jednak skręciliśmy pod kątem ku jego brzegom. Ponieważ szedłem dobrym krokiem, dostaliśmy się na brzeg w ciągu około dwudziestu minut. Porucznik siedział w krzakach, których soczyste końce obrywał jego wielbłąd, podczas gdy mój leżał ze spętanymi nogami z dala od wody, ku której zwracał tęsknie rozwarte nozdrza. Żał mi było zwierzęcia, musiało jednak cierpieć teraz koniecznie ze względu na nasze późniejsze korzyści.

Porucznik był zaskoczony przybyciem nie znanych mu ludzi. Ponieważ znał z opowiadania moje ostatnie wypadki, więc się od razu domyślił, kim są ci dwaj moi towarzysze.

— Musiałem długo czekać na ciebie — rzekł — myślałem już, że moich śladów nie odnalazłeś. Ten młodzieniec — to zapewne Ben Nil, o którym mi opowiadałeś?

— Tak.

— A ten drugi, to pewnie Selim, bohater nad bohaterami?

— Zgadłeś — rzekł wymieniony, nie pozwalając mi odpowiedzieć. — Kiedy mnie poznasz ogarnie cię zdumienie.

— Zdumienie ogarnia mnie już teraz, gdy odpowiadasz nie pytany. Czy ci ludzie chcą jechać z nami?

Z ostatnimi słowy zwrócił się znów do mnie. Objąsniłem mu sprawę dokładnie. Kiedy skończyłem, rzekł:

— Spodziewam się, że zasłużą na to, żeby ich nosiły takie wielbłądy. Ty jesteś pierwszy, ja drugi, możesz czynić, co ci się podoba, ja ci tylko życzę, żebyś jakiegoś błędu nie popełnił. Napełnijmy zaraz wory i ruszajmy w drogę!

Wkrótce wory były pełne wody i wszystko gotowe do drogi, więc ruszyliśmy dalej. Wielbłąda mego trudno było odciągnąć od brzegu, kiedyśmy jednak mieli Nil już za sobą, był całkiem posłuszny, co dowodziło, że był zwierzęciem lepszym i szlachetniejszym od tamtych trzech.

Skręciliśmy najpierw na drogę, wiodącą ku południowemu wschodowi, a potem zwróciliśmy się wprost na południe. Jechaliśmy chórem, to jest łożyskiem rzeczny, którym woda płynie tylko w porze deszczowej. Okolica była dzika i pusta, po bokach wznosiły się tylko nagie skały, a nasze wielbłądy stapały po ostrym, nieurodzajnym kamienisku.

Pierwsza część szlaku pustynnego wiedzie przez teren górzysty, właściwa pustynia piaszczysta zaczyna się dopiero w trzecim dniu; nazywa się ona bahr bela mah, to znaczy: morze bez wody. Z

nazwą tą spotykałem się dosyć często na Saharze i po drugiej stronie Morza Czerwonego, a posługują się nią Arabowie, Beduini, Berberyjczycy i Tuaregowie.

Zwierzęta nasze szły dzielnie pomimo złej drogi. Kłus wielbłąda jest bardzo wydatny, a na dłuższą metę nie dorówna mu nawet prawdziwy koń arabski. Toteż po upływie dwu godzin zobaczyliśmy przed sobą ciągnącą z wolna karawanę Murada Nassyra. Kiedy mnie zobaczył, zdziwił się mocno, ja zaś przejeżdżając mimo, zawołałem do niego:

— Znowu masz przyjemność widzieć się ze mną, możesz mnie teraz zdruzgotać!

Odpowiedział przekleństwem. Selim zatrzymał się przy nim i powiedział:

— Nie osiągniesz swego celu, lecz zginiesz w pustyni, gdyż nie jestem twoim obrońcą.

— Idź do diabła! — huknął nań jego pan dawny.

— Może cię tam zastanę, kiedy mnie nieszczęście tam wtrąci.

Kiedyśmy zniknęli Turkowi z oczu, skręciliśmy z drogi na prawo, aby trafić na ludzi, których tam porucznik zostawił. Nie był on bywalcem w pustyni, więc mógł się pomylić co do kierunku, ale bardzo różnorodne kształty skał dostarczyły mu tak wyraźnych wskazówek, że trudno było zabłądzić. Kiedy z nim rozmowę na ten temat zacząłem, rzekł:

— W tych stronach zabłądzić chyba nie można. Nie ma tu wprawdzie właściwej drogi, ani ścieżki, lecz zapamiętałem sobie kształty wzgórz, obok których przejeżdżałem, nie mogę się zatem pomylić. Zupełnie co innego na równinie piaszczystej — tam się zorientować nie umiem.

— Jakże więc trafiłeś do Korosko? Musieliście przecież przechodzić przez pustynię piaszczystą.

— Czyż nie powiedziałem ci, że emir dał nam doskonałego przewodnika? Ten człowiek jest kapralem, walczył nieraz w Sudanie i zna doskonale pustynię. On nas prowadził, a teraz został przy żołnierzach, określiwszy mi dokładnie drogę do Korosko. Przekonasz się, że to bardzo przydatny człowiek.

Po jakimś czasie dostaliśmy się znowu do suchego chóru; tu mieli żołnierze czekać na powrót porucznika. Zastaliśmy ich, ale nie wszystkich. Było ich tylko dziesięciu i wielbłądów przy nich nie było. Dowiedzieliśmy się, że stary kapral skorzystał z nieobecności komendanta i pojechał szybko nad Nil napoić wielbłądy i wory świeżą wodą napełnić. To samowolne zachowanie się przejęło porucznika obawą. Usiłowałem go uspokoić, lecz on rzekł z gniewem:

— Nie broń go, effendi! Nie jesteśmy zwykłymi podróżnymi, lecz żołnierzami, dlatego wśród nas musi panować surowa karność. Ten onbaszi* nie miał prawa opuszczać stanowiska bez mego pozwolenia.

— Bez wątpienia, bądź co bądź ma on dobre zamiary.

— Może, ale przy dobrych zamiarach niejedno głupstwo można popełnić. Nikt nas przecież

widzieć nie powinien, a tymczasem ten człowiek jedzie w trzydzieści ludzi i przeszło czterdzieści wielbłądów w okolicę, gdzie go bezwarunkowo muszą zauważyć.

— W takim razie przedstawiłeś mi go fałszywie.

— Jak to?

— Nazwałeś go człowiekiem pożytecznym, a teraz uważasz go widocznie za podwładnego, któremu ufać nie można.

— Tak surowego sądu o nim wydawać nie myślę, w każdym razie jednak powinien był mnie zapytać, co ma czynić. Bardzo łatwo może się spotkać z ludźmi, którzy jego i naszą obecność zdradzą przed rabusiami.

— Powiadasz, że zna pustynię, więc chyba obierze drogę bezpieczną, na której nikogo zobaczyć nie zdoła.

— Mimo to może nastąpić takie spotkanie, bo Nil jeszcze zbyt blisko.

— Jeśli pojedzie stąd prosto, natrafi na rzekę między Toszkeh a Tabil i nikt go prawdopodobnie nie dostrzeże. Jeśli zaś on sam przypadkiem kogoś na drodze zobaczy, to chyba, jako człowiek doświadczony, zręcznie ominie. Czekajmy spokojnie jego powrotu.

— Więc sądzisz, że nie powinniśmy go szukać?

— Naturalnie, gdyż przez to nie osiągniemy nic, chyba tylko zwiększymy możliwość spotkania się z ludźmi.

Rozłożyliśmy się obok pakunków na ziemi. Żołnierze trzymali się w pełnym uszanowania oddaleniu. Ze spojrzeń, rzuconych na mnie widać było, że się cieszą z mego przybycia. Znali mnie ze statku i uważali widocznie za człowieka, którego obecność mogła im się na coś przydać. Skromny Ben Nil usiadł przy nich. Selim miał wielką ochotę zbliżyć się do nas, porucznik jednak spojrzał nań w ten sposób, że bohater odwrócił się i poszedł do żołnierzy. Zmierzył ich z góry i powiedział:

— A zatem jesteście asaker* reisa effendiny, którego zamierzamy uszczęśliwić naszą pomocą? Spodziewam się, że będę z was zadowolony. Czy mnie znacie?

— Nie — odrzekł jeden z nich, który podobnie jak inni ze zdumieniem przypatrywał się Selimowi, nie wiedząc, jak się ma wobec niego zachować.

— Jesteście zatem zupełnie obcy w tym kraju, gdzie każde dziecko opowiada o moich czynach bohaterskich. Moje słynne nazwisko jest takie długie, że go nie zdołacie spamiętać i dlatego pozwolę wam nazywać mnie krótko Selimem. Jestem największym wojownikiem wszystkich ludów i plemion Wschodu, a przygody moje opowiadają wszędzie i opisują w tysiącach książek. Potężne ramię moje jest osłoną, w której cieniu możecie żyć bezpiecznie i spokojnie przez najdłuższe lata.

Mówiąc to, rozciągnął nad nimi obie ręce i przybrał postawę człowieka, który światem wstrząsnąć

jest w stanie. Żołnierze nie wiedzieli, co mają o nim myśleć i co mu na to wszystko odpowiedzieć i milcząc spoglądali na mnie. Kiedy zobaczyli mój uśmiech, a Ben Nil wzruszył ramionami, wymawiając słowa arabskie: „tim el kebir”, które znaczą tyle co nasz „samochwalca”, zorientowali się natychmiast. Wówczas jeden z nich, młody jeszcze chłopak, który, jak się potem dowiedziałem, był żartownisiem, powstał, skłonił się Selimowi głęboko i rzekł tonem pełnym szacunku i namaszczenia:

— Jesteśmy, o Selimie nad Selimy, uszczęśliwieni twą obecnością i olśnieni promieniami twej sławy. Jesteś, jak słyszymy, zbiorem wszelkich wzniosłych zalet i mamy nadzieję, że nam będziesz świecił stale swoim przykładem.

— Będę na pewno — rzekł Selim, nie mając pojęcia, że wpada w pułapkę. — Jestem gotów każdej chwili dopomóc wam do zdobycia sławy.

Przeciwnik chciał mu odpowiedzieć, lecz uwagę jego pochłonał daleki horyzont, na którym ukazał się teraz długi szereg jeźdźców na wielbłądach. Był to onbaszi w otoczeniu żołnierzy. Wielbłądy były napojone tak obficie, że formalnie zgrubiały, wyglądały jednak zdrowo i silnie. Było to dla nas bardzo korzystne, tym więcej, że stary zabrał także wszystkie wory i napełnił je wodą. Dzięki temu troska o wodę odpadła na kilka dni. Poprosiłem więc porucznika, żeby przebaczył kapralowi tę wcale nieszkodliwą dla nas samowolę. Gdy stary usłyszał moje słowa, wyciągnął do mnie rękę z podziękowaniem i rzekł:

— Effendi, dobroć twoja ulgę memu sercu przynosi. Nikt nas nie widział, a jeżeli wielbłądy spragnione, trudno przy ich pomocy czegokolwiek dokonać. Jesteś pierwszym władcą i znajdziesz we mnie posłusznego i wiernego sługę.

Teraz nadszedł czas zbadania pakunków. Amunicji i żywności było pod dostatkiem. Każdy miał czarkę, a oprócz tego widziałem kilka misek i żelazny kocioł do gotowania. Emir posunął się tak daleko w swojej troskliwości, że kazał dla mnie i dla porucznika zabrać w drogę namiot. Ciężki pakunek zawierał łańcuchy i kajdanki na ręce dla naszych ewentualnych jeńców.

Ponieważ ludzie byli głodni, a ja nie chciałem tracić czasu, pożywili się tylko suszonymi daktylami. Należało naradzić się nad planem, który też omówiłem z porucznikiem i z onbaszim. Prości żołnierze nie mieli oczywiście głosu. Przekonałem się, że moi doradcy zupełnie się dotąd nie zastanawiali nad sposobami rozwiązania zadania.

A łatwe ono nie było. Mieliśmy pilnować przestrzeni przynajmniej trzystu kilometrów, a przestrzeń ta była pustynią, w której znajdowała się tylko jedna jedyna studnia. Dostarcza ona w porze suchej wcale dobrej wody. Jest to wspomniana już Bir* Murat. Innych studzien nie było, ale właśnie ta okoliczność była mi na rękę.

Jeśli ci, których szukaliśmy, chcieli rzeczywiście przejść przez nubijską pustynię, bezwarunkowo Bir Murat ominąć nie mogli. Ponieważ zaś drogi od Nilu do owej studni nie można przebyć wcześniej jak w ciągu ośmiu dni, a żaden wielbłąd przez tyle dni pragnienia znieść nie może, należało przypuszczać, że rabusie znali tajemne studnie, obok których musieli przechodzić. Wypadało nam więc pilnować przede wszystkim Bir Murat, a nadto odkryć owe ukryte studnie i także przy nich

czaty rozłożyć. Pierwsza część zadania była stosunkowo trudna. Tę drugą na siebie wziąć postanowiłem.

Towarzysze przyznali moim wywodom słusność, onbaszi jednak zauważył, że jeżeli na tej pustyni studnie ukryte istotnie się znajdują, to w każdym razie odnaleźć ich nie zdołamy.

— Zostaw to mnie — rzekłem. — Jeżeli tylko w pobliżu studni droga nam wypadnie, nie ominę jej na pewno.

— A po czymże ją poznasz?

— Wiem, jak się takie źródła urządza. Kopie się w piasku tak głęboko, dopóki się nie natrafi na wodę, nad dołem kładzie się kilka kawałków drzewa, na nich rozciąga się skórę, rogoże lub koc. Potem przysypuje się to wszystko piaskiem i zrównuje z otoczeniem, aby to miejsce nie było dla oka widoczne.

— W takim razie i ty go odnaleźć nie zdołasz.

— Ja nie, ale mój wielbłąd.

— Czy wielbłąd ma bystrzejsze oczy od ciebie?

— Nie, ale czulsze nerwy powonienia. Spragniony wielbłąd wierzchowy jest bardzo czuły na wilgoć wody nawet ukrytej. Pędzi on z daleka do takiego miejsca, a gdy dopadnie, zaraz zaczyna kopać piasek nogami. Właśnie z tego powodu pić mojemu wierzchowcowi nie dałem.

— Allach jest wielki; on używa każdemu stworzeniu osobnego daru. A zatem chcesz szukać bijar es sirr? Czy sam się na te poszukiwania wybierasz?

— Nie.

— Kto ma ci towarzyszyć?

— Jeszcze dokładnie nie wiem. Przedtem chciałbym się zapytać, czy można się zdać na ciebie i na twoją znajomość terenu.

— Zapytaj porucznika, czy nie prowadziłem go wyśmienicie. Znam tę pustynię tak dobrze, jak tutejszy przewodnik karawanowy.

— Czy znasz i pustynię Bajuda po drugiej stronie Nilu?

— Także.

— A czy znasz jej widjany?

— Wszystkie. Wymienię ci wadi Mokattem, Uszer, Ammer, Abu Runi, Laban i Agru.

— A wielkie wadi na zachodzie pustyni?

— Masz na myśli wadi Melk?

— Tak. Przypuszczam, że rozbójnicy, jeśli ruszą drogą północną, tego właśnie wadi będą się trzymali. W pobliżu Abu Guzi dochodzi ono do Nilu. Czy sądzisz, że ci ludzie przejdą przez Nil tamtędy?

— Bezwarunkowo nie, gdyż Abu Guzi leży naprzeciwko Starej Dongoli, a tam okolica zbyt ożywiona i przez to niezbyt dla nich bezpieczna.

— A więc w którą stronę mogliby się zwrócić?

— Dalej na północ, wzdłuż Wadi el Gab, może aż do Tura i Moszo, gdzie trudno spotkać człowieka, a wyspa Argo ułatwia przeprawę na drugą stronę Nilu. Czy ci się to wydaje niemożliwe?

— Całkiem to samo, co teraz powiedziałaś, przedstawiłem porucznikowi poprzednio jako moje zapatrywanie. Obstawę przy nim, a rzuciłem ci pytanie tylko dla próby.

Z uśmiechem wielkiej pewności siebie i zadowolenia zapytał mnie znowu:

— I cóż, czy zdałem egzamin?

— Doskonale. Widzę, że tamte strony znasz. Główna rzecz jednak w tym, czy i tę okolicę, przez którą teraz właściwie mamy przechodzić, znasz równie dobrze.

— I owszem. Z Korosko przechodzi się przez Ugab, Abu Rakib, Meriszę, Bir Murat, Bir Abza, Tabun i Abu Szurwut do Abu Hammed nad Nilem.

— Bardzo dobrze. Powiedz mi jeszcze, czy znasz dokładnie położenie miejscowości Bir Murad?

— Tak jest, effendi. Byłem tam już nieraz.

— Jak długo musiałbyś iść stąd do Bir Murad?

— Trzy dni tylko, gdyż wielbłądy nasze są napojone.

— A odważyłbyś się zaprowadzić żołnierzy beze mnie i bez porucznika w poblizę studni?

— Czemu nie?

— Dobrze, więc posłuchaj, jaki jest mój plan. Porucznik jedzie ze mną szukać studzien i na zwiady, a ty zaprowadzisz żołnierzy nad Bir Murad, lecz nie do samej studni, aby cię przypadkiem kto nie zauważył.

— Czy mam tam na was czekać?

— Tak, ale nie wiadomo, jak długo.

— A jakie nam zajęcie na ten czas wyznaczasz?

— Żadnego. Nie pójdziecie do studni i będziecie unikali wszelkiego z ludźmi spotkania.

— Ale gdybyśmy przypadkiem zobaczyli zbliżających się rozbójników, to oczywiście musimy ich zaatakować?

— Nie.

— Dlaczego nie? Effendi, uważaj, abyś nie popełnił błędu! Gdybyśmy nie skorzystali z tej sposobności, uszliby nam z pewnością.

— Nie bój się o to. Jeżeli ich spotkacie, macie ich puścić przed siebie tak, żeby was nie spostrzegli.

— Nie rozumiem tego, ale i tak ci będę posłuszny. Jakże jednak oznaczysz miejsce, w którym mamy na ciebie czekać?

— Zaraz się dowiesz. Sam powiadasz, że rozbójnicy przeprawią się przez Nil prawdopodobnie między Tura i Moszo. W jakim kierunku od Bir Murad leżą te miejscowości?

— Wprost na południowy zachód.

— Musisz zatem ustawić się dokładnie na południowy zachód od Bir Murat, a mianowicie o pół dnia drogi od tej studni. Wypadnie to miejsce mniej więcej naprzeciw Dżebel Mundar.

— Widzę, effendi, że znasz te strony tak dokładnie, jak ja. Bardzo dobrze mi określiłeś, gdzie się mam zatrzymać i jestem pewien, że mnie tam znajdziesz. Zachodzi tylko pytanie, czy porucznik, jako najbliższy przełożony, powierzy mi żołnierzy.

Porucznik milczał dotychczas. Poznał on, że onbaszi miał tu większe doświadczenie od niego samego. Może się cieszył skrycie, że odpowiedzialność przeszła na mnie i nie chciał powiedzieć nic takiego, co by mogło nasze stanowiska zmienić. Teraz zagadnięty wprost, odpowiedział:

— Nie mam nic przeciwko temu, co effendi postanowił. On jest pierwszy, ja drugi, co on uczyni, to wszystko dobre. Ale dokąd my pojedziemy? Przecież niepodobna wiedzieć, gdzie leżą ukryte studnie.

— Przy pewnym namyśle można odgadnąć przynajmniej w przybliżeniu okolice, w której się takie źródło znajduje. Przypuszczamy, że rozbójnicy przeprawią się przez Nil obok wyspy Argo, a potem skierują się koło Bir Murat. Na tej drodze muszą mieć jakieś studnie.

— A znasz tę drogę?

— Z pomocą bożą może nie zabłądzimy. Ponieważ łowcy niewolników przyjdą z zachodu,

pojedziemy na zachód od drogi karawanowej i równoległe do niej wprost na południe. Gdyby nawet przejechali, to w ten sposób musimy się natknąć przynajmniej na ich ślady. Jeśli zaś na nie nie natrafimy, będzie to dla nas dowodem, że jeszcze nie przejechali i wtedy każdej chwili możemy się ich spodziewać. Przede wszystkim muszę wydać rozkaz, żeby onbaszi nie przedsięwziął z żołnierzami nic, dopóki nie przyjdziemy do niego.

Takie były zarysy mego planu. Pozostały do omówienia już tylko rzeczy uboczne. Pogodziliśmy się i pod tym względem i onbaszi otrzymał bardzo dokładne wskazówki. Selima i Ben Nila postanowiłem zabrać z sobą.

Było nas zatem czterech. Każdy wziął wór z wodą i żywność potrzebną i ruszyliśmy na wielbłądach wprost na południe. Żołnierze mieli początkowo zachować ten sam kierunek, później jednak mieli skrócić bardziej na lewo ku wschodowi, by iść równoległe do drogi karawanowej.

Z Korosko do Bir Murat jest cztery dni drogi, chciałem jednak koniecznie przebyć tę przestrzeń w czasie o połowę krótszym. Było to wprawdzie przedsięwzięcie trudne, lecz wielbłądy nasze, a zwłaszcza mój, podołały mu w zupełności.

Nie było rzeczą przyjemną jechać tylko w dzień. Zwyczajne karawany wyruszają zwykle przed wschodem słońca i pochód trwa do godziny jedenastej. Potem spoczywają podczas największego skwaru do godziny drugiej, aby następnie iść znowu aż do wieczora. Po zachodzie słońca odpoczywają znowu godzinę dla wieczery, po czym przy świetle gwiazd lub księżyca idą dalej aż do północy. My jednak, chcąc odnaleźć ślady łowców niewolników, które musiały się ciągnąć w poprzek naszej drogi z zachodu na wschód, musieliśmy z konieczności podróżować w dzień.

Okolica była zrazu górzysta. Karawana z ciężarami dostaje się na morze piasku dopiero w trzecim dniu drogi. Okolica, która się ukazała oczom naszym, była beznadziejnie pusta; nigdzie drzewa, ni krzaka, nawet najmniejszego źdźbła trawy. W to pustkowicie wnosił oprócz nas życie li tylko sęp lub kruk, który wysoko nad naszymi głowami szybował. Są to jedyne ptaki pustyni nubijskiej. Żyją padliną i nigdy nie porywają się na żywe stworzenia, toteż można widzieć po drodze sceny przejmujące bólem do głębi.

Kiedy mianowicie wielbłąd juczny upadnie ze znużenia i nie można go ani dobrymi słowami, ani użyciem środków gwałtownych zachęcić do dalszego wysiłku, zostawia się go na pustyni, rozdzielwszy jego ładunek pomiędzy inne wielbłądy. Zwierzę żyje, lecz nie ma siły podnieść się z ziemi. Leży więc tak przez całe dni, poruszy jedną nogą, to drugą, podniesie głowę od czasu do czasu, a dokoła niego siedzą sępy i kruki i czekają, dopóki z wolna nie zginie, by go potem rozszarpać. Mieszkaniec pustyni przechodzi nieczule obok takich biednych zwierząt, tylko wielbłądy jego, widząc swój przyszły los, ryczą płacliwie. Ilekroć podobnego kalekę na pustyni spotkałem, skracałem zawsze kulą jego cierpienia. Kruki i sępy obgryzają mięso do samych kości, a szkielety, bielejąc w słońcu, wskazują drogę, którą karawana iść musi. Czasem widać obok drogi kilka kamieni położonych jeden na drugim. To miejsca, w których pochowano człowieka zmarłego na pustyni.

Na naszej drodze nie spotkaliśmy ani jednego takiego znaku śmierci, ponieważ posuwaliśmy się naprzód nie szlakiem karawanowym, ale dziką pustynią. W kierunku pomylić się nie mogłem, a nawet kompas był mi zbyteczny. Rzut oka na zegarek i stan słońca wystarczał najzupełniej. W nocy orientują

się podróżni według gwiazd, zwłaszcza krzyża południa, ponieważ jednak ten gwiazdozbiór wcześniej zachodzi, zdarza się, że i najlepszy przewodnik zabłądzi.

O zachodzie słońca byliśmy opodal wioski Serah, położonej nad Nilem. Zatrzymaliśmy się tutaj, aby nieco wypocząć. Jechaliśmy tak szybko, żeśmy przebyli dwa razy tyle drogi, jaką wielbłąd przeciętnie przebywa.

Wieczera nasza składała się z daktyli i wody. Musieliśmy się tym zadowolić, gdyż na naszej samotnej drodze nie było gnoju wielbłądziego i nie mieliśmy materiału na rozpalenie ogniska.

Moi trzej towarzysze nie byli przyzwyczajeni do takiej pospiesznej i nużącej podróży, ani w ogóle do jazdy na wielbłądach, więc czuli się bardzo zmęczeni. Porucznik był za dumny, by się przyznać do tego, Ben Nil także siedział cicho, tylko Selim głośno lamentował.

O świcie ruszyliśmy w dalszą drogę. Gór było coraz to mniej, a skały ustąpiły miejsca piaskowi, którego płaszczyzna rozciągała się przed nami jak bezbrzeżne, nieruchome morze. Popędziłem mego wielbłąda, towarzysze nadążali za mną, choć czuli jeszcze w członkach wczorajszy wysiłek. Słońce wznosiło się na bezchmurnym niebie coraz to wyżej i wyżej i słało na dół promienie, które wzmagały skwar atmosfery. Około południa zdawało nam się, że oddychamy ogniem. Porucznik milczał, Ben Nil także tak samo, za to tym głośniejsze biadał Selim. Chciał się zatrzymać co chwilę, aby się na ziemi położyć. Wybijałem mu to z głowy, ale na próżno. Chcąc podrażnić jego ambicję, rzekłem:

— Sądziłem, że należysz do dzielnego plemienia Fessara, ale to, zdaje się, nie jest prawdą.

— Jestem prawdziwym Fessarem.

— Przecież Fessarowie to najsłynniejsi jeźdźcy na wielbłądach.

— I to słusznie — odrzekł z dumą. — Ja jestem największym bohaterem ich szczepu.

— W takim razie przestań już narzekać. Toż ty lamentujesz jak małe dziecko. Czy to godne bohatera?

— Nie, lecz w tej chwili nie jestem bohaterem, tylko rozbitym i wycieńczonym człowiekiem, którego żrą promienie słońca. Muszę bezwarunkowo zsiąść i wypocząć.

— Teraz, kiedy zwłoka jednej chwili może nam plan zniweczyć? Zważ, że mamy ocalić porwane żony i córki Fessarów, a więc twego plemienia.

— Co mnie obchodzą kobiety i córki całego świata, jeśli dla nich mam zginąć.

— Nie jesteś dobrym człowiekiem, Selimie. Ażeby drugim coś podobnego wyświadczyć, trzeba nieraz ponieść ofiarę a tu idzie o wolność i szczęście bardzo wielu osób.

— Nie chcę o nich nic słyszeć.

— Więc jesteś po prostu gałganem.

— Słusznie, bardzo słusznie, ale życie moje jest mi miłsze niż życie stu innych ludzi. Jestem bohaterem, walecznym i odważnym wojownikiem, nie boję się nawet diabła i strachów, jak ci tego wspaniale dowiodłem, ale piec się na słońcu, tego już za wiele, tego by nie wytrzymał żaden bohater świata. Zatrzymuję się i zsiadam.

— To zsiadaj, nie mam nic przeciwko temu — odpowiedziałem rozgniewany.

— Dzięki ci, effendi. Wiedziałem, że postąpisz rozsądnie. Odpoczniemy zatem tutaj!

— Odpoczniemy? Chyba ty sam. My jedziemy dalej.

— Jedziecie dalej? — zapytał z obawą. — Więc mam sam tutaj pozostać?

— Oczywiście, bo przecież czasu nie mamy wiele i ja nie zsiądę, dopóki do dzisiejszego celu podróży nie dotrę. Kto z was nie chce, niech tu zostanie i niech go sępy pożrą. Jeśli kobiety Fessarów, twoje krewne, nic cię nie obchodzą, to i ja nie mam z tobą nic do czynienia.

Popędziłem dalej wzburzony, nie oglądając się na Selima. On jednak zrozumiał, że byłby zgubiony, gdyby tu został i pojechał za nami.

Jeszcze przed południem dotarliśmy do wzgórza Abu Rakib, a po południu przybyliśmy do wadi Merisza. Przez cały ten czas miałem grunt nieustannie na oku, ażeby znaleźć jakie ślady, ale nic nie dostrzegłem.

I tak jechaliśmy dalej i dalej. Wszystkie cztery wielbłądy wyrzucały nogi bez znużenia; były to rzeczywiście doskonale zwierzęta. Żeby tylko wszyscy trzej jeźdźcy byli również wytrwali! O Selimie nie było nawet mowy, bo był to lichy człowiek pod każdym względem. Tamci dwaj mieli wyrobione stałe charaktery, lecz nie byli przyzwyczajeni do pustyni i musieli się bardzo wysilać. Nie mówili ani słowa i jechali za mną, bo jechać musieli.

Nie powiem, żeby jazda była dla mnie lekka. I ja odczuwałem ogromną spiekotę, a twarz i ręce miałem tak poparzone, że w kilku miejscach skóra z nich zeszła. Kiedy jednak człowiek raz uznał jakąś konieczność, powinien wyteńczyć wszystkie siły, ażeby jej zadośćuczynić.

Pod wieczór wynurzył się przed nami łańcuch pagórków, ciągnący się w poprzek naszego kierunku. Nie pomyliłem się, sądząc, że to szereg wzgórz, biegnący od Dar Sukkot w poprzek pustyni nubijskiej. Do niego to należą skały, wśród których leży Bir Murat. Należało teraz więcej, niż dotąd, mieć się na baczności. Rozglądałem się wciąż za śladami, a równocześnie przypatrywałem się wzgórkom, by z ich kształtów i położenia wywnioskować, w której stronie może znajdować się studnia.

Nagle zatrzymał się mój wielbłąd i jął wciągać powietrze nozdrzami, po czym zwrócił się w prawo i popędził, co mu sił starczyło. Poczuł on wodę, więc puściłem mu uzdę jak najwolniej, aby mu nie przeszkadzać.

Reszta wielbłądów pomknęła z tą samą szybkością, aż piasek wlatywał chmurami po jednej i drugiej stronie. Wjechaliśmy pomiędzy dwa pagórki, połączone w dali trzecim tak, że tworzyły z

trzech stron zamkniętą kotlinę. Po kilkudziesięciu krokach mój wielbłąd zatrzymał się i chciał kopać przednimi nogami. Zeskoczyłem z siodła, nie kazawszy mu przedtem uklęknąć, pochwyciłem go za głowę i wstecz szarpnąłem. Bronił się, rzucał, ryczał, kopał i kąsał, ale na próżno; musiał się cofnąć, po czym nałożyłem mu pęta tak ciasno, że nie mógł się ruszyć z miejsca. Wściekły z powodu mojego oporu, rzucił się na ziemię i legł na niej bez ruchu, jak nieżywy. Tę samą biedę miałem z trzema innymi zwierzętami, chociaż wczoraj napiły się do syta.

Towarzysze moi ożywili się naraz. Widzieli, że jazda na dziś skończona, a to wróciło im siły i ochotę do życia.

— Effendi, miałeś rzeczywiście słuszną — rzekł porucznik pełen radości. — Sądząc po zachowaniu się wielbłądów, musi tu być woda.

— Jest, mógłbym na to przysiąc.

— A nie mylisz się?

— Czyż nie widzisz tych delikatnych śladów gnoju wielbłądziego? Były tu wielbłądy, a zatem i ludzie, a gdzie z dala od dróg karawanowych są ślady ludzkie, tam musi znajdować się woda. Kopmy! Zresztą, gdybym się tu znalazł nawet sam, bez wielbłąda, poznałbym, że w tej kotlinie woda być musi, bo ukształtowanie terenu wyraźnie na to wskazuje.

Uklękliśmy, ażeby piasek uprzątnąć; nie był on zbity, toteż praca ośmiu silnych rąk postępowała rażno. W głębokości trzech stóp było już wilgotno, potem natrafiliśmy na skórę, a raczej kilka skór gazelich, razem zszytych. Kiedyśmy je usunęli, ujrzeliśmy o łokieć głębiej czystą wodę. Kilka patyków, położonych nad otworem, podtrzymywało skórzane nakrycie.

— Chwała i dzięki Allachowi! — zawołał Selim. — Jest świeża woda. Napijmy się po skwarze dziennym, abyśmy sił nabrali!

— Stać! — zawołałem — najpierw napije się ten, kto tę wodę odkrył.

— Ty ją znalazłeś!

— Nie ja, tylko mój wielbłąd; on cierpiał pragnienie przez cztery dni i musi otrzymać nagrodę.

— Ależ człowiekowi należy się przecież pierwszeństwo przed zwierzęciem!

— Nie zawsze; tu właśnie zachodzi wypadek odwrotny. Mój wielbłąd napije się teraz przede mną.

— Wy, chrześcijanie, jesteście dziwnymi ludźmi i prawdziwi muzułmanie muszą z tego powodu cierpieć. Więc chcesz może, abyśmy pili wodę zaśmierdziałą z worów, a wielbłądowi pozwolisz wypić świeżą ze studni?

— Owszem, on wypije tę, którą mamy w worach, ta świeża zaś będzie stanowiła nasz zapas na dalszą drogę. Jak widzę, zdołamy teraz napełnić tylko dwa wory i zanim się znów nagromadzi znaczniejsza ilość, upłynie doba.

— A w jaki sposób napoisz swego wielbłąda, skoro ta studnia za wąska, a nie mamy żadnego naczynia?

— Napije się z tej skóry, której rogi podtrzymacie tak, aby w środku powstało zagłębienie.

Wszyscy trzej chwycili skórę w określony sposób, a ja wlałem w nią zawartość dwóch naszych worów. Potem zdjąłem pęta z wielbłąda, który się zerwał i wypił z wielką chciwością wszystko do ostatniej kropli. Wypróżnione wory napełniliśmy wodą świeżą, po czym nakryliśmy studnię i orzeźwieni usiedliśmy w cieniu skały.

Tymczasem słońce dosięgło widnokregu, a wszyscy trzej mahometanie uklękli, by odmówić wieczorną modlitwę. Należy wspomnieć, że i po drodze nie zapominali o przepisanych modlitwach i zawsze w oznaczonych porach zsiadali z wielbłądów, klękali i modlili się do Allacha. Spożyliśmy wieczerę, złożoną z daktyli i suszonego mięsa, posililiśmy nasze wierzchowce prosem murzyńskim i udaliśmy się na spoczynek. Oni trzej położyli się nad źródłem, ja zaś wszedłem na zachodnie wzgórze, aby mieć na oku okolicę i tam wybrałem sobie legowisko. Trzeba było czuwać, gdyż wcale nie było wykluczone, że łowcy niewolników zjawią się tutaj w nocy. Wkrótce usłyszałem chrapanie towarzyszy, a wreszcie i ja zmrużyłem powieki bez najmniejszej obawy, gdyż wiedziałem, że sen mam tak lekki, iż głośniejszy bieg wielbłąda zbudziłby mnie z pewnością.

Kiedy się przebudziłem, już dniało; wschód zaczął się zabarwiać, więc zbudziłem towarzyszy, żeby odmówili fagr. Słowo to oznacza zorzę poranną i dlatego tak się nazywa modlitwa przeznaczona na porę, kiedy słońce wschodzi. Wstali, oddali Bogu pokłony, następnie zaglądaliśmy do wody. Przez noc uzbierało się jej tyle, że można było napełnić znowu dwa wory, a wodę wczorajszą mogły wypić wielbłądy. Zjedliśmy zupę, przyrządzoną z mąki durrhy na zimnej wodzie. Najbiedniejszy żebrak europejski nie wziąłby do ust tego specjału, tu jednak na pustyni musieliśmy się nim zadowolić.

Towarzysze moi byli widocznie przekonani, że tu nad studnią chcę pochwycić łowców niewolników, gdyż porucznik zapytał mnie podczas śniadania:

— Effendi, twoje obliczenie było rzeczywiście słuszne. Jestem pewien, że ta studnia leży na drodze z Bir Murat do wyspy Argo. Jeśli rozbójnicy przejdą tam rzeczywiście przez Nil, muszą nam tu wpaść w ręce. Zaczekamy tu na nich spokojnie i wygodnie, a gdy nadejdą, to...

— Czy sądzisz rzeczywiście, że tak wygodnie będziemy na nich czekali?

— Tak.

— Jeśli nadejdą, to prawdopodobnie w znacznej liczbie, a nas jest czterech. Ja się wprawdzie nie boję, ale i tak walki z nimi podjąć byśmy nie mogli i musielibyśmy się cofnąć, zanim by nas zauważyli.

— Dokąd?

— Do naszych żołnierzy, którzy dzisiaj wieczorem przybędą do Dzebel Mundar. Mamy tam pół

dnia drogi. Zresztą nie będziemy dziś jeszcze łączyć się z żołnierzami; nie jesteśmy jeszcze u celu.

— Jeszcze nie? Dokąd dążysz?

— Na południe. Dotychczas nie natknęliśmy się na żadne ślady, więc nie jest wykluczone, że rozbójnicy weszli w pustynię dalej na południe. Trzeba wszystko zbadać, co tylko można, bo przecież byłoby to grzechem nie do darowania, gdybyśmy się na przykład dowiedzieli, że kiedy siedzieliśmy tutaj spokojnie, oni przeszli do Dżebel Daraweb i Bir Abza! Musimy więc natychmiast ruszać dalej!

— Allach! Przyznam ci się, że nie wytrzymam już takiej jazdy.

— Ja także nie! — zawołał Selim. — Ja już dalej nie jadę.

Ben Nil milczał. I on nie czuł się lepiej aniżeli tamci dwaj, mimo to jednak był gotów mnie posłuchać. Żał mi było zanego chłopca, gdyż czekała nas jazda znacznie uciążliwsza od wczorajszej. Tamci dwaj byliby mi w drodze tylko przeszkodą. Po namyśle jednak postanowiłem ich wszystkich zostawić na posterunku przy studni i jechać dalej bez ich towarzystwa.

Kiedy im to oznajmiłem, zgodzili się, tylko zaniepokojony wierny Ben Nil zapytał:

— Effendi, czy nie byłoby lepiej, gdybym z tobą pojechał? Mógłbyś wpaść w niebezpieczeństwo, w którym jeśli taka wola Allacha, mógłbym ci oddać jaką usługę.

— Jeśli Allach zechce, to i bez twej pomocy uniknę niebezpieczeństwa. Trzeba, abyście jeden dzień wypoczęli zupełnie i dlatego wszyscy trzej tu zostaniecie, zwłaszcza że jestem pewien, że łowcy niewolników tędy właśnie przejdą. I ja chętnie zostałbym razem z wami, lecz ostrożność nakazuje mi wziąć pod rozwagę jeszcze inne możliwości.

— A cóż będzie, jeśli ci się jakieś nieszczęście przytrafi? Nie będziemy ci mogli dopomóc, nadto nie będziemy wiedzieli, co sami mamy czynić.

— Jeśli jutro w południe nie będzie mnie jeszcze tutaj, to...

— Tak długo cię nie będzie?

— Nie wiem jeszcze, jak daleko pojedę, w każdym razie jeśli bym do tego czasu nie wrócił, pospieszcie do żołnierzy i podążycie na południe, gdzie natkniecie się na trop rozbójników. Ja nie wrócę tylko w takim razie, gdy się spotkam z tymi ludźmi, no i gdy mnie spotka przy tym jakieś nieszczęście.

— Niech Allach do tego nie dopuści! Zaczynam się lękać o ciebie, effendi. Wolę ci towarzyszyć.

— Nie bój się! Jestem pewien, że mi się nic złego nie stanie, a twoje ramię potrzebniejsze raczej tutaj niż przy mnie. Musicie tylko baczną zwracać na wszystko uwagę. Tu nad studnią macie cień i nie mam nic przeciw temu, żebyście tu spoczywali. Jeden z was jednak musi być zawsze na wzgórzu, na którym spałem, ażeby wypatrywać na południowy zachód. Jeśli zobaczycie zbliżających się

rabusiów, wskoczycie czym prędzej na wielbłądy i pospieszycie do żołnierzy. Macie się potem cofnąć i łotrów wolno przepuścić.

— W takim razie uciekną.

— Nie chcę, żebyście ich atakowali beze mnie. Oni pojedą w każdym razie do Bir Murat, a tam pochwycimy ich po moim powrocie.

— A jeśli tam zabawią krótko?

— To ruszymy za nimi. My prędzej pojedziemy aniżeli transport niewolników, więc ich w każdym razie doścignąć zdołamy. A zatem, jeśli was jutro w południe tutaj nie znajdę, będę was szukał przy żołnierzach.

Podnosili wprawdzie różne wątpliwości, jednak zgodzono się w końcu na wszystkie moje postanowienia. Ponieważ wielbłąd mój miał się dzisiaj podwójnie wysilić, otrzymał podwójną porcję prosa murzyńskiego i kilka garści daktyli. Przymocowawszy wór z wodą za siodłem, nakazałem pozostającym jeszcze raz, żeby uważali na wszystko i wsiałem na mojego hedżina. Była godzina ósma rano, kiedy odjechałem od studni.

Ruszyłem znowu, jak poprzednich dni, wprost na południe. Niebawem zniknął północny łańcuch gór i dokoła mnie rozciągało się tylko bar bela mah, morze bez wody. Jeśli pustkowie przygnębia podróżnego nawet wtedy, kiedy drogę odbywa w towarzystwie drugich, to w wyższym jeszcze stopniu przygnębiająco wpływa na samotnego, który czuje się małym, bezsilnym i nędznym robakiem wobec natury potężnej i groźnej zwłaszcza tą swoją jednostajnością i niepłodnością. Doznawałem niekiedy wrażenia, jakby się pustynia wznosiła, a niebo zniżało i że niedługo będę zmiażdżony wraz z moim wielbłądem. Ponieważ wokoło najmniejszego znaku życia nie było widać, chciałem to życie słyszeć przynajmniej i zacząłem gwizdać, jak bojaźliwi chłopcy, kiedy się boją w ciemności. A jednak dokoła mnie było tak jasno.

Mój wielbłąd nastawił uszy i zdwoił szybkość. Wrażenie, jakie wywiera gwizd na wielbłądy, jest istotnie zdumiewające. Nawet najbardziej znużony i ciężko objuczony dromader nabiera nowych sił, kiedy głos piszczałki posłyszcy i zadowolony stara się biec jak najszybciej.

W ciągu obu ostatnich dni musiałem się liczyć z siłami towarzyszy, teraz jednak wzgląd ten już odpadł. Chciałem się przekonać, jaką szybkość rozwinie mój szary szybkonóg, więc popędzałem go coraz bardziej pieszczotami, namową i gwizdem. Najlepszy arabski koń nie byłby mu w stanie nadążyć. Jechałem tak przeszło godzinę a zwierzę ani nie było spocone, ani parsaniem nie okazało, że mu brak oddechu. Widocznie radowało się ono tym biegiem, gdyż kiedy je po jakimś czasie usiłowałem wstrzymać, najsilniejsze dopiero ściągnięcie uzdy pomogło.

Mijała godzina za godziną. Czasem przejeżdżałem przez chór, gdzie stał samotny, bezlistny krzak sidr, rodzaj mimozy, smutna resztkę skąpej roślinności, rozwijającej się w takim parowie podczas pory deszczowej. Przyszło południe, potem już i wieczór się zbliżał i nigdzie na żadne ślady wielbłądów nie natrafiłem. Przypuszczałem, że się znajduję już na szerokości wioski Tinareh, położonej nad Nilem. Zatrzymałem się. Jeśli rabusie obrali drogę północną, nie miałem po co jechać

dalej na południe. Zsiadłem więc z wielbłąda, ażeby nieco wypoczął. Dałem mu kilka czarek wody z worka i garść daktyli.

Gdy słońce zaszło, wskoczyłem znowu na siodło, ażeby zawrócić. Co to była za jazda! Na dole pustka i śmierć i tylko w górze błyszczało życie; tam na niebie świeciły gwiazdy, opowiadając płomiennymi słowy o tym, który wiecznie był, jest i będzie, a który człowieka, jak kochający ojciec, prowadzi nawet przez groźne pustynie. Tych myśli, jakie się na pustyni budzą w duszy podróżnika na widok gwiazdzistego nieba, nikt by chyba opisać nie zdołał.

Powrót oczywiście nie odbywał się tak szybko, jak jazda dzienna. Musiałem uważać, by z mojej drogi nie zboczyć, co zresztą nie było bardzo trudne, bo gwiazdy świeciły dość jasno, a poprzedni ślad był wcale jeszcze wyraźny. Na moim wielbłądzie i teraz znużenia widać nie było, ja zaś, by mu okazać wdzięczność za jego wysiłki, gwizdałem mu rozmaite znane mi melodie, przerywając je tylko wtedy, kiedy mnie już wargi bolały.

Kiedy pierwszy brzask dzienny zamajaczył na wschodzie, byłem wprawdzie fizycznie znużony, lecz duchowo tak rześki jak wczoraj, kiedy wyruszyłem znad studni. Oznaczyłem południe jako termin powrotu, więc nie potrzebowałem się spieszyć. Toteż pozwoliłem wielbłądowi kroczyć powoli i cieszyłem się dokładnością, z którą jechałem w nocy swoim własnym tropem.

Mogło być koło dziewiątej rano, kiedy zobaczyłem przed sobą łańcuch pagórków. Wkrótce rozpoznałem też trzy wzgórza, za którymi leżała ukryta studnia. Co się tam mogło dziać? Mimo woli popędziłem wielbłąda, zaraz jednak zatrzymałem go tak silnie, że od razu stanął. Coś się tam stało, to pewne. Oto ujrzałem po lewej stronie szeroki trop, który niknął za trzema wzgórzami, a potem wysunął się znowu na prawo i szedł dalej ku północnemu wschodowi. Szerokość tropu wskazywała na to, że jeźdźców musiało być kilku.

Ruszyłem znowu naprzód, położyłem strzelbę w poprzek siodła a w rękę wziąłem rewolwer. Objechawszy lewy pagórek, zsiadłem z wielbłąda i zacząłem skradać się ostrożnie do miejsca, gdzie między dwa pagórki można było rzucić okiem na studnię. Zauważyłem od razu, że była zasypana a powierzchnia zrównana z otoczeniem. Nikogo przy niej nie było.

Rozpoznałem tropy pięciu jeźdźców. Widziałem, że pięciokrotny trop prowadził do studni, poza nią jednak zauważyłem ślady ośmiu wielbłądów. To by wskazywało, że najpierw odjechali moi trzej ludzie, a potem owych pięciu jeźdźców. Potem? O nie! Wszystkie ślady pochodziły z tego samego czasu, ani jeden nie był dawniejszy niż drugi. Przeraziłem się, lecz uspokoiło mnie to, że ślady były ostre, a więc nie wcześniej wyciśnięte, jak przed godziną. Mogłem więc, jeśli ludzie moi znajdowali się w niebezpieczeństwie, przyjść im z pomocą.

Powróciłem do studni i spostrzegłem u stóp lewego wzgórza kupę piasku, której tam przedtem nie było. Miała ona ze cztery łokcie długości, dwa szerokości, a jeden wysokości, prawie jak grób. Piasek był luźny i zacząłem go rozkopywać, przy czym zauważyłem tuż obok ślady krwi. A więc krew tu płynęła! Grzebałem z nerwową szybkością i wkrótce dotknąłem jednej bosej nogi, a potem drugiej. Chwyciłem za obie, zacząłem ciągnąć i w końcu wydobyłem z piasku trupa.

Dzięki Bogu, nie był to porucznik, ani Ben Nil, ani Selim. Był to jakiś nie znany mi, brodaty,

ogorzały od słońca człowiek, z twarzą na pół arabską a na pół murzyńską. Zdjęto zeń szaty, bo był nagi a w piersi miał szeroką ranę od pchnięcia. Nóż trafił w serce.

Kim był ten człowiek i kto go przebił? Chciałem czym prędzej popędzić w dalszą drogę, ale po namyśle postanowiłem się wprzód dokładnie na miejscu rozeznać.

Doszedłem do wniosku, że moi towarzysze stoczyli bój z owymi pięciu jeźdźcami, jednego z nich położyli trupem, w końcu jednak ulegli przemocy i dostali się do niewoli.

Należało pospieszyć im na ratunek, mimo to jednak nie ruszyłem za nimi natychmiast, lecz wszedłem najpierw na wzgórek, na którym nocy poprzedniej spałem, i jałem się rozglądać. Z tego stanowiska mogłem zauważyć coś, co z dołu uszło mojemu oku.

Oto mniej więcej o tysiąc kroków od trzech pagórków, między którymi znajdowała się studnia, leżało samotne wzgórze. W połowie drogi do niego zobaczyłem człowieka zbliżającego się powoli z wahaniem i strachem. Był to mężczyzna bardzo długi, bardzo chudy, miał na sobie biały haik i olbrzymi turban tej samej barwy. Poznałem w nim mego blagiera i samochwalcę.

— Selimie, Selimie, to ja! — zawołałem do niego. — Chodź prędzej, nie bój się!

— Tamalin, tamalin, ketir, słusznie, bardzo słusznie! — ryknął mi w odpowiedzi i puścił w taki ruch swoje nogi, że w pół minuty znalazł się już przy mnie.

— Chwała i dzięki Allachowi, że jesteś, effendi! — powitał mnie. — Teraz już wszystko dobrze, gdyż mam nadzieję, że pomożesz mi ocalić porucznika i Ben Nila. Gdybyś się jednak obawiał, to sam to wezmę na siebie.

— Nie chełp się! Pewnie znowu stchórzyłeś, kiedy tamci walczyli, w przeciwnym wypadku tutaj by cię chyba teraz nie było.

— O effendi, dlaczego wątpisz stale w moją odwagę? Postąpiłem z rozwagą, którą powinieneś pochwalić. Zachowałem siebie, by móc ocalić przyjaciół.

— Lepiej by było, gdybyś ich był zaraz ocalił! Gdzież oni?

— Tam.

Wskazał w kierunku tropu.

— To objaśnienie niewiele mi powiedziało. Z kim odjechali?

— Nie wiem.

— Przecież musisz wiedzieć, kto byli ci mężczyźni, którzy na was napadli. Musieliście mówić z nimi!

— Nie było mnie przy tym, effendi.

— A gdzie byłeś?

— Tam za wzgórzem.

Wskazał miejsce, skąd właśnie nadszedł.

— Aha, więc uciekłeś?

— Nie. Zająłem tylko stanowisko nadające się lepiej do obrony. Niestety, tamci dwaj nie byli na tyle rozumni, ażeby pójść za moim przykładem.

— Już rozumiem teraz. Twoje wymówki i upiększania nic u mnie nie znaczą. Czyż nie widzieliście tych pięciu nadchodzących?

— Nie.

— Więc nie staliście na straży?

— Owszem, nawet ja sam byłem wtedy na czatach.

— I nie widziałeś tych ludzi?

— Effendi, nie mogłem ich widzieć, była to bowiem pora modlitwy porannej, klęczałem więc na górze z twarzą zwróconą na wschód, ku Mekce. Ponieważ zaś tych pięciu nadeszło od zachodu, więc chyba trudno było ich widzieć.

— Nie kłam! Ślady wskazują, że napad nastąpił po modlitwie porannej. Gdybyś był klęczał tam na górze, widziano by cię z daleka i nie byłbyś uszedł nieprzyjaciołom.

— To co mówię jest prawdą, effendi. Byłem bardzo pogrążony w modlitwie.

— We śnie raczej! Ty spałeś! Przyznaj się!

Ton moich słów nie był, jak sobie łatwo wyobrazić, zbyt przychylny, toteż Selim spojrział z zakłopotaniem przed siebie i odpowiedział:

— Czy ci się nigdy nie przytrafiło, effendi, zasnąć wśród modlitwy? Im głębsze nabożeństwo, tym bliższy sen.

— Ażeby czasu nie tracić, przyjmuję to, co mówisz, jako zupełne przyznanie się do winy. Zasnąłeś na posterunku, a kiedy się zbudziłeś, co zobaczyłeś?

— Nie widziałem nic, lecz słyszałem przy studni podniesione i groźne głosy. Poszedłem śmiało i zuchwale aż na krawędź wzgórza, ażeby spojrzeć na dół. Ale cóż zobaczyłem!

— No, co?

— To było okropne! Porucznik leżał na ziemi, trzej inni pochwycili tymczasem Ben Nila. Chłopiec wbił jednemu z napastników nóż w serce, tak, że ten padł martwy, lecz dwaj pozostali powalili go na ziemię.

— A cóż ty wtedy zrobiłeś?

— To, co powinienem był zrobić, effendi. Moja namiętność do wszystkiego co śmiałe i zuchwałe pchała mnie wprawdzie naprzód, ale poznałem, że było już za późno rzucić się na przeciwników. Uciekłem się więc do mojego rozsądku i powiedziałem sobie, że moje wmieszanie się w tę sprawę nie przyniosłoby towarzyszom pożytku, ale raczej szkodę. Postanowiłem więc siebie oszczędzić, ażeby potem móc pospieszyć towarzyszom z tym pewniejszą pomocą. Zresztą musiał i tu także ktoś zostać, ażeby ciebie o wszystkim zawiadomić, a tylko ja mogłem to zrobić. Czy miałem słusność, effendi?

— Czy miałeś słusność? Nie wiem. To jedno prawda, że twoje myśli były nadzwyczaj chłodne i rozważne. Opowiadaj dalej!

— Nie zauważono mnie. Popędziłem więc drugą stroną wzgórza w dół. Ty wiesz, jak umiem biec, gdy idzie o obronę moich towarzyszy.

— Tak, okazałeś to już nieraz.

— Udałem się więc na ten wzgórek, z którego widziałeś mnie schodzącego.

— Nie udałeś się, lecz pędziłeś tam, jak ścigany szakal.

— Oczywiście, że szedłem szybko, jak tylko było można, gdyż chodziło o ocalenie przyjaciół. Ukryłem się tam po drugiej stronie wzgórza, gdzie nie mogli mnie zauważyć. Potem widziałem tych łotrów, odjeżdżających z obydwoma jeńcami.

— Czy byli skrupowani?

— Prawdopodobnie, ale widzieć tego nie mogłem, gdyż oddalenie wynosiło przeszło tysiąc kroków. Zauważyłem tylko, że gromadka składała się z sześciu jeźdźców i dwu luźnych wielbłądów. Potem czekałem oczywiście na ciebie. Nareszcie zobaczyłem jeźdźca, który zsiadłszy z wielbłąda, zbliżał się ostrożnie do studni. Nie mogłem rozpoznać rysów jego twarzy, lecz odzież i postawa kazały się domyśleć, że to ty jesteś. Zszedłem i zobaczyłem cię na wzgórkach i wkrótce twoje wołanie doszło do moich uszu. Teraz wiesz wszystko i możesz mi wystawić świadectwo, że postąpiłem jak bohater i mężczyzna.

Powiedział to z taką pewnością siebie, że już dłużej oburzenia mojego wstrzymać nie byłem w stanie i z gniewem zawołałem:

— Jesteś największym tchórzem i głupcem, jakiego kiedykolwiek widziałem!

W porównaniu z przerażającymi wprost obelgami, jakimi się Arabowie posługują, epitety użyte przeze mnie były jeszcze dość delikatne. Mimo to zawołał Selim zdumiony:

— Jak ty mnie nazywasz? Czy na to zasłużyłem? Spodziewałem się pochwał i uznania, a tymczasem...

— Uznania? — przerwałem mu. — Uznaję tylko, że jesteś nicpoń, który na ustach ma słowa wielkie a lęka się myszy. Gdybyś był postąpił już nie jak mężczyzna, ale przynajmniej jak średnio odważny chłopak, siedzieliby teraz porucznik i Ben Nil nad studnią jako zwycięzcy. Wtedy wolno by ci było mówić o odwadze i waleczności!

— Effendi, ja ciebie nie rozumiem.

— No to ci powiem wyraźniej. Nie czuwałeś, aleś spał i z twej właśnie winy tamci dwaj znaleźli się w niebezpieczeństwie, bo przekonani, że czuwasz, usnęli także. Niewątpliwie na śpiących rabusie napadli, gdyż w przeciwnym razie i jeden i drugi byliby broni palnej użyli. Ben Nil, prawie chłopak jeszcze, przebił jednego a ty co uczyniłeś? Znajdowałeś się w miejscu panującym nad doliną i miałeś przy sobie broń, bo masz ją dotychczas. Gdybyś był strzelił do tych drabów, przebieg walki byłby całkiem inny. Ale ty, zamiast to uczynić, uciekłeś tchórzliwie, a ich pozostawiłeś ich własnemu losowi i chełpisz się teraz swoim chłodnym rozsądkiem. Gdyby nie to, że lituję się nad twoją nieskończoną głupotą, należycie bym cię teraz ukarał. Czy wiesz na co ty sobie zasłużyłeś? Co ja mam właściwie z tobą zrobić? Powiedz mi!

Stał w postawie złamanej, jak oskarżony uczeń, spuścił oczy i nie miał odwagi odpowiedzieć.

— No, mówże! Mam słuszość, czy nie?

— Tamalin, tamalin ketir, masz zupełną słuszość, effendi! — wyrwało mu się z westchnieniem.

Przyznanie się jego brzmiało tak osobliwie, że gniew opuścił mnie od razu. Co on temu winien, że ma takie zajęte serce? A jego samochwalstwo? Ogólne doświadczenie poucza, że najwięksi tchórze są w słowach największymi bohaterami. Dlatego też mówiłem dalej łagodniej:

— Nareszcie powiedziałeś raz prawdę i mam nadzieję, że będzie to początkiem prawdziwej poprawy.

— O effendi, ja nie jestem taki zły, jak sądzisz.

— Teraz nie mówmy o tym. Złe jest przede wszystkim położenie, w którym znajduje się Ben Nil i porucznik. Musimy im natychmiast z pomocą pośpieszyć.

— Oczywiście, oczywiście, to rozumie się samo przez się, ale jak?

— Jak dawno odjechali?

— Trochę więcej jak przed godziną.

— Jakie wielbłądy mieli nieprzyjaciele? Juczne?

— Nie, mieli lekkie wielbłądy wierzchowe.

— Jeżeli tak, to czasu do stracenia nie mamy, muszę odjeżdżać zaraz.

— Ty? A ja co zrobię?

— Za karę powinien bym cię właściwie wypędzić. Jeszcze ci jednak tym razem daruję i pozwolę ci udać się ze mną.

— Przecież ja nie mam wielbłąda, bo mi go te łotry zabrały.

— Z tego wnoszę, że rozum ich niewielki. Po tym, że były trzy hedżiny osiodłane, powinni byli poznać, że jeszcze i trzeci jeździec gdzieś się ukrywa i powinni cię byli szukać. Oczywiście ucieszyłeś się, że tego zaniechali.

— O nie. Byłbym z nimi walczył do ostatniej kropli krwi i...

— Milcz. Wiesz już dawno, co myślę o twojej odwadze. Toteż cieszę się bardzo, że nie mogę cię zabrać z sobą, bo znów byś wszystko zepsuł. Ja za tymi ludźmi pojedę, a ty nadejdiesz piechotą.

— To niemożliwe, effendi! W jakim sposobie zdołam cię doścignąć?

— Nic łatwiejszego. Ci zbóje odjechali przed godziną, a za dwie godziny ich dogonię i zaczekam potem na ciebie.

— Więc razem będziemy z nimi walczyli?

— Nie bądźże taki głupi! Zanim ty nadejdiesz, ja się z nimi już z pewnością rozprawię. Chcąc dotrzeć do tego miejsca, w którym ja ich doścignę, będziesz musiał iść szybko przez pięć godzin. Nie mam ani czasu, ani ochoty czekać na ciebie zbyt długo, zresztą nie wątpię, że będziesz się spieszył. Chwaliłeś się szybkością i wytrzymałością swoich nóg, pokaż więc teraz, że na tę pochwałę zasługują.

Kiedy, wypowiedziawszy te słowa, wsiadałem na wielbłąda, odezwał się Selim płacząco:

— Więc odjeżdżasz rzeczywiście beze mnie? Jak możesz zostawiać mnie samego na pustyni? Ja się wprawdzie nie boję, ale może lepiej będzie, jeżeli siądę za tobą i razem z tobą pojedę?

— Dobrze — odrzekłem złośliwie — ale zapowiadam ci z góry, że wjadę w sam środek nieprzyjaciół i nie cofnę się przed ranami, a choćby i śmiercią, byle tylko towarzyszy ocalić. Wrogowie będą się bronili.

Selim namyślił się chwilę i rzekł:

— I ja nie lękam się ani ran, ani śmierci, ale wobec tego, że wielbłąd, dźwigając mnie i ciebie, nie będzie mógł biec dosyć prędko i nieprzyjaciele gotowi ci umknąć, jedź już sam, byle prędzej, ja zaś

za tobą nadejdę, jak będę mógł najrychlej.

— Dobrze! — roześmiałem się. — Jesteś rzeczywiście niepoprawny. Trzymaj przynajmniej broń w pogotowiu, bo tu są lwy i pantery.

Wsiadłem na siodło i odjeżdżając usłyszałem, jak krzyczał za mną:

— Lwy i pantery! Allah kehrim, Boże bądź mi miłościwi! Ja się bynajmniej nie lękam, ale ze zwierzętami, które nocą na żer wychodzą, w ciągu dnia nie powinno się walczyć. Effendi, zabierz mnie, zabierz!

Spojrzałem za siebie i zobaczyłem go, biegnącego za mną tak szybko, że haik powiewał jak chorągiew. Oczywiście nie zważałem na jego wołanie i przynaglałem wielbłąda do pośpiechu, ażeby jak najrychlej przebyć przestrzeń, dzielącą mnie od ściganych.

Wielbłąd biegł z tą samą szybkością, co wczoraj, a krok jego był przy tym tak lekki i pewny, że kołysałem się łagodnie jak w fotelu i nie odczuwałem wcale nierówności terenu, choć było ich pod dostatkiem. Znajdowałem się między wzgórzami Dar Sukkot. Okolica była na przemian piaszczysta lub pagórkowata, a im dalej jechałem, stawała się coraz bardziej skalista. Tropy były na szczęście tak wyraźne, że nawet tam, gdzie kończył się piasek, nie straciłem ich z oczu.

Upłynęło półtorej godziny. Przejeżdżałem właśnie między dwoma pagórkami, kiedy zobaczyłem rabusiów na rozległej piaszczystej równinie. Wyjąłem z torby lunetę i zwróciłem ją w kierunku tej grupy. Dwie osoby jechały na przedzie, a dwie, prowadzące luźne wielbłądy, w tyle. W środku znajdowali się pojmani.

Rzuciłem okiem na rewolwery, które za pasem moim tkwiły i wziąłem strzelbę do ręki. Szybko zbliżałem się do ściganych. Kiedy byłem od nich oddalony o jakie osiemset kroków, jeden z jadących na przedzie odwrócił się przypadkiem i widocznie powiedział towarzyszom, że jakiś jeździec do nich się zbliża, gdyż oglądnęli się wszyscy. Byłem sam jeden, więc nie mieli powodu zbyt się mnie obawiać. Zatrzymali się, czekając, aż się przybliżę, ale jako ludzie ostrożni pochwycili za strzelby.

Były to długie flinty beduińskie, niebezpieczne tylko z bliska. Jeńcy byli skrupowani i z ich strony nie mogłem spodziewać się pomocy. Musiałem więc zdać się tylko na siebie. Kiedy zatrzymałem wielbłąda, odległość między nami wynosiła około trzystu kroków. Tak daleko ich flinty nie niosły, ja przeciwnie, byłem pewny, że moje kule doleczą do nich i nie chybią celu. Dzięki temu miałem nad nimi przewagę. Teraz zależało wszystko od zachowania jeńców. Jeśliby zdradzili słowem lub znakiem, że mnie znają i że przybywam im na ratunek, znacznie by moje zadanie utrudnili.

Jeden z rabusiów skinął na mnie, bym się zbliżył, a ja odpowiedziałem mu tym samym skinieniem. Powiedział potem do towarzyszy kilka słów, podjechał bliżej i zatrzymał się w odległości może stu kroków.

— Kto ty jesteś? — zapytał.

— Sajih* z Kahiry — odpowiedziałem.

— Czy od nas czego potrzebujesz?

— Tak. Mam do ciebie prośbę i jeśli ją spełnisz, spełnię i ja także twoje życzenie.

— Nie mam żadnego!

— Zdaje mi się, że je będziesz miał wkrótce. Chodź bliżej!

— Nie, chodź ty do mnie!

Chcąc mój cel osiągnąć, musiałem usłuchać tego wezwania i zsiadłszy z wielbłąda, poszedłem z wolna ku niemu. Reguły pustyni nakazywały mu uczynić to samo. Zsiadł więc także i z godnością począł się ku mnie zbliżać. Kiedyśmy się zrównali, spojrział mi bystro w twarz, podał mi rękę i powiedział:

— Sallam aalejkum! Bądź moim przyjacielem.

— Aalejk sallam! Będę twoim przyjacielem, jeśli ty moim zostaniesz. Wiesz już, kto jestem i skąd przybywam. Czy mogę dowiedzieć się teraz, do którego szczepu należysz i gdzie jest kres twojej podróży?

Nóż i główne dwu pistoletów wyzierały mu zza pasa. Oparł się na flincie, jak ktoś pewny siebie zupełnie i odpowiedział:

— My jesteśmy też podróżnymi i przybywamy z Dar Sukkot.

— Serce twoje jest studnią łaskawości, a uprzejmość twoja przynosi ulgę mej duszy.

Mówiąc te słowa usiadłem, ale tak, abym miał przeciwników na oku. Poszedł za moim przykładem i usiadł także, zwrócony plecami do jeńców. Słowa moje zdziwiły go. Nie wiedział, co miałem na myśli, więc rzekł:

— Nie rozumiem twoich słów. Dlaczego mówisz o łaskawości?

— Ponieważ nie chcesz zdradzić przede mną swojej wysokiej godności i ponizas się, jak Harun al Raszyd, który niegdyś w stroju żebraka przechodził ulicami Bagdadu.

— Mylisz się, nie jestem sułtanem, ani emirem.

— Tak, ale zapewne wysokim urzędnikiem wicekróla, któremu niechaj Allach pięćset lat życia dozwoli.

— Skąd twoje przypuszczenie?

— Widzę jeńców u ciebie i wnoszę stąd, że jesteś menur el insaf.* Cóż to za zbrodniarze ci ludzie,

którzy ci w ręce wpadli?

— Nie jestem wcale menurem, mimo to jednak te psy, których związałem, nie zobaczą Kahiry, lecz umrą wkrótce, ponieważ zamordowali jednego z moich towarzyszy. To złodzieje i rozbójnicy. Zresztą cóż cię oni obchodzą? Powiedz mi raczej, jakie jest twoje życzenie?

— Z największą przyjemnością, bo właśnie po to przybyłem, aby ci je przedłożyć.

— Mnie? A skądże wiedziałeś, gdzie mnie masz szukać.

— Powiedziały mi to twoje ślady.

— Gdzie się na nie natknąłeś?

— Przy moim obozowisku, przez które przejechaliście podczas mojej nieobecności.

— Mylisz się znowu; nie przejeżdżaliśmy nigdzie przez obozowisko.

— I owszem.

— Gdzież ono było?

— Znajdowało się obok ukrytej studni, którą otworzyliśmy, a ty ją znowu zamknąłeś.

Teraz zaczęło mu być nieswojo. Zaczął przesuwac nóż i pistolety, ściągnął brwi i rzekł:

— Więc ty tam byłeś? Ja ciebie wcale nie widziałem.

— Wyjechałem na pustynię, aby wyćwiczyć mojego wielbłąda w rączości. Kiedy wróciłem, nie było już moich służących. Zamiast nich zastałem grób ze zwłokami obcego.

— Czy otworzyłeś go?

— Musiałem go otworzyć, chcąc zobaczyć, czy ten zmarły nie jest moim służącym. Ujrawszy obce oblicze, dosiadłem wielbłąda i pojechałem waszym śladem, ażeby powiedzieć ci moje życzenie, a potem wypełnić twoje.

— A więc powiedz, czym ci się mogę przysłużyć?

— Oddaj mi moich służących.

Twarz nie drgnęła mu nawet. Nie rozjaśniła się, ani też nie sposepniała, kiedy zapytał:

— A jakie ma być moje życzenie?

— Żebym pozwolił ci jechać bez przeszkody. Roześmiał się szyderczo, spojrział na mnie z niesłychanym lekceważeniem i zapytał:

— A jeżeli nie spełnię twego życzenia, co uczynisz?

— W takim razie i ja nie spełnię twojego.

— Chcesz nas tu może zatrzymać?

— To byłoby zbyt dobre, gdyż cię już przecież zatrzymałem.

— Ale bez skutku. Odejdę, kiedy mi się spodoba.

— W każdym razie daleko nie dojdiesz.

— Szaleńcze! Ty jesteś sam, nas jest czterech, a tak mówisz, jakbyś miał stu przeciwko nam.

— Bo też w istocie znaczę wobec was tyle, co stu wobec czterech.

— Jesteś wariat! — huknął na mnie. — Gdybyś wiedział, kto jesteśmy, czołgałbyś się w prochu przed nami.

— Nazwałeś się podróżnym, a ja także nim jestem. Bądź jednak, czym ci się tylko podoba, ale teraz jako podróżni jesteśmy sobie równi. Czy jestem wariat, czy mam zdrowe zmysły, o tym przekonasz się wkrótce.

— Zbyt swobodnie używasz broni. Jest to wprawdzie strzelba europejska, ale w twoim ręku nie ma ona wartości.

— Mylisz się znowu. Umie doskonale obchodzić się z bronią, jestem Europejczykiem.

— A więc chrześcijaninem! Niech cię Allah potępi! Jak ty, giaurze, śmiesz zatrzymywać mnie tutaj i dawać mi rady?

— Życzysz mi, żeby mnie Allah potępił, a ja ci życzę uprzejmie, żeby cię chronił. Uważaj jednak, bo jeśli powiesz jeszcze jedną obelgę, to kres dni twoich nastąpi natychmiast.

— Ty mi grozisz, ty...

Zatrzymał się, pochwycił ręką pistolet, gdyż ja wydobyłem rewolwer.

— Precz z ręką! — krzyknąłem na niego. — Jeśli broń twoja poruszy się tylko lekko, będziesz trupem. Przeceniasz sam siebie, bo jestem rzeczywiście wobec was jak stu wobec jednego.

Zobaczył rewolwer zwrócony groźnie do siebie, więc cofnął rękę, ażeby jednak coś odpowiedzieć, rzekł:

— Nie chwal się! Wystarczy, żebym zawołał moich ludzi i będziesz zgubiony.

— Spróbuj. Po pierwszym słowie, dosłyszonym stąd o dwadzieścia kroków, dostaniesz kulę w

serce.

— To zdrada, haniebna zdrada! — rzekł wściekły, lecz ostrożnie przytłumionym głosem.

— Jak to?

— Przyszedłem do ciebie, ponieważ dałeś mi znak, usiadłem, gdyż musiałem pójść za twoim przykładem. Taki jest zwyczaj pustyni. Według niego jesteśmy obydwa wolni i możemy się rozejść i żadnemu z nas nie wolno drugiego zatrzymywać. Czy chcesz znieważać świętość tego zwyczaju?

— Tak drożnych zamiarów nie miałem. Chciałem z tobą pomówić uprzejmie i wszelka myśl o podstępie była ode mnie daleko; kiedy jednak zaczęłaś mnie lżyć i chciałaś swych ludzi przywołać, sam złamałaś obyczaj pustyni i dałaś mi tym samym zupełną swobodę postępowania.

— Więc puść mnie!

— Pierwej z tobą pomówię.

— Nie chcę nic słyszeć!

— No to idź!

— A ty tymczasem strzelisz do mnie, kiedy odchodząc, odwrócę się do ciebie plecami.

— Nie obawiaj się tego, bo jestem chrześcijaninem, a nie skrytobójcą. Ale powiadam ci, że mi moich służących masz zwrócić, bo w przeciwnym razie z miejsca ci się ruszyć nie dozwolę.

— W jaki sposób zmusisz mnie do ich wydania? Jeżeli zobaczę jeden krok nieprzyjacielski z twojej strony, każę ich zabić.

— Czyń, co ci się podoba!

— Słowa twoje brzmią jak słowa władcy, ale nas nie powstrzymają ani chwili.

— W takim razie kule moje zatrzymają was dłużej aniżeli przypuszczasz. Kto z was opuści miejsce, na którym stoi, pierwej, zanim mi służących zwrócicie, grób swój tu znajdzie.

— Ty sam za kilka chwil będziesz trupem.

Odszedł powoli, wsiadł na wielbłąda i pojechał do swoich. Wierzył widocznie w uczciwość mojego słowa, gdyż nie odwrócił się ani razu, choć mogłem łatwo wpakować mu kulę w serce.

Nie byłem bardzo dumny z przebiegu naszej rozmowy, bo bądź co bądź położenie pojmanych było teraz jeszcze gorsze niż przedtem. Teraz już tylko kule mogły tę sprawę rozstrzygnąć. Przeraziła mnie myśl, że może zająć konieczność zabicia kilku ludzi, postanowiłem więc strzelać tylko w razie ostatecznym, to jest gdybym moich towarzyszy w inny sposób nie zdołał z niewoli uwolnić.

Mój interlokutor dojechał do swoich ludzi i wtedy dopiero w tył się oglądnał. Nie zobaczył mnie, gdyż już byłem ukryty za wysoką na łokieć i takąż szeroką falą piasku, którą pospiesznie usypałem, by mi w razie potrzeby służyła za zasłonę. W ciasnym wgłębieniu leżała lufa strzelby tak, że przy mierzeniu głowy nie było widać. Ażeby szybko nabijać, położyłem sobie kilka naboji pod ręką.

Obcy rozmawiał przez chwilę ze swoimi ludźmi, po czym obił się o moje uszy głośny szyderczy śmiech na cztery głosy. Uważali groźby moje za pusty dźwięk i sądząc po swoich strzelbach, nie przypuszczali, że moja aż tam do nich doniesie. Wymierzyłem do tego, z którym przed kilkoma minutami rozmawiałem, w ostatniej chwili jednak przyszło mi na myśl, że ludzie ci bądź co bądź oszczędzali jeńców, choć przecież mogli ich zabić. Myśl ta skłoniła mnie do łagodności, postanowiłem jednak wystrzelać im wielbłądy. Łatwo mi przy tym było nie zranić naszych, gdyż dwa z nich niosły porucznika i Ben Nila, a trzeciego prowadzono luźno za uzdę. Obcy siedzieli na swoich.

Ruszyli z miejsca, potrząsnęli ku mnie pięściami i roześmiali się znowu. Zachowali opisany już porządek marszu. Na czele jechał ten, z którym rozmawiałem, zapewne dowódca, obok niego jeden z towarzyszy a za jeńcami jechali dwaj inni zbrojni. Zmierzyłem i wypaliłem do wielbłąda dowódcy, który też runął na ziemię, gniotąc jeźdźca pod sobą. Drugi strzał ugodził z tym samym skutkiem zwierzę jego sąsiada. Głośne okrzyki i przekleństwa doleciały aż do mnie. Chwilowe zamieszanie dało mi aż nadto czasu do ponownego nabicia strzelby. Oba następne strzały położyły trupem wielbłądy jadących z tyłu. Został już teraz tylko jeden ich wierzchowiec i trzy nasze hedżiny. Teraz już hultaje nabrali respektu i w zachowywaniu się ich nie było nie wyzywającego. Gdyby mogli byli szukać ukrycia za jeńcami, byłiby bezpieczni przed moimi strzałami, ale tej osłony już na szczęście nie było, bo hedżiny przerażone krzykiem i strzelaniną, popędziły na pustynię ze skrępowanymi jeńcami. Obcy wygramolili się spod wielbłądów, spojrzeli ku mnie bezradnie, a potem zamienili słów kilka, przy czym poznałem po gestach, że chcieli uciec. Zerwałem się, mierzyłem do nich ze strzelby i zawołałem:

— Stać, bo strzelam.

Przekonali się już ostatecznie, że z kulami moimi nie ma żartów i usłuchali wezwania.

— Odrzućcie flinty! Kto swoją zatrzyma w ręku, będzie zastrzelony! — mówiłem dalej.

I ten rozkaz wykonano, ja zaś ruszyłem ku nim, ze strzelbą przyłożoną do ramienia. Mogłem ich już wolno puścić, chciałem jednak, żeby mnie wprzód za poprzednie obelgi przeprosili. Przybywszy do nich, odłożyłem zawadzającą mi strzelbę, a wzięłem w rękę rewolwer, ażeby wciąż trzymać ich w szachu. Wszyscy czterej patrzyli przed siebie ponuro, słowa jednego nie mówiąc; najposepniejsza była twarz dowódcy.

— Dwa razy wyśmialiście się ze mnie — powiedziałem. — Czy uczynicie to jeszcze po raz trzeci?

Odpowiedzi nie było.

— Czy pojmujesz teraz, że byłem wobec was jak stu wobec jednego? Pojmałem was, nie zraniwszy nawet nikogo, a wy zapomnieliście całkiem o obronie. No, jak myślicie, co ja z wami

uczynię, wy dzielni jeźdźcy bez wielbłądów.

Żaden z nich nie odpowiedział; wszyscy patrzyli przed siebie z wściekłością.

— Przypatrzcie się tej małej broni! — mówiłem dalej. — Jest w niej sześć kul a to dla was aż nadto. Puszczę was jednak wolno, gdyż takich nędznych stworzeń wcale się obawiać nie potrzebuję, przedtem jednak wymagam bezwarunkowego posłuszeństwa. Broń wasza zostanie tutaj, ażebyście nikomu szkodzić nią nie mogli. Sam ją wam odbiorę. Ręce do góry! Jeśli nie, strzelam.

Z wyjątkiem dowódcy, wszyscy trzej poszli zaraz za moim rozkazem, on jednak sięgnął ręką za pas i zawołał:

— Na proroka, tego za wiele! Nie powiesz, żeby...

Nie skończył zdania; chwycił pistolet, lecz w tejże chwili dostał kulą w rękę.

— Ręce w górę! — huknąłem nań groźnie.

Słyszałem zgrzyt jego zębów, lecz był posłuszny. Trzymając w prawej broń gotową do strzału, wydobyłem im wszystko, rzucając noże i pistolety za siebie.

— A teraz jeszcze jedno. Życzyłeś mi potępienia i nazwałeś mnie giaurem; teraz żądam, żebyś poprosił mnie o przebaczenie i powiedział „samih’ni”, przebacz mi. Jeżeli nie usłuchasz, kulą w łeb dostaniesz.

Zwróciłem wylot lufy ku niemu. Zaczął się krztusić, przelykać ślinę, słowo przeproszenia nie chciało wyjść mu z gardła, wreszcie jednak przemógł się i przeprosił; z jego twarzy wyczytałem, że go to niezmiernie wiele kosztowało.

— No, jesteśmy gotowi, ale posłuchajcie jeszcze na koniec mej rady i nigdy nie lekceważcie na przyszłość Europejczyka a zwłaszcza chrześcijanina, bo zawsze ma nad wami przewagę. Jeśli kiedyś popadniecie w jakieś z nim spory, liczcie zawsze bardziej na jego dobroć, aniżeli na swoją siłę i dzielność. Chciałem się z wami uprzejmie porozumieć, wy jednak odpowiedzieliście mi szyderstwem i teraz zbieracie plon swojego zuchwalstwa. Nie chcę badać dokładnie, czym wy jesteście, ale w każdym razie radzę wam, abyście mnie unikali i nie występowali względem mnie nieprzyjaźnie, bo w razie ponownego spotkania cali z moich rąk już byście nie wyszli. Teraz możecie iść, gdzie wam się podoba, byle prędzej.

Odwrócili się w milczeniu i pospiesznie odeszli. Wystrzelałem ich pistolety i strzelby, ażeby podczas transportu zapobiec jakiemu nieszczęściu i przy tej sposobności przekonałem się, że mieli naboje sporządzone z gwoździ i ołowianych siekańców. Byli to zatem strzelcy bardzo niebezpieczni i pozbawieni wszelkich uczuć ludzkich. Wielbłąd mój klęczał jeszcze spokojnie na tym samym miejscu, na którym z niego zsiadłem. Zaniósłem tam zabraną broń, związałem ją sznurem i zdobywcę tę przymocowałem do siodła. Potem dosiadłem wielbłąda i popędziłem przed siebie, aby odszukać porucznika i Ben Nila. Nie wątpiłem, że wkrótce na nich natrafię, zwłaszcza że ślady były wyraźne. Nie pomyliłem się, bo już po pięciu minutach jazdy zobaczyłem w dali jeźdźców, stojących cicho

obok wielbłądów, które się na ziemi pokładły.

Radość porucznika i Ben Nila była ogromna, a pierwszy z wymienionych zawołał:

— Chwała Allachowi, że przybywasz. Od chwili kiedy nas skrupowano aż dotąd tyleśmy strachu przeżyli, jak jeszcze nigdy. Wyobraź sobie, jakeśmy się niepokoiли o ciebie, wiedząc zwłaszcza że i nasz los zależy od twego zwycięstwa.

— A więc pocieszcie się, bo wszystko poszło dobrze — odrzekłem. — Ale teraz na końcu przychodzi mi na myśl, że o czymś ważnym zapomniałem. Zanim was rozkrępuję, muszę wiedzieć, gdzie są pieniądze, które wam pewnie odebrano.

— Wszystko znajduje się na wielbłądzie Selima, klęczącym tam na ziemi. Strzelby wiszą na kuli u siodła, a reszta jest w torbie. Napastnicy chcieli się natychmiast łupem swoim podzielić, ale się pogodzić nie mogli i podział odłożyli na później.

— To dobrze, cieszy mnie, że nie postradaliście niczego. Przeciwnie, mamy nawet łupy, mianowicie broń, jednego luźnego wielbłąda a niewątpliwie i przy nieżywych zwierzętach także się coś znajdzie. Spodziewam się, że te łotry, widząc, że się oddaliłem, wrócą po swoje rzeczy. Trzeba się zatem spieszyć, aby ich jeszcze uprzedzić.

Uwolniłem ich szybko z więzów, dałem jednemu i drugiemu broń i razem wróciliśmy na „plac boju”.

Nie ujechaliśmy jeszcze połowy drogi, kiedy ujrzeliśmy daleko przed sobą cztery szybko poruszające się punkty. Byli to łowcy niewolników, którzy, jak się spodziewałem, chcieli powrócić. Gdy nas zauważyli, zawrócili i popędzili czym prędzej w kierunku północno-wschodnim, z czego wywnioskowałem, że dążyli do Bir Murat.

Przybywszy do zabitych wielbłądów, zauważyłem, że jeden z nich żył jeszcze, więc położyłem kres jego męce wystrzałem rewolwerowym w oko. Przeszukaliśmy torby przy siodłach. Było tam wiele rzeczy, które wprawdzie dla mnie wartości nie przedstawiały żadnej, naszym żołnierzom mogły się jednak przydać. Bardzo cenną zdobycz znalazłem jednak przy wielbłądzie dowódcy. Były to mianowicie mapy Sudanu, na których położenie setek miejscowości, drogi karawanowe i tajemne szlaki handlarzy niewolników narysowane były z niezwykłą starannością. Tę część łupu uważałem za swój wyłączny udział i mapy zatrzymałem przy sobie. Resztę zdobyczy kazałem włożyć na grzbiet zdobytego wielbłąda i postanowiłem rozdzielić później równo pomiędzy wszystkich.

Musieliśmy teraz zaczekać na Selima i mieliśmy czas pomówić o tym, co się stało. Dowiedziałem się, że ten gałgan winien całemu nieszczęściu, gdyż stojąc na czatach usnął, podczas gdy i tamci dwaj, znużeni nocnym czuwaniem, snem się krzepili. Napadnięci zniemacka i gwałtownie zbudzeni bronili się zawzięcie, lecz tylko Ben Nilowi udało się dobyć noża i przebić nim przeciwnika. To podnieciło w najwyższym stopniu wściekłość łowców niewolników a jeden z nich domagał się nawet, aby mordercę zabić na miejscu. Drudzy jednak, a zwłaszcza dowódca byli zdania, że zemstę należy odłożyć na porę stosowniejszą. Jeńców więc skrupowano, a zagrzebawszy trupa i napoiwszy wielbłądy, przykryto studnię, po czym w dalszą wyruszono drogę.

— Jak obchodzono się z wami? — zapytałem.

— Ani źle, ani dobrze — odrzekł porucznik. — Nic do nas nie mówili, a całe ich zachowanie się robiło wrażenie, jakbyśmy dla nich nie istnieli wcale.

— Ale sami z sobą musieli chyba rozmawiać?

— Bardzo niewiele, a i to o rzeczach całkiem zwyczajnych.

— Czy z ich rozmowy można było wywnioskować, kim i czym są, skąd przybywają i dokąd dążą?

— Nie. Nie nazywali się nawet po imieniu.

— Poznaję z tego, że byli bardzo ostrożni i że im zależało na tym, aby nikt nic o nich nie wiedział. Czyż nie pytali was, w jaki sposób dostaliście się do studni?

— Pytali się, ale żadnej odpowiedzi od nas nie otrzymali ani na to pytanie, ani na żadne inne. O tobie i o Selimie zgoła nic nie wiedzą. Woleliśmy milczeć aniżeli ściągnąć na siebie twoją naganę.

— Postąpiliście rozumnie, bądź co bądź jednak byłoby mi bardzo na rękę, gdybym wiedział, czy znali ukrytą studnię, czy też tylko przypadkiem znaleźli się w tej okolicy.

— Znali ją i bardzo ich to złościło, żeśmy im tak mało wody zostawili.

— W takim razie wiem, za co mam ich uważać. Zdradziło ich to, że tę studnię znali, teraz już nie wątpię, że trafiliśmy na poszukiwanych przez nas łowców niewolników.

— To niemożliwe, effendi, bo przecież w ich orszaku żadnych jeńców nie było.

— Istotnie, ale to była tylko straż przednia; tych pięciu ludzi miało się starać o kwatery, o wodę i w ogóle mieli czuwać nad bezpieczeństwem transportu.

— Jeśli tak, to wielki błąd popełniłeś, pozwalając im umknąć. Trzeba ich było zatrzymać i dokładnie wy badać. Przecież ich relacje bardzo by nam się teraz przydały.

— Jestem innego zdania. W takich ważnych chwilach zwykłem postępować z rozwagą i obliczać skutki tego, co czynię. Gdyby mi przyszło na myśl wypytywać ich, nie byłbym się niczego dowiedział. Powiedzieliby mi wszystko, tylko nie prawdę. A ponieważ nie mógłbym dowieść im kłamstwa natychmiast, więc lepiej się stało, że ich wolno puściłem. Teraz przynajmniej nie będą się chełpili, że mnie w pole wywiedli.

— No tak, ale ich teraz nie ma, a my ani jotę nie jesteśmy mądrzejsi niż przedtem.

— Właśnie dlatego, że ich nie ma, będziemy niebawem wiedzieli wszystko, bo sami mi powiedzą to, co by teraz przede mną zataili.

— Co ty mówisz? Kiedy ci powiedzą i gdzie? Jak ich do tego zmusisz?

— Puściłem ich wolno, by ich potem nad Bir Murat podsłuchać. Za trzy godziny będę koło studni, oni zaś, nie mając wielbłądów, przybędą tam dopiero wieczorem, dzięki temu dość dużo czasu mi pozostanie na wyszukanie sobie kryjówki, z której będę mógł całą ich rozmowę podsłuchać.

— Effendi, musieliby chyba być ślepi i głusi, gdyby cię nie widzieli i nie słyszeli.

— Zostaw to już mnie i o skutek się nie obawiaj.

— Jeżeli cię jednak spostrzegą, będziesz zgubiony. Kto wie zresztą, czy tam dziś jakaś karawana nie obozuje, a ostrzegam cię, że ludzie tutejsi nie są wrogami niewolnictwa i na wezwanie łowców z pewnością przeciwko tobie się zwrócą.

— Wiem o tym i jestem nawet pewien, że spotkam tam nieprześląganego wroga mojego, Murada Nassyra, który będzie na moje życie nastawał.

— Tym bardziej przeto powinieś się mieć na baczności i radzę ci, abyś nie szedł sam, ale wziął z sobą mnie i kilku żołnierzy.

— Ja jednak twojej rady posłuchać nie mogę, bo własnym siłom w tym wypadku najzupełniej ufam, a zresztą obecność żołnierzy miałaby tylko ten skutek, że i ich i mnie tym prędzej by zauważono. W każdym razie jednak zaprowadzimy ich na jakieś zasłonięte stanowisko w pobliżu studni, skąd przedsięwezmę moją wieczorną wycieczkę.

Porucznik patrzył przed siebie, potrząsając głową. Plan mój wydawał mu się widocznie niebezpieczny i niepotrzebny, bo rzekł po chwili:

— Mów co chcesz, jestem jednak pewien, że nie potrzebowalibyś się narażać na to niebezpieczeństwo, gdybyś był tych drabów wziął na spytki na miejscu.

— A cóż byś był zrobił, gdyby ci dali odpowiedzi zupełnie inne aniżeli byś się spodziewał i gdyby ci w dodatku udowodnili, że to, co mówią, jest prawdą?

— Nie wiem, ale i to przypuścić trudno, że wówczas, kiedy będziesz ich podsłuchiwał, będą mówili o tym, co ty byś usłyszeć pragnął?

— W każdym razie będę czuwał tak długo, aż i o tym rozmawiać zaczną. Zresztą wypadki dzisiejsze dały im się we znaki w tym stopniu, że jeżeli o czym, to chyba o nich najwięcej będą mówili i ciekawych rzeczy wnet się dużo dowiem.

— Nie mam prawa ci rozkazywać, ale czuję, że na jedno jeszcze powinienem ci zwrócić uwagę. Szukałeś ukrytej studni, bo sądziłeś, że spotkasz tam łowców niewolników. Znalazłeś ją, więc chyba może lepiej by było gdybyśmy już tutaj zostali. Po co mamy prowadzić żołnierzy naszych do Bir Murat, skoro sam wiesz najlepiej, że ci, których szukamy, muszą tę miejscowość omijać? Obawiam się, że jeżeli przy swoim planie będziesz się upierał, oni nam ujdą.

— Owszem, wpadną nam w ręce.

— No dobrze, ale przecież sam powiedziałeś, że tych czterech, którzy na nas napadli, uważasz za przednią straż łowców i że w ślad za nimi cała karawana dąży. Przyjdą oni do ukrytej studni i tam moglibyśmy ich łatwo pochwycić. Tymczasem teraz zabierasz nas stąd i prowadzisz tam, gdzie ich z pewnością nie zobaczymy.

Wątpliwości jego wydawały mi się zupełnie naturalne, a przy tym były dla mnie dowodem, że się na całą sprawę zapatruje poważnie. Zmusiłem się więc do cierpliwości i odrzekłem spokojnie:

— Rozważania twoje zwracają się tylko naprzód, a nie na prawo ani na lewo. Na Selima zdać się nie możemy, jest nas więc tylko trzech. A z ilu głów będzie składała się eskorta niewolnic? Cóż by się stało, gdyby nadeszli tak rychło, że nie mielibyśmy czasu na sprowadzenie żołnierzy? Czy bylibyśmy w stanie porwać się na nich i wziąć ich do niewoli, co właśnie jest naszym zadaniem? Chyba nie! Nie wątpię ani na chwilę, że przyjdą do ukrytej studni, ale skoro nie znajdą dla siebie wody pod dostatkiem, opuszczą ją co rychlej i prawdopodobnie pošlą kilku jeźdźców do Bir Murat, by stamtąd wodę sprowadzić. Przy ukrytej studni nie możemy na nich czekać.

— W takim razie nie było powodu jej szukać.

— Posuwasz się za daleko. Chciałem tam wpaść na ślad łowców niewolników i cel mój osiągnąłem w zupełności. Mając go raz, nie stracę go już z oczu. Możemy wybierać między dwiema drogami. Albo przepuścimy rozbójników siebie pod fymy za nimi, by na nich wpaść chwili odpowiedniej, albowin wyprzedzimy ich, ażeby sobie znaleźć teren, nadający się do walki i tam na nich zaczekamy. To drugie uważam nawet za lepsze.

— Musielibyśmy znać kierunek ich drogi.

— Dowiem się o tym wieczorem.

— A jeśli się nic nie dowiesz?

— W takim razie powrócimy do twojego planu.

— Ja bym w ogóle dał spokój tej niepotrzebnej wędrownicy do Bir Murat. Dlaczegoś się ty tak uwziął na to podsłuchiwanie?

— Ponieważ wiem z doświadczenia, jakie przynosi korzyści. Nie jest wykluczone, że usłyszę nawet więcej niż sam chcę się dowiedzieć. Proszę cię, nie sprzeciwiaj się dłużej, gdyż zarzuty twoje nie odniosą skutku. Zresztą musimy przerwać rozmowę, gdyż widzę tam jakiegoś biegnącego człowieka. Może to Selim.

Oto wynurzył się teraz na zachodnim horyzoncie biały punkt, który się do nas zbliżał. Wkrótce rozpoznaliśmy piechura, biegnącego tak pospiesznie, że jego burnus powiewał za nim jak chorągiew. Był to istotnie Selim, ucieszony, że nas doścignął i że mi się udało jeńców z więzów uwolnić. Ruszyliśmy w drogę.

Przeciwnicy nasi obrali kierunek północno-wschodni i popędzili wprost do Bir Murat. Ponieważ zależało nam na tym, aby nie wiedzieli, że my spieszymy do tego samego celu, trzymaliśmy się

bardziej kierunku wschodniego i dopiero kiedyśmy nabrali pewności, żeśmy ich już znacznie wyprzedzili, ruszyliśmy wprost ku Dżebel Murat.

Była to właśnie pora modlitwy popołudniowej, kiedyśmy do stóp wzgórza przybyli. Bez trudu odszukaliśmy onbaszego, pomimo że starannie żołnierzy swoich ukrył.

Spoczęliśmy przez pewien czas, a potem rozdzieliliśmy łupy. Ja zatrzymałem mapy, zresztą do podziału się nie mieszałem, wyraziwszy tylko jedno życzenie, aby Selim nie dostał nic. Była to kara za brak czujności i tchórzliwość, którą okazał. Żal mi trochę było tego starego gałgana, ale nauczka podobna mogła mu się przydać. W godzinę po modlitwie wsiedliśmy na wielbłądy, tym razem oczywiście w towarzystwie żołnierzy i ruszyliśmy ku Bir Murat.

Studnia leży w małej dolinie, otoczonej stromymi ścianami skalnymi. Składa się ona z sześciu otworów, wykopanych w gliniastym gruncie, a głębokich mniej więcej na trzy metry. Woda w niej nie jest zbyt czysta i ma smak roztworu soli angielskiej. Kilku Beduinów rozbiło w tym miejscu swoje namioty, by z polecenia szacha pilnować studni. Wyglądają oni nędznie i są wychudli jak szkielety, a to właśnie dzięki tej wodzie, której muszą używać.

Droga z Bir Murat na południe wiedzie uciążliwym parowem godzinami całymi poprzez skały i kamienie. Słońce już zachodziło, kiedyśmy do tego parowu dotarli. Miejsc na kryjówkę było aż nadto, mimo to jednak wiedziałem, że odpowiednią placówkę trudno mi będzie znaleźć, bo jej zaletą główną musiało być przecież to, abym z niej mógł rozmowę łotrów podsłuchać.

Posiliwszy się daktylami i suszonym mięsem, wyruszyłem w głąb parowu, aby przedsięwzięcia dokonać.

Rozdział VI

Niewolnice

Wierny Ben Nil prosił mnie, by mi mógł towarzyszyć, lecz nie mogłem mu na to pozwolić. Byłbym go wziął z sobą chętnie, gdyż był nie tylko odważny, ale i roztropny, a czworo oczu i uszu zawsze lepiej widzi i słyszy aniżeli dwoje, ale teren był zbyt uciążliwy, a on nie miał wprawy w podchodzeniu. Jeden fałszywy krok mógł nas przecież zdradzić.

Uplłynęło pół godziny, zanim z krawędzi parowu zszedłem na jej dno. Gwiazdy nie świeciły jeszcze, więc schodzenie można było nazwać wprost karkołomnym. Posuwałem się naprzód powoli, badając często niepewne miejsca rękoma, zanim nogę na głazie postawiłem. Wreszcie światelko jakieś, majaczące w dali, powiedziało mi, że byłem już blisko celu.

Ciemne, szare ubranie, które na sobie miałem, było swą barwą tak zbliżone do otaczających mnie skał, że z odległości kilku kroków z pewnością nikt by mnie nie dojrzał. Jasny haik zostawiłem w obozie. Do zakrycia twarzy służyła mi kaffia, czyli chustka, o powierzchni mniej więcej jednego metra kwadratowego. Składa się ją na krzyż i przymocowuje się do tarbusza (fezu) w ten sposób, żeby jeden koniec osłaniał twarz, a drugi tył głowy i szyję. Biedacy noszą wełniane lub półwełniane kaffie, bogaci używają jedwabnych, za które w Kairze płaci się po piętnaście franków i więcej. Chustki te, wyrabiane przeważnie w Cuk i w Bejrucie, są dość ozdobne i mają zwykle niebieski lub czerwony deseń na tle złocistym lub białym. Moja kaffia była jednak ciemna. Uzbrojony byłem w nóż i rewolwery.

Światło, które przed sobą zobaczyłem, pochodziło od ognia podtrzymywanego suszonym gnojem wielbłądzim, jedynym materiałem opałowym na pustyni. Ponieważ tego materiału nigdy nie ma wiele, przeto podróżni z oszczędnościowych względów rozpalają ogniska małe i zaledwie tłące. I to, które przed sobą widziałem, świeciło bardzo słabo, co mi było oczywiście na rękę, gdyż jasny płomień mógł mnie łatwo zdradzić.

Owinałem sobie głowę kaffią w ten sposób, że oprócz oczu cała twarz była zakryta, położyłem się na ziemi i w tej pozycji posuwałem się naprzód.

Ciasno dotąd stojące ściany skalne zaczęły się rozstępować i zobaczyłem przed sobą po prawej ręce jeszcze dwa tłące się ogniska. Dokąd miałem się zwrócić? Z tych trzech ognisk należało wywnioskować, że obozują tutaj trzy gromadki ludzi. Nie mogli to być jeszcze łowcy, których chciałem podsłuchać, w każdym razie jednak przybycia ich należało spodziewać się niebawem. Gdzie rozłożą się obozem? Byłem pewny, że wyszukają sobie jakiegoś miejsca nie opodal wody, gdyż po pieszej wędrówce przez pustynię musieli być bardzo spragnieni. Bądź co bądź chciałem wiedzieć, kogo mam przed sobą. Na obecność Murada Nassyra mogłem liczyć z pewnością.

Zwróciłem się najpierw na lewo, skąd dolatywał do moich uszu cichy dźwięk rababy czyli skrzypiec o jednej strunie. Wkrótce dosłyszałem także brzęczenie kamandży czyli skrzypiec dwustrunnych z łupiny orzecha kokosowego jako pudła, a na koniec świst cammary i szabbabi, czyli

piszczałki i fletu najpospolitszej konstrukcji.

Tego, co grano, nie można było wedle naszych pojęć nazwać muzyką. Nie było w tym ani taktu ani melodii ani harmonii. Wszyscy czterej artyści ciągnęli smyczkami albo dęli w instrumenty, jak się któremu podobało, i ten bezładny hałas był dla tych ludzi koncertem. Dysonanse raziły moje ucho, ale były mi bardzo na rękę, bo przygłuszały szmer, jaki bądź co bądź wywoływałem, czołgając się po kamienistym podłożu.

Gdy się zbliżyłem, ujrzałem bezkształtne masy leżące na ziemi; były to wielbłądy, a wkoło nich bagaże podróżnych. Koło ogniska siedziało ze dwanaście osób. Czterej mężczyźni grali, dwaj byli zajęci przygotowaniem papki mącznej na wieczerzę, reszta przypatrywała się i przysłuchiwała z widoczną przyjemnością.

Ci ludzie byli mi obcy zupełnie i żadnego zainteresowania we mnie nie budzili, zwróciłem się przeto na prawo, gdzie wkrótce zobaczyłem kilka namiotów. Było to, jak się przekonałem, obozowisko Beduinów z plemienia Ababde, którym powierzono pilnowanie studni. I tu nie miałem czego szukać, więc poczołgałem się na kolanach i końcach palców w stronę trzeciego światła. Majaczyło ono przed namiotem, obok którego stał drugi. Dwie kobiece postacie siedziały nad ogniskiem i przyrządzały wieczerzę. Kiedy jedna z nich pochyliła się, aby gasnący już ogień rozdmuchać i jaśniejszy blask twarz jej oświecił, poznałem Fatmę, ulubioną kucharkę Nassyra, której włosy znalazłem w pilawie. Oba namioty należały zatem do mego wrogiego przyjaciela Murada Nassyra. Jeden przeznaczony był dla siostry i jej służby, drugi był niezawodnie przez niego samego zajęty. Kiedy się do namiotu zbliżyłem, zobaczyłem Turka, siedzącego przed wejściem w towarzystwie poganiaczy, wynajętych w Korosko.

I tu nie miałem czego szukać, gdyż to, o czym Murad mówił z przewodnikami, było mi obojętne. Więc teraz dokąd? Wydało mi się rzeczą najbardziej odpowiednią pójść w poblizę studni, która leżała nie opodal drugiego ogniska. Właśnie ruszałem z miejsca, kiedy usłyszałem za sobą tętent zbliżającego się wielbłąda.

Jeździec musiał tę miejscowość znać bardzo dobrze, gdyż pomimo ciemności jechał szybko. W każdym razie zdążał także do studni. Nie mogłem już nawet marzyć o tym, aby go wyprzedzić i ukryć się w jej pobliżu, a ponieważ był już za mną niedaleko, musiałem usunąć się na bok. Zaledwie parę kroków zrobiłem, kiedy przybysz zawołał:

— Hej, strażniku! Gdzie światło?

Głos ten wydał mi się znajomy, nie mogłem sobie jednak przypomnieć, gdzie go słyszałem i kiedy. Wiedząc, że człowieka tego przyjmą ze światłem, musiałem się schować czym prędzej. Zakradłem się więc za namiot grubego Turka; nie czułem się tam bezpieczny i postanowiłem zaszyć się w gęste pobliskie zarośla. Na moje nieszczęście były to kolczaste mimozy. Ich igły przebijały mi odzież, chustkę na twarzy i kłuły w obnażone ręce, w dodatku uważałem za rzecz możliwą, że pod krzakami natrafię na niedźwiadki, a może nawet i na assaleje czyli najjadowitsze węże pustyni. Ich ukąszenie byłoby dla mnie w obecnych warunkach bezwarunkowo śmiertelne. Bądź co bądź, byłem teraz dobrze ukryty i mogłem zobaczyć wszystko, co się dzieć będzie. Na zawołanie przybysza zjawili się wkrótce dozorczy z pochodniami z włókien palmowych, które przy ognisku zapalono. Światło ich

zatonczyło szeroki krąg, ale do krzaka, pod którym się ukryłem, na szczęście nie doszło. Jeździec zsiadł z wielbłąda, a dozorczy skrzyżowali ręce na piersiach i skłonili się głęboko. Musiał to być człowiek bardzo dostojny albo pobożny. Tylko to mnie uderzyło silnie, że nie miał przewodnika ani towarzysza i sam jechał nocą przez pustynię. Kiedy go Murad Nassyr zobaczył, zerwał się natychmiast i zawołał:

— Abd Asl! Na Allacha, czy to być może? Ani mi przez myśl nie przeszło, że cię tu spotkam.

Na ten okrzyk odwrócił się przybyły i wtedy mogłem mu się dokładnie przypatrzeć. Rzeczywiście, był to Abd Asl, „święty fakir”. W pierwszej chwili chciałem wybiec z ukrycia, aby z nim wszystkie rachunki załatwić, musiałem sobie jednak na razie jeszcze tej przyjemności odmówić.

— El Ukkazi! — odpowiedział fakir głosem pełnym zdumienia. — Czy moje oczy dobrze widzą? Tyś tu, przy Bir Murat? Allach cię tu sprowadził, gdyż właśnie chciałem się z tobą spotkać.

Przystąpił do Murada Nassyry i podał mu rękę, a ten potrzęsął nią i odrzekł:

— Istotnie Allach zrządził to spotkanie, a dusza moja cieszy się widokiem twego oblicza. Ty jesteś sam a ja mam z sobą służbę, bądź moim gościem i usiądź przy mnie.

Fakir przyjął zaproszenie, kazał dozorcóm zdjąć siodło z wielbłąda i dać mu wody, a potem usiadł obok Turka. Zauważyłem teraz przy świetle pochodni, że jego wielbłąd był jeszcze cenniejszym zwierzęciem aniżeli mój hedżin. Skąd ten ubogi fakir wszedł w posiadanie tak cennego wielbłąda? Na to pytanie odpowiedzi znaleźć nie umiałem, jeszcze bardziej jednak zdziwiło mnie to, że nie nazwał Turka Muradem Nassyrem, lecz El Ukkazim. Ukkazi znaczy tyle co kula, a używają tego słowa także w znaczeniu przezwiska kulas. Skąd Turek miał tę nazwę? Był przecież zdrow zupełnie, a jego chód był pomimo otyłości, lekki i równy.

Poszedł sam do namiotu, by fakirowi przynieść cybuch. Ten święty człowiek powiedział mi niedawno w Sijut, że nigdy nie pali, a teraz przyjął fajkę i zaczął dymić tak, jakby był zapalonym palaczem. Teraz nie gniewałem się już na kolczaste zarośla, bo leżałem od studni najdalej o pięć kroków i spodziewałem się usłyszeć wiele zajmujących rzeczy.

Rozmawiający wymienili najpierw zwyczajne towarzyskie frazesy, potem zjedli wieczerzę, podczas której poganiacze wielbłądów stali skromnie na boku. Kiedy wieczerzę spożyto, rozglądnął się fakir badawczo dokoła i rzekł:

— To, co mam ci powiedzieć, chcę, żeby zostało przy tobie. Czy tutaj rozmowy naszej nikt nie podsłucha?

— W namiocie sąsiednim mieszka córka mojego ojca; przy niej moglibyśmy wprawdzie mówić o wszystkim, ze względu jednak na niewolnice, które jej towarzyszą, a które mogłyby może cośkolwiek dosłyszeć, chodźmy lepiej do mojego namiotu.

Udali się do namiotu, poza którym leżałem. Wewnątrz było zupełnie ciemno. Kiedy dozorczy studni również i swoje pochodnie zgasili, wysunąłem się ostrożnie z krzaków i zbliżywszy się do namiotu

jąłem nadłuchiwać. Rozmawiali jednak półgłosem, a płótno nie dopuszczało do moich uszu słów ich wyraźnie. Ponieważ ich rozmowę chciałem słyszeć koniecznie, spróbowałem podnieść ścianę namiotu pomiędzy dwoma kołkami, co mi się też udało w tym stopniu, że mogłem głowę wsunąć do środka.

Ani jednego, ani drugiego w ciemności nie widziałem, po głosie jednak poznałem, że siedzieli tuż obok mnie i mógłbym ich wyciągniętą ręką dosięgnąć. Szkoda, że nie słyszałem początku rozmowy, gdyż ja sam byłem jej przedmiotem. Dowiedziałem się o tym zaraz z pierwszych słów fakira:

— W takim razie muszę cię przestrzec przed człowiekiem, utrzymującym przyjacielskie stosunki z reiselem effendiną i dążącym teraz do niego do Chartumu, by z nim razem łowić handlarzy niewolników.

— Ciekawym, czy masz na myśli tego samego giaura, co i ja? — zawołał Murad Nassyr. — Ja także znam takiego, przed którym chciałbym cię przestrzec.

— Cóż to za jeden?

— Giaur z Europy.

— Pewnie ten sam, o którym właśnie mówić z tobą chciałem. Gdzie go poznałeś?

— Osobiście zetknąłem się z nim w Kahirze, lecz już dawniej widziałem go w Dżezair*. Wiem, że i ty miałeś z nim do czynienia, bo on sam mi to opowiedział.

— Gdzieżeś się z nim ostatni raz widział?

— W Sijut. Czekał tam na mnie, bo miał mi towarzyszyć w podróży do Chartumu i dalej wzdłuż Bahr el Abiad. To człowiek mądry i odważny, a dla nas byłby tak nieoceniony. Aby go do siebie przywiązać, nie wahałem się ofiarować mu za żonę młodszej córki mojego ojca.

— Allach kehrim! Jak mogłeś to uczynić! Teraz jest twoim przyjacielem i szwagrem i nie mogę się na nim zemścić!

— Niczym on dla mnie nie jest, a raczej jest moim największym nieprzyjacielem. Czy uwierzysz, że on moją propozycję odrzucił?

— Co mówisz? Wszak to obelga, którą tylko krwią zmyć można.

— Wiem o tym, toteż po trzykroć biada mu, jeżeli wpadnie mi w ręce. Przede wszystkim jednak muszę ci dokładnie i obszernie opowiedzieć, jak i dlaczego przyciągnąłem go do mego boku.

Teraz opowiedział Nassyr fakirowi wszystko, co się stało, aż do poróżnienia się naszego w Korosko. Fakir słuchał zrazu cierpliwie, w końcu jednak zerwał się z gniewem i zawołał:

— Głowa twoja była chora! Jak mogłeś mu przyrzekać siostrę i bogactwo! Jedno i drugie niezupełnie do ciebie należy, bo syn mój ma udział w tym wszystkim. Dając mu starszą córkę twego

ojca za żonę, jak mogłeś równocześnie przyrzekać rękę młodszej temu parszywemu giaurowi, któremu oby Allah zginąć z pragnienia rozkazał. Jak może taki pies mieć za żonę siostrę kobiety, należącej do mojego syna!

— Zapominasz, że ten giaur to człowiek bardzo niezwykły.

— Co mnie jego zalety obchodzą, skoro to giaur!

— Postawiłem mu też za warunek przejście na islam.

— Na to jednak ten szakał pewno by się nigdy nie zgodził. Szedłem jego śladem od Gizeh, a on tego ani nie przeczuwał. Kadirina oddała go w ręce mnie i kuglarzowi. Twój Selim, który nie ma mózgu w głowie, był naszym sprzymierzeńcem. Ten człowiek miał już w Moabdah zginąć, ale ponieważ znajdował się z nim koniuszy baszy, musiałem czekać na inną lepszą sposobność. Selim dowiedział się za dużo i jego więc także należało usunąć. Toteż zwabiłem obu do dawnej studni i byłem pewien tak samo, jak kuglarz, że jej już nie opuszczą. Ale widocznie szatan z nimi w przymierzu i pokazał im nie znane nam wyjście. Uszli, a ja musiałem uciekać czym prędzej, ażeby ująć ich zemsty, zwłaszcza że konsulowie tych psów cudzoziemskich są potężniejsi aniżeli sam kedyw. Dopiero w jakiś czas po tym wypadku odważyłem się wyjść z ukrycia i wtedy dowiedziałem się, że giaur i Selim popłynęli sandałem „Et Tar” w górę Nilu.

— To był mój statek, ja go nająłem.

— Nie wiedziałem o tym. W ogóle nie miałem pojęcia, że znajdujesz się już znowu w Egipcie. Wszak miałaś córkę swej matki przywieźć znacznie później.

— A ja nie przypuszczałem dotychczas, że ty należysz do Kadiriny. Toteż cieszyłem się, że temu giaurowi udało się uwolnić mnie od strachów.

— Istotnie, uwolnił cię, ale tym samym wdarł się w nasze tajemnice. Z jego przyczyny skonfiskowano naszą dahabieh. Jedno i drugie powinien przyplacić życiem, ale nam na nieszczęście umknął. Jeśli rozgłosi o tym, co się stało, możemy przygotować się na rzeczy bardzo niedobre. Za wszelką cenę musimy go usunąć. Nie spocznę, dopóki tego giaura własnymi rękami nie zaduszę.

— Ja mu tym samym zagroziłem, lecz on się ze mnie wyśmiał.

— Niech się śmieje do czasu, my go i tak dostaniemy; albo mnie, albo kuglarzowi wpadnie on w ręce niebawem. Muzabir ściga go Nilem, ja zaś kazałem dać sobie najszybszego wierzchowego wielbłąda, ażeby jechać do Abu Hammed. Tam zaczekam, aż mi go kuglarz w ręce napędzi.

— Mylisz się, bo przecież na moim sandale go nie ma. Obraził mnie i jesteśmy śmiertelnymi wrogami; czy sądzisz, że wobec tego pozwoliłbym mu używać mego statku?

Twarz fakira musiała przybrać wyraz największego rozczarowania; nie widziałem jej, ale za to słyszałem, jak pełen głębokiego smutku zapytał:

— Jak to? Więc on nie na sandale? Więc znajdujemy się jeszcze na tropie fałszywym?

— Tak jest; tym razem znowu wam umknął. Masz słuszość, że ten giaur jest w przymierzu z szatanem.

— A nie wiesz przypadkiem, dokąd się udał?

— Nie wiem, i nawet odgadnąć mi to trudno. Uważam jednak za prawdopodobne, że będzie w Abu Hammed przed wami, jeśli w ogóle zamierzał tam się udać. Zresztą, kto wie, czy z Korosko nie wyruszył do Korti, ażeby stamtąd przez pustynię Bajuda udać się wprost do Chartumu.

— Z czegoż to wnosisz? Byłeś może obecny przy jego odjeździe?

— Nie. Odjechałem wcześniej niż on, lecz doścignął mnie wkrótce i właśnie tego nie mogę sobie wytłumaczyć. Siedział z porucznikiem reisa effendiny przed bramą kanu i...

— Z kim? — przerwał mu fakir. — Reis effendina wysłał do Korosko porucznika?

— Tak. Porucznik przesłuchiwał mnie i twierdził, że mnie zna. Miał słuszość, ale się tego wyparłem. Nie mogłem tam pozostać ani chwili dłużej, wynająłem pierwsze lepsze wielbłądy i wyruszyłem w dalszą drogę. Wkrótce potem doścignął mnie na pustyni giaur i porucznik. Jechali na wspaniałych wielbłądach a mieli przy sobie Selima i Ben Nila.

— Ben Nila? Allach, Allach! Znałem takiego człowieka, ale on już nie żyje.

— Majtek z Gubatoru?

— Tak, ale skąd przyszło ci na myśl wymienić tę miejscowość?

— Bo mówię właśnie o człowieku, którego za zmarłego uważasz. Zwabiłeś go, jak mi sam opowiadał, do studni, ale ten obcy niewierny uwolnił go i zabrał z sobą.

— To niemożliwe! — rzekł fakir prawie z płaczem.

— A jednak tak jest istotnie. Ben Nil jest teraz sługą giaura.

— Allach kehrim! Tego za wiele. A więc wszyscy trzej, którzy mieli umrzeć, są teraz razem. A przecież zachowaliśmy wszelkie środki ostrożności. Więc jeszcze jeden wróg nam przybywa. Mam w ręku władzę zgubienia ich wszystkich i przysięgam na proroka oraz na brodę jego, że to uczynię. Będę ich ściagał, choćby do Bahr el Ghazal. Poszukam syna i jeśli sam ich nie znajdę, oddam ich w jego ręce. Może przecież wiesz, gdzie bym ich teraz mógł spotkać?

— Nie mam pojęcia. Jechali przez krótką przestrzeń drogą karawanową, a potem, jak wskazywały ślady zjechali na prawo.

— W takim razie muszę spieszyć do Abu Hammed. Jeśli ich tam nie ma, to roześlę ludzi do Berber, Korti i do Debbe. W jednej z tych miejscowości w każdym razie przynajmniej na jakiś ślad ich natrafię.

— Żałuję bardzo, że ci tak spieszo, bo ucieszyłem się twoim widokiem i miałem nadzieję, że będziemy dalej razem jechali.

— To niemożliwe! Ty masz harem z sobą i możesz jechać powoli, a mnie się istotnie spieszy. Kiedy oni odjechali z Korosko?

— W poniedziałek rano.

— A dzisiaj czwartek. Powiedziałaś, że mieli dobre wierzchowe wielbłądy, więc są daleko, a ja muszę tę przestrzeń bezwarunkowo prędzej przejechać niż oni.

Mówił coś jeszcze, ale słów jego dosłyszeć nie mogłem, bo znowu rozległ się tętent, a ktoś zawołał głosem donośnym:

— Hej, dozorczy studni! Zaświećcie pochodnię, bo potrzeba nam wody.

Wyciągnąłem głowę z namiotu i ukryłem się znowu w zaroślach. Gwiazdy świeciły jaśniej niż przedtem, a blask ich wystarczył mi, abym rozróżnił, że to nie przyjechał jeden jeździec, lecz cały oddział. Kazali wielbłądom uklęknąć i zsiadli z nich w ciemności. Zapalono pochodnię a przy jej świetle naliczyłem siedmiu ludzi, przybyłych na pięciu zwierzętach. Ten stosunek liczebny jeźdźców do wielbłądów bardzo mnie z początku zdziwił, lecz wyjaśniło mi się wszystko, kiedy w przybyłych rozpoznałem owych czterech łowców niewolników, których puściłem wolno.

Trzej inni byli to ludzie wysłani przez dowódcę łowców, ażeby na pięciu wielbłądach sprowadzić wodę z Bir Murat, i ci właśnie spotkali po drodze swoich nieszczęśliwych towarzyszy. Okazało się teraz dowodnie, że moje przypuszczenia były prawdziwe. Jeźdźcy spotkani na pustyni byli istotnie przednią strażą zbójckiej karawany, która teraz wpaść nam w ręce musiała.

Cieszyłem się tą nadzieją, a równocześnie tym mniej byłem zadowolony z mego obecnego położenia, bo chciałem koniecznie podsłuchać rozmowę łowców niewolników, a tymczasem leżałem za namiotem i z miejsca się ruszyć nie mogłem. Obawiałem się, że nie zatrzymają się długo i że nie znajdę sposobności zbliżenia się do nich. Na moje szczęście stosunki ułożyły się wkrótce korzystniej, znacznie nawet korzystniej, aniżeli mogłem przypuszczać.

Oto Murad Nassyr wyszedł z fakirem z namiotu, a zobaczywszy przybyłych, zawołał pełen zdziwienia:

— Allach, Allach! Znowu cud! Oto mamy znów przyjaciela, którego nie mogliśmy się tu spodziewać. Malafie, zbliż się, napij się z naszej czary i wypal z nami fajkę powitania.

Malaf zwrócił się do nich. Był to dowódca owych ludzi, którym odebrałem jeńców.

— El Ukkazi i Abd Asl, ojciec naszego władcy! — zawołał zdumiony. — Niechaj Allach śle wam łaskę i szczęście na każdym kroku! Pozwólcie, aby was sługa powitał!

Przystąpił do nich i skłonił się głęboko.

— Czy jesteś tutaj przypadkiem? — spytał fakir.

— Nie. Bierzemy wodę dla karawan er requiq*.

— Każ więc swoim ludziom napełnić wory, a ty tymczasem przyjdź do nas do namiotu. Chciałbym cię o syna zapytać.

Słyszając to, ucieszyłem się bardziej niż gdyby mi kto tysiąc franków darował, gdyż byłem pewien, że dowiem się nie tylko tego, co chciałem wiedzieć pierwotnie, lecz także wielu innych ważnych rzeczy.

Pochodnia płonęła więc dalej, dopóki worów nie napełniono. Z początku obawiałem się, aby mnie przy jej świetle nie zauważono, zaraz jednak stwierdziłem z wielkim zadowoleniem, że krzak jest dość gęsty i szeroki, by zakryć mnie całkowicie. Nie namyślając się więc długo, wsunąłem głowę pod płócienną ścianę, a wkrótce potem wszedł do namiotu Malaf, wydawszy wprzód swoim ludziom odpowiednie wskazówki. Chociaż rogoża zasłaniała wejście, to jednak przez szparę między nią a odrzwiami tyle światła do wnętrza wpadało, że wszystkich trzech rozmawiających widziałem przez chwilę dokładnie. Gdy Malaf usiadł, rzekł stary fakir:

— Sądziłem, że jesteście teraz nad górnym Nilem. Nie myślałem, że was tak rychło zobaczę. Widocznie połów poszedł wam łatwo, a i z transportem musieliście się szybko załatwić.

— Nie byliśmy wcale przy Bar el Gazal, lecz obraliśmy kierunek zachodni.

— A więc do Kordofanu? Ciekawym jednak, po coście tam dążyli; tam przecież nie ma nic do zabrania!

— Byliśmy dalej.

— A zatem w Dar-fur. To jeszcze bardziej zagadkowe, bo niewolników tam urodzonych nikt już dziś nie kupuje.

— Nie byliśmy ani w Kordofanie ani w Dar-fur, bo polowaliśmy tym razem na arabskie kobiety i dziewczęta.

— Allach! Arabskie, Beduinki?

— Tak.

— Ależ to wyznawczynie proroka i prawdziwej wiary, których nie wolno sprzedawać.

— Spytaj je — roześmiał się Malaf — a one powiedzą ci, że nie znają wcale islamu.

— Ha! Jeżeli tak, to dobrze. Jesteście rozumnymi przedsiębiorcami. Obawa kary uczyni z nich w razie potrzeby poganki. A do któregoż szczepu te niewolnice należą?

— To niewiasty z plemienia Fessara, a więc najpiękniejsze ze wszystkich Beduinek.

— Na brodę proroka, podziwiam waszą odwagę! Wojownicy Fessara słyną z waleczności i porywając ich kobiety i dzieci musieliście chyba wielu swoich ludzi utracić.

— Przeciwnie! Nikt z nas nawet najlżejszej ranki nie otrzymał. Mężczyźni Fessara pojechali wszyscy do Dżebel Modiah, aby tam odbyć wielką „fantazję”, a kobiety swoje pozostawili bez żadnej opieki w Duarze. Otoczyliśmy osadę, wybraliśmy sześćdziesiąt najpiękniejszych niewiast, a pozostałe pozabijaliśmy, ażeby nikt o nas nie mógł nikomu donieść.

— A w drodze mieliście także szczęście?

— Dzięki przeczności Ibn Asla szczęście towarzyszyło nam stale. Już tam jadąc, mieliśmy ciągle dobrych wywiadowców przed sobą, chcieliśmy bowiem uniknąć wszelkich spotkań; w drodze powrotnej postępowaliśmy podobnie, w dodatku wichur pustynny zawiął nasze ślady tak, że teraz nikt nie wie, kim byli łowcy.

— A któż ten plan ułożył?

— Któż by, jeśli nie Ibn Asl el Dżazur, twój syn, nasz władca.

— Tak i ja przypuszczałem. To najszlachetniejszy łowca niewolników i jestem z niego dumny. Ale jak wpadł na myśl porwania Beduinek? To najśmielszy czyn, jakiego dotychczas dokonał. Jeśli się jednak dostanie do wiadomości publicznej, że to był on, wystąpią przeciwko niemu nie tylko świeccy sędziowie, lecz i nauczyciele religii, a wtedy może być z nim źle.

— Nic się nie wyjawia. Nasi ludzie mają tak dobry udział w łupach, że nikt z nich nawet ust nie otworzy, by wskazać dowódcę. Jeden z naszych odbiorców w Stambule prosił o Arabki. Pisał, że Murzynki za brzydkie, a Czirkassierki teraz nie w modzie. Arabek nie było jeszcze w handlu, a ponieważ z tego powodu będą zupełną nowością, należy się spodziewać bardzo obfitego zarobku.

— A zatem do Stambułu! Jaką drogą idziecie?

— Przyszliśmy przez Wadi Melk, Wadi el Gab, koło wyspy Argo przeprawiliśmy się przez Nil, a teraz zmierzamy do Rauai naprzeciwko Dżiddy. Tam będzie stał na kotwicy okręt naszego odbiorcy i przyjmie towar.

Słowa te potwierdziły najdokładniej moje domysły. Około sześćdziesięciu niewolnic! A stary fakir przeszedł nad tym spokojnie do porządku dziennego. Tak mi się podobało w Moabdah i Sijut jego czcigodne oblicze, a tymczasem był to ohydny potwór pod maską świętego.

— Ale teraz rzecz główna. — rzekł. — Mój syn jest z wami?

— Jest. Jedzie z nami aż do Ras Rauai, aby tam odebrać pieniądze.

— A do Bir Murat nie przyjedzie?

— Nie, bo na razie nikomu nie chce się pokazywać. Dzięki ukrytym studniom, które mamy w pustyni, możemy podróżować tak, żeby nikt o nas nie wiedział, ale sześćdziesiąt niewolnic,

pięćdziesiąt ludzi eskorty i należące do tego zwierzęta wymagają bardzo wiele wody. Mimo to nie musielibyśmy się zwracać tutaj, gdyby łotry jakieś nie odnalazły były naszej ostatniej studni i nie wypróżnili jej do dna.

— Jakże oni mogli taką studnię odnaleźć?

— I ja uważałem to także za niemożliwe. Widocznie jednak przypadek przyszedł temu psu chrześcijańskiemu z pomocą.

— Chrześcijaninowi? Więc gjaura nad studnią spotkałeś?

— Przekłętego szakala i jego towarzyszy. Zabrał nam nie tylko dwóch jeńców, ale i nas obdarł ze wszystkiego prócz ubrań.

— Na Allacha! Nie rozumiem nic i tylko z twojej mowy wnioskuje, że ci się jakieś nieszczęście przytrafiło. Opowiedz wszystko dokładnie.

Malaf był posłuszny. W opowiadaniu swoim trzymał się prawdy i nie powiedział ani słowa za mało ani za dużo. Przesadzał tylko wtedy, kiedy moją odwagę pod niebo wynosił, co zresztą robił po to jedynie, aby swoją odpowiedzialność wobec wodza zmniejszyć. Kiedy Ibn Asl przybył do studni ukrytej i nie znalazł tam wody, wysłał ludzi z wielbłędami i worami do Bir Murat. Oni to spotkali się z Malafem i jego towarzyszami i zabrali ich z sobą. O świcie mają z zapasami wody odjechać.

Słuchacze nie przerywali opowiadającemu i dopiero gdy skończył, Murad Nassyr zapytał:

— Ilu ludzi miał ten gjaur przy sobie?

— Dwóch.

— Kim oni byli? Skąd przybywali i dokąd dążyli?

— I tego nie mogę powiedzieć, ponieważ łotry nie odpowiedzieli na żadne moje pytanie.

— Czyżby to on był? Opisz dokładnie jego i towarzyszy! Malaf uczynił zadość temu żądaniu, opisując najpierw porucznika, potem Ben Nila, a w końcu mnie.

— To on, to on — zawołał fakir, a Turek mu zawtórował. — Pomyłka wykluczona. Tamci dwaj to Ben Nil i porucznik reisa effendiny. Ciekawym jednak, co się stało z Selimem? Gdzie on się podział?

— Na to pytanie bardzo łatwo odpowiedzieć — rzekł Murad Nassyr. — Selim uciekł i ukrył się. Ten łotr nazywa siebie największym z bohaterów, a jest największym tchórzem, jakiego w życiu spotkałem.

— Czyżby on się wtedy także gdzieś w pobliżu znajdował?

— Bez wątpienia, gdyż wielbłąd jego spoczywał razem z innymi i wszystkie trzy stały się naszym łupem. Tylko tego gjaura przy studni nie było. Wrócił dopiero później i ruszył naszym śladem. Być

może, że Selim czekał na niego i opowiedział mu, co zaszło. Zresztą wszystko jest zupełnie jasne i tylko tego nie mogę zrozumieć, skąd się ten gjaur wziął przy ukrytej studni.

— I to ci wyjaśnię — rzekł fakir. — On wie, że godzimy na jego życie i nie jedzie zwykłym szlakiem karawanowym, bo chce się nam z oczu usunąć.

— A cóż robi przy nim porucznik?

— Spotkanie się ich jest z pewnością zupełnie przypadkowe, tak jak przypadkiem jest to, że się zatrzymali nad studnią.

— Skąd wziął tak dobre wielbłądy dla siebie, Selima i Ben Nila?

— To już rzeczywiście zagadka. Dostać je łatwo, jeśli się dobrze zapłaci, ten gjaur jednak pieniędzy nie ma. To, co mu dałeś, musiał ci przecież oddać.

— To prawda i wiem, że posiadał tylko tyle, że mu ledwo na powrót do ojczyzny starczyło. Na jedno jeszcze należy zwrócić uwagę. Kto pożycza wielbłądy, musi wziąć z sobą właściciela, albo jego pełnomocnika, ponieważ zaś nikogo takiego przy tych psach nie było, więc owe trzy wielbłądy nie były wypożyczone.

— Może zabrał je komuś z pastwiska?

— Nie. To wprawdzie chrześcijanin, ale umarłby prędzej aniżeli by ukradł. Uważam go nawet za człowieka, który woli sam dać sto piastrów aniżeli przyjąć jednego za darmo. To w każdym razie zagadka, skąd on wziął te wielbłądy i tym bardziej tego pojąć nie mogę, że ja, pomimo że miałem przy sobie pieniędzy wiele i mogłem każdą kwotę zapłacić, dostałem tylko ciężkie zwierzęta. Bądź co bądź, radzę wam: miejcie się przed nim na baczości, a przede wszystkim ostrzeżcie Ibn Asła.

— Uważam to za zbyteczne. Czy sądzisz, że ten gjaur odważyłby się porwać na mojego syna?

— Czemu nie? On odważył się już nawet na większe jeszcze szaleństwa.

— Ależ on nie ma najmniejszego pojęcia o tym, gdzie się mój syn teraz znajduje.

— Nie łudź się! Słyszałem w Dżezair o tym gjaurze, a i on sam opowiedział mi niejedno z tego, co przeżył, krótko i w prostych słowach, a były to rzeczy wprost zdumiewające. Ten człowiek ma węch jak sęp, a oko jak orzeł, a przy tym nie odgaduje niczego, tylko wszystko oblicza. Kiedy sobie uprzytomnię tego łotra, jego istotę, jego sposoby, to przysięgłbym, że on siedzi gdzieś niedaleko i śmieje się z nas wszystkich. Obliczył sobie, że nadchodzi karawana niewolników i wie może nawet, gdzie zatrzymała się teraz.

— To niemożliwe! A nawet gdyby wiedział, w jakiż sposób mógłby nam zaszkodzić?

— Na to pytanie nie jestem w stanie dać ci odpowiedzi. Tyle wiem, że ten pies zabiera się do wszystkiego całkiem inaczej niż my.

— Trudno chyba przypuścić, żeby ze swoimi trzema towarzyszami mógł rzucić się na naszą eskortę z pięćdziesięciu ludzi złożoną. To już byłoby śmieszne.

— Bez wątpienia. Przypuśćmy jednak, że pójdzie potajemnie za karawaną. Zauważy wkrótce, że celem jej drogi jest Ras Rauai. Jeśli potem pojedzie szybko naprzód, przeprawi się do Dżiddy i zawiadomi tamtejszych konsulów chrześcijańskich, że się zbliżacie, to synowi twemu odbiorą niewolnice, a on sam chyba w ucieczce ratunek znajdzie.

— Do wszystkich diabłów otchłannych, przyznaję ci słusność. Muszę ostrzec syna, gdyż po tym gjaurze można się wszystkiego spodziewać, a w tym wypadku za jednym zamachem także na mnie zemściłby się srogo.

— Na tobie? Skądże przypuszczenie, że tym razem ma on i ciebie na myśli?

— Przecież ten gjaur wie, że jestem ojcem słynnego łowcy niewolników i że tym łowcą jest Ibn Asl. Sam mu to niepotrzebnie powiedziałem. Było to w drodze do studni, w której miał zginąć z głodu i z pragnienia. Byłem więc pewien, że powiedzenie moje nie będzie miało żadnych złych skutków. Tymczasem on się uwolnił i teraz dowiedział się już pewnie, że nazywam się Abd Asl. Abd Asl i Ibn Asl muszą być bezwarunkowo ojcem i synem; to rozumie się samo przez się.

— W takim razie masz wszelkie powody ostrzec swego syna. Zresztą i ja także chcę się z nim koniecznie rozmówić. Twój syn oczywiście ani się spodziewa, że znajdujemy się w pobliżu i że mam z sobą jego przyszłą zitti.¹ Jeżeli chce już rano w drogę wyruszyć, to w każdym razie jeszcze tej nocy musimy się z nim spotkać. Przede wszystkim chcę wiedzieć, gdzie mam mu siostrę zawieźć, a poza tym chciałbym z nim pomówić o cenie niewolnic. Gdzie on obozuje?

— Nie opodal stąd ku północy na skraju lasu palmowego — odrzekł Malaf, do którego zwrócono się z tym pytaniem.

— A wy macie zabawić tu do jutra rana?

— Do świtu. Opuścimy studnię w kierunku południowym, wkrótce jednak zwrócimy się na północny wschód, gdzie w kierunku do Wadi el Berd spotkamy się z Ibn Aslem. i Małżonka.

— Czy macie obozować w tym wadi?

— Tak. Chcemy dostać się tam jutro wieczorem. Tam jest woda.

— A ja uważałem to wadi zawsze za bezwodne.

— Nie jest takie, ale oczywiście tylko dla znawców. W połowie jego długości znajduje się w skalnej ścianie źródło, dostarczające wody jeszcze przez długi czas po porze deszczowej. Zakryliśmy je płytą kamienną i nasypaliśmy na wierzch rumowiska skalnego tak, że człowiek nie wtajemniczony żadną miarą nie zdoła go odkryć. Natrafił na nie przed kilku laty jeden z naszych ludzi. Trzy rosące tam gacie naprowadziły go na myśl, że przy nich musi być woda. Do dnia dzisiejszego sterczą te drzewa wśród głazów, ponieważ jednak bywamy tam często, obgryzły wielbłądy liście i korę a drzewa uschły.

Wiadomość o tym źródle, mimochodem tylko przez Malafę podana, miała dla mnie nadzwyczajne znaczenie, gdyż mogła stanowić podstawę planu naszej walki z łowcami niewolników. O, gdyby oni tak wiedzieli, że leżałem za nimi i że wszystko słyszałem.

— Szczegóły, które słyszę, przejmują mnie niepokojem o syna — przerwał znowu fakir. — Czy nie mógłbyś mnie Malafie natychmiast do niego zaprowadzić?

— To niemożliwe. Gdybyśmy wszyscy trzej opuścili studnię, wpadłoby to w oczy tym ludziom, a tego muszę unikać. Wprawdzie ze strony tych, którzy tu obozują, nie mamy się czego obawiać, lepiej jednak na wszelki wypadek, aby nikt nic o karawanie nie wiedział.

— Jak długo mam więc czekać?

— Kiedy już wszyscy zasną, po cichu się wykradniemy. Kto wie, czy już i to, że jestem u was tak długo, nie budzi jakichś podejrzeń. Muszę wyjść i popatrzeć, co moi ludzie robią.

— Idź, ale wprzód jeszcze nam powiedz, czy przypadkiem nie zauważyłeś, że giaur jechał za wami?

— Widzieliśmy, że usiadł z obydwojma uwolnionymi jeńcami. Co zrobił potem, nie wiem, gdyż wkrótce straciliśmy go z oczu, biegnąc z pośpiechem do Bir Murat, gdzie spodziewaliśmy się zastać naszych ludzi, wysłanych przez Ibn Asla po wodę. W każdym razie sędzę, że ten giaur już się o nas nie troszczył. W przeciwnym razie byłby nas chyba przytrzymał. Mógłby to być zrobić, choćby nawet po upływie kilku godzin po naszej ucieczce; miał przecież bardzo dobre wielbłądy, podczas gdy my biegliśmy większą część drogi pieszo. Ten człowiek jest, jak się o tym sam przekonałem, nadzwyczajnie odważny, nie sędzę jednak, żeby jeszcze teraz był dla nas niebezpieczny.

Odszedł. W tej samej chwili dał się słyszeć donośny głos człowieka, który coś wykladał.

— To właściciel moich wielbłądów — rzekł Murad Nassyr. — Nie słyszałem jeszcze w życiu tak dobrego opowiadacza jak on. Na razie mamy czas, więc wyjdźmy i posłuchajmy.

Mieszkaniec Wschodu jest nie znużony w słuchaniu bajek. Abd Asl zgodził się więc natychmiast na propozycję Turka i wyszedł z nim ku studni, gdzie gromada słuchaczy otoczyła kołem opowiadającego. Wsunąłem głowę spod ściany namiotu i jałem się namyślać, co dalej czynić. Byłem zadowolony z tego, co słyszałem, jednak chętnie słuchałbym dalej. Przede wszystkim zajmowało mnie teraz pytanie, jak się łowcy niewolników zachowają wobec ostrzeżenia fakira i Murada Nassyra. Trudno mi było czekać, aż ci dwaj wrócą znów do namiotu, bo opowiadanie bajek mogło się przeciągnąć aż do późnej nocy, potem znowu mogłaby upłynąć godzina, zanim by wszyscy zasnęli, a w końcu należało przewidywać, że obu wymienionych zatrzyma Abd Asl u siebie do rana. Tak długo nie odważyłbym się leżeć tutaj w zaroślach, zresztą było to zbyt niewygodne. Do tej chwili szło mi wszystko wspaniale i nie mogłem dopuścić, aby jaki mały przypadek popsuł znowu wszystko. Korzystając z tego, że wszyscy byli zajęci słuchaniem bajek, niepostrzeżony wysunąłem się z krzaków i zabrałem się do odwrotu. W ciągu pięciu minut zdołałem zajść na czworakach tak daleko, że mogłem się podnieść i iść dalej prosto.

Wkrótce wydostałem się z doliny i wszedłem w parów. Tutaj byłem już zupełnie bezpieczny, mimo to jednak zachowywałem wciąż tę samą ostrożność, co dotąd. Choć na niebie iskrzyły się gwiazdy, otaczała mnie dokoła nieprzejrzana ciemność. Naraz posłyszałem jakiś szelest w pobliżu. Zdawało mi się, że pochodził gdzieś sponad mej głowy. Zatrzymałem się i zacząłem nadśłuchiwać. Z pięć minut panowała zupełna cisza, kiedym się jednak znowu kilka kroków naprzód posunął, stoczył się z góry kamyczek, za nim drugi, a po chwili, zdawało mi się, że kamienista lawina spada w moją stronę.

— Allah kehrim! — wrzasnął ktoś przeraźliwie.

Łoskot wzrastał się coraz bardziej, rzuciłem się przeto w bok, by mnie jakiś kamień nie ugodził. Niestety, dostałem się z deszczu pod rynnę, gdyż coś wielkiego i ciężkiego, choć nie tak twardego jak głaz, runęło na mnie z góry. Zerwałem się z ziemi, choć nie poszło mi to tak łatwo, gdyż ugodzony w głowę i plecy, czułem w nich obezwładniający ból. Przedemną leżało coś długiego i czarnego, co na mnie spadło. Wyciągnąłem rękę i natrafiłem palcami na nos jakiegoś człowieka. Nie wiedziałem zrazu, kto to był i czy się zabił, czy tylko omdlał. Wziąłem go za głowę, ażeby zbadać żyłę pulsową na skroni i dotknięcie to było w skutku zupełnie niespodziane, bo człowiek ten krzyknął głośno, zerwał się i popędził przed siebie, na szczęście nie ku studni, lecz w przeciwnym kierunku. Pospieszyłem oczywiście za nim. Susy długich nóg jego wydawały mi się prawdziwie „selimowymi” i byłby mi umknął niezawodnie, gdyby się nie potknął o kamień i nie upadł na ziemię. Rzuciłem się na niego natychmiast i ścisnąłem go za gardło, ażeby nie mógł krzyczeć. Nie ruszał się i nie bronił. Obmacałem twarz jego, ponieważ było ciemno, bym wzrokiem mógł jego rysy rozpoznać. Rzeczywiście nie pomyliłem się. Odjąłem mu rękę od gardła i powiedziałem:

— Mów po cichu, Selimie! Czyś ranny?

Na dźwięk mojego głosu zerwał się znów czym prędzej i odpowiedział:

— To ty, effendi? Chwała Allahowi, że nie potrzebuję już nieżywego udawać!

— Skąd się tu wzięłeś?

— Stąd, z góry — wskazał na wysoką ścianę skalną.

— Podziękuj Allahowi, że mnie spotkałeś. Czuję się wprawdzie, dzięki tobie, jak rozbity, gdybyś był jednak runął wprost na kamienie, leżałbyś tutaj teraz z połamanymi zębami. Czego ty tam w górze szukałeś?

— Chciałem zejść ze skały, aby ciebie ocalić.

— Oj głupi, głupi! Nie byłem wcale w niebezpieczeństwie.

— Tak długo nie było cię widać, żeśmy się już bać o ciebie zaczęli, więc ja jako najmężniejszy z bohaterów wyruszyłem, by cię odszukać. Kiedym ze skały schodził, obsunął się kamień i zjechałem prędzej niż miałem zamiar.

— To znowu jedno z bezmyślnych głupstw twoich. Gdybym naprawdę znajdował się w niebezpieczeństwie, to już nie ty chyba zdołałbyś mnie ocalić.

— Ależ, effendi, jestem jak stworzony na twego obrońcę!

— Nie mów mi już o sobie, bo znam cię dosyć dawno i wiem, że twoje nazwisko zapisano w księdze kismet między imionami tych, których Allah stworzył po to, aby byli bohaterami bezmyślnych czynów. Mógłbyś być twoją niewczesną wyprawą mnie i nam wszystkim przynieść szkodę największą! Zresztą nie mam teraz czasu na sprzeczki; czy umiesz piąć się po górach?

— Wolę się wspinać do góry niż spadać w dół.

— Chodźże więc zaraz za mną. Tędy najłatwiej wydostaniemy się na górę.

Sam byłbym wyszedł szybko, ale Selim, o ile był dobrym piechurem, o tyle złym turystą. Formalnie wlec go za sobą musiałem, a kiedy w końcu dostaliśmy się na górę, musiałem zatrzymać się, by zaczerpnąć oddechu.

Zasłużył on właściwie na porządną karę, lecz wiedziałem z góry, że będzie bezskuteczna. Jego towarzystwo było dla mnie nieustannym niebezpieczeństwem, przyrzekłem mu jednak, że go przy sobie zatrzymam i musiałem słowa dotrzymać.

Kiedyśmy się do obozu dostali, zastałem towarzyszy poważnie zaniepokojonych nie tylko o mnie, ale i o Selima, którego nie było. Ukazanie się nasze uspokoiło ich szybko, a Selim zaczął im po swojemu o swojej wyprawie opowiadać. Nie spadł oczywiście ze skały, lecz widząc mnie w niebezpieczeństwie, skoczył w głąb z nieporównaną śmiałością tak, że wszyscy nieprzyjaciele w przerażeniu rzucili się do ucieczki.

Porucznik i teraz był przekonany, że moja wycieczka żadnej nie przyniosła korzyści. Dowiodłem mu czegoś innego, opowiedziawszy jemu i onbaszemu, co podsłuchałem. Nie dając posłuchu ich radom, kazałem zaraz ruszać do Wadi el Berd, ażebyśmy mogli tam dość wcześnie poczynić przygotowania.

Onbaszi był już w Wadi el Berd i zapewnił mnie, że trafi tam nawet w nocy. Nie tracąc więcej czasu, wsiedliśmy na wielbłądy i wyruszyliśmy w drogę.

Zaraz na jej początku natknęliśmy się na przeszkodę. Ponieważ przez parów nawet w dzień trudno się było na wielbłądach przedostać, musieliśmy go więc okrążyć, po czym zwróciliśmy się w kierunku północno-wschodnim.

Nie chcąc bardzo wysilać mojego wielbłąda, zwłaszcza że w przyszłości czekały go trudne może zadania, dosiadłem innego. Droga była w nocy bardzo uciążliwa, a wiodła między wzgórzami, biegnącymi ku Dżebel Szigr. Na równinę wydostaliśmy się dopiero o świcie i odtąd już znacznie raźniej posuwaliśmy się naprzód. W południe mieliśmy już trzy czwarte drogi za sobą, a około czwartej godziny po południu ujrzeliśmy przed sobą niskie wzgórza, ciągnące się z północnego zachodu na południowy wschód, poza którymi, według opowiadania starego onbaszego, miał się znajdować Wadi el Berd. W istocie okazało się, że miał słusność i że był dobrym przewodnikiem.

Teraz należało być w dwójnasób ostrożnym. Trzymaliśmy się dotąd, o ile się dało, z dala od drogi, którą prawdopodobnie miała iść karawana niewolników, była więc nadzieja, że naszych śladów nie zauważą. Ponieważ jednak ich trop mógł się w pobliżu wadi łatwo zejść z naszym, pojechaliśmy dalej gęsiego, a ostatni wielbłąd, ciągnąc płótno mojego namiotu, obciążone tyką, zacierał nasze ślady.

Wspomniane pasmo wzgórz składało się z poszczególnych niskich wzgórków skalistych, wznoszących się bezpośrednio z piasku i zasłaniających wadi przed pustynnymi wiatrami. Wadi jest to łożysko rzeczne, mające w porze deszczowej mniej lub więcej wody, a najczęściej tworzące suchą dolinę. Wadi el Berd zagłębiało się tak stromo, że dość trudno nam było wyszukać miejsce, przez które mogliśmy zejść na samo jej dno doliny.

Dokoła nas rozlegało się morze gładów, spoczywających na piasku, naniesionym podczas pory deszczowej. Przeprowadzenie przez ten teren nie była wprawdzie wygodna, ale przynajmniej nie było znac na nim śladów naszych wielbłądów.

Zachodziło pytanie, gdzie należało szukać ukrytej studni, na prawo czy na lewo, wyżej czy niżej. Porucznik i onbaszi głosowali za prawą stronę, ja zaś byłem zdania przeciwnego. Przypuszczałem mianowicie, że łowcy niewolników, znając te strony dobrze, nie będą potrzebowali wzgórz okrążyć, ale znanym sobie przejściem dostaną się wprost w pobliże studni. Ponieważ zaś znajdowaliśmy się teraz na prawo od kierunku ich drogi, wypadało więc chyba zwrócić się także na lewo.

Ruszyliśmy doliną na północny wschód i już po upływie pół godziny okazało się, że miałem słuszość. Oto zobaczyliśmy na skale, wznoszącej się jak schody, trzy zeszcłe i bezlistne gacie. Zatrzymaliśmy się przy nich. Najniższy stopień skały miał wysokość dwu ludzi, a ponieważ reszta stopni, wspinających się nad nim, zbudowana była bardzo nieregularnie i miała wiele szczyb niższych i wyższych, można było z łatwością dostać się aż na górę.

Gacie, zgodnie z opowiadaniem Malafa, sterczały ponad skałami, żadnego jednak śladu wody nie widzieliśmy nigdzie. Oglądałem się za rumowiskiem, o którym wspominał, ale go odkryć nie mogłem. Musiałem się w tym kłopotcie zwrócić znowu do mego wielbłąda. Kiedy go sprowadziłem, spuścił głowę, rozdał nozdrza i zaczął przednią nogą grzebać w piasku pod drzewami. Miejsce to leżało tuż pod skałą. Wielbłąda odprowadzono i zaczęliśmy kopać. Już w głębi trzech stóp natknęliśmy się na płytę kamienną. Była ona tak wielka, że potrzeba było kwadransa, zanim oczyściliśmy ją z kamieni. Gdyśmy ją usunęli, staliśmy nad jamą, napełnioną aż po brzegi czystą chłodną wodą. Skosztowałem ją; miała o wiele lepszy smak niż woda z Bir Murat, gdyż soli w sobie nie zawierała. Przeznaczaliśmy ją więc dla siebie, a wielbłądy napoiliśmy zapasami, przywiezionymi w worach. Sześć próżnych miechów zdołaliśmy napełnić, zanim jama wyczerpała się tak, że na dnie zostały tylko męty.

Mieliśmy więc znaczny zapas dobrej świeżej wody, co nam było jeszcze i z tego powodu przyjemne, że nad łowcami niewolników mieliśmy pod tym względem przewagę.

— Cóż teraz począć zamysłasz? — spytał porucznik. — Czy sądzisz, że karawana nadejdzie tu jeszcze dzisiaj?

— Z całą pewnością.

— Czy tu na nich czekać będziemy?

— Ani mi się śni. Gdyby łowcy przyszli tam górą, a nas tutaj zastali, mogliby nas z największą łatwością wystrzelać, a my nawet byśmy się bronić skutecznie nie mogli. Koniecznie musimy ten stosunek odwrócić. Właśnie my wyjdziemy na górę, a nasi przeciwnicy muszą zejść na dół. Ukryjemy się za wzgórzem północnego brzegu, ale przedtem przykryjemy znów studnię. Jeśli się tu rozłożą obozem, zaatakujemy ich z dwu stron. W takim razie będą mieli przed sobą i za sobą skały, a z prawej i lewej strony nas i muszą nam wpaść w ręce.

— Masz słuszość. Kiedy wyjdziemy na górę?

— Im rychlej, tym lepiej. Nie mamy tu już czego szukać i należy się jak najrychlej oddalić. Nie wiadomo, co się stać może. Kto wie, czy znowu nie wysłali naprzód kilku jeźdźców; gdyby tak było, to ci pod żadnym warunkiem nie powinni nas tutaj zobaczyć. Przykryjcie więc na powrót studnię, ale tak, żeby nie można było poznać, że tu ktoś był, a ja poszukam z tej i z tamtej strony stanowiska, z którego by najłatwiej można było przejść do ataku.

Ku naszej radości, znalazłem w pobliżu dwa takie miejsca. Jedno leżało mniej więcej o tysiąc kroków przed a drugie prawie w tej samej odległości za studnią. Gdybyśmy się dziś wieczorem rozdzielili i tymi dwiema drogami zeszli na dół, musielibyśmy dostać między siebie obozującą na dole karawanę.

Wróciwszy do jamy z wodą, zastałem ją już zasypaną. Wyrównałem grunt, ażeby całkiem zatrzeć ślady naszego pobytu, po czym udaliśmy się, prowadząc wielbłądy jedną ze wspomnianych dróg na górę. Szedłem z tyłu, ażeby zacierać w dalszym ciągu ślady. Przybywszy na górę, musieliśmy się rozejrzeć za jakąś bezpieczną i wygodną kryjówką. Poszedłem na zwiady i znalazłem w pobliżu doskonale miejsce. Wzgórek, dochodzący tuż do brzegu wadi, miał po drugiej stronie zagłębienie, mogące dostatecznie pomieścić nas i nasze zwierzęta. Tam rozbiliśmy obóz.

Pierwszą moją czynnością było oczywiście wysłanie straży na wzgórze, skąd rozlegał się na wszystkie strony tak szeroki widok, że nikt nie mógł zbliżyć się do wadi nie dostrzeżony przez strażnika. Uczyniłem to raczej z przyzwyczajenia niż z konieczności, bo za dnia nie można było w tych odludnych stronach spodziewać się wędrowca, karawana zaś miała nadejść dopiero wieczorem, a wtedy strażnik nie mógł jej i tak zauważyć. A jednak dobrze się stało, gdyż nie rozłożyliśmy się jeszcze wygodnie, kiedy jeden z wysłanych oznajmił:

— Effendi, widzę na południu trzech jeźdźców.

— W jakim kierunku jadą?

— Nie mogę jeszcze rozpoznać, widzę tylko trzy białe punkty.

Poszedłem do niego, wzięwszy z sobą lunetę. Tak, byli to trzej jeźdźcy na wielbłądach, a przez szkła rozpoznałem całkiem wyraźnie, że jechali z południa i zmierzali prosto do studni. Wydało mi

się to trochę podejrzone.

— Znają widocznie ukrytą studnię — rzekłem — To bardzo osobliwe.

— Więc należą do karawany niewolników — rzekł strażnik.

— Nie sędzę, bo ona ma nadejść z południowego zachodu. Przypuszczam jednak, że to znajomi albo przyjaciele łowców, bo o studni nikt inny nie wie. Połóż się, ażeby cię nie spostrzegli.

Porucznik zaciekawiony wyszedł także na górę i obok nas przykucnął. Podałem mu lunetę; on spojrział przez szkła i rzekł, potrząsnąwszy głową:

— Nie wiem, co o tym myśleć. Są to prawdopodobnie ludzie Ibn Asła, gdyż prócz nich i nas, nikt o tej studni nie wie. Czyżby qn sam obrał inną drogę niż przypuszczaliśmy?

— Zagadka wkrótce się rozwiąże. Jeźdźcy zbliżają się swobodnie i pewnie, więc nie po raz pierwszy znajdują się w tej okolicy. Czekajmy cierpliwie.

Wziąłem znowu w rękę lunetę i zwróciłem ją na jeźdźców. Siedzieli na bardzo dobrych wielbłądach, zbliżali się szybko. Mogłem już rozpoznać ich postawę i ruchy rąk, nareszcie i twarze.

— A do kroćset! — wyrwało mi się mimo woli, chociaż nie byłem przyzwyczajony do takich wykrzykników.

— Co takiego? — zapytał porucznik.

— To moi dawni znajomi. Ten na przedzie to Abd el Barak, mokedem Kadiriny i serdeczny mój przyjaciel z Kahiry, o którym ci opowiadałem. Drugi to muzabir, kuglarz, który kilkakrotnie na życie moje godził.

— Allah! Czy się nie mylisz?

— Nie, bo widzę ich twarze tak wyraźnie, jakbym je miał przed sobą.

— A trzeci?

— Tego nie znam. Musi to być szejek, gdyż odwrócił w tył kaptur chramu* i ma na fezie el arabs.

— To będzie pewnie przewodnik.

— Nie przypuszczam. Mokedem musi znać studnię i on przewodniczy, bo jedzie na czele. Szejek jest właścicielem wielbłądów.

— To możliwe, a nawet prawdopodobne. Skąd oni się tu jednak biorą i czego tu chcą?

— Tego oczywiście nie wiem, lecz się dowiem wkrótce, bo ich podsłucham. Chciałbym tylko, żeby się zatrzymali nad studnią, bo tutaj przysłoby mi to najłatwiej. Należy się jednak liczyć także z

tą możliwością, że oni nie znają wcale ani tego wadi, ani studni i tylko przypadkiem tędy przejeżdżają. Musimy zaczekać, czy zostaną tu, czy też dalej pojedą.

Trzej jeźdźcy dotarli już do przeciwległego brzegu wadi i zjeżdżali w nie w dogodnym miejscu. Z mego stanowiska nie mogłem spojrzeć w głąb, czekałem jednak jeszcze parę minut. Kiedy po upływie tego czasu nie ukazali się jeszcze po tej stronie wzgórza, przypuszczałem, że się zatrzymali na dole, by się tam rozłożyć obozem. Nakazałem więc strażnikom, by nadal baczną na wszystko zwracali uwagę i zszedłem z porucznikiem ze wzgórza. Na górze był on zbyt czujny a na dole mógł przynajmniej uważać, żeby jego ludzie jakiegoś głupstwa nie zrobili. Następnie przywołałem na miga Ben Nila, któremu można było zaufać, zaprowadziłem go nad skałę studzienną i poleciłem mu krótko:

— Usiądź tutaj i czekaj! Jeśli usłyszysz ostry świst, skoczysz czym prędzej do obozu, sprowadzisz kilku uzbrojonych ludzi i pospieszysz z nimi do studni.

— Ty znów narażasz się na niebezpieczeństwo, effendi — rzekł. — Proszę cię, zabierz mnie z sobą.

— Nie spełnię twojego życzenia, bo sam jestem o wiele pewniejszy aniżeli w towarzystwie drugich. Pamiętaj tylko, co ci nakazałem.

— Czy nie byłoby lepiej sprowadzić żołnierzy od razu i tutaj z nimi czekać? Stąd przecież prędzej przybiegamy do ciebie niż z obecnego ich stanowiska.

— Dobrze, ale pamiętaj, że na twoją głowę kładę, żeby się zachowywali zupełnie cicho.

Wrócił, a ja zacząłem schodzić ze skały. Strzelby z sobą nie miałem, bo rewolwery mi wystarczyły. Musiałem jednak być bardzo ostrożny, gdyż był to biały dzień i łatwo mogli mnie zobaczyć.

Górne schody skały były tak niskie, że z łatwością dostałem się na przedostatni. W połowie drogi usłyszałem głosy pod sobą. Rozmawiający znajdowali się nad studnią, tuż obok skały, więc nie mogli mnie dostrzec.

Położyłem się na najniższym stopniu i posunąłem się naprzód nad sam brzeg. Spojrzałem ostrożnie w dół. Wielbłądy leżały w pobliżu ze spętanymi nogami, a trzech mężczyzn klęczeli i rozkopywali studnię. Słyszałem co mówili.

— Czy wiesz na pewno, że tu jest woda? — pytał obcy Beduin, którego uważałem za szejka.

— Całkiem pewnie — odpowiedział Abd el Barak. — Nie jestem tu po raz pierwszy. Z tej ukrytej studni można w porze obecnej napełnić siedem do ośmiu worów.

— Oby to Allah sprawił, bo nie mamy ani kropli wody.

— Nie bój się! Będiesz pił, ile zechcesz i wielbłądy swoje napoisz. A gdyby nawet tutaj wody nie było, wystarczyłby dzień jazdy, aby się dostać do Bir Murat. Nie umrzesz z pragnienia.

— Zginąć z pragnienia, czy zostać zamordowanym to mi wszystko jedno, a tylko to mam do wyboru. Wszak wiecie, że Bir Murat leży na terytorium Ababdehów, wrogów mojego szczepu. Pałają oni ku nam nienawiścią, toteż mnie, jako szejka szczepu Monassyr, zamordowaliby na pewno; nie przystaliby nawet na największy okup.

A więc ten szejka był wodzem Monassyrów, którzy później w wojnie z Mahdim, zamordowali adiutanta Gordona, pułkownika Stewarta. Ukarać ich za to miał generał Earle. Monassyrowie są rycerskimi i wojowniczymi ludźmi, strzegącymi czujnie swej niepodległości. Nienawiść okazują otwarcie i uczciwie i dlatego są dla mnie sympatyczniejsi aniżeli owe szczepy, które poddają się zwycięzcy, pełzając do jego nóg, aby go potem przy najbliższej sposobności znów zdradzić.

Wszyscy trzej kopali pilnie, a pracę mieli nietrudną, bośmy im poprzednio grunt nieco rozluźnili. Nie zwrócili jednak na to uwagi. Wreszcie dostali się do płyty i odsunęli ją na bok. Na widok pustki wszyscy trzej wydali przeciągły okrzyk.

— Allach niech nam będzie łaskaw! — zajęczał szejka. — Tu nie ma wody, tylko błoto, którego by się nawet wielbłąd nie tknął.

— To prawda! — rzekł muzabir strapiony. — Co za nieszczęście!

— Milcz! — huknął na niego mokedem. — Tu nie ma mowy o nieszczęściu, a nawet do Bir Murat nie potrzeba nam jechać, bo jeśli tu zaczekamy do rana, będzie jama znów pełna.

— Ale w takim razie nie spotkamy się z Ibn Aslem, który tu był już z pewnością.

— Nie. Według tego, cośmy słyszeli, nie mógł się jeszcze dostać do tego wadi.

— A jednak tak jest, jak ci to zaraz wykażę. Czy oprócz ludzi i przyjaciół Ibn Asla zna ktoś tę studnię?

— Nie.

— Czy studnia zawiera wodę?

— Stale. Nawet w najsuchszych miesiącach można tu napełnić pięć worów.

— A tymczasem jest próżna; ponieważ mógł ją wypróżnić tylko ten, kto o niej wie, więc Ibn Asl przeszedł już tędy.

— Jeśli Ibn Asl był już tutaj, będzie zgubiony, bo ci, co go ścigają, szybko za nim dążą.

Szejka słuchał tej rozmowy z miną wyrażającą najwyższe zdumienie. Kiedy mokedem zamilkł, powiedział:

— Treść waszej mowy nie jest dla mnie jasna. Mówicie o Ibn Aslu. Czy macie może na myśli Ibn Asla el Dżazura, łowcę niewolników?

— Tak.

— Allach! Dlaczego nie zatailiście tego przede mną?

— Powiedzieliśmy ci, wynajmując wielbłądy, że się tu mamy spotkać z przyjacielem. Jest nim Ibn Asl. Czy to była nieprawda?

— Nie, ale właściwa prawda mimo to została zatajona!

— Czyż jesteś jego wrogiem?

— Tak. Na jednej ze swoich wypraw ukradł najlepsze wielbłądy mojego szczepu.

— To za mały powód, abyś się na nas gniewał. Nic o tej kradzieży nie wiemy, zresztą może się mylisz?

— Nie, widziano go z naszymi wielbłądami.

— Więc masz teraz najlepszą sposobność, aby się z nim porachować. Gdy tu przybędzie, możesz z nim pomówić, a on ci na pewno za wielbłądy zapłaci.

— Nożem lub kulą!

— Pod naszą opieką nic ci się złego nie stanie.

— W wartość waszej opieki wierzyć mi jednak trudno. Chociaż rozmawialiście po drodze tak często szeptem, mimo to różnych nasłuchiwałem się rzeczy.

— I cóż słyszałeś?

— Słyszałem o jakimś obcym effendim, który ma być zabity i o żołnierzach, którzy są przy nim.

— Zrozumiałeś fałszywie — wtrącił muzabir.

— Nie, on słyszał całkiem dobrze — rzekł mokedem.

Muzabir spojrział na niego ze zdumieniem i pytaniem w oczach, mokedem jednak rzekł spokojnie, zwracając się do szejka:

— Ponieważ tyle słyszałeś, lepiej będzie, gdy się dowiesz o reszcie. Czy jesteś przeciwnikiem niewolnictwa?

— Co mnie obchodzi niewolnictwo! Jestem wolnym Monassyrem i nie troszczę się o czarnych.

— Masz słuszość. Nie jesteś więc zasadniczo przeciwnikiem Ibn Asla?

— Nie. To człowiek śmiały, a ja czczę i wielbię odwagę, ale nie powinien kraść nam wielbłądów.

— Bądź pewny, że ci twą szkodę wynagrodzi. Mówmy teraz o rzeczy głównej! Kedyw zabronił handlu niewolnikami. Wysłał on reisa effendinę, który ma wylapywać statki, przeznaczone dla transportu niewolników, oraz więzić łowców i handlarzy. Do tego reisa należy Frank, pies chrześcijański, którego oby diabeł połknął. Człowiek ten nie wierzy w Allacha i bluźni prorokowi, a teraz, jak nam doniesiono, znajduje się w Korosko. Tymczasem reis effendina udał się z wielu żołnierzami w okolice Berberu, ażeby transport pochwycić. Ponieważ karawana może także zwrócić się bardziej na północ, dlatego reis effendina posłał porucznika z oddziałem żołnierzy do Korosko, do giaura, ażeby tędy zastąpić mu drogę. Wiem całkiem pewnie, że Ibn Asl pójdzie tym szlakiem i dlatego wyruszyłem czym prędzej z tym towarzyszem, ażeby go przestrzec przed psem niewiernym. Powiedz, czy widzisz w tym coś niegodziwego?

— Bynajmniej. Dlaczego Frank, pies chrześcijański, troszczy się o sprawy tego kraju? Niech go piekło pochłonie! W waszych zamiarach nie widzę nic złego, nie boję się też Ibn Asla, gdyż nie uraziłem go niczym. On raczej powinien się mnie bać, bo jest rabusiem naszych wielbłądów. Kiedy nadjedzie, jestem gotów pogodzić się z nim, oczywiście, jeśli okaże gotowość zapłacenia za ukradzione zwierzęta.

— Pomówię z nim o tym.

— Uczyn to, a będę ci wdzięczny! Ale czy muzabir nie powiedział, że Ibn Asl już tędy przeszedł?

— Powiedział, ale tak nie jest. Gdyby wodę wyczerpała karawana niewolników, byłyby tu jej ślady. Ja wiem, że Ibn Asl wysłała zawsze straż przednią. Ona to była tutaj i wypróżniła studnię. Karawana nadejdzie później, a do tego czasu studnia napełni się znowu.

— Połóżmy więc na powrót kamień, ażeby ciepło słoneczne nie mogło się dostać do środka. Potem zetniemy jedno z tych drzew, ażeby ogień rozniecić.

— Tego nam czynić nie wolno — sprzeciwił się mokkaladem. — Te trzy drzewa to znak, że tu jest studnia. Jeśli chcesz mieć ognisko, to wystarczy ci poszukać w wadi gnoju wielbłądziego.

Szejk podniósł strzelbę swoją leżącą na ziemi i oddalił się. Byłem pewien, że na całym wadi wymienionego paliwa ani garstki nie znajdzie. Skoro tylko Beduin zniknął z oczu pozostałych, rzekł muzabir z gniewem:

— Co za nieostrożność mówić wszystko temu szejkowi! Po co on ma wiedzieć, gdzie my dążymy i w jakim celu?

Siedzieli obok studni, a ich długie flinty stały oparte o ścianę. Mokkaladem odrzekł:

— Jak śmiesz zarzucać mi błędy i mówić do mnie w tym tonie? Czy mi nie wolno mówić do przewodnika, co mi się podoba?

— Nie mam nic przeciw temu, ale co na to powie Ibn Asl?

— Nic nie powie, bo z naszej rozmowy przewodnik ani jednego słowa mu nie powtórzy, gdyż usta jego wkrótce zamilkną na zawsze.

— Sądysz, że zginie?

— Zginie i zginąć musi, bo zna tajemnicę tej studni. Gdyby studnie tajemne zostały odkryte, mógłby każdy brać sobie wodę, a potem nie miałby Ibn Asl czym poić swoich karawan i musiałyby cały handel zarzucić. Dlatego też poprzysiągł każdemu obcemu, który by odkrył studnię, śmierć natychmiastową, która i szejka Monassyrów nie minie.

— W takim razie oczywiście szejka sprawy nie zdradzi. Czy jednak postąpiłeś słusznie, prowadząc go tutaj, chociaż przedtem wiedziałeś, że to przypłaci życiem?

— A mogłem postąpić inaczej? Potrzebowaliśmy koniecznie wielbłądów i to pospiesznych. On jeden je miał i zgodził się na wypożyczenie tylko pod tym warunkiem, że razem z nami pojedzie. Nie dowierzał nam, więc sam sobie winien. Posłałem go po gnój wielbłądzi, ażeby ci to powiedziec w jego nieobecności. Tłumacząc mu nasze plany, wzbudziłem w nim pełne zaufanie do nas i dlatego ani się spostrzeże, kiedy go śmierć zaskoczy. Czy ciągle jeszcze sądzisz, że byłem nieostrożny?

— Teraz już nie, ale przyznasz, że nie zawsze byłeś ostrożny.

— Kiedyż to okazałem brak niezbędnej rozwagi?

— Już nieraz. Przypomnij sobie noc w Kahirze, kiedy to giaur pochwycił cię jako stracha!

— Nie przypominaj mi tego! — zawołał mokedem z gniewem. — Godzina, przez którą znajdowałem się w ręku tego psa, była najniezwyklejszą chwilą w moim życiu, toteż nie spocznę, dopóki mu za to sowicie nie zapłacę. A czy ty byłeś może rozumniejszy? Czy w Gizeh nie musiałeś uciekać przed nim z okrętu? A czy nie uszedł wam wówczas, kiedy sądziliście na pewno, że się znajduje w dawnej studni w Sijut?

— Nie wspominaj o tym, bo mnie wściekłość porywa. Ten giaur ma szczęście, jakiego nie posiadał jeszcze żaden z prawdziwych wiernych. Krzyżuje wciąż nasze plany, a kiedy nam się zdaje, że go już mamy, wymyka się niespostrzeżenie z rąk naszych.

— Tym razem nam nie ujdzie.

— Kto wie. Uważaj na to, że ma wielką ilość żołnierzy z sobą.

— Żołnierzy się nie boję, ale on sam da nam z pewnością wiele do roboty. Ibn Asl ma w każdym razie tylu ludzi przy sobie, że potrafi utrzymać w szachu żołnierzy. Jeśli się nam uda ostrzec go, zwróci się broń giaura przeciwko niemu samemu. Prawdziwe szczęście, że zobaczyłem w Berberze wśród żołnierzy reisa effendiny naszego Ben Meleda, który mnie poznał od razu i zdradził wszystko przede mną. Chciałem właściwie jechać wprost do Chartumu, lecz nie żałuję tego okrążenia i straty czasu, bo dzięki temu musi mi ten giaur wpaść w ręce.

W tej chwili powrócił szejka. Słyszał ostatnie słowa i rzekł z miną strapioną:

— Musimy się wyrzec ognia, bo nic nie znalazłem. Życzę ci, żeby choć nadzieja schwywania tego

niewiernego nie zawiodła. Czy go chcesz dostać w swoje ręce dlatego, że się buntuje przeciw Ibn Aslowi, czy też z osobistych powodów?

— Mam z nim osobiste rachunki.

— Powiedz mi jakie. Jestem waszym dalulem* i mogę wam w waszych zamiarach dopomóc.

Odstawił strzelbę i usiadł przy nich na ziemi. Mokkadem spełnił jego życzenie w taki sposób, że mi włosy na głowie stawały. Opowiadał okropne historie, których ja miałem być bohaterem i przedstawił mnie jako zbiorowisko wszelkich występków i złości.

— Allah! — zawołał szejka. — Taki człowiek to właściwie nie człowiek, ale chyba diabeł, bo posłuchajcie: Kiedy Allah stworzył Adama, chciał go diabeł naśladować i stworzył istotę, mającą wprawdzie postać człowieka, lecz duszę diabła. Od tej istoty pochodzą chrześcijanie, Adam zaś jest praojcem wiernych muzułmanów. Człowiek boi się prawie mówić i słuchać o tym gjaurze i niech mnie Allah przed nim uchroni. Jeśli go pochwycicie, przypatrzę mu się tylko z daleka, wobec tego jednak, co o nim słyszę, wątpię, czy go w swe ręce dostaniecie.

— Tym razem całkiem pewnie! — rzekł muzabir. — Jaka to będzie dla nas rozkosz! A potem biada mu, po trzykroć biada. Chciałbym go już teraz mieć w ręku, chciałbym...

Nie skończył zdania, gdyż podniosłem się na stopniu kamiennym i nagle zeskoczyłem w dół ku nim mówiąc:

— Spełniam twoje życzenie; oto mnie masz! Zeskoczyłem w ten sposób, że stanąłem między ich strzelbami a nimi. Z początku oniemieli z przerażenia i nie ruszając patrzyli się tylko we mnie, jakby widmo ujrzeli. Wydobyłem rewolwery zza pasa, zwróciłem ku nim lufy i mówiłem dalej:

— Nie należy diabła wywoływać, bo się zjawi. Mówiliście o mnie jako o diable, więc jestem.

Mokkadem ocknął się z przerażenia pierwszy. Sięgnął za pas, wydobył pistolet i krzyknął:

— Ty nie jesteś człowiekiem, lecz diabłem. Idź do piekła, które jest dla ciebie przeznaczone.

Chciał do mnie wymierzyć, ale mu nogą broń wytrąciłem tak, że odleciała daleko. Kiedy chciał się porwać na mnie, kopnąłem go w brzuch tak silnie, że upadł i przewrócił kozła. W tej chwili podskoczył muzabir, gibki jak kot, dziesięć razy zwinniejszy od mokkadema. Zerwał się i strzelił do mnie była dlań dziełem sekundy. Miałem zaledwie czas rzucić się w bok. Kula przeleciała mimo, ja zaś w tej samej prawie chwili ugodziłem go pięścią w skroń tak zręcznie, że padł bez przytomności.

Tymczasem mokkadem zerwał się znowu, dobył noża i rzucił się z nim na mnie. Odbiłem cios, uderzając go od dołu w łokieć tak, że mu nóż wyleciał z ręki. Następnie powaliłem go i ścisnąłem oburącz za gardło. Przez kilka chwil wywijał rękami i nogami, po czym legł bez ruchu. Włożyłem w usta dwa palce i świsnąłem przeraźliwie, po czym podniosłem oba odrzucone rewolwery.

Stało się to wszystko z szybkością błyskawicy. Trudność mojego położenia w czasie walki z przeciwnikami zwiększało to, że musiałem zwracać uwagę także na szejka. Ten jednak nie zdołał

dotąd żadnego jeszcze ruchu wykonać. Siedział jak posąg i wpatrywał się we mnie. Niestłuchane osłupienie, malujące się na jego twarzy, mogło mnie w innej sytuacji pobudzić do śmiechu.

— O Allah akbar, Boże wielki! — zajęczał, wstając powoli i wskazując na tamtych dwóch. — Kto ty jesteś i co ci uczynili ci mężowie, że ich pięścią zabijasz, jako Kaled psy swoje?

— Kto ja jestem? — odrzekłem — Przecież już powiedziałem. Jestem tym, o którym ci opowiadali.

— Giau... chrześcijaninem?

— Tak.

— Udźubi Allah, cud Boski! Jak śmiesz tych ludzi w mojej obecności...

Chciał sięgnąć po flintę, więc zastąpiłem mu drogę i wtrąciłem:

— Nie rozdrażniaj mnie! Nie zdołasz już nic zmienić, ani z tego co się stało, ani w tym co się stanie.

— I owszem. Oddaj mi strzelbę!

— Zostanie na razie w moim przechowaniu.

Sięgnął oburącz za pas pod burnusem. Wtedy objąłem go rękoma, przycisnąłem mu ręce do ciała i zawołałem do Ben Nila, który nadbiegł właśnie z żołnierzami:

— Zwiążcie najpierw tego szejka Monassyrów, lecz nie czyńcie mu nic złego, gdyż z wroga stanie się wkrótce naszym przyjacielem.

Opierał się, na nic mu się to jednak zdało. Rozbrojono go i związano tak, że rękami nie mógł wcale poruszać. Wzywał on wszelkich rodzajów zemsty niebios i Allacha, w czym mu oczywiście bynajmniej nie przeszkadzaliśmy.

Kiedy wiązano mokedema i muzabira, naturalnie znacznie silniej i troskliwiej, dał się słyszeć głos Selima, wołającego z krawędzi wadi:

— Powalcie ich na ziemię, zabijcie ich, wpakujcie im wszystkie kule w głowy i wbijcie im noże w ciała. Czy jesteście już może gotowi?

— Milcz! — odpowiedział Ben Nil. — Ze strachu, tchórze, nie schodzisz na dół.

Z tych słów wymiarkował, że już nie było niebezpieczeństwa, więc zeskoczył obiema nogami naraz i krzyknął na widok jeńców:

— Zwycięstwo, tryumf, chwała, cześć! Bitwa wygrana, wróg pokonany!

— Milcz samochwalco! — zawołał Ben Nil. — Jesteś pierwszy przy jedzeniu, ale tam, gdzie się trzeba zdobyć na odwagę, ciebie nigdy nie ma. W walce nie widziałem cię jeszcze nigdy. Masz tu tego szejka, zaprowadź go do obozu.

— Szejka? Ani myślę! Ja wezmę muzabira, który mnie chciał w studni zagłodzić. Zemsta moja będzie okropna!

Muzabir a potem i mokkaladem przyszli do siebie. Podniesiono ich z ziemi, po czym Selim wziął muzabira za rękę i rzekł:

— Naprzód, drabie! Dostałeś się w moją potężną moc, to też zdepcę cię jak słoń robaka.

Muzabir, choć silnie skrępowany, skoczył na niego, rzucił go na ziemię i z braku innej broni chwycił go zębami za gardło. Kąsał jak wściekły pies, lecz na szczęście zdołał Selimowi tylko skórę poszarpać. Ten długonogi tchórz wyciągnął ręce i nogi i przerażony nie bronił się wcale, tylko wrzeszczał i beczał jak cielę zarzynane. Chwyciłem muzabira za kark, poderwałem go i w twarz go kułakiem uderzyłem tak silnie, że mu się krew z nosa puściła. Selim wstał, chwycił się za gardło i zaczął jęczeć:

— On mnie zagryzł, leżał na mnie, jak tygrys. Effendi, ty jesteś najślawniejszym lekarzem na świecie; zbadaj mnie, czy przypadkiem rana nie jest śmiertelna?

Miał pokaleczoną tylko skórę, mimo to zrobiłem minę poważną i oświadczyłem:

— Przewód oddechowy, wątroba i śledziona są wprawdzie nie naruszone, ale zęby człowieka wściekłego są jadowite, dlatego należy się prawdopodobnie spodziewać *simm ed damm**.

— *Simm ed damm*? Nie słyszałem jeszcze nigdy o takiej chorobie. Niech mi Allah będzie miłościw! Jaki jej przebieg?

— Rana puchnie, a puchlizna rozszerza się aż do serca. Żołądek bieleje, płuca zielenieją, twarz czernieje i dostaje żółtych pręgów, ręce i nogi odpadają, ciało się rozkłada tak, że w końcu zostaje tylko głowa, która także ginie po kilku tygodniach.

— O Mahomecie i święci kalifowie! Więc to jest *simm ed damm*! Jestem zgubiony, ten muzabir mnie zamordował! Czy nie ma środka przeciw tej okropnej chorobie?

— Jest, i to bardzo prosty, lecz zdaje mi się, że nie mogę go w żadnym wypadku zastosować.

— Powiedz mi tylko, co mam czynić, mój ukochany, dobry, najczcigodniejszy effendi. Uczynię wszystko, choćby było najcięższe.

— Dobrze, spróbuję cię ocalić, lecz musisz mi być posłuszny.

— Będę posłuszny jak najniższy niewolnik. Wydaj mi tylko prędko rozkazy.

— Najpierw muszę cię natrzeć moim *ruh el uhmo** a od tej chwili wolno ci oddychać tylko nosem.

Nie wolno ci ust otwierać, a więc przede wszystkim nie wolno mówić.

— Allach! To bardzo źle! A jak długo to potrwa?

— Dopóki nie przeminie niebezpieczeństwo; ja ci sam powiem.

— Ależ ja muszę jeść i pić, a sam Allach wie, że tego nosem czynić nie można.

— Przy jedzeniu i picciu wolno kęs lub łyk wziąć do ust, lecz przy tym nie wolno oddychać ani mówić.

— Usłucham cię, effendi, usłucham. Wolę milczeć przez pewien czas, aniżeli zginąć na tę straszliwą chorobę. Co to za straszna rzecz utracić ręce, nogi, a potem żyć tygodniami mając tylko głowę. Nie, tego bym nie zniósł. Przysięgam ci na brody wszystkich kalifów, że nie przemówię ani słowa.

— A zatem spróbuję cię wyleczyć. Jesteś człowiekiem z silną wolą, więc przypuszczam, że nie zrobisz wstydu mojej sztuce i wiedzy.

— Słusznie, bardzo słusznie! Zobaczysz, jaką będziesz miał ze mnie pociechę, żebym tylko ja tak samo dobrze na tym wyszedł. Będę chętnie milczał, byle tylko uniknąć tej strasznej choroby, a następnie śmierci!

Jeńców i ich wielbłądy zaprowadzono na górę do naszej kryjówki. Musieliśmy zamknąć na powrót studnię i zatrzeć ślady po tym, co się stało. Następnie dałem wskazówki porucznikowi i onbaszemu na dzisiejszy wieczór.

Ponieważ sam miałem zamiar śledzić karawanę i czegoś się dowiedzieć, dlatego oni obaj musieli przewodzić dwóm grupom, które musieliśmy utworzyć przed atakiem. Natarłszy wprzód szyję Selima salmiakiem, pokazałem porucznikowi i onbaszemu miejsca, którymi mieli sprowadzić swoje oddziały do wadi. Dalsze ich postępowanie zależało od okoliczności. Ja sam zszedłem i wyszedłem jeszcze kilka razy po schodach, by zapoznać się tak dobrze z położeniem, żeby w nocy nie popełnić najmniejszego błędu. Następnie powróciłem do obozu, nadzwyczajnie zadowolony z tego, że dwaj najgorsi moi nieprzyjaciele, a szczególnie Abd el Barak, właściwy sprawca wszystkich przedsięwziętych na mnie ataków, wpadł w nasze ręce.

Ale co z nimi zrobić? To pytanie zadawałem sobie sam, zadał mi je porucznik i onbaszi, kiedy przy nich usiadłem. Jeńcy leżeli dość daleko pod dozorem dwóch ludzi i nie mogli słyszeć naszej rozmowy. Selim siedział w tej pozycji, którą Arab nazywa rahat el a'da* a więc z podciągniętymi nogami, a Ben Nil, siedzący obok, coś do niego mówił. Chciał on Selima nakłonić do rozmowy, ten jednak pomny na moje zarządzenie, zachowywał z wielkim „męstwem” milczenie.

— To szczególne, effendi, że twoje postanowienia mają zawsze bardzo dobry wynik — rzekł porucznik. — Wszak wiesz, że nieraz myślałem inaczej niż ty i sprzeczałem się z tobą, lecz teraz widzę, że twoje wskazówki i plany były mądrzejsze niż nasze. Dzięki nim mieliśmy teraz dobry połów i jestem pewien, że nam się uda odbić Ibn Asłowi porwane kobiety.

— To by mi jeszcze nie wystarczyło — odrzekłem. — Chcę mu nie tylko odebrać niewolnicę, ale i jego samego pojmać i oddać w ręce reisa effendiny.

— To byłby czyn wielki, dzięki któremu setki czarnych zachowałyby wolność i życie. Ale taki sukces trzeba by obficie krwią przepłacić.

— Jest to bardzo prawdopodobne, ale niekonieczne. Jeżeli się postaramy o to, aby sytuacja była dla nas korzystna, to się może bez krwi rozlewu obejść.

— Chciałbym zobaczyć, jak się ty do tego zabierzesz. Wszystko się składa przecież tak, że Ibn Asl nadejdzie i rozłoży się obozem nad studnię. My napadniemy na jego wojowników, pozabijamy ich, ile się da, a resztę weźmiemy do niewoli. Nie pojmuję, w jaki sposób można by tych pięćdziesięciu ludzi pojmać bez walki i krwi rozlewu?

— Tego nie wiem na razie i ja. Uważam życie człowieka za jego najwyższe dobro na ziemi i dlatego należy je oszczędzać, choćby się miało do czynienia nawet z najzawziętym wrogiem. Zresztą wiem z doświadczenia, że każdego przeciwnika można równie dobrze pokonać chytrą jak bronią, a takie zwycięstwo, bez krwi rozlewu, jest bez wątpienia zaszczytniejsze niż tamto. Na razie musimy oczywiście trzymać się planu najprostszego. Ja zejść po skale na dół, by nadśłuchiwać, a wy udacie się prawą i lewą stroną studni także na dół i zaczekacie w ciemności na mój znak do ataku.

— Jaki znak?

— Czy słyszałeś kiedy krakanie sępa we śnie?

— Tak.

— Ja będę ten głos naśladował; jest on w pustyni czymś tak zwykłym, że nie może zwrócić uwagi Ibn Asla, ani jego strażników.

— Dobrze, ale w każdym razie przy jeńcach i wielbłądach musimy zostawić kilku ludzi na straży.

— Naturalnie! Wystarczą dwaj lub trzej ludzie. Jeńcy zostaną nadal w pętach z wyjątkiem szejka. On niewinny, nic nam nie uczynił złego i nie ma względem nas złych zamiarów. Nie wiemy jeszcze, czy on i jego plemię nie przydadzą się nam jeszcze kiedy i dlatego należy postępować z nim łagodniej aniżeli z tamtymi dwoma.

— Przyznaję ci słuszność, powiedz mi jednak, co postanowiłeś zrobić z morkadem i muzabirem?

— Zawieziemy ich reisowi effendinie. Pokazało się, że utrzymują stosunki z łowcami niewolników.

— Więc nie myślisz się na nich zemścić? Godzili przecież na twoje życie.

— Ja tu nie jestem sędzią; religia zresztą zabrania mi zemsty.

Ben Nil usłyszał to i powiedział:

— Ale ja nie jestem chrześcijaninem, effendi. Muzabir był sprzymierzeńcem świętego fakira, a mokedem także do tej bandy należy. Zwabiono mnie do studni, by mnie tam zgubić. Gdybyś ty był nie nadszedł, byłbym musiał zginąć nędzną śmiercią głodową. A zatem obaj pojmani nie należą do reisa, lecz do mnie.

— Czy chcesz ich zamordować?

— Nie — odrzekł młodzieniec z dumą — Odkąd jestem przy tobie, myślę tak, jak i ty. Nie zabijam człowieka bezbronego, nawet gdyby był moim najgorszym wrogiem, ale mimo to chcę i muszę się zemścić. Będę z nimi walczył rzetelnie. Ty im broń zwrócisz, a potem niechaj Allah rozstrzyga między nami.

— Namyślę się jeszcze nad tym.

Powiedziałem to oczywiście, by go uspokoić, lecz bynajmniej nie miałem zamiaru spełnić jego życzenia. Ten mały zuch był mi zbyt cenny, abym miał mu pozwolić narażać się na poważne niebezpieczeństwo.

Kazałem przyprowadzić do siebie szejka Monassyrów. Musiał usiąść obok nas, a czyniąc to zapytał zaraz surowo:

— Co wam zrobiłem złego, że postępujecie ze mną jak z nieprzyjacielem?

— Jesteś towarzyszem naszych wrogów; to wystarcza. Słyszałeś zresztą, że wydałem rozkaz, żeby z tobą nie postępowano surowo.

— Słyszałem, a mimo to jestem ciągle związany jak jeniec. Słowa twoje brzmią ładnie, tylko postępujesz inaczej niż mówisz. Jesteś wiarołomnym chrześcijaninem.

— Licz się ze słowami i przestań mnie obrażać. W przeciwnym razie zmusisz mnie swoim postępowaniem do tego, że będę się z tobą obchodził tak, jak z tamtymi. Jesteś ich towarzyszem, a oni godzili na moje życie, mógłbym więc was wszystkich kazać natychmiast zgładzić. Kiedy rozmawiałeś z nimi, byłem w pobliżu i słyszałem wasze słowa. Wiem zatem, że pożyczyleś im tylko wielbłądy i nie bierzesz udziału w ich sprawkach. Według sprawiedliwości chrześcijańskiej nie powinieneś płacić za ich uczynki. Dlatego też będziesz wolny, jeśli gotów jesteś spełnić warunki, które ci przedłożę.

— Wymień je!

Ponurość z jego twarzy ani na chwilę nie ustąpiła. Był to zatwardziały muzułmanin i jako taki przeciwnik wszystkich innowierców. W dodatku wierzył w to, co przed nim nałgał o mnie Abd el Barak. Opowiedziałem mu więc co się stało i w końcu dodałem:

— Pojmiesz już chyba teraz, że nie jestem takim diabłem, za jakiego mnie przedstawili. Nie jestem twoim wrogiem i wiem, że Monassyrowie są walecznymi wojownikami, którzy nigdy danego słowa

nie łamię. Dlatego przedkładam ci, co następuje: przysięgniesz mi na brodę proroka, że nie opuścisz tego miejsca bez mego pozwolenia i nie będziesz rozmawiał z mokedemem ani z muzabirem. Jeżeli to uczynisz, każę z ciebie zdjąć pęta, oddam ci nawet broń twoją i będziesz naszym gościem, nie jeńcem.

— A potem, kiedy stąd odjedziecie?

— Będziesz wolny i uczynisz, co ci się spodoba.

— Czy to podstęp, czy pełna prawda?

— Ja nie kłamię.

— W takim razie daję ci słowo.

— Wypowiedz je dokładnie i zupełnie.

— Przysięgam na brodę proroka, że żądania twoje wypełnię ściśle.

Widać było po nim, że słowa dotrzyma, więc zdjąłem z niego więzy, dałem mu broń i rzekłem:

— Możesz teraz siedzieć u nas jako gość i przyjaciel. Zresztą podziękuj Allachowi, że jestem chrześcijaninem i żeś się spotkał ze mną. Gdyby nie to, nie żyłbyś już jutro.

Spojrzał na mnie z ukosa wzrokiem nieufnym i zapytał:

— Jak to? Któż by chciał godzić na moje życie? Chyba tylko ty.

— Bynajmniej. Moi towarzysze powiedzą ci, że oszczędzam życie nawet najgorszych nieprzyjaciół. Czy wiesz, dlaczego cię wysłano po gnój wielbłądzi?

— Oczywiście, że wiem. Mieliśmy rozniecić ognisko.

— Jeśli tak sądzisz, to masz serce pełne ufności. Skąd by się tutaj mógł wziąć gnój wielbłądzi?

— Skąd? Przecież tędy karawany przechodzą.

— Ile karawan przejdzie tędy rocznie? Studnię znają tylko ludzie Ibn Asla, a ci zatrzymują się przy niej dwa lub trzy razy do roku. Zapewne zresztą i sam wiesz dobrze, że żaden przełożony karawany nie zostawi na pustyni gnoju swoich wielbłądów. Pojmiesz więc, że Abd el Barak wiedział dobrze, iż twoje szukanie będzie daremne.

— Więc po cóż by mnie wysyłał?

— Ażeby za twoimi plecami pomówić o tobie z muzabirem. Kiedy odszedłeś słyszałem każde ich słowo. Chodziło o twoją śmierć.

— Allach! Udowodnij mi prawdę słów twoich!

— Łowca niewolników Ibn Asl el Dżazur może tylko dopóty posyłać swoje karawany przez pustynię, dopóki wszystkie jego ukryte studnie pozostaną w tajemnicy. Jeśli ktoś obcy przypadkiem je odkryje, to pytam się ciebie, co Ibn Asl postawi wyżej, życie jego, czy te ogromne sumy, które zarabia na niewolnikach?

— Oczywiście, że pieniądze, ale przecież oni sami przyprowadzili mnie do studni. Ja się w ich tajemnice bynajmniej wdziierać nie chciałem.

— To wszystko jedno, dość, że o niej wiesz. Aby tajemnicę w dalszym ciągu zachować, musi cię Ibn Asl zgładzić.

— I to powiedział Abd el Barak?

— Tak. A może sądzisz, że cię okłamuję?

— Nie, wierzę, że mówisz prawdę, ale jacy to źli ci ludzie.

— Ty sam winę ponosisz, bo nie chciałeś im powierzyć wielbłądów, tylko się domagałeś, żeby cię zabrali z sobą.

— To prawda, teraz poznaję, że mi nie mogli zwrócić uwagi na niebezpieczeństwo, na które się narażałem. Są oni zatem mniej winni aniżeli sądziłem, a ponieważ pod twoją opieką jestem bezpieczny, więc im przebaczam.

— Widzę, że Allach dał ci miękkie serce. Jesteś łagodny jak chrześcijanin, co mnie cieszy tym bardziej, że cię uważałem za surowego przeciwnika mojej wiary.

— I takim przeciwnikiem istotnie jestem i do końca życia zostanę, mimo to jednak przypuszczam, że mi modlitw moich odmawiać nie zabronisz.

— Nie mam prawa mieszać się w sprawę twojego sumienia.

— Wiedz zatem, że nadeszła pora modlitwy o zachodzie słońca i że mój dywan modlitewny znajduje się przy moim wielbłądzie. Czy mogę go sobie przynieść?

— Możesz. Wielbłąd, dywan i cała twoja własność należy do ciebie; nie jesteśmy złodziejami ani rozbójnikami.

Przyniósł sobie swój dywan, na którym klęknął i przyłączył się do nabożeństwa drugich. Słońce zapadało właśnie za horyzont, a głosy modlących brzmiały poza wadi aż na pustynię. Potem szybko zapadła noc, gdyż w owych stronach zmierzch jest bardzo krótki.

Po modlitwie zabrano się do jedzenia, przy czym uderzyła mnie jakaś ostra woń. Oglądnałem się i zobaczyłem jednego z żołnierzy, leżącego brzuchem na ziemi i dmuchającego ze wszystkich sił w tłący ogień. Przyskoczyłem do niego i stłumiłem zarzewie.

— Cóż ty robisz? — złążalem go. — Kto ci pozwoilił ogień tu rozniecać?

— Chciałem tylko mały ogień rozpalić, effendi — tłumaczył się dziecinnie.

— Widzę to właśnie! Widocznie ci się zdaje, że to dozwolone?

— Tak, effendi!

— Nie wydałem odnośnego rozkazu, bo nie przypuszczałem, że ktoś z was ma gnój wielbłądzi. Skąd go masz?

— Nazbierałem go, jadąc ciągle za drugimi i zsiadając za każdym razem.

— W takim razie zadałeś sobie wiele trudu zupełnie niepotrzebnie. Czyż nie pojmujesz, że dla nas niebezpiecznie rozniecać teraz ogień? Taki dym czuć z daleka, choć go jeszcze nie widać. Gdyby teraz nadszedł Ibn Asl i rozłożył się tam na dole obozem, woń spalonego gnoju łatwo by nas mogła zdradzić.

— Nie pomyślałem o tym. Przebacz!

Leżeliśmy w zagłębieniu wzgórza a jeńcy z nami. Na wzgórkach stała warta, mająca zwracać pilnie uwagę na południowy zachód. Ponieważ byłem przyzwyczajony ufać sobie więcej niż drugim, poszedłem ku straży, a za mną nadszedł także onbaszi. Znał pustynię, więc sądził, że mi dopomoże.

Po pewnym czasie wszedł księżyc na niebo i rzucił światło swoje na przeciwległe wzgórza skaliste. Ciemne niższe miejsca można było dobrze odróżnić od wyższych, jaśniejszych. Około godziny dziesiątej zauważyłem w dali jakiś ruch, a niedługo potem zobaczyłem jasne postacie na ciemnym tle. Były to białe haiki łowców. Zszedłem więc do kryjówki, zawiadomiłem porucznika o przybyciu oczekiwanych, zaleciłem mu ciszę i ostrożność, kazałem obu jeńcom zawiązać usta, żeby nie przestrzegali karawany niewolników głośnymi okrzykami, a sam zszedłem po skalnych stopniach na stanowisko, z którego i tym razem miałem zamiar rozmowę przeciwników podsłuchać.

Światło księżycy nie dochodziło do wnętrza wadi, a gwiazdy migotały tak słabo, że tam na dole panowały nieprzejrzone ciemności.

Z przeciwległego brzegu odzywało się coś, jakby świergot jaskółek, przerywany od czasu do czasu głosem głębszym. Ten świergot były to dolatujące z dala głosy niewolnic, a wpadający chwilami bas był głosem przewodnika, prowadzącego wielbłądy po spadzistej ścieżce.

Głosy zbliżały się, karawana dosięgła dna wadi, po czym zwróciła się wprost ku studni. Widziałem poruszające się haiki mężczyzn i jasne dachy namiotowe nad lektykami dla kobiet. Wszystko inne niknęło w głębokiej ciemności. Wtem zabrzmiał donośny głos przewodnika:

— Stać! Podziękujcie Allahowi i prorokowi, żeśmy doszli szczęśliwie do wody orzeźwienia.

Z kilkuset gardzieli wyrwał się jakby okrzyk radosny. Mężczyźni nawoływali się, albo klęli, głosy kobiece mieszały się z sobą, wielbłądy beczały, albo mrucały. Wnet zapłonęły pochodnie i naraz

mogłem zobaczyć, co się działo o sześć łokci pode mną.

Była to rzeczywiście pokaźna karawana. Naliczyłem piętnaście wielbłądów juczych, niosących tachtirwany, o kształtach bardzo rozmaitych, ale zawsze fantastycznych, a nawet dziwacznych. Inne niosły na grzbietach wory z wodą, żywność, namioty. Wierzchowych wielbłądów było około pięćdziesięciu; nie mogłem ich od razu dokładnie policzyć.

Przez kwadrans może panował chaos i zamieszanie trudne do rozwikłania, powoli jednak nastawał w tłumie porządek. Rozbito namioty dla niewolnic, którą to pracę same musiały wykonać. Mężczyźni zdjęli ciężary z wielbłądów, a kilku z nich zbliżyło się z pochodniami do studni, by z niej usunąć nakrycie.

Doznawałem dziwnego uczucia. Poznałem Wschód dość dobrze, lecz nie widziałem dotychczas takiego obrazu, jaki się tu przede mną roztoczył. Działała przy tym oczywiście i świadomość, że teraźniejsza scena zamieni się bardzo rychło w scenę krwawą.

Urządzenie obozu łatwo było rozpoznać. Znajdowałem się wprost nad studnią. Na prawo od niej rozłożyli mężczyźni kocy i chusty, po lewej ręce wznosiły się namioty kobiet, za nimi leżały siodła z jukami i do jazdy wierzchem, a jeszcze dalej szeregiem spoczywały wielbłądy. Rozkład obozu zatarł dodatnie wrażenie, jakie miałem dotychczas o przeczności i ostrożności sławnego, a raczej osławionego, Ibn Asla el Dżazura. Jednym słowem obóz rozbito lekkomyślnie, żywiąc oczywiście zbyt wielką pewnością, że pustynia nie kryje nikogo oprócz karawany.

Zabrano się do odkopania jamy. Zajęci tym ludzie pracowali rękami. Obok nich stał jakiś Negr, ogorzwały od słońca, czarnobrody człowiek, który im się przypatrywał, a od czasu do czasu rzucał rozkazy na prawo i lewo. Był to zatem łowca niewolników Ibn Asl. Nie było w nim ani trochę podobieństwa do ojca, owego pozornie czcigodnego, bardzo świętego fakira, Abd Asla.

Po kilkunastu minutach pracy dostali się do płyty kamiennej, podnieśli ją, a dowódca wziął pochodnię i ukląkł, aby poświecić do środka. Wtem zaklął siarczyście i zawołał zawiedziony:

— Toż tu za ledwie na dwie stopy wody. Widocznie diabeł odprowadził deszcz w inną stronę; nie można nawet jednego wora napełnić, bo tę wodę musimy dać niewolnicom, by się trzymały rześko i zdrowo. Niechaj Allah zwiąże gardła tym kobietom, przez które musimy znosić pragnienie.

— Może się coś uzbiera — zauważył jeden z ludzi.

— Ja sam wiem o tym, ty synu i bratanku przemądrości, ale jak długo to potrwa? Przecież tu długo nie zabawimy.

— Wybacz! Musimy i tak zaczekać, dopóki tamci nie nadejdą.

— Nadejdą jutro, a potem musimy zaraz wyruszyć w dalszą drogę.

— Ale oni przyniosą wodę z Bir Murat.

— To ją sam pij, jeśli ci smakuje! Nie skosztowałem ani kropli z tej, którą przyniósł Malaf dziś

rano. Sprowadźcie kobiety! Ja sam będę czuwał, aby jedna kropla nie poszła na marne.

Wypełniono ten rozkaz i nadeszło kilka kobiet, które czerpały nie mówiąc ani słowa, a potem zniknęły z naczyniami w namiotach. Były przygnębione i widocznie bały się bardzo przewodnika, bo żadna z nich w jego obecności ani słowa jednego nie miała odwagi przemówić.

Kiedy już studnię do dna wypróżniono, usiadł przy niej na ziemi, oparł łokcie na kamieniach i położył głowę na dłoni. W tej postawie przyglądał się drugim.

Poszedłem za jego przykładem i przyglądałem się wszystkiemu najdokładniej. Przede wszystkim wpadło mi w oko, że żaden z tych ludzi nie miał przy sobie flinty ani pistoletu, a całą ich broń stanowiły teraz noże, tkwiące za pasami. Jak później zauważyłem, złożyli strzelby za namiotami kobiet obok innych pakunków.

Indianin jest znacznie ostrożniejszy. O ile nie znajduje się w wigwamie, nie wypuszcza broni z ręki a nawet śpiąc ma ją tuż obok siebie. Od nich właśnie i ja się tego nauczyłem. Beduini przeciwnie; zauważyłem już nieraz, że kiedy rozbijają obóz, składają na kupę swoje długie strzelby i ani myślą nawet postawić przy nich straży.

Po wąwozie zaczął się rozchodzić odór palonego gnoju wielbłądziego. Mężczyźni przynieśli kilka worów z wodą i z daktylami i poukładali się w pobliżu wodza, by spożyć skąpą przekąskę. Było to bardzo mieszane towarzystwo, bo widziałem tam twarze o najrozmaitszych cerach, od głębokiej czerni począwszy aż do jasnego, słońcem przyciemnionego brązu.

Rozmawiali z sobą po cichu. Oni także nie mieli widocznie odwagi mówić głośniej przy wodzu. Od namiotów dochodziły do moich uszu głosy kobiece, ani słowa jednak z ich rozmów nie zdołałem zrozumieć. Te, które widziałem nad studnią, były istotnie piękne i pod tym względem sławę kobiet Fessara wyglądem swoim zupełnie uzasadniały.

Z kolei zwróciłem uwagę na człowieka nadchodzącego z tej strony obozu, w której spoczywały wielbłądy. Usiadł obok dowódcy i nie mówiąc mu ani słowa, wydobył kawał mięsa suszonego i zaczął jeść. Był jeszcze młody, ale w walce musiał być bardzo doświadczony, bo twarz jego była tak bliznami zorana, jakby ją kto siekaczem na stolnicy pokrajał. Kiedy włożył do ust i połknął ostatni kąsek, rzekł do dowódcy:

— No, jak tam dzisiaj? Czy będzie już ostatecznie posłuszna, czy nie?

Głos jego brzmiał chropawo i kracząco i był prawie tak samo brzydki jak twarz.

— Marba! — zawołał dowódca zamiast odpowiedzi. Oczy wszystkich zwróciły się ku jednemu z namiotów, lecz wezwana nie przyszła. — Marba! — powtórzył drugi raz, lecz również bezskutecznie.

Skinął na dwu ludzi. Wstali, zniknęli na chwilę w namiocie i wyprowadzili z niego piękną, młodą dziewczynę, lat może szesnastu. W twarzy jej nie było ani śladu ostrości rysów, właściwej starszym Beduinkom. Była boso, ciało jej okryte było szatą ciemną, podobną do kaftana, a ciemne jej włosy

zwisały na plecach w dwóch długich i grubych splotach. Twarz jej była sztywna i nieruchoma. Wzrokiem zimnym i sztywnym patrzyła na dowódcę, przy czym zdawało się, że nie widzi jego towarzysza. Dowódca wskazał na niego i zawołał:

— Obraziłaś go i musisz to odpokutować! Pocałuj go! Marba rozkazu nie usłuchała, zdawała się go nawet nie słyszeć; nie ruszyła nogą ani ręką, ani nawet ustami lub rzęsami.

— Pocałuj go! — zawołał dowódca głośniejszym głosem niż przedtem. — Jeśli nie, to...

Wyprostował się i wyciągnął harap hipopotami zza pasa. Ona jednak stała jak kamienny posąg bez życia, patrzyła przed siebie, jak przedtem, i ani nie drgnęła. Wtedy przystąpił do niej bliżej, uderzył ją harapem i powtórzył rozkaz. Przyjęła bolesne razy, ani nie drgnąwszy.

— Bij, dopóki nie usłucha! — zawołał gniewnie młodszy jego towarzysz, zrywając się z miejsca.

— To wolno tylko Ibn Aslowi. Musisz do jutra zaczekać, aż wróci. Niech jednak Marba poczuje, że ja mam dziś prawo rozkazu.

Uderzył ją jeszcze kilka razy, a potem usiadł; młodszy uczynił to samo, dziewczyna zaś odwróciła się, poszła z wolna ku namiotowi i zniknęła za jego zasłoną.

Z jakąż ochotą byłbym zeskoczył i dał temu drabowi pokosztować harapa. Niestety, musiałem się na razie wyrzec tej przyjemności. Ostatnie jego słowa miały dla mnie wielkie znaczenie. Powiedział, że Ibn Asl nadejdzie dopiero jutro, on sam więc był widocznie tylko jego zastępcą. Gdzież się jednak teraz Ibn Asl znajdował? Słyszałem poprzednio, że niektórzy jego ludzie zostali w tyle i że jutro dopiero przywiozą wodę. Czyżby wódz miał z nimi dopiero przybyć? Czemu opuścił karawanę i sam w tyle pozostał?

Na te pytania wkrótce otrzymałem odpowiedź, gdyż obaj rozmawiający usiedli sobie przede mną a młodszy z nich rzekł w dalszym ciągu:

— Gdyby Ibn Asl nie brał był tak tej córki szejka Fessarów w obronę, sądząc, że za nią właśnie zdobędzie wysoką cenę, byłbym zażądał jej jako swego udziału, wyrzekając się wszystkiego innego, a potem bym ją na śmierć zaćwiczył. Ta dziewczyna miała odwagę w twarz mi plunąć i nazwała mnie diabłem! Gdyby była Murzynką, a choćby tylko brunatną Nubijką, byłbym, nie pytając Ibn Asla o pozwolenie, w tej chwili przeciął jej gardło. Szkoda w ogóle, że tym razem sam karawanę prowadzi i nie porucił nam, jak zawsze, transportu. Czemuż nie wrócił do domu! Po co mu się narażać na niebezpieczeństwo, że go ten niewierny effendi może pochwycić?

— Nie troszcz się o niego! Niebezpieczeństwo zwróciło teraz paszczę swoją ku giaurowi i z pewnością już go połknęło.

— Jestem innego zdania. Zresztą nie wierzę, żeby ten pies śmiał się na nas porwać.

— Ja zaś opieram się na tym, co mówił Abd Asl, a i Murad Nassyr był tego samego zdania. Obaj znają tego cudzoziemca i wiedzą dobrze, do czego zdolny. Czemuż oni jeszcze nie wiedzieli, to uzupełnia bystrość naszego pana. W Chartumie wiedzą na pewno o napadzie na kobiety Fessarów, a

reis effendina czatuje na nas nad Nilem. Porucznika wysłał w tym samym celu, a ten nie przyszedł pewnie sam, lecz z żołnierzami. Widziano go w Korosko z owym obcym effendim, a z tego wniosek prosty, że obydwaj zaczęli się na nas. Ale biada temu psu chrześcijańskiemu, jeśli porwie się na Ibn Asla. Już ja wiem, co on mu robi.

— Zaćwicz go na śmierć?

— Nie, znacznie gorzej. Schwyta go, wytnie mu język, ażeby nas nie mógł zdradzić, a potem sprzeda go jako niewolnika jednemu z czarnych plemion w kraju Bar el Gazal.

— To byłaby zaiste zemsta zasłużona. Jakim prawem te psy chrześcijańskie zabraniają nam handlu niewolnikami? Dobrze, że przynajmniej ten jeden zasłużoną odbierze karę.

— Nie wątpię, że go Ibn Asl dostanie w swoje ręce, gdyż zatrzymał przy sobie Malafa i tamtych, którzy giaura widzieli. Oni znają go dobrze i zwrócą uwagę pana na niego. Ibn Asl był wściekły na nich, że dali się pokonać temu jednemu człowiekowi. Toteż wyteżą teraz wszystkie siły, żeby naprawić błąd popełniony.

— Czy pan, jeśli jutro przybędzie, przywiezie z sobą narzeczoną?

— Nie. Musiałby wlec ją z sobą do Ras Rauai, co ani dla niego nie byłoby wygodne, ani dla nas. Brat jej, Turek, odjechał z nią dzisiaj z Bir Murat, Abd Asl zaś ma im towarzyszyć tylko do Faszody.

Słyszałem dość. Łowca niewolników został nad Bir Murat, by mnie pochwycić, a Nassyr i święty fakir oddalili się stamtąd. Wystarczyło mi to do wykonania planu, który właśnie przyszedł mi na myśl. Polegał on na tym, żeby całkiem otwarcie pójść do obozu karawany i napad przygotować w ten sposób, żeby rozlewu krwi uniknąć. Poszedłem więc do naszej kryjówki i zawiadomiłem porucznika i onbasiego o moim zamiarze. Sprzeciwili mu się stanowczo.

— Nie porywaj się na to, effendi! — rzekł pierwszy. Narażasz życie i najdrobniejszy przypadek może nas zdradzić.

— Jeśli się mądrze do rzeczy zabiorę, nie może być mowy o przypadku.

— A gdyby cię poznano?

— To i wtedy jeszcze mam się czym bronić.

— Pięćdziesięciu przeciw tobie jednemu, to trochę za wiele.

— Lepiej, żebym ja się sam na niebezpieczeństwo naraził, niż żeby potem podczas napadu miało zginąć wielu.

— Ale jeśli ten jeden jest człowiekiem, którego głowy i rąk potrzebują drudzy, to lepiej, żeby się nie narażał.

— Być może, że ty masz słuszość, spodziewam się jednak, że mi szczęście tym razem dopisze.

— Wobec tego muszę ci oznajmić coś takiego, czego dotąd mówić nie chciałem. Reis effendina nakazał mi wprawdzie, abym ciebie słuchał, ale równocześnie polecił mi kategorycznie, abym nie dopuścił do tego, byś swoje życie narażał. Tym razem nie mogę się na plan twój żadną miarą zgodzić.

— A cóż zrobisz, jeśli się bez twego pozwolenia wybiorę? Przemocą chyba mnie przecież nie zatrzymasz?

— Owszem, zatrzymam!

— W takim razie narobię krzyku i wszystko będzie stracone, a karawana nam ujdzie.

— Tego nie zrobisz.

— Przeciwnie, dam ci na to moje słowo, a ty wiesz, że słowa nie łamię.

— Allach, Allach! — zawołał bezradnie. — Cóż teraz zrobić? Staliśmy obok Ben Nila i Selima, którzy wciąż jeszcze siedzieli razem na ziemi. Nie wiem, czy Selim godził się na mój plan, czy nie, bądź co bądź zajął go on tak bardzo, że długonogi zerwał się i zawołał:

— Effendi, musisz dzisiaj...

— Milcz nieszczęsny! — huknąłem. — Czy chcesz umrzeć na tę okropną simm ed damm? Czyż nie zakazałem ci mówić?

Usiadł natychmiast przestraszony, przybrał minę opłakaną i przyłożył sobie do ust obie ręce na znak, że ich już nigdy nie otworzy.

— Widzisz — mówiłem, zwróciwszy się do porucznika — że nie dam odwieść się od mego zamiaru i radzę ci, abyś mi sprawy nie utrudniał.

— Pomyśl jednak, effendi, że jeśli spotka cię jakieś nieszczęście, jak odpowiem za to przed resem effendina?

— Powiedz mu, że to był mój kismet. To przecież bardzo proste.

— To prawda. Uspokajasz mnie, effendi. Czyń, co ci się podoba; nie mam już nic przeciw temu, gdyż i tak wiem, że moich rad nie posłuchasz.

— Jestem wdzięczny za każdą uzasadnioną przestrożę, lecz twoja jest tak ogólnikowa i nieokreślona, że żadną miarą uznać jej nie mogę. Zresztą nie rzucam się na łeb w niebezpieczeństwo, lecz idę ku niemu z pełnym namysłem, a to przecież zmniejsza jego wielkość.

— A za kogóż myślisz się podać?

— Za posła mokedama, który kazał ostrzec Ibn Asla przed obcym effendim.

— Więc chcesz tych ludzi ostrzec przed samym sobą?

— Tak. Czy ci się nie zdaje, że potem tym łatwiej wpadną nam w ręce. Nie boję się, żeby mnie wzięli za Franka. Mój kismet dziś polega na tym, abym całą karawanę w sidła twoje wpędził.

— Więc powiedz mi, co mam czynić?

— Przede wszystkim musisz baczenie na wszystko mieć oko. Kiedy usłyszysz głos rozespanego sępa, wyruszyście stąd obydwaj w dwie strony, a potem zejdziecie na wadi. Gdy będziecie na dole, zatrzymacie się bez szmeru, dopóki po was nie przyjdę.

— A jeśli cię pochwyca i nie będziesz mógł przyjść po nas?

— Gdybym aż do zniknięcia krzyża Sudanu nie dał znaku życia, będziecie wiedzieli, że łowcy wzięli mnie do niewoli. Zejdziecie wtedy, by ich zaatakować i mnie uwolnić. Jeślibyście zaś usłyszeli trzy strzały rewolwerowe jeden po drugim, będzie to znakiem, że jestem w niebezpieczeństwie, i pospieszcie mi z pomocą. W każdym razie, nie zapomnij zostawić straży przy wielbłądach i jeńcach, bo to jedno zaniedbanie mogłoby wszystko zepsuć.

— Bądź pewny, że dołożę wszelkich starań, aby się plan twój powiódł w zupełności i abyś ty sam cało z awantury wyszedł.

— Wobec tego idę z zupełną ufnością, że wszystko pójdzie dobrze. Strzelby moje zostawię u ciebie. To broń zachodnia i mogłaby mnie zdradzić, natomiast wezmę twoją długą arabską flintę.

Słowa te zwróciłem do Ben Nila, który wstał i odpowiedział:

— Effendi, weź raczej flintę Selima, bo ja chciałbym mieć swoją przy sobie. Przyda mi się dla twojej i mojej obrony, idę bowiem z tobą. Kto wie, czy pomocy nie będzie ci potrzeba. Wiem, że się będziesz wzbraniał, ale tym razem, o panie, zechciej mnie z sobą wziąć. Ja cię miłuję i nie mogę siedzieć w ukryciu, kiedy idziesz, aby śmierci w oczy zaglądnąć.

— Mylisz się, bo sytuacja nie jest znowu tak groźna.

— Raczej ty się mylisz, effendi. Ocaliłeś mi życie, a serce nakazuje mi wdzięczność. Nie bądź okrutny i nie pozbawiaj mnie sposobności, abym ci ją okazał.

— Znam twoją życzliwość, Ben Nilu i to mi wystarcza.

— Ale mnie nie. Stałeś się moim wzorem i zupełnie tak postąpię, jak ty z porucznikiem. On nie chciał ciebie puścić, a ty zagroziłeś mu narobieniem zgiełku. Owóż jeśli nie weźmiesz mnie z sobą, zmuszę cię do tego. Pójdę za tobą, a jeśli to wzbudzi podejrzenie w zbójcach, to winę samemu sobie przypiszesz.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że powinienem złamać jego upór, widząc jednak, że jego słowa płyną z serca, przepełnionego uczuciem wdzięczności, nie chciałem mu sprawić przykrości i postanowiłem go z sobą zabrać. Podałem mu rękę i rzekłem:

— No dobrze, chodź ze mną. Plan mój musi się z tego powodu wprawdzie nieco zmienić, ale

sądzę, że nam to na szkodę nie wyjdzie.

Poszedłem do szejka Monassyrów i zapytałem:

— Czy ty masz w domu syna?

— Nawet kilku.

— Czy któryś z nich jest mniej więcej w wieku tego chłopaka?

— Tak.

— Jak mu na imię?

— Ben Menelik.

— A czy znasz Ibn Asla lub kogoś z jego ludzi?

— Nie. Dlaczego się o to pytasz?

— Później ci to wyjaśnię, bo teraz nie mam czasu.

Z kolei zwróciłem się do żołnierza, który chciał przedtem rozniecić ogień, i kazałem dać sobie ów gnój wielbłądzi, bo teraz był mi potrzebny. Następnie osiodłałem swojego wielbłąda a Ben Nil swego. Chcąc w każdym calu wyglądać na muzułmanina, wziąłem z sobą dywan modlitewny, a poza tym zaopatrzyłem się w zapasy, które każdy podróżnik musi mieć z sobą w pustyni. Chciałem się w ten sposób uchronić przed podejrzeniami na wypadek, gdyby rewidowano nasze wielbłądy. Wszystko, co mogłoby mnie zdradzić, więc papier, ołówek itp. dałem do przechowania porucznikowi. Wziąłem jednak rewolwery, bo do obrony mogły mi się przydać, a posiadanie ich łatwo było w jakikolwiek sposób wytłumaczyć.

Ruszyliśmy w drogę. Prowadząc wielbłądy za uzdy, szliśmy obok siebie i wtedy tłumaczyłem mój plan Ben Nilowi i dałem mu wskazówki, jak się miał zachować. Miał mnie nazywać Saduk el baja, czyli Saduk handlarz z Dimiat (Damiette) i nie mówić do mnie effendi, lecz sidi. Spodziewałem się, że będzie dość ostrożny i nie popełni błędu. Porucznika z góry uprzedziłem, że wkrótce kilka strzałów posłyszysz, poleciłem mu jednak, żeby sobie nic z nich nie robił.

Mniej więcej o tysiąc kroków od naszego obozu leżało zbadane przeze mnie miejsce, którym łatwo było zejść na dno wadi. Schodziliśmy powoli na dół, związawszy przedtem wielbłądom pyski, ażeby na wypadek zwietrzenia innych wielbłądów nie zaczęły ryczeć.

Przybywszy na dół, zwróciliśmy się na lewo i szliśmy może jeszcze tysiąc kroków dalej. Tutaj zataczało wadi lekki łuk, za którym zatrzymaliśmy się. Zdjęliśmy z wielbłądów siodła i kazaliśmy im się położyć. Wystrzeliłem z jednej strzelby i nabiłem ją ponownie, po czym usiedliśmy na ziemi. Dwa położone na sobie kamienie utworzyły małe palenisko. Zaczekałem z dziesięć minut i wystrzeliłem powtórnie.

Byłem pewny, że łowcy niewolników dosłyszą wystrzały i wyślą kilku ludzi, którzy by ich przyczynę zbadali. Oczekując ich, zająłem się rozpaleniem ogniska. Do garnka wody wsypałem trochę mąki, zamieszałem to i postawiłem nad ogniem. Potem zapaliłem fajkę, oparłem się plecami o ścianę i czekałem na to, co nastąpi.

W niedługi czas potem powiedziało mi ucho, że nadchodzą ludzie wysłani na zwiady. Nie były to oczywiście owe niedosłyszalne kroki Indianina. Słysząc było łoskot kamiennego rumowiska i kroki kilku biegnących osób. Siedzieliśmy w miejscu oświetlonym przez księżyc. Obrąłem to stanowisko rozmyślnie, chcąc ażeby nas łatwo znaleźli i wyraźnie widzieli. Po drugiej stronie w cieniu skał czołgały się trzy postacie i usiadły naprzeciwko, by się nam przypatrzeć. Ci głupcy niezręczni mieli na sobie haiki, które bieleły się w ciemności.

Zacząłem rozmawiać z Ben Nilem i to tak głośno, żeby nas było słychać po drugiej stronie wadi. Chciałem mianowicie, żeby nas uważali za ludzi, nie mających najmniejszego pojęcie o obecności karawany. Nazywaliśmy się przy tym zmyślonymi nazwiskami dość wyraźnie, żeby nas zrozumiano. Po kilku minutach podsłuchiwalce oddalili się i zniknęli za zakrętem wadi.

— Odeszli! — rzekł Ben Nil zawiedziony. — Nie przyszli na tę stronę i zamiar nasz udaremniony!

— Nie bój się! Ci trzej wyszli tylko na zwiady. Oni doniosą swoim, co widzieli i wkrótce przyjdzie ich więcej, aby się z nami rozmówić.

Czekaliśmy z dziesięć minut, po czym zabraliśmy się do jedzenia zupy mącznej na sposób czysto wschodni, tzn. że sięgaliśmy palcami do garnka z klejowatą masą, a to, co się przyklepiło do palców, oblizywaliśmy językiem. Wolałbym pieczoną kuropatkę, podlaną jakimś sosem, niż ten wschodni przysmak, trzeba było jednak pogodzić się z sytuacją i poprzestać na zupie z prosa murzyńskiego. W czasie tej uczyty nadeszli znowu łowcy, ale tym razem jeszcze głośniejsi aniżeli przedtem. Było ich razem dziesięciu ludzi, uzbrojonych od stóp do głów. Wyszli z zakrętu, utworzonego przez wadi, podeszli ku nam, zatrzymali się, a idący na czele pozdrowił mnie znanym mi już głosem basowym:

— Mezalchem, dobry wieczór.

Był to dowódca, który bił Marbę, córkę szejka. Zerwałem się przerażony na pozór i odrzekłem:

— Allach jumesik bilcher, na Allacha, jakże się przestraszyłem! Kto wy jesteście i co tu porabiacie?

Ben Nil zerwał się także, przy czym porwał garnek, jakby chciał ocalić dla siebie jego drogocenną zawartość, napchał sobie papki do ust, ile się tylko zmieściło, i odpowiedział na pozdrowienie, lecz całkiem niezrozumiale. Grał swoją rolę doskonale, a dowódca upomniał go, śmiejąc się:

— Nie lękaj się, nie zabierzemy ci jedzenia! Zwróciwszy się do mnie, zapytał:

— Czy to ty nazywasz się Saduk el baja?

— Tak — odrzekłem w zdumieniu. — Skąd ty wiesz o tym?

— A twój towarzysz nazywa się Ben Menelik.

— Tak, ale skąd ty wiesz o tym? Ja nie znam ciebie wcale.

— Ja wiem wszystko i nic z tego, co się dzieje w rozległej pustyni, nie może ukryć się przede mną

— odpowiedział dumnie. — Co tu robicie?

— My... my... my jemy, a raczej jedliśmy — odrzekłem zakłopotany.

— Widzę to; lecz chcę wiedzieć, jaki cel sprowadził was do tego wadi?

— Allah to wie, możesz go spytać.

Musiałem udawać, że nagłe ukazanie się tych ludzi było dla mnie niespodzianką, lecz bynajmniej nie miałem zamiaru uchodzić za człowieka bojaźliwego i dlatego w dalszym ciągu odpowiadałem już hardziej.

— Allacha trudno pytać — rzekł szorstko — a ciebie łatwo i dlatego odpowiadaj wyraźnie.

— Kto zmusi mnie do mówienia, jeśli zechcę milczeć?

— Ja.

— Kto ty jesteś?

— To ciebie nic nie obchodzi.

— Więc i ciebie nic nie obchodzi moja osoba. Idź zatem tam, skąd przyszedłeś.

Wydarłem Ben Nilowi z ręki nie próżny jeszcze garnek, usiadłem i zacząłem tak spokojnie, jak gdyby nic się nie stało, wydobywać zgiętym palcem ostatki kleju z garnka. To im zaimponowało. Kiedy zaś potem zacząłem nawet szlachetnym zwyczajem Beduinów wylizywać garnek, zawołał dowódca:

— Na proroka, nie widziałem jeszcze takiego człowieka! Słuchaj no, ty Saduku el baja, życie twoje wisi na jednym cienkim włosku.

— To kismet. Ja nie mogę nic dodać, ani ująć. Allah to wie!

— Jeśli na moje pytania nie będziesz odpowiadał, na miejscu cię zastrzelę.

— Jeśli tak zapisano w księdze przeznaczeń, to ja ciebie zastrzelę, a nie ty mnie.

— Ciekawym, jak ci się to uda? — roześmiał się. — Jest nas dziesięciu przeciwko jednemu mężczyźnie i jednemu chłopcu.

Postawił kolbę strzelby na ziemi i oparł się łokciami na lufie. Towarzysze jego stali w takich

samych malowniczych postawach. Ben Nil zachowywał się ściśle wedle otrzymanych wskazówek, ponieważ zaś na niego mniej zwracano uwagę, zdołał cofnąć się całkiem w cień skały, gdzie światło księżyca nie dochodziło. Stał tam ze strzelbą gotową do strzału i wymierzoną w pierś dowódcy.

— Nie śmieć się — odpowiedziałem — bo mówię zupełnie poważnie. Jeśli choć jeden z was podniesie strzelbę, będziesz w tej chwili trupem, gdyż dostaniesz kulą w serce od mego dzielnego Ben Menelika, którego nazywasz chłopcem. Teraz dopiero spojrzeli na Ben Nila.

— Allach! — zawołał dowódca. — Ja to dziecko zastrzelę.

Rzeczywiście chciał podnieść strzelbę, aby groźbę wykonać, ja jednak swoją w jego pierś wymierzyłem i zawołałem:

— Jeżeli drgniesz tylko, dwie kule na pewno otrzymasz. Zdaje mi się, że to nie mój, lecz twój kismet umrzeć w dniu dzisiejszym. Nie trafiliście dobrze; nie lubię słuchać tam, gdzie mogę rozkazywać. Rzuć swoją strzelbę, a ludziom każ uczynić tak samo! Jeśli to się nie stanie, zanim doliczę do trzech, padniesz na miejscu trupem i diabeł będzie mógł w dżehennie szukać twojej duszy. Dotrzymam słowa, jak jestem wiernym synem proroka. Raz... dwa...

Można by sądzić, że takie i tym podobne sceny znajdują się tylko w romansach. I słusznie, bo życie jest powieściopisarzem najpłodniejszym i o najbogatszej wyobraźni; nie potrzebuje ono dla zmyślenia niemożliwej sytuacji pogryźć tuzina gęsich piór. Ton mój i postawa były tego rodzaju, że niepodobna było wątpić w stanowczość i szybkość mojego działania. Wyloty obu luf działały widocznie przekonująco, bo dowódcy strzelba z rąk wypadła, a długie flinty jego ludzi poszły za jej przykładem.

— Tak! — potwierdziłem. — A teraz odstepcie o dziesięć kroków wstecz!

Wykonali to tak dokładnie, jakby się w tym ćwiczyli. Postąpiłem kilka kroków naprzód, a kiedy stanąłem między nimi a strzelbami, rzekłem w dalszym ciągu nie spuszczając wylotu lufy z piersi dowódcy.

— Teraz ty mi odpowiesz na niektóre pytania, ale jeżeli który z was poważy się sięgnąć po pistolet, albo ty zawahasz się choćby na dwie sekundy z odpowiedzią, strzelę, a kula Ben Menelika powali następnego. Odpowiadaj więc prędko, czy jesteście sami w tym wadi?

— Nie — odpowiedział natychmiast. Myślał może, że na wiadomość o większej liczbie nieprzyjaciół osłabnie moja odwaga.

— Gdzie oni są?

— Nie opodal.

— Czy do Wadi el Berd przybywacie częściej?

— Tak.

— Czy jest tam miejsce, na którym stoją trzy zeschnięte palmy?

Zawahał się z odpowiedzią. Myślał pewnie o ukrytej studni.

— Prędkiej, prędzej bo strzelam! — napierałem.

— Są trzy palmy tam, gdzie rozbiliśmy obóz.

— Im nazyb, im adżibi, co za zrządzenie losu, jaki cud! — zawołałem w najwyższym zdumieniu.

— Czy przybywacie znad Nilu, od Bir Murat?

— Tak.

Spuściłem natychmiast strzelbę i polecivszy Ben Nilowi uczynić to samo, przystąpiłem do dowódcy, wyciągnąłem do niego rękę i powiedziałem z radością.

— Mało brakowało, a byłbym cię zastrzelił. Dzięki prorokowi, że tego nie uczyniłem, gdyż śmierć twoją wyrzuciłbym sobie do końca życia. Ale ty byłeś temu winien, bo zacząłeś mi grozić, a ja nie jestem to tego przyzwyczajony. Skoro obozujecie pod gacjami, jesteście tymi, których szukam.

Ujął mnie za rękę, lecz posępna zaduma nie zniknęła mu z twarzy. Po chwili rzekł:

— Ty nas szukasz? To kłamstwo! Nikt nie wie, że znajdujemy się tutaj.

— Nazywasz mnie kłamcą, a ja mimo to kuli ci w łeb nie wpakuję. Niech to będzie dla ciebie wystarczającym dowodem, że powiedziałem prawdę i że uważam się za waszego przyjaciela. Jestem pewny, że należycie do Ibn Asla el Dżazura. Czy mam słuszość?

— Na to nie możemy ci odpowiedzieć, gdyż ciebie nie znamy.

— — Dasz mi jednak odpowiedź, gdy ci powiem, że przysłano mnie tutaj, abym was ostrzegł przed porucznikiem reisa effendiny i przed niewiernym effendim, któremu pewnie życzyście dżehenny.

— Allah, skąd ty wiesz o tych ludziach?

— Od tych, którzy mnie wysłali, tj. od Abd el Baraka, mokkadema Kadiriny i jego towarzysza, zwanego muzabirem.

— To nasi przyjaciele! Skąd jednak wiedzą, że znajdujemy się tutaj? Gdzie ich spotkałeś? Nie pojmuję, jak mogli wysłać cię do Wadi el Berd, żeby nas ostrzec?

— Pojmiesz zaraz, skoro ci to bliżej wytłumaczę. Weźcie sobie strzelby i usiądźcie przy nas na chwilę. Nie obawiajcie się niczego złego z naszej strony, bądźmy raczej najlepszymi przyjaciółmi.

Usiadłem przy moim małym, improwizowanym piecu, w którym ogień już wygasł, a Ben Nil usiadł obok mnie. I oni usłuchali mojego wezwania, a na ich twarzach zauważyłem coś jakby wstyd, że pomimo ich znacznie większej liczby, miałem nad nimi przewagę. Wydawało im się to

niepodobieństwem widzieć w nieznanym przyjacielu lub sprzymierzeńcu, występowałem jednak z taką pewnością siebie, że musiało ich to przekonać. Odłożyli strzelby na bok i przy nas usiedli. Ponieważ nie odezwałem się zaraz, przemówił pierwszy dowódca:

— Słowa twoje brzmią bardzo zagadkowo. Znamy twoje imię i wiemy, że jesteś handlarzem, ale nie wiemy, gdzie mieszkasz i skąd przybywasz?

— Pochodzę z Dimiat. Zanim jednak na inne wasze pytania odpowiem, wyjaśnij mi, kto wam powiedział, jak się nazywam ja i mój towarzysz, boć przecież twierdzicie, że nas nie znacie.

— Usłyszeliśmy strzały, więc wysłałem ludzi na zwiady. Oni przybyli tutaj i słyszeli waszą rozmowę. Nazywaliście się po imieniu i mówiliście o cenach czarnych, brunatnych i czerkieskich niewolnic.

— Tak rzeczywiście było. Tam na skale stało jakieś zwierzę; wystrzeliłem do niego i cofnęło się, lecz wróciło i zniknęło dopiero wtedy, kiedy mu drugą kulę posłałem. Czy znacie handlarza, nazywającego się Murad Nassyr?

— Tak, znamy go.

— On pochodzi z Nifu obok Izmiru. To bardzo dobry mój przyjaciel i współnik w interesach. Mogę wam powiedzieć, że i ja handluję niewolnikami. Wy mnie nie zdradzicie, przeciwnie, spodziewam się zawrzeć z wami niejeden układ. Murad Nassyr przybył do Egiptu, ażeby tu poczynić wielkie zakupy. Szukał mnie w Dimiat, lecz mnie tam już nie zastał, bo właśnie wyjechałem. Dowiedziawszy się potem, że był u mnie i chciał się ze mną rozmówić, ruszyłem za nim do Kahiry, a potem do Sijut, ale i w jednej i w drugiej miejscowości już go nie zastałem. Dowiedziałem się tylko, że sandał jego „Et Ter” odpłynął do Korosko.

— To się zgadza z prawdą — potwierdził dowódca — bo istotnie Nassyr miał taki sandał.

— A ty znowu skąd wiesz o tym?

— Z rozmowy z samym Nassyrem. Był z nami nad Bir Murat i opowiadał nam różne ciekawe rzeczy.

— Więc spotkaliście go; ja nie miałem tego szczęścia. Potrzeba mi było niewolników i chciałem go za wszelką cenę doścignąć, a kiedy nareszcie spotkałem jego sandał w Handaku, dowiedziałem się od reisa ku wielkiej mojej przykrości, że Murad Nassyr wysiadł w Korosko, ażeby na wielbłądach dostać się do Abu Hamed. Pojechałem więc do Dugnit, a stąd na wynajętym hedzinie do Berberu, ażeby tam zaczekać na Murada Nassyra.

Twarz dowódcy rozjaśniła się znacznie podczas tego opowiadania. Zaczął nabierać do mnie zaufania a ludzie jego patrzyli na mnie przychylnie. Niestety, nie była ta cała bajka zupełnie konsekwentna, ale tego nie mogłem uniknąć, ani zmienić. Oto jeśli Murad Nassyr obrał z Korosko krótką drogę do Abu Hamed, a ja przybyłem po nim do Korosko, przepłynąwszy o wiele dłuższą przestrzeń na Nilu, nie mogłem przed nim przybyć do Berberu, ani teraz znajdować się w Wadi el

Berd. Była w tym różnica całego tygodnia, a więc grube niedopatrzenie. Moi słuchacze na szczęście nie poznali się na tej omyłce, a ja, nie chcąc im zostawić czasu do namysłu, mówiłem dalej:

— W Berberze spotkałem się ku wielkiej mojej radości z dwoma przyjaciółmi. Jestem członkiem świętej Kadiriny i chodziłem do kawiarni polecanej gorąco przez nasze bractwo. Tam spotkałem mokkadema i muzabira. Radość ich była zanadto wielka, abym mógł przypuszczać, że ją wywołało jedynie spotkanie się ze mną. Domyśliłem się zaraz, że musi ona mieć jakiś powód specjalny. Opowiedzieli mi też o waszej wyprawie po niewolnice do Fessarów, o tym, że zdobyliście wielki łup i...

— Ale skąd oni wiedzieli o tej wyprawie? — przerwał mi dowódca.

— Pozwól mi tylko mówić dalej, a zaraz się dowiesz. Wyprawa wasza wywołała niesłychane wrażenie, a reis effendina starał się was pochwycić. Chciał wam zastąpić drogę przez Amur i wysłał w tym celu porucznika z oddziałem żołnierzy do Korosko, do obcego chrześcijańskiego effendiego, swojego sprzymierzeńca, a sam zaczął się w Berberze i kazał sobie przysłać żołnierzy z Chartumu. Szczęściem znajdował się między nimi członek Kadiriny, imieniem Ben Meled.

— Wszystko to zgodne z prawdą! — zawołał dowódca. — Meled jest na naszym żołdzie, wyświadczył nam też już już niejedną przysługę. Poznając, że możemy ci ufać w zupełności. Jesteś rzeczywiście naszym przyjacielem i pozdrawiam cię jako takiego z radością.

Podał mi rękę, po czym musiałem uścisnąć ręce wszystkich obecnych. Jak to dobrze, że podслуchałem rozmowę mokkadema i muzabira i usłyszałem o tym Ben Meledzie. Nie było rzeczą łatwą połączyć nieliczne, usłyszane wtedy szczegóły, w jedno opowiadanie, dość szczęśliwie mi się to jednak udało. Słuchacze moi przysunęli się bliżej, a ja mówiłem dalej:

— Mokkadem zna waszą tajną drogę przez pustynię, chciał i musiał was ostrzec, lecz nie miał czasu, gdyż czekano na niego w Chartumie. Ten obcy effendi ma być bardzo niebezpiecznym człowiekiem; tak opowiadał mi mokkadem. Wiedząc, że i ja handluję niewolnikami, dał mi bardzo dobrą radę, żebym ich nie kupował od Murada Nassyra, lecz wprost od was, od Ibn Asla. Za jego radą postanowiłem odszukać zaraz waszego wodza i powiedzieć mu, że wspomniany effendi zaczął się na niego w pustyni. Mokkadem opisał mi to wadi i zapewnił mnie, że was spotkam przy stojących tu gacjach. Ponieważ jednak nie znam pustyni, wynająłem sobie od Menelika, szejka Monassyrów, wielbłądy.

— Słyszałem o nim — wtrącił dowódca. — To bardzo surowy muzułmanin, wróg psów chrześcijańskich i zgadza się na niewolnictwo.

— Przyjemnie mi to słyszeć, gdyż ten oto mój przewodnik jest jego synem i nazywa się Ben Menelik. Szejk, nie mogąc mi sam towarzyszyć, syna ze mną posłał.

— Wszystko to bardzo pomyślnie się składa. Jeśli to syn wodza walecznych Monassyrów, to nie mamy obawy, żeby nas zdradził. Zamierzamy, dla naszej własnej korzyści, zawrzeć przymierze z jego szczepem, więc witamy go równie mile, jak przedtem witaliśmy ciebie Saduku el baja.

Teraz musiał Ben Nil uściskać dziesięć rąk, a uczynił to z powagą i dumą młodzieńca, którego ojciec jest wodzem słynnego szczepu Beduinów. Trudne swoje zadanie spełniał dotychczas ponad moje oczekiwanie. Byłem pewny, że plan mój powiedzie się w całości, jeśli tylko Ben Nil aż do końca rolę swą równie dobrze odegra. Po tej przerwie mówiłem dalej:

— Zaopatrzyliśmy się we wszystko i ruszyliśmy w drogę przez Dżebel Szizr. Po południu dostaliśmy się na wschodnią stronę wadi i jechaliśmy na zachód szukając owych trzech gacji. Zmrok tymczasem zapadł a myśmy ich jeszcze nie znaleźli, więc zatrzymaliśmy się, ażeby jutro szukać ich w dalszym ciągu. Co dalej, to już wiecie. Jestem uszczęśliwiony, że zastałem was tutaj, chociaż niewiele brakowało, aby przy tym spotkaniu krew popłynęła. Na szczęście prorok uchronił nas od tego.

Byłem bardzo zadowolony z przebiegu tej rozmowy. Wierzono mi widocznie, więc mogłem się spodziewać, że zamiar mój nie napotka na nieprzewyciężone trudności. Chciałem mianowicie dojść do celu podstępem, o ile możliwości bez krwi rozlewu. Nie wiedziałem jeszcze, jak zabrać się do tego. Przede wszystkim musiałem teraz przyjąć zaproszenie łowców niewolników i udać się z nimi razem do ich obozu. Kiedyśmy wielbłądy siodłali, szepnął do mnie Ben Nil:

— Podziwiam cię, effendi. Teraz wierzę, że nie potrzebujesz się obawiać nikogo. Twoja przewrotność większa jeszcze niż twoje męstwo. Jestem pewny, że wszelkie trudności zmożemy.

Prowadząc wielbłądy za uzdy, wyruszyliśmy w głąb wadi. W obozie panowała zupełna ciemność, lecz po naszym przybyciu zapalono pochodnie. Teraz należało przede wszystkim zważyć na zachowanie się dowódcy. Jeśli przywita nas jak zwykle w rozwlekłych słowach, to nie potrzebujemy obawiać się podstępu. Według zwyczaju panującego na pustyni musiał nam dowódca dać przekąskę i sam z niej coś spożyć. Jeśliby się z nami podzielił choćby jednym daktylem, nie potrzebowalibyśmy się już zdrady z jego strony obawiać. Komendant kazał wielbłądy nasze zaprowadzić do swoich, a potem zaprosił mnie, bym usiadł przy nim obok studni.

Ponieważ w swym zaproszeniu nie wspomniał wcale o Ben Nilu, zaniepokoiłem się nieco o chłopca i zapytałem:

— A mój towarzysz Ben Menelik gdzie ma się rozłożyć?

— Niech siądzie z moimi ludźmi — odrzekł tonem lekceważącym.

— Ten młodzieniec był mi przez całą drogę bardziej przyjacielem niż sługą — odrzekłem — i dlatego chciałbym, żeby i teraz przy mnie pozostał.

— To być nie może. Jestem kolarazym* tej karawany i nie wolno mi siedzieć obok nikogo niższego ode mnie.

— W takim razie proszę cię, żebyś zwrócił uwagę na to, że Ben Menelik jest synem szejka wielkiego i słynnego plemienia.

— Cóż z tego? Mnie mimo to nie dorównuje i powiem ci otwarcie, że zniżam się już, kiedy

pozwalam tobie, handlarzowi, siedzieć obok siebie. Siadaj więc i nie sprzeciwiaj się mojej woli.

Zaswędziała mnie ręka, ażeby mu wymierzyć policzek, ale jeszcze na razie musiałem przybrać pokorną postawę. Gdybym się z nim posprzeczał, naraziłbym na niebezpieczeństwo nie tylko plan mój, ale może i życie. Chodziło mi teraz przede wszystkim o to, żeby mnie uznał za gościa i tym samym zapewnił mi bezpieczeństwo. Toteż zamilkłem i usiadłem obok wspomnianego już brzydala, którego rozmowę z dowódcą podsłuchiłem przy studni. Ten drugi wziął w rękę kilka daktyli i podzielił się ze mną, po czym napełnił wodą mały harbuz i pociągnąwszy kilka łyków, podał mi naczynie, na koniec uścisnął mi rękę i rzekł:

— Witam cię! Jedz i pij, jesteś moim gościem.

Wypiłem czym prędzej nieco wody, włożyłem w usta daktyl i dałem znak Ben Nilowi, ażeby się zbliżył. Zrozumiał sytuację zupełnie, przystąpił szybko do mnie, napił się wody, wsunął w usta daktyl i rzekł zwracając się do dowódcy:

— Jem i piję twoje dary, więc teraz skrzydła twojej opieki rozpostarte są nade mną i każdy z twoich przyjaciół lub wrogów jest także moim.

Stało się to tak szybko, że dowódca nie miał czasu temu przeszkodzić. Fuknął tylko na mnie z gniewem:

— Czemu bez pozwolenia podałeś to dalej?

Byłem już teraz jego gościem i nie potrzebowałem się niczego obawiać, nie byłem więc już tak powściągliwy jak przedtem i odrzekłem:

— Dałem Ben Menelikowi, ponieważ on do mnie należy i tym samym jest także twoim gościem. Wiem zresztą, że tylko rozwaga i zrozumienie sprawy nie pozwoliły ci, abyś mi sam wyraźnie wydał odnośny rozkaz.

— Zrozumienie sprawy? Jak to?

— Jak to? — powtórzyłem w tym samym tonie jego pytanie. — Ponieważ nie masz prawa mi rozkazywać.

— Mylisz się. Jestem tutaj dowódcą i władcą.

— Prawdę mówisz, że jesteś władcą, w każdym razie jednak nie naszym. Syn szejka nie uznaje władcy nad sobą, a co do mnie, to wprawdzie w tej podróży jestem tylko handlarzem, ale poza tym piastuję godność reisa el beledije* z Dimiat. Co to znaczy, to chyba wiesz, więc raczej ty możesz być dumny z tego, że wolno ci siedzieć koło mnie. Ben Meneliku, usiądź przy mnie. Jesteś wiernym i zręcznym przewodnikiem i wolnym wojownikiem z plemienia Monassyr. Wcale to mojej godności nie ubliży, jeżeli się nasze szaty zetkną.

Młodzieniec usłuchał wezwania, mimo niezadowolenia dowódcy. Temu ostatniemu tytuł mój wyraźnie zaimponował, nie chcąc tego jednak po sobie pokazać rzekł:

— Postępujesz sobie bardzo samowolnie, Saduku el baja. Gdybyś wiedział kim jestem, byłbyś mniej siebie pewny.

— Jeszcze nigdy w życiu pewności siebie nie straciłem ani na chwilę, ponieważ jednak nie powiedziałeś mi dotychczas, jak się nazywasz, spodziewam się, że teraz się o tym dowiem.

— Jestem Ben Kazawi, kapitan naszego władcy i pana. Ben Kazawi znaczy tyle, co syn okrucieństwa. Kiedy swoje imię wymawiał, patrzył na mnie w taki sposób, jak gdyby się spodziewał przestרח na mojej twarzy zobaczyć. Odpowiedziałem mu jednak spokojnie:

— A mnie nazywają dodatkowo Abu Machuf*, a to przyzwisko jest chyba dowodem, że jestem człowiekiem, który sieje dokoła trwogę, sam zaś nigdy jej nie odczuwa. Sam się o tym przekonałeś, bo kiedy chcieliście nas wziąć do niewoli, sprawa taki obrót przybrała, że nie moje życie w waszym, ale wasze w moim było ręką. Czy chcesz, żebym to twoim przyjaciółm i panu twojemu powiedział, czy też wolisz, ażebym milczał.

— Co minęło, to należy zostawić w spokoju i dlatego sędzę, że usta twoje będą zamknięte. Kiedy Ibn Asl powróci, zawiadomię go, że spotkałem się z wami; bliższych szczegółów wiedzieć nie potrzebuje. Moi ludzie także będą milczeli, gdyż boją się mnie bardzo. Teraz wszystko w porządku i możemy pójść na spoczynek. Szczęśliwej nocy!

— Niech noc twoja będzie błogosławiona — odpowiedziałem.

— Niechaj snu nie przerywają ci pchły piaskowe — dodał Ben Nil.

Ten młodzieniec zdobył się teraz na ironię, która przekonała mnie, że nie odczuwał strachu, chociaż rozumiał, w jakim niebezpieczeństwie się znajdujemy.

Noc była cicha. Znużone wielbłądy spały, ludzie tak samo, choć wśród nich było kilka wyjątków. Czterech nas nie spało jeszcze po upływie pół godziny, a mianowicie ja, mój dzielny Ben Nil, dowódca łowców i jego brzydki towarzysz.

Zachowanie się dowódcy wobec Ben Nila wzbudziło we mnie podejrzenie, że jakiś spisek knuje przeciwko niemu. Zauważyłem, że nasi gospodarze udawali jakoby mocno zasnęli i nie poruszali się wcale. Poszedłem za ich przykładem, oddychałem równo i głęboko, jak człowiek śpiący, i to tak, żeby to oni słyszeli. Ben Nil chrapał nawet trochę, nie wątpiłem jednak, że i on udawał. Wszyscy czterej leżeliśmy tak blisko siebie, że dwaj nie mogli szeptać z sobą tak, żeby drudzy nie słyszeli. Nie mogliśmy się jednak widzieć. Gwiazdy wprawdzie świeciły, ale światło ich było tu głęboko na dnie wadi tak słabe, że trudno było haik odróżnić od rumowiska skalnego. Przeczynałem, że obydwaj łowcy niewolników zechcą się z sobą porozumieć, ponieważ zaś nie mogło to nastąpić w naszej obecności, należało przypuszczać, że się oddalą. Uprzedzając ich prawdopodobny zamiar, przysunąłem się do Ben Nila, przyłożyłem mu usta do ucha i szepnąłem: „leż!” Nie odpowiedział nic, lecz dotknął mojej ręki swoją, ażeby mi dać znać, że polecenie zrozumiał. Następnie poczołgałem się przed siebie, aby wielkim łukiem wydostać się poza łowców, i usiadłem poza wystającą naprzód skalną krawędzią. Po chwili czekania usłyszałem jakiś szmer cichy. Był to dowódca bandy i jego towarzysz, którzy na czworakach posuwali się naprzód. Kiedy mnie minęli, poczołgałem się dalej za

nimi, dopóki nie zauważyłem, że się zatrzymali i usiedli obok siebie na ziemi. Przysunąłem się wtedy do nich tak blisko, że głowa moja była tylko o dwa łokcie od nich oddalona. Rozmawiali szeptem; chcąc ich przeto podsłuchać musiałem położyć się przed nimi, a nie za nimi. Było to bardzo niebezpieczne, ufałem jednak szczęściu i ciemności, a przede wszystkim podobieństwu barwy mojego ubrania do barwy otoczenia. Gdyby mnie mimo to spostrzegli, kto wie, na czym by się cała awantura skończyła.

Nieliczne, dosłyszane z ich rozmowy słowa pozwoliły mi się domyślić, nad czym się naradzali. Mówili najpierw o mnie, a syn okrucieństwa rzekł:

— Traciłem cię, żebyś szedł za mną, gdyż musimy być bardzo ostrożni. Co ty myślisz o Saduku el baja?

— To wcale niezwykły człowiek — odrzekł brzydał. — Burmistrzem takiego miasta jak Dimiat może być tylko człowiek, który się bardzo odznaczył. A to, że nazywają go ojcem zgrozy dowodzi, że musi z podwładnymi obchodzić się surowo.

— Wszyscy tacy urzędnicy są surowi dla swoich podwładnych, ale sami niewiele o prawa się troszczą. Ten burmistrz handluje przecież niewolnikami, choć wie, że to jest rzecz zabroniona. To zresztą sprawa dla mnie obojętna. Zauważyłem jednak coś ciekawszego. Ten człowiek jest wprawdzie urzędnikiem cywilnym, ale musiał być przedtem oficerem. Świadczy o tym całe jego zachowanie się wobec nas.

— Rzeczywiście musimy przyznać, że się zaskoczyć nie dał, przeciwnie, od razu wziął nad nami górę. Allachowi jedynemu wiadomo, jak się tego wstydzę. Szczęście, że on sam nas szukał, bo inaczej mógłby nas wszystkich wystrzelać; nasze flinty z rewolwerami mierzyć się nie mogą. Jest to człowiek przytomny i śmiały. Dobrze, że jest naszym sprzymierzeńcem, bo w przeciwnym razie nie moglibyśmy mu puścić tego płazem, że zna naszą studnię; ten młodzieniec jednak, który mu towarzyszy, nie powinien nic wiedzieć o tajemnicy.

— O tym właśnie chcę z tobą pomówić. Ten syn Monassyrów powie oczywiście swoim ludziom, że tu jest woda, a co za tym idzie, będą tu często obozowali i studnia, bez której nie możemy się obejść, przypadnie dla nas zupełnie. Temu trzeba zapobiec.

— Zupełnie słusznie, ale jak?

— Powiedz ty!

— Niech złoży przysięgę, że tajemnica dochowa.

— To jeszcze za mało. Nawet, gdyby dotrzymał przysięgi, używałby czasem studni dla siebie, a to być nie może. Mógłby go ktoś w takiej chwili zobaczyć i tajemnica przypadnie, zresztą przysięga to wprawdzie zamek na usta, ale każdy zamek można otworzyć. Będziemy pewni tylko wówczas, jeżeli usta tego młodzieńca zamkną się raz na zawsze.

— Ależ ten Ben Menelik jest naszym gościem. Pił z nami wodę i jadł daktyle od ciebie.

— Ale nie z mojej ręki. Przyjaźń wiąże mnie tylko z tym, któremu sam podam dar pozdrowienia. To, co ktoś drugiemu robi, mnie wcale nie obowiązuje. Skoro burmistrz dał mu wodę i daktylę, to on zawarł z nim przyjaźń, nie ja. Ten Ben Menelik jest dla nas wciąż jeszcze tak obcy jak przedtem i nie widzę najmniejszego powodu, abyśmy go mieli teraz oszczędzać. Czy mam słuszość, czy nie?

— Przekonałeś mnie najzupełniej. Chłopiec musi milczeć na zawsze, niech więc umiera.

— Byłem pewny, że się ze mną zgodzisz i dlatego wyprowadziłem cię tutaj, ażeby z tobą pomówić. Musimy go jednak sami usunąć, bo między naszymi ludźmi mógłby się znaleźć ktoś taki, co by się za nim ujął; wszyscy bowiem widzieli, że wprawdzie nie bezpośrednio, bądź co bądź jednak dar pozdrowienia ode mnie otrzymał.

— To mądra myśl, jestem gotów czynić wszystko, co mi każesz. Powiedz mi tylko, w jaki sposób zabierzemy się do dzieła. Bez hałasu trudno to będzie uczynić. A co powie burmistrz, gdy zobaczy, że zamordowano mu towarzysza?

— Zamordowano?

— Tę myśl trzeba od niego odsunąć. Musimy się brać do rzeczy bardzo podstępnie. Nożem nie możemy zabić chłopca. Ukąsi go jadowita żmija pustynna, assale.

— A skąd ją weźmiesz?

— Przypomnij sobie sahm es samm*, darowaną mi przez wodza Tokalich. Człowiek, draśnięty całkiem lekko tą strzałą, jest bezwarunkowo zgubiony. Zakradniesz się do chłopca i ukłujesz go ostrzem strzały w palec u nogi.

— Zbudzi się i zacznie krzyczeć.

— Nie, gdyż wystarczy, jeśli go lekko zadraśniesz. Pomyśli, że to pchła piaskowa. Po krótkim czasie spuchnie cały, a kiedy nazajutrz rano burmistrz zastanie go martwego obok siebie, będzie musiał uwierzyć, że ukąsił go wąż jadowity, a nawet będzie zadowolony, że gad nie poczołgał się do niego.

— Więc chodźmy. Zrobię tak, jak mówisz, bo to myśl znakomita, przynieś mi tylko strzałę.

— Wobec tego wracaj na swoje pierwotne stanowisko, a ja nadejdę wkrótce.

Nie mogłem dopuścić do tego, aby się z miejsca ruszyli, bo gdyby Ben Kazawi zdołał dojść do siodła miałby w ręku zatrutą strzałę, a ta w razie bójki mogłaby się stać bardzo niebezpieczna.

Byłem w Anglii i Ameryce świadkiem walk bokserów i wiele się przy tej sposobności sam nauczyłem. Ćwiczyłem się u znanego trenera w tzw. „millingu”, znałem też słynny knock-down-blow*, owo ze wszystkich bokserskich najskuteczniejsze uderzenie w szczyt głowy. Jeśli się je dobrze wykona, przeciwnik leży w tej chwili na ziemi. Lepszy jest cios w skroń, którego nauczyłem się od wodza Indian, Winnetou, ale skroń jest miejscem tak czułym, że posługując się wspomnianym uderzeniem można przeciwnika łatwo zabić na miejscu, mnie tymczasem zależało na tym, aby ich

tylko ogłuszyć. Dla Ben Kazawiego, który, jak mi się zdawało, miał czaszkę znacznie słabszą niż jego towarzysz, przeznaczyłem nok-down-blow. Leżałem tak, że przejść koło mnie musieli. Ben Kazawi szedł przodem. Chciałem go puścić przed siebie, ażeby z tyłu dostać się do niego, a potem mieć zaraz pod ręką brzydala. Dowódca jednak zatrzymał się na jeden krok przede mną i patrząc w moją stronę, rzekł tak cicho jak zawsze dotychczas mówił:

— Co to jest? Tu coś leży. Zdaje się, że to człowiek, który nas podsłuchiwał. Chwytaj tego draba...

Nie dokończył, bo kiedy mówiąc te słowa schylił się chcąc mnie lepiej zobaczyć, otrzymał cios i formalnie grzmotnął sobą o ziemię. W sekundzie jednej podniosłem się i schwytałem jego kompaniona za gardło. Ten nie wydał także głosu, wywinął tylko kilka razy rękami i nogami i nieprzytomny upadł obok Ben Kazawiego na ziemię. Złożyłem wtedy ręce dłońmi do siebie, przyłożyłem je do ust i zapiszczałem półgłosem, a mimo to tak, że było słychać daleko „krrraaaaerr”. Brzmiało to zupełnie tak jak głos sępa, na pół zbudzonego ze snu. Był to znak dla porucznika i starego onbasziego, żeby zeszli na dół. Sam tymczasem uklęknąłem, ażeby przeciwnikom usta zakneblować ich własnymi chustkami i skrępować im ręce. Właśnie kiedy się z tym uporałem, posłyszałem szelest piasku za sobą. Odwróciłem się i spostrzegłem postać, czołgającą się bardzo ostrożnie. Prawdopodobnie był to Ben Nil, ale jako człowiek ostrożny wolałem się upewnić, bo mógł to być także ktoś inny. Toteż poskoczyłem ku niemu, chwyciłem go lewą ręką za gardło, a prawą obmacałem jego odzież, by się dowiedzieć, kogo mam przed sobą. Był to istotnie Ben Nil. Usiłował wydostać się spode mnie, ale przycisnąłem go silniej do ziemi z obawy, żeby nie wydał głośniejszego okrzyku, potem dałem mu zaczerpnąć trochę powietrza i szepnąłem mu do ucha:

— To ja, bądź cicho!

Natychmiast przestał się bronić, co wzięłem za znak, że mnie zrozumiał i rękę mu od gardła odjąłem. Chcąc się stanowczo upewnić co do tożsamości osoby, przesunąłem jeszcze ręką po jego twarzy i głowie, po czym puściłem go całkiem i zapytałem:

— Dlaczego przychodzisz tu za mną, zamiast tam na mnie czekać?

— Słyszałem znak — odpowiedział.

— Pamiętaj, żebyś się zawsze na przyszłość trzymał dokładnie moich wskazówek. Nieposłuszeństwo nie zawsze ujdzie ci tak gładko jak teraz. Czy masz dość siły, aby unieść człowieka?

— Tak, jeśli nie jest olbrzymem.

— To zabierz tego draba i chodź za mną.

— Kto to jest? Co mu się stało, effendi?

— O tym potem. Teraz nie mam czasu na pogawędki. Podniosłem Ben Kazawiego i poszedłem naprzód. Ben Nil szedł za mną z brzydalem. Z początku posuwaliśmy się naprzód bardzo powoli,

kiedyśmy się jednak znaleźli poza obozem, szliśmy już swobodnie i prędko. Tak doszliśmy do miejsca, w którym mieliśmy czekać na przybycie porucznika. Złożyliśmy nasze ciężary i teraz opowiedziałem Ben Nilowi, co podsłuchałem. Kiedy skończyłem, zapytał:

— Czy nie lepiej byłoby zastrzelić ich po prostu lub przebić nożem? Uporamy się z nimi, zanim znajdą czas do obrony.

— Być może, ale ja ich nie będę mordował. Wszystko poszło dotąd tak dobrze, że nie mam powodu planu swego zmieniać. Kiedy dowódca znajduje się w naszym ręku, dostaniemy i innych.

Wtem dał się słyszeć odgłos zbliżających się kroków. Spojrzałem na skałę i zobaczyłem żołnierzy, schodzących jeden po drugim. Niebawem znaleźli się przy nas. Szli bardzo ostrożnie i byłem pewny, że jeśli nawet wywołali jakieś odgłosy, nie słyszano ich w obozie łowców niewolników.

— Usłyszeliśmy znak twój, effendi, i zeszliśmy natychmiast — rzekł porucznik. — Przypuszczam, że podstępem nie osiągnąłeś nic i że teraz pozwolisz nam napaść.

— Mylisz się, bo podstęp mi się udał i prawdopodobnie doprowadzi nas bez walki do celu. Pamiętajcie tylko, abyście się i nadal zachowywali zupełnie cicho i postępowali ostrożnie. Oto leżą dwaj pojmani, Ben Kazawi, zastępca wodza Ibn Asla, który jutro nadejdzie, a to jeden z jego ludzi.

— Co? Pochwyciłeś Ben Kazawiego i nikt mu z pomocą nie przyszedł?

— Jak widzisz. A osiągnąłem to podstępem, do którego ty nie masz zaufania. Później dowiesz się o wszystkim, a teraz musimy działać.

— Czy onbaszi jest także na dole?

— Tak, wyruszył równocześnie ze mną. Teraz znajduje się pewnie po drugiej stronie obozu i czeka na twoje rozkazy.

— A kto został na górze?

— Selim i dwaj dozorczy wielbłądów.

— Nie powinieneś był tego robić.

— Dlaczego? Czy może nie dość dwu ludzi przy wielbłądach?

— Pewnie, ale mnie teraz nie o wielbłądy chodzi, bo one nie uciekną, choćbyśmy przy nich dozorców nie postawili; obawiam się bardziej o jeńców.

— Nie bój się, effendi, bo Selim jest przy nich. Wiem, że czasami popełnia głupstwa i dlatego nie wziąłem go z sobą. On mógłby wszystko popsuć.

— Tak! Z powodu jego lekkomyślności nie zabrałeś go z sobą, a powierzyłeś mu najważniejszych jeńców. Czy to było rozsądne? Stało się jednak i zmienić już tego niepodobna, gdyż nie mamy czasu

do stracenia.

Otoczyli mnie kołem, a ja mówiłem dalej:

— Ci dwaj jeńcy, których tu widzicie leżących, są skrupowani i zakneblowani. Utracili teraz przytomność, lecz wkrótce przyjdą do siebie. Jeden z was zostanie przy nich i będzie ich pilnował. Daję mu pozwolenie pchnąć obydwu nożem, gdyby się tylko któryś z nich próbował z więzów wyzwolić. Obóz znajduje się stąd niecałe pięćset kroków. Muszę go wam opisać. Zaraz za studnią, tuż pod skałą, złożyli łowcy niewolników wszystkie swoje strzelby, co z ich strony było bardzo głupie, a z czego my teraz skorzystamy. Na prawo od tego miejsca, bardziej ku środkowi wadi, rozłożyli się obozem łowcy niewolników. Legowisko ich tworzy razem koło, w którego środku znajdują się niewolnice. Poza tym kołem leżą wielbłądy. Przede wszystkim musimy zabrać łowcom strzelby, a to zadanie wcale nie jest trudne. Jeżeli nam się to uda, będziemy zbójców mieli w swoich rękach, gdyż nożami i pistoletami nie dosięgną nas, skoro ich otoczymy. Wasze strzelby złożcie tymczasem tutaj, ażeby wam nie zawadzały i weźmy się zaraz do dzieła. Ja pójdę naprzód, Ben Nil za mną, potem porucznik, a za nim reszta żołnierzy, każdy o dwa kroki za swoim poprzednikiem. Jeżeli położę się na ziemi i zacznę się czołgać, pójdziecie wszyscy za moim przykładem, pamiętajcie tylko, żeby się to wszystko odbyło jak najciszej. Kiedy się już znajdę przy studni, będę wam flinty po jednej podawał, a wy podacie je dalej za siebie, dopóki każdy z was po dwie strzelby nie będzie miał w rękach. Wtedy będą już wszystkie strzelby zabrane. Na dany potem znak odwróćcie się i wróćcie na obecne nasze stanowisko.

Polecenie moje było tak wyraźne, że nikt chyba nie mógł pojąć go fałszywie. Wyszukałem człowieka, który miał pilnować jeńców. Zanim wyruszyliśmy, spytał jeszcze porucznik:

— Zapomniałeś o czymś ważnym, effendi! Co się stanie, jeśli nas odkryją?

— Zobaczyć nikt nas nie może i tylko szmer jakiś mógłby nas zdradzić. Jeżeli się wtedy do nas któryś z łowców zbliży, ażeby zbadać przyczynę szmeru, ja, jako pierwszy z was, wezmę go już na siebie i załatwię się z nim w ten sposób, że z pewnością żadnego zgiełku nie wywoła. W każdym razie macie unikać walki. Gdyby się stało coś nieprzewidzianego, powróćcie czym prędzej tutaj. A teraz naprzód za mną!

Zdaje mi się, że ten potajemny pochód do obozu nieprzyjaciela wydał się żołnierzom bardziej zajmujący, aniżeli napad. Starali się pójść za moimi wskazówkami i posuwali się naprzód tak cicho, że moje ucho z trudem tylko było w stanie szelest jakiś posłyszeć. W odległości pięćdziesięciu kroków od obozu położyłem się na ziemi i zacząłem się czołgać. Oglądając się, zobaczyłem Ben Nila także na ziemi, jego następcy musieli zapewne uczynić to samo. Wkrótce ujrzelśmy studnię; teraz należało być dziesięć razy bardziej ostrożnym niż przedtem, gdyż po naszej prawej ręce leżeli najbliżsi śpiący. Nareszcie znalazłem się w miejscu, gdzie leżały flinty. Brałem jedną po drugiej i dawałem je Ben Nilowi, a on podawał je dalej. Podawszy mu już ostatnią, szepnąłem:

— Teraz z powrotem! Powiedz to dalej! Ja nadejdę później.

— Dlaczego z nami nie chcesz wrócić, effendi? Dokąd zamierzasz się udać?

— Do onbaszkiego, żeby mu wydać odpowiednie wskazówki.

— Przez sam środek nieprzyjaciół? Effendi, znowu narażasz się na niebezpieczeństwo. Zabierz mnie z sobą.

— Nie potrzebuję cię na nic. Twoje towarzystwo wzmogłoby tylko niebezpieczeństwo. Lepiej zostań tu i postaraj się o to, żeby tamci nie popełnili czegoś głupiego.

— Będę posłuszny, effendi, ale proszę cię, miej się bardzo na baczności i nie daj nam czekać na siebie zbyt długo.

Pocziwy chłopak obawiał się o mnie. Podał dalej mój rozkaz i wszyscy szeregiem oddalili się ze zdobytą bronią. Nie poszedłem oczywiście środkiem obozu, lecz cofnąłem się nieco i zwróciłem się na drugą stronę wadi, w przypuszczeniu, że między obozem a przeciwległą skałą znajdę wolne przejście. Tak było istotnie. Przedostałem się łatwo poza legowiska łowców i miałem jeszcze z pięćset kroków przed sobą, żeby się natknąć na onbaszkiego. Kiedy uszedłem już z cztery piąte, odezwałem się w umówiony sposób, dając znać staremu kapralowi, że się zbliżam. Bałem się bowiem, żeby mnie nie wziął za nieprzyjaciela i nie narobił zgiełku. Usłyszawszy znak wiedział już, o co chodzi, i wyszedł naprzeciw mnie.

Spotkawszy mnie rzekł:

— To ty, effendi? To dobrze, że dałeś znak, gdyż bylibyśmy cię wrogo przyjęli. Jakże nam idzie? Czy możemy przystąpić do ataku?

Zapoznałem go z położeniem i wydałem mu stosowne polecenia, po czym podprowadziłem go razem z ludźmi w stronę obozu tak blisko, że odległość między nami a łowcami wynosiła najwyżej sto kroków. Rozstawiłem żołnierzy kołem w ten sposób, że kiedy pierwszy stał tuż przy ścianie skalnej, towarzysze jego tworzyli czwartą część koła. Podobnie chciałem ustawić także żołnierzy porucznika, a w ten sposób powstałoby półkoło, odcinające zbójców od przeciwległej ściany wąwozu. Byłem pewny, że plan musi się powieść i wszyscy przeciwnicy wpadną w nasze ręce, jeżeli tylko będziemy postępowali ostrożnie. Dałem rozkaz strzelania do każdego, kto by usiłował się przedrzeć.

Teraz powinienem był wrócić do porucznika, lecz przyszły mi na myśl niewolnice i ich trwoga, gdybyśmy strzelać byli zmuszeni. Prawdopodobnie zaczęłyby uciekać i w ten sposób wiele by nam kłopotu sprawiły. Po namyśle postanowiłem je o wszystkim uprzedzić, chociaż było to trochę niebezpieczne. Poczłogałem się ku obozowi, w stronę namiotu, do którego weszła Marba, córka szejka Fessarów.

Należało precyzyjnie się między śpiącymi. Ci ludzie musieli rzeczywiście czuć się tu bezpieczni, gdyż spali jak susły. Dostałem się szczęśliwie aż pod drzwi wymienionego namiotu, na żadną przeszkodę po drodze nie natrafiwszy. Bardzo mnie to dziwiło, że zbójcy nigdzie zgoła straży nie rozstawili.

Rogoża, tworząca drzwi, była zapuszczona; podniosłem ją cokolwiek i zacząłem nadśłuchiwać.

Usłyszałem szmer licznych oddechów. Zdawało mi się, że jedna ze śpiących przewróciła się na posłaniu. Wkrótce usłyszałem znowu to samo. Odgadłem, że to córka szejka nie może spać z powodu otrzymanych razów i przewraca się z boku na bok.

— Marbo! — rzekłem wprawdzie cicho, ale tak, że musiała to usłyszeć. Ponieważ nikt nie odpowiedział, powtórzyłem kilka razy jej imię, dopóki nie usłyszałem przytłumionego głosu:

— Kto woła? Kto tu?

— Ktoś, kto przynosi wam wolność. Chodź bliżej, muszę z tobą pomówić.

— Wolność? O Allach, Allach, kto jesteś?

— Nie bój się, nie należę do łowców niewolników. Jestem obcy i zakradłem się do obozu, ażeby ci powiedzieć, że może trochę później jak o świcie będziecie wolne.

— To kłamstwo! W tym wadi znajdują się tylko sami nasi dręczyciele i nikt nie odważy się wejść między tych ludzi.

— Mówię prawdę; przekonasz się o tym.

— Nie uwierzę ci, chyba że mi na proroka przysięgniesz!

— Tego nie uczynię, gdyż jestem chrześcijaninem i w ten sposób nie wolno mi przysięgać.

— Chrześcijaninem? O Allach! Czy to ty jesteś owym obcym effendim, który po drugiej stronie Bir Murat, sam jeden zwyciężył Malafã i jego towarzyszy?

— Tak, ja nim jestem.

— W takim razie wierzę ci. Zaczekaj, ja przyjdę, przyjdę. Wewnątrz namiotu powstał ruch, słyhać było tu i ówdzie jakieś szelesty, szmery i ciche słowa; Marba budziła swoje towarzyski.

Ponieważ mógł przypadkiem ktoś nadejść i mnie tutaj zobaczyć, rzekłem do Marby:

— Pozwól mi wejść do środka namiotu. Powiedziawszy te słowa, wsunąłem się do wnętrza i usiadłem tuż przy drzwiach.

— Na Allacha, nie wchodź tu! — odrzekła Marba. — Żadnemu mężczyźnie nie wolno wejść do namiotu.

— W tym wypadku muszę postąpić wbrew wszystkim waszym przepisom. Jeśli mnie bowiem znajdą i pochwycą, nie zdołam was ocalić.

— Masz słuszość, a ponieważ jesteś chrześcijaninem, możemy ci zaufać. Powiedz nam przede wszystkim, czy naprawdę chcesz nas uwolnić?

— Naprawdę. Znalazłem ślad Ibn Asla i otoczyłem obóz żołnierzami. Teraz czekamy do świtu, na przebudzenie się śpiących.

— Czy mój ojciec was wysłał?

— Nie. Przybywamy z polecenia kedywa, który zakazał handlu niewolnikami. Ale ty nazwałaś mnie obcym effendi. Czy w twojej obecności mówiono co o mnie?

Zbliżyła się i usiadła przy mnie.

— Ci ludzie nic nie wiedzą, że ich podsłuchałam. Było to wczoraj. Kilku ludzi przybyło do obozu; jeden z nich to był Turek, a drugi fakir. Obozowaliśmy pod lasem palmowym nad Bir Murat, a ja stałam oparta o palmę; wtem nadeszli oni, stanęli blisko mnie i zaczęli mówić o tobie.

— Cóż oni mówili?

— Mówili, że pewien człowiek, nazywający się reis effendina, wysłał do ciebie swego porucznika; nie wiem dlaczego, ale zauważyłam, że wszyscy się ciebie boją. Obaj przybysze opowiadali o tobie to i owo, ale same złe rzeczy.

— Więc uważasz mnie pewnie za złego człowieka?

— O nie, effendi, bo kiedy źli ludzie o kimś źle mówią, to to pewnie dobry człowiek, a jeżeli się go boją, to musi być jeszcze lepszy.

— Ale ja jestem chrześcijaninem. Czy wolno ci innowiercę nazywać dobrym?

— Czemu nie? Fessarowie nie są tak zatwardziałymi mahometanami, jak sądzisz. Już kilka razy byli u nas Frankowie chrześcijanie, a wszyscy byli bardzo mądrzy i dobrzy. Ci natomiast, którzy nas porwali, są mahometanami. I cóż ty na to powiesz?

— Chrześcijańska religia nie pozwala na niewolnictwo. Chrześcijanin jest synem wiecznej cierpliwości, łagodności, uprzejmości i miłosierdzia. Was zresztą nie tylko porwano, ale i bito.

Milczała, tylko lekkie zgrzytanie zębami powiedziało mi, co się w duszy jej działo.

— Ukarzę za to Ben Kazawiego i jego towarzysza — mówiłem dalej. — Oni nam z pewnością nie ujdą, a nawet Ibn Asl dostanie się w nasze ręce.

— Jeżeli i tego łotra chcesz schwycić, musisz tutaj zaczekać, gdyż on został z kilku ludźmi koło Bir Murat, żeby strzelić do ciebie z zasadzki.

— Słyszałem, że przybędzie tu dzisiaj, a wtedy go przyjmę.

— Ale miej się bardzo na baczności przed Libanem.

— Kto to jest Liban?

— Dawny żołnierz, który przez długi czas przebywał w Sudanie i nauczył się tam z łuku strzelać. Strzela on bardzo dobrze. Niedawno temu otrzymali łowcy niewolników od wodza Tokalich w darze zatrute strzały. Oprócz tej, którą zachował sobie Ben Kazawi, wszystkie inne strzały oddano Libanowi, ponieważ jest najlepszym strzelcem. Strzeż się, bo kiedy powróci z Ibn Aslem, spróbuje niezawodnie taką strzałę ci posłać. Odnośne polecenie otrzymał już od wodza.

— Dziękuję ci Marbo za ostrzeżenie, ale bądź spokojna, bo nic mi się złego nie stanie.

— Wiele słyszałam o tobie, effendi, i wierzę, że możesz się za nas pomścić. Nie masz pojęcia, ileśmy wycierpiały. Teraz nie chcę o tym mówić, ale opowiem ci to później. Szkoda, że ciemno! Ucieszyłabym się bardzo, gdybym mogła zobaczyć twarz twoją. Gdybyś mógł odprowadzić nas do naszych ojców i braci, przyjęliby cię z radością i nigdy, nigdy nie zapomnieliby Beni Fessara imienia człowieka, który ich żony i córki ocalił od hańby niewolnictwa.

— Bądź pewna, że swoich bliźnich zobaczysz.

— Niestety! Wielu spośród nich ci zbóje pomordowali. Effendi, czy wydasz tych morderców naszym wojownikom?

— Na to pytanie nie mogę ci jeszcze dać odpowiedzi, gdyż los tych ludzi nie wyłącznie ode mnie zależy. Muszę już odejść. Przybyłem tylko na chwilę, by wam powiedzieć, że zbawcy wasi są już blisko. Niech was nie przestraszy głos walki, żebyście z namiotu nie wychodziły, a to ułatwi bardzo moim ludziom zadanie.

— Dzięki Allahowi! Już się nad nami zbóje znęcać nie będą.

Zapytałem ją jeszcze, gdzie przechowują pochodnie i dowiedziałem się, że dwie lub trzy znajdę tu w namiocie. Kazałem sobie je podać, po czym pożegnałem ją i wyszedłem z namiotu, a precisnąwszy się pomiędzy śpiącymi udałem się do porucznika.

Dałem mu odpowiednie polecenia, po czym odszedł ze swymi ludźmi, żeby zająć opisane już stanowisko. Ja z Ben Nilem i żołnierzem, pilnującym jeńców, pozostałem na miejscu.

Znajdowaliśmy się za tak nagłym skrętem wadi, że z obozu niepodobna było nas zobaczyć, nawet gdyby płonęło ognisko. Toteż zapaliłem pochodnię, by się przypatrzeć pojmanym. Kazałem im wyjąć z ust kneble, dobyłem noża i powiedziałem:

— Macie być cicho. Kto krzyknie dostanie nożem! Macie do mnie mówić, ale tylko półgłosem.

Przypatrywali mi się tępym wzrokiem, bo nie spodziewali się zastać mnie tutaj. Nie wiedzieli jeszcze, kto ich powalił.

— Tyż to jesteś, ty? — wybuchnął Ben Kazawi. — Nie pojmuję skąd ci do głowy przyszło, aby nas więzić. Jak możesz obchodzić się w ten sposób ze swoimi gospodarzami?

— Jeżeli chcieliście być moimi przyjaciółmi, powinniście się byli zachowywać przyjaźnie także wobec mojego towarzysza.

— I takeśmy się też zachowywali.

— Nie; chcieliście go zabić. Usta jego miały zamilknąć i sądziliście, że wziąłbym ostrze strzały Tokalich za żąb węza jadowego. Tacy ludzie, tacy skrytobójcy nie mogą być moimi przyjaciółmi. Allah osądza każdy czyn człowieka i was także osądzi za wasze czyny.

— Więc Allah niech będzie sędzią, nie ty. Puść nas wolno, bo kiedy Ibn Asl nadejdzie, gotów się bardzo rozgniewać na ciebie za to, że w podobny sposób z nami postępujesz.

— Pewnie, że się rozgniewa, lecz gniew jego zwróci się raczej przeciwko wam niż mnie. Przede wszystkim trudno mu będzie uwierzyć w to, żeście się dali pojmać w taki łatwy sposób.

— Ja ciebie nie rozumiem, boć przecież chyba tylko za niewczesny żart muszę to wszystko uważać.

— Żart? O nie! Z ludźmi waszego pokroju nie żartuję nigdy.

— Przecież jesteś handlarzem niewolników i przybyłeś, aby ich od Ibn Asla odkupić.

— Wezmę od niego niewolników, to prawda, ale płacić w każdym razie nie myślę. Co najwyżej zapłacę mu za nich kulą.

— Ty ciągle jeszcze żartujesz. Mów rozsądnie, abyśmy wiedzieli, co o tobie myśleć. A rozkrępuj nas, bo źle będzie z tobą, gdy nadejdzie Ibn Asl.

— Nie strasz mnie niepotrzebnie, bo przecież i wy mieliście względem mnie złe zamiary, a jednak nic mi się nie stało. Dostaliście się teraz po raz drugi w moje ręce a waszego Ibn Asla prawdopodobnie taki sam los spotka. Znam go i jego zamiary. Ukrywa się koło Bir Murat w towarzystwie Libana, który otrzymał polecenie, aby mnie strzałą zatrutą ugodził.

— Liban! Skąd wiesz o nim? Przecież ja wcale o nim nie mówiłem. A i strzała, o której mówisz, nie była przeznaczona dla ciebie.

— Tak ci się zdaje, ja jednak wiem coś innego.

— Ale się mylisz na pewno, bo była przeznaczona dla tego obcego effendiego, tego psa chrześcijańskiego.

— A więc dla mnie!

— Dla ciebie?

Wpatrzyli się obaj z brzydalem we mnie oczyma pełnymi przerażenia, a po chwili Ben Kazawi wyjąkał:

— Jak to? Więc ty tym effendim jesteś?

— Oczywiście!

— I miałeś odwagę zapuścić się tak zuchwale w sam środek nieprzyjaciół?

— Zaiste! Jesteś głupcem jakich mało. Znasz mnie z opowiadania już nie od dzisiaj i kiedy przed kilku godzinami ciebie i dziesięciu twoich ludzi trzymałem w szachu sam jeden, powinien byś był przypuścić od razu, że twoim gościem jest właśnie ów effendi. Reis effendina polecił mi schwytać was i odebrać wam niewolnice. Teraz czatuje na mnie sławny Ibn Asl koło Bir Murat, a ja tymczasem znajduję się tutaj i biorę do niewoli całą jego karawanę.

— Niełatwo ci to przyjdzie. Moi ludzie będą się bronili.

— Bronili? Oni śpią wszyscy. Zaprowadziłem moich żołnierzy aż do studni i zabrałem strzelby, które w taki głupi sposób pozostawiliście na boku. O popatrz!

Flinty leżały nie opodal i puściłem na nie światło pochodni.

— O Allach, o proroku, o kalifowie! — zawołał Ben Kazawi. — To nasze strzelby, rzeczywiście nasze strzelby!

— Tak, teraz obstawili moi żołnierze wasz obóz i czekają tylko na znak mój, ażeby się na was rzucić. Nie bój się, dadzą sobie już radę. Zresztą powiedziałem już Marbie, że przybyliśmy uwolnić ją i jej towarzyszki. Niewolnice wiedzą zatem, że są pod naszą osłoną, a wy tym samym macie w samym środku swego obozu nieprzyjaciółki, które także niejedną wasz wysiłek zdołają udaremnić.

— O Allach, chroń nas przed szatanem i wszystkimi jego pomocnikami! Kto by to był pomyślał, kto by to był przeczuwał? Okłamałeś nas, okłamałeś haniebnie, effendi, twoja złośliwa przebiegłość...

— Milcz! nie przerywaj, bo dostaniesz baty! Jeśli myśliwi na ludzi, rozbójnicy, mordercy mówią o podstępnej złośliwości, to bije się ich za to po twarzy. Z ludźmi, którzy tysiące bliźnich pędzą w nędzę i tysiące mordują, którzy pustoszą wsie, ścinają lasy, gaje palmowe a nawet napadają na osady prawowiernych i dopuszczają się stu innych czynów haniebnych, z takimi ludźmi nie można postępować tak, jak z uczciwymi. Pokonałem was podstępem, o złośliwej przebiegłości nie ma mowy. Kiedy pantera przerzedza wasze trzody, a wy ją podchodzicie, czy to złośliwa przebiegłość? A jednak w naturze pantery leży już to, że musi żyć z rabunku, ale człowiek ma być przecież obrazem Boga, który jest wieczną miłością. Drapieżne zwierzę zabija swoją zdobycz jednym uderzeniem łapy, wy natomiast prowadzicie tych, którzy wpadną w wasze niegodne ręce, na nędzę, która się kończy śmiercią dopiero po wielu latach. Wy nie jesteście już ludźmi, lecz najgorszymi kreaturami, jakie ziemia nosi. Dlatego to jest obowiązkiem każdego porządnego człowieka tępić was za każdą cenę, a jeśli ktoś potrafi zdążyć do tego celu podstępem, to nie na potępienie zasługuje, ale przeciwnie, na najwyższą pochwałę.

— No — zgrzytnął Ben Kazawi — skoro porównujesz nas z dzikimi zwierzętami, to drżij teraz przed nami. Ukradłeś nam wprawdzie flinty, ale moi ludzie mają jeszcze noże i pistolety.

— Żadnego pożytku im ta broń nie przyniesie, nasze strzelby lepsze. Zresztą oni przecież śpią i jedno moje słowo sen ich w śmierć zamieni.

— Jeśli się poważysz w czyn zamienić to, co mówisz, Ibn Asl zemści się na tobie straszliwie.

— Ciekawym, w jaki sposób, bo to pewne, że jeśli tylko nadejdzie, sam wpadnie mi w ręce.

— Nawet, gdybyś jego pochwycił, zemsta cię nie minie, bo Ibn Asl ma za sobą wielu potężnych protektorów. Wspomnę ci tylko o mokkademie świętej Kadiriny i o muzabirze, którzy już dawno są twoimi wrogami. Oni są naszymi przyjaciółmi i krzywda nam wyrządzona będzie ich krzywda.

— Wiem, że są moimi wrogami, a waszymi przyjaciółmi, i właśnie dlatego będę ich mierzył tą samą bronią, co was. I was i ich czeka teraz kara, bo i oni są już w moich rękach.

— Nie chwal się, bo twoje siły za małe, abyś miał odwagę podnieść pięść na mokkadema.

— A jednak to się już stało i wasi protektorowie leżą tam w górze na skale tak samo, jak wy, skępowani.

— To jest... to jest...

— Prawda, zupełna prawda — wtrąciłem i opowiedziałem mu całą prawdę. Obaj czuli się głęboko dotknięci i zawstydzeni. Nie mieli powodu wątpić, że mówię prawdę. Przygnębiające wrażenie, jakie ta wiadomość na nich wywarła, pogłębiłem jeszcze, dodając:

— Co mam czynić z całym tym plugastwem, które schwytałem i jeszcze schwytam? Wytępić je z ziemi, jak mi to nakazuje wzgląd na dobro ludzkości? Jako łowcy niewolników należycie do innego sędziego, ale i przeciwko mnie zawiniłście srodze, ponieważ chcieliście otruć mego towarzysza; prawo pustyni wyznacza wam za to śmierć. Przygotujcie się na nią, bo już tylko kilka chwil żyć będziecie. Uporam się z wami prędko.

— Jesteśmy poddanymi kedywa, a ty jako cudzoziemiec nie masz żadnego prawa do nas.

— Wy postępujecie wbrew prawom kedywa, więc nie uznajecie go za pana i panującego, a wobec tego należy postępować z wami wedle prawa pustyni. Zostaniecie rozdeptani jak żuki, na które natknie się noga wielbłąda.

— Więc chociaż jesteś chrześcijaninem nie zawahasz się krwi niewinnej przelewać? Powiedziałeś przedtem, że chrześcijanin jest synem wiecznej miłości!

— Tak, lecz jest zarazem sługą wiecznej sprawiedliwości. Teraz, kiedy już idzie o twoje życie, szukasz w wierze mojej ostatniego ratunku, ale przedtem nazwałeś mnie psem chrześcijańskim. No widzisz! I teraz ten pies będzie twoim sędzią.

— My wiemy, że działasz z polecenia reisa effendiny, jemu więc masz obowiązek nas wydać.

Dziwne wrażenie wywarły na mnie ostatnie jego słowa. Wszyscy łowcy niewolników drżeli na samo wspomnienie imienia reisa effendiny, a teraz jedyny dla siebie ratunek widzieli w staraniach, żebym ich w jego ręce wydał. Postanowiłem z tego skorzystać, bo wydawało mi się, że teraz, chcąc z moich rąk śmierci uniknąć, spełnią moje życzenie i będą wpływali na swoich ludzi, aby mi nie

stawiali oporu. Z góry cieszyłem się nadzieją, że krwi rozlewu uniknę, niestety, jednak wkrótce miałem się przekonać, że nadzieja moja była zwodnicza. Oto w tej chwili zabrzmiał ze szczytu skały donośny chrapliwy głos:

— Zatrzymaj się, zatrzymaj! Zostań, zostań!

Był to głos Selima i od razu wiedziałem, o co chodzi. Jeden z pojmanych uciekł, albo uciekli obydwaj. Ten zgiełk musiał zbudzić karawanę. Selim ryczał ze skały, jak lew:

— Effendi, effendi, uważaj! Mokka dema i muzabira już nie ma.

Byłem wściekły. Więc ja miałem uważać teraz, kiedy on tyle popsuł. Kto teraz zobaczy zbiegów w ciemności, jak ich ścigać i chwycić? Trzeba było wyrzec się wszelkiego pościgu i puścić ich wolno, natomiast wziąć się pospiesznie do łowców. Nakazałem dozorcę:

— Zostaniesz tu z Ben Kazawim i ręczysz mi za niego głową. Gdyby który ze zbiegów zszedł tutaj, zastrzelisz go natychmiast.

Zwróciwszy się do brzydala, mówiłem dalej:

— Ciebie przeprowadzę teraz przez linię żołnierzy, otaczającą wasz obóz. Powiesz swoim ludziom, że jesteście osaczeni i że wydałem rozkaz zastrzelić każdego, kto by spróbował przedostać się poza łańcuch żołnierzy. Donieś o tym twoim towarzyszom, a jeśli usłuchają tej przestrogi, być może, że okażą się dla was łaskawszy.

Rozwiązałem jego pęta, wziąłem za kołnierz i poprowadziłem przed sobą. Ben Nil poszedł ze mną. Przybywszy do naszych żołnierzy, wypuściłem z rąk zbója, a on umknął czym prędzej. Teraz trzeba było poczekać na to, co postanowią łowcy niewolników. Żołnierzom kazałem czuwać, Ben Nilowi oddałem strzelbę, a sam udałem się ku obozowi.

Brzydal dowiedział się już przedtem ode mnie, ile razy ich podsłuchiwałem. Jeśli miał choćby trochę rozsądku, powinien był wpaść na myśl, że i teraz może w ten sam sposób postąpić i powinien był wydać odpowiednie zarządzenia. Mimo to puściłem się naprzód tak daleko, że dostałem się do pierwszego namiotu. W jego pobliżu stali łowcy w zbitej, czarnej gromadzie i słuchali, co im brzydal mówił. Słyszałem tylko niektóre słowa i zgłoski, lecz i to wystarczyło mi, aby zrozumieć, jakie mają zamiary. Kilku ludzi miało pozostać przy namiotach, a reszta miała się przebić w stronę, gdzie leżał skrzepowany Ben Kazawi i uwolnić go z więzów.

Postanowiłem więc dołożyć starań, aby ich nie puścić przez pierścień. Ostrzegłem ich przed tego rodzaju próbą, jeśli jednak mimo to chcieli nas atakować, to na nich wyłącznie spadała odpowiedzialność za skutki.

Wróciłem czym prędzej i ściągnąłem połowę moich ludzi, aby ustawić w miejscu panującym nad linią. Żołnierze uklękli gęsto koło siebie, trzymając strzelby w pogotowiu. Zaledwie ich ustawiłem, usłyszałem szelest i chwilę później dostrzegłem, że się ostrożnie na czworakach naprzód posuwają. Lufy strzelb zniżyły się i na dany przeze mnie znak huknęły. Echo odbiło się od skały, a z nim

zmieszały się krzyki ranionych i uciekających.

Cofnęli się i widocznie stracili odwagę. Ściśnięci gęsto żołnierze zajęli poprzednie swe stanowiska tak, ażeby półkole było zamknięte.

Wtem nadbiegł ktoś z tyłu i zbliżywszy się do mnie, zawołał:

— Effendi, effendi, gdzieś ty? Ja ciebie szukam.

Był to nieszczęsny Selim. Ten gałgan robił wszystko przewrotnie.

— Stul gębę! — odpowiedziałem mu. — Dlaczego wrzeszczysz?

— Abyś mnie usłyszał, effendi.

— Jesteś głupi! Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że i nieprzyjaciel słyszy twoje wołanie.

— Jeżeli posłyszysz, to nawet najśmielszy ze strachu zadrży.

— Jesteś głupi i baty ode mnie dostaniesz, bo wszystko nam swoim wrzaskiem zepsułeś, a w każdym razie jesteś winny krwi, która teraz popłynęła.

— Allach kehrim, Boże, bądź nam miłościwi Słyszałem huk po skałach. Czy może zbójcy naszych żołnierzy wystrzelali?

— Tak jest. Dzięki tobie wszyscy do ostatniego zginęli i tylko ja sam zostałem.

— Więc uciekajmy! Prędkiej, prędkiej, effendi, chodź! Wziął mnie za rękę, by mnie pociągnąć za sobą.

— No, nie bój się, stary tchórze! To były nasze strzały i nieprzyjaciele ustąpili przed nami.

— Hamdullillah! Wiedziałem, że ich mój głos przerazi i do odwrotu skłoni. Mojego krzyku lękają się nawet najwięksi bohaterowie i najśmielsi wojownicy, gdyż to jest głos najzuchwalszego wojownika z potężnego plemienia Fessarów.

— Mylisz się, bo to ryk największego osła, jakiego kiedykolwiek widziałem i z pewnością nawet mysz nie ucieknie przed tobą. Głupcze, poproś Allacha, żeby choć raz w życiu dał ci myśl jakąś trafną. Jeńcy oczywiście umknęli?

— To szejek Monassyrów ich puścił.

— Szejek? Przecież byli pod twoją strażą, nie jego.

— Istotnie mnie powierzono nad nimi opiekę, ale posłuchaj, opowiem ci wszystko, ażebyś poznał, że jestem niewinny, i owszem jak największych dołożyłem starań, ażeby wrogów naszych, łowców niewolników, napełnić strachem. Siedziałem tam na górze przy jeńcach, a szejek był przy mnie.

Rozmyślałem nad tym, co jako mężny wojownik mam czynić w tak odpowiedzialnym położeniu. Tu na dole mogło przyjść już za chwilę do walki, tam jeńcy mogli się zerwać do ucieczki; trzeba było uzbroić się i przygotować na jedno i drugie. Po namyśle nabiłem strzelbę trzema, a pistolet dwoma kulami.

— I dałeś podwójną ilość prochu?

— Nawet potrójną, gdyż im więcej kul, tym więcej prochu; to stara reguła bohaterów.

— Człowiecze, czyś ty oszalał? Twoja nieszczęsna rura pękłaby podczas wystrzału i ciebie by poraniła!

— Przenigdy! Czyż nie wiesz, effendi, że trafia się tylko tego, do kogo się mierzy? Czyż sądzisz może, żebym wylot lufy odwrócił ku sobie?

— Jesteś skończony bałwan! Nabiłeś strzelbę trzema kulami, bo chciałeś sobie w ten sposób dodać wobec jeńców powagi; tymczasem osiągnąłeś skutek wprost przeciwny, bo się potem strzelby twej obawiać nie potrzebowali.

— Effendi! Pogląd twój z gruntu fałszywy, chociaż i szejk twierdził to samo.

— Przy jakiejże sposobności on to powiedział?

— Kiedy chciałem strzelać do zbiegów.

— A jakże mogli uciekać, kiedy byli skrupowani?

— Byli skrupowani, a ja dla ostrożności badałem więzy od czasu do czasu. Łajdaki śmiali się z tego, ale ponieważ tylko głupi się śmieją, okryłem się godnością głębokiego milczenia. Mówili bardzo dużo z szejkiem.

— Cicho, czy głośno?

— Oczywiście, że cicho. Z początku wezwałem ich, żeby mówili zrozumiale, gdyż jako ich dozorca, chciałbym wiedzieć, co mieli sobie do powiedzenia, lecz oni sami zwrócili moją uwagę na to, że głośną rozmowę mogliby tu na dole usłyszeć nieprzyjaciele. Ponieważ to popsułoby plan twój, pozwoliłem im chętnie na przyciszoną rozmowę. Zdaje mi się, że w ten sposób znacznie się przyczyniłem do tego, że plan twój ci się powiódł.

— Co o tym wszystkim myślę, powiem ci później, teraz tylko chcę wiedzieć, w jaki sposób zbiec im się udało.

— W jaki sposób? Bardzo łatwo. Szejk dobył noża, przeciął jeńcom więzy, zanim miałem czas temu przeszkodzić, a oni zerwali się i uciekli.

— Szejk? Czy może z nimi razem uciekł?

— Nie, został. Siedzi jeszcze na górze tam, gdzie przedtem.

— Czy powiedział ci, co skłoniło go do tego czynu?

— Nie, ale tobie chce to powiedzieć. Kiedy ci łajdacy uciekli, wymierzyłem ze strzelby, ażeby ciała ich przeszyć tymi trzema kulami, on jednak broń mi odebrał, twierdząc, że lufa przy strzelaniu pęknie. Ustąpiłem, bo nie jest wykluczone, że strzelba popsuta, a w takim razie w rękach mogłaby mi pęknąć. O własne życie wprawdzie nie dbam — ciebie jednak nie chciałem pozbawiać mojego towarzystwa i opieki. Dałem za wygraną i ograniczyłem się do tego, że ci o ucieczce od razu ze szczytu skały doniosłem.

— W którym kierunku pobiegli?

— Kto w takiej ciemności może rozpoznać kierunek? Uciekli, ale dokąd, to tylko Allah wie. Gdyby szejk nie był przeciał im więzów, siedzieliby jeszcze tam na górze pod nadzorem moich bystrych oczu, których nic ujść nie zdoła. Cóż robić! Uciekli. Jestem teraz znowu do twojej dyspozycji, więc powiedz mi, co mam czynić? Czy chcesz, żebym natychmiast zaatakował łowców?

— Nie, nie! Usiądź sobie gdzieś na uboczu i całkiem się do niczego nie wtrącaj. To będzie jeszcze najlepsze. A gdzież jest twoja strzelba?

— Leży na górze.

— Dlaczego jej nie przyniosłeś?

— Nie przyniosłem jej, bo prawdopodobnie jest uszkodzona. Zresztą druzgocące wrażenie głosu mojego większe ci w walce z łowcami korzyści przyniesie niż sto strzelb.

— Ja ci jednak mimo to najsurowiej nakazuję, ażebyś siedział cicho. Nie chcę ani słyszeć twego głosu ani widzieć tu ciebie dłużej. Idź na górę i siedź tam z dozorcami wielbłądów! Prawdopodobnie im nie przyniesiesz nieszczęścia.

Chciał się sprzeciwić, lecz odszedłem i zostawiłem go samego. Przede wszystkim uszczupliłem nasz oddział o trzech ludzi, których posłałem za Selimem. Obawiałem się mianowicie, aby zbiegowie nie wrócili i nie zabrali nam wielbłądów, bez których ucieczka nie mogłaby im się udać. Teraz dopiero znalazłem czas do pomówienia z porucznikiem. I jego także złościła ucieczka jeńców, lecz tego nie można było już cofnąć, ani myśleć o pościgu. Była noc, a nam potrzeba było ludzi tak bardzo, że nie mogliśmy się obejść ani bez jednej osoby.

Noc przeszła, a oblężeni nie spróbowali po raz wtóry przebić się przez nasz pierścień. Kiedy ciemność zaczęła w wadi ustępować przed dniem, zobaczyliśmy zbójców obozujących dokoła namiotów. Z postawy ich wnosić należało, że przez całą noc spodziewali się ataku.

Kto teraz rzucił okiem na sytuację musiał przyznać, że była dla nas o wiele korzystniejsza. Łowcy mieli wprawdzie lepszą osłonę, ale pozbawieni strzelb nie byli już dla nas niebezpieczni. Kazałem sprowadzić Ben Kazawiego, by z nim pomówić. Na twarzy dowódcy zbójów malowała się ponura zawziętość, a kiedy objął okiem plan całej, zasępił się jeszcze bardziej.

— Cóż ty na to? — zapytałem go. — Kto tu ulegnie, my czy wy?

Przypatrzył się naszym ludziom i rzucił potem szukające spojrzenie na wadi w górę i na dół.

— Kogo szukają oczy twoje? Czy może Ibn Asla? On jeszcze tu być nie może. A może oglądasz się za mokkademem albo kuglarzem? Oni ci także pomocy nie przyniosą. Nie mają broni ani wielbłądów, a ludzie, których wyślę za nimi, dościgną ich bardzo prędko.

— Allach'! Allach! Kto poradzi na kismet — mruknął pod nosem.

— Nikt — odpowiedziałem — a twój kismet to śmierć.

— Kiedy mam umrzeć?

— Za kwadrans.

— Czy mnie każesz zastrzelić?

— O nie! To byłaby dla ciebie zbyt zaszczytna śmierć. Strzyzek każę ci włożyć na szyję, a wielbłąd będzie cię włóczył.

— O Mahomecie, o Abu Bekrze! Jak może wierny ginąć od stryczka?

— Nie biadaj! Łotr jest łotrem, czy nazywa się muzułmaninem, czy Żydem, czy poganinem. Otrzymasz to, co ci się należy.

— Każdy człowiek jest niewolnikiem swojego przeznaczenia i dlatego nie powinieneś winy we mnie szukać.

— Bardzo łatwo znalazłeś usprawiedliwienie dla siebie, mimo to nie sądz, żebyś w ten sposób rozszerzył pętlę stryczka, który ci przeznaczony. Masz przed sobą jeszcze tylko dziesięć minut życia.

— Nie bądź tak nagły, effendi. Daruj mi życie, a ja ci w zamian daruję niewolnice.

— Nie masz prawa darowywać ludzi; oni są tylko Boga własnością.

— To weź nasze wielbłądy.

— One należą już do mnie, wystarczy rękę wyciągnąć.

— Weź sobie wszystkich moich ludzi i pozabijaj ich, tylko mnie puść wolno!

— Człowiecze, tyś nie tylko złoczyńca, ale i tchórz, jakich mało. Pomagałeś może w zabijaniu

tysiący biednych Murzynów, a sam drżysz, kiedy ci teraz śmierć w oczy zaglądała. Czy sobie sprawy z tego nie zdajesz, jaki bezbożny i szatańsko samolubny jest twój wniosek? Ażeby jednego nie wydać na zasłużoną karę, mam zabić pięćdziesięciu ludzi? Zgroza mnie przejmuje, kiedy na ciebie patrzę.

— Niech cię przejmuje. Ja chcę żyć, żyć, żyć! Daruj mi życie, a uczynię wszystko, czego ode mnie zażadasz.

Ten drab skomlał ze strachu przed śmiercią jak dziecko. Porwało mnie obrzydzenie. Chcąc już raz skończyć tę niemiłą rozmowę, zapytałem:

— Czy dotrzymasz słowa, gdy go zażadam?

— Przysięgnę ci na wszystko, co chcesz — odpowiedział, odetchnąwszy swobodniej.

— Dobrze. Będę łaskawszy aniżeli na to zasługujesz. Przypominam ci, żeś żądał ode mnie, abym cię wydał reisowi effendinie i jestem gotów życzenie twoje spełnić, jeśli uczynisz, co ci każę.

— Rozkaż tylko, effendi, a będę posłuszny.

— Nie chcę dalszego przelewu krwi. I tak macie już dość zabitych i rannych. Winien temu twój współjeniec, który zdradziecko użył wolności do tego, aby twoich ludzi zachęcić do oporu. Ale niech na tym będzie koniec. Widzisz chyba, że opór wasz daremny. Albo wystrzelamy was z naszych strzelb dalekonośnych, jednego po drugim, albo odważycie się na atak ogólny i padniecie od naszych kul, zanim zdolacie nas dosięgnąć nożami. Poddajcie się dobrowolnie, a przyrzekam wam, że nie zabiorę wam życia, tylko oddam w ręce reisa effendiny.

Twarz jego rozjaśniła się rychło. Znał on braki egipskiego sądownictwa, zwłaszcza tutaj w tych stronach, i zamajaczyła mu w oczach nadzieja, że zdoła się z rąk sędziów wykupić. Być może, że i sprawiedliwość reisa effendiny uważał za przekupną, gdyż odpowiedział natychmiast:

— Przystaję na twoje żądanie.

— A czy twoi ludzie będą ci posłuszni?

— Nie wątpię o tym, gdyż najmniejsze nieposłuszeństwo pociąga u nas za sobą karę śmierci. Bez tej surowości trudno by było jakiegokolwiek wyprawy na niewolników urządzać.

— W jaki sposób chcesz im swój rozkaz ogłosić?

— Puść mnie do nich!

— Tego zrobić nie mogę.

— W takim razie pozwól mi zawołać jednego z ludzi, z którym się porozumiem.

— Dobrze, ale to porozumienie musi się odbyć w mojej obecności.

Wspomniałem już, że nasi żołnierze mieli z sobą wielki zapas kajdan. Posłałem teraz jednego z nich na górę, ażeby sprowadził je na wielbłądzie. Na wezwanie Ben Kazawiego przyszedł jakiś człowiek i usiadł przy nim na ziemi. Dowódca zawiadomił go o swoim postanowieniu i wytłumaczył mu, z jakich je powziął powodów. Następnie powstał, przypatrzył mi się wzrokiem ponurym i rzekł:

— Effendi, zabrałeś nam strzelby i możesz nas wystrzelać, jeśli ci się spodoba; wiemy o tym i dlatego ci się poddajemy, pamiętaj jednak o przyrzeczeniu, że wydasz nas reisowi effendinie. Ale nie sądź, że nam życie odbiorą. Takiej przyjemności nie robi chrześcijaninowi żaden sędzia egipski. Może zobaczymy się kiedyś, później; wtedy ty będziesz się musiał poddać!

Odszedł, a tymczasem powrócił wysłany po łańcuchy żołnierz, prowadząc za sobą wielbłąda. Ogromny stos łańcuchów złożono na ziemi. Każdy łańcuch miał obrączki na ręce i nogi. Kogo w takie kajdany zakuto, był już pewny, zwłaszcza tu na pustyni, że nawet w razie ucieczki musiałby umrzeć z głodu i pragnienia.

Łowcy stali dokoła pełnomocnika, a on tłumaczył im coś długo, natarczywie, po czym rozwinęła się między nimi bardzo ożywiona dyskusja. Widocznie na kapitulację nie wszyscy się zgadzali. W końcu jednak dali się przekonać i pełnomocnik wrócił z oświadczeniem, że się wszyscy poddają. Na widok kajdan doznał niemiłej niespodzianki i zapytał:

— Tu leżą kajdany żelazne; czy one może dla nas przeznaczone?

— Tak — odpowiedziałem.

— Na to nie możemy się zgodzić!

— A jednak będziecie musieli.

— Nigdy! Jesteśmy ludźmi wolnymi i nie pozwolimy się krępować.

— Wolnymi ludźmi? Znajdujecie się w naszej mocy i ja mam was wydać reisowi effendinie, a ty to nazywasz wolnością?

— Wszystko to prawda, kajdany jednak niepotrzebne.

— Być może, mimo to jednak każę je wam założyć. Wy transportujecie jeńców męskiego rodzaju zawsze w kajdanach, chociaż wiecie, że się wam na pustyni nie wymkną. Wzbogacie swoją wiedzę, kiedy na sobie poczujecie, jak to przyjemnie dźwigać na nogach żelazo; cieszcie się, że wam darowałem życie, kajdan jednak żadną miarą nie unikniecie.

— Ludzie będą się wzbraniaли je włożyć!

— To mi obojętne. Kto będzie się opierał, dostanie kulę w łeb.

— Effendi, zastanów się nad tym, że nie jesteśmy jeszcze pojmani i możemy się bronić.

— Spróbujcie tylko! Jeśli stawicie opór, nikt z was nie ujdzie z życiem.

— Więc muszę jeszcze raz przejść na drugą stronę, ażeby to towarzyszom przedstawić. Jeśli nie wrócę w ciągu kwadransa, będzie to znakiem, że zamierzamy się bronić.

— A dla mnie będzie to znak, że szukacie śmierci. Gdy upłynie kwadrans, okulawię największych waszych krzykaczy, strzelając do każdego z nich w prawe kolano. Gdy zobaczycie, że celnie strzelam, nie wątpię, że się na kajdany zgodzicie.

Oddalił się z wahaniem; okulawienie strzałami zaniepokoiło go trochę. Kiedy przyszedł do swoich i powiedział im o co chodzi, podnieśli wrzask gniewu. Przybliżyłem się o parę kroków, ażeby zapamiętać sobie tych, którzy gwałtownością gestykulacji dowodzili, że najbardziej się sprzeciwiają. Rozwinęła się dyskusja, której rezultatem było postanowienie, aby nie ulec bez walki. Widziałem, że przygotowali noże i załadowali swoje pistolety.

Tymczasem kwadrans minął. Przyłożyłem tedy strzelbę do ramienia i wziąłem na cel największego krzykacza. Gdy wypaliłem, podskoczył w górę i padł na ziemię; zdruzgotałem mu kolano. Odpowiedzią na strzał było wściekłe wycie, a jeden z łowców wystąpił naprzód i groził mi nożem. Strzelbę miałem znowu gotową do strzału i jemu więc posłałem kulę; padł także trafiony w to samo miejsce, co tamten. Ponowne, zdwojone wycia odpowiedziały mi na to, ja zaś nabiłem strzelbę czym prędzej.

Pośrednik cofnął się nieco za drugich, chcąc tym widocznie zaznaczyć, że się z towarzyszami nie zgadza. Zaczął im znowu tłumaczyć, ale argumenty jego przyjęto nieprzychylnie, bo jeden z łowców przystąpił do niego i zaczął mu nożem machać przed twarzą. Niedługo groził, bo i jego moja kula powaliła na ziemię.

Teraz już krzyczeć przestali. Widocznie trafność dwóch pierwszych strzałów uważali za czysty przypadek, trzecia kula jednak dowiodła im, że się pomylili i że ich wszystkich w podobny sposób mogę poczęstować. Ranni wili się z bólu na ziemi, inni w trwodze oczekiwali, na kogo z nich kolej teraz przyjdzie. Pełnomocnik przemawiał do nich pospiesznie i natarczywie, a kiedy znowu podniosłem strzelbę, żeby wymierzyć, wykonał ręką ruch przeczący i zawołał:

— Nie strzelaj, effendi, wstrzymaj się jeszcze na chwilę!

— Tylko na minutę — odrzekłem, spuszcżając strzelbę. Szczególne, że tym drabom nie przyszło na myśl ukryć się za namiotami; w każdym razie dałoby im to chwilową przynajmniej zasłonę. Kiedy upłynęła minuta i podniosłem strzelbę, żaden z nich nie chciał być trafiony. Odrzucili broń, a pośrednik zawołał wznosząc ręce do góry błagalnie:

— Zatrzymaj się! Wszyscy się poddajemy! Nie strzelaj! Nie strzelaj!

— W takim razie przejdźcie na tę stronę, ale po jednym i bez broni! U kogo broń znajdziemy, ten będzie wisiał.

On sam był pierwszy. Przyszedłszy do mnie powiedział:

— Effendi, tyś straszny człowiek, a kule musiał ci lać sam diabeł. Wierzę, że byłbyś nas jednego

po drugim okulał. Wolimy zatem pogodzić się z losem. Oto moje ręce, każ mi założyć kajdany!

Życzenie jego kazałem natychmiast spełnić. Kiedy już był zakuty, wołał swoich ludzi jeden po drugim, oni zaś przychodzili tak, jak ich wołano, na tę stronę, gdzie otrzymywali kajdanki. Nikt nie powiedział ani słowa, ale spojrzenia ich były tym wymowniejsze. Biada mi, gdybym kiedyś później miał któremu z nich wpaść w ręce. Brzydal przyszedł na ostatku i on jeden nie zdołał w milczeniu pogodzić się z losem. Mijając mnie pokazał mi pięść i zagroził:

— Dzisiaj mnie, a jutro tobie. Policzymy się!

— Uważaj, żebyś wtedy przyczynku nie dostał — odpowiedziałem.

Ranni nie mogli przyjść i musieliśmy udać się do nich. Kiedyśmy się już uporali z łowcami, otworzyły się namioty i uwolnione niewolnice wybiegły naprzeciw nam. Nastąpiła scena, którą wprost trudno opisać.

Twierdzą ludzie, że piękniejsza połowa rodzaju ludzkiego przewyższa brzydką znacznie pod względem obrotności języka. Nie wiem, czy to zdanie jest zupełnie słuszne, w każdym razie jednak nawet najbardziej zdecydowany przeciwnik tego twierdzenia musiałby przyznać w tej chwili, przynajmniej odnośnie do kobiet Fessara, że jednak to zdanie jest słuszne. Sprawność ich ust była isticie zastraszająca. Tak nas zarzucono pochwałami i wyrazami uwielbienia, że nikt z nas do słowa przyjść nie zdołał i bezradni musieliśmy słuchać w milczeniu. Otoczono mnie dokoła, a wszystkie niewolnice cisnęły się jedna przez drugą i mówiły do mnie naraz. Każda wołała, piszczała lub śpiewała, przy czym ze sto rąk wyciągnęło się do mnie. Rozstawiłem nogi, by stać mocno, jak skała w morzu, ale to nic nie pomogło, gdyż popychano mnie tak, że ledwie mogłem utrzymać się na nogach.

Wyjątek stanowiła tylko jedna Marba, córka szejka. Stała z daleka nie biorąc udziału w tym niewieścim hałasie. Kiedy potem zauważyła, że mnie już to wszystko zaczęło trochę nużyć, wydała przeraźliwy okrzyk, na który moje piękne ustąpiły natychmiast i stanęły za nią. Potem przyszła do mnie, podała mi rękę, spojrzała na mnie wielkimi poważnymi oczyma i rzekła:

— A więc to ty jesteś, tak wyglądasz, effendi! Przypatrywałyśmy się tobie i widziałyśmy, jak przełamałeś opór naszych dręczycieli. Dziękujemy ci i prosimy, żebyś pozwolił dla uczczenia naszego uwolnienia wykonać „fantazję”.

Beduin namiętnie kocha się w fantazjach i przy każdej sposobności rad by je święcić; chętnie bym i teraz na podobną zabawę pozwolił, ale te zacne panie potrzebowałyby z pół dnia przynajmniej, by się odpowiednio ustroić, potem nastąpiłyby kołowroty, tańce i powracające ustawiczne śpiewy „lululululu”, które by nam zbyt dużo drogiego czasu zajęły. Rad nie rad odpowiedziałem Marbie w ten sposób:

— Bardzo się będę cieszył, jeśli waszą fantazję zobaczę, nie może jednak odbyć się ona wcześniej, aż uwolnienie wasze będzie już dokonane. Nie pochwyciliśmy jeszcze Ibn Asla, a dopóki on wolny, nie możemy myśleć o takiej uroczystości ocalenia.

— Effendi! Przecież ty nie potrzebujesz się go obawiać. Skoro pokonałeś wszystkich jego ludzi, a żadnemu z was nie spadł przy tym włos z głowy, z pewnością także i z nim samym uporasz się bez trudu.

— Nie boję się Ibn Asla i mam nadzieję, że i z nim uporam się prędko, choć nie nadejdzie sam, ale z wojownikami. Nie mówiłem ci jednak, że nam umknęli dwaj ważni jeńcy, za którymi bezzwłocznie muszę w pogoń wyruszyć.

— Jeśli tak, to cofam moją prośbę, effendi, ale kiedy wrócisz, pozwolisz nam wykonać pieśni chwały i podziękii.

— Wtedy nawet sam chętnie wezmę w zabawie udział. Teraz muszę przede wszystkim zobaczyć rannych.

Chciałem już odejść, lecz Marba przytrzymała mnie za rękę i rzekła:

— Zaczekaj jeszcze chwileczkę! Ci ludzie nie zasługują na to, żebyś spieszył się dla nich. Jeśli zginą z ran swoich, sami tego chcieli.

— Ale są przecież ludźmi!

— Nie, to drapieżne zwierzęta i zanim puszcę cię do nich, proszę cię, żebyś mi powiedział, co stanie się z nami i z nimi?

— Was zaprowadzimy do Berberu, skąd znowu reis effendina odeśle was do ojczyzny.

— Ale i ty, effendi, musisz tam z nami jechać, ażeby nasi ojcowie i bracia mogli ci podziękować. A co stanie się z rozbójnikami?

— Oddam ich reisowi effendinie, ażeby zostali ukarani.

— Przez kogo?

— Przez sędziów kedywa.

Machnęła ręką wzgardliwie i rzekła:

— Znamy dobrze sprawiedliwość tych ludzi! Ibn Asl nie obrabował sądu, lecz nasze plemię, a więc nie sąd, lecz nasze plemię powinno sądzić tych rozbójników!

— Twojego życzenia, Marbo, żadną miarą spełnić nie mogę.

— A czy spełni je reis effendina?

— Nie. Prawa nie pozwalają mu na to.

— Jeżeli tak, to te prawa są bardzo niesprawiedliwe. Pomyśl sobie tylko, co ci rozbójnicy zrobili!

Czy mam ci ich zbrodnie wyliczyć? Jaka będzie ich kara? Nasze matki i dzieci leżą pozabijane na piaskach pustyni, a co my musiałyśmy znieść w drodze, to opowiedzieć trudno. Zasłużyli na srogą zemstę z naszej strony. Effendi, proszę cię, bądź wobec mnie szczery i powiedz prawdę! Czy naszym wojownikom będzie wolno się zemścić?

— Nie.

— Dziękuję ci, to dobrze!

Oczy jej rozplomieniły się groźnie, kiedy mówiła te słowa, po czym cofnęła się do swych towarzyszek, ja zaś poszedłem do rannych. Z zaciśniętymi zębami znosili cierpienia i nawet nie spojrzeli na mnie, kiedy ich z pomocą Ben Nila opatrywałem. Tam, gdzie w nocy pierwsze strzały padły, leżały cztery trupy, a przy wielbłędach znalazłem kilku ciężko rannych, opatrzonych już przez towarzyszy.

Z kolei chciałem teraz zlustrować namioty, musiałem się jednak zwrócić w inną stronę, gdyż usłyszałem za sobą jakiś niehumaniczny krzyk. Odwróciwszy się, zobaczyłem Selima, który, wywijając rękami jak wiatrak, biegł ku obozowi i ryczał:

— Chwała, dzięki, sława, cześć! Zwyciężyliśmy ich. Leżą rozgromieni i zdruzgotani. Plwajcie na te psy tchórzliwe.

Popędził do jeńców, stanął przed nimi w chwili właśnie, kiedy tam nadszedłem, i chociaż tchu nie mógł złapać, zaczął do nich krzyczeć:

— Nareszcie mamy was, wy niegodni, wy nędzni. Sępy was pożrą, a szakale i hieny rozwłoką wasze kości. Potęga mego ramienia powaliła was, a blask mej sławy nałożył wam łańcuchy. Spójrzycie na mnie, a poczujecie drżenie serc waszych na widok bohatera nad bohaterami, największego i najslawniejszego wojownika z wielkiego szczepu Fessarów.

Wezwanie to odniosło nieoczekiwany przeze mnie skutek, bo oto kobiety poznały Selima, a jedna z nich zawołała w zdumieniu:

— Selim el falla el dżabani, Selim umykacz, tchórz! Skąd on się tu wziął? Czego on chce pośród tych mężów walecznych?

Selim zwrócił się do mówiącej i odrzekł, mierząc ją dumnym wzgardliwym wzrokiem:

— Milcz, córko potwarzy; znam ciebie! Usta twoje są trąbą nigdy nie milknącą, przed którą umknie najmężniejszy z bohaterów. Przypatrz się lepiej, a zobaczysz we mnie Selima, zwycięzcę w wielu bitwach, promienny wzór wszystkich wojowników, przykład dla najwaleczniejszych ludów i szczepów!

Odpowiedzią na te słowa był śmiech kobiet, który się chórem zerwał.

— Śmiejecie się? — zawołał z oburzeniem. — Czy wiecie, że ja mogę ukarać was za to. Czy mam tym rozbójnikom zdjąć kajdany i puścić ich wolno, by powlekli was do niewoli, od której was

ocaliłem? Oto ręce moje, którym zawdzięczacie wybawienie. Powinniście je ścisnąć i całować, a wy zamiast tego, chcecie zaćmić blask sławy i pochodnię czci mojej. Zaśpiewajcie raczej o moich czynach i chwale bohaterskiej. A ty, effendi, powiedz tym córkom gadatliwości, kogo mają przed sobą, i nakaz im, aby postać moją otoczyły szacunkiem i poważaniem.

Kiedy się do mnie z tym wezwaniem zwrócił, zapytała mnie kobieta, która przedtem mówiła:

— Effendi, czy ten człowiek należy do twoich? Jak się to stało, że ty temu tchórzowi pozwoliłeś błędzić w swoim cieniu?

— To mój służący — odpowiedziałem.

— Jego sługa, przyjaciel i opiekun — poprawił mnie Selim.

— Co za cud — zawołała — że widzę ciebie, effendi, razem z Selimem, którego za tchórzostwo z naszego szczepu wypędzono.

— Milcz, puzonie bluźnierstwa! Nie wypędzono mnie, lecz poszedłem pod naporem mego męstwa, by spełniać czyny bohaterskie, do czego nie miałem u was sposobności. Teraz wracam opromieniony stu słońcami zaszczytów, a we wsiach Fessarów postawią kiedyś pomniki, które by imię moje przekazały potomności.

Odwrócił się i odszedł w postawie tak dumnej, jakby naprawdę był drugim Cydem lub Bajardem.

A zatem wypędzono go! Było mi żal, że te niewiasty w oczy mu to powiedziały, ale sam sobie musiał winę przypisać, bo niepotrzebnie krzyczał.

Teraz należało przede wszystkim puścić się w pogoń za mokeddemem i muzabirem, a nikomu nie mogłem tego zadania powierzyć. Obecność moja była wprawdzie potrzebna także tu w obozie, lecz sądziłem, że mogę się zdać na porucznika. Kiedy mu powiedziałem o swoim zamiarze, wydłużyła mu się twarz i odpowiedział:

— Effendi, przyznaję ci się otwarcie, iż wolałbym, żebyś został. Prowadzić tak wielu jeńców, a przy tym czuwać nad sześćdziesięcioma kobietami, to na moje siły za trudne.

— Przecież jeńcy zakuci, a kobiety posłuchają cię chętnie. Nic złego spotkać cię nie może.

— Trudno przewidzieć, co się stać może. Z jedną kobietą nieraz już kłopot wielki, a tutaj mamy ich całą kopę. Effendi, nie rób mi przykrości i nie obarczaj mnie tyloma babami. Zresztą i tak nie wiem, jaką drogą mam je poprowadzić.

— Oczywiście przez Bir Murat, dokąd zwrócili się także zbiegowie. Wiedzą oni, że Ibn Asl stamtąd nadejdzie, więc spieszą naprzeciw niego, gdyż tylko w ten sposób mogą uniknąć śmierci z pragnienia.

— Więc ty pojedziesz za nimi, a ja mam iść za tobą?

— Tak.

— Jeśli jednak nie spotkasz się z Ibn Aslem, a on natknie się na nas?

— To i cóż z tego? Czy nie masz dość żołnierzy z sobą? Jemu towarzyszyć będzie najwyżej czterech do pięciu ludzi.

— Jego się wcale nie boję. W ostatecznym razie zrobię krótki proces i każę ich wszystkich wystrzelać, ale kobiety, kobiety, te mnie niepokoją.

— Nie pojmuję, dlaczego. Powsadzasz je do tachtirwanów i odjedziesz. Dlaczego się niepokoisz? Jeńców każ przywiązywać do wielbłądów i dalej w drogę.

— Więc oni mają jechać?

— Oczywiście! Gdyby musieli iść piechotą, dostałbyś się do Bir Murat dopiero za dwa dni. Jeśli pojedą, to już najbliższej nocy przybędziesz nad studnię.

— A ty, effendi, z kim się w drogę wybierasz?

— Biorę z sobą Ben Nila.

— Czy to wystarczy, jeśli się spotkasz z Ibn Aslem?

— Aż nadto! Ufam sobie o tyle, że nawet sam wziąłbym na siebie jego i jego ludzi. Przede wszystkim zależy mi teraz na schwytaniu zbiegów, więc idę, aby się przekonać, czy ślady będzie można odszukać.

Obóz nasz, z którego uciekli, leżał na północnym brzegu wadi, mimo to wszedłem na południowy, gdyż Bir Murat leży w stronie południowej, a nie wątpiłem, że tam właśnie podążyli. Dostawszy się na górę, puściłem się najpierw kawałek drogi wprost na puszcze, potem zwróciłem się na prawo, ażeby, idąc równolegle z wadi, zbadać piasek. Po krótkich poszukiwaniach znalazłem istotnie ślady, wiodące z wadi na pustynię. Wróciłem jeszcze raz do obozu.

Kiedy wczoraj widziałem jak bito Marbę, postanowiłem oburzony ukarać Ben Kazawiego i brzydala, skoro tylko dostaną się w moje ręce. Właśnie teraz postanowiłem zamiar ten wykonać. Kiedy jednak zszedłem ze wzgórza w dolinę, zauważyłem w obozie jakieś poruszenie, którego przyczyny nie mogłem na razie dociec. Kobiety wykrzykiwały z radości, a wśród ich gwaru grzmiał gniewny głos porucznika. Pospieszyłem czym prędzej na dół. Kiedy dostałem się na dno wadi i porucznik mnie zobaczył, podbiegł ku mnie i zawołał już z daleka:

— O, effendi! Patrz, co one zrobiły! Ja temu zupełnie nie winien.

— Co się stało?

— Nie zdołałem temu przeszkodzić; stało się to zbyt nagle. I po cóżeś ty odjechał?

— Więc powiedz, co się stało? Zamiast odpowiedzi biadał dalej:

— I ja mam z tymi kobietami iść sam przez pustynię! To była sprawka jednej, a co będzie, gdy wściekłość ogarnie wszystkie?

— Człowiecze, odpowiadajże na moje pytanie! Chcę wiedzieć, co się stało.

— Morderstwo, morderstwo, podwójne morderstwo! Chodź i popatrz!

— Wziął mnie za rękę i odciągnął tam, gdzie żołnierze i kobiety tworzyły krąg dokoła jeńców. Kiedy nadszedłem otworzyło się koło, a wszedłszy do środka zobaczyłem Ben Kazawiego i brzydala, leżących w kałuży krwi. Wszyscy teraz zamilkli i oczy zwrócili na mnie. Teraz już domyśliłem się wszystkiego i zacząłem szukać wzrokiem Marby. Stała w pobliżu z zakrwawionym nożem w ręku, a patrząc na mnie zuchwale zawołała:

— Ukarz mnie, effendi! Oni mnie bili, a krwawe pręgi można tylko krwią obmyć. Nie chcecie wydać ich mojemu plemieniu, więc odbyłam sąd sama. Z tamtymi zrób, co ci się podoba, ale ci dwaj musieli bezwarunkowo należeć do mnie. Powtarzam: ukarż mnie!

Zbliżyła się i podała mi nóż.

— Czyja to własność? — zapytałem.

— Moja — odrzekł Ben Nil.

— Wyrwała ci go?

— Nie, effendi, prosiła, abym jej pożyczył i ja sam jej go dałem.

— Czy powiedziała ci, na co jej nóż potrzebny?

— Nie tała swego zamiaru, mimo to dałem jej to, czego żądała, gdyż szanuję prawo pustyni. Ci złoczyńcy zasłużyli stokrotnie na śmierć. Sędzia weźmie pieniądze, a ich puści wolno. Może niektórzy z nich otrzymają kije, ale resztę z pewnością zamkną tylko na jakiś czas do więzienia i na tym skończy się wszystko. Mokkadem i muzabir przepadli dla mnie, bo opierałeś się mojej zemście. Byłbym ich zabił i oko Allacha cieszyłoby się, gdyby tych dwóch łotrów na ziemi nie widziało. Tymczasem uciekli i kto wie, czy nam się uda ich schwytać. Oto skutki twoich względów dla ludzi, których raczej bez miłosierdzia należałoby tępić. Jeśli Marbę ukarzesz, ukarż także i mnie, bo i ja jestem współwinnym przelanej krwi tych złoczyńców!

Stanął obok dziewczyny. Cóż miałem począć? Sprawa sama przez się nic mnie nie obchodziła, a nawet zdawało mi się, że ta krwawa zemsta wpłynie pod pewnym względem dodatnio na resztę jeńców. Poszedłem więc do Ben Nila, oddałem mu nóż i rzekłem:

— Sąd o tym, czy jesteście winni, składam w ręce Allacha, Niechaj on was osądzi; ja się do tego nie mieszam.

Usłyszawszy moje słowa, podniosły kobiety radosne okrzyki, natomiast jeniec, który był pośrednikiem między mną i zbrojcami, zawołał z gniewem:

— To wiarołomstwo i zdrada, effendi. Przynależ nam, że nas nie pozabijasz, tylko wydasz reisowi effendinie. Ta dziewczyna popełniła podwójne morderstwo, a ten chłopak pomagał jej w zbrodni. Żądam, żeby oboje zostali ukarani. Życie za życie, krew za krew; oto jest prawo pustyni. Ponieważ wy powołujecie się na nie, musimy żądać go także dla siebie.

— Milcz! — rozkazałem. — Dotrzymam słowa, o ile to w mojej mocy, ale nie odpowiadam za to, co się stanie poza moimi plecami i wbrew mojej woli. Ben Kazawi i tamten drugi bili Marbę i chcieli zabić Ben Nila za pomocą zatrutej strzały. Prawo pustyni wyznacza za jedno i za drugie śmierć. Zginęli, a więc sprawiedliwości stało się zadość. Na razie to tylko ustępstwo mogę wam zrobić, że zabitych każę pochować w pozycji siedzącej z twarzą zwróconą ku Mekce, a onbaszi odmówi nad zwłokami przepisane sury.

Porucznik wzbraniał się teraz jeszcze bardziej niż przedtem przyjąć na siebie odpowiedzialność za transport kobiet. Bał się, żeby Beduinki nie zażądały jeszcze śmierci reszty jeńców i czuł się za słaby na wypadek buntu tych „diablic”, jak je nazwał. Udało mi się jednak rozwiać te obawy i nie tracąc czasu, kazałem Ben Nilowi osiodłać nasze wielbłądy. Selim chciał także jechać z nami, lecz odmówiłem jego prośbie. Zostawiłem wczoraj w obozie lornetkę, więc wyszedłem na górę, żeby ją zabrać. Nie mając właściwie do tego żadnego powodu, spojrzałem przez szkła w kierunku, w którym udali się wczoraj mokedem i muzabir. Daleko na południowym zachodzie coś błyszczało, jakby wyschłe bagno solne. Nie zwracając na to uwagi, zabrałem się do powrotu, a kiedy mijałem jakiś stożek skalny, zobaczyłem w oddali, na samym wejściu do wadi dwu ludzi, którzy na wielbłądach do wąwozu wjechali. Ale na widok obozu cofnęli się czym prędzej za skałę. Zatrzymałem się i w tamtą stronę zwróciłem lornetkę. Za chwilę ukazał się moim oczom człowiek, idący pieszo, który przyciskał się do skały, ażeby go nie widziano. Patrzył on ku nam z wielką uwagą. Choćbym nie widział twarzy, poznałbym go od razu po bogato złotem wyszywanym ubraniu. Co za niespodzianka! Był to reis effendina.

Odległość między nami wynosiła z tysiąc kroków. Wołania nie byłby słyszał, zbiegłem więc na dół ku miejscu, gdzie stał. Zobaczył mnie i poznawszy, wyszedł naprzeciw.

— O, to dobrze, effendi! — zawołał do mnie. — Sądziłem już, że mam przed sobą łowców niewolników.

— Tak też jest rzeczywiście — odpowiedziałem, podając mu rękę. — Schwytaliśmy ich.

— A niewolnice?

— Są także.

— Allach'1 Allach, effendi, jestem tym zdumiony w najwyższym stopniu. W jaki sposób zdołałeś ich schwycić? Gdzie spotkałeś porucznika?

— W Korosko.

— Przypuszczałem, że tam ciebie zastanie. W jaki sposób trafiliście na zbójców?

— Zaraz ci to opowiem. Powiedz mi jednak wprzód, gdzie są twoi ludzie, bo chyba przecież nie jesteś tu sam?

— Żołnierzy moich zostawiłem za skałą. Sam pojechałem naprzód, a zobaczywszy obóz i sądząc, że mam przed sobą rozbójników, cofnąłem się czym prędzej i zsiadłem z wielbłąda, ażeby obserwować ich potajemnie. Tymczasem szczęśliwie natknąłem się na ciebie. Opowiem ci później co mnie tutaj przywiodło; teraz chodźmy przede wszystkim do obozu.

Na okrzyk reisa effendiny wysunęli się zza skały żołnierze. Było ich może więcej niż czterdziestu, dobrze uzbrojonych, na smukłych wielbłądach. Na ich czele udaliśmy się teraz do obozu.

Moi dotychczasowi podwładni, zobaczywszy swojego władcę, przywitali go głośnymi objawami radości.

Żołnierze mieszały się z sobą, witali się i ściskali serdecznie i zaczęli sobie nawzajem opowiadać przygody, jakie przeżyli. Reis nie troszczył się z początku wcale o jeńców, ani o uwolnione kobiety. Musiałem z porucznikiem i starym onbaszikiem siąść obok niego, gdyż chciał przede wszystkim dowiedzieć się o przebiegu całej sprawy. Zostawiłem opowiadanie porucznikowi i onbaszikiem, którzy tak się rozplęwali w pochwałach dla mnie, że musiałem im wciąż przerywać.

Upłynęła prawie godzina, zanim opowiedzieli wszystko, gdyż żadnego, nawet najdrobniejszego szczegółu nie chcieli ominąć. Kiedy się reis już o wszystkim dowiedział, uścisnął mi rękę i rzekł:

— Zdawało mi się, że cię znam, a tymczasem nie znałem cię wcale, effendi. Byłem pewny, że dam w tobie moim ludziom dobrego doradcę, ale nie spodziewałem się, żebyś był tak chytrym i przebiegłym dowódcą. Muszę przyznać, że to, co słyszę, przechodzi wszelkie moje oczekiwania. Myślałem, że będę musiał walczyć z rozbójnikami, a tu tymczasem bez walki wszystko zrobione.

— A zatem wiedziałeś, że zastaniesz ich tutaj? Od kogo?

— Wśród moich ludzi był zdrajca, członek Kadiriny, który...

— Masz na myśli Ben Meleda?

— Skąd ty go znasz?

— Bo to on doniósł morkademowi o twoim planie.

— Otrzymał już za to nagrodę. Wygadał się z tym przed drugim, a tamten o wszystkich mi doniósł. Dowiedziałem się więc, że morkadem i muzabir udali się do tego wadi, ażeby spotkać Ibn Asla. Zarekwirowałem czym prędzej wielbłądy i ruszyłem w drogę, zdrajca zaś otrzymał taką bastonadę, że nie przyda się już na nic Kadirinie. Jechaliśmy dziś przez całą noc i szukaliśmy studni, aż znaleźliśmy wreszcie ją i ciebie.

— Dzięki za to Allachowi! — westchnął porucznik. — Ponieważ sam przybyłeś, spada mi z głowy

troska o te kobiety. Wolę walczyć ze stu nieprzyjaciółmi aniżeli transportować tych sześćdziesiąt diabolic. Ta Marba kłuje nożem dokoła siebie, jak dziki Sudańczyk. Jest najmłodsza i najpiękniejsza z tych wszystkich niewolnic; jakież w takim razie muszą być starsze? Nie potrafiłem przeszkodzić morderstwu.

— Ja sam nie byłbym mu przeszkadzał. Niech cierpi ten, kto zadaje cierpienia — rzekł reis effendina poważnie, używając zwykłego swego hasła. — Teraz wiem wszystko i chcę przypatrzeć się obozowi i ludziom.

Poszedł z nami do namiotów, przed którymi siedziały kobiety. Dowiedziały się już kto on jest i czekały niecierpliwie, jak się wobec nich zachowa. Zamordowanie Ben Kazawiego i brzydala niepokoiło je jeszcze. Podniosły się, on spojrzał na nie wzrokiem przychylnym, ale poważnym. Pokazałem mu Marbę, a on przystąpił do niej i zapytał:

— To ty zabiłaś dwu ludzi?

— Przebacz panie, effendi także przebaczył.

— Nie mam nic do przebaczenia, gdyż postąpiłaś sprawiedliwie. Niech cierpi ten, kto zadaje cierpienia. Wszystko, co wam zrabowano, otrzymacie, o ile się tylko znajdzie. Dam wam dwudziestu żołnierzy, a ponieważ effendi was uwolnił, on poprowadzi waszą karawanę.

Odwrócił się i poszedł do jeńców. I oni już słyszeli, że przybył do obozu reis effendina, wiedzieli więc, że los ich rozstrzygnie się niebawem. Przebiegł powoli ich szeregi surowym i ponurym wzrokiem. Posiadał on różne, nadzwyczajne pełnomocnictwa i przyznam się, że sam byłem ciekawy, co postanowi. Musiałem mu pokazać pośrednika, do którego zwrócił się ostro:

— Odpowiesz mi w imieniu wszystkich! Czy Ibn Asl jest waszym wodzem?

— Tak.

— Więc to wy uprowadziliście córki Fessarów?

— Tak.

Oba te „tak” nie brzmiały jakoś tak pewnie, jak wtedy, kiedy mnie odpowiadał. W całym zachowaniu się i w postawie emira było coś takiego, co nie budziło zbyt wielkich nadziei i wykluczało długą odpowiedź lub mowę obronną.

— Zabiliście przy tym wielu ludzi? — brzmiało trzecie pytanie.

— Tak... niestety... nie można było inaczej — wykrztusił.

— Potem, kiedy ten effendi zażądał, abyście się poddali, groziliście mu, że dzisiaj na was, a jutro na niego kolej przyjdzie?

— Tak.

— Według jakiego prawa chcecie być osądzeni? Czy według prawa pustyni, czy według mego prawa?

— Według twego — odrzekł, odetchnąwszy nieco lżej.

— Usłyszysz mój wyrok, który też zaraz będzie wykonany. Niech cierpi ten, kto zadaje cierpienia.

Odwrócił się, pociągnął mnie za sobą i spytał:

— Effendi, jakbyś ty ich ukarał?

— Sądownie.

— Ja teraz jestem sędzią. Otrzymałem prawo wydawania wyroków, zarówno jak ich wykonywania, chciałbym jednak usłyszeć twoje zdanie. Czy zasłużyli oni na śmierć?

— Tak, ale zważ, że Bóg jest miłosierny.

— Allach jest miłosierny, więc niech nim będzie i dla nich. Ty jesteś chrześcijaninem i chętnie zwracasz oczy w górę ku wiecznej łasce. Ja mam być przede wszystkim sprawiedliwy i...

— Czekaj, co to? — przerwałem mu. — Tam na górze leży jakiś człowiek!

Przy słowach „w górę ku wiecznej łasce” podniósł reis effendina rękę ku niebu. Oko moje zwróciło się mimo woli w tym kierunku i ujrzałem twarz wysuniętą poza krawędź skały. Kiedy spojrzałem w górę, znikła natychmiast.

— Człowiek? — zapytał. — Kto by to mógł być? Może muzabir, albo mokedem?

— Nie, ci dwaj nie zbliżą się tutaj. Ale na krótko przed twoim przybyciem widziałem na widnokręgu biały punkt, który wziąłem za błyszczącą kałużę soli. Może to był człowiek w białym burnusie?

— To spiesz na górę i przypatrz mu się! Niech z tobą idzie Ben Nil, bo rozumny i odważny i możesz zdać się na niego.

Zawołałem Ben Nila, wziąłem strzelbę i poszedłem jak mogłem najprędzej na górę. Nie wątpiłem, że podsłuchiwaniec zauważył, dokąd dążymy i że pewnie będzie umykał. Toteż posłałem Ben Nila po nasze hedżiny, żeby w razie potrzeby urządzić za nim pościg. Przyszedłem na górę właśnie w chwili, kiedy nieznajomy wsiadł na wielbłąda i odjechał. Miał na sobie czysty biały burnus, a i wielbłąd jego był tej samej barwy. Chciałem strzelić do zwierzęcia, aby jeźdźca pochwycić, lecz moje oko znawcy splatało mi figła. Kiedy wzrok mój padł na wielbłąda, kiedy zobaczyłem jego kształty i ruchy, wpadłem w taki zachwyt, że zapomniałem o strzelaniu. To był hedżin! Dziesięć takich, jak mój, nie dorównałoby jego wartości. Stałem ze strzelbą gotową do strzału, a kiedy wreszcie zapanowałem nad podziwem, jeździec oddalił się już tak daleko, że kula nie mogła go osiągnąć. Odwrócił się jeszcze i wywijał ku mnie szydyczko strzelbą.

Zdawało mi się, że upłynęła godzina, zanim Ben Nil sprowadził wielbłądy. Wsiedliśmy na nie i popędziliśmy za jeźdźcem. Rozwinęliśmy największą możliwą szybkość, ale wszystko na próżno. Już po upływie dziesięciu minut nabrałem przekonania, że nie zdołamy doścignąć białego jeźdźca. Odległość między nami rosła z każdym krokiem, postać jego zmniejszała się coraz bardziej, a kiedy już wyglądał na widnokręgu jak biały punkt, wielkości orzecha laskowego, powstrzymałem wielbłąda, by wrócić do wadi. Ben Nil uczynił to samo, ale gdybyśmy byli wiedzieli, kim był ten jeździec, nie darowalibyśmy sobie tak łatwo jego ucieczki.

Przybywszy w pobliże wadi, usłyszałem jakiś głuchy odgłos, wydobywający się z głębi. Brzmiało to jak grzmot, tylko nie tak silnie. Czyżby to był ogień karabinowy? Chcąc zejść w dół z wielbłądami, musieliśmy zatoczyć łuk, po czym wąską szczeliną między skałami, niby rynną, zjechaliśmy na dno wąwozu.

To, co teraz ujrzałem, krew mi w żyłach ścięło. Wszyscy łowcy niewolników, z wyjątkiem jednego, leżeli pod skałą długim szeregiem martwi, a naprzeciw nich stał jeszcze szereg żołnierzy, którzy dokonali egzekucji. Emir i porucznik zajęci byli badaniem zastrzelonych, czy w którym z nich nie zostało jeszcze trochę życia. A zatem ów grzmot, który przedtem słyszałem, to była salwa żołnierzy.

Reis effendina, widząc mnie nadchodzącego, przystąpił do mnie, wskazał na trupy i rzekł:

— Oto leżą ci, którzy chcieli, żeby ich sądzić według prawa pustyni. Sądzieli, że się ocalą w ten sposób, lecz ja przybyłem tu, ażeby karać, ażeby wykonywać sprawiedliwość, nie zaś po to, żeby tym mordercom dać możliwość wykupienia się złotem z rąk naszych sędziów.

— Dlaczego jednak wszystkich kazałeś stracić? — zapytałem, nie mogąc oprzeć się uczuciu zgrozy. — Mogłeś ukarać dowodzących, a z dowodzonymi postąpić łagodniej.

— Tak? Mogłem to uczynić? — spytał z zawziętym uśmiechem. — Czy sądzisz, że tu byli rzeczywiście dowodzący i dowodzeni? W takim razie nie znasz stosunków, albo jako chrześcijanin przywykłeś szukać w każdym wypadku choćby pozornych powodów do miłosierdzia. Niech cierpi ten, kto zadaje cierpienia; wedle tego hasła mam działać. Uprzytomnij sobie to wszystko, co te potwory już popełniły i co mają na sumieniu. Pomyśl o zatwardziałości serc i nikczemności ich dusz! Wyszdziliby mnie tylko, gdybym się wobec nich miłosiernym sędzią okazał. Łowców niewolników należy bezlitośnie tępić mieczem, nożem i kulą. To idzie znacznie prędzej, Allach zaś nie zgniewa się na mnie za to, że staram się przez niezłomną sprawiedliwość uzyskać rychlej to, co łagodnością zdobyłoby się dopiero po wielu, wielu latach, a może nigdy. Czy przyznajesz mi słusność, czy nie?

— Tak, przyznaję, gdyż chrześcijaństwo uczy nie tylko miłości, lecz i sprawiedliwości. I u nas karzą zbrodniarza, ale zawsze liczą się także z możliwością poprawy.

— Taki Ibn Asl nie poprawi się nigdy. Ze względu na ciebie nic ci przedtem o moim zamiarze nie powiedziałem i kazałem wykonać egzekucję podczas twojej nieobecności. Tylko najmłodszego zostawiłem, ażeby opowiedział Ibn Aslowi, co się stało. W ten sposób wszędzie, gdzie tylko znajdują się łowcy niewolników, rozejdzie się wieść o niezłomnej surowości mojej, a strach przede mną może tylko zdziałać, co ja sam.

— Na cóż posyłać tego człowieka za Ibn Aslem, skoro jego samego wkrótce pochwycimy.

— Czy jesteś istotnie taki pewny, że go schwytemy? Nie uważam tego za rzecz zbyt trudną, chociaż o tym, co się tu stało, zawiadomią go wkrótce.

Opowiedziałem mu o białym jeźdźcu. Wysłuchał opowiadania z nadzwyczajną uwagą, a gdy skończyłem, spytał z ogromnym zaciekawieniem:

— Czy wiesz na pewno, że ten hedżin był biały? Może był jasnoszary?

— Nie, był taki biały, jak siwa klacz z Dżebel Tuntum el Mukkeny.

— A jeździec miał biały burnus?

— Całkiem jasny haik z kapturem założonym na głowę.

— Jego twarzy nie widziałeś?

— Kaptur zakrywał mu tylko czoło, mimo to nie mogłem dobrze rysów twarzy rozpoznać, gdyż oddalenie było znaczne.

— Miał brodę?

— Tak jest, gęstą, czarną brodę.

— A jego postawa?

— Nie był wysoki, lecz barczysty.

— Nieba! To on był, on sam!

— Kto?

— Ibn Asl. Opis twój zgadza się całkiem z jego wyglądem, a wielbłąd jego słynie daleko i szeroko. Jest to śnieżysty hedżin z Dżebel–Gerfe, któremu żaden na świecie nie dorówna. Jest wytrwały jak wilgoć pory deszczowej, a szybki jak strzała i żaden inny hedżin nie zdoła go dopędzić.

— O biada! Więc miałem tego człowieka przed sobą i nie zdołałem go pojmać. Tak jest, tak, z pewnością. To on był tutaj.

— Co za odwaga!

— O ile cię znam, odważyłbyś się na to samo. Zresztą nosi on nazwę el Dżazur, odważny. Był pewnie w drodze tutaj i spotkał mokedema i muzabira, którzy wam umknęli. Opowiedzieli mu, że napadliście na karawanę, on zaś odesłał ich ze swoimi towarzyszami dalej, a sam przybył do wadi, by się naocznie o wszystkim przekonać. Przypatrzył nam się i zrozumiał, że nie odbierze nam już niewolnic. Wrócił więc, by pomyśleć nad jakimś nowym łajdactwem.

— Które jednak możemy mu udaremnić. Choćby jego wielbłąd był naprawdę tak szybki, jak mówisz, Ibn Asl ma z sobą ludzi, którzy nie mogą jechać tak szybko. Kilku z nich będzie nawet musiało jechać po dwu na jednym wielbłądzie, ponieważ np. zbiegowie nasi szli pieszo. Kto wie, czy nam jeszcze w ręce nie wpadnie, i gotów jestem zaraz ruszyć za nim w pościg.

— Nie wątpię, że taką ochotę okażesz, ale to niepotrzebne; zresztą musisz niewolnice odprowadzić do domu.

— W takim razie ty za nim pospiesz!

— I ja na razie dam temu spokój. Niebawem jednak będę w Chartumie i pochwycę go tam albo gdzieś w tamtych stronach.

— Pytanie jednak, czy go tam znajdziesz, bo ostrzeżony przez swoich będzie bardzo uważał, aby ci w ręce nie wpaść.

— Przypomnij sobie Turka Murada Nassyra. Chce on siostrę swoją dać Ibn Aslowi za żonę. W tym celu udaje się do Chartumu, gdzie ma się zjechać z przyszłym swoim szwagrem. Jeśli go tylko nie spuszczę z oczu, obaj wpadną mi w ręce.

— A czy jesteś pewny, że Murad Nassyr zamiarów twoich nie przejrzy i planu swojego nie zmieni?

— Nie troszcz się o to. Wierz mi, że i ja umiem być ostrożny i przebiegły. Jedź więc śmiało do osady Beni Fessarów, gdzie zbierzesz plon swoich czynów. Gdy powrócisz do Chartumu, dowiesz się, że błędu nie popełniłem.

— A gdzie cię tam zastanę?

— Na moim statku, a gdyby go tam nie było, dowiesz się od reisa el mina* gdzie się znajduję.

— Oczywiście, w razie potrzeby mogę się z tym pytaniem zwrócić także do któregoś z wyższych urzędników?

— Nie, gdyż u żadnego z nich nie będę. Ponieważ kedyw wyposażył mnie w nadzwyczajne pełnomocnictwa, jestem tym ludziom niemiły. Zdaję się zwykle na siebie samego, zupełnie tak jak ty. I ty także rzadko kiedy zwracasz się o interwencję do przedstawiciela swego kraju.

Miał słuszość, bo kiedy tylko mogę zrobić coś samodzielnie, nigdy się do nikogo o pomoc wtedy nie zwracam. Było więc rzeczą postanowioną, że miałem córy Fessarów zaprowadzić do domu, mając przy sobie dwudziestu żołnierzy reisa effendiny, jako eskortę.

Co za radość była między kobietami, kiedy wydałem rozkaz, ażeby się przygotowano do drogi. Ben Nil został oczywiście ze mną; nie obszedłbym się bez niego. Selim natomiast zupełnie nie był mi potrzebny i miał jechać z reisem effendiną. Kiedy, przez żart, wezwałem go, by osiodłał swego wielbłąda, odpowiedział:

— Effendi, pozwól mi udać się do Chartumu. Beni Fessara, do których dążysz, nie są godni widzieć u siebie najwaleczniejszego z bohaterów. Będzie ci wprawdzie brak mojej obrony, ale będę się modlił do proroka, żeby czuwał nad tobą i żeby jak najrychlej wrócić mi do ciebie pozwolił. Jeżeli się to stanie, nieopisana będzie radość twoja i moja.

*Kelner

*Szarawary

*Bluza

*Arab. policzek.

*Smyrna

*Kupiec

*Kantor

*Algier

*Szkło powiększające

*Banda zbójcka.

*Suchoty

*Kartka, przekaz

*Narzeczony.

*Opowiadacz.

*Arab wzniosły, tytuł potomka Muhammeda.

*Jezus, syn Marii.

*Księgi.

*Ryba.

*Kapitanem.

*Modlitwa wieczorna.

*Kuglarz.

*Mnich mahometariski

*Późniejszy mahdi.

*Dobry wieczór!

*Życzę ci wielkiej rodziny, obszaru i lekkości!

*Niemcy.

*Pisarzem.

*Kapitan naszego pana.

*Sokół.

*Sternikiem.

*Ojciec pośpiechu.

*Porucznik.

*Chirurg.

*Koniuszy.

*Czystej krwi.

*Hejże szpaku.

*Wzgórek tajemnicy

*Szatan.

*Święty.

*Grobowiec, do którego pątnicy pielgrzymują.

*Kaznodzieja.

*Ojciec śmierci

*Seriba krokodyla

*Syn początku

*Sługa Początku

*Śmiały.

*Kawałki mięsa, pieczone na patyczkach nad ogniem.

*Aptekarz.

*Lektyka dla kobiet.

*Przełożony wsi.

*kapral.

*Liczba mnoga od askeri = żołnierz.

*Studnia.

*liczba mnoga od wadi = dolina.

*Podróżny.

*Urzędnik sprawiedliwości.

*Algier.

*Karawana niewolników.

*Opończy.

*Przewodnik, opiekun.

*Zakażenie krwi.

*Duch życia.

*Spoczywanie członków.

*Kapitan.

*Burmistrz.

*Ojciec zgrozy

*Zatruta strzała.

*Dosłownie: Cios tłukący o ziemię.

*Kapitan portowy.